



**SHARON BOLTON**

„Zuchwałe i oryginalne!”

**SIMON BECKETT**

autor **CHEMII ŚMIERCI**

**BLIZNA**



**SHARON BOLTON**

„Zuchwałe i oryginalne!”

SIMON BECKETT  
autor CHEMII ŚMIERCI

# BLIZNA

  
AMBER

**SHARON BOLTON**

**BLIZNA**

Przekład  
**MAŁGORZATA STEFANIUK**





Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna  
Anna Tłuchowska

Korekta  
Barbara Cywińska  
Renata Kuk

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce  
© Leonid Ikan/Shutterstock

Tytuł oryginału  
Awakening

Copyright © S.J. Bolton 2009  
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition  
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6349-6

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA

*Mojej matce, która zupełnie nie przypomina matki Clary, poza tym, jak bardzo jest kochana; mojemu ojcu, który podarował córkom ich marzenia i odwagę, by za nimi podążyły; i Vincentowi, który jest naszą opoką.*

*Zanim skoczysz, otwórz oczy, wąż kryje się nawet pośród słodkiego kwiecia.*  
przysłowie

# Prolog

**N**ajczarniejsza godzina w moim życiu rozpoczęła się w zeszły czwartek, tuż przed wschodem słońca.

Będzie piękny poranek – pamiętam, że tak pomyślałam, kiedy wyszłam z domu – ciepły i parny, przepełniony szeptem obietnic, taki, jakie potrafią być poranki jedynie wczesnym latem. Było jeszcze chłodno, ale opalizująca smuga na horyzoncie zapowiadała wściekły upał. Ptaki śpiewały tak, jakby każda nuta miała być ich ostatnią, i nawet owady obudziły się wcześniej. Jaskółki też korzystały z hojności świtu i pikowały wszędzie wokół mnie tak blisko, że musiałam mrugać.

Kiedy zbliżałam się do podjazdu do domu Matta, z pobocza zapachniało rumiankiem. Jego ulubiony zapach. Stałam tam przez chwilę, wpatrzona w żwirową drogę, która za zakrętem zniknęła za kępą krzaków wawrzynu. Trąciłam stopą ziemię, by wzniecić zapach, i pomyślałam, że rumianek pachnie dojrzałymi jabłkami i niesioną jesienną bryzą wonią dymu z palonego drewna. Nie mogłam się powstrzymać i zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdybym poszła podjazdem, wśliznęła się do domu i obudziła Matta, wcierając rumianek w jego poduszkę.

Poszłam dalej.

Na szczycie Carters Lane zobaczyłam, że drzwi domku Violet są lekko uchylone; a nie powinny, nie o tej porze. Podeszłam bliżej, stanęłam na progu i popatrzyłam na złączącą ze ścian farbę i ciemność w holu za drzwiami. Violet prawdopodobnie wstawiała wcześniej, starsi ludzie zwykle wstają wcześniej, ale na widok otwartych drzwi coś się we mnie zacisnęło.

Próg był wilgotny. Ktoś tu stał w mokrych butach kilka minut temu. To niekoniecznie musiało cokolwiek znaczyć, równie dobrze mógł to być przypadek, ale żadne z uspokajających wyjaśnień, jakie udało mi się wymyślić, nie mogło uciszyć narastającego niepokoju. Pchnęłam drzwi. Otworzyły się jeszcze o kilka centymetrów i uderzyły w coś.

– Violet? – zawołałam. Żadnej odpowiedzi. Pograżony w ciszy dom czekał na to, co teraz zrobię. Znowu popchnęłam drzwi. Otworzyły się trochę szerzej, odsłaniając mokre ślady na podłodze. Przecisnęłam się przez otwór i weszłam do sieni.

Worek za drzwiami był płócienny, przewiązany mocno sznurkiem. Wyglądał jak worki z piaskiem przywożone przez Agencję Ochrony Środowiska, kiedy zanoszą się na powódź. Ale nie sądziłam, żeby w tym był piasek. Przede wszystkim nie był dość ciężki. Ani nie miał solidnego, regularnego kształtu worka przeciwpowodziowego, zwłaszcza mokrego. A ten ociekał wodą.

– Violet! – zawołałam znowu. Jeśli mnie słyszała, nie zdradzała się z tym.

Drzwi na końcu korytarza były otwarte, widziałam, że pokój za nimi jest pusty. Nigdzie śladu psa Violet, Benniego.

I to był moment, w którym od niepokoju przeszłam do strachu. Bo pies, nawet stary i schorowany, nie pozwoliłby nikomu wejść do domu niepostrzeżenie. Violet mogła jeszcze spać; mogła nie usłyszeć, że ją wołam. Bennie by usłyszał.

Chociaż była to ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę, odwróciłam się i przykucnęłam przy worku. Mokry, twardy, ale to nie piasek, zdecydowanie nie piasek. Wyciągnęłam mały scyzoryk, który zawsze noszę w kieszeni, przecięłam sznurek i pozwoliłam, żeby worek opadł. Potem chwyciłam za dolne rogi i wytrząsnęłam mokrą, martwą zawartość na zniszczone linoleum korytarza.

Bennie wyglądał nawet na mniejszego niż za życia. Nie musiałam go dotykać, żeby wiedzieć, że nie żyje, ale mimo wszystko nachyliłam się i pogłaskałam szorstką sierść. Płytkie rany widniały na pysku i wokół szyi, w miejscach, gdzie się pokaleczył, szamocząc się, żeby się uwolnić, gdy opadał coraz niżej w jeziorze lub rzece, do której go wrzucono. Ale worek nadal nie



był pusty. Poruszyłam palcami i coś jeszcze wypadło. Straszliwie poraniony, z ciałem miejscami prawie porozdzieranym, wąż zadrgał raz, zanim znieruchomiał.

Przez chwilę myślałam, że zwymiotuję. Osunęłam się na zimną podłogę, wiedząc, że muszę znaleźć Violet, ale nie mogłam zebrać odwagi. I przez głowę przelatywały mi najdziwniejsze myśli.

Bo wyglądało na to, że czegoś brakuje. Przypomniały mi się lekcje historii w szkole, kiedy uczyliśmy się o starożytnym Rzymie i uważnie słuchaliśmy każdego słowa nauczyciela, zabawiającego nas opowieściami o rzymskim wymiarze sprawiedliwości, torturach i egzekucjach. Jedną szczególną formą śmierci przykuła zwłaszcza naszą uwagę: skazany więzień – który, jak teraz myślę, musiał popełnić najgorszy rodzaj zbrodni – był pakowany w worek z psem, wężem i czymś jeszcze. Małpa... a może jakieś zwierzę z obejścia? A potem wrzucano go do Tybru. Większość klasy się śmiała. W końcu to było tak dawno i w akurat tym doborze zwierząt było też coś odrobinę komicznego. Nawet ja to widziałam. Ale nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, jak to jest być zapakowanym do worka z jakimkolwiek zwierzęciem – i wrzuconym do wody. Pewnie taki ktoś by walczył – zapamiętała, historycznie – zęby i pazury byłyby wszędzie. I woda zalewająca płuca. Ból byłby nie do...

Musiałam znaleźć Violet.

Przeszłam przez korytarz i salon. Drzwi w głębi prowadziły na schody. Znalazłam kontakt i pstryknęłam go. Schody nie były długie, ale wydawało mi się, że wspięcie się na nie zajęło mi wieczność.

Na szczycie znajdowały się dwie pary otwartych drzwi. Po lewej – mały pokój: bliźniacze łóżka, komoda, kominek i okno z widokiem na las. Wzięłam głęboki oddech i skręciłam w prawo.

# Część 1

## 1

### Sześć dni wcześniej

**J**ak to się wszystko zaczęło? Cóż, to chyba było w dniu, w którym uratowałam noworodka przed ukąszeniem jadowitego węża, dowiedziałam się o śmierci matki i spotkałam swojego pierwszego ducha. Jak się nad tym zastanowić, to potrafię nawet podać dokładny czas. Kilka minut przed szóstą, piątek rano, i moje spokojne, poukładane życie się rozpadło.

Siedem minut przed szóstą. Miałam za sobą ostry jogging. Zdyszana i spocona, odszukałam klucze i otworzyłam drzwi. W tej samej chwili moi młodzi podopieczni zaczęli piszczeć.

Wycierając kark ręcznikiem, przeszłam przez kuchnię, podniosłam pokrywę inkubatora i zajrzałam do środka. Było ich trzy, każda zmieściłaby się w garści – głodne, pojękujące kulki pierzastego puchu. Pisklęta płomykówki zwyczajnej; dwutygodniowe i osierocone zaledwie kilka dni po wykluciu, kiedy ich matka wleciała w dużą ciężarówkę. Miejscowy obserwator ptaków zobaczył martwą sowę i wiedział, gdzie szukać gniazda. Przyniósł pisklęta do szpitala dla dzikich zwierząt, w którym pracuję jako weterynarz. Były bliskie

śmierci, zziębnięte i wygłodzone.

Od tamtej pory stale były głodne. Wyjęłam tackę z lodówki, znalazłam pęsetę i wrzuciłam małą martwą mysz do inkubatora. Nie przetrwała długo. Pisklęta rozwijały się dobrze, ale też coraz bardziej do mnie przyzwyczajały. To mnie niepokoiło. Ręczny chów dzikiego ptactwa nie jest łatwy. Bez interwencji człowieka osierococone pisklęta umarłyby; ale zarazem nie powinny uzależnić się od ludzi. Miałam nadzieję, że jeszcze kilka tygodni i będę mogła zapoznać je z przybranymi ptasimi rodzicami, którzy nauczą je polować, żeby potrafiły wyżywić się same. Do tego czasu musiałam działać ostrożnie. Prawdopodobnie należało przenieść je już do zagrodzonego karmnika i podczas posiłków zacząć używać rękawicy w kształcie dorosłej sowy.

Trzy minuty do szóstej. Szłam na górę wziąć prysznic, kiedy zadzwonił telefon. Przyszykowałam się, że wezwą mnie do zajęcia się kolejną sarną potrąconą na A35.

– Pani Benning? Rozmawiam z panią Benning, weterynarzem? – Głos młodej kobiety. Bardzo zdenerwowany głos młodej kobiety.

– Tak, słucham – odpowiedziałam, myśląc, że chyba jednak się nie wykapię.

– Tu Lynsey Huston. Mieszkam niedaleko pani. Pod dwójką. W łóżeczku mojego dziecka jest wąż. Nie wiem, co mam robić. Nie wiem, co robić, do diabła. – Jej głos podnosił się z każdym słowem; była chyba na granicy hysterii.

– Jest pani pewna? – Głupie pytanie, wiem, ale, mówiąc szczerze, wąż w łóżeczku dziecięcym to nie jest coś, co widuje się codziennie.

– Oczywiście, że jestem pewna. Patrzę na niego. Co, do diabła, mam zrobić?

Mówiła za głośno.

– Proszę być cicho i nie wykonywać gwałtownych ruchów. – Ja, natomiast, poruszałam się szybko. Łapiąc po drodze kluczyki do samochodu, wybiegłam z domu, pilotem otworzyłam bagażnik i sięgnęłam do środka. – Myśli pani, że ją ukąsił? – spytałam. Zaskakując samą siebie, zapamiętałam, że noworodek to dziewczynka. Kilka tygodni temu widziałam przed domem różowe balony.

– Nie wiem. Wygląda, jakby spała. Och, Boże, a jeśli ona nie śpi?

– Kolor skóry ma normalny? Widzi pani, że oddycha? – Zabrałam z bagażnika kilka rzeczy i pognałam w górę zbocza. Widziałam dom Hustonów, słodką, pobielaną chatę u szczytu uliczki. Rodzina była nowa, mieszkali tu dopiero od kilka tygodni, ale miałam wrażenie, że wiem, jak wygląda matka: mniej więcej w moim wieku, wysoka, jasne włosy do ramion. Nigdy dotąd ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Tak, chyba tak. Tak, jest różowa. Może pani przyjść? Proszę, niech pani powie, że przyjdzie.

– Już prawie u was jestem. Najważniejsze to nie wystraszyć węża. Niech pani nie robi nic, co mogłoby go zaalarmować. – Otworzyłam furtkę i pobiegłam do frontowych drzwi. Były zamknięte. Obiegłam dom. Słuchawka telefonu, którą niosłam, znajdowała się zbyt daleko od bazy i zaczęła pikać. Wyłączyłam ją i pchnęłam tylne drzwi.

Stałam w jaskrawo kolorowej nowoczesnej kuchni. Jak na dom z noworodkiem panował w niej zaskakujący porządek. Odłożyłam słuchawkę na stół i poszłam korytarzem w kierunku głosu dochodzącego z piętra. Przed schodami zauważyłam mokre plamy i ślady błota na poza tym nieskazitelnie czystej terakocie. Moją uwagę przyciągnęły znajome dźwięki. Zerknęłam w prawo i w małym pomieszczeniu gospodarczym zobaczyłam inkubator z nowo narodzonymi pisklętami. Rodzina hodowała kurczaki.

– Już jestem! – zawołałam cicho. Kiedy dotarłam na szczyt schodów, zobaczyłam wystraszoną bladą twarz wyglądającą zza drzwi w głębi korytarza. Kobieta kiwnęła głową, a ja podeszłam. Odsunęła się i wpuściła mnie do pokoju.

Byłam w małej różowo-kremowej sypialni utkniętej w rogu poddasza. Ciemne wspornikowe belki odcinały się od bieli gipsowych ścian. Na wewnętrznym oknie wisiała różowa zasłonka we wróżki i muchomory. Wzdłuż najdłuższej ściany stało łóżeczko dziecięce, baśniowa kołyska małej księżniczki: cała w kremowych koronkach i różowych falbankach. Podeszłam bliżej, nadal z nadzieją, którą żywiłam, odkąd odebrałam telefon, że wąż okaże się zabawką, że to tylko starsze dziecko zrobiło matce żart.

Niemowlę, małeńkie i doskonałe, sapało cicho w śpioszkach wyhaftowanych w różowe króliki. Usteczka miało rozchylone, widziałam idealnie kształtne dziurki nosa nad górną wargą, długie ciemne rzęski i niezbyt silne ślady skazy białkowej na policzkach. Piąstki miało zaciśnięte, ramionka zarzucone nad główką w klasycznej pozie noworodków podczas snu. Wyglądało, że jest w całkowitym porządku.

Poza faktem, że dzieliło łóżko z jadowitym wężem, który zaatakuje w chwili, gdy niemowlę się poruszy.

## 2

O dziwo, wzięwszy pod uwagę hałas, jaki robiła matka, wydawało się, że wąż też śpi. Pół zwinięty, pół rozciągnięty, leżał na piersi dziecka, wyraźnie zachwycony bijącym od niego ciepłem, powoli podnosząc ciepłość własnego ciała tak, żeby dorównała temperaturze ciała małej. Miał jakieś czterdzieści centymetrów długości i około dziewięciu w najszerszym miejscu w obwodzie. Nie był to młody wąż.

Wraz z moim przybyciem matka uspokoiła się, ale nadal wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła stracić panowanie nad sobą.

– Pomyślałam, że to prawdopodobnie zaskroniec – powiedziała teatralnym szeptem – ale nie miałam pewności. One mogą być ciemnoszare, prawda?

Wkładałam rękawice wykonane z grubej skóry i sięgające za łokcie; chronią moje ręce przed ugryzieniami większych ssaków, borsuków, lisów i tym podobnych. Dotąd nie używałam ich jeszcze do łapania węży.

– To nie jest zaskroniec. Niech pani stoi tam, gdzie stoi, i będzie cicho. Proszę nie wykonywać nagłych ruchów ani nie wydawać żadnych dźwięków.

– O Boże, to chyba nie żmija? Ten mężczyzna, w zeszłym tygodniu, na głównej ulicy, żmija go ukąsiła. Mówią, że jest w złym stanie.

Przysunęłam się bliżej. Nie słyszałam o tym, że ktoś został pokąsany, ale nie przejęłam się szczególnie tą wiadomością.

– Nic mu nie będzie – zaczęłam. – Ukąszenie żmii... – umilkłam. Zamierzałam powiedzieć, że ukąszenie żmii nie zabije zdrowego dorosłego człowieka, co byłoby wyjątkowo nietaktowne w danych okolicznościach. Ostatnia osoba, która zmarła od ukąszenia żmii w Wielkiej Brytanii, to było pięcioletnie dziecko. Noworodek ukąszony przez dorosłą żmiję mógłby



umrzeć, zanim dotarlibyśmy z nim do szpitala. – Teraz cisza, proszę.

– Co mam robić? Może wezwę pogotowie?

Nie była w stanie milczeć. Musiałam wypędzić ją z pokoju.

– Tak, ale niech pani to zrobi na dole i cicho. Proszę opisać sytuację i uprzedzić, że pani dziecko może potrzebować natychmiastowej pomocy medycznej. Muszą być przygotowani do przeprowadzenia reanimacji.

Niechętnie, ale wyszła, a ja ruszyłam przed siebie. Moje nogi miały problem z wykonywaniem tego, czego od nich chciałam, dłonie w grubych rękawiczkach trzęsły się. Już dawno nie czułam strachu przed zwierzęciem. Przebywałam w klatkach z tygrysami i piłowałam paznokcie słońom. Znieczulałam oszalałe z bólu borsuki i pomagałam żubrzycy urodzić. Wielokrotnie bywałam podekscytowana, zachwycona, miałam kilka ataków krańcowego zdenerwowania, ale rzadko czułam strach.

Teraz jednak bałam się bardzo o to niewinne małe dziecko, leżące zaledwie krok ode mnie i śniące swoje bezpieczne niemowlęce sny o mleku i przytulaniu. Drapieżnik drzemiący na jego klatce piersiowej, wysysający z niego ciepło jak pasożyt, miał bowiem fenomenalną moc zabijania. Jad węży to złożona substancja, której zadaniem jest unieruchomić, zabić, a następnie pomóc w trawieniu zdobyczy. Jeśli ta maleńka istotka zostałaby ukąszona, w ciągu minut antykoagulanty z jadu zmniejszyłyby krzepliwość krwi i rana krwawiłaby nieprzerwanie. Dziecko czułoby niesamowity ból. Już sam szok wywołany tym bólem mógłby je zabić. Po jakimś czasie enzymy proteolityczne zaczęłyby rozkładać tkanki i dziewczynka dostałaby wewnętrznego krwotoku. Ostatecznie ciało zaczęłoby puchnąć, skóra zrobiłaby się niebieska, fioletowa, nawet czarna.

I to wszystko od jednego ukąszenia. Tylko jedno błyskawiczne uderzenie i krótkie życie niemowlęcia mogłoby się zakończyć. Nawet jeśli dziecko by przeżyło, byłoby poważnie okaleczone.

Cóż, nie, jeśli to ja miałam mieć z tym cokolwiek do czynienia.

Wzięłam głęboki wdech, żeby się uspokoić. Wąż wciąż spał, ale dziecko – och, nie, nie, nie – budziło się. Mała zakwiliła, przeciągnęła się, zaczęła się wiercić. Jeśli była choć trochę podobna do moich siostrzenic, gdy były małe,

chwila przebudzenia była momentem uświadomienia sobie, że umiera z głodu. Otworzyłaby buzię i zaczęła płakać. Kopałaby nóżkami i rzucała rączkami. Żmija wpadłaby w panikę. Broniłaby się. Wiedziała, że nie mam czasu. Ale nawet wtedy się nie ruszyłam.

Nigdy nie dotknęłam żyjącego dziko węża brytyjskiego. Nie byłam nawet pewna, czy widziałam wcześniej żmiję, ale nie ulegało wątpliwości, na co patrzę. Zaskronce są długie i cienkie, mają owalną głowę. Ten wąż był krótszy, grubszy, z charakterystycznym zygzakiem na ciemnoszarej skórze, łuski na przedzie głowy tworzyły wzór przypominający literę V.

Dziecko miauknęło. Wąż się obudził.

Podniósł głowę i rozejrzał się, trzepocząc językiem. Wyczuwał zagrożenie, tylko nie był pewien, skąd nadchodzi. Na zewnątrz rozległ się nagły hałas. Wróciła Lynsey. Sięgnęłam po węża. Odwrócił się, rzucił na mnie i zaczęliśmy się siłować.

Kiedy żmija wbiła kły w skórę rękawicy, złapałam ją blisko głowy drugą ręką, podniosłam i wyjęłam z kołyski. Lynsey wydała nieartykułowany okrzyk i rzuciła się – szybciej niż żmija na mnie, tak mi się wydawało – do łóżeczka córeczki. Chwyciła ją i zaczęła mamrotać mamusine nonsensy, a ja kopnięciem otworzyłam pokrywę pojemnika do transportu zwierząt, który przyniosłam z samochodu, i wrzuciłam do niego węża. Trochę musiałam go przekonywać, żeby puścił rękawicę, ale lekkie uściśnięcie za głowę załatwiło sprawę. Zamknęłam pojemnik, zaryglowałam i ściągnęłam rękawicę. Na prawym nadgarstku miałam dwa małe wgłębienia, w miejscu, gdzie wąż mnie złapał, ale skóra nie była rozcięta. Odwróciłam się do Lynsey i jej córki. Po twarzy matki lały się łzy.

– Musimy ją rozebrać – powiedziałam. – Jestem pewna, że nic jej nie jest, ale musimy sprawdzić.

Pokierowałam obie do stolika do przewijania, ale wtedy okazało się, że Lynsey nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Delikatnie zabrałam od niej córkę i położyłam na stoliku. Zdjęłam śpioszki, podkoszulek i pieluchę, ledwie mogąc uwierzyć, że perłowa skóra małej jest taka miękka.

Zła, że jej zwykła rutyna pieśczot i tego całego mleka, które mogłaby

wysać, opóźnia się, dziewczynka rzucała rączkami i nóżkami na wszystkie strony, jej buzia przybrała barwę prawie siną, gdy się wydzieriała, domagając się śniadania. Ujęłam ją za nadgarstki i wyprostowałam rączki, potem to samo zrobiłam z nóżkami. Obróciłam ją i obejrzałam plecki, pulchne pośladki, kark. Wszystko było w zupełnym porządku.

Podniosłam małą i z niechęcią (zaskakujące, nigdy nie przepadałam za dziećmi) oddałam ją matce. Lynsey złapała córeczkę, jakby była brakującą częścią jej ciała i szarpnięciem rozchyliła bluzkę.

Po kilku minutach, podczas których zdawało się, że Lynsey nie jest w stanie rozmawiać, a ja nie miałam nic do powiedzenia, usłyszałam kroki na dole i męski głos. Usztynwiona (poznawanie nowych osób to dla mnie zawsze udręka), podniosłam pojemnik z węzem i zesłam na dół spotkać się z ekipą karetki. Starannie unikając kontaktu wzrokowego, wyjaśniłam, co się wydarzyło, chwyciłam swój telefon i krzyknęłam „do widzenia” do Lynsey i jej córki.

Dopiero w drodze do domu uświadomiłam sobie, że nie zapytałam o imię dziecka i że prawdopodobnie już nigdy nie będę miała ku temu okazji. Perła, zdecydowałam, że tak ją nazwę, bo miała skórę jak delikatna różowa perełka.

Sowie piskłeta, wiecznie nienasycone, znowu zaczęły piszczeć, gdy otworzyłam frontowe drzwi. Prawdopodobnie robiły mniejszy hałas niż oba telefony, stacjonarny i moja komórka, ale różnica była niewielka. Spojrzałam na słuchawkę telefonu stacjonarnego, którą wciąż trzymałam w dłoni. Praca. Potem na komórkę leżącą na stole kuchennym. Też praca. Jeden pies.

– Clara, mamy borsuki. – To była Harriet, pielęgniarka weterynaryjna i recepcjonistka. – Z poważnymi obrażeniami. Właśnie je przywieźli. Jak szybko możesz przyjechać?

– Borsuki? Liczba mnoga?

– Trzy sztuki. Ledwie zipią. Znalezione rano w składzie pod Lyme. Ktoś je mocno poturbował.

Westchnęłam i spojrzałam na zegar. Była siódma dwadzieścia rano, a ja miałam już za sobą konfrontację z jadowitym węzem i rozmawiałam z trzema osobami, więcej niż normalnie mi się zdarza przez cały poranek. Teraz

musiałam się zająć szczególnie paskudnym przypadkiem polowania na borsuki.

Po jakichś trzech kilometrach jazdy po A35 zjechałam z drogi. Jest tam wrzosowisko, naturalne środowisko żmij. Przeszłam około stu metrów i wypuściłam węża z pojemnika. Zniknął w kilka sekund.

### 3

Jednym z borsuków była ciężarna samica, która urodziła w kwadrans po przywiezieniu do szpitala. A chwilę później nie żyła. Trzy małe borsucze noworodki, niewiele większe od myszy, zostały szybko zabrane na oddział intensywnej opieki.

Mocniej pokiereszowany z dwójki pozostałych dorosłych borsuków był młodym samcem. Miał pokaleczony brzuch, ślady po ugryzieniach na obu przednich łapach, brakowało połowy nosa i naprawdę nie podobał mi się wygląd jednej z przednich nóg.

– Sukinsyny – zaklął Craig, starszy pielęgniarz. Nie mogłam zaprzeczyć.

Polowanie na borsuki zostało zabronione w Wielkiej Brytanii w 1835 roku, ale jest uprawiane do dziś dnia jako jedna z najokrutniejszych, nielegalnych form myślistwa. Z jakiegoś niepojętego powodu przeżywa ona nawet coś w rodzaju renesansu na południowym zachodzie w ostatnich latach. Zasady są całkiem proste: bierze się zdrowego dorosłego borsuka, umyślnie wcześniej okaleczonego, żeby był wolniejszy, i umieszcza się go w zamkniętej przestrzeni z kilkoma psami. Potem zawierane są zakłady, jak długo borsuk przetrwa.

Dawniej walki zwykle odbywały się w norach, podziemnych domach borsuków, ale obecnie borsuki są wypłaszane z nor przez teriery i przewożone po kryjomu do specjalnie wykopanych dołów. Tereny wiejskie, zwłaszcza jeśli są tam stare zabudowania rolnicze, to popularny wybór lokalizacji, ale dowody świadczące o walkach borsuków znajdowano też w pobliżu miast, na terenach fabrycznych czy w opuszczonych magazynach.

Jeśli borsuk zwycięża, zostaje potem zatłuczony kijami na śmierć.

Znalezienie trzech ocalonych zwierząt było wręcz niezwykle. Mogłam się tylko domyślać, że walka została przerwana, a oprawcy zmuszeni do ucieczki.

Nasz borsuk znajdował się już w mocnej stalowej klatce i nie musiałam się martwić, jak go w niej umieszczę. Borsuki są szalenie silne, całkowicie nieprzewidywalne i często agresywne. Mają też wyjątkowo silne szczęki. Lepiej nie być – nigdy, przenigdy – pogryzionym przez borsuka. W ciągu następnej godziny będę próbowała ustabilizować stan pacjenta, opatrzyć najgorsze rany i naszpikować zwierzę środkami znieczulającymi. Potem już wszystko zależy od niego.

Craig opuścił górną część klatki, tak żeby borsuk był unieruchomiony i żebym mogła zrobić zastrzyk z mieszanki medetomidyny, ketaminy i butorfanolu w mięsień tylnej nogi. Całkiem skuteczny koktajl anestetyków i środków przeciwbólowych, jednak anestetyk należało wspomóc preparatem wziewnym, podawanym w trakcie całej procedury. To już była działka Craiga. Kiedy uznałam, że to bezpieczne, otworzyłam klatkę i razem z Craigem przenieśliśmy borsuka na stół operacyjny.

Stracił dużo krwi. Odnalezienie żyły zajęło mi minutę czy dwie, ale zaraz potem podłączyłam borsuka do kroplówki. Zrobiłam mu zastrzyk z metyloprednizolonem na złagodzenie objawów wstrząsu i jeden z amoksycyliną na zapobieżenie zakażeniu.

– Jakież nadzieje na złapanie tych bandziorów? – spytałam, kiedy zaczęłam odkazać ranę przy nosie, stwierdzając przy tym z ulgą, że nie jest aż tak poważna. Część skóry wisiała luzem. Miałam zamiar spróbować ją przyszyć.

– Niewielkie – odpowiedział Craig. Głos miał stłumiony z powodu maski na twarzy. Gruźlica to powszechny problem na południowym zachodzie kraju. Nie wszystkie borsuki są zarażone, ale kiedy je leczymy, musimy przyjąć, że mogą być. – Znają numer rejestracyjny furgonetki i ustalili, że pochodzi gdzieś aż z Exeter, ale ich auta są prawie zawsze kradzione, no nie?

Kiwnęłam głową. To były zorganizowane gangi. Zarabiały kupę kasy na swoich nielegalnych spotkaniach. Wiedzieli, jak się mają zabezpieczać.

Szarpane rany na brzuchu nie były tak głębokie, jak się z początku obawiałam, ale późną wiosną muszyca rozwijająca się na otwartej ranie może



być problemem. Przemylałam rozcięcia środkiem odkażającym i owadobójczym. Gdy już były czyste, mogłam je szybko zaszyć.

– Policja znalazła tam zdechłego psa – poinformował Craig. – Staffordshire bulteriera. Pupila jakiegoś biednego dzieciaka.

Słyszałam już wcześniej takie drzenie w głosie Craiga. Dawał sobie radę z najbardziej chorymi, najgorzej zranionymi zwierzętami, ale nie potrafił znieść umyślnego okrucieństwa. „Jak ty to robisz, Claro? Jak potrafisz być taka spokojna?” – zapytał mnie kiedyś, zalany łzami, gdy usypialiśmy młodą sarenkę, której banda nastolatków wyłupiła oczy. On i reszta personelu uważali, że jestem zimna jak ryba. Ale jak miałam im powiedzieć, że okrucieństwo ludzi nigdy mnie nie zaskakiwało. Doświadczałam go każdego dnia, odkąd tylko pamiętam.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się Harriet. Zobaczyłam wyraz jej twarzy i przygotowałam się, że usłyszę, że drugi borsuk zdechł.

– Claro, musisz odebrać telefon – powiedziała, stojąc w progu.

Pokręciłam głową i podniosłam rękę w rękawiczkach pokrytych krwią i sierścią.

– Skończę w ciągu godziny – odpowiedziałam i odwróciłam się do swojego pacjenta.

– To twój ojciec. Naprawdę musisz odebrać.

Spojrzałam na nią znowu, zrozumiałam, co jej załzawione oczy i wystraszona mina znaczą naprawdę. A więc nie borsuk. To nie on zmarł.

Odczepiłam maskę i ściągnęłam rękawiczki. Przyciskając słuchawkę do ucha, wysłuchałam, co ojciec miał do powiedzenia, potem powiedziałam, że zadzwonię do niego później. Wciąż jeszcze mówił, gdy wcisnęłam małe przycisk, który go rozłączył, i oddałam słuchawkę Harriet.

– Jestem niemal pewna, że prawa przednia kość ramienna jest złamana – oznajmiłam. – Jeśli przeżyje noc, będę musiała się temu przyrządzić rano. Śródspikowy gwóźdź może załatwić sprawę.

Harriet wciąż była w pokoju, ostentacyjnie czyściła telefon środkiem dezynfekującym. Kątem oka przyłapałam ją na rzucaniu Craigowi wymownych spojrzeń.

– Wszystko w porządku? – spytał. Pokiwałam wolno głową i zabrałam się do szycia. Zmusiłam się do skupienia, wiedziałam, że Harriet mówi coś bezgłośnie do Craiga i że on usiłuje zrozumieć słowa z ruchu warg. Nie patrzył już na głowę borsuka, a trzeba naprawdę wiele, żeby przerwać mu pracę. Podniosłam wzrok.

– Chyba się wybudza – powiedziałam. Craig spojrział w dół, powracając do zabiegu.

– Claro, powinnaś iść. Być z rodziną – spróbowała Harriet.

– Kiedy skończę – odparłam, nie patrząc na nią. – Możesz dopilnować, żeby próbki krwi zostały wysłane do Departamentu Środowiska? I jak się czują małe?

Wzruszyła ramionami, rzuciła ostatnie spojrzenie Craigowi i wyszła.

Minęłam salę opieki w drodze po drugiego borsuka. Trzy osieroczone borsuczki umieszczono w inkubatorze. Wypiły trochę mleka – specjalną wersję odżywki dla niemowląt, którą podajemy nowo narodzonym ssakom – i miały się tak dobrze, jak można się było spodziewać. Leżały razem, przytulone do siebie, żeby było im cieplej, sapiąc i kwiląc. Małe, wystraszone, bez matki.

Trochę jak ja.

## 4

**M**ały Zakon św. Franciszka, w którym pracowałam przez prawie pięć lat, założyli katoliccy zakonnicy pod koniec XIX wieku w celu leczenia chorych i okaleczonych dzikich zwierząt. Obecnie jego działalność podtrzymuje towarzystwo charytatywne: datki spływają do nas z całego świata, setki ludzi zostaje naszymi „Przyjaciółmi” w zamian za roczny abonament, centrum turystyczne przyciąga tysiące gości każdego roku. Zajmiemy się każdym przedstawicielem dzikich zwierząt występujących na terenie Wielkiej Brytanii – ssakiem, gadem, ptakiem, płazem – jakkolwiek byłby mały i ciężko ranny. Tylko jeśli zwierzę doświadcza aż takiego bólu, że leczenie go byłoby okrutnym przedłużaniem cierpienia, usypiamy je. Niektórzy zarzucają nam, że jesteśmy nedorzecznie sentymentalni, że marnujemy dobrą wolę ofiarodawców, których datki mogłyby wesprzeć godniejsze przedsięwzięcia. Osobiście uważam, że ludzie powinni mieć wolność wyboru w kwestii tego, jakie cele chcą wspierać, i że wszystkie stworzenia, nawet najmniejsze, najmniej poznane, żyjące krótko, mają wartość i za ich egzystencją kryje się jakiś cel.

Trzeci borsuk nie był aż tak ciężko pokiereszowany. Zrobienie wszystkiego, co mogłam, zajęło mi około czterdziestu minut, potem odesłałam pacjenta na obserwację. Kiedy skończyliśmy, Harriet czekała na mnie znowu, przyszykowałam się więc na ciężką próbę przełknięcia matczynej troski. Zamierzała mnie namówić, żebym zrobiła sobie przerwę, podczas której zaserwowałaby mi gorącą słodką kawę i zmusiła do rozmowy, licząc, że przy odrobinie szczęścia otworzę się i wypłaczę na jej ramieniu. Harriet znała mnie od pięciu lat. Można by sądzić, że do tej pory coś już powinna zrozumieć.

Ruszyłam w stronę pokoju opieki i Harriet musiała pobiec, żeby móc dotrzymać mi kroku.

– Claro, ktoś na ciebie czeka w recepcji. Jeden z lekarzy z Dorset. Jest tu prawie od godziny. Mówiłam mu, że jesteś zajęta i że, no cóż, to nie jest najlepszy moment, ale on twierdzi, że chodzi o coś ważnego. Coś w związku z węzami.

Zatrzymałam się tak nagle, że Harriet wpadła na mnie. Dziecko, które uratowałam rano, na pewno zostało przewiezione na obserwację właśnie do szpitala Dorset County w Dorchester. Jeśli ten lekarz chciał ze mną pilnie rozmawiać, jeśli tu przyjechał, to znaczy, że żmija jednak ukąsiła małą. Jak mogłam to przeoczyć? Odwróciłam się i w recepcji znalazłam się kilka sekund później. Młody mężczyzna w dżinsach i swetrze poderwał się na nogi, gdy mnie zobaczył. Na boku krzesła, na którym siedział, leżała duża torba. Mężczyzna podszedł do mnie z wyciągniętą dłonią. Nigdy wcześniej się nie widzieliśmy, ale wydawało się, że nie ma wątpliwości, że jestem tą kobietą, której szukał. Ktoś go ostrzegł, jak wyglądam.

– Pani Benning? Dzięki, że zechciała pani ze mną porozmawiać. Harry Richards. Pracuję na OIOM-ie w Dorset. Naprawdę jestem wdzięczny za szansę skonsultowania z panią pewnej kwestii.

– Chodzi o niemowlę? – Nie mogłam sobie przypomnieć nazwiska rodziców. – O to przyjęte dziś rano?

– Nie. – Wyglądał na zaskoczonego. – Jakie niemowlę? Przyjechałem w sprawie Johna Allingtona.

– Och – mruknęłam. Nie znałam Johna Allingtona. Za nami Harriet udawała, że przekłada papiery.

– Bardzo mi przykro przekazywać tę wiadomość – kontynuował doktor Richards – ale niestety pan Allington zmarł dziś rano.

– Och, rozumiem. – Nadal nie łąpałam.

– Przykro mi. Mam nadzieję, że to nie był bliski znajomy.

– Nie – odparłam, zastanawiając się, jak długo to może się tak ciągnąć. Skoro nie przyjechał z wiadomościami o dziecku, straciłam zainteresowanie.

– Sally Johnson zasugerowała, żebym skontaktował się z panią.

Powiedziała, że pani zna się na węzłach.

Miałam dość.

– Przepraszam, ale chyba zaszła jakaś pomyłka. Nie znam tych ludzi i naprawdę muszę...

– Mam przyjemność z Clarą Benning, tutejszym weterynarzem, tak? – Chyba był zły, czyli było nas dwoje.

– Owszem. Ale mamy tu dzisiaj niezły kocioł...

– Sally Johnson jest jedną z pielęgniarek środowiskowych, przypisanych do szpitala. Mówiła, że pani i ona mieszkacie w tej samej wsi, w której mieszkał pan Allington. Mówiła, że jest pani sąsiadką.

No tak, powinnam pokornie uderzyć się w piersi. Oczywiście, że moja sąsiadka jest pielęgniarką, widywałam ją w jej stroju całkiem często. Myślę, że nawet wiedziałam, że ma na imię Sally. Kiedy się wprowadziłam, wpadła do mnie kilka razy, nie dając się zniechęcić moim coraz chłodniejszym powitaniom. W końcu po prostu przestałam jej otwierać.

Za plecami doktora Richardsa Harriet porzuciła wszelkie próby udawania, że pracuje. Drzwi za nami otworzyły się i weszła kobieta z małym dzieckiem. Chłopczyk niósł pudełko na buty.

– Ptaszek – wyjaśnił, podchodząc do stanowiska recepcyjnego. Kolejny ranny pacjent.

– Przepraszam – zwróciłam się do doktora Richardsa. – Po prostu to jeden z tych ciężkich poranków. Proszę posłuchać, muszę teraz zrobić obchód zewnętrznych zagród. Może pójdzie pan ze mną? Możemy porozmawiać po drodze.

Richards kiwnął głową, odwrócił się, żeby podnieść torbę i potem wyszedł za mną przez drzwi recepcji do sklepiku z prezentami.

– Słyszała pani, co się stało z panem Allingtonem? – spytał. Skinieniem głowy przywitaliśmy się z Holly przy biurku i wyszliśmy na zewnątrz.

Nie odpowiedziałam od razu. Potem przypomniałam sobie. Lynsey wspominała, że ktoś został ukąszony przez żmiję na głównej ulicy. To musiał być John Allington. I to on zmarł?

– Został ukąszony, czy tak? – rzuciłam. – Przez żmiję.

– Pięć dni temu. Naprawdę muszę porozmawiać z kimś, kto ma jakąś wiedzę o ukąszeniach węży i ich skutkach.

Byliśmy w tej części szpitala, w której trzymaliśmy jeże, dzikie zające i kaczki w zagrodzie z niską siatką. Zagrodę lubią oglądać dzieci, mineliśmy kilka szkrabów z rodzicami zaglądających do maleńkich klatek.

– Rozumiem, że kontaktował się pan z centrum toksykologicznym? – upewniłam się.

Krajowe Centrum Informacji Toksykologicznej powinno być pierwszym miejscem, z którym należy się skontaktować, gdy dochodzi do jakiegokolwiek zatrucia. Centrum posiada kilka oddziałów regionalnych, są dobrze przygotowane do udzielania porad przez telefon i przez stronę internetową, Tox-Base.

– Oczywiście. Skontaktowałem się z nimi, gdy tylko został przyjęty, prowadzili mnie przez całe leczenie. Ale nikt tam nie jest ekspertem od ukąszeń węży. Porady, jakich mogli mi udzielić, były bardzo ogólne. Po prostu nie ma zapotrzebowania na tego rodzaju specjalizację w Wielkiej Brytanii.

– Rozumiem. – Miał rację. Ostatni zanotowany zgon w wyniku ukąszenia przez żmiję w Wielkiej Brytanii – pięcioletnie dziecko – miał miejsce trzydzieści lat temu. Od tamtej pory do szpitali w związku z ukąszeniem przez węże trafiło prawdopodobnie mniej niż dwudziestu pacjentów.

– No więc, pomoże mi pani? – spytał Richards.

– Cóż – zaczęłam, grając na zwłokę. Nie byłam pewna, czy potrafię. Nie byłam nawet pewna, czy chcę. – Na drugim roku studiów zapisałam się na fakultet z egzotycznych, dzikich zwierząt – powiedziałam w końcu. – Odbyłam letnie praktyki w zoo w Chester i w Bristolu i z różnych względów większość czasu spędziłam z gadami.

Przerwałam, żeby zamienić kilka słów z pracownicą, która opiekowała się naszymi zagrodami dla małych zwierząt. Wszyscy pacjenci mieli się dobrze, powiedziała. Doktor i ja przeszliśmy przez mały mostek i dotarliśmy nad jezioro.

– Zaraz po studiach przez kilka miesięcy pracowałam w zoo w Chester, potem spędziłam rok w Australii, pomagałam przy projekcie badawczym



dotyczącym gadów – dodałam, bo doktor Richards czekał, że będę kontynuowała. – Od czasu do czasu pracuję też jako wolontariuszka w centrum znajdowania nowego domu dla gadów, w Bristolu. Ale przez ostatnie pięć lat pracowałam tutaj. Obawiam się, że gady widzimy tu rzadko.

Przystanęliśmy, żeby popatrzeć na ptactwo wodne na jeziorze. Panował na nim większy tłok niż zwykle, ale o tej porze roku często odwiedzają nas z krótką wizytą zupełnie zdrowe osobniki. Doktor Richards przyglądał się kurce wodnej przedzierającej się przez sitowie.

– Prawda jest taka, Claro – zaczął, kiedy streściłam już swoje doświadczenie zawodowe co do gadów – że nikt w szpitalu nie wie, że tu jestem.

Nie odpowiedziałam. Kurka wodna wyszła z wody i otrząsała piórka.

– Na pewno wie pani, jakie to niezwykle, że zdrowy dorosły człowiek, nawet w wieku pana Allingtona, zmarł od ukąszenia żmii – ciągnął Richards. – Zaraz po przyjęciu oddaliśmy próbki jego krwi do laboratorium. Mieliśmy węża, tego, który go prawdopodobnie ukąsił, ale mimo to chcieliśmy sprawdzić, czy to na pewno jad. Wyniki dostaliśmy kilka dni temu.

– I?

– We krwi był jad żmii, bezwzględnie.

– I powiedział pan, że mieliście węża – dodałam, zaczynając się zastanawiać, dokąd to wszystko prowadzi. – Że ustaliliście, że to żmija.

Richards sięgnął do torby i wyjął zamkniętą przezroczystą torebkę. W środku był mały wąż, w mojej ocenie martwy od kilku dni.

– Leżał w ogrodzie, blisko pana Allingtona, gdy jego ogrodnik go znalazł – wyjaśnił Richards. – Allington zdążył go zabić, zanim stracił przytomność.

Odebrałam torebkę i podniosłam, żeby móc lepiej przyjrzeć się zawartości.

– Przywieziono go nieprzytomnego? – powtórzyłam.

– Tak, ale przytomność stracił w wyniku urazu czaszki. Sądzymy, że się przewrócił i uderzył w głowę, przypuszczalnie, gdy źle się poczuł. Na dodatek wylądował w stawie, który podobno jest dość głęboki. Szczęśliwie głowa pozostała poza wodą. Chociaż późniejszy rozwój wypadków...

– Tak, absolutnie – wymamrotałam, oddając torebkę i zastanawiając się,

czy zaczęłam podzielać wątpliwości doktora Richardsa co do śmierci jego pacjenta. – I co? Odzyskał przytomność?

– Odzyskał. Ale to niewiele pomogło. Tak naprawdę nie mógł sobie nic przypomnieć i pod koniec był ledwie świadomy. Strasznie wymiotował, miał kłopoty z oddychaniem, stracił władzę we wszystkich kończynach i dostał wysokiej gorączki.

– Jad żmij ma większą moc wiosną – zauważyłam. – Kiedy budzą się ze snu zimowego. Istniały jakiś inne odrębne problemy zdrowotne? Chore serce? Kłopoty z układem oddechowym?

– Żadnych. Miał sześćdziesiąt dziewięć lat, ale był w bardzo dobrej formie jak na osobę w tym wieku.

– Ludzie uczuleni na użądlenia os i pszczoł mogą czasami bardzo źle reagować na jad żmij. Czy to mogło być problemem?

– Centrum toksykologiczne też to sugerowało. Ale żaden z tych objawów nie wskazuje na reakcję alergiczną. To było po prostu ostre zatrucie.

– Mogę zapytać, jak go leczycie? – spytałam. Sprawa zaczęła mnie mimowolnie wciągać.

– Po przyjęciu odkaziliśmy miejsce ukąszenia i zrobiliśmy zastrzyk przeciwżęzcowy. Potem zadzwoniłem do centrum toksykologicznego. Kazali mi go obserwować, co kwadrans monitorować tętno, ciśnienie krwi i oddech. Wtedy jeszcze nie byliśmy specjalnie przejęci.

– Ale pacjentowi się pogorszyło?

– Szybko. Pojawiły się obrzęki, wiele, nie tylko wokół miejsca ukąszenia. Pan Allington bardzo cierpiał, więc podałem mu środki znieczulające, a także przeciwwymiotne, żeby spróbować zapanować nad wymiotami. Podaliśmy roztwór koloidalny, leki przeciwhistaminowe i adrenalinę.

– A antytoksyna?

– Centrum toksykologiczne podesłało ją. Surowica przeciw jadowi europejskiej żmii zygzakowatej. Z początku wydawało się, że nastąpiła poprawa, ale następnego dnia ciśnienie krwi spadło i wystąpiła arytmia. Trzeciego dnia zaczęły się drgawki. Czwarty przyniósł ostre zapalenie trzustki i niewydolność nerek. Ostatnie dziesięć godzin życia spędził w śpiączce.

Milczałam kilka sekund, bo sytuacja zdawała się tego wymagać.

– Straszne. Przykro mi – powiedziałam w końcu. – Ale czego pan oczekuje ode mnie?

Siedziałam przy swoim biurku w laboratorium i wpatrywałam się w wyniki zostawione przez Harry’ego Richardsa. Analiza chemiczna krwi zmarłego. Co kilka sekund zerkałam w górę, sprawdzałam informacje widniejące na ekranie komputera przede mną. Na biurku leżało kilka moich starych podręczników ze studiów. Znowu spojrzałam na wyniki badania krwi. Wiedziałam, że nie powiedzą mi nic, czego bym już nie wiedziała. Sięgnęłam po telefon.

– Mówi Clara Benning – przedstawiłam się, gdy połączono mnie z Harrym Richardsem. – Wąż to zdecydowanie *Vipera berus*. Innymi słowy, zwyczajna brytyjska żmija. I nie mogę nie zgodzić się z ustaleniami waszego laboratorium. Jad też pochodzi od żmii.

– Tak, aha. – Zamilkł na chwilę, uświadamiając sobie, czego się spodziewałam, że mam do powiedzenia coś więcej. – Coś jeszcze?

– Znaleziono tylko jednego węża? Czy możliwe, że było ich tam więcej?

Cisza.

– Po raz pierwszy ktoś wspomina o innych wężach. Przypuszczam, że mogły tam być, ale... – urwał.

– Gdy pan badał pacjenta, ile śladów ukąszeń pan widział?

Znowu chwila zastanowienia. Usłyszałam szelest kartek.

– Tylko jedno. Dwa wgłębienia w miejscu, gdzie kły przekłuły skórę. Patrząc na zdjęcia. Mogę je pani pokazać. Dlaczego pani pyta? Coś pani odkryła?

– Jeszcze nie jestem pewna – odparłam. – Mogę przetrzymać wyniki i węża jeszcze kilka dni? Chciałabym się skonsultować z pewną osobą.

– A co ja powiem koronerowi?

– Niech pan powie, że analizy jeszcze trwają. Ja mogę oddzwonić w poniedziałek.

Pożyczyliśmy sobie z doktorem Richardsem dobrego dnia, miałam mnóstwo roboty. Ale potem usiadłam z powrotem, rozmyślając. Dwa incydenty z

jadowitymi wężami. W jednym tygodniu. W jednej wsi. Westchnęłam i znowu sięgnęłam po telefon.

– Roger, co robisz jutro rano? – zapytałam.

## 5

**T**ylko nie kolejny wąż!

Podskoczyłam. Harriet zakradła się od tyłu i patrzyła ponad moim ramieniem. Przyjrzała się uważnie.

– Temu chyba wiele już nie pomożemy. – Potem nachyliła się i położyła mi rękę na ramieniu. Staralam się nie zesztynnieć, miała przecież dobre intencje. – Claro, na pewno dobrze się czujesz? – spytała. – Wiem, że mamy mnóstwo pracy, ale damy radę, jeśli wolałabyś wyjść.

Odwróciłam się. Stała bardzo blisko, jej twarz znajdowała się nie więcej niż pięć centymetrów od mojej, ale Harriet była do mnie przyzwyczajona. Nie wzdrygnęła się.

– O co ci chodzi z tym „tylko nie kolejny wąż”? Ile węży mamy?

– W szpitalu żadnego – odpowiedziała. – Po prostu wygląda, jakby ostatnio była jakaś ich inwazja.

– Ja nie widziałam żadnego.

– Cóż, nie miałaś jak wiedzieć. Były albo martwe, albo zupełnie zdrowe, tylko zaplątane w siatki. Po rozplątaniu wypuszczamy je. Wszystkie wróciły do swojego ekosystemu.

Pchnęłam krzesło tak, że przesunęło się wzdłuż biurka. Przyjęcie każdego zwierzęcia do szpitala jest rejestrowane w dzienniku przyjęć. Przejrzałam go. Tego dnia był trzeci piątek maja. Na początku tygodnia ktoś znalazł zaskrońca zaplątanego w siatkę zakrywającą staw. Harriet i jedna z naszych pielęgniarek rozcięły nylonową sieć, obejrzały węża, stwierdziły, że nie stało mu się zupełnie nic, i wypuściły go. Sprawdziłam, kto przyniósł węża. Mężczyzna z mojej wsi.

Tydzień wcześniej jakiś właściciel psa przyniósł żmiję, którą pies złapał podczas spaceru i poturbował. Wąż był martwy, gdy go przyniesiono. Zastanawiałam się, jak się czuje pies. Każdy wąż, zapędzony w pułapkę, atakuje. Właściciel psa mieszkał w mojej wsi.

Trzeci incydent nie skończył się pojawieniem się zwierzęcia. Ktoś zadzwonił w panice z informacją, że ma żmiję w kuchni. Craig poszedł to sprawdzić i odkrył, że wąż był gładki, podobny z wyglądu do żmii, ale całkowicie nieszkodliwy. Usunął węża z domu. Moja wieś.

To niekoniecznie coś znaczyło. W zeszłym roku mieliśmy długie gorące lato, całkiem prawdopodobne, że pojawiła się większa niż zwykle liczba węży. Wiosna też była nadzwyczaj ciepła. Wszystkie hibernujące węże pewnie już się obudziły. Prawdopodobnie nie ma się czym przejmować. Wcześniej czy później równowaga naturalna zostanie przywrócona.

I to właśnie sobie powtarzałam – wielokrotnie – kiedy jechałam z powrotem do domu.

Zamierzałam wyjść wcześniej, ale to był po prostu jeden z tych dni. Ledwie zdążyliśmy ustabilizować borsuki, gdy przywieziono młodego mundzaka, potrąconego przez samochód. Zanim go pozszywałam, na oględziny czekały już trzy osieroczone liski. Pomimo najlepszych chęci dochodziła siódma, gdy skręcałam w swoją uliczkę.

Ludzie w ogródku frontowym.

Krótką wąską uliczka skręca w prawo, dom na końcu – mój – jest schowany i prawie niewidoczny, dopóki praktycznie się na niego nie wjedzie. Wjeżdżałam na podjazd, gdy ich zobaczyłam – jeden przy drzwiach, dwóch szwendało się po ogródku, czwarty, oparty o ścianę, rozmawiał z moją sąsiadką, Sally, pielęgniarzką środowiskową.

Zaparkowałam, ale nie ruszyłam się z miejsca, z nikłą nadzieją, że chcieli tylko rozejrzeć się ukradkiem i teraz, gdy przyjechałam, się ulotnią. Wystarczyło tylko trochę poczekać.

Kiedy podniosłam wzrok, wszyscy czekali, aż wysiądę, dziwiąc się,



dlaczego tego nie robię. Walcząc z pokusą ucieczki na tyły domu, zebrałam swoje torby, wysiadłam i podeszłam do grupy, zmuszając się do patrzenia na nich, a nie w ziemię. Najstarszy z czwórki – to byli mężczyźni – podeszedł do mnie z wyciągniętą ręką. Był wysoki, z gęstymi siwymi włosami. Oцениłam, że ma około sześćdziesiątki.

– Pani Benning? Przepraszamy za najście, ale mieliśmy nadzieję, że wróci pani na czas. Phillip Hopwood, z Elms, z głównej ulicy. Daniela na pewno pani zna.

Nie miałam pojęcia, kim jest Daniel, ale chwycił moją dłoń w swoje ręce.

– Nie umiem wyrazić swojej wdzięczności – powiedział. Był wysokim, ciemnowłosym trzydziestokilkuletnim mężczyzną o przyjemnej aparycji. – Lynsey cały dzień nie może się pozbierać. Nie wyobrażam sobie, co byśmy zrobili bez pani.

– Tak, lepiej sobie tego nie wyobrażać – zgodził się mężczyzna numer trzy, który teraz stał trochę za mną. Dlatego pomyślałam – niedorzecznie, wiem, wszyscy byli bardzo przyjaźni – że zostałam otoczona umyślnie, że znowu jestem na placu zabaw. Odwróciłam się. Był młody, ale prawie łysy. Gęsty zarost. – Jak to coś znalazło się w sypialni? – zapytał.

Daniel pokręcił głową i przeciągnął ręką przez włosy.

– Bóg jeden wie – stwierdził. – Okna były otwarte, ale... zastanawialiśmy się, czy to nie kurczaki go zwabiły. Węże jedzą pisklęta, prawda?

– Jak ona się czuje? – spytałam, zaskakując samą siebie. Nie miałam zamiaru się odzywać, dopóki nie będzie to nieuniknione.

– Dobrze, wszystko jest w absolutnym porządku. Tylko Lynsey jeszcze nie może się pozbierać. Czujna jak konik polny. Nie chce spuścić Sophii z oka.

– Wcale się jej nie dziwię – powiedział mężczyzna, który rozmawiał z Sally. – Linda zachowywałaby się tak samo. Nie znosi tego paskudztwa.

– Tak, cóż – odezwał się wysoki mężczyzna z siwizną. – Czas leci. Może wyjaśnimy pani Benning...

– Jasne. Mów, Phillipie.

– Panno Benning... Claro, prawda?... Ludzie się niepokoją. Wszyscy słyszeliśmy o Johnie Allingtonie... straszna sprawa... i jeśli chodzi o ten

poranny incydent... Cóż, dzięki Bogu, że pani tam była.

– Naprawdę nie ma sprawy – odparłam, bo wyglądali, jakby oczekiwali, że odpowiem. – Nie znałam Johna Allingtona, ale jest mi bardzo przykro... – Czułam, że moja dłoń zaciska się na torbie pod pachą. Wąż, który zabił Johna Allingtona, był bliżej, niż sądzili.

– Tak, tak... Rzecz w tym, Claro, że rozmawiałem z miejscową policją, ale oni twierdzą, że to nie jest temat dla nich. Dlatego zbieramy się dziś wieczorem. Chcemy ustalić, co można z tym zrobić. Co dwie głowy to nie jedna i tak dalej.

– Bylibyśmy zobowiązani, gdyby pani do nas dołączyła – rzekł Daniel. – Za dziesięć minut. W domu Clive’a Ventry’ego. W starym dworcu.

Otworzyłam usta, żeby wyjaśnić, że muszę wykonać kilka telefonów, że naprawdę nie chcę spędzać wieczoru, w którym straciłam matkę, z bandą obcych ludzi i co oni sobie wyobrażają – no szczerze, na litość boską – że zrobią z nagłym wzrostem lokalnej populacji węży. I przekonałam się, że nie potrafię znaleźć odpowiednich słów.

– Zaprowadzę cię – zaoferowała się pielęgniarka środowiskowa Sally, jakbym nie była w stanie trafić tam bez pomocy.

– Dzięki, ale muszę zadzwonić w kilka miejsc. Przyjdę, jak tylko będę mogła. – Przcisnęłam się między nimi i otworzyłam frontowe drzwi. Wciąż na mnie patrzyli, otwierali usta, żeby coś powiedzieć, kiedy zamknęłam drzwi, odcinając się od nich.

Nie miałam pojęcia, że moja automatyczna sekretarka jest wyposażona w tyle światełek ani że mogą one migotać aż tak krzykliwie. Błyskało ich siedem lub osiem. Wcisnęłam przycisk odtwarzania i poszłam do kuchni, zastanawiając się, czy mam czas na zrobienie i wypicie herbaty, oraz czy mam coś, co mogłabym szybko przegryźć.

– Cześć, Clarey, tu tata. Oddzwoń, kiedy będziesz mogła.

Otworzyłam lodówkę i znalazłam wodę mineralną. Nie trudziłam się ze szklanką. Piłam, jakbym ostatni miesiąc spędziła na pustyni.

– Claro, tu Vanessa. Dzwoniłam do pracy, ale powiedzieli, że masz jakiś nagły wypadek. Przypuszczam, że niedługo będziesz w domu. Zadzwoń, jak wrócisz.

Sprawdziłam, co mam do zjedzenia w lodówce: sałatka, owoc, zimny pieczony kurczak, biały ser. A ja miałam ochotę na rybę z frytkami, im tłustszą, tym lepiej, albo na cheeseburger, albo sklepową pizzę, ociekającą mozzarellą i tłuszczem z taniego pepperoni. Czy tak miał się zmanifestować mój smutek? Nieoczekiwaną ochotą na śmieciowe żarcie?

– Znowu Vanessa. Na twoją komórkę też się nie mogę dodzwonić. Naprawdę byłoby dobrze, gdybyś się odezwała, Claro.

– Och, pani Benning, mówi Lynsey Huston, sąsiadka z góry ulicy. Chciałam tylko poinformować, że Sofia czuje się dobrze. Wypuścili nas ze szpitala jakieś pół godziny temu i właśnie dotarliśmy do domu. Ogromnie dziękuję za wszystko, co pani...

Lynsey mówiła do momentu, aż automat jej przerwał.

– Tu znowu tata, kochanie. Spróbuję później. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

– Claro, to takie typowe dla ciebie. Masz pojęcie, ile tu jest do zrobienia? I po co mieć komórkę, jeśli się jej nie odbiera? Jeśli, choć raz w życiu, zdołasz się zmusić do pomyślenia o kimś innym niż tylko o sobie, mogłabyś, proszę, zadzwonić do mnie? Jeśli to nie za duży pieprzony kłopot!

Dwadzieścia minut później znowu wyszłam z domu, już spóźniona na spotkanie. Ale idąc Bourne Lane, nie potrafiłam zmusić się do pośpiechu.

Łącznie z moim przy ulicy stoi siedem domów, wybudowanych w różnym czasie na przestrzeni ostatnich dwustu lat. Na dole, po zachodniej stronie, biegnie wąski, wyłożony kamieniami ciek wodny, jedna z wielu odnóg rzeki Liffin. Liffin źródło ma wyżej, w Downs, potem przez kilka kilometrów płynie po kredzie, zanim rozdzieli się na kilka mniejszych strumieni, z których wiele wije się przez wieś i następnie łączy z rzeką Yerty o kolejny kilometr dalej.

Małe kanałki są jedną z wyróżniających cech wsi: płyną obok ulic, wpadają

do stawów i wypływają z nich, przepływają się przez drogi, znikają pod domami, by pojawić się znowu w postaci źródelka w którymś z ogrodów. Prawie wszystkie większe posesje mogą się pochwalić źródelkiem, stawem, wodospadami – nawet jeziorem i kamienistą plażą w jednym przypadku. Tyle wody na terenie wsi z pewnością w jakimś stopniu wyjaśnia kwestię dużej liczby zaskrońców. Żmije, oczywiście, to inna sprawa. Ich naturalnym środowiskiem są wrzosowiska.

Dotarłam na szczyt ulicy i skręciłam, żeby zejść w dół ku centrum wsi. Ciągle jeszcze nie oddzwoniłam do ojca. Nie miałam pojęcia, co mogłabym mu powiedzieć. Do Vanessy też nie dzwoniłam. Co jej mogłabym powiedzieć, wiedziałam z kolei aż za dobrze.

Zeszłam ze wznesienia, słuchając bulgotania wyłożonego kamyczkami strumienia i zauważyłam, że na kolejnym domu wisi tabliczka SPRZEDANE; czwarta, jaką widziałam w ostatnich kilku tygodniach. A jednak wydawało się, że nikt nie sprowadza się do tych domów. Tabliczka zniknęła, ale domy pozostawały puste.

Mieszkałam tu od czterech lat – w cichej, prawie zapomnianej wsi na granicy Devon i Dorset, która ma kod przypisany do Dorset, ale topografię całkowicie devońską. Jakies pół godziny drogi od Lyme Regis w głąb wyspy skręca się z drogi B i zjeżdża wąską szosą, prowadzącą tylko do tej wsi.

Nie ma tu przejeżdżających obcych pojazdów. Bylibyśmy bezpiecznym miejscem dla rodzin, tyle że ryzyko odcięcia zimą zniechęca ludzi z małymi dziećmi. Wieś leży odrobinę zbyt daleko od głównych miast, żeby dało się dojeżdżać, więc nie przyciąga młodych osób pracujących w miastach. Starsi ludzie narzekają na wilgoć i przeprowadzają się bliżej wygód, których podeszły wiek zdaje się pożądać. Młodzi wynoszą się ze wsi, gdy tylko mogą, i rzadko wracają. I do tego powolnego, aczkolwiek stałego exodusu się nas zachęca. Co kilka tygodni dostaję listy z miejscowej agencji nieruchomości zainteresowanej kupnem mojego domu. Podejrzewam, że sąsiedzi też je dostają. Moje z miejsca trafiają do kosza.

Bo mnie się tu podoba. Lubię ten spokój. Stare piękne domy, to, że tak rzadko widuję sąsiadów. Uwielbiam roślinność, która pokrywa wszystko,

wygładza twarde linie i tłumi dźwięki. Jest tu chyba najbardziej żyzna gleba w Anglii. Nasze drzewa osiągają niesamowitą wysokość; nawet młodsze i niższe tworzą gęsty zielony baldachim nad większością ulic. Ogrody są bujne, pełne kolorów, zielsko porasta każdy wolny skrawek, ziemię pod murami, zaniedbane rynienki ściekowe, nawet szczeliny w popękanej zaprawie między ceglami.

Dotarłam do publicznego pastwiska. W tym miejscu trzy drogi wiodą do terenu, na którym znajdują się mały staw, kamienny most przerzucony nad rzeką, połąć nakrapianej stokrotkami murawy i pomnik ku czci ofiar wojny.

Gdy przechodziłam przez most tak wąski, że przejechać po nim może tylko jeden mały samochód, nagły plusk sprawił, że podskoczyłam. Natychmiast pomyślałam o wydrach i zesłam na brzeg, żeby zajrzeć pod most. Mały Zakon był zaangażowany w projekt ponownego zasiedlania wydrami tej części kraju i zawsze czujnie wypatrywaliśmy oznak sukcesu.

Mieliśmy długą mokrą zimę i poziom rzeki był o wiele wyższy niż normalnie. To, co usłyszałam, to mogły być śmieci ocierające się o przesło mostu. Przykucnęłam i czekałam, tak dla pewności. Pod mostem światło nie docierało do kamiennych wsporników, wpatrywałam się więc w czarne cienie. Czekałam, nie odrywając wzroku od linii wody, z nadzieją że zobaczę błysk małych jasnych oczu.

Coś zakaszłało – nisko, chrapliwie.

Podskoczyłam szybko. Rozejrzałam się, ale nikogo nie zobaczyłam. Zresztą odgłos dobiegł spod mostu. Znowu kucnęłam. To mógł być lis, nawet pies. Tylko że odgłos wyraźnie brzmiał, jakby wydał go człowiek. Pod mostem nie było nic poza cieniami, a rzut oka na zegarek powiedział mi, że teraz jestem już spóźniona dwadzieścia minut.

W co ja się dałam wpakować. Już to sobie wyobrażałam. Jedna lub dwie myślące rozsądnie osoby bezskutecznie próbują uspokoić pozostałych. Możliwe, że przekonali posterunkowego z najbliższego komisariatu, żeby do nich dołączył, i biedak musi tłumaczyć coraz bardziej wzburzonym zebraniem, dlaczego policja z Dorset nie może zapewnić dodatkowych sił do patrolowania okolicy w związku z plagą węży.

Każdy pewnie będzie miał własną historyjkę o przygodzie z węzami i będzie się upierał, żeby ją opowiedzieć. A ja, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, zostałam wyznaczona na miejscowego eksperta od węży. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego w okolicy jest ich tak dużo, dlaczego John Allington zmarł, co zamierzają zrobić odpowiednie władze (ktokolwiek to jest), jak mogą ochronić dzieci. Wszyscy będą mieli coś do powiedzenia i nikt nie będzie słuchał słów rozsądku. Nie znałam odpowiedzi na te pytania i nie zamierzałam tracić czasu. Przeszłam z powrotem przez most z zamiarem powrócenia do domu, zebrania się w sobie i zadzwonienia do ojca.

– Claro, jesteś! Właśnie po ciebie szłam. – Zdyszana pielęgniarka środowiskowa Sally stała po drugiej stronie pastwiska. – Czekają na ciebie.

Godząc się z nieuniknionym, poszłam za Sally przez trawnik do Church Lane, jednej z trzech ulic dochodzących do pastwiska. Po kilku metrach skręciłyśmy w prawo w małą ciemną uliczkę obsadzoną cisami, którą nigdy jeszcze nie szłam, bo prowadziła tylko do dużego tudorskiego dworku na jej końcu. Przeszłyśmy z Sally pod kamiennym krużgankiem, a potem poszłyśmy wyłożonym kocimi łbami dziedzińcem. Dom otaczał nas, główne skrzydło znajdowało się bezpośrednio przed nami. Sally pociągnęła za ciężkie drewniane drzwi i wprowadziła mnie do środka.

Byłyśmy w dużym holu, połyskującym ciemną boazerią. Na jednej ze ścian znajdowała się galeria, na którą prowadziły ozdobne schody. Wydało mi się, że kątem oka dostrzegłam, że jakaś ubrana na czarno wysoka postać znika tam za drzwiami.

Na jednym z pierwszych stopni stał Phillip Hopwood, a obok niego wysoki postawny mężczyzna. Domyśliłam się, że to właściciel domu i nasz miejscowy celebryta: Clive Ventry, milioner, który sam dorobił się swojego majątku, i żeglarz. Ventry ponoć opłynął cały świat. Głowę miał zwróconą tyłem do mnie, jakby też patrzył na postać na galerii. A przecież słyszałam, że mieszka sam. Czyżby trzymał służbę? Odwrócił się i wtedy zobaczyłam, że jest pod pięćdziesiątkę, może nawet miał równo pięćdziesiąt lat, ciemne włosy, ciężkie powieki i orli nos.

W holu musiało być ponad trzydzieści osób, większość to mężczyźni.

Wszyscy stali i rozmawiali głośno, ale umilkli, kiedy usłyszeli trzask zamykanych drzwi. Odwrócili się w moją stronę. Trzydzieści osób, gapiących się na mnie: sytuacja, jakiej starałam się unikać całe życie.

Phillip pomachał ze swojego miejsca na schodach i poprosił mnie, żebym podeszła. Ostatnia rzecz, jakiej chciałam, to stać powyżej tłumu, na oczach wszystkich, ale Sally popychała mnie z tyłu, a zebrani wokół schodów rozstąpili się, żeby nas przepuścić. Phillip nachylił się, wziął mnie za rękę i pociągnął, aż znalazłam się na stopniu poniżej tego, na którym stał. Dalej nie zamierzałam wchodzić.

– Panno Benning – powiedział, kiedy zrezygnował z prób wciągnięcia mnie wyżej. – Dziękujemy, że pani przyszła.

Nastąpiło poruszenie, słychać było szuranie odsuwanych od stołów krzeseł, gdy ludzie siadali. Inni ustawili się za nimi, niektórzy stanęli pod ścianami wyłożonymi boazerią. Clive Ventry skinął do mnie głową, ale nie odezwał się. Potem znowu zerknął w stronę galerii.

Przy najdalszym rogu dużego długiego stołu siedziała grupa pięciu starszych osób. Chociaż wieczór był ciepły, trzy kobiety były opatulone zimowymi paltami. Jedna z nich miała na głowie czerwony włóczkowy kapelusz i ścisnęła siedzącego na kolanach małego teriera. Dwaj mężczyźni sprawiali wrażenie ponurych, jakby byli tu wbrew sobie. Jeden zerkał nerwowo na blat stołu. Drugi, ubrany trochę lepiej, rozglądał się po pomieszczeniu.

– Jak mówiłem... – Zwalisty mężczyzna o piaskowych włosach nie usiadł, dalej stał przy stole, zwrócony twarzą do schodów. – W Stanach stale muszą sobie radzić z czymś takim. Po prostu musimy się zorganizować.

Phillip za mną głośno fuknął.

Mężczyzna z piaskowymi włosami wyjął ręce z kieszeni i gdy jego spojrzenie skupiło się na mnie, usta ułożyły mu się do kwaśnego uśmiešku.

– W Kansas, Nowym Meksyku, Teksasie, Oklahomie, Alabamie i Georgii...  
– Odfajkowywał stany na palcach, gdy je wymieniał. Wiedziałam, z czego, między innymi, słynęły akurat te. – I w kilku innych stanach też – kontynuował – mają poważny problem z grzechotnikami.

Kątem oka dostrzegłam, że dwóch starszych panów wymienia wymowne

spojrzenie i chyba kobieta w czerwonym kapelusiku trochę mocniej przycisnęła psa. Oczy pozostałych wbite były w mówiącego. A jego we mnie.

– Pracownicy na polach, małe dzieci bawiące się na dworze – mówił. – Tam ciągle ktoś pada ofiarą węży. Ci ludzie często nie mają jak dojechać do szpitala albo brakuje odtrutki i umierają. Albo tracą rękę czy nogę. Co roku straty w inwentarzu pogryzionym przez grzechotniki osiągają miliony dolarów. Węże włączają do budynków, budują gniazda w piwnicach, na poddaszach, pełzają w nocy po całym domu i szukają pożywienia. Tak jak tutaj u nas.

Poczułam, że ciężko westchnęłam, i nie próbowałam tego ukryć. To, co mówił, było w jednej piątej prawdą, w czterech piątach wierutną bzdurą. Oczywiście zdarza się, że w Stanach grzechotniki kogoś ukąszą, ale zwykle ofiary trafiają do szpitala, zanim dojdzie do poważniejszych następstw. Większość ukąszeń to jednak wynik głupoty lub lekkomyślności ludzi. I nawet w takich przypadkach leczenie zwykle kończy się sukcesem. Nie istniały żadne udokumentowane dowody, które bym widziała, na to, że grzechotniki kolonizują domy ludzi. Jak większość gadów, jeśli tylko mogą, unikają kontaktu z człowiekiem.

– Dlatego na wiosnę – ciągnął mężczyzna, który wydawał się ponuro mną zafascynowany – organizuje się tam obławy na grzechotniki. Łowią węże i usypiają w sposób humanitarny. To legalna selekcja, autoryzowana przez władze stanowe, utrzymuje populację pod kontrolą. W ten sposób pozyskują też jad, z którego wytwarza się antidotum.

Zaczynał mnie denerwować. I nie chodziło tylko o gapienie się. W obławach na grzechotniki nie ma nic, nawet w przybliżeniu, humanitarnego. Węże wypłasza się z legowisk benzyną lub innymi toksycznymi chemikaliami, upycha w niehigienicznych pojemnikach i przewozi, bez pożywienia i wody, na miejsce obławy. Większość nie przeżywa tej podróży. Te, które przeżyją, są wykorzystywane do chojrackich sztuczek – których wynikiem jest zwykle większa liczba ukąszeń, niż miałyby to miejsce, gdyby zostawiono je w spokoju. Na koniec tego wszystkiego ocalałym węzom odcina się głowy lub zatłukuje się je na śmierć kijami. To okrutny i głupi spektakl, powodujący co roku ogromne szkody.



– I proponuje pan, żebyśmy urządzili taką obławę u nas, panie Keech? – zapytał Clive Ventry, odzywając się po raz pierwszy. Mówił z akcentem, który nie do końca potrafiłam umiejscowić. Potem przypomniało mi się, że pochodził z Afryki Południowej.

– I to już dziś – odparł Keech. – Złówny je i zlikwidujemy.

Rozejrzałam się po holu: żeby ujrzyć niezachwiane skupienie, potakujące głowy, nieprzyzwoity błysk w oczach niektórych. Ta nasza gotowość do sponiewierania słabszych zawsze tkwi tuż pod powierzchnią, czyż nie? Gdy da się nam legalny powód do bycia okrutnym, jak często rzucamy się na taką okazję?

– Co o tym sądzisz, Claro? – spytał nagle Phillip.

Zmusiłam się, żeby popatrzeć wprost na Keecha. Miałam dosyć jego wgapienia się we mnie.

– Byłabym bardzo zaniepokojona – odpowiedziałam – gdybym tylko uważała, że istnieje choćby najmniejsza szansa na to, że zdołacie złapać choć jednego.

Jego oczy zwęziły się. Stał jakieś dziesięć kroków ode mnie, ale wyglądał, jakby się do mnie nachylał. O ile to w ogóle możliwe, jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej przeszywające.

– Och, już ja je złapię – rzucił i zabrzmiało to jak groźba.

– Grzechotniki to duże węże – powiedziałam, mając nadzieję, że mój głos nie drży tak jak ja sama. – Żyją w łatwych do wypatrzenia legowiskach i norach. – W tym momencie serce biło mi szybko, podejrzewałam, że stojący blisko mogli dostrzec pulsującą żyłę na mojej szyi. Konfrontacja to coś, czego unikam za wszelką cenę. – Łatwo daje się je znaleźć i schwytać – ciągnęłam. – Choć są ogromnie niebezpieczne. Nasze węże są o wiele mniejsze. Chowają się, trudno odszukać ich legowiska. Większość ludzi w tym kraju nigdy nie widziała rodzimego węża.

W holu rozległy się pomruki. Ktoś zapytał chyba, w której wsi mieszkam.

– Ale przechodząc do meritum... – zaczęłam. Zmuszałam się do patrzenia na Keecha, mimo że szyderstwo w jego oczach sprawiało, że miałam ochotę skryć się w mysiej dziurze. Należał do tego typu mężczyzn, którzy nie widzą

żadnego pożytku w istnieniu nieatrakcyjnych kobiet. – Nie istnieją żadne przepisy, federalne ani międzynarodowe, które chroniłyby grzechotniki – kontynuowałam. – Ludziom w Stanach wolno robić, co im się żywnie podoba. U nas sytuacja wygląda inaczej. Prawo zabrania zabijać lub okaleczać rodzime dzikie węże. To, co pan proponuje, jest nielegalne.

– Niech to pani powie rodzinie Johna Allingtona! – zawołał ktoś.

– Ona ma absolutną rację – odezwał się głos spod drzwi wejściowych.

Zapadła cisza i wszystkie głowy zwróciły się w stronę przybysza. Był to szczupły mężczyzna, raczej średniego wzrostu. Miał krótkie ciemne włosy i nosił prostokątne okulary w czarnej oprawie. Zgadywałam, że dobijał czterdziestki, może był trochę starszy. Rysy twarzy miał przyjemne, regularne, chociaż nie do końca można go było opisać jako przystojniaka. Nie było w nim nic niezwykłego ani wyjątkowego poza tym, że jego pojawienie się wpłynęło na uspokojenie nastrojów, przynajmniej z pozoru – groźba przemocy skryła się głębiej pod powierzchnią.

– Dam ci kopię rozporządzenia o ochronie dzikich zwierząt i środowiska, Allanie – kontynuował mężczyzna przy drzwiach. Był bardzo pewny siebie, dlatego pomyślałam, że może jest z Agencji Ochrony Środowiska albo z Departamentu Środowiska. W takim przypadku chętnie ustąpiłabym mu miejsca, żeby mówił zamiast mnie. Wyglądał na osobę, której ludzie słuchają, ja byłam tylko kimś, na kogo lubią się gapić.

– Wszystko pięknie, Matt – odpalił Allan Keech, odwracając się ode mnie po raz pierwszy, odkąd weszłam do holu. – Ale my tu mamy problem. Moja dziewczyna boi się wyjść do ogrodu.

Przybysz przy drzwiach, Matt, spojrział na Allana, potem znowu na mnie. Patrzył mi prosto w oczy, pewnie i spokojnie.

– Faktycznie, mamy tu niejako inwazję węzów, panno Benning – powiedział. – Potrafi to pani jakoś wyjaśnić?

– Prawdopodobnie to tylko wybryk natury – odpowiedziałam, zastanawiając się, czy na pewno słusznie umniejszam groźbę sytuacji. Liczba incydentów z węzami w ostatnich kilku dniach mnie też dziwiła, ale ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, to dokarmiać panikę, która, jak wyczuwałam, coraz

bardziej się nasilała. – Mieliśmy ciepłą wiosnę – dodałam. – Wszędzie jest mnóstwo pożywienia.

– Co się żywi żmijami? – spytał Matt. W holu wszyscy byli cicho, słuchali Matta i mnie. Widziałam spojrzenia przeskakujące ode mnie do niego i z powrotem.

– Większe ptaki drapieżne – odparłam. – Zwłaszcza sowy. A także większe ssaki, jak lisy i borsuki.

– No to zwiększymy populację sów i problem rozwiązany?

– Byłoby miło zobaczyć więcej sów – powiedziałam, marząc o tym, żeby do rozmowy włączył się ktoś jeszcze. – Ale one same kierują swoimi programami rozmnażania.

Ktoś po drugiej stronie holu roześmiał się.

– Prawdę mówiąc – ciągnęłam, korzystając z rozluźnienia atmosfery – więcej pożywienia przyspieszy wzrost populacji sów. Pisklęta, które mogłyby zdechnąć z głodu, będą miały wystarczającą ilość jedzenia, żeby się uchować. To samo z młodymi lisami. Wcześniej czy później problem powinien rozwiązać się sam.

– Ale na razie – zaczął mężczyzna z nadwagą w tweedowym płaszczu – mamy jadowite węże zakradające się do domów. Co powinniśmy robić, gdy będziemy czekali, aż młode sowy i lisy urosną?

– Jaką mamy pewność, że John Allington zmarł od ukąszenia żmii? – spytał Matt, ignorując wypowiedź poprzednika. – W szpitalu mówili, że są z panią w kontakcie.

Przyszło mi na myśl, że mógł być lekarzem.

– Cóż, chyba jeszcze nie skończyli wszystkich testów, ale, tak, zdaje się, że zostało potwierdzone, że to żmija. – Żmija, która w tym właśnie momencie znajdowała się w lodówce u mnie w domu.

– Ale Allington mógł mieć jakieś choroby, przez które był bardziej podatny na truciznę.

Skinęłam głową.

– Jedyni, którzy w normalnych okolicznościach, są zagrożeni przez jad żmii, to bardzo małe dzieci i osoby ze skłonnością do reagowania szokiem

anafilaktycznym.

– W porządku – rzucił Matt z miną kogoś, kto jest zdecydowany zamknąć obrady. – Moja propozycja brzmi, żebyśmy się wszyscy uspokoili. Zaczekamy na raport koronera w sprawie Johna i nie będziemy wyciągać pochopnych wniosków, zanim nie dowiemy się, na co umarł na pewno.

Kilka osób chciało coś wtrącić. Matt podniósł głos.

– Do tego czasu zachowamy wyjątkową ostrożność. Nie zostawiamy otwartych okien na parterze. Nie wyprowadzamy psów w miejsca, gdzie trawa jest wysoka, i jeśli dzieci bawią się w ogrodzie, ubieramy je w kalosze i grube spodnie. Coś jeszcze, panno Benning?

Pokręciłam głową. Był prawnikiem, ten pewny siebie ton, łatwość zabierania głosu publicznie, szacunek, jakim wyrażnie go darzono.

– A teraz, mam za sobą długi dzień i uważam, że powinniśmy pozwolić Clive’owi zjeść kolację. Do widzenia wszystkim.

Wyszedł, a ja przekonałam się, że prawie drzę z ulgi. Jak to jest być takim pewnym siebie, potrafić uspokajać ludzi samym tylko tonem głosu i kilkoma dobrze dobranymi słowami? Phillip Hopwood zszedł na mój stopień. Widać było, że odetchnął. Sally uśmiechała się. Ludzie wychodzili. Allan Keech odszedł w róg holu z grupą młodszych mężczyzn. Rozmawiali o czymś z przejęciem. Zaświtało mi pytanie, czy pomysł urządzenia obławy na węże rzeczywiście został tak skutecznie zdławiony, jak miałam nadzieję.

– Przyjdiesz do mnie na drinka, Claro? – zaproponowała Sally.

Pokręciłam głową.

– Dziękuję, ale nie. Mam jeszcze trochę pracy do skończenia.

– Przejdę się z tobą – powiedziała, albo nie widząc, albo ignorując moją spuszczoną głowę i skulone ramiona – sposób, w jaki zawsze, od dzieciństwa, odrzucałam niechcianą uwagę. Opuściliśmy dworek i wyruszyliśmy w drogę uliczką z cisami. – Chciałam z tobą porozmawiać. – Sally nie zamierzała dać się zbyć brakiem komunikacji z mojej strony. – Widzisz, gram w zespole. Jest nas tylko piątka: gitara basowa, gitara rytmiczna, perkusja, saksofon i wokół. Gramy od pięciu lat.

– Tak? – mruknęłam. Co takiego, na Boga, skłoniło Sally do dzielenia się ze

mną szczegółami z jej życia.

– I za kilka tygodni stracimy naszą wokalistkę. Przeprowadza się na północ, zastanawiałam się więc, czy...

Szłam dalej.

– Chodzi o to – ciągnęła Sally – że wiem, że śpiewasz.

Zatrzymałam się i odwróciłam, żeby na nią spojrzeć.

– Ja nie śpiewam.

– Słyszę cię – odparła z uśmiechem. – Cały czas. Przez okno.

– To pewnie muzyka z taśmy – odparłam, zastanawiając się, czy mój dom jest na liście zabytków i czy pozwolą mi wstawić okna z podwójnymi szybami.

– Claro, potrafię odróżnić nagranie od kogoś śpiewającego na żywo, bez akompaniamentu. Masz piękny głos.

Nad ramieniem Sally widziałam Allana i jego przyjaciół. Przechodzili przez krążanek prowadzący na dziedziniec dworku. Sally nie widziała, że grupa mężczyzn zauważyła nas i zatrzymała się. Nie widziała, że zebrali się w grupę, słuchając z uwagą tego, co mówił Allan, przez cały czas gapiąc się na nas – no, głównie na mnie. Była trochę starsza ode mnie, niewiele po trzydziestce, krótkie włosy, ufarbowane na jaskrawy odcień rudego. Cerę miała oliwkową, oczy orzechowe. O czym mówiła? Coś, że moja muzyka jest za głośna.

– Przepraszam, nie miałam pojęcia, że ci przeszkadzam. – Zastanawiałam się, kto jeszcze mógł mnie słyszeć, kto jeszcze słuchał, kiedy myślałam, że jestem zupełnie sama.

– Nie bądź głupia. Co ty na to, może spróbujesz sił w naszym zespole?

Co ja na to? Już wolałabym odciąć sobie rękę. A przecież Sally starała się być miła. Ponad jej ramieniem zobaczyłam, że grupa mężczyzn znowu ruszyła przed siebie. Chciałam odejść, zanim zdążą nas dogonić.

– Raczej nie... nie sądzę. Dziękuję, ale...

– Pomyślisz o tym? Na początek tylko bym cię przedstawiła pozostałym członkom. Żadnej presji.

– Dobrze – odparłam, bo wydawało się to najłatwiejszym sposobem zakończenia tej nedorzecznej rozmowy. – A teraz chyba trochę się przebiegnę.

Dobranoc.

Odwróciłam się i zaczęłam biec w stronę przeciwną niż mój dom. Wiedziałam, że Sally uzna, że jestem nieuprzejma, ale po prostu nie byłam w stanie znieść więcej. Za dużo ludzi, zbyt wiele gadania, o wiele za dużo uwagi skupionej na mnie. Miałam dość. Uciekałam, przez zarośla, od hałasu i nerwów, szukając samotności i bezpieczeństwa.

Ani nie byłam w dresie do biegania, ani nie miałam odpowiednich butów, ale mnie to nie obchodziło. Przebiegłam przez pastwisko, zbiegłam do końca Carters Lane i skręciłam w wąską uliczkę wiodącą do najniższego punktu we wsi dostępnego samochodem. Mieszkańcy nazywali tę uliczkę „Dolną”, Bottom Lane. Czy miała kiedykolwiek jakąś inną nazwę, nie wiedziałam. Bottom Lane prowadziła do tylko jednego opuszczonego domu.

Minęłam stary dom, nawet nie patrząc na niego, i pobiegłam w dół wąską ścieżką, porośniętą na poboczu leszczyną, przez laszek bukowy, za którym był już koniec wsi. Biegłam przez lasy i pola rozciągające się poniżej nich. Dotarłam do rzeki Yetry i biegłam nadal. Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, postanowiłam tą samą drogą wrócić do domu.

Byłam już wtedy zmęczona. Biegałam również rano, przed przygodą ze zmiją, i w ciągu dnia prawie nic nie jadłam. Z czoła skapywały mi krople potu, drżały mi zarówno ręce, jak i nogi. Powinnam zwolnić i resztę drogi przejść spokojnie. Może gdybym tak zrobiła, wszystko potoczyłoby się inaczej.

To była ciepła, mokra wiosna, deszczu spadło dwa razy więcej niż normalnie o tej porze roku, wąska, stroma ścieżka, która wyprowadziła mnie ze wsi, nie wyschła jeszcze zbyt dobrze. Na odcinku kilkuset metrów przede mną znaczyły ją kałuże gęstego czarnego błota. Po obu stronach zarośla gęstniały, były coraz wyższe, bo do leszczyn dołączyły głogi, jawory i młode dęby. Większe okazy spotykały się w górze, formując baldachim z jasnej zieleni i zasłaniając tę resztkę światła, jaka jeszcze została. I to dlatego nie zauważyłam ostrego kamienia, wystającego pomiędzy innymi mniejszymi. Gdy natrafiłam na niego stopą, kamień przekreślił się, a ja poczułam skręt w kostce i z całym impetem runęłam na ziemię.

Przez sekundę mogłam myśleć tylko o bólu przeszywającym kostkę i stopę. Potem podniosłam się i pokuśtykałam kilka metrów. Byłam przy bramie posesji Witcherów. Oparłam się o nią, czekając, aż ból w nodze zelżeje i uspokoi mi się oddech.

Dom Witcherów był stary. Zbudowano go trzysta lat temu, może wcześniej, dla robotników z pobliskiego majątku Ashlyne. Dom mieścił cztery oddzielne mieszkania i każde z nich składało się z dwóch pokoi na dole i dwóch sypialni na górze. Później na przestrzeni lat działowe ściany zburzono i cztery oddzielne baraki stały się jednym okazałym domostwem. Teraz od miesięcy stało ono puste.

Niegdyś piękny ogród nie był ruszany od zeszłego lata, ale natura jest cudownie nieustępliwa i mimo że nie było nikogo, kto by się nim opiekował, ogród powracał do życia. Spomiędzy jabłonek przypląnęła do mnie miękka zniewalająco słodka woń maleńkich lilii. Zamknęłam oczy, próbując zignorować pulsowanie w kostce. Po kilku sekundach znowu oddychałam normalnie, a ból przeszedł w tępe ćmienie. Prawdopodobnie to tylko zwichnięcie. Z powrotem otworzyłam oczy. I zobaczyłam Waltera Witchera patrzącego na mnie z okna na piętrze.

Co było absolutnie niemożliwe.

A jednak tam stał, w oknie na górze, trzecim z lewej. Walter: drobnej budowy, przerzedzone siwe włosy, blade oczy, obwisła skóra na policzkach i kłaczki siwej brody. I wiecie co? Poczułam, że ramię zgina mi się w łokciu, a ręka szykuje do pomachania.

Bo Walter, z powodu nie do końca dla mnie zrozumiałego, był jedyną osobą we wsi, przy której czułam się swobodnie, albo coś blisko tego. Może wyczuwałam, że on też unikał przedstawicieli własnego gatunku, kiedy tylko mógł. Na pewno nie miał większej ochoty na próżne pogawędki niż ja, choć zawsze był uprzejmy. Specjalnie biegam wcześniej rano i późno wieczorem, żeby zmniejszyć możliwość spotkania kogoś, ale nigdy mi nie przeszkadzało, gdy wpadałam na Waltera.

Był takim słodkim, łagodnym człowiekiem. Kiedyś przyniósł rannego zająca do szpitala. Złapał się w siatkę w jego ogrodzie. Wyleczyłam zająca i

wspólnie z Walterem wypuściliśmy go nad rzeką dwa tygodnie później.

Walter zawsze patrzył mi prosto w oczy.

Kiedy wróciłam do domu z pracy w dniu, w którym wypuściliśmy zającą, znalazłam tuzin różowych dali na progu. Nie było żadnego liściku, ale doskonale widziałam, w którym ogrodzie rosną różowe dalie. Stałam przy nich teraz, mogłabym zobaczyć zielone pędy, gdybym tylko była w stanie opuścić głowę, ale oczywiście nie byłam. Nie mogłam oderwać oczu od twarzy w oknie, należącej do człowieka, który zmarł osiem miesięcy temu.

Głos za mną sprawił, że wzdrygnęłam się i odwróciłam. Gdy powróciłam spojrzeniem do okna, było puste. Ta twarz... Walter... zniknął.

Sprawdziłam w innych oknach. Wszystkie puste. Duża ciężka kłódka spinała łańcuch zawieszony na bramie. Brama była wysoka, prawie na dwa metry, i miała kolce na górze. Prawdopodobnie dałoby się przez nią przejść, ale nie byłoby to łatwe, a już z pewnością nie dla prawie osiemdziesięcioletniego starca. Żywopłot po obu stronach był wysoki i gęsty.

Z daleka drzwi domu wydawały się dość solidne. Wszystkie okna na dole były zabite. Nic nie wskazywało, by ktokolwiek był w domu. A już najmniej Walter.

Znowu krzyk. Głos kobiety przywołującej psa. Znałam tę parę z widzenia. Wdowa po pięćdziesiątce i energiczna mieszana charcica, Scruffy. Kusiło mnie, żeby wejść między zarośla po drugiej stronie i poczekać, aż przejdą, ale wiedziałam, że Scruffy nie da się oszukać. Wywęchałaby mnie niczym pies gończy, zostałabym nakryta, jak w kucki czaję się w krzakach, i moja reputacja dziwaczki urosłaby w tempie piorunującym.

Ostatnie spojrzenie w okna na piętrze – puste – i ruszyłam ścieżką. Scruffy i jej właścicielka pojawiły się na widoku i suczka rzuciła się w moją stronę. Zbyt dobrze wychowana, żeby skakać bez zachęty, wpatrywała się we mnie. Pochyliłam się, złapałam ją za pyszczek i podrapałam za uchem. Tak ośmielona, wspięła się na tylne nogi, obie przednie dając mi do potrzymania. W tej pozycji była prawie mojego wzrostu.



– Scruffy, zostaw panią!

– Nic się nie stało – wymamrotałam, przyglądając się kudłatemu pogodnemu pyskowi Scruffy. Jak słodko nieoceniające są psy i jak miło byłoby żyć w świecie, w którym są tylko zwierzęta.

– Scruffy, przestań. Chodź tu. – Scruffy została złapana za obrozę i odciągnięta. – Witaj, Claro. Ładny pogodny wieczór... Dobrze się czujesz?

Kiwnęłam głową i zmusiłam się do spojrzenia w górę. Oczy kobiety były zielone, włosy blond, przetykane siwizną. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek wcześniej tak naprawdę na nią patrzyłam. Spuściłam wzrok.

– Wszystko w porządku – wydusiłam z siebie. – Przewróciłam się. Nic mi nie będzie.

Wymamrotałam pożegnanie do błota pod stopami i odeszłam. Nie widziałam – nie mogłam widzieć – Waltera. Wieczorne światło musiało jakoś dziwnie paść i mój mózg, zszokowany bólem, błędnie to zinterpretował.

Skręciłam w Carters Lane. Dalsze czterysta metrów i byłam przy pastwisku we wsi. Stokrotki, właśnie zamykające płatki, mieniły się w trawie jak gwiazdy, które spadły z nieba.

Zostało mi jeszcze kolejne pięćset bolesnych metrów pod górę. Kuśtykałam, wspominając poranek, gdy usłyszałam o śmierci Waltera.

Jego żona, Edeline, była na zewnątrz i czekała na mnie, odrzuciła moje uprzejme szybkie kiwnięcie głową i wyszła na ścieżkę. Zamachała ręką, tak jak się robi, gdy chce się zatrzymać samochód. Serce mi się zacisnęło. Edeline zdawała się czerpać ponurą radość z patrzenia na mnie, była mną zafascynowana w sposób, w jaki mali chłopcy zafascynowani są widokiem martwego zwierzęcia. Unikałam jej, gdy tylko mogłam.

– Walter nas opuścił – wycedziła i przez sekundę myślałam, że po prostu spakował się i zostawił ją po pięćdziesięciu latach małżeństwa. Bóg mi świadkiem, nie potępiłabym go. – Odszedł dzisiaj w nocy – ciągnęła. – Nie było mnie przy nim. Nikt mnie nie chciał podwieźć.

Wiedziałam już, że dwa lub trzy tygodnie wcześniej Walter trafił do szpitala

z powodu zapalenia płuc. Nabawił się go w wilgotnym starym domu, w złych warunkach sanitarnych. Powiedziałam Edeline, zgodnie z prawdą, że jest mi bardzo przykro.

Kiedy to mówiłam, zobaczyłam, że jej oczy odrywają się od moich i wędrują do lewej strony mojej twarzy. Byłam przyzwyczajona, że ludzie to robią, ale większość przynajmniej próbowała być uprzejma i starała się z tym kryć. Edeline nigdy się to nie udawało. Spytałam, czy mogę jej jakoś pomóc, może dokądś podwieźć, ale powiedziała, że niedługo mają przyjechać ludzie ze szpitala i że obiecali, że wszystkim się zajmą.

Następnego dnia rano i przez wiele tygodni potem czekała na mnie przy bramie ogrodu, a ja zrezygnowana słuchałam cierpliwie, jak mnie wprowadza w aktualne szczegóły o tym, że Walter postanowił przekazać ciało na cele naukowe, o mszy w szpitalu odprawionej tylko dla rodziny, o jej planach postawienia tablicy pamiątkowej na wiejskim cmentarzu.

Nigdy nie lubiłam Edeline i lubiłam ją coraz mniej wraz z upływem dni, ale codziennie rano po śmierci Waltera zmuszałam się, żeby przystanąć, zrobić zainteresowaną minę i posłuchać jej przez kilka minut. Mówiłam sobie, że jest samotna, prawdopodobnie była samotna już od dawna. Nigdy nie wychodziła z domu. Była w żałobie i bała się, a ja powinnam dać sobie radę z tą sytuacją przez kilka minut dziennie.

Jak się okazało, nie musiałam długo dawać sobie rady. Po trzech miesiącach Edeline udała się do zaświatów za mężem. Nie przekazała swojego ciała nauce. Wątpię, żeby kiedykolwiek komuś cokolwiek podarowała i najwyraźniej nie zamierzała zaczynać po śmierci.

Dotarłam do rogu Bourne Lane i w powietrzu wyczułam woń róż, ciężki, piżmowy zapach jednej ze starszych odmian. Krzak przelewał się dekadencją ponad murem otaczającym narożną posesję, jego ciemnoróżowe kwiaty opadały prawie do samej ziemi. Nachyliłam się bliżej. To był zapach mojej matki. Robiła własne perfumy, wyściełała kamienne dzbanki posolonymi świeżymi płatkami różanymi, które leżały tam tak długo, aż zaczynały puszczać olejki eteryczne. Zapach ciągnął się za nią po całym domu, przywierał do materiałów, unosił się w kurzu osmężonym promieniami słońca, czatował na

nas. Mama! Mama tu była. Nie tak dawno. Idź za tropem, znajdź ją.

Sapnęłam głośno, nagle walcząc o oddech, z niemal obezwładniającym pragnieniem, żeby krzyknąć jak małe wystraszone dziecko. I dotarło do mnie, uderzyło jak cios w głowę, w końcu do mnie dotarło.

Matka nie żyła.

Przez chwilę myślałam, że się uduszę. Że już nigdy nie będę oddychała normalnie. Że moje życie się zakończy, tu i teraz, na rogu mojej ulicy, samotna, przerażona mała dziewczynka wołająca matkę.

Potem ból zelżał i znowu mogłam oddychać. Wciąż żyłam, wciąż tutaj byłam, wciąż mogłam chodzić, mówić. Ale ona nie.

Począpałam uliczką, otworzyłam frontowe drzwi i pobiegłam do telefonu. Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer.

– Tato – sapnęłam, kiedy usłyszałam znajomy głos po drugiej stronie. – To ja.

Rozmawiałam z ojcem bardzo długo, ale nie pamiętam nic, co było powiedziane. Kiedy się pożegnaliśmy, życząc sobie dobrej nocy, usiadłam przy otwartym oknie w ciemnej sypialni. W zasadzie nie myślałam, po prostu siedziałam tam.

Do chwili, aż usłyszałam krzyki.

## 6

Zanim się poruszyłam, miałam wrażenie, że minęła wieczność, chociaż tak naprawdę trwało to tylko sekundy. Ogarnęło mnie przerażenie, nie do wypowiedzenia. Dlatego siedziałam tylko, pozwalając działać ciału, które wyprostowało się, przeszło w tryb płytkiego oddychania, w stan pełnej gotowości.

Moją drugą reakcją – przyznaję – była myśl, żeby się ukryć. Zamknąć okna, drzwi, nie zapalać świateł i przycupnąć gdzieś w jakimś kącie. Ale te krzyki... to były krzyki dzieci. Wstałam i wystawiłam głowę za okno, próbując się zorientować, skąd dochodzą. Tylko że tył mojego domu wychodzi na pola i lasy.

Zbiegłam na dół, krzywiąc się, bo kostka nadal bolała, wciągnęłam buty i otworzyłam drzwi frontowe. Światła migotały w oknach na piętrach, krzyki nie dobiegały jednak z domów w najbliższym sąsiedztwie. Ruszyłam ulicą.

Kiedy dotarłam na jej szczyt, w drzwiach domu pojawił się Daniel Huston, wciągając przez głowę bluzę.

– To u Poulsonów – powiedział, kiedy mnie zobaczył. – Ten długi dom.

Poszłam za nim i akurat w momencie, gdy skręciliśmy za róg i zesliśmy kilka kroków w dół wzniesienia, drzwi narożnego domu otworzyły się i rodzina, niemal dosłownie, wypadła na ulicę. Matka niosła małe zawodzące dziecko, nie więcej niż dwuletnie, na jednej ręce. Drugą ciągnęła chłopca około siedmioletniego, który darł się histerycznie. O wiele starszy mężczyzna wyglądał, jakby ledwie mógł iść. Opierał się na młodszym, kuśtykającym u jego boku i ściskającym się za ramię. Cała piątka była w szoku. Matka zauważyła mnie.

– One są wszędzie! – krzyknęła. – W całym domu! Jeden ukąsił Nicka.

Młodszy mężczyzna zachwiał się. Daniel wymamrotał jakieś przekleństwo i pobiegł przed siebie. Wszedł między dwóch mężczyzn i podparł ich ramionami.

– Chodźcie – powiedział – pójdziemy do nas. Pogotowie możemy wezwać stamtąd.

Przybywali inni ludzie, między innymi Sally. Rzuciła mi szybkie wystraszone spojrzenie i dołączyła do Daniela, żeby pomóc mu odprowadzić rodzinę Poulsonów.

– Co tu się dzieje, do diabła? – spytał jakiś brodaty mężczyzna w średnim wieku, który, jak mi się zdawało, mieszkał na mojej ulicy.

– Nicka ukąsił wąż – powiedział inny mężczyzna. Ze spotkania w dworku pamiętałam, że to jeden z przyjaciół Allana Keecha. – Co się stało Ernestowi, nie jestem pewien. Ktoś chyba mówił, że uderzył się w głowę.

– Mam wezwać policję? – spytał mężczyzna, który był z nim. – Daj nam swoją komórkę, Steve.

– Powinienem pójść po Allana – odparł Steve. Pozostał tam, gdzie stał, patrząc na mnie. Wszyscy patrzyli na mnie.

Frontowe drzwi w domu Poulsonów nadal były otwarte. W środku paliły się światła. Przeszłam po wąskim mostku prowadzącym do drzwi i stanęłam w progu. To był tradycyjny wiejski dom, duży i podłużny. Przed sobą widziałam rozległy przedsionek ciągnący się przez całą szerokość domu. Na drewnianej klepce widniały mokre plamy, obok leżały kupki zielska. Zaniepokoiło mnie to, chociaż nie byłam pewna dlaczego.

Weszłam do środka i domknęłam drzwi.

Ściany były żółte, naprzeciwko wejścia wisiało duże lustro. Przechwyciłam w nim swoje odbicie i szybko się odwróciłam. Za prawie zamkniętymi drzwiami frontowymi słyszałam ciche szepty mężczyzn, którzy jakoś nie potrafili zebrać odwagi, żeby do mnie dołączyć.

Nie byłam jednak sama w tym dorseckim domu. Z każdego punktu pokoju obserwowały mnie okrągłe czarne źrenice, szczupłe ciała kołysały się w przód i w tył, śledząc moje ruchy, maleńkie języczki wypracowywały nadgodziny,

wysuwając się i chowając szybko, analizując powietrze, mnie. Wróg czy pożywienie? Nie były pewne.

Ostrożnie przeszłam do otwartych drzwi kuchni. Przez sekundę stałam tam, patrząc, jak długie zwinne ciało sunie po wrębie w szafce, przepływając jak woda po jego łukach. Drugi zwisał z żyrandola pośrodku sufitu. Rozejrzałam się, licząc, rozeznając usytuowanie, potem wróciłam przedsionkiem do pokoju gościnnego. Cienki ciemny ogon zniknął za kanapą. Ściśle zwinięty zwój, nieświadomy niczego, spał na fotelu. Coś powoli wspinało się po sznurku od zasłon.

To, co zobaczyłam, wystarczyło mi. Wróciłam przedsionkiem i otworzyłam drzwi frontowe trochę szczyżej. Łypnęły na mnie zza nich cztery pary ludzkich oczu, zobaczyłam, że po wzgórzu wbiega kolejny mężczyzna. Ten, którego chyba rozpoznawałam.

– To zaskrońce – powiedziałam. – Jest ich dużo i rozumiem, dlaczego rodzina się wystraszyła, ale są całkowicie niegroźne.

Popatrzyli na siebie, nadal niepewni, nie wiedząc, czy mogą mi zaufać.

– Nicka ukąsiły – stwierdził Daniel, który znowu się pojawił. – Bardzo cierpi. Wezwaliśmy pogotowie.

– Będą kąsały, jeśli poczują się zagrożone – wyjaśniłam. – Większość węży tak robi. Ale nie są jadowite. Nick przez kilka dni będzie obolały, ale wyjdzie z tego.

– Ale jak, do diabła, się tam dostały? – spytał Steve. – Mandy powiedziała, że były ich setki.

– Cóż, co najmniej tuzin – przyznałam. – I nie wiem, jak się dostały. Wyło... Zbiorę je teraz.

Czułam, że napięcie w grupie zmalowało.

– Co możemy zrobić? – spytał jeden z nich.

– Przynieście mi coś, do czego je włożę – odpowiedziałam. – Najlepsze będą wiadra z pokrywką. Puste poszewki na poduszki też się nadadzą. Mój dom jest otwarty. Jeśli ktoś mógłby zbiec na dół, przy drzwiach znajdziecie kluczyki do samochodu i kilka plastikowych pojemników do transportu w bagażniku. – Odwróciłam się do Steve'a, zmuszając go, żeby spojrzał mi w

oczy. – Później nikt ma tu nie wchodzić, chyba że z rzeczami, których potrzebuję, i nikt ma nie dotykać węży. – Po minie Steve’a widziałam, że nadal nie jest przekonany.

Odwróciłam się, żeby wejść z powrotem do domu. W kuchni widziałam wiadro. Im szybciej zabiorę się do roboty, tym szybciej skończę.

Pięć minut później w kuchni unosił się gryzący fetor wydawany przez wystraszone węże. Gdy się boją, wydzielają śmierdzącą ciecz. Substancja jest nieszkodliwa, ale bardzo nieprzyjemna. Węże w kuchni, choć nieduże, też broniły się ostro i dwukrotnie o mało nie zostałam ukąszona. Nie miałam jednak zamiaru cackać się z nimi i cztery wpakowałam do wiadra. Wszystkie były młodymi zdrowymi okazami, prawdopodobnie urodzonymi na początku wiosny lub miały może co najwyżej rok.

Usłyszałam głosy, kroki, potem otwieranie drzwi frontowych.

– Ja przypilnuję wejścia. Przykro mi, chłopaki, ale nie znoszę węży.

– Tchórz! – Ktokolwiek tak kpił, zakończył przeciągłym „szyyy”, przypominającym syczenie. Zachowywali się za głośno. Ludzie... jak szybko strach potrafi przejść w brawurę. Wystraszona banda zamieniła się w grupę chłopców szykujących się na przygodę.

– Ona tu jest.

Odwróciłam się do nich. Czterech mężczyzn: mój brodaty sąsiad, znajomy Keecha, Steve, Daniel Huston i nowo przybyły – ciemnowłosa mężczyzna o łagodnym głosie – Matt – ze spotkania. Kilku niosło wiadra, Daniel miał pojemniki z mojego samochodu, Steve naręcze poszewek na poduszki. Muszę przyznać, że zrobili dokładnie to, o co ich poprosiłam, i nie marnowali czasu.

– A co tu tak śmierdzi, do diabła?

– Wkurzone węże – powiedział Matt. Jego oczy napotkały spojrzenie moich. Za okularami były jasnoszare.

– Teraz już sobie poradzę, dziękuję – wymamrotałam, odwracając się. Po sekundzie zorientowałam się, że nikt się nie ruszył.

– Będzie mi się lepiej pracowało, jeśli w domu będzie cicho – oznajmiłam,

ponownie odwracając się do nich. – Możecie mnie zostawić.

– Ależ nie, pomożemy – zaoferował się mężczyzna z brodą.

Nie zamierzali dać mi pracować w spokoju? Był środek nocy, otaczały nas węże, a ja ciągle nie mogłam ich zmusić, żeby zostawili mnie samą. Pokręciłam głową.

– Nie mogę na to pozwolić. Jeśli komuś coś się stanie, będę za to odpowiadała.

– Nie, nie będziesz – sprzeciwił się Matt.

Przekonałam się, że gapię się w jego chłodne szare oczy.

– Między tobą i nami nie istnieje żadna relacja zawodowa – ciągnął. – I nie masz żadnego obowiązku dbać o nasze bezpieczeństwo. Przyszliśmy tu z własnej woli. Wysłuchaliśmy twojej rady i odrzuciliśmy ją. Poulsonowie są naszymi przyjaciółmi i chcemy pomóc.

Cisza. No tak, był prawnikiem, to pewne. Przez sekundę kusiło mnie, żeby ich z tym wszystkim zostawić. Ale przekaz za tymi podłużnymi okularami był jasny. Nie wygram. Mogłam zrobić z siebie idiotkę i wyjść... albo mogłam wrócić do pracy.

– Ktoś kiedyś łapał już węże? – spytałam. Cztery głowy wykonały przeczący ruch. – W porządku, ważne, żeby pamiętać, że one nie mogą zrobić wam krzywdy – powiedziałam. – Dlatego postarajcie się nie robić krzywdy im. Odwróćcie ich uwagę jedną ręką, podnoście drugą. I żeby nie trwało to zbyt długo, bo je tylko zestresujecie. Podnoście je pewnie, ale delikatnie, i wkładajcie do wiadra. Nie więcej niż cztery razem. Kiedy wiadra będą pełne, wystawcie je na zewnątrz. Kolega przed drzwiami przypilnuje ich?

Kiwanie głowami, pomruki potwierdzenia.

– I żeby nikogo więcej nie wpuszczał – dodałam, bojąc się przybycia Allana Keecha i jego zgrai, gotowej na małe polowanko na zaskrońce.

– No to już – rzucił Daniel – zabierajmy się do tego i miejmy to z głowy.

– Ja się zajmę górą – poinformowałam.

Zabrałam poszewki i przeszłam przez hol. Kiedy wspinałam się na spiralne schody, poczułam, że ktoś za mną idzie, ale dopiero gdy skręciłam, zorientowałam się, że to Matt.



– Zaczekaj – powiedział i sięgnął przez balustradę. – Mam cię – mruknął. Z uśmiechem podniósł w górę małego ciemnoszarego węża z eleganckimi białymi wzorkami, którego nie zauważyłam. Wysunęłam otwartą poszewkę i Matt wrzucił węża do środka.

– Wiesz, jak się czuje rodzina? – spytałam, gdy byłam na szczycie schodów, zaskoczona, że to robię. Nie miałam ochoty gawędzić, chciałam zrobić swoje i wrócić do domu.

– Tam jest następny. – Matt sięgnął ręką ponad moim ramieniem. Musiał się kąpać nie dalej niż pół godziny temu, czułam zapach szamponu i włosy przy karku wciąż miał mokre. Zastanawiałam się, co takiego robił o trzeciej nad ranem, że musiał się wykąpać. Rzucił się do przodu i wpadł na mnie, aż się cofnęłam. – Przepraszam – wymamrotał. Nie zdążył złapać węża. – Śliskie małe spryciarze, co nie? Mandy i dzieci są zdenerwowane, ale poza tym w porządku. W gorszym stanie jest chyba Ernest. Paskudnie uderzył się w głowę. Nick umiera ze wstydu, że narobił takiego rabanu z powodu zwykłych zaskrońców.

Stałam na szczycie schodów i rozglądałam się. Byliśmy w długim wąskim korytarzu, który ciągnął się przez długość domu. Doliczyłam się tam pięciu par drzwi, większość była otwarta. Co mnie jednak niepokoiło, to drewniane ożebrowanie i przede wszystkim fakt, że górne piętro było otwarte na dach. W starych belkach i źle dopasowanych płytach ściennych oddzielających pokoje od siebie pełno było dziur i szpar. Wężę mogły wędrować do woli po piętrze domu i zapowiadało się, że złapanie ich nie będzie łatwe.

– Przy okazji może się przedstawię, bo chyba jeszcze tego nie zrobiłem. Matt Hoare. – Podałabym mu rękę, ale trzymałam w niej węża. – Och, Chryste, chyba go zabiłem.

Spojrzałam w dół. Matt Hoare złapał węża potwora. Miał prawie półtora metra i był naprawdę gruby w połowie długości. Leżał bezwładnie w dłoni Matta, nie ruszał się, szczęki szeroko otwarte, niebieskoszary języczek wystawiony na zewnątrz.

– Ledwie go dotknąłem – tłumaczył się Matt, który wyglądał na przerażonego.

Podstawiłam mu poszewkę.

– Nic mu nie jest – uspokoiliam go. – Zaskrońce często udają martwe, gdy coś im zagraża.

Popatrzył z niedowierzaniem na węża w swojej dłoni.

– Chcesz powiedzieć, że to coś tylko się przyczaiło?

Kiwnęłam głową i potrząsnęłam lekko poszewką. Matt zrozumiał i opuścił nadal sflaczałego węża do białej bawełnianej torby. Uwolniony, znowu zaczął się poruszać.

– A niech mnie... – Matt pokręcił głową, potem spojrział na mnie. – Clara, tak? – upewnił się. – Nasze ogródki sąsiadują ze sobą. Czasami słyszę, jak śpiewasz. Co zrobimy, zaczniemy od głównej sypialni i potem sprawdzimy resztę pokoi?

Skręcił w lewo, a ja poszłam za nim, zastanawiając się, skąd wiedział, gdzie jest główna sypialnia i – na litość boską – co ci ludzie sobie myśleli, że jestem jakimś wiejskim trubadurem? Zabytkowy czy nie, wstawiam w swoim domu okna z podwójnymi szybami.

– A widzisz, Śliski Samie, mam cię. – Matt rzucił się w stronę łóżka, chwycił zwinięte stworzenie leżące na nim i wyciągnął je do mnie.

– Na dole złapałam cztery. Jesteś pewien, że nie robiłeś tego wcześniej? – Takiej łatwości, z jaką podnosił i przytrzymywał węże, nie widziałam jeszcze u niefachowca. Węże to dość onieśmielające stworzenia, jeśli nie jest się do nich przyzwyczajonym.

– Nigdy, ale ojciec był flisakiem. Pracowałem z nim w wakacje. Kiedy się łapało dorosłe węgorze gołymi rękami, zaskrońce to pestka.

Postanowiłam, że mu uwierzę, i skupiłam się na biciu własnego rekordu. Pięć węży później przeszukaliśmy szafki, wywróciliśmy szuflady, wspięliśmy się na szafy i przekopaliśmy łóżko. Czuję się, jakbyśmy naruszali prywatność Poulsonów, ale zważywszy na okoliczności, przypuszczałam, że nam podziękują. W końcu ogłosiliśmy, że sypialnia małżeństwa i towarzysząca jej łazienka są wolne od węży. Zamknęliśmy drzwi i przenieśliśmy się do sąsiedniego pokoju.

– Myślę, że zdobyłem już pierwsze szlify – powiedział Matt. – Mogę zadać

pytanie? Jak tak dużo węży, ile ich teraz mamy, osiem z samych schodów i jednego pokoju? – jak tyle ich dostało się do domu?

Dobre pytanie.

– Nie wiem – przyznałam. – Zaskrońce nie zbierają się w grupy, żeby się parzyć. A to się dzieje mniej więcej o tej porze roku. Wybudzają się z hibernacji i... – przerwałam. Naprawdę nie czułam się dobrze, rozprawiając o rozmnażaniu, nawet gadów, z kimś obcym.

– Balują? – podsunął Matt. Patrzyłam na podłogę, ale po samym tonie jego głosu mogłam się domyślić, że się uśmiechał.

– Może pełzły do jednego ze strumieni i zwyczajnie się zgubiły – mruknęłam, zmuszając się do zerknięcia na niego. – Jeden z nich wsunął się przez otwarte drzwi, a reszta po prostu poszła jego śladem.

Matt przystanął na progu następnego pokoju.

– Słyszałaś, żeby coś takiego gdzieś się już kiedyś zdarzyło?

Pokręciłam głową.

– Nie, nie słyszałam.

Przyglądał mi się przez chwilę, jakby zamierzał zadać kolejne pytanie, potem wszedł do pokoju. Poszłam za nim. Byliśmy w sypialni chłopca: zaśmieconej, kolorowej, pełnej zabawek i plakatów z Marvel Comic. Kilka szuflad było wysuniętych, ubrania wysypywały się z nich. Czeką nas stąpanie po rozsypanych klockach lego i zawartości skrzynki z kostiumami.

Dwa młode węże, prawdopodobnie niemające więcej niż siedem czy osiem miesięcy, leżały zwinięte wokół siebie na parapecie okna. Podeszłam do nich. Chociaż na studiach miałam zajęcia o gadach, a nawet rozważałam możliwość przyszłej pracy z nimi, to jednak jaszczurki, a nie węże były moimi ulubieńcami. Mimo to te dwa na parapecie były naprawdę słodkie. Każdy miał około pół metra długości i oba były cienkie jak ołówki. Ich umaszczenie barwą przypominało kolor młodych liści buczyny, miały ciemne błyszczące oczy i maleńkie, ruchliwe języczki.

– Oho, ale wielki! – zawołał Matt za mną. – Idziesz do poszewki, przyjacielu.

Nigdy się nie dowiem, co mnie zmusiło do odwrócenia się akurat w tym

momencie. Wcześniej uznałam, że nie muszę mieć Matta na oku. A jednak odwróciłam się. W samą porę, żeby zobaczyć węża, którego chciał podnieść. Wzięłam głęboki wdech, nic nie wydobyło się z moich ust. Spróbowałam jeszcze raz, przepychając dźwięk przez straszliwie ściśnięte gardło.

– Nie dotykaj go!

Zaskoczony, ale daleki od niepokoju, Matt odwrócił się do mnie.

– Co... co się stało?

Wąż podniósł się, rozejrzał dokoła leniwie, a potem skupił na mężczyźnie. Oboje obserwowaliśmy go, ja gorączkowo próbowałam przypomnieć sobie to, czego uczyłam się lata temu o wzorach na łusce i kształtach głów. Na grzbiecie węża widniały charakterystyczne pomarańczowe znaki. Ale zabarwienie może być mylące, nie należy się nigdy kierować barwą.

– Odsuń się – powiedziałam. – Zrób duży krok. Bardzo wolno.

Matt wykonał polecenie. Wąż zakołysał się, podniósł wyżej i przyglądał mu się.

– Znowu. Następny. Powoli.

Znowu dał krok do tyłu.

– Co to jest, do diabła? Co...

– Nie mów. – Sama ledwie mogłam mówić. – Odsuwaj się dalej.

Wąż odchylił się do tyłu i znieruchomiał. To klasyczna poza szykowania się do ataku. Wstrzymałam oddech. Stałam pół metra od drzwi, Matt trochę dalej. Znowu dał krok w tył, a ja złapałam go za ramię i pociągnęłam do siebie. Razem cofnęliśmy się do progu i wtedy przepchnęłam Matta za siebie. Ani na chwilę nie odrywałam wzroku od węża.

A on od nas. Kiedy się cofnęliśmy, rozluźnił się, lecz nadal był czujny. Oceniłam, że miał trochę ponad metr długości. Wąż może zaatakować szybciej, niż zdąży to uchwycić ludzkie oko, ale tylko na odległość połowy swojej długości. Na razie byliśmy bezpieczni, jeśli jednak wąż by się poruszył, musielibyśmy błyskawicznie znaleźć się po drugiej stronie drzwi. Matt stał tuż za mną. Czułam jego oddech na karku.

– Rozumiem, że to nie jest zaskroniec – wymamrotał.

## 7

**W**aż i ja wpatrywaliśmy się w siebie i zaczynałam się zastanawiać, czy jest coś jednak z prawdy w starych opowieściach o węzach potrafiących hipnotyzować.

– Nie – odpowiedziałam – to nie zaskroniec.

– W takim razie co? Na żmiję nie wygląda.

– Wyprowadź resztę ludzi z domu. Nie pozwól im niczego więcej dotykać. Jeśli możesz zamknąć okna i drzwi, byłoby dobrze, ale nie podchodź do węży. Ten mężczyzna, który został ukąszony... dopilnuj, żeby natychmiast odwieziono go do szpitala. Musi być pod stałą obserwacją. Potem przynieś mi pusty pojemnik. I jakąś broń: młotek, siekierę, coś w tym stylu. Zrób to jak najszybciej.

– Ale co...

– Po prostu zrób to!

Zniknął. Słyszałam, jak idzie korytarzem, głośno stukając butami w gołą drewnianą posadzkę, zbiega na dół i woła trzech pozostałych mężczyzn. Słyszałam, jak go wypytują, nawet kłóć się z nim, a potem wszyscy wyszli. Drzwi frontowe trzasnęły i w domu zrobiło się cicho.

Nagły hałas zaniepokoił węża. Poruszył się, kierując się ku bezpiecznemu schronieniu w otwartej szafie. Gdyby wpełzł do środka, mogłabym go w niej zatrzasnąć i poczekać na przybycie pomocy i odpowiedniego sprzętu. Proszę, niech wejdzie do środka.

Ale nie wszedł. Zamiast tego zaczął się wślizgiwać po jej drzwiach, rzeźbienia na starej dębinie znacznie mu to ułatwiały. Kiedy dotarł na samą górę, jego ciało zabłyszczało i zniknęło za rantem.

No dobrze, musiałam zachować spokój. Węża na szafie należało złapać lub, jeśli to się nie uda, zabić. I musiałam to zrobić, wiedząc, że w pokoju czy gdzieś indziej w domu mogą być inni ludzie. Zemdliło mnie, kiedy sobie uzmysłowiłam, na jakie niebezpieczeństwo ich naraziłam. Nie powinnam im pozwolić zostać w domu.

W porządku, myśl. Czy naprawdę dam sobie radę sama? Ale jak szybko mogłaby dotrzeć jakaś pomoc? Najbliższe zoo znajdowało się daleko i był środek nocy.

Usłyszałam lekkie kroki na schodach i poczułam obezwładniającą ulgę. Co nie było najdziwniejszą rzeczą, jaka miała mi się przydarzyć tej nocy. Ja, która nigdy w całym swoim dorosłym życiu nie polegałam na mężczyźnie, rozklejałam się przy pierwszych oznakach realnego zagrożenia.

Matt cicho przemierzył podest. Zaryzykowałam i na sekundę oderwałam oczy od szafy, żeby na niego spojrzeć. Miał pojemnik, dużą siekierę i oczy szeroko otwarte. Dość niepokojący widok. Tyle że, mając do wyboru szaleńca z siekierą i to, co było na szafie, raczej zaryzykowałabym siekierę.

– Wracaj tu, natychmiast – szepnął, przywołując mnie do siebie gestem dłoni. Pokręciłam głową. – To nie jest prośba – powiedział, tak cicho, że ledwie usłyszałam. Przekonałam się, że cofam się w jego kierunku.

– Co to jest to coś? – spytał, instynktownie mówiąc ściszym głosem.

– Nie jestem pewna – odparłam, bo nie byłam. Nie na sto procent. – Jest trochę za mały, ale...

Nic nie powiedział. Tylko patrzył.

– Myślę, że to tajpan – wyznałam.

– Co takiego? – Wydawał się zawiedziony. Pewnie myślał, że powiem: kobra, mamba, grzechotnik, któryś z lepiej znanych niebezpiecznych węży.

– Tajpan – powtórzyłam. – Pochodzą z Australii.

– I są groźne?

Skinęłam głową.

– Najgroźniejsze węże świata.

Złapał mnie za rękę i wyciągnął z pokoju na korytarz.

– Dobra, znikamy stąd. Policja już jedzie. Oni się tym zajmą.

Zaparłam się. Jestem silna, jeśli zachodzi taka potrzeba.

– W żadnym wypadku. Jeśli znajdziesz mi w pół godziny herpetologa znajdującego się na jadowitych węzłach, to proszę bardzo, idź. Uwierz mi, nie mam ochoty wracać do tego pokoju. Ale kazać młodym policjantom, którzy nigdy w życiu nie mieli do czynienia z węzłami, żeby spróbowali je złapać, to jak wysłanie ich na pewną śmierć.

Skrzywił się z niedowierzaniem. Uważał, że przesadzam, histeryzuję, jak każda kobieta na widok przerażającego węzła. Należało objaśnić mu sytuację.

– Tajpany potrafią być bardzo agresywne. Są szybkie i silne. Każdy z nich ma wystarczającą ilość jadu, żeby zabić cały batalion policjantów. Ludzie umierają w ciągu kilku godzin od ukąszenia i naprawdę wątpię, żeby szpital w Dorset dysponował odpowiednią surowicą.

– To zamkniemy dom i zaczekamy na ekspertów. Sprowadzimy twojego herp... Jak oni się nazywają?

– Herpetolodzy. Ale spójrz na ten dom. Ma pewnie z czterysta lat. Dziury i szczeliny są wszędzie. Wąż ucieknie. A zapewniam cię, że wolałbyś, żeby coś takiego nie włóczyło się po wsi.

Widziałam, że zastanawia się nad tym, co mówię. Patrzyłam na niego i czułam złość, że przyszedł i ot tak przejął dowodzenie wyłącznie dlatego, że jest mężczyzną i (teraz byłam już o tym przekonana) prawnikiem. A jednocześnie połowa mnie miała nadzieję, że się nie ugnie i nie pozwoli mi wrócić do sypialni. To zaskakujące, jak perspektywa nagłej i bolesnej śmierci może sprawić, że zaczynasz doceniać swoje życie, nawet jeśli nie jest ono szczególnie udane.

– W porządku, jaki masz plan? Nie mówię, że go przyjmę. Chcę tylko go posłuchać.

– Musimy złapać go szybko – wydusiłam. – Możliwe, że trzeba będzie go zabić, ale sądzę, że złapanie będzie trochę mniej niebezpieczne.

– Jak dokładnie mielibyśmy to zrobić?

– Jest na szafie – zaczęłam. – Jeśli zgodzisz się mi pomóc, najpierw musimy go stamtąd zrzucić. Potem użyjemy siekiery jako chwytacza. Jeśli zamarkujesz, że atakujesz go drewnianym końcem, powinien się w niego wgryźć. Wtedy ja

złapię go za szyję i będziemy bezpieczni. Będziemy mogli zamknąć go w pojemniku.

– Chryste! – Rozejrzał się, patrząc na otwory wentylacyjne pod oknami, dziury w drewnianych belkach, otwarty świetlik. – Masz rację, może uciec. Jesteś pewna, że dasz radę?

No cóż, daleko mi było do pewności. Kiwnęłam głową.

– Chodźmy.

Odwróciłam się do drzwi. Po pierwsze należało sprawdzić, czy wąż nadal był tam, gdzie go zostawiliśmy.

– Zaczekaj.

Odwróciłam się. Matt ścigał brązową skórzaną kurtkę. Podał mi ją.

– Włóż to – rozkazał.

Miałam na sobie bawełniany sweterek. To nie jest ochrona przed ukąszeniem tajpana. Mimo to pokręciłam głową.

– To ty będziesz jego celem. Ty jej potrzebujesz.

– Wezmę coś Nicka. A teraz włóż kurtkę i rękawiczki i zostań tu.

Wsadziłam ręce w rękawy kurtki i naciągnęłam ją na ramiona. Matt nie był dużym mężczyzną, ale kurtka wisiała na mnie. Była z grubej mocnej skóry – to mogło pomóc. Była też nagrzana od jego ciała. Nie pytajcie mnie więc, dlaczego zaczęłam drzeć w momencie, gdy ją włożyłam. Rękawiczki, które znalazłam w kieszeniach, okazały się bezużyteczne, rzuciłam je pod ścianę. Za późno, żeby pobiec do domu po własne. Stałam na progu, wypatrując ruchu w pokoju i zastanawiając się, czy robię słusznie, czy może istnieje inna realna alternatywa. Jedyńm naprawdę rozsądnym działaniem było poczekać na pomoc eksperta, ale istniało niebezpieczeństwo, że tajpan ucieknie. A policja dotrze tu pierwsza. Mogliby mnie nie posłuchać, mogliby chcieć spróbować złapać węża na własną rękę. Ja przynajmniej rozumiałam w pełni, z czym się mierzymy. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Matt wraca w zielonej wutowanej kurtce. Jego prawa ręka była ogromna, spod mankietu wystawał rąbek ręcznika. Nie zawahał się, wszedł do pokoju i rozejrzał się. Potem ściągnął kołdrę z łóżka i wyrzucił ją na korytarz.

– Obejrzyj ją – powiedział. Zrobiłam to. W kołdrze nie było nic.



Kiedy pokręciłam głową, wszedł na łóżko i zajrzał na szafę. Weszłam do pokoju, przesuwając wzrok od lewa do prawa, z góry na dół, czy gdzieś coś się porusza.

– Wciąż tu jest – poinformowałam. – Zwinął się, ale mnie obserwuje.

– Musimy sprowadzić go na podłogę – powiedziałam, wiedząc, że to nie będzie łatwe. – Nie dosięgnę go tam.

– Strącę go w kąt pokoju. Przyszykuj się.

Szybko przemknęłam obok Matta. Między szafą a ścianą była półmetrowa przerwa. O dziwo, nie leżały tam żadne zabawki. Jeśli Matt zdoła strącić tam węża, będziemy mieli spore szanse. Z drugiej strony wąż zapędzony w pułapkę jest najgroźniejszy.

– Jestem gotowa – powiedziałam, wiedząc, że nigdy nie będę gotowa na to, co miało się zaraz wydarzyć.

Trzymając ostrze siekiery w obu dłoniach, Matt przeciągnął jej trzonkiem po szafie. Wąż poderwał się w górę z obronnym jękiem. Zaskoczony Matt cofnął się i zachwiał na miękkim materacu. Jeszcze raz omiótł szafę trzonkiem, strącając węża, ale zarazem przewracając się w tył. Wąż przeleciał nad brzegiem szafy, obrócił się w powietrzu i spadł na łóżko, na którym leżał na wpół rozciągnięty Matt.

– Uciekaj! – krzyknęłam.

Matt przerolował się na skraj łóżka i skoczył na równe nogi. Wąż rzucił się na niego. Matt zatoczył się w tył i uderzył w okno. Upuścił siekiere.

Schyliłam się, wyczułam coś pod palcami dłoni i rzuciłam tym w węża. To była maska Dartha Vadera. Trafiła węża bezpośrednio w tył głowy. Tajpan zachwiał się i odwrócił. W obliczu dwóch zagrożeń, nadchodzących z przeciwnych krańców pokoju, nie był pewny, co ma zrobić. Potem podjął decyzję. Ruszył na mnie.

Rzuciłam czymś jeszcze – kalendarzem futbolowym – i kiedy wylądował na podłodze bezużytecznie powyginany, zdałam sobie sprawę, że popełniłam straszliwy błąd; błąd, który za chwilę kosztować mnie będzie życie. Czułam, że Matt zbliża się, pochyla, ale mogłam patrzeć tylko na błyszczące spizowoszare łuski i bursztynowe oczy stworzenia szykującego się, żeby się na mnie

rzucić. Wąż podciągnął się w górę. Wzięłam głęboki oddech, żeby krzyknąć.

Wtedy Matt uderzył węża w bok głowy trzonkiem siekiery. Tajpan odwrócił się i zatopił kły w drewnie. Wystrzeliłam przed siebie i bez zatrzymywania, żeby pomyśleć, bo inaczej nigdy nie byłabym w stanie tego zrobić, chwyciłam tajpana obiema dłońmi za szyję. Wąż puścił trzonek i szamotał się, chcąc się uwolnić, ale trzymałam mocno. Matt upuścił siekiere i sięgnął po pojemnik. Otworzył pokrywę, złapał ogon tajpana i wepchnął go do pudła. Ja wepchnęłam głowę, przytrzymałam i Matt przygotował wieko do zamknięcia. Wąż przestał się poruszać.

Matt i ja patrzyliśmy na siebie.

– Gdzie, do diabła, są rękawiczki? – spytał.

Rękawiczki, które zaoferował mi wcześniej, były za duże. Stanowiłyby jakąś ochronę, ale zupełnie odbierały mi zwinność ruchów.

– To jest właśnie ten trudny moment – mruknęłam. – Gdy go puszcze, prawdopodobnie uderzy. I będzie szybszy ode mnie.

– A ja znowu zapytam: gdzie, do cholery jasnej, masz rękawiczki?

Wąż pod moimi palcami drżał.

– Były za duże – wyjaśniłam. – Nie mogłabym w nich nic zrobić.

– No świetnie.

– Chyba znalazłam się w węzowym klinczu – zażartowałam.

Matt łypnął na mnie wściekle.

– To wcale nie jest śmieszne.

– Podaj mi tamtą koszulkę – poprosiłam, myśląc: żart, odkąd to ja żartuję?

Matt rozejrzał się i dostrzegł zgnieciony kawałek miękkiej bawełny, o który mi chodziło. Podał mi go, a ja zaryzykowałam i puściłam węża jedną ręką. Prawdopodobnie mogłam go jeszcze chwilę przytrzymać, ale już nie długo. Odebrałam koszulkę, zmiełam w kulę i naciskając nią na głowę węża, przygwoździłam ją do dna pojemnika.

Spojrzałam na Matta. Nie było potrzeby nic mówić. Doskonale wiedział, co chcę zrobić, a co ma robić on. Poruszając się szybciej niż kiedykolwiek w życiu, wyciągnęłam lewą rękę. Matt opuścił wieko pojemnika i zamknął go. Tajpan był bezpieczny, za towarzystwo mając podkoszulkę ze Spidermanem.

Jakbyśmy byli jednym organizmem, Matt i ja równocześnie osunęliśmy się na podłogę i siedzieliśmy, patrząc na siebie ponad wiekiem pojemnika. Wyglądało na to, że żadne z nas nie miało energii, żeby się poruszyć.

– Co teraz? – spytał w końcu.

– Szukamy innych – odpowiedziałam.

Zamknął oczy i wyciągnął się na dywanie. A ja zrobiłam coś niewyobrażalnego dla mnie w takiej sytuacji. Roześmiałam się.

W domu Poulsonów nie było więcej tajpanów. Pięć minut później przyjechało czterech policjantów, wszyscy zdawali się bardzo dobrze znać Matta Hoare'a. Wspólnie wznowiliśmy poszukiwania. Znaleźliśmy jeszcze kilka zaskrońców i jedną martwą żmiję. Młody posterunkowy znalazł ją w sypialni dziadka i przywołał mnie tam. Wcześniej wydałam surową instrukcję, żeby nikt nie dotykał żadnych węży, i policjanci przystali na to z radością.

Żmija leżała u stóp pojedynczego łóżka. Miała zmiażdżoną głowę. To był jedyny wąż ze znalezionych tej nocy, któremu stała się jakakolwiek krzywda.

– Musiał to zrobić ktoś z rodziny – powiedziałam, wiedząc, że martwy wąż sam raczej nie trafił do domu. – Pewnie to ten, który ukąsił ojca.

– Ale to sypialnia doktora Amblina – zauważył młody policjant, który nie patrzył już na węża, tylko na bok mojej twarzy. Odwróciłam się i w milczeniu przeszukaliśmy resztę pokoju.

Był to zdecydowanie pokój starszego mężczyzny. Proste ciemne meble, szczotki do ubrań i grzebienie na komodzie, zestaw do golenia w małej łazience. Na poduszce była plama, która wyglądała jak plama z krwi. I coś tworzyło małe wybrzuszenie pod kołdrą. Zjeżona z powodu gapiącego się posterunkowego, rzuciłam się przed siebie. Ale tuż przed dotknięciem zatrzymałam się. Czy wybrzuszenie się poruszyło? Chyba nie, mimo to...

– Złapię z drugiej strony – zaproponował policjant, obchodząc łóżko. W tym samym momencie, z niejakim wahaniem chwyciliśmy za rogi pościeli. – Raz, dwa, trzy – policzył posterunkowy i poderwaliśmy pościel. Młody policjant roześmiał się. Ja nie.

– Widać ma słabość do przytulank – zażartował mój towarzysz.

– To pewnie zabawka wnuka – odpowiedziałam, patrząc na małą pluszową małpkę, którą odkryliśmy.

– Chyba już tu skończyliśmy – stwierdził policjant. Wyszłam za nim z sypialni, zastanawiając się, dlaczego ze wszystkich pluszaków, które widziałam w domu, w łóżku dziadka znalazła się właśnie mała brązowa małpka? Wąż i małpa. Dlaczego mnie to niepokoiło?

## 8

Jeszcze godzina, kilka kolejnych zaskrońców i raczej byliśmy pewni, że dom jest czysty. Dowodzącemu sierżantowi powiedziałam, że tak naprawdę powinien zostać sprawdzony jeszcze raz, zanim pozwoli się rodzinie wrócić, ale byłam zadowolona, że możemy zostawić dom na resztę nocy.

Potem przekonałam się, że jadę samochodem pełnym węży.

Kiedy dom był już od nich wolny, niczego bardziej nie pragnęłam, tylko wrócić do siebie, całą resztę pozostawiając na głowie policji. Poprzedni dzień obfitował w wiele wydarzeń, a ja nawet się jeszcze nie kładłam, nie wspominając o spaniu. Ale sierżant zwrócił uwagę, że węże trzeba gdzieś zabrać, wypuszczenie ich na terenie wsi byłoby bezduszne, a jakie jest lepsze miejsce niż lokalny szpital dla dzikich zwierząt? Chwilę się opierałam, ale tak naprawdę nie wkładałam w to serca. Rozumiałam tok jego myślenia. Poszłam po swój samochód i potem posterunkowy, który znalazł żmiję, pomógł mi załadować trzydzieści dziewięć węży, wszystkie bezpiecznie ułożone w wiadrach, poszewkach na poduszki i dużych plastikowych pudełkach na jedzenie.

Tajpana i mężczyzny, który pomógł mi go złapać, nie widziałam już jakiś czas. Przypuszczałam, że pierwszy przeszedł pod nadzór policji, drugi wrócił do domu. Było wpół do piątej rano i zaczynało świtać. Potem pojawił się Matt. Szedł uliczką, rozmawiał o czymś cicho z sierżantem i niósł pojemnik z tajpanem. Zobaczyli mnie i podeszli.

– A więc – odezwał się Matt, podnosząc pojemnik – co robimy z Diabłem z Antypodów?

Bez doraźnego zadania znowu miałam problem z patrzeniem na niego.

Skupiłam się więc na upychaniu pojemników z węzami w bagażniku samochodu.

– Inne węże zabieram do Małego Zakonu. To szpital dla dzikich zwierząt, w którym pracuję – wyjaśniłam. – Sprawdzę, czy to rzeczywiście zaskrońce, i jeśli są zdrowe, będą mogły być wypuszczone. – Spojrzałam na pojemnik z tajpanem, łatwiej mi było patrzeć na niego niż na Matta.

– Niestety, nie mam kwalifikacji, żeby zająć się tym tam – ciągnęłam, zwracając się do sierżanta. – Prawdopodobnie powinniście potwierdzić jeszcze gdzieś indziej, że to naprawdę tajpan. Jeśli tak, może uda wam się dowiedzieć, skąd się wziął. Potem poszukajcie miejsca, do którego go przyjmą. Może jakieś zoo go zechce. Chyba londyńskie. Albo jakiś prywatny kolekcjoner.

– Prywatny kolekcjoner? – zdziwił się Matt. – Żartujesz. Ludzie trzymają takie coś w domu?

Okrążyłam samochód i już przy drzwiach rzuciłam przez ramię, znowu w stronę sierżanta.

– W Australii tak. Chociaż raczej bym tego nie polecała. Nie słyszałam, żeby u nas w kraju ktoś trzymał takiego węża, ale to możliwe.

– Mieliśmy nadzieję, że pani go zabierze – odezwał się sierżant, dopuszczony wreszcie do głosu – do czasu, aż znajdzie się dla niego bezpieczniejszy dom.

Pokręciłam głową.

– Szpital nie jest przygotowany do opieki nad jadowitymi węzami. Nie mogę prosić personelu, żeby ryzykował. – Ale zanim skończyłam, zdałam sobie sprawę, że znam idealne miejsce dla niebezpiecznych gadów, gdzie byli ludzie, którzy potrafią zidentyfikować węża i znaleźć dla niego najlepszy dom, oraz że i tak tego dnia zamierzałam tam pojechać. Obaj mężczyźni patrzyli na mnie przez sekundę, a potem Matt skinął głową.

– W porządku – mruknął. – Ja go zabiorę. Czym mam go karmić?

– Wstaw go do bagażnika. – Westchnęłam. – Zawiozę go do znajomych specjalistów.

Otworzyłam drzwi od strony kierowcy, kątem oka zauważyłam, że sierżant

odwrócił się, by ukryć uśmiezek. Matt podszedł do auta z drugiej strony i wsiadł do środka, pojemnik z tajpanem postawił sobie na kolanach.

– Co robisz? – zdziwiłam się.

– Jadę z tobą.

Nie! Dość tego! Chciałam być sama.

– Ale po co, na litość boską?

– Jest prawie piąta rano, a ty wyglądasz na wykończoną. Nie zostawię cię samej z niebezpiecznym wężem.

– Nic mi nie grozi z jego strony. Jest zamknięty. – Obejrzałam się, żeby odszukać wzrokiem sierżanta. Miałam nadzieję, że być może mnie poprze. Ale wracał już do domu Poulsonów.

– Wyglądasz na roztrzęsioną – stwierdził Matt. – Chcesz, żebym prowadził?

Uruchomiłam silnik, zastanawiając się, co mam jeszcze zrobić. Pracowałam z dzikimi zwierzętami. Mieszkałam na końcu najspokojniejszej ulicy w najbardziej odosobnionej wsi, jaką mogłam znaleźć. Starłam się nie zapoznawać z sąsiadami. Zakupy robiłam, korzystając ze sprzedaży wysyłkowej. Co jeszcze zrobić, żeby zostawiono mnie w spokoju?

– Poza tym – dodał Matt, kiedy wyjeżdżaliśmy ze wsi – wciąż masz na sobie moją kurtkę.

Postanowiłam, że nie będę się odzywać w trakcie dziesięciokilometrowej jazdy do Małego Zakonu. Jeśli chodzi o milczenie i o lodowate podejście do drugiej osoby, opanowałam tę sztukę do perfekcji, wierzcie mi. Potrafię odejść daleko, do takiego miejsca w głowie, gdzie jestem tak odłączona od świata, że nie słyszę nic, nawet gdy ktoś mówi coś bezpośrednio do mnie. Kiedy muszę, potrafię po prostu zniknąć.

Jechaliśmy w górę wąskiego, stromego wzgórza. Ta droga wiję się, ciągle zakręca, dlatego wymaga skupienia na prowadzeniu, nawet za dnia. Buki, dęby i klony spotykały się w górze, tworząc gęsty ciemny tunel zieleni. Pojedyncze gałęzie drapały w bok auta, nietoperze, zmylone światłem reflektorów, przelatywały blisko i szybko odlatywały.

– Najbardziej śmiercionośny wąż świata, tak? – zagaił Matt, którego głos słyszałam o wiele za wyraźnie, zważywszy, że starałam się go zablokować. –

Jak to możliwe, że nigdy o nim nie słyszałem? – ciągnął.

Powiedziałam sobie w duchu, że mam się koncentrować na jeździe.

– Słyszałem o pytonach, boa, zmijach... grzechotnikach, oczywiście. Ale nie o tajpanach. Jeśli są niebezpieczne, dlaczego nikt o nich nie słyszał?

To niemożliwe. Ten człowiek nie zamierzał dać się ignorować.

– Odkryto je stosunkowo niedawno – wyjaśniłam. – Mniej więcej w połowie XX wieku. Nawet teraz nie widuje się ich powszechnie. Co jest bardzo pomyślnym stanem rzeczy.

– Ale dlaczego są takie niebezpieczne? Mamby. Czarne mamby. O nich słyszałem. Są niebezpieczne?

Westchnęłam.

– No dobrze, jeśli chodzi o węże jadowite, mamy do wyboru trzy główne gatunki: czarną mambę z Afryki, kobrę, występującą na terenie prawie całej Azji, i tajpany. Herpetolodzy sprzeczałiby się godzinami, który z nich jest najgroźniejszy i, szczerze mówiąc, każdy mógłby pretendować do tego miana. Wszystkie są duże, silne i szybkie.

– Nasz nie jest duży – przerwał.

– Bo jest bardzo młody. Tajpany potrafią osiągnąć ponad trzy metry długości.

– A niech mnie. No, ale mów dalej... Duże, silne, szybkie. Co jeszcze?

Prawie piąta rano, a ja dawałam wykład o gadach człowiekowi, którego dopiero co poznałam. Gdzie się podziało moje spokojne życie? Ale Matt patrzył na mnie, czekając na ciąg dalszy.

– Wszystkie trzy gatunki słyną z tego, że w razie ataku są agresywne. Wszystkie robią coś, co nazywa się kąsaniem wielokrotnym. Kąsają, puszczaają, potem znowu kąsają. To oznacza, że do organizmu ofiary może zostać wstrzyknięta bardzo duża dawka jadu. Jad każdego z nich składa się z różnych substancji, ogromnie toksycznych. Ofiara, która nie uzyska pomocy, umrze, w mękach, w ciągu kilku godzin. No i, jak na gadzie standardy, wszystkie trzy gatunki są dość inteligentne, co, biorąc pod uwagę ich śmiertelność, sprawia, że człowiek czuje się dość niekomfortowo w ich towarzystwie.



– Gdybym był mądrzejszy, byłbym niebezpieczny?

– Właśnie.

– A na którego oddałabyś swój głos?

– Na tajpana. – Nawet nie musiałam się nad tym zastanawiać. – Zawsze na tajpana.

– Miałaś już wcześniej z nimi kontakt?

Kiwnęłam głową.

– Przez pewien czas pracowałam w Australii. Badałam jaszczurki, ale z węzami też się zetknęłam. Poznałam kilku ludzi, którzy przeżyli ukąszenie tajpana. Słyszałam o wielu, którzy go nie przeżyli.

Matt zamilkł. Nasza rozmowa mogłaby się na tym zakończyć.

– Istnieją dwa gatunki tajpanów. – Przekonałam się, że wciąż mówię. – Nadbrzeżny i pustynny. Podobno jedno ukąszenie tajpana nadbrzeżnego jest tak toksyczne, że może zabić dwadzieścia siedem osób.

– Chryste. I my mamy jednego z nich?

– Nie. Nasz to tajpan pustynny. Pamiętam, że chyba mają pomarańczowy wzorek. A nasz przyjaciel ma na plecach jasny pomarańczowy pas.

– Małe dobrodziejstwa, co? A ilu ludzi może zabić pustynny tajpan jadąc z jednego ukąszenia?

– Sześćdziesiąt dwie. – Zaryzykowałam i zerknęłam kątem oka. Matt był śmiertelnie poważny.

– Mogę to odstawić na tylne siedzenie? – spytał w końcu.

Nie potrafiłam się opanować i znowu się roześmiałam. Po sekundzie Matt przyłączył się do mnie.

– Czy policja mówiła, co ma zamiar zrobić? – spytałam, gdy śmiech przebrzmiał i cisza zaczęła stawać się krępująca.

Matt zerknął na mnie, miał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

– Rano zaczną rozpytywać o tajpana – poinformował po kilku chwilach. – Sprawdź, czy ktoś zgłaszał zaginięcie.

– A zaskrońce?

Wzruszył ramionami.

– No cóż, nie mogą ich zamknąć i oskarżyć o naruszenie prywatności. W domu zdjęto odciski palców, ale przy tak licznej rodzinie i tylu osobach wchodzących i wychodzących może być trudno cokolwiek znaleźć. Nie było żadnych oczywistych śladów włamania.

Już wcześniej uznałam, że narozmawiałam się aż nadto jak na jedną noc, w przeciwnym razie mogłabym zapytać, skąd tyle wie o pracy policji. Byliśmy już blisko celu, jechałam więc w milczeniu, wpatrzona w drogę przed sobą. Czułam jednak, że Matt mi się przygląda. Siedział po mojej lewej stronie. Może mimo wszystko trzeba było dać mu prowadzić?

– A ty co o tym sądzisz? – spytał. – Kolejny dziwaczny wybryk natury?

Chwilę się zastanawiałam. Wąż wpełzający do domu to dość niezwykle, ale nie niespotykane zjawisko. Kilkadziesiąt sztuk, włączając w to cudzoziemca, to już zupełnie inna sprawa.

– Trudno sobie wyobrazić, by tyle węży mogło wejść do domu bez pomocy – stwierdziłam po chwili.

– Ano trudno – zgodził się Matt. – Zastanawiam się, czy winą nie należałoby obarczyć naszych miejscowych rozrabiaków. Może znudziło im się przecinanie kabli telefonicznych i rozbijanie szyb w oknach.

Kiwnęłam głową, chociaż przypomniały mi się mokre ślady, które widziałam na podłodze w domu Poulsonów, plamy z błota. Takie same były w domu Hustonów, gdy ratowałam małą Sophię przed żmiją. No i złapanie i przeniesienie kilku tuzinów węży, łącznie z kilkoma jadowitymi, wymagało dużej zwinności. Raczej niespotykanej u przeciętnego, mażącego po ścianach wandala. Czy powinnam o tym wspomnieć? Już teraz wciągnęłam się w tę sprawę bardziej, niżbym chciała.

– Pomysł mogło im podsunąć to zebranie u Clive’a Ventry’ego – zauważyłam, rezygnując ze wstrzemięźliwości. – Wszyscy nagle zaczęli bać się węży.

– Cóż, jeśli nie bali się wcześniej, to teraz na pewno będą – zgodził się Matt.

Znowu zapadła cisza. Dotarliśmy do głównej szosy, pustej o tak wczesnej

porze. Na wschodzie czerń nocy stopniowo rozplywała się i przechodziła w srebrną szarzynę. Przed nami zaczęły się pojawiać rozległe puste wrzosowiska hrabstwa Devon. Nagły odgłos dzwonienia sprawił, że podskoczyłam.

– To pewnie do mnie – mruknął Matt, nie wykonując żadnego ruchu, żeby odszukać i odebrać telefon. Dzwonienie trwało. – Sięgnąłbym sam, ale chyba nie znamy się jeszcze aż tak dobrze – powiedział. – Wewnętrzna kieszeń, po lewej stronie.

No jasne, byłam w jego kurtce. Nachylił się i chwycił kierownicę prawą ręką, żeby ją przytrzymać. Poczułam zapach jego skóry, włosów, kawy, którą pił mniej niż godzinę temu.

Kurcząc się w sobie, pogrzebałam w kieszeni kurtki, aż znalazłam telefon i podałam mu go. Odchylił się z powrotem na oparcie, a ja przejęłam kierownicę, czując ogromną ulgę, że przez kilka minut jego uwaga nie będzie skupiona na mnie. Mówił głównie ten, kto dzwonił, Matt odpowiadał monosylabami. Po pięciu minutach rozłączył się.

– To ze szpitala – poinformował, chowając telefon do kieszeni koszuli. – Nick czuje się dobrze. Jest obolały w miejscu ukąszenia, ale nie pojawiły się żadne niezwykle obrzęki, oddycha normalnie, nie gorączkuje. Brak wszelkich objawów, jakie miał John Allington. Będą go uważnie obserwowali, uważają jednak, że nie ma powodów do przesadnego niepokoju.

– A co z resztą rodziny? – spytałam, myśląc o martwej żmii, którą widziałam w sypialni dziadka.

– Stary doktor Amblin ma lekkie wstrząśnienie mózgu. Wygląda na to, że w trakcie całego zamieszania uderzył o coś głową. Mandy i dzieciaki czują się dobrze. Zatrzymali ich w szpitalu, ale żadne nie było ukąszone.

– Cóż, to wspaniale.

– Zdecydowanie. No, ale dziś mamy odtrutki na ukąszenia prawie wszystkich węży, prawda?

– Antytoksyna jadu żmij jest łatwo dostępna. Mamy ją w szpitalu. Może kilka zastrzyków powinnam zabrać do domu, zobaczę.

– A co z tym małym kolegą? – spytał Matt, pokazując na pojemnik na

kolanach.

– Istnieje antytoksyna na ukąszenie tajpanów – odpowiedziałam. – Ale te węże występują jedynie w konkretnych odległych częściach Australii. Dlatego antytoksynę mają tylko w tamtych regionach. Trzeba by było zlokalizować takie miejsce, sprowadzić surowicę samolotem do większego miasta, a potem do Londynu. A następnie tutaj. To by trwało zbyt długo.

Matt przez chwilę milczał.

– Czyli gdyby dziś w nocy wąż ukąsił któregoś z nas, prawdopodobnie nic nie dałoby się zrobić? – spytał w końcu.

Nie odpowiedziałam, ale miał rację.

## 9

○ Świece zaskrońce były bezpiecznie pozamykane w klatkach w szpitalu. W poniedziałek rano, jeśli będą wyglądały wystarczająco zdrowo, wypuści się je z powrotem do lasu. Obiecałam, że zrobię to kilka kilometrów za wsią. Przed wyjazdem ze szpitala zabrałam z lodówki małe opakowanie zastrzyków z antytoksyną. Zamierzałam trzymać je w domu przez kilka tygodni. Na wszelki wypadek.

Diabeł z Antypodów, jak uparł się nazywać tajpana Matt, nadal był ze mną. Podwiozłam Matta pod dom, zwróciłam mu kurtkę i podziękowałam za pomoc. U siebie wzięłam szybki prysznic, obejrzałam skręconą kostkę, zjadłam śniadanie, z powrotem zapakowałam się do samochodu i ruszyłam w drogę.

Organizacja Eol, z siedzibą na obrzeżach Bristolu, to centrum zajmujące się znajdowaniem nowych domów dla zwierząt. Centrum prowadzą wolontariusze, jest zarejestrowaną organizacją charytatywną przyjmującą zwierzęta domowe takie jak węże, jaszczurki i żółwie – ranne, porzucone czy po prostu takie, które urosły aż tak, że właściciele nie są w stanie sami się nimi opiekować. Organizacja leczy zwierzęta, jeśli to konieczne, a potem znajduje domy dla tyłu, dla ilu się uda.

O pracy i ludziach z Eolu – cichych bohaterach świata weterynarii – usłyszałam na pierwszym roku studiów i od tamtej pory pomagałam w centrum tak często, jak tylko mogłam. Pomoc zawsze była tam witana z wdzięcznością, bo zwykle brakowało rąk do zajęcia się wszystkim, co zrzucano na barki organizacji. Czy przez rozmyślne okrucieństwo, czy tylko zaniedbanie, gady

zawsze chyba obrywały gorzej niż inne zwierzęta.

Któregoś roku pracowałam na nocnym dyżurze tuż przed Bożym Narodzeniem. Przyniesiono nam agamę brodatą, popularną jaszczurkę pochodzącą z Australii. Miała najgorsze poparzenia, jakie widziałam w życiu. Jej właściciele, mający dobre intencje, ale zupełnie niezający potrzeb swojego pupila, zamknęli jaszczurkę w suszarni, żeby było jej ciepło. Zwierzak utknął między otuliną a bojlerem. Zanim właściciele go znaleźli, był tak poparzony, że miał roztopione łuski.

To był najgorszy przypadek, jaki mi się przytrafił, ale z pewnością niejedyny. Podczas pracy w Eolu na przestrzeni lat widziałam mnóstwo cierpienia, którego łatwo dałoby się uniknąć, gdyby właściciele przeczytali jedną lub dwie książki, poszukali informacji w Internecie, porozmawiali z pracownikami najbliższego sklepu zoologicznego.

W recepcji było tłoczniej niż zwykle w soboty i zaczęłam się zastanawiać, czy w świat nie poszła przypadkiem informacja o nowym nabytku centrum. Niewielu miłośników węży przegapiłoby okazję zobaczenia najbardziej jadowitego węża lądowego.

Drzwi do biura Rogera Tennanta otworzyły się, zanim zdążyłam do nich dotrzeć. Roger podszedł, żeby się ze mną przywitać. Znałam go od dawna; prowadził wykłady dla mojego roku w Edynburgu i jego entuzjazm był jednym z czynników, które przekonały mnie do wybrania specjalizacji z gadów. Cmoknął mnie w oba policzki, jak zawsze. Chciał dobrze, ale wolałabym, żeby tego nie robił, naprawdę nie lubię, gdy ludzie dotykają mojej twarzy. Zamiast zabrać mnie do siebie do biura, zaprowadził korytarzem do jednego z pokoi zabiegowych.

Bywałam już w tym pokoju wcześniej. Dwa stoły zabiegowe na środku i szeroki blat ze stali nierdzewnej wzdłuż ścian. Na całej długości pomieszczenia stały wysokie szafki. Wszystkie powierzchnie były czyste, instrumenty błyszcząły, klatki czekały na nowych lokatorów. Była to zupełnie zwyczajna weterynaryjna sala zabiegowa, no, może trochę większa, z typu tych, w jakich pracowałam każdego dnia tygodnia. Nie licząc, oczywiście, wysokiego, brudnego mężczyzny, który leżał (rozciągnięty na całą długość i

najwyraźniej pogrążony w głębokim śnie) na większym ze stołów.

– Obudź się, Sean, już tu jest! – zawołał Roger. Ze staroświecką kurtuazją odebrał ode mnie pojemnik z tajpanem, chociaż wcale nie był ciężki. Nie widząc nic niezwykłego w śpiącym w jego gabinecie włóczędze, Roger postawił pudło na wolnym stole. Widziałam, że ma ochotę otworzyć pojemnik, ale obejrzał się na swojego nieprzytomnego gościa. Mężczyzna otworzył oczy. Zamrugał dwa razy, rozejrzał się i usiadł.

Nigdy nie gapię się na ludzi, nigdy. Wiem aż za dobrze, jak niekomfortowo można się poczuć, gdy się jest pod takim bezwstydnym obstrzałem. Ale w chwili, gdy mężczyzna otworzył oczy, od razu zorientowałam się, kim jest. I na żywo wyglądał jeszcze bardziej imponująco.

Po trzydziestce, może bliżej czterdziestki, rasy białej: świadczyły o tym jego twarz, kształt głowy, oczy – błyszczące orzechowo-zielone. Ale był tak bardzo opalony, że z łatwością mógłby uchodzić za rdzennego Afrykanina. Długie i ciemne włosy, uplecione w dredy, sięgały za ramiona. Był wysoki, powyżej metra osiemdziesiąt pięć, i bardzo szczupły. Ubrany w dzinsy, brudne i podarte, wyblakłą koszulę w niebieską kratę, skórzaną kurtkę noszącą tuzin bitewnych blizn i buty wyglądające, jakby przewędrował w nich całą dżunglę; co, jak się miałam wkrótce dowiedzieć, właśnie niedawno miało miejsce.

– Claro, to Sean North – powiedział Roger. – Możliwe, że o nim...

Słyszałam? Oczywiście, że tak. Kto w świecie gadów o nim nie słyszał. I to, oczywiście, był prawdziwy powód tłumów w recepcji. Sean North był prawdopodobnie najślawniejszym na świecie herpetologiem. Anglik, honorowy opiekun gadów w kilku większych ogrodach zoologicznych, rzadko obecny w kraju. Podróżował po całej planecie, zwykle z ekipą telewizyjną, poszukując najrzadszych i najczęściej najgroźniejszych gadów, żeby je badać i filmować. Specjalizował się w jadowitych wężach, ale widziałam kilka niezwykłych reportaży o nim z waranami, krokodylami i kameleonami. Filmy, które kręcił, były niesamowite: jego umiejętność znajdowania najbardziej płochliwych stworzeń była owiana legendą, a odwaga, z jaką obchodził się z groźnymi gatunkami, po prostu zdumiewała. Wydawało się, że nie odczuwa strachu, ustawicznie ryzykując życie w najbardziej nieprzyjaznych miejscach

na Ziemi. Był geniuszem. I jak ujął to kiedyś jeden z moich kolegów, kompletnym świrem.

Wyciągał do mnie rękę. Nie potrafiąc wymyślić, co powinnam powiedzieć, przyjąłem ją. Była sucha od zbyt dużej ilości słońca; pełna blizn od ugryzień i zadrapań.

– Wybacz – rzucił, zduszając ziewnięcie. – Długi lot.

– Sean przyjechał z samego rana – wyjaśnił Roger. – Wiedziałem, że miał dzisiaj wrócić z Indonezji, zostawiłem mu więc wiadomość na komórce i przyjechał prosto z lotniska. Nie wymyśliłbym nikogo lepszego.

Ani ja. Chciałabym tylko, żeby fizyczna obecność Northa tak mnie nie onieśmielała.

Już całkowicie przytomny North podnosił pojemnik z tajpanem, sprawdzał jego ciężar, delikatnie kołysał i nasłuchiwał odgłosów dobiegających ze środka. Potem odstawił pudło na stół i odblokował zamek. Roger, który stał blisko, dał krok do tyłu. Obejrzałem się i zobaczyłem, że kilka osób w korytarzu obserwuje nas przez szybę. North uniósł pokrywę na nie więcej niż dwa centymetry. Wstrzymałam oddech. Co będzie, jeśli okaże się, że to coś kompletnie nieszkodliwego? Na jaką idiotkę wyjdę, jeśli Sean North – sam Sean North, na litość boską – został ściągnięty, zmęczony, niewyspany po podróży, aż z Bristolu, obejrzeć czyjegoś niegroźnego zbiegłego pupila?

– To małuch – oznajmił z promiennym uśmiechem. – Masz hak, Rog?

Roger podał mu chwytak, a North, kompletnie lekceważąc skłonność tajpanów do nagłego ataku, zdjął wieko i sięgnął hakiem do środka. Wyciągnął go z węzłem bezpiecznie pochwyconym za szyję.

– Wow – gwizdnął Roger, podchodząc bliżej. – Ale cudnie.

W świetle dnia, w bezpiecznych rękach, które nie były moimi rękami, wąż wydawał się piękny. Połyskiwał kolorem zbyt ciemnym, żeby nazwać go srebrnym, zbyt jasnym, żeby powiedzieć, że jest spizowy, i wzdłuż całej długości miał miedziane prążki. Oczy były jak żywe topazy, okrągłe źrenice o wiele atrakcyjniejsze niż owalne paski innych gatunków. North trzymał jego ogon, rozciągając go. Roger przyniósł linijkę.

– Od pyska do odbytu sto dwa centymetry – oznajmił. – Całkowita długość:



sto siedemnaście. I powiedziałbym, że to zdecydowanie *Elapidae*.

*Elapidae*, inaczej zdrańnicowate, to rodzina jadowitych węży występujących w tropikalnych i subtropikalnych regionach, łącznie z Oceanem Indyjskim i Pacyfikiem. Mają długie szczupłe ciała, gładką łuskę, stożkowe głowy pokryte większą tarczowatą łuską. Wszystkie mają wydrażone osadzone nieruchomo zęby jadowe i gruczoły z jadem z tyłu górnej szczęki. Zaczęłam dziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie, że przynajmniej Roger podzielał moją opinię co do pochodzenia węża. Czymkolwiek jeszcze mógł się okazać, sypialnia dziecięca w Dorset to nie miejsce dla zdrańnicowatych.

– To tajpan, zgadza się – potwierdził North. Błysnął w moją stronę oczami, potem znowu skupił się na wężu. – Dobrze się stało, że go rozpoznałaś.

– Przez jakiś czas pracowałam w Australii – powiedziałam, czując ogromną ulgę, że odzyskałam zdolność mówienia. – Widziałam je już wcześniej.

– Ten nie jest australijski – stwierdził North. – Tylko papuaski.

– To w Papui-Nowej Gwinei żyją tajpany? – zdziwił się Roger. Ja też o tym nie wiedziałam.

North kiwnął głową.

– Tak, oddzielny podgatunek. Tak naprawdę stanowi tam o wiele większy problem – dodał. – Zobaczyć tajpana w Australii to rzadkość, ale w południowej Papui ginie przez nie dwadzieścia pięć osób rocznie. – Odwrócił się do mnie. – Masz jakiś pomysł, skąd się wziął?

Pokręciłam głową. Rano, zanim wysadziłam go przed domem, Matt odebrał następny telefon, tym razem z policji.

– Policja sprawdza w okolicy wszystkich, którzy mają pozwolenie na trzymanie gadów – wyjaśniłam. – Ale nikt nie zgłaszał zaginięcia pupila.

– Mało prawdopodobne, żeby tak się stało – wtrącił się Roger. – W kraju jest pewnie niewiele tajpanów hodowanych legalnie, jeśli w ogóle jakiś jest. Jakoś nie przypuszczam, żeby miejscowe władze chciały wydać pozwolenia. Czy któreś z brytyjskich zoo trzyma tajpany, Sean?

– Londyńskie ma cztery już od kilku lat, ale tylko jeden jest wystawiany – odparł North. – Co do innych nie jestem pewien. Może zoo w Bristolu, ale w Chester chyba nie. Mogę to szybko sprawdzić, ale gdyby doszło do jakiejś

ucieczki, myślę, że już byśmy o tym wiedzieli.

– Mówisz, że to młody wąż – zwróciłam się do Northa. – Potrafisz ocenić dokładnie, ile ma?

North podniósł węża wyżej, obejrzał uważnie, dał Rogerowi zmierzyć go w obwodzie.

– W pierwszym roku rosną szybko – zaczął. – Może mieć cztery miesiące, może pięć. Sprowadzony prawdopodobnie jako jajo, potem wykluł się w jakimś ciepłym miejscu. – North potwierdzał to, co sama podejrzewałam. Istnieje nielegalny handel jadowitymi węzami, który, jak na ironię, ogromnie się rozrósł po złagodzeniu obowiązujących na terenie Europy restrykcji handlowych. Niebezpieczne węże stale są sprowadzane do Wielkiej Brytanii i sprzedawane na czarnym rynku. Ale przetransportowanie żywego tajpana aż z Australii – czy z Papui-Nowej Gwinei – byłoby ogromnie ryzykowne. Przemycenie jaj to o wiele prostsze zadanie. – W porządku, schowamy cię – powiedział North do węża. Przeniósł go przez pokój do blatu, na którym czekał pojemnik z przezroczystymi ściankami. Opuścił do środka koniec ogona, potem hak, uwolnił głowę węża i zamknął pokrywę. Pamiętając swoją nieporadną nocną szarpaninę z koszulką ze Spidermanem, mogłam tylko podziwiać łatwość, z jaką North radził sobie z węzem. – Złapałaś go sama? – spytał.

Poczułam, że się czerwienię, wbiłam wzrok w pudło z węzem, chociaż niewiele tam było do oglądania. Tajpan zwinął się w kłębek, jakby już mu się znudziło to całe zamieszanie.

– No cóż, miałam pomocnika – udało mi się wykrztusić. – Był dość kompetentny – dodałam, chcąc być sprawiedliwa wobec Matta. – Bez niego nie dałabym sobie rady.

– Jak dokładnie go złapaliście? – spytał North.

Opowiedziałam skróconą wersję historii ujęcia węża, pomijając milczeniem swoje przerażenie, działanie po omacku i to, że udało nam się tylko o włos.

– Sam byś tak zrobił w jej wieku – zauważył Roger.

– Chyba coś cię jeszcze niepokoi? – stwierdził North, który nie przestawał

mi się przyglądać. Poczułam się trochę zawiedziona, że mężczyzna, którego tak bardzo podziwiałam, zwraca uwagę na deformacje twarzy. Z jakiegoś powodu oczekiwałam, że będzie ponad takie rzeczy.

– Mogę o coś jeszcze zapytać? – spytałam. Kiwnął głową.

Opisałam okoliczności obławy na tajpana, powiedziałam o żmii w łóżeczku małej Sophii i o sąsiedzie, Johnie Allingtonie, który dzień wcześniej zmarł od ukąszenia żmii.

– Jak na Dorset to dość spora aktywność węży – ocenił North.

Odwróciłam się do torby, którą zostawiłam przy drzwiach, sięgnęłam do niej i wyciągnęłam dokumenty, które Harry Richards zostawił mi dzień wcześniej wraz z przezroczystą plastikową torebką.

– To żmija, prawda? – spytałam, podnosząc torebkę.

North spojrzął na węża i skrzywił nos.

– Tak – potwierdził. – Jedna taka cwaniara ukąsiła mnie, gdy miałem czternaście lat. Na targach. Bolało jak cholera.

– Tylko nie mów, że nie pojechałeś do szpitala – zakpił Roger.

– A kto zająłby się pozostałymi trzema, które miałem ze sobą? – odpowiedział North, znowu patrząc na mnie. Podałam mu dokumentację, a on ją odebrał.

– To raport z hematologii – zaczęłam, gdy North odwrócił się i pochylił nad blatem, gdzie było lepsze światło. – Krew pobrano od Johna Allingtona, tego mężczyzny, o którym wspomniałam, ugryzionego przez żmiję. – North nie podniósł oczu. – Tę – dodałam, pokazując na węża w torebce. – Uznałam – ciągnęłam dalej – że próbka krwi z raportu rzeczywiście zawiera jad żmii, tak jak stwierdzili hematolodzy, ale nie wspominają, że jego stężenie jest o wiele za duże. Przypomniałam sobie badania nad ukąszeniami żmij przeprowadzone w Szwecji kilka lat temu, więc odszukałam je w Internecie. Najwyższe stężenie jadu, jakie zanotowali, to 64 mikrogramy na litr. A była to próbka pobrana od bardzo małego dziecka, z o wiele mniejszą masą ciała niż masa mojego sąsiada.

– A tutaj mamy ponad 200 mikrogramów na litr – dopowiedział North.

– No właśnie. Nie potrafię zrozumieć, jak pojedyncza żmija mogła

wstrzyknąć tyle jadu. – Pozostawiłam pytanie otwarte. North wyprostował się, pozwalając, żeby Roger też obejrzał raport. Wpatrywał się w niego kilka sekund, potem wymamrotał coś o tym, że pójdzie po jakieś książki, i wyszedł.

Pozostawiona sam na sam z Seanem Northem, natychmiast pomyślałam o ucieczce. Kawa! Mogę zaproponować, że przyniosę kawę.

– Dostaniemy tu gdzieś kawę? – spytał. – Czuję, że zastrzyk kofeiny dobrze by mi zrobił.

– Oczywiście, zaraz przyniosę. – Przy drzwiach przystanęłam. Nie spytałam, jaką lubi. Ale był tuż za mną. Wyciągnął rękę, otworzył drzwi i pozwolił mi zaprowadzić się do kuchni dla personelu. Mam bardzo wrażliwe powonienie, ludzie pracujący na powietrzu często tak mają, i w granicach ścian małej kuchni wyraźnie czułam jego zapach. Ale nie był taki, jakiego można się spodziewać u kogoś, kogo ubranie wyglądało, jakby nie było prane od tygodni. Sean North pachniał deszczem na tropikalnych roślinach, korą drzewną i ciepłą skórą zwierząt. Skupiłam się na nalewaniu wody do czajnika, na szukaniu mleka w lodówce. Żebyśmy nie musieli rozmawiać.

– Roger mówił mi, że o jaszczurkach z antypodów wiesz więcej niż ktokolwiek, kogo zna, ale zajmujesz się jeżami i zającami – zauważył. Skinienie głowy bez oglądania się byłoby najprostszą odpowiedzią. Tak zareagowałabym normalnie, ale nie spodobał mi się lekko kpiący ton w jego głosie.

– A także borsukami, lisami, jeleniami i sarnami, prawie każdym gatunkiem ptaków i ostatnio, o wiele częściej, węzami – odpowiedziałam.

Jeśli nawet pojął, że mnie rozdrażnił, nie obeszło go to.

– Mimo wszystko, trochę dziwny wybór jak na specjalistę od gadów. Nie wolałabyś pracować w jednym z dużych zoo?

Co jest z niektórymi ludźmi? Dlaczego myślą, że wolno im kompletnie obcą osobę wypytywać o jej prywatne sprawy? Zadawano mi to pytanie wcześniej i zwykle odburkuję, że w zoo mają bardzo niewiele wolnych etatów dla weterynarzy. Sean North, oczywiście, natychmiast zorientowałby się, że to wielkie kłamstwo. I może dlatego tym razem postanowiłam powiedzieć prawdę. Odwróciłam się i popatrzyłam mu prosto w twarz.

– Przez jakiś czas pracowałam. W Chester. Ale trochę mnie zmęczyło, że czuję się jak jeden z eksponatów. – Zabrałam swoją kawę i wyszłam z kuchni, puszczając wahadłowe drzwi bez przejmowania się, czy w niego uderzą.

Super, pomyślałam, gdy wracałam korytarzem. Na dodatek właśnie obraziłam najbardziej wpływową osobę w moim kręgu zawodowym. Czy to naprawdę takie dziwne, że wybrałam pracę z jezami i zającami? One nie mają impertynenckich właścicieli, goście nie przychodzą tysiącami, żeby je oglądać. Praca z dzikimi zwierzętami była najprostszym sposobem zagwarantowania, że nie będę musiała obcować z ludźmi. No bo sami widzicie, jak mi to źle wychodziło.

W pokoju zabiegowym Roger stał nad rozłożonymi na całym stole książkami. Przerzucał się od dokumentacji do podręczników, dokładnie tak samo jak ja poprzedniego dnia. Miałam nadzieję, że dojdzie do bardziej miarodajnych wniosków. Kilka sekund później wyglądało na to, że czeka mnie zawód.

– To jad żmii, tego jestem pewien – stwierdził. – Nie ma żadnych cech jadu *Elapidae*. To pierwsze, co sprawdziłem, na wypadek gdyby to było ukąszenie tajpana, ale tak nie jest. Różni się też od jadu *Colubridae*<sup>[1]</sup>. I nie ma mowy, żeby pochodził od *Hydrophiidae*.

Roger robił dokładnie to, co ja zrobiłam: wykluczał gatunki. Prawie każdy jadowity wąż należy do nadrodziny *Caenophidia*, dzielącej się na pięć rodzin: *Acrochordidae*, niejadowite węże o drobnych łuskach, *Colubridae*, przeważnie niejadowita rodzina, ale niektóre węże są warunkowo jadowite; i *Atractaspidae*, mała, trudna do sklasyfikowania grupa, o której wiedziałam bardzo niewiele. Dwie rodziny obejmujące najbardziej niebezpieczne jadowite węże to *Elapidae*, składająca się z mamb, kobr, węzów morskich i oczywiście tajpanów, oraz *Viperidae*, ze żmijami i grzechotnikami.

– Spójrz, Sean – zachęcił Roger. North opierał się o blat i popijał kawę, chociaż była niemal wrząca. Nie ruszył się. – Jestem pewien, że jad nie pochodzi od grzechotnika. Wprawdzie ma pewne cechy wspólne, ale...

– Odpuść sobie, Rog – mruknął North. – Hematolog się nie pomylił. Jad pochodzi od północnej żmii zygzakowatej. Widziałem tego całe mnóstwo.

Północna, europejska, zwyczajna czy zygzakowata, różne nazwy dla tego samego stworzenia: *Vipera berus*. Ale...

– Zwyczajna żmija nie produkuje jadu o takim stężeniu, jakie wykryto w próbce – zauważyłam, zapominając, że jestem zła na Northa.

– Nie, nie produkuje – zgodził się. – I przy okazji, cieszę się, że znowu ze mną rozmawiasz.

Roger zerknął szybko na Northa, na mnie i z powrotem na Northa.

– Czyli mówimy o...

– Albo o bardzo dużej, zmutowanej odmianie żmii z mocą jadu porównywalną do mocy jadu około dziesięciu zwykłych węży, co, szczerze mówiąc, wydaje się mało prawdopodobne, albo o wielu ukąszeniach więcej niż jednego węża – oznajmił North.

– Też o tym pomyślałam – wtrąciłam. – I pytałam o to. Było tylko jedno ukąszenie.

– Żmije kąsają jednym kłębem. Mogli nie zauważyć innych. Albo po prostu pomylić je z zadrapaniami.

O tym nie pomyślałam, miał rację. Zęby jadowe żmii są osadzone ruchomo na przedniej szczęce górnej. W czasie spoczynku odchylają się do tyłu, umożliwiając zamknięcie paszczy. Prawy i lewy ząb mogą się obracać razem lub niezależnie. Poczułam przypływ ekscytacji. To musi być odpowiedź. Oczywiście pozostawiała nas z przykrą ewentualnością, że tuzin lub więcej żmij dostało się do ogródka Johna Allingtona i – wszystkie naraz – go ukąsiły. To dopiero byłby wybryk natury.

W tym momencie rozdzwoniła się moja komórka. Przeprosiłam i wyszłam na korytarz odebrać. To, co usłyszałam, nie poprawiło mi humoru. Przez dwie minuty przekonywałam, odwołując się do wyświechtanej już wymówki, że naprawdę nie mam potrzebnej wiedzy, żeby pomóc, że są inni o wiele bardziej kompetentni. Potem poddałam się i zgodziłam wyruszyć natychmiast. Po rozłączeniu się wróciłam do pokoju.

– Roger, coś mi wyskoczyło. Będę musiała lecieć – poinformowałam, kiedy obaj odwrócili się do mnie. – Co z tajpanem? Mogę go tu zostawić?

– Oczywiście – zgodził się Roger, chociaż czoło miał zmarszczone. – Nie

wiem, czy zdołamy znaleźć dla niego dom, ale na krótko możemy go przyjąć.

– Ja go wezmę – oświadczył North. Oboje spojrzeliśmy na niego. – Jesienią planuję wyjazd do Papui – wyjaśnił. – Jeśli jest zdrowy i dostanę pozwolenie na wywóz, mogę zawieźć go do domu. A do tego czasu będzie prawdopodobnie bezpieczniej, jeśli zostanie ze mną.

– Cóż, to nie ulega wątpliwości, ale jesteś pewien? – dopytywał się Roger z niepokojem. – Nie chciałbym ci nic narzucać.

– O nic się nie martw, brachu – odparł North, ale patrzył na mnie. – Coś się stało?

Naprawdę nie zamierzałam nic mówić. To nie był ich problem, nie był nawet mój, ale...

– Dzwonili ze szpitala Dorset County – odparłam. – Mężczyzna, który został ukąszony w nocy przez, jak sądziłam, zaskrońca...

– Tak, co z nim? – zainteresował się Roger. North spochmurniał.

– Pogorszyło mu się.

## 10

**R**yzykowałam i jechałam za szybko, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że nie spałam całą noc, mimo to przed sobą nie widziałam land rovera Seana Northa. North uparł się, że pojedzie ze mną obejrzeć Nicka Poulsona w szpitalu – twierdził, że to dla niego po drodze, bo mieszka w Lyme Regis – ale odjechał takim pędem, że nie śmiałam się z nim ściagać.

Myślałam o tym, co mnie czeka, w jakim stanie zastanę Nicka Poulsona. Formalnie rzecz ujmując, zaskrońce mają gruczoły jadowe. Ale nie mają mechanizmu, który pozwalałby wstrzyknąć jad ukąszonej ofierze. Naprawdę nie sądziłam, że Nick zachoruje w wyniku ukąszenia zaskrońca. Tak samo uważali Roger i Sean North. Uznaliśmy, że przyczyna złego stanu Poulsona musi leżeć gdzie indziej.

Albo to nie zaskroniec go ugryzł.

Kiedy wjechałam na parking przed szpitalem, land rover Northa stał blisko wejścia, na miejscu przeznaczonym dla osób niepełnosprawnych. Zaparkowałam – na dozwolonym miejscu – i wysiadłam, mając nadzieję, że North wszedł beze mnie, może nawet już wszystko ustalił i będę mogła spokojnie się ulotnić. Uzbrojona w tę nadzieję, zajrzałam w najbrudniejszą szybę, jaką wiedziałam kiedykolwiek w pojeździe poruszającym się po drogach. North spał. Stojąc w odległości wyciągniętego ramienia i patrząc w przeciwną stronę, zastukałam w okno. Sekundę później usłyszałam, że drzwi się otwierają.

– Co tak długo? – spytał, gramoląc się z siedzenia.

– Jestem tu prawie od godziny – warknęłam. – Czekałam, aż się obudzisz. – Pomaszerowałam do wejścia. Weszłam i w recepcji spytałam, gdzie znajdę



Nicka Poulsona, a potem ściągnęłam windę. Kiedy jej drzwi się zasunęły, Nick oparł się o tylną ściankę i zamknął oczy. Zastanawiałam się, czy znowu zaśnie, i postanowiłam, że zostawię go w windzie.

Ale kiedy drzwi się otworzyły, jego oczy również to uczyniły. Przy stanowisku pielęgniarek spotkaliśmy Harry'ego Richardsa, lekarza, który szukał mojej porady po raz drugi. Wyglądał, jakby w ostatnich dniach spał nawet mniej niż ja, ale wydawał się szczerze ucieszony, że mnie widzi, i pozytywnie zachwycony, kiedy przedstawiłam mu Northa. Powiedział, że Nick Poulson na początku czuł się dobrze, w nocy jednak zaczęło mu się pogarszać. Krew już oddano do analizy, wyniki miały nadejść najwcześniej za godzinę. Po tym, co stało się z Johnem Allingtonem, doktor Richards poważnie niepokoił się o swojego kolejnego pacjenta.

Nick Poulson leżał w łóżku. Był spocony, miał silne wypieki, oczy nieco zbyt błyszczące. Oddychał szybko i płytko i zdecydowanie sprawiał wrażenie, że nie czuje się najlepiej.

– Jak leci, kolego? – spytał North.

Nick gapił się na Northa, gdy doktor Richards dokonywał prezentacji. Potem spojrzał na mnie.

– Słyszałem, że wczoraj w nocy znalazła pani w moim domu jadowitego węża – powiedział. – Jakiegoś z Australii.

– Z Papui-Nowej Gwinei – wymamrotałam.

– To coś, co mnie dziabnęło, to nie był zaskroniec, jestem tego pewny. To paskudztwo było czarne, miało jakieś półtora metra...

Ludzie zawsze myślą, że zaskronce są zielone i wiele z nich jest. Ale mogą być też w różnych odcieniach brązu, szarości i czerni. Półtorametrowy czarny wąż mógł być zaskroncem. Z drugiej strony...

– Jakie są objawy? – zapytał North.

Doktor Richards nie musiał zaglądać do karty Nicka.

– Ból głowy, mdłości i wymioty, rozwolnienie, skurcze żołądka i gorączka – wyrecytował. – Pierwsze cztery, pięć godzin był w dobrym stanie, ale z rana

zaczął czuć się gorzej.

– Mogę obejrzeć ranę? – poprosił North.

Doktor Richards podniósł rękę Nicka i oderwał plaster przytrzymujący opatrunek. Odsłonił gazę. Miejsce wokół ukąszenia było spuchnięte i zaognione. Skóra świeciła jaskrawą czerwienią, wydało mi się, że przy ranie dostrzegłam ropę. Nie wyglądało to dobrze. Zerknęłam w górę, przechwytyjąc spojrzenie doktora Richardsa. On też nie wyglądał najlepiej.

– Czy rana krwawiła? – spytał North.

Nick spojrzał na Richardsa.

– Nie – zaprzeczył lekarz.

– Niech mi pan pokaże swoje dziąsła – powiedział North do Nicka.

– Moje co?

– Dziąsła, kolego. Proszę otworzyć usta.

Kolejna wymiana spojrzeń między pacjentem a lekarzem, potem Nick otworzył usta. North nachylił się, wymamrotał ciche „proszę wybaczyć” i chwycił Nicka za górną wargę. Odciągnął ją, żeby lepiej widzieć dziąsła, obejrzał górną część jamy ustnej i potem to samo zrobił z dolną.

– Ma pan jakiegokolwiek problemy z oddychaniem?

Nick pokręcił głową.

– Sikał pan od czasu przyjęcia? – spytał następnie North.

Nick przytaknął ruchem głowy. Widać było, że zastanawia się, co za szaleńca na niego nasłaliśmy.

– Jakiej barwy był mocz?

– Och, na litość boską?

– To istotne, kolego. Normalnej? Słomkowej, żółtej? Czy był czerwonobrazowy?

– Był normalny – wymamrotał Nick, którego oczy przeskakiwały od lekarza do mnie. Jakby któreś z nas potrafiło mu cokolwiek wyjaśnić.

– Może pan poruszać rękami i nogami? Gdyby pan musiał, mógłby pan chodzić?

W odpowiedzi Nick Poulson ściągnął kołdrę, przerzucił nogi przez brzeg łóżka i wstał. Nie trzymał się na nogach stabilnie, ale przeszedł przez pokój, a

potem odwrócił się do nas.

– Gratuluję, kolego, nie ukąsił pana tajpan – oświadczył North, wyglądający na bardzo z siebie zadowolonego.

– Ale skąd ta pewność? – zdziwił się doktor Richards.

– ...do diabła, pan to wie? – warknął równocześnie Nick.

– Jad tajpanów jest szczególnie paskudny, bo zawiera zarówno neurotoksyny, jak i antykoagulanty – zaczął North, splatając ręce na piersi i opierając się o ścianę. – Neurotoksyny atakują układ nerwowy. Blokują między innymi nikotynowe receptory acetylocholinozależne. U większości ofiar, które nie otrzymają antytoksyny, w ciągu czterech do sześciu godzin dochodzi do porażenia mięśni oddechowych. Antykoagulant powoduje ciągłe krwawienie z rany i dziąseł. Problemem jest krwawienie wewnętrzne, zwłaszcza śródmózgowe. Dostałby pan drgawek, prawdopodobnie zapadłby w śpiączkę. A, i trucizna niszczy tkanki. Wraz z degeneracją mięśni i przejściu przez nerki pański mocz stałby się czerwonawobrazowy.

North zrobił przerwę na oddech, dając nam szansę na wtrącenie się. Nikt się nie odezwał. Po ułamku sekundy zaczął mówić znowu.

– To, co naprawdę staram się powiedzieć, choć w dość okrężny sposób, to, że wiem to stąd, kolego, że nie ukąsił pana tajpan, bo wciąż pan żyje.

Krew odpłynęła z twarzy Nicka Poulsona na naszych oczach. Wrócił do łóżka i opadł na nie. Nikt się nie odzywał przez, jak się wydawało, bardzo długą chwilę. Potem North zwrócił się do mnie.

– I póki jestem przy głosie, kochanie, kiedy następnym razem natkniesz się na jednego z tych zasańców, nie podnoś go.

Nie odpowiedziałam. Ale daleko mi było do spokoju. Spojrzałam na łóżko Nicka Poulsona i uświadomiłam sobie, jak niewiele brakowało, żebym też się tu znalazła. Albo na wózku w kostnicy.

– W takim razie, co mi jest, do cholery? – zdenerwował się Nick.

North odsunął się od ściany i dał krok w stronę łóżka. Nachylił się, żeby jeszcze raz zerknąć na ranę.

– Powiedziałbym, że wdało się zakażenie – rzekł. – Większość zaskrońców przenosi salmonellę. Kilka dni na antybiotyku powinno postawić pana na nogi.

Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech.

– Cóż, mam wielką nadzieję, że się pan nie myli – odezwał się doktor Richards, który wyglądał na tak wdzięcznego, jak ja się czułam. – Wyniki badania krwi powinny nadejść zaraz. Ze zwykłą infekcją na pewno sobie poradzimy.

Zostawiliśmy Nicka Poulsona – wcale nie aż tak szczęśliwego, jak się wydawało, że będzie po usłyszeniu, że jednak jeszcze nie umrze – i na zaproszenie doktora Richardsa poszliśmy piętro wyżej do jego biura. Nad kawą, którą North i ja piliśmy, jakbyśmy umierali z pragnienia, wyjaśniłam, do jakich wniosków doszliśmy w Eolu: że choć jad w krwi Johna Allingtona zdecydowanie pochodził od zwyczajnej żmii, to jego stężenie wydaje się zbyt wysokie jak na ukąszenie pojedynczego węża. Doktor Richards wyszperał kilka zdjęć rany Johna Allingtona, zrobionych tuż po przyjęciu, w dwa dni później i po śmierci. Sean North wyłuszczył później swoją teorię o innych, mniej zauważalnych, śladach ukąszeń.

– Mogło nie być oczywistych znaków po dwóch kłach, a tylko seria drobniejszych zadrapań i tylko jedna większa rana kłuta. Należałoby też oczekiwać miejscowego obrzęku i może nieznacznego przebarwienia skóry.

Richards pokręcił głową.

– Niczego takiego nie zauważyłem. Ale, chcąc być do końca szczerym, nie pomyślałem o wielokrotnych ukąszeniach. Byłem zbyt zajęty leczeniem tego, które mogłem zobaczyć.

North przyglądał się jednemu ze zdjęć.

– Podejź tu, Claro, i spójrz – powiedział. Zamiast podać mi zdjęcie, przywołał mnie, więc byłam zmuszona nachylić się nad oparciem jego krzesła.

– Coś cię uderza? – spytał.

Sięgnęłam po zdjęcie. North puścił je, a ja przesłałam pod okno. W pokoju było wystarczająco jasno, ale po prostu czułam się niekomfortowo, stojąc blisko Northa. Uznałam, że jest w nim coś gadziego. Miał ten zwyczaj intensywnego wpatrywania się, jakby mierzył cię przed... przed czym?... zaatakowaniem... I zamiast oglądać zdjęcie, zastanawiałam się, czy Sean North robi coś takiego. Wiedziałam, że znowu się na mnie gapi, zmusiłam się

więc do skupienia uwagi na zdjęciu.

Widać było na nim szyję mężczyzny, było zrobione z odległości zaledwie kilku centymetrów. Musiało powstać zaraz po przyjęciu Allingtona, bo obrzęk wokół rany był minimalny. Widziałam pory w skórze, igiełki zarostu na brodzie i sztywne szare włoski na karku. Dwie kłute rany, czerwone, z odrobiną otaczającej krwi, były wyraźnie widoczne tuż nad obojczykiem.

– I co myślisz? – spytał North. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że mnie testuje. Miałam ochotę odpowiedzieć: nie, nic mnie nie uderza, i oddać zdjęcie, ale...

– Zmierzyliście odległość między tymi dwiema rankami? – spytałam Harry'ego Richardsa, rozmyślnie ignorując Northa.

Richards kilka sekund przekładał notatki, potem spojrzał w górę.

– Osiemnaście milimetrów – powiedział. – Ale dlaczego, co...

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko spojrzeć na Northa. Brwi miał uniesione, jakby był jakimś nauczycielem czy kimś takim. I dlaczego, na litość boską, tak żałośnie zależało mi, żeby mu zaimponować?

– To trochę za mało – spróbowałam, chociaż prawda była taka, że wcale nie pamiętałam anatomii żmii. Ale ukąszenie po prostu nie wyglądało na szczególnie duże.

– Teoria o wężu mutancie daleko nas jednak nie zaprowadzi – zgodził się North.

– Nie bardzo... – zaczął doktor Richards.

North odwrócił się do niego.

– Zakładam, że coroner ma zamiar wykonać sekcję?

Richards skinął głową.

– Prawie na pewno – przytaknął.

– Powiedźcie patologowi, żeby dokładnie zbadał tę ranę i porównał ją z tym, co wiadomo o ukąszeniach żmij – ciągnął North. – Powinien też sprawdzić, czy nie ma innych ukąszeń. Krew powinna zostać...

– A może pan by zerknął? – zaproponował Richards.

– Ja? – powtórzył North. Pokręcił głową. – Nie mam żadnych kwalifikacji w tej dziedzinie, kolego.

Przeżyłam moment satysfakcji, kiedy uświadomiłam sobie, że ten wielki macho niezbyt się pali do obejrzenia zwłok. Potem dotarło do mnie, że jeśli North odmówił, ja mogę być następną na liście.

– Ta cała sytuacja jest dla mnie trochę krępująca – przyznał się Richards. – Jeśli mam być szczery, moi koledzy niespecjalnie się ze mną zgadzają. Fakt, że wąż został zidentyfikowany i potwierdzono, że to jad żmii, im wystarcza. Ale John Allington był moim pacjentem i muszę przekazać koronerowi tyle informacji, ile tylko zdołam. A mnie się po prostu nie wszystko podoba. – Odczekał chwilę, licząc, że któreś z nas coś powie. – I państwo też nie wyglądacie na zachwyconych – dodał, gdy żadne z nas się nie odezwało. – Nie podoba mi się rana na głowie, którą miał pacjent – kontynuował – ani to, że pan Allington miał siłę zabić węża, ale nie miał siły, żeby wezwać pomoc. Niepokoi mnie rodzina przywieziona wczoraj w nocy i małe dziecko, które było tu wczoraj. Rozumiem, że ono też zostałoby ukąszone, gdyby pani tam nie było, panno Benning.

– Dobrze, zerknę – odparłam. – Chociaż, szczerze mówiąc, moje doświadczenia, jeśli chodzi o ukąszenia węży, są znikome.

Przez sekundę North gromił mnie wzrokiem, potem zobaczyłam, że pod wpływem uśmiechu twarz pokrywa mu się siateczką drobnych zmarszczek.

– No, już dobrze, dobrze – mruknął, kręcąc głową. – Chryste, zaczynam żałować, że nie zostałam w dżungli.

# 11

**N**igdy wcześniej nie widziałam ludzkich zwłok i w windzie, którą zjeżdżaliśmy do szpitalnej kostnicy, mogłam myśleć tylko o tym, że mama zmarła w tym samym dniu co John Allington. Teraz leżała gdzieś w jakiejś chłodni, a jej ciało przypuszczalnie znajdowało się w dokładnie takim samym stanie, jak to, które miałam obejrzeć. I nie mogłam pozbyć się dziwacznej myśli, że po otwarciu worka ze zwłokami wyjrzy na mnie z niego twarz mamy.

Całą drogę ćwiczyłam w myślach zdanie, które pomogłoby mi wycofać się jednak z oględzin: Przykro mi, ale w tym tygodniu zmarła moja matka. Zrozumieliby mnie, oczywiście, ale musiałabym zmierzyć się z całą serią pytań: kiedy? jak? dlaczego? Mieliby kolejny powód do uzalania się nade mną.

Ostatecznie nie powiedziałam nic i szybciej, niż mogłam się spodziewać, znaleźliśmy się pod drzwiami kostnicy. Weszliśmy do środka i Richards przeprowadził nas przez małą poczekalnię dla bliskich do następnego pokoju. Tam większą część ściany zajmowała duża szyba. Przez nią mogliśmy zobaczyć jasno oświetloną salę. Stałam tam, myśląc: A co, jeśli zemdleję, co, jeśli zwymiotuję? Pomyśli, że jestem skończoną idiotką.

– Chcesz kurtkę? – spytał North, nachylając się do mojego ucha. Pokręciłam głową i odsunęłam się, zanim zdążyłby zauważyć, że znowu zadrżałam. A tam wcale nie było aż tak zimno.

Harry Richards przeprosił nas i wyszedł. Po sekundzie zobaczyliśmy, że wchodzi do sali zabiegowej i rozmawia z jednym z pracowników. Asystent laboratoryjny zerknął na Northa i na mnie za szybą. Przeszedł do telefonu, mówił do niego kilka sekund, po czym skinął głową do doktora Richardsa.

Potem zniknął, a w tej samej chwili North odwrócił się do mnie.

– Claro, to może nie być najprzyjemniejszy widok – zaczął. – Nie musisz w tym uczestniczyć. Może lepiej zaczekaj na zewnątrz?

Całkiem rozsądna propozycja. Nie byłam ani lekarzem, ani herpetologiem i gdybym miała choć trochę oleju w głowie, zapewne natychmiast bym się zgodziła.

– Pan sam jest lekko zielonkawy, panie North – zauważyłam. – Może to pan powinien wyjść.

North wzruszył ramionami i odwrócił się do okna właśnie wtedy, gdy dwóch techników przez duże podwójne drzwi wprowadzało wózek. Zatrzymali się o dwa kroki od naszego okna, rozsunęli zamek czarnego worka i wyciągnęli leżące w nim zwłoki. A ja, chociaż przygotowałam się na najgorsze, nie mogłam powstrzymać cichego okrzyku.

Ostatnie pięć dni życia Johna Allingtona nie były łatwe. Miałam szczerą nadzieję, że środki przeciwbólowe, które mu podawano, były silne i że miał bardzo małe pojęcie o tym, co się działo z jego ciałem.

Ponieważ zaczęło ono obumierać na jakiś czas przed tym, zanim przestało bić serce.

Gdy ostatnio o tym czytałam, nauce znanych było dwadzieścia rodzajów toksyn obecnych w jadzie węży, każda z własną specyficzną funkcją. Niektóre mają za zadanie sparaliżować ofiarę, inne są po to, by strawić i rozbić tkankę. Jad każdego gatunku węża zawiera zwykle od sześciu do dwunastu takich toksyn: własny koktajl śmierci. Żmija należy do rodziny żmijowatych i jej jad składa się z hemotoksyn (niszczących komórki krwi), cytotoksyn (niszczących tkanki) i antykoagulantów (hamujących proces krzepnięcia krwi).

Wszystko to miało czas zadziałać w organizmie Johna Allingtona. Miejsce wokół ukąszenia, tuż nad obojczykiem, było tylko minimalnie obrzęknięte, ale obie ręce i lewa noga spuchły straszliwie. Częstą komplikacją ukąszeń węży jest ostra postać zespołu ciasnoty międzypowięziowej, gdy do opuchlizny dochodzi w przestrzeniach między tkankami głębokimi – jak mięśnie – co powoduje powiększenie kończyny. Na prawej ręce Allingtona zostało wykonane nacięcie powięzi w celu zmniejszenia ucisku. Dwa głębokie



nacięcia, jedno po każdej stronie, biegły od punktu tuż pod barkiem aż do łokcia. Allington zmarł, zanim opuchlizna zesza, i rana wciąż była otwarta, spomiędzy fałdów żółtosinej skóry sterczał mięsień.

Podeszłam bliżej do szyby, ciekawa, jak wyglądał mężczyzna, który przez kilka lat był moim sąsiadem. Allington zbliżał się do siedemdziesiątki, ciemnoszare włosy tworzyły zakola na skroniach, na czubku głowy były przerzedzone. Wzrostu metr osiemdziesiąt dwa, może trzy, kiedy był młodszy, musiał być wysportowany.

Mógł być kimś zupełnie mi obcym, nic w nim nie wydawało się znajome. Dwadzieścia cztery godziny po śmierci skóra na twarzy przybrała cytrynowożółty odcień, przez co wyglądała jak ulepiona z wosku. Usta rozciągnięte, jakby nawet teraz Allington próbował wziąć ostatni oddech, kąciaki otwartych oczu mętne i białe jak kreda.

Na ramieniu poczułam dotyk dłoni Seana Northa. Odwróciłam się i zobaczyłam, że patrzy w duży monitor w rogu pokoju. Harry Richards, z małą ręczną kamerą w dłoni, obchodził stół i obraz, który filmował, był transmitowany na ekran w naszym pokoju. Technologia pozwoliła Northowi i mnie, jak również doktorowi Richardsowi, sprawdzić, czy na nienaruszonych partiach ciała Allingtona widnieją inne ślady po ukąszeniach.

Martwica, która szczęśliwie dla Allingtona rozwinęła się, kiedy jeszcze żył, objęła prawą rękę. Wszędzie indziej ciało, mimo że obrzęknięte, nie nosiło śladów ugryzień. Było kilka zadrapań, ale nie dopatryliśmy się nakłuc. Małe ranki po ukąszeniu mogły się oczywiście zabiżnić w ciągu tych kilku dni, które spędził w szpitalu. Ale małymi nie doszłoby do wprowadzenia jadu do organizmu. Żeby tak się stało, kieł musi się wbić głęboko w tkankę. Jeśli John Allington miał gdzieś inne poważne rany, my ich jeszcze nie odkryliśmy.

Tyle że tych ran nie było. Po kilku minutach zwłoki zostały przekrecone i doktor Richards wznowił swój powolny obchód wózka. Po dwudziestu minutach byliśmy pewni, że na ciele Johna Allingtona nie ma innych śladów ukąszeń.

– To ślepa uliczka – stwierdził w końcu Harry Richards, nie próbując nawet ukryć zawodu.

– No, nie byłbym taki przekonany – odparł North. – Mógłby pan wrócić do rany na szyi? Claro, podejź tu na sekundkę.

Zastanawiając się, kiedy właściwie wyraziłam zgodę na to, żeby North traktował mnie jak asystentkę, pozwoliłam mu podprowadzić się do monitora. Kamera w dłoni Harry’ego Richardsa była wycelowana w ranę na szyi Allingtona. North odsunął się, żebym mogła podejść bliżej do ekranu.

– Powiedz, co widzisz.

Przyjrzałam się. Widziałam dwie kłute ranki, każda szeroka na mniej więcej cztery milimetry, widniejące tuż nad obojczykiem.

– Przykro mi – zaczęłam – ale...

– Czy tą kamerą można zrobić powiększenie?! – zawołał North.

Po sekundzie lub dwóch obraz powiększył się dwukrotnie.

– Myśl o tym, jak żmija atakuje – ponaglał mnie North. – Mów, co wiesz.

Zastanowiłam się. Niektóre węże, kobry na przykład, mają stosunkowo krótkie nieruchome kły. Zęby jadowe żmii są o wiele dłuższe. Pracują na zawiasie, przeskakując na miejsce, kiedy potrzeba, a potem powracają w stan spoczynku, horyzontalnie w szczęcie, gdy nie są używane.

– Mają długie zęby – zaczęłam. – Nakłucia byłyby głębokie.

– I te takie są, oczywiście. Mów dalej...

– Żmije należą do rodzaju węży, które chwytają i puszczaają – powiedziałam. – Kąsają raz, mocno, zaciskając dolną szczękę, żeby kły zatopiły się głębiej, a potem puszczają.

– Ile zębów mają w dolnej szczęcie?

– Dwa rzędy, zwykle.

– Skoro więc dolna szczęka jest tak istotna dla mechanizmu ukąszenia, spodziewałabyś się znaleźć ślady po dolnych zębach?

Spojrzałam na niego, zapominając, że jestem zła, potem z powrotem na ranę.

– Tak – zgodziłam się. – Spodziewałabym się.

Harry Richards trzymał kamerę stabilnie, zerkał jednak ciągle w naszą stronę. Na tym etapie nawet dwóch pomocników wyglądało na zainteresowanych.

– Nic tam nie ma – stwierdził Richards. – Żadnych śladów po zębach

poniżej rany.

North zignorował go.

– A co z górnymi zębami? – zwrócił się do mnie.

– Żmije mają mniej niż większość węży – odpowiedziałam, usiłując przypomnieć sobie, co czytałam na ten temat, gdy pracowałam z węzami. – W górnej szczęce mają pustą przestrzeń, żeby kły mogły się złożyć.

– Diastema – mruknął ponagłajaco North.

– Ale mimo wszystko zęby są. Dwa rzędy, jak mi się wydaje.

– Widzisz po nich jakieś ślady?

Pokręciłam głową.

W tej chwili stałam już na palcach, by móc lepiej widzieć ekran. North położył mi rękę na ramieniu, żeby mnie uspokoić.

– Przyjrzyj się nakłuciom – polecił. – Myśl o tym, jak kły wbijają się w ciało...

Spojrzałam. Co takiego, właściwie, chciał, żebym zobaczyła?

– Zastanów się, jak się wysuwają...

Oczywiście! Skóra byłaby poszarpana. Nie bardzo, ale jednak trochę, rana nie byłaby taka regularna, dałoby się określić kąt, pod jakim wąż wbił się w tkankę.

– Widzisz coś?

Popatrzyłam na Northa, na ekran, znowu na Northa. Uśmiechnął się i mimowolnie ja też to uczyniłam.

– Nie, nic. Rany są idealnie regularne.

– No dobra, ludzie, naprawdę jestem bardzo cierpliwy – odezwał się Richards – ale może jednak ktoś by mi wyjaśnił, co tu się dzieje?

North odsunął się, ale nie zabrał ręki z mojego ramienia. O dziwo, już mi to nie przeszkadzało.

– Pański pacjent zmarł na skutek zatrucia jadem żmii – oznajmił.

– Tak – warknął poirytowany już Richards. – Wiemy, że...

– Co jest interesujące, biorąc pod uwagę fakt, że nie został ukąszony przez żmiję.

## 12

**M**ówi pan, że Allingtonowi ktoś wstrzyknął jad żmii? – Wychodziliśmy z kostnicy. W głosie Richardsa pobrzmiewało niedowierzenie. Szczerze mówiąc, nie dziwiłam mu się. – Czy to w ogóle możliwe? – kontynuował.

– Najłatwiejsza rzecz pod słońcem, jeśli ofiara jest nieprzytomna – zapewnił North. – Jeśli dobrze zrozumiałem, John Allington uderzył się w głowę?

– Przewrócił się – potwierdził Richards.

– Jest pan pewien? – spytał North.

Brak odpowiedzi.

– Każdy, kto zna się na węzach, jest w stanie uzyskać jad żmii – ciągnął North. – Jeśli pozyska się go z kilku, mogło wystarczyć jakieś sześć sztuk, otrzyma się takie stężenie, jakie zawierała próbka krwi Allingtona.

– I można ten jad komuś po prostu wstrzyknąć? – dopytywał się Richards. – W jaki sposób... strzykawką?

North wzruszył ramionami.

– Nigdy sam tego nie robiłem, ale nie widzę powodu, dlaczego by nie – odparł. – W przypadku naszego przyjaciela powiedziałbym, że wstrzyknięto go dość głęboko. Wokół samego miejsca ukąszenia obrzęk był bardzo niewielki, to pierwsza rzecz, która wzbudziła moją podejrzliwość, a później, ktokolwiek to był, wziął ostry, cienki przyrząd, coś jak mały śrubokręt, i zrobił te dwie kłute rany, żeby zamaskować ślady po igle.

Richards przystanął. Spojrzał na Northa.

– Uderzenie w głowę, mówi pan? – powtórzył.

North zmarszczył czoło.

– Cóż, powiedzmy, że uraz głowy. Przyczyna nieznana.

– O co chodzi? – spytałam.

Richards przeniósł spojrzenie na mnie.

– Ojciec Nicka Poulsona też został wczoraj przyjęty do szpitala – poinformował. – W zasadzie zatrzymaliśmy całą rodzinę, ale matkę i dzieci rano wypisaliśmy.

North i ja czekaliśmy.

– Starszy pan doznał niewielkiego wstrząśnienia mózgu – dodał Richards po chwili. – Uderzył o coś głową.

– Na jego poduszce była krew – powiedziałam. – I w jego pokoju policja znalazła martwą żmiję.

Staliśmy tam, na środku korytarza, mijani przez pracowników i odwiedzających. Wydawało się, że żadne z nas nie wiedziało, co powinno powiedzieć. Czy Ernest Amblin miał jako następny zginąć taką samą śmiercią jak John Allington? Ostatecznie to ja przerwałam milczenie.

– Sądzę, że powinien pan porozmawiać z policją – zwróciłam się do Richardsa.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się North. – Nie chcemy, żeby połowa południowej Anglii wpadła w histerię z powodu węży. Może zanim zaczniemy panikować, sprawdzimy najpierw, czy koleś nie zechce z nami porozmawiać? Jego żmija nie ukąsiła, prawda?

– Nie, ale...

– To co? Myślicie, że przyjmie gości?

Ernest Amblin nie tylko nas przyjął, ale wręcz się ucieszył. North i ja czekaliśmy przy stanowisku pielęgniarek tylko kilka sekund, zanim Harry Richards nas przywołał. Starszy pan usiadł w łóżku, a ja zorientowałam się, że widziałam go poprzedniego wieczoru u Clive'a Ventry'ego. Był jedną z pięciu starszych osób siedzących przy stole w rogu.

– Ten wąż, którego znaleźliście – zaczął, kiedy byliśmy kilka kroków od łóżka. – Ten jadowity. Wiecie co to jest? – Patrzył na mnie i mówił tylko do

mnie.

Rzuciłam szybkie spojrzenie na Northa, doktor Richards podszedł do łóżka i podniósł zagłówek, żeby Ernest Amblin miał podparcie. North kiwnął głową, dając mi znak, żebym kontynuowała. Richards próbował bezskutecznie przekonać Amblina, żeby się oparł.

– Sądzymy, że to był tajpan – odparłam, zwracając się znów do doktora Amblina. – Występują na półkuli południowej, w Australii i Papui-Nowej Gwinei. Ale jesteśmy prawie pewni, że to nie tajpan ukąsił pańskiego zięcia...

– Tak, tak – przerwał mi Amblin. – Ale czy na pewno jesteście pewni? No, że pochodzi z półkuli południowej? Nie mógł pochodzić skądś indziej?

– A na przykład skąd? – zainteresował się North.

– Proszę wybaczyć – rzucił Richards. – Doktorze Amblin, to...

– Na przykład z Afryki – warknął Amblin. – Albo... – Jego oczy przeskakiwały od Northa do mnie, kompletnie ignorował swojego lekarza. – Albo z Ameryki Północnej? Mógłby? Mógł pochodzić z Ameryki Północnej?

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, znowu więc spojrzałam na Northa.

– Nie – zaprzeczył North, który nie odrywał wzroku od Amblina. – Tajpanów nigdy nie widziano nigdzie poza Azją i Oceanią. A jedyny zdradnicowaty w Ameryce Północnej to wąż koralowy. To bardzo charakterystyczne węże, z jaskrawymi kolorowymi pasami. To nie jest jeden z nich.

Amblin jakby skurczył się w sobie.

– Dziękuję – wymamrotał i jego spojrzenie zsunęło się na opasującą go w talii kołdrę. Dopiero wtedy miałam chwilę, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Był dobrze się trzymającym starszym panem po siedemdziesiątce, mnóstwo gęstych stalowoszarych włosów, brązowe oczy za mocnymi szklami okularów. Duży kwadratowy opatrunek zakrywał ranę na lewej skroni.

– Doktorze Amblin, wczoraj w nocy znaleźliśmy u pana w sypialni żmiję – odezwałam się. – Czy to pan ją zabił?

Popatrzył na mnie krótko, a potem znowu spuścił wzrok. Zaczął kręcić głową, skrzywił się.

– Nie – odpowiedział i podniósł dłoń, żeby dotknąć rany. – Nie widziałem

żadnej zmi. – Znowu popatrzył w górę. – Gdyby mnie ukąsiła, wiedziałbym o tym?

– O tak – zapewnił North.

Z pozoru usatysfakcjonowany, Amblin uspokoił się.

– Nie wiem, czy ten paracetamol, który mi pan dał, doktorze Richards, w ogóle pomaga – powiedział, nie podnosząc oczu. – Mógłby pan mi przepisać coś silniejszego? Naprawdę chciałbym się trochę przespać.

– Zobaczę, co da się zrobić – odpowiedział Richards, który obszedł łóżko, żeby widzieć twarz pacjenta. – Może nam pan opowiedzieć, jak się pan zranił w głowę?

Amblin zamknął oczy, potem otworzył je i skupił wzrok na niczym konkretnym.

– Obawiam się, że nie – odparł w końcu. – Chyba się jeszcze w pełni nie obudziłem. Coś mi się śniło. Coś złego. Ktoś z dawnej... Potem usłyszałem, że Nick krzyczy do dzieci, żeby się budziły. Nie bardzo pamiętam, co było dalej. Ocknąłem się dopiero, gdy byliśmy na zewnątrz. Musiałem spaść ze schodów albo coś takiego.

Doktor Richards oznajmił, że jego pacjent musi odpocząć. North i ja zrozumieliśmy aluzję, lekarz odprowadził nas do drzwi oddziału, ale nie powiedział, co myśli, tylko podziękował i oddalił się szybko.

– Na poduszce doktora Amblina była krew – przypomniałam, gdy czekaliśmy na windę. – Dlaczego miałyby tam być, gdyby zranił się w głowę na schodach?

– Ranka po goleniu? – zasugerował North. – Albo może pamięta więcej, niż mówi. Nie jestem pewien, czy ta winda działa.

Ruszyliśmy szukać klatki schodowej.

– I jeśli nie on zabił żmiję, to kto? – pytałam dalej, gdy schodziliśmy. North nie odpowiedział. Dotarliśmy na dół i zaczęliśmy się kierować w stronę wyjścia. Przy recepcji zatrzymałam się. – To wszystko się nie zgadza – oznajmiłam. North też przystanął. – Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, zbierać jad żmij i wstrzykiwać go ludziom, skoro miał do dyspozycji tajpana? Jego ukąszenie to pewna gwarancja śmierci.

W SOR-ze był tłok. Ludzie zaczęli zwracać na nas uwagę i przyglądać się nam.

– Może pewna, ale o wiele trudniejsza do uznania za naturalną niż zgon starszego pana na skutek ukąszenia żmii – odparł North. – Jakie były szanse, że Richards zacznie coś podejrzewać, że skontaktuje się z tobą i że ty spotkasz mnie? Powiedziałbym, że ktoś ma sporego pecha. Witam! Co słychać?

Ku mojemu przerażeniu dokoła nas zebrał się niewielki tłumek gapiów. Ale tym razem nie gapili się wcale na mnie. Interesował ich Sean North. Zupełnie zapomniałam, że często występował w państwowej telewizji. I był z tego typu ludzi, których nie zapomina się szybko.

Powoli, co chwila przystając, żeby uścisnąć czyjąś dłoń lub złożyć autograf na skrawku papieru, North przedzierał się do wyjścia szpitala, a ja za nim. W końcu pozostawiliśmy jego fanów za sobą.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć zabić starszego pana? – spytałam, mówiąc bardziej do siebie niż do Northa, kiedy przecinaliśmy parking.

North uśmiechnął się do mnie.

– To pytanie dla policji – rzucił. – Jestem specem od gadów, a nie detektywem. Naprawdę miło było cię poznać, Claro, ale teraz muszę lecieć.



## 13

**G**dy dotarłam na miejsce, był kwadrans po jedenastej i w kościele były dzwony. Znalezienie wolnego miejsca parkingowego stanowiło problem nawet nie w niedzielę, w końcu jednak je znalazłam, a potem ruchliwą ulicą zawróciłam do kościoła, powszechnie uznawanego za jedną z najpiękniejszych budowli okresu normańskiego. Olbrzymia prostokątna wieża pięła się w górę przede mną, zasłaniając poranne słońce, kiedy przechodziłam przez bramę i szłam kościelną alejką. W południowym przedsionku klatkę z sowimi pisklętami upchnęłam pod drewnianą ławkę. Większą część dnia miałam spędzić poza domem, nie pozostawało mi więc nic innego, jak zabrać pisklęta ze sobą.

Głos archidiakona słychać było nawet przez grube cisowe drzwi. Wiedziałam z doświadczenia, jaki będzie hałas, gdy otworzę stare drzwi i jak wszystkie głowy wiernych odwrócą się, żeby popatrzeć na intruza, ale nauczyłam się pewnej sztuczki. Pchnęłam drzwi delikatnie, aż poczułam opór, i podniosłam rygiel tak wysoko, jak się dało. Potem przyciągnęłam lekko drzwi z powrotem i opuściłam rygiel. Popchnęłam cicho drzwi i te otworzyły się, nie wydając najmniejszego dźwięku. Tylko George, stary kościelny, widział, jak wchodzę i wślizguję się do pustej ławki na samym końcu. I oczywiście sam archidiakon, któremu nigdy nic nie umyka, nawet gdy odprawia nabożeństwo.

A to zbliżało się właśnie do końca. George przeszedł obok z modlitewnikami i śpiewnikami. Uśmiechnęłam się do niego, a on uściśnął mi rękę i oczy wypełniły mu się łzami. Szybko odwróciłam wzrok. Pastor ogłosił odśpiewanie ostatniego hymnu i parafianie, sekundę lub dwie po chórze,

powstali z miejsc.

W ostatnich dekadach liczba wiernych Kościoła anglikańskiego zaczęła się raptownie zmniejszać. Ale nie w moim rodzinnym mieście. Na niedzielnej mszy kościół był zwykle pełen i dzisiejsza nie stanowiła wyjątku. Silne głosy dwudziestu członków chóru wzbijały się w górę, parafianie dołączyli, z różnym stopniem talentu, za to w zgodnym entuzjazmie. Dołączyli wszyscy oprócz mnie. Zwykle lubiałam śpiewać w kościele, czułam się wtedy, jakby mój głos rozchodził się wokół jak ciepła fala. Dziś jednak nie miałam do tego serca.

Msza się skończyła i pastor pożegnał zebranych, błogosławiąc im i mówiąc, by odeszli w pokoju. Wierni odpowiedzieli zgodnie z uświęconym zwyczajem i zaczęli wychodzić. Trwało to długo, jak zawsze. Wszyscy chcieli uścisnąć dłoń i zamienić dwa słowa z proboszczem, a zwłaszcza z archidiakonem. Na przestrzeni lat obserwowałam, jak stawał się mistrzem uprzejmych pożegnań: krótka, całkowicie indywidualna pogawędka i ciepła, delikatna odprawa. Nikt nigdy nie poczuł się potraktowany inaczej niż z pełną życzliwości atencją.

Siedziałam na wpół ukryta za olbrzymią kamienną kolumną, z oczami spuszczonej w dół. W końcu nawą przeszło kilku ostatnich maruderów, więc wstałam. Odczekałam w kolejce, aż dwóch kapłanów pożegna ostatnich członków trzódki. Proboszcz dostrzegł mnie, poklepał po ramieniu i odszedł w pośpiechu. Wyciągnęłam dłoń do archidiakona. Przyjął ją dopiero po sekundzie lub dwóch, dzięki czemu miałam czas zauważyć, że wyglądał trochę szczuplej, niż gdy widziałam go ostatnio, i że włosy miał lekko rozczochrane i zdecydowanie było ich mniej. Na czole połyskiwały placki wyschniętej skóry, wydawało się, że jego oczy utraciły odrobinę ze swojego blasku. Ale kiedy ujął moją dłoń, jego ręka była miękka, ciepła i silna, tak jak zawsze. Widać było, że mnie potrzebował, ucieszyłam się więc, że przyjechałam do domu.

– Cześć, tato – powiedziałam. I to było wszystko, co zdołałam z siebie wydusić.

Ramię w ramię ruszyliśmy główną ulicą w stronę domu, który nazywałam swoim przez większość życia. Sprowadziliśmy się tu blisko trzydzieści lat temu, rodzina Benningów: tata, najjaśniejsza wschodząca gwiazda kościoła, w wieku czterdziestu trzech lat był jednym z najmłodszych kapłanów,

powołanych na stanowisko archidiakona, jego żona, Marion, prawie dwadzieścia lat młodsza, już wtedy zawiedziona życiem wiejskiego duchownego, Vanessa, starsza córka, rozwinięta nad wiek pięciolatka, i ja, dziewięciomiesięczne niemowlę. Wszyscy sądzili, że zostaniemy tu najwyżej dziesięć lat, zanim ojca wybiorą biskupem i przeniesiemy się, podążając zawsze do przodu, zawsze w górę. Ale tak się nie stało. Na początku byłam ja, trzeba było się mną zająć. Zanim minęło dziesięć lat, mama toczyła przegraną bitwę z alkoholizmem i głęboką depresją i nie była już uważana za dobry materiał na żonę biskupa.

– W domu jest Vanessa z całą bandą – zapowiedział ojciec, gdy skręciliśmy w bramę. – Chyba szykują lunch. – To było delikatne ostrzeżenie, ale zbędne. Widziałam Vanessę, jej męża Adriana i ich dwie córki w kościele i osunęłam się niżej w ławce, gdy wychodzili.

– Ale jak ten tajpan dostał się do sypialni małego chłopca? – spytała dziesięcioletnia Jessica.

– Bardzo dobre pytanie – odpowiedziałam, przepychając po talerzu kulki zielonego groszku. Nigdy nie potrafiłam zjeść dużo z tego, co podawała Vanessa. Nie o to chodzi, żeby jej gotowanie było złe, tylko... no cóż... wyglądało na to, że ilekroć byłam w pobliżu starszej siostry, tylekroć w moim brzuchu coś się zaciskało. – Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że uciekł od kogoś, kto zresztą prawdopodobnie nie powinien go w ogóle mieć – dokończyłam.

– Albo go wyrzucili, gdy właściciel stwierdził, że jego utrzymanie jest zbyt kłopotliwe – wtrącił się Adrian, mój szwagier.

– Cóż, to też jest możliwe – zgodziłam się. – I z pewnością nie zdarzyłoby się pierwszy raz. – W Eolu wielokrotnie byliśmy wzywani do odławiania egzotycznych węży w jakimś parku, na otwartej przestrzeni, nawet w przydomowych ogródkach. Węże, gdy są małe, wydają się słodkie, ale mają zwyczaj wyrastać na bardzo duże i silne.

– Ale o co chodzi z tymi zaskrońcami? – dopytywała się Jessica.

Dałam sobie spokój z próbami zjedzenia czegoś jeszcze i odłożyłam nóż i widelec. Kątem oka zauważyłam, że Vanessa gromi mnie wzrokiem. I usłyszałam ciche westchnienie ojca. Zaczynałam żałować, że wspomniałam o tej całej sprawie z węzami, ale rozmowa przy lunchu była trudna, nawet trudniejsza niż zwykle.

– Podobno zaskrońce zbierają się w roje – powiedziałam, nie chcąc zagłębiać się w żadną z pozostałych bardziej złowieszczych teorii. – Nigdy tego nie widziałam, ale znam osoby, które widziały. Przemieszczają się dziesiątkami. Bardzo możliwe, że tajpan natknął się na rojowisko i zwyczajnie spodobało mu się towarzystwo. To bardzo młody wąż. A może uznał zaskrońce za obiad.

– Co stałoby się z dzieckiem, gdyby żmija je ukąsiła? – spytała ośmioletnia Abigail.

– Abigail, to nie pora na takie pytania – ostrzegła matka, a ja, choć raz, z radością zgodziłam się z Vanessą.

– Myślisz, że macie we wsi jakiegoś głupiego dowcipnisia? – spytał Adrian. – Podobno zdarzyło się tam u was kilka przypadków wandalizmu? Może ktoś uznał, że coś takiego jest zabawne.

– Zmarł człowiek – rzuciłam bardziej gwałtownie, niż chciałam. – To naprawdę nic zabawnego.

– Właśnie – zgodziła się Vanessa. Adrian sięgnął po wino, żeby dolać ojcu i sobie. Vanessa i ja nigdy nie piłyśmy. – Poza tym uważam, że powinniśmy porozmawiać o piątku. Czy Andrew potwierdził, tato?

Andrew Tremain był biskupem Winchesteru, szefem ojca i długoletnim przyjacielem rodziny. To oczywiste, że właśnie jego poproszono o odprawienie nabożeństwa pogrzebowego mamy. Ojciec odpowiedział, że Andrew będzie zachwycony, i Vanessa zaczęła ogłaszać swoje plany związane z pogrzebem. Patrzyłam, jak ojciec kiwa głową w odpowiedzi na jej sugestie co do kwiatów, pieśni i liturgii, i pozwoliłam sobie odpłynąć. Było mi wszystko jedno, czy kwiaty dla mamy to będą róże, lilie czy jaskry lub stokrotki. Mama odeszła. I wraz nią – tak się wydawało – odeszła również moja ostatnia szansa na pogodzenie się z tym, czemu kiedyś mama pozwoliła

się wydarzyć. Tak wiele lat czekałam na właściwy moment, w którym mogłabym wyrzucić jej to, że zniszczyła mi życie. Teraz już nigdy nie usłyszę, jak mówi, że jest jej przykro. Ani ja nigdy nie powiem jej, jak bardzo zawsze była ośrodkiem mojego świata.

– Globalne ocieplenie – rzucił mój szwagier, który prawdopodobnie też nie słuchał Vanessy uważnie. – To wszystko przez nie. No bo co my tu mieliśmy? Najcieplejszy kwiecień, od kiedy pamiętam, i maj szykuje się taki sam. I się namnażają. To paskudztwo roi się wszędzie.

– O czym ty mówisz? – spytałam.

– O węzłach – odpowiedział, patrząc na mnie i mocno mrugając. – Myślałem, że wszyscy o tym mówimy.

– Ciociu Claro?

– Tak, szczupaczku? – Przeżyłam lunch. Z moją najmłodszą siostrzenicą siedziałyśmy w cieniu jabłonki, u podnóża otoczonego murem ogrodu ojca i karmiłyśmy sówie pisklaki. Co jakiś czas wiatr potrząsał gałęziami i niczym wonna śnieżycy spadało na nas konfetti z kwiatnych płatków. Przez szeroką bramę z kutego żelaza mogłyśmy widzieć przepływające po rzece stadko łabędzi.

– W pasie mam czterdzieści cztery centymetry – obruszyła się moja siostrzenica. Pochyliła się, trzymając ostrożnie szczypcami martwą mysz. Abigail oznajmiała swoje pragnienie zostania weterynarzem jak ciocia Clara przy każdej sposobności – podejrzewam, że wiedziała już, jak bardzo irytowało to jej matkę – ale miała niejaki problem z zaakceptowaniem tego całego biznesu z łańcuchem pokarmowym.

– Wybacz... fasolko – poprawiłam się, patrząc, jak wiatr podrywa loczki okalające twarz małej. Włosy Abigail były lśniaco kasztanowe, jak moje, i długie. Też jak moje.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Owszem.

– Mama mówi, że nie powinnam.

Kazałam jej odczekać kilka sekund.

– Cóż, w takim razie wszystko zależy od tego, jak bardzo polegasz na własnym zdaniu i jak to się ma do zaufania, jakie pokładasz w mądrości mamy – odpowiedziałam w końcu.

– Więc mogę? – powtórzyła Abigail bez zastanowienia.

Nachylałam się do klatki. Nie mogła widzieć mojego uśmiechu.

– Tak, możesz. Nie poskarżę.

– Widziałam w wiadomościach, jak mówili o przeszczepach. I zastanawiałam się, czy nie mogłabyś sobie takiego zrobić.

Piskłeta trochę się uspokoiły. Sięgnęłam po jednego, wyjęłam go i położyłam na wyprostowanej dłoni Abigail. Już za tydzień zostaną przedstawione swoim rodzicom zastępczym i nigdy więcej nie będą miały kontaktu z człowiekiem. Pomyślałam, że kilka sekund w rączce małej dziewczynki im nie zaszkodzi.

– Nie przeszkadza mi, jak wyglądasz – dodała pośpiesznie Abigail, jej ośmioletni umysł przerabiał już ewentualność, że być może mama miała jednak rację. – Tylko pomyślałam, że byłoby milej dla ciebie... – Nie dokończyła.

– No, byłoby – odparłam powoli, bo akurat na to się nie przygotowałam. – Ale obawiam się, że to coś, z czego nie mogę jeszcze skorzystać.

– A dlaczego?

– Cóż, zgłębiłam temat pobieżnie – odpowiedziałam, zastanawiając się, czy godziny spędzone na czytaniu każdego artykułu w Internecie i różnych pismach można zaliczyć do pobieżnego zgłębiania tematu. – Wiesz chyba, że przy każdym przeszczepie istnieje ryzyko, że organizm odrzuci przeszczepiony organ i że trzeba go będzie usunąć?

– Ta...ak – potwierdziła.

– Dlatego przeszczepy wykonuje się tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne.

– Ale ten pan w wiadomościach miał...

– Tak, miał. – Przerwałam jej, zabierając od niej pisklę i delikatnie odkładając je z powrotem do klatki. – Ale jego twarz była bardzo zdeformowana. O wiele bardziej niż moja. Nie mógł jeść ani mówić. A

operacja i tak była bardzo ryzykowna. Do końca życia będzie musiał przyjmować duże dawki sterydów i leków immunosupresyjnych, żeby jego nowa twarz nie została odrzucona. Przyjmowanie tych leków niesie ze sobą duże ryzyko powstania nowotworu i uszkodzenia nerek, zresztą nawet bez tego te leki mogą po prostu nie zadziałać. Jego organizm i tak mógłby odrzucić przeszczep.

– I co by się wtedy stało?

Nie chciałam myśleć o tym, co by się stało. Nowa twarz szcerniałaby, na koniec zwyczajnie wdałaby się martwica.

– Musieliby ją usunąć. Byłby w gorszej sytuacji niż przed przeszczepem.

Abigail mocno uścisnęła moją dłoń.

– Nie powinnaś tego robić – oświadczyła.

– Nie – zgodziłam się. – Nie powinnam.

Wstałam, podniosłam klatkę z sowami i razem z Abigail wróciliśmy do domu.

## 14

**P**odskoczyłam jak pod naciśnięciem sprężyny. Kołdra zsunęła się z łóżka, gdy na nim klęczałam, bojąc się poruszyć, wpatrzona w mrok, gdzie zwinięty w spiralę leżał olbrzymi i bardzo niebezpieczny wąż. Sięgnęłam drżącą ręką do lampki przy łóżku i włączyłam ją. Nic tam nie było. To mi się tylko śniło.

W porządku, głęboki wdech. Jeśli ja tak świrowałam z powodu węży, to jak, na Boga, poradzi sobie reszta wsi? Zrobiło mi się głupio. Zerknęłam na zegar. Była prawie trzecia nad ranem, a to oznaczało, że budzik i tak wkrótce zadzwoni. Zbliżała się pora karmienia.

Wstałam, wciąż zmęczona. Zeszłego wieczoru wróciłam do domu późno. Ojciec zapraszał, żebym została na noc, ale wymamrotałam coś o niebezpiecznie chorym pacjencie w pracy. Szklanka na stoliku nocnym była pusta, zabrałam ją, żeby zejść po dolewkę wody. Kiedy przechodziłam przez drzwi, automatycznie sięgnęłam po szlafrok, ale potem zmieniłam zdanie. Powietrze było lepkie, noc nietypowo na tę porę roku ciepła. Marząc o dniach, kiedy karmienie młodych sów nie będzie już moim obowiązkiem, przecięłam szeroki galeriowy podest, który służył mi też za gabinet.

Ktoś tu był. Rzeczy nie leżały na swoich miejscach.

Klawiaturę zawsze kładę w odległości dłoni od krawędzi biurka, ale teraz leżała prawie przy samym rogu. I była ustawiona krzywo. Korytko na dokumenty też ktoś ruszał. Było przesunięte odrobinę w lewo.

Przeszłam półpiętro, otworzyłam drzwi do pokoju gościnnego i włączyłam światło. Nie zauważyłam, żeby coś się tam zmieniło. Może przez te ostatnie zajęcia mniej niż zwykle pilnowałam porządku. Ruszyłam na dół. Piskłeta wrzeszczały na całego, kiedy otworzyłam drzwi prowadzące do małej kuchni.



Noc była jasna i miękkie światło wpadało przez kuchenne okna, odbijając się od pobielonych ścian.

Dlatego nie było mowy o żadnej pomyłce. Przy stole kuchennym, wpatrując się w pisklaki, stał starszy mężczyzna. Szklanka wyleciała mi z rąk i roztrzaskała się na kafelkowej posadzce. Intruz nie zwracał na mnie uwagi, wyglądał, jakby nie usłyszał rozbijającej się szklanki, wsadził rękę do klatki. Jak przymurowana do miejsca patrzyłam, jak podnosi jednego z ptaków. Przystawił go do twarzy, wyglądał, jakby go wachał, i przez sekundę myślałam, że go zje.

Do tego momentu byłam bardziej zaskoczona niż przestraszona. Ale zaczynało do mnie docierać, co się dzieje. W moim domu, w środku nocy stał jakiś człowiek. Mieliśmy koniec maja, więc prawdopodobnie nie był to Święty Mikołaj.

Zaczęłam się cofać. Mężczyzna odłożył sówkę i nachylił się nad klatką. Słyszałam, że coś mamrocze, pochrząkuje, ale nie mogłam odróżnić słów, nie byłam nawet pewna, że mówi po angielsku. Błędnie oceniłam odległość i kiedy się przesunęłam, wpadłam na zasłonięte kotarą okno w jadalni. Wąska strużka światła przepłynęła przez pokój i oświetliła stół kuchenny. Mężczyzna zauważył to i spojrzał w górę. Blask księżyca padł na jego twarz, nie był już rozmytą postacią. Widziałam go prawie wyraźnie. I mój strach zamienił się w skrajne przerażenie. Bo patrzyłam na nieboszczyka.

A on szedł prosto na mnie. Przeciął drewnianą podłogę, był tylko metr ode mnie. Odwróciłam się i uciekłam, zanim nawet pomyślałam, dokąd powinnam biec. Do frontowych drzwi nie było sensu – były zamknięte, nigdy nie otworzyłabym ich na czas, a fetor bijący od mężczyzny już mnie dogonił, owijał się wokół mnie, szykował do pochwycenia. Skoczyłam w stronę schodów. Zdażyłam wbiec na czwarty stopień i wtedy zostałam ścięta z nóg. Upadłam ciężko, ból był straszny. I coś zimnego i mokrego złapało mnie za lewą kostkę, ciągnąc ją w dół. W panice chwyciłam się poręczy. Potem kopnęłam mocno w tył prawą nogą. Poczułam pod stopą mokre ubranie. Wzięłam głęboki oddech. Będę krzyczała – to jedyne, co mogłam zrobić: wydrzeć się na cały dom jak wariatka.

Jakoś udało mi się przekręcić. Mężczyzna wisiał nade mną. Cuchnący ciemny kształt na schodach, wpatrujący się we mnie z góry. Ale nie w moją twarz. Upadek i szarpanina spowodowały, że długa koszula nocna oplótła mi się wokół bioder. Mężczyzna patrzył na moje odsłonięte nogi. Jedną z nich wciąż mocno ścisnął. Drugą ręką sięgnął w dół.

A potem coś, co w dotyku zupełnie nie przypominało ludzkiej dłoni i było jak ulepione z mułu i rozkładających się kości, zaczęło gładzić mi łydkę, wędrowało w górę, wzrok mężczyzny zaś przesunął się w stronę...

Noc rozdarł przerażający dźwięk. Ochrypły, prymitywny, przesywający krzyk. Mój krzyk. Krzyczałam i krzyczałam. I chyba słychać było coś jeszcze. Drugi głos? Gdzieś z daleka? A potem wszystko pociemniało. I ucichło. Przestałam krzyczeć. Znalazłam odwagę i znowu kopnęłam. Nic tam nie było. Otworzyłam oczy. Byłam na schodach sama. Bojąc się poruszyć, rzucałam rozgorączkowane, przerażone spojrzenia w lewo i w prawo. Za siebie. Gdzie on się podział?

Był tuż nade mną, obmacywał mnie, rozbierał wzrokiem. Jego smród wciąż unosił się w powietrzu – ciężki, dławiący. Ale mężczyzny już tam nie było.

Zamrugłam, żeby pozbyć się łez. Usiadłam i zaczęłam się rozglądać. Mężczyzny nie było nigdzie. Nawet fetor zniknął. Spojrzałam w dół na mokrą plamę na łydce, w miejscu, w którym mnie trzymał, ale w czasie gdy się przyglądałam, wilgoć wyparowała w ciepłe nocne powietrze. Nie został po niej żaden ślad.

Powtarzając sobie, że nie wierzę w duchy, że nigdy w nie nie wierzyłam, że to nie mógł być... dźwignęłam się i przekuśtykałam przez salon. Ze świadomością, że być może mam tylko sekundy, zanim intruz znowu zaatakuję, chwyciłam telefon. Po omacku, nie przestając obserwować otoczenia, wybrałam jakoś 999 i poprosiłam o połączenie z policją.

Kiedy czekałam, ledwie mogłam ustać spokojnie w miejscu. Gdzie on jest? Przecież się nie rozplątał. Ludzie tego nie robią. Nie mógł minąć mnie na schodach, frontowe drzwi były zamknięte na dwa zamki. Widziałam je z miejsca, w którym stałam. I na pewno słyszałabym tylne drzwi, gdyby wyszedł tamtędy. On nadal był w domu.

Nie potrafiąc powstrzymać drżenia w głosie, wyjaśniłam sytuację policjantowi, który odebrał. Obietnica, że ktoś zjawi się u mnie w ciągu dwudziestu minut, trochę podniosła mnie na duchu, ale tylko trochę. W ciągu dwudziestu minut może się zdarzyć bardzo wiele.

Nie mogłam zostać tam, gdzie byłam, ściskając słuchawkę telefonu. Zaryzykowałam i przeszłam do połowy salonu.

Co, na Boga, jest z tymi pisklakami? Jeszcze nigdy się tak nie awanturowały. Czy intruz zrobił im coś złego? Dałam krok do kuchni, tylko jeden, tak żebym mogła zajrzeć do klatki.

Pisklęta nie były głodne – lecz przerażone. Prawie metrowy zaskroniec leżał z nimi w klatce. Gdy tak patrzyłam, nie wierząc własnym oczom, uniósł się i zaatakował, chwytając jedno z piskląt za gardło. Złapałam go, ścisnęłam mocno za szyję i wąż puścił pisklę. Wyciągnęłam go z klatki, nie zważając na to, że się gwałtownie rzucił, jedną ręką odsunęłam zasuwę i otworzyłam tylne drzwi.

Nigdy nie jestem wobec zwierząt niedelikatna, niedbała ani nieżyczliwa. Ale miałam dość: byłam przemęczona, nieszczęśliwsza, niż kiedykolwiek sądziłam, że mogłabym być, i bardzo wystraszona. Najgorsze, że po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, czułam się zupełnie bezradna. I prawdopodobnie dlatego wybrałam ten właśnie moment, żeby zrobić coś zupełnie bez precedensu: dałam ujście swojej wściekłości, wyżywając się na zwierzęciu. Rzuciłam węża tak daleko, jak tylko mogłam. Poszybował w powietrzu, koziółkując, i wylądował w krzakach w odległym rogu ogródka. Poczułam kolejne ukłucie wyrzutów sumienia, zanim nagły hałas, niedaleko za mną, nie sprawił, że podskoczyłam i odwróciłam się. I zobaczyłam idącą w moją stronę ciemną postać.

Dałam krok do tyłu, wykręciłam sobie stopę i przewróciłam się. Cofałam się, ciągnąc pośladkami po ziemi. Niebo było już wtedy zachmurzone, a na tyłach mojego domu zawsze jest ciemniej niż od strony ulicy. Drzewa otaczające ogród są wysokie i gęste. Ciemny kształt stanął nade mną i to było wszystko, co mogłam zobaczyć. Otworzyłam usta, ale zużyłam już całą energię. Udało mi się jedynie żałośnie zaskamleć.

– Claro, to ja. Matt Hoare. Co tu się, do diabła, dzieje?

I ciemna postać stała się mężczyzną, którego znałam. Tak naprawdę widziałam tylko jego oczy, bo odbijało się w nich światło z domu, ale zarys sylwetki był znajomy. I zapach też. Szamponu i czystej skóry. Świeżo parzonej kawy. Zdaje się, że zaskamlałam znowu. Matt przykucnął, wyciągnął rękę, którą zdołałam uchwycić, i pomógł mi wstać.

– Usłyszałem, że krzyczysz. Przeskoczyłem przez płot i wydało mi się, że słyszałem, jak ktoś obiega dom. Pomyślałem, że to pewnie ty, ale na ścieżce na froncie nie było nikogo. Co tu się stało, do diabła?

Zza moich pleców przypląnął jakiś dźwięk. Prawdopodobnie nic poważnego, tylko jakiś nocny ptak lądujący na krzaku, ale podskoczyłam jak przypalany kot i odskoczyłam od Matta.

– Clara!

Musiałam się zebrać do kupy. Tylko że tak naprawdę mnie tam nie było, w ciemnym ogrodzie z Mattem. Odpływałam w dal, do mrocznego miejsca w swojej głowie...

– No już, weź głęboki oddech. Chodź, zabiorę cię do środka.

Ramię oplatające mnie w pasie. Byłam łagodnie popychana z powrotem w stronę domu. I chłód, który czułam pod stopami, oraz ciepło ręki Matta pomogły mi wrócić do siebie. Mój napastnik zniknął. Hałas, który słyszał Matt na ścieżce, to był on, uciekał.

– Już jest dobrze – zdołałam wydusić, kiedy przekroczyliśmy próg i weszliśmy do jaskrawo oświetlonej kuchni. – Miałam włamanie. Był tu włamywacz. Dotykał mnie. Ja...

Nie byłam w stanie kontynuować. Nagle stałam się dotkliwie świadoma swojego wyglądu. Matt przyglądał mi się przez sekundę, jego wzrok od mojej twarzy powędrował w dół. Zaczerwienił się, odwrócił i wyszedł z pokoju. Pozostawiona sama, poczułam, że panika znowu podnosi łeb, ale Matt wrócił po sekundzie, niosąc ze sobą grubą watowaną kurtkę, która zawsze wisi przy wejściu.

– Włóż to – powiedział, zanim się odwrócił, żebym mogła wykonać polecenie. Tak szybko, jak tylko się dało, naciągnęłam kurtkę i drżącymi

palcami zapięłam wszystkie sześć guzików. Kurtka sięgała mi do łydek, zakrywała mnie prawie w całości, ale to i tak wydawało się niewystarczające. – Wezwałaś policję? – spytał Matt przez ramię. Pomimo kurtki wciąż nie mógł się zdobyć na to, żeby na mnie spojrzeć.

Kiwnęłam głową, chociaż nie mógł tego widzieć.

– Powiedzieli dwadzieścia minut.

Podszedł do czajnika i napełnił go wodą. Włączył go i znowu się obejrzał.

– Powinnaś usiąść – stwierdził.

Nadal ogłupiała, stałam pośrodku kuchni. Zmusiłam się do odwrócenia, podeszłam do stołu i wysunęłam krzesło. Usiadłam, opatuliłam się kurtką jeszcze mocniej, żałując, że nie sięga do podłogi. Potem szybko spojrzałam w górę i przyłapałam Matta na tym, że wpatruje się w moje stopy, jedyną widoczną część. Nasze oczy się spotkały. A ja miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Możesz już opowiedzieć, co się stało?

Wyjaśniłam, że musiałam wstać nakarmić pisklęta, że zobaczyłam włamywacza, próbowałam uciec i że on mnie złapał. Światło z kuchni odbijało się w okularach Matta i nie mogłam dobrze zobaczyć jego oczu. Nie miałam pojęcia, co myśli, ale kiedy dotarłam do tej części, w której włamywacz mnie dopadł, widać było, że jego ramiona się ściągnęły.

– Przyjrzałaś się jego twarzy? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Nie bardzo – odparłam. – Było ciemno i byłam przerażona.

– Wyglądał jak ktoś, kogo znasz?

Spuściłam wzrok na stół. Czy naprawdę mogłam mu powiedzieć, że właśnie widziałam nieboszczyka? Że zaatakowały mnie zwłoki kogoś, kogo kiedyś znałam? Pokręciłam głową.

Woda w czajniku zagotowała się. Matt zaczął otwierać szafki, wyciągnął herbatę, nalewał wodę. Wsypał cukier do herbaty, nie pytając, czy piję słodzoną. Oczywiście nie piłam takiej, ale to nie wydawało się teraz istotne. Nie mogłam dłużej na niego patrzeć, nawet gdy stał odwrócony plecami. Znowu opuściłam wzrok na blat stołu.

Przeżyłam napaść we własnym domu. Zaatakował mnie człowiek, który nie mógł istnieć. A jednak to, co czułam tamtej nocy, czekając na Matta, który nawet jak na mężczyznę robił herbatę nadzwyczaj długo, to nie był szok wywołany wydarzeniami ani strach przed tym, co jeszcze mogło się zdarzyć. Czułam zażenowanie. I – naprawdę nie ma na to innego określenia – głęboki wstyd.

Widzicie, mam pewną tajemnicę. I nigdy, przenigdy nie spodziewałam się, że ktoś ją kiedyś odkryje. Wydaję astronomiczne kwoty na bieliznę i koszule nocne. Jedwab, satyna, szyfon, koronki – uwielbiam czuć na skórze ich fakturę, miękkość, kiedy prześlizgują się przez głowę i z szelestem spływają po moim ciele.

Na inne ubrania wydaję bardzo niewiele. Bo i po co? Ale jeśli chodzi o bieliznę, jestem najbardziej wybredną, wymagającą klientką, jakie istnieją. Wszystko oczywiście zamawiam wysyłkowo. Takich rzeczy nigdy nie mogłabym kupować w sklepie, patrzeć na rozbawione, litościwe spojrzenia ekspedientek. I zamawiam tego bez umiaru, gromadząc swój skarb w szufladach wyściełanych perfumowanym papierem.

A teraz, w ciągu dwóch minut, dwóch mężczyzn odkryło mój sekret. Matt Hoare widział zielony jedwab, przezroczysty jak skrzydła ważki, który przywierał do mojego ciała i... ujawniał każdy jego centymetr. Tak samo tamten drugi mężczyzna, którego dłonie były jak mokry mech porastający trupie kości. I siedziałam tam, gapiąc się w blat stołu i w kafelki na podłodze pod moim krzesłem, zastanawiając się, jak zdołam podnieść głowę i spojrzeć Mattowi w oczy.

Na podłodze były mokre plamy. Małe kałuże wokół całego stołu. Zrobiłam je ja albo Matt, trawnik przed domem był wilgotny od rosy. Ale czy wnieśliśmy też ze sobą cienkie nitki wodorostów, które owinęły się wokół nóg stołu? Wodorosty to roślina rosnąca w rzekach.

Usłyszałam drapanie krzesła ciągniętego po podłodze i wyczułam, że Matt usiadł przy stole naprzeciwko mnie.

– Jak tam Diabeł z...

– Jest w bezpiecznych rękach – ucięłam, nie patrząc w górę. Dziwnych,

całych w bliznach, bardzo nieprzewidywalnych rękach, ale tak bezpiecznych, jak tylko moglibyśmy sobie życzyć w danych okolicznościach.

– Czy to prawda, że jeśli zabije się kobrę królewską, jej partner będzie cię ścigał, żeby cię zabić? – spytał Matt.

Spojrzałam na niego.

– Co takiego?

– Pij herbatę, bo się trzęsiesz. Gdzieś o tym czytałem. Jeśli się zabije kobrę królewską, trzeba uważać, bo jej partner będzie szukał zemsty.

Podniosłam swój kubek, wzięłam zbyt duży łyk i poparzyłam sobie język.

– No więc jak? To prawda?

Z bólu do oczu napłynęły mi łzy.

– Oczywiście, że nie.

– Szkoda. Bo wydało mi się to romantyczne. – A potem siedziałam tam, a on tylko na mnie patrzył. Znowu spuściłam oczy, czułam jednak jego spojrzenie. Potem usłyszałam cichy, stłumiony odgłos i ponownie usiadłam prosto.

– Co to było? – spytałam.

Matt wyglądał na zaskoczonego.

– Co było co?

– Coś słyszałam.

Wstałam i przeszłam przez kuchnię. Miałam tam pod nią bardzo małą piwniczkę, niewiele większą od komórki. Była tak mała, że nawet ja nie mogłam stać w niej prosto, ale przydawała się jako schowek. Dotarłam do drzwi i stanęłam przy nich, nasłuchując. Kolejny dźwięk: niski, gardłowy, coś między chrząkaniem a mamrotaniem. Odwróciłam się do Matta z przerażeniem i ten, na widok mojej miny, podniósł się od stołu. Prawie pobiegłam przez jadalnię do drzwi wejściowych. Nadal były zamknięte i zaryglowane. Tylne drzwi otworzyłam sama nie dalej niż kilka minut temu. Z domu nie było się jak wydostać. Intruz nadal tu był.

Wbiegłam z powrotem do kuchni, akurat gdy Matt odsuwał się od stołu. Odgłos drapania krzesła o podłogę był głośny, ale w jego tle znowu usłyszałam ten sam dźwięk. Zdecydowanie ktoś był w piwnicy. Normalnie nigdy jej nie zamykam – po co miałabym to robić? – ale na drzwiach był

rygiel. Sięgnęłam do niego i wsunęłam na miejsce.

Matt stanął przy mnie. Nachyliłam się do drzwi, potem szybko znowu wyprostowałam.

– On tam jest – szepnęłam. – Jest w piwnicy. Czuję go.

– Ja nie czuję nic – stwierdził Matt, kręcąc głową. – Jesteś pewna?

– Na sto procent – potwierdziłam. – On strasznie śmierdzi. Wcześniej czuć go było w całym domu. Cuchnie jak bezdomny.

– Naprawdę? – spytał. Odniosłam wrażenie, że nie traktuje tego, co mówię, nazbyt poważnie.

– Bezdomni śmierdzą zatechłym potem i moczem – wyjaśniłam, mówiąc prawie szeptem. – Jeśli podejdziesz dostatecznie blisko, poczujesz odór alkoholu, najczęściej jakiegoś najgorszego rodzaju, i oni często wymiotują podczas snu. Grzebią w śmietnikach, szukając jedzenia, i ten fetor się do nich przykleja. I dość często robią pod siebie. Czuć od nich fekaliami.

– Skąd tyle wiesz o eau de bezdomny?

– Wielu naszych pacjentów jest przynoszonych przez takich ludzi – wyjaśniłam, odsuwając się od drzwi. – Myślę, że powinniśmy wyjść na zewnątrz.

Matt patrzył na mnie przez chwilę. Potem nachylił się do drzwi i przesadnie mocno pociągnął nosem.

– Nadal nic nie czuję.

Miałam ochotę na niego nawrzeszczyć za ten jego kompletny brak zrozumienia powagi sytuacji.

– Wieczorem się kąpiesz – powiedziałam. – Prawie codziennie myjesz włosy. Pijesz raczej kawę niż herbatę, ale dziś wieczorem piłeś wino. W ciągu ostatniej godziny głaskałeś swojego psa i myślę, że niedawno po nim sprzątałeś.

– Chcesz powiedzieć, że zalatuje ode mnie psią kupą?

– Wolałabym, żebyś się odsunął od tych drzwi. On tam jest, a rygiel nie jest mocny.

Matt spojrzał na zasuwkę na drzwiach, potem z powrotem na mnie.

– Jeśli nadal tam jest – zaczął – to kogo goniłem po ścieżce?



Nie potrafiłam na to odpowiedzieć. I gdy się nad tym zastanawiałam, Matt sięgnął do zasuwki.

– Nie! – Podbiegłam do niego szybko, chcąc złapać za rękę, żeby go zatrzymać. – Nie. Nawet nie próbuj. Zostaw to policji.

– Clara, powinienem ci coś...

W tym momencie rozległo się pukanie do tylnych drzwi i na zewnątrz pojawiła się jakaś postać. Matt wstał, zanim ja zdążyłam, i otworzył drzwi. Usłyszałam zaskoczone: „O, dobry wieczór, sir”, potem Matt zaprosił trzech policjantów do środka, zupełnie jakby był u siebie.

Policjanci słuchali mojej relacji z uprzejmą uwagą, ale kiedy powiedziałam, że jestem przekonana, że włamywacz ukrywa się w piwnicy, ich podejście się zmieniło – zaniepokoiłi się i zrobili czujniejsi. Jeden z nich, najstarszy rangą, spojrział na Matta.

– I pani Benning obudziła pana krzykiem, czy tak, sir?

Matt pokręcił głową.

– Nie, bo nie spałem. Mój pies jest bardzo młody. Musiał wyjść się załatwić.

– I widział pan tego człowieka w domu pani Benning?

– Obawiam się, że nie. Usłyszałem, że pani Benning krzyczy. I słyszałem też jakiś hałas przed domem. Waliłem w tylne drzwi, ale były zamknięte. Pobiegnęłam na front i zanim dotarłem do drzwi, wydało mi się, że słyszę kroki. Dobiegłem gdzieś do połowy alejki i usłyszałem szuranie. Ale tak naprawdę nic tam nie widziałem.

– Ostatnio w okolicy jest sporo borsuków.

– To prawda. Widziałem jednego wczoraj w swoim ogrodzie – zgodził się Matt.

– Nie obchodzi mnie, za czym tam goniłeś – warknęłam. – Człowiek, który na mnie napadł, nie mógł wyjść z domu. Jedne i drugie drzwi były zamknięte, dopóki nie otworzyłam tych z tyłu. – Wskazałam na piwnicę. – On tam jest.

Matt spojrział na mnie krótko i westchnął.

– Tak, cóż, teraz, gdy przybyło wsparcie, może lepiej tam zajrzę. Proszę mnie osłaniać, sierżancie, dobrze?

I z tymi słowami odryglował drzwi i chwycił za klamkę. „Proszę mnie osłaniać, sierzancie!” Złapałam go za rękę, zanim zdążył pociągnąć za drzwi.

– Co ty wyprawiasz? Zachowujesz się jak kiepski statysta w spaghetti westernie. Za tobą stoi trzech funkcjonariuszy policji. Zejdź im z drogi i pozwól, żeby oni się tym zajęli.

– Claro...

Ponad ramieniem Matta widziałam, że dwóch posterunkowych wymienia spojrzenia. Sierżant nie potrafił ukryć uśmiešku. Matt zdjął moją dłoń ze swojego ramienia.

– Claro, jestem wzruszony, ale...

– Co mam zrobić, żebyś to potraktował poważnie? W tej piwnicy ukrywa się człowiek, który na mnie napadł. Może trudno ci uwierzyć, że ktoś mógłby chcieć to zrobić, ale przysięgam, że tak było, i jeśli otworzysz te drzwi, możliwe, że stanie ci się krzywda. – W oczach czułam pieczenie łez. Nie myślałam logicznie. Wiedziałam tylko, że naprawdę nie chcę, żeby Matt wszedł do piwnicy.

– Właściwie, proszę pani... – zaczął sierżant.

Nie miałam pojęcia, jak to się stało, ale w tym momencie ścisnęłam już kurczowo obie dłonie Matta.

– Nie imponuje mi głupi heroizm, jeśli więc nie potrafisz być rozsądny, idź do domu i pozwól się tym zająć zawodowcom.

Jeden z funkcjonariuszy za nami cicho parsknął.

– Claro, zamknij się – rzucił spokojnie Matt.

Uderzyła mnie nagła myśl. Wszyscy trzej policjanci wyglądali, jakby się świetnie bawili. Matt podniósł ręce, wciąż uwięzione w moich. Cofnęłam się z przerażającym uczuciem, że chyba właśnie zrobiłam z siebie największą idiotkę wszech czasów. Po odzyskaniu swobody ruchów Matt sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów i wyciągnął z niej mały portfel z czarnej skóry.

No nie.

Otworzył portfel jedną ręką, odsłaniając legitymację. Na przeczytanie tego, co tam było napisane, wystarczyło mi kilka sekund, na sprawdzenie, że małe paszportowe zdjęcie rzeczywiście przedstawiało mężczyznę stojącego przede

mną.

– Policja okręgowa z Dorset? – powiedziałam, jakby to, co widniało w legitymacji, nie było wystarczająco oczywiste. Claro, ty idiotko!

– Tak.

– Zastępca komendanta? – No jasne, że jest z policji. Skąd miałyby znać ich wszystkich? Z jakiego innego powodu mieliby go tak szanować? Nigdy w życiu nie czułam się aż tak głupio. Miałam ochotę dać sobie kopniaka. Chociaż i to byłoby za mało. Byłam bliska nadeptnięcia samej sobie na stopę.

– Przyznaję się bez bicia – potwierdził Matt. – A teraz bardzo chętnie potrzymałbym się z tobą dalej za rękę, a piwnicę kazał sprawdzić moim ludziom, ale wątpię, żeby potem kiedykolwiek pozwolili mi o tym zapomnieć. Posterunkowy Atkins, proszę zostać z panią Benning, dobrze?

Posterunkowy Atkins przemaszerował do mnie, a w tym czasie Matt otworzył drzwi piwnicy, zajrzał do środka i włączył światło. Rzuciwszy ostrzeżenie, zaczął schodzić na dół. Sierżant i dwóch pozostałych posterunkowych poszli w jego ślady. Atkins i ja staliśmy tam, gdzie dotąd, nasłuchując odgłosów dochodzących z dołu. Po kilku minutach Matt z powrotem pojawił się w drzwiach, wszedł do kuchni i dał mi gestem znak, że bym za nim poszła. Kiedy już byliśmy w pokoju obok, odwrócił się do mnie. Na jego twarzy malował się wyraz, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

– Claro – zaczął – w twojej piwnicy nikogo nie ma.

# 15

Obejrzelismy całą piwnicę – powiedział Matt. – Nie ma tam żadnego miejsca, w którym dałoby się ukryć.

Wpatrywałam się w niego. Byłam pewna. Słyszałam, że chodził po piwnicy.

– Musiał wyjść jakoś inaczej. Może przez okno – ciągnął Matt. – To pewnie jego słyszałam, gdy uciekał alejką.

Pokręciłam głową.

– On był w tej piwnicy. – Jeszcze kiedy to mówiłam, rozumiałam, jak głupio musi to brzmieć.

– Nie masz nic przeciwko temu, żeby moi ludzie rozejrzeli się po domu? Sprawdzą, czy któreś z okien nie jest otwarte. Czy nie ma innych śladów włamania?

Kiwnęłam głową i trójka policjantów zaczęła przeszukiwać dom. Odczekałam kilka minut, potem nie mogłam już dłużej wytrzymać. Przeszłam przez kuchnię i otworzyłam drzwi do piwnicy.

– Zaczekaj! – Matt pobiegł za mną. Zeszłam na dół i zaczęłam się rozglądać, jakbym mogła wypatrzyć coś, co przeoczyło dwóch funkcjonariuszy i ich szef, zastępca komendanta.

Ściany były z kamienia: miejscami wilgotne, bo niedaleko płynął jeden ze strumieni, w innych miejscach wyschnięte, pokruszone. Stał tam stos plastikowych pudełek, stara wbudowana w ścianę szafka, w której trzymałam narzędzia i półki z zapasami weterynaryjnymi. Była tam też zamrażarka. Żadnej drogi wyjścia. Poza...

W nisko zawieszonym suficie piwnicy znajdowała się stara zapadnia. W czasach przed centralnym ogrzewaniem wrzucano przez nią węgiel prosto z

ulicy. Z jednej strony były zawiasy, na dwóch dłuższych bokach rygle i kłódka na czwartym boku. Nad zapadnią, na poziomie ulicy, stała duża, ciężka donica na kwiaty. Podeszłam i chwyciłam mocno stary żelazny rygiel.

– Już tego próbowaliśmy – zaczął Matt. Ciągnęłam z całej siły, ale rygiel był zardzewiały i nie chciał się przesunąć. Matt przemierzył piwnicę, pochylony, żeby nie uderzyć głową w niski sufit, i odsunął moje dłonie. Sam pociągnął kilka razy. Potem spróbował z drugim rygłem i z kłódką. Drzwiczki zapadni nie ruszyły się z miejsca.

– Mogłaś usłyszeć szczura – powiedział. – Wodnego, najprawdopodobniej. Pełno ich w tej okolicy. – Możliwe – zgodziłam się, chociaż wiedziałam, że szczur nie mógł wydawać takich dźwięków, jakie słyszałam.

– Chodźmy – rzucił Matt. Wróciliśmy na górę.

Policjanci zostali kolejne dziesięć minut, nie znaleźli nic, co świadczyłoby o włamaniu do domu, a potem, obiecując, że nazajutrz przyślą kogoś do zebrania odcisków, wyszli. Byli uprzejmi, co, jak podejrzewałam, wynikało wyłącznie z obecności Matta. Mimo to byłam przekonana, że mi nie uwierzyli. Matt mógł potwierdzić jedynie to, że słyszał mój krzyk i jakieś szuranie, które mogło, ale nie musiało być odgłosem kroków kogoś, kto uciekał. Poza moimi słowami nie istniały żadne inne dowody potwierdzające włamanie. Nawet wąż zniknął.

Po pożegnaniu się z Mattem pozamykałam drzwi, starannie sprawdziłam okna i nakarmiłam sowy. Z tą raną nie było najgorzej. Kilka maźnięć antyseptykiem i uznałam, że do rana wszystko powinno się zagoić. Później poszłam na górę, odszukałam starą flanelową piżamę i wróciłam do łóżka.

Sen długo nie nadchodził. A kiedy wreszcie zasnęłam, spałam niespokojnie i kilka razy budziłam się roztrzęsiona. Blisko świtu miałam powtarzający się koszmar, którego najbardziej się bałam.

Jestem w sali luster. Wszędzie, gdzie się odwrócę, widzę swoje odbicie. Im dłużej trwa sen, tym bardziej odbicia stają się zniekształcone. Już nie tylko moja twarz jest w bliznach, ale też cała reszta mnie. Tej nocy koszmar był

gorszy niż zwykle. Każde lustro było osłonięte zielonym jedwabiem. Kiedy biegłam przez salę, desperacko szukając wyjścia, coś ścigało jedwab z luster, akurat w chwili gdy do nich docierałam. Lustra zaczęły się przewracać, każde, którego dotknęłam, spadało na ziemię i roztrzaskiwało się. A potem nie byłam już w sali luster, tylko w swojej kuchni. Kłęby zielonego jedwabiu blokowały mi drogę do wyjścia i cokolwiek było uwięzione w piwnicy, waliło głośno w drzwi.

Rygiel trząsał się w obudowie i drewno wokół zaczynało pękać. Musiałam wydostać się z domu. Tylko że nie mogłam się ruszyć. Leżałam na podłodze i w sposób, jaki zdarza się tylko w snach, próbowałam bezskutecznie doczołgać się do tylnych drzwi.

Obudziłam się gwałtownie, zlana potem, i przekonałam, że bębnienie wcale mi się nie śniło. Ktoś okładał pięściami drzwi z tyłu domu. Wskoczyłam z łóżka, ściągnęłam piżamę i włożyłam dresy. Byłam prawie pewna, że ten wczesnoporanny gość to Matt Hoare, mający nadzieję, że znowu zaskoczy mnie w czymś krańcowo komicznym i będzie miał następną historyjkę do opowiadania w pubie. Żałosna krowa, będą mamrotali nad kuflami, jakby ktoś, kto nie jest ślepcem, mógłby mieć ochotę...

Wyrzałam przez okno, ale Matta zasłaniał dach werandy i nie mogłam go zobaczyć. Zeszłam na dół z postanowieniem, że nie wpuszczę go do środka.

– Na litość boską, zamknijcie się wreszcie – warknęłam do piskląt. Przekręciłam klucz i uchyliłam drzwi. Za nimi stała Sally z domu obok.

– Dostawa na wynos – zaświergotała.

Nie odpowiedziałam. Ale zauważyłam tacę, którą trzymała. I bijący od niej zapach.

– Chciałam sprawdzić, czy dobrze się czujesz – ciągnęła. – I tak zżera mnie ciekawość, co się stało w nocy.

Nadal milczałam.

– Chyba cię to nie dziwi, że jeśli o trzeciej w nocy podjeżdżają pod ciebie dwa wozy policyjne, to wie o tym cała wieś – kontynuowała. – Ja tylko jako jedyna miałam odwagę zapukać. No i robię najlepsze kanapki z bekonem.

To właśnie czułam. Bekon. I kawę.

- Zaraz wychodzę pobiegać – oznajmiłam z przyzwyczajenia.
- Jesteś trzy godziny do tyłu z tym swoim bieganiem – zauważyła.

Odwrociłam się do kuchennego zegara. Była prawie dziewiąta.

– Zresztą, mówiąc szczerze, nie wyglądasz, jakbyś nadawała się teraz do latania po łąkach.

Uzmysłowiłam sobie, że ma rację, i cofnęłam się do pokoju. Nie poprosiłam, żeby weszła, ale i tak założyła, że ją zapraszam.

- Powinnam się ubrać – mruknęłam. – Muszę jechać do pracy.
- Powinnaś dać sobie trochę luzu. Chodź, usiądź i zjedz.

Dotarło do mnie, że Sally była prawdopodobnie mistrzynią w radzeniu sobie z trudnymi pacjentami i że raczej nie mam szans na wygraną tej potyczki. Poza tym umierałam z głodu, no i tak naprawdę, jakie to miało znaczenie, że raz w życiu spóźnię się do pracy?

Sally zrobiła dwa kubki kawy i pchnęła w moją stronę białą bułkę z lepszą częścią świni w środku. Nie jadłam białego pieczywa od lat i rzadko tykałam czerwone mięso. Nie miałam pojęcia, że kanapka z bekonem może być tak oszałamiająco smaczna.

– Dziękuję – powiedziałam, trochę zażenowana, kiedy już mogłam złapać oddech.

– Proszę bardzo – odpowiedziała. – No to już, opowiadaj. Były w to zamieszane jakieś wijące się, oślizłe rzeczy? I jak odważny i kompetentny okazał się czarujący Matt?

– Tylko jedna wijąca się rzecz – odparłam, postanawiając, że do ostatniego pytania nawet nie będę się zbliżała. – A węże nie są oślizłe. Te z gładką łuską są w dotyku jak jedwab. – No i dlaczego to powiedziałam? Jedwab to ostatnia rzecz, o jakiej chciałam rozmawiać.

– Wierzę ci na słowo. Ale to było włamanie? Ktoś u ciebie był? Co, do diabła, dzieje się z tymi ptakami?

Opowiedziałam jej skróconą wersję wydarzeń z nocy. Ona pchnęła ku mnie następną kanapkę – nie sprzeciwiłam się – a potem wstała, żeby nakarmić za mnie ptaki.

- No więc – odezwała się po minucie czy dwóch. – Ktoś włamuje się do

domów we wsi i zostawia w nich węże. Po co miałyby to robić?

– Nie wiemy na pewno, czy robi – odparłam, chociaż uważałam, że Sally ma absolutną rację.

– A tam, gówno prawda. Jak często słyszy się o węzach w domu? Prawie nigdy. Ale nagle jest ich więcej niż myszy. I to nie licząc tych egzotycznych gatunków.

Przyglądałam się, jak wkłada martwe gryzonia w niecierpliwie wyczekujące dzioby.

– W tej chwili mamy we wsi niepożądany element – stwierdziła. – Przez ostatnie kilka tygodni ktoś obrzuca moje drzwi jajkami – ciągnęła. – Rushtonowie i Poulsonowie skarżą się, że jakieś dzieciaki pukają do drzwi i uciekają. Ale włamanie to jednak coś poważniejszego.

Ja też widziałam wybite okna we wsi. I u mnie też ktoś rozrzucił na podjeździe śmieci z pojemnika, ale nie chciałam się tym przejmować. Niemniej Sally miała rację. Włamanie i wejście do domu to zupełnie coś innego. I ten ktoś, kto mnie wczoraj napadł, to nie był nastolatek.

Sally nadal karmiła pisklęta. Wychodziło jej to całkiem zręcznie, biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie niezbyt często dokarmiała osieroczone ptaki. Zastanawiałam się, jak często dokarmia na wpół osieroczonych sąsiadów.

– Policja mi nie uwierzyła – powiedziałam w końcu. – Myślę, że wszystko zmyśliłam.

Rzuciła mi zdziwione spojrzenie.

– A po co miałybyś to robić?

– A po co ludzie zmyślają, że popełnili jakieś przestępstwo? Żeby ściągnąć na siebie uwagę, przypuszczam.

– W przypadku kogoś, kto przez większość życia unika uwagi, byłoby to trochę dziwne, nie sądzisz? Proszę, masz, kochanie.

Zaszokowana tym, jak łatwo mnie przejrzała, nie potrafiłam odpowiedzieć. Skończyła z pisklętami i wróciła do stołu. Usiadła, sięgnęła po kubek z kawą i zamknęła go w dłoniach.

– A Matt ci uwierzył?

Chwilę się zastanawiałam.



– Naprawdę nie wiem – odparłam w końcu.

– Rozmawiałam wczoraj z Harrym Richardsem – oznajmiła, zaskakując mnie na sekundę. Zapomniałam, że znała doktora Richardsa i że to ona powiedziała mi o mojej rzekomej rozległej wiedzy o wężach. – Powiedział mi, oczywiście w ścisłej tajemnicy, o twojej wizycie w niedzielę. I o tobie, i o tym twoim znajomym od węży. Przy okazji, widziałam go w telewizji. Dziwny koleś.

– Tak – zgodziłam się. – Bardzo dziwny.

– No, więc jeśli wy dwoje mieliście rację, jeśli John został zamordowany, to ten, kto włamał się do ciebie w nocy, mógł być...

Urwała, prawdopodobnie dla uzyskania dramatycznego efektu. Nie odpowiedziałam, ale nieoczekiwanie przeszedł mnie dreszcz i nie mogłam tego powstrzymać.

– Wybacz, nie chciałam cię przestraszyć.

– Nie przestraszyłaś – skłamałam. – Teorię o wstrzykniętym jądzie wymyślił Sean North, nie ja – dodałam, bo było jasne, że mi nie wierzy. – Nie mogę kwestionować faktów, które przedstawił, ale pomyśl, że ktoś wykorzystuje węże jako narzędzie morderstwa, mimo wszystko wydaje mi się raczej mało prawdopodobny. I nawet jeśli ktoś rzeczywiście zabił Johna Allingtona, to po co miałyby próbować zabić dziecko Hustonów czy Poulsonów?

Sally już się nie uśmiechała.

– Nie wiem – odparła. – Ale ktoś, kto ryzykuje, że może zabić noworodka, nie wspominając dwójki małych dzieci, taki ktoś musi być bardzo zaburzony, prawda?

Zastanowiłam się nad tym. Włamywanie się do domów i zostawianie w nich groźnych węży to działanie zaburzonego umysłu, to nie ulegało wątpliwości. Ale nawet jeszcze bardziej przykry dla mnie był sposób, w jaki ludzie zwracali się do mnie po odpowiedzi. Byłam weterynarzem zajmującym się dzikimi zwierzętami. Cokolwiek się działo, naprawdę nie leżało w zakresie moich kompetencji.

– Cóż, policja się temu przyjrzy – powiedziałam. – Jeśli jest coś do

znalezienia, znajdą to.

– Wcale nie byłabym taka pewna – sprzeciwiła się Sally, podnosząc się, żeby umyć kubki.

– Dlaczego?

Obejrzała się przez ramię.

– Harry Richards był nieźle wkurzony, kiedy z nim rozmawiałam. W przeciwnym razie nie sądzę, żeby powiedział mi tyle, ile powiedział. Przekazał policji, co mówiłaś ty i Sean North, ale oni wcale nie traktują tego poważnie. Sean North to dość niekonwencjonalna postać i nie jestem przekonana, że mają go za kogoś godnego zaufania. Ponoć były już z nim jakieś problemy w przeszłości, węże uciekające z jego domu, tego typu sprawy.

Kanapka, którą właśnie zjadłam, zaczęła mi nagle bardzo ciążyć na żołądku.

– A po dzisiejszej nocy mnie pewnie też nie będą uważali za wiarygodną.

– Myślę, że musimy poczekać, co powie coroner. Ale nieoficjalne opinie są takie, że jego zdaniem wasza teoria o stężeniu jadu jest mocno kontrowersyjna. Trochę przeczytał na ten temat. Podobno przypadki niespodziewanych zgonów po ukąszeniach to wcale nie jest coś niespotykanego. A John Allington miał prawie siedemdziesiąt lat.

– Rozumiem – odpowiedziałam, zastanawiając się, dlaczego kanapki z bekonem zamieniały się w kamienie. Nie chciałam się w to wszystko dać wciągnąć.

– Sally, mogę cię o coś zapytać?

– Strzelaj.

– Pamiętasz Witcherów? Edeline i Waltera?

– Oczywiście – odparła, zaskoczona nagłą zmianą tematu, ale godząc się na to. – Kilka razy próbowałam ich odwiedzić. Naprawdę nie podobały mi się warunki, w jakich mieszkali. Ale nigdy mnie nie wpuścili.

– Pamiętam pogrzeb Edeline w listopadzie, ale nie Waltera. Zastanawiałam się, czy słyszałaś może, że zmarł gdzie indziej. Być może w szpitalu?

– Zmarł w zeszłym roku jesienią, prawda?

Kiwnęłam głową.

– Chyba we wrześniu.

– Nie potrafię tak od razu... czy tam nie było coś o tym, że jego ciało miało być przekazane nauce?

– Tak. Ale jakiś pogrzeb musiał się chyba odbyć, prawda?

Sally oparła się o zlew.

– Claro, o co chodzi? – spytała, co przecież powinnam przewidzieć.

Naprawdę nie miałam ochoty się w to zagłębiać. Ale Sally się nie spieszyło.

– Wczoraj w nocy – zaczęłam, obawiając się, że moja reputacja dziwaczki podniesie się do dziesiątej potęgi – policjanci pytali, czy rozpoznałam włamywacza.

– A rozpoznałaś?

– Powiedziałam, że nie. Powiedziałam, że było ciemno, że zniknął prawie natychmiast i że nie mogłam mieć pewności.

Sally nie była głupia.

– Ale to nie była do końca prawda? – przynaglała.

Pokręciłam głową. W ogóle to nie była prawda, rozpoznałam włamywacza od razu.

– Myślę, że to był Walter – powiedziałam niepewnym głosem, szykując się na to, że Sally wymówi się czymś i wyjdzie, sugerując na odchodnym, że może powinnam umówić się na wizytę w przychodni, tak tylko, żeby pogadać. Nie powiedziała nic. I to, co widniało na jej twarzy, nie było zaskoczeniem. Nie wyglądało to też na niepokój o moje zdrowie psychiczne. Miała minę, jakby mi wierzyła.

– Dlaczego nie jesteś zaskoczona? – spytałam, zastanawiając się, czemu fakt, że ktoś traktował moje słowa poważnie, nie budził we mnie radości.

Wyglądała, jakby się otrząsnęła.

– Ależ jestem – zapewniła. – Tylko że... nie tak do końca.

– Ty też go widziałaś?

– Nie, nie. Ale... słyszałam rozmowy w przychodni.

– Jakie rozmowy?

– Takie tam bzdury. Tak naprawdę mówiły to tylko dzieciaki. Jest tu taka banda, która zbiera się w dolnej części wsi, w okolicy starego kościoła i domu

Witcherów. Podejrzewamy, że to właśnie oni tak ostatnio rozrabiają, mamy więc na nich oko. Jedno czy dwoje dzieci opowiadało rodzicom dziwne historie. Wiesz, jak to jest, gdy domy stoją puste przez dłuższy czas. Zawsze zaczyna się mówić, że w nich straszy i...

– Te dzieciaki widziały Waltera?

Sally sprawiała wrażenie zmieszanej.

– Mówiły, że widziały jego ducha.

Słońce musiały w tym momencie przysłonić chmury, bo w kuchni zrobiło się nagle odrobinę ciemniej.

– To, co widziałam dzisiaj w nocy, to nie był duch – stwierdziłam, zastanawiając się, kogo próbuję przekonać. Dotknął mnie. Dłonią, która była jak martwa. – Zostawił po sobie mokre ślady – kontynuowałam pospiesznie. – Że nie wspomnę węża.

– Ale, jeśli to był Walter, to... o rany!

– No właśnie.

– Zmieniłaś zamki, kiedy się wprowadzałaś?

Pokręciłam głową, uświadamiając sobie, jaka byłam nierozsądna. Każdy mógł mieć klucze do mojego domu.

– Może lepiej, żebyś to jednak zrobiła – poradziła Sally.

Kiwnęłam głową. Nagle zmiana zamków wydała mi się naprawdę świetnym pomysłem.

## 16

**W**rzuciłam drugi bieg, ale podłoże było bagniste, koła zaczęły buksować. Wątpiłam, żeby udało nam się dojechać dużo dalej, ale do rzeki, tak czy owo, mieliśmy co najwyżej sto metrów. Mogliśmy pójść pieszo. Cofnęłam się kilka metrów i zgasiałam silnik land rovera.

Był późny poranek w poniedziałek i było nas troje: Craig, główny pielęgniarz, Simon, dwudziestoletni student na stażu, i ja. Rano zadzwonili do nas z lokalnego biura Agencji Ochrony Środowiska. Ktoś im zgłosił, że na rzece tuż pod wsią jest uwięziony łabędź.

Wysiedliśmy z samochodu i włożyliśmy sięgające piersi wodery. Nie byliśmy szczególnie zachwyceni czekającym nas zadaniem. Łabędzie to duże ptaki i jeśli pilnują małych (bardzo prawdopodobne o tej porze roku), potrafią być agresywne. Schwytanie zranionego łabędzia nigdy nie jest łatwe.

Niosłam swoją torbę, hak i wielką klatkę. Craig i Simon taszczyli między sobą łódź pontonową, zaprojektowaną specjalnie do poruszania się po płytkich, wartkich ciekach wodnych. Łódka była lekka w transporcie, za co często dziękowaliśmy Bogu.

Dotarliśmy do brzegu rzeki, tej, którą zasilają wszystkie strumienie płynące przez wieś. Na szczęście spacerowicz z psem, który zauważył łabędzia, potrafił podać współrzędne położenia, byliśmy zatem pewni, że szybko znajdziemy właściwe miejsce. Rozdzieliliśmy się, Simon poszedł w górę, Craig w przeciwną stronę. Ja zostałam tam, gdzie stałam i przyglądałam się drugiemu brzegowi, na którym teren się wznosił, z początku łagodnie, potem ostrzej. Widziałam gęstwiny drzew i zarośli, a przez nią, prawie na szczycie pagórka, około czterystu metrów w linii prostej, pokryty strzechą dach

budynku, który, jak sądziłam, musiał być domem Witcherów. Nigdy dotąd nie widziałam go od tej strony.

– Tu jest! – zawołał Simon. Craig i ja podnieśliśmy ponton i przenieśliśmy go jakieś dwadzieścia metrów do miejsca, w którym stał Simon. Uwięziony łabędź na przeciwległym brzegu był ledwie widoczny pośród pokrzyw, trybuli i podagrycznika. – Jest na wyspie – powiedział Simon, wskazując punkt trochę dalej w górę rzeki. – Patrzcie, widać, jak rzeka się tam rozwidła. Zaraz za tym miejscem musi być małe spiętrzenie.

Simon przytrzymał ponton, gdy Craig i ja wsiadaliśmy do niego. Potem dołączył do nas i obaj chłopcy (postanowili być rycerzcy, przynajmniej do momentu rozpoczęcia niebezpiecznej roboty) przewieźli nas na przeciwległy brzeg. Wysiedliśmy dobre dziesięć metrów powyżej miejsca, w którym był łabędź.

Samce łabędzi potrafią ważyć nawet dziesięć kilogramów, a rozpiętość ich skrzydeł sięga dwóch i pół metra. Będą się broniły – agresywnie i zaciekle – przed wszelkimi atakami na ich gniazda. Kiedy się zbliżyliśmy, łabędź rozpostarł skrzydła i podniósł pióra na tułowi. Spuścił głowę do wody, szykując się do szarży. To procedura onieśmiania, bardzo skuteczna w odstraszaniu rywali lub drapieżników. Kiedy do ptaka zostało tylko kilka metrów, spojrzałam na Craiga.

– Jak myślisz? – spytałam. – Hakiem czy ręcznie? – Łabędzie zawsze lepiej łapać ręcznie. Hak wprawdzie pozwala chwycić za szyję, ale wtedy ptak z furją trzepocze skrzydłami i trudno jest go utrzymać.

Craig przyglądał się łabędziowi.

– Nie będzie aż taki uległy – ocenił po sekundzie. – Żyje w niebezpiecznym środowisku.

Zgodziłam się. Łabędź, żyjący na ruchliwej rzece, często odwiedzany i dokarmiany przez ludzi, byłby względnie przyjacielski i łatwy do schwytania hakiem. Ten prawdopodobnie nie widywał ludzi miesiącami.

– Najpierw spróbuję złapać go ręcznie – oznajmiłam. Czułam, że Craig i Simon wymienili wymowne spojrzenia.

– Gotowy? – spytałam ostro Craiga.

Weszłam do wody i ruszyłam w stronę łabędzia. Kiedy byłam wystarczająco blisko, rzuciłam mu garść pokruszonego chleba, który miałam przygotowany w kieszeni. Nie potrafił się oprzeć, był prawdopodobnie bardzo głodny, wyciągnął głowę i zaczął jeść. Pozwoliłam mu skończyć i rzuciłam trochę więcej okruszyn, zarazem przysuwając się bliżej. Na brzegu Craig też się zbliżał. Kiedy byłam już tuż-tuż, dałam krok, prawą ręką chwyciłam łabędzia za szyję i podniosłam go, przyciskając oba skrzydła do siebie. Ptak przez chwilę walczył, wykręcając głowę w moją stronę, ale trzymałam go mocno. Po kilku sekundach uspokoił się.

– Nieźle! – mruknął Craig, który potem ześliznął się do wody obok mnie. Łabędź znowu zaczął się szamotać, zdenerwowany, ale łabędzie trzymane w ten sposób są praktycznie bezradne. Oczywiście nie należy puszczać ich głów, bo wtedy można skończyć bez oka. Teraz Simon też podszedł bliżej i przykucnął nisko na brzegu.

– Żyłka wędkarska – powiedział – okręcona kilkakrotnie na prawej nodze i zaczepona o jakiś korzeń drzewa. Noga krwawi. Możliwe, że jest złamana, ale trudno to stwierdzić na pewno. Och, i wystaje z niego coś, co wygląda jak haczyk. – Zacisnął cęgi na żyłce i uwolnił łabędzia.

Simon wrócił na brzeg, podniósł klatkę i opuściliśmy do niej ptaka. Zamierzaliśmy zabrać go do szpitala, pobrać próbki krwi, żeby sprawdzić, czy nie ma ołowicy, zająć się jego obrażeniami, a potem wypuścić dokładnie w tym miejscu, za dzień lub dwa.

W łódce nie było miejsca dla nas wszystkich i łabędzia, więc Simon i Craig popłynęli z powrotem z klatką. Chciałam sprawdzić, czy Simon miał rację, twierdząc, że byliśmy na wyspie. Przeszłam kilka metrów, ominęłam jakieś krzaki i niewysokie leszczyny i przekonałam się, że miał. Rozlewisko, na które patrzyłam, było szerokie na najwyżej dwa metry. Na środku strumienia spotykały się wierzby, tworząc ciemny, wolno płynący tunel wodny. Glony i piana zebrały się między korzeniami. Widziałam nory szczurów na przeciwległym brzegu, w miejscu, w którym teren zaczynał się ostro wznosić ku wsi.

Za sobą słyszałam żarty Simona i Craiga, którzy dotarli już na drugi brzeg.

Ciekawa, jak długa jest wyspa, ruszyłam w dół rozlewiska.

Szłam jakieś dwadzieścia metrów. Zarośla po drugiej stronie były coraz gęstsze i wyższe, wzgórze za nimi ledwie widoczne. Szłam ostrożnie, bojąc się potknąć, i uważnie wypatrywałam śladów siedlisk wydr. Zauważyłam, że coś jest nie tak z przepływem wody na rozlewisku.

Do tego punktu, w którym stałam, płynęła wolno, zatrzymywana przez zbierający się latami muł, przerośnięte korzenie drzew, gnijące rośliny. Ale nurt, na który patrzyłam, toczył się wartko. Wyglądało to niemal tak, jakby zasilająca go woda docierała z innego kierunku. Nie dalej niż dwa metry ode mnie, na przeciwległym brzegu, gałęzie kilku wierzb zwisały nisko. Nie można było zobaczyć, co jest za nimi. Ale woda wypływająca spod liści zdecydowanie płynęła w kierunku południowo-wschodnim, podczas gdy ta z rozlewiska na wschód. Weszłam do kanałku, zamierzając przetestować jego głębokość, chciałam sprawdzić, czy da się go przejść w bród.

Sycząca, trzepocząca skrzydłami masa białego puchu wyskoczyła na mnie spod brzegu. Znalazłam gniazdo łabędzia i jego rozeźloną partnerkę. Wdrapałam się z powrotem na brzeg i usłyszałam, że Simon mnie woła. Wróciłam do miejsca, w którym czekał, żeby odwieźć nas pontonem na drugą stronę.

Około południa zmieniałam opatrunek młodemu zajęcowi z paskudnie skaleczoną nogą i wtedy przy oknie gabinetu zabiegowego pojawiła się Harriet. Trzymała telefon i gestykulowała jak szalona, w sposób charakterystyczny dla niej, kiedy chce mi dać znać, że naprawdę muszę przyjść i odebrać telefon, absolutnie i bezwarunkowo.

Pokręciłam głową, pokazując na pacjenta na stole, po czym z rozbawieniem stwierdziłam, że Harriet odeszła spod okna tylko po to, by po chwili stanąć w drzwiach i przejść przez pokój do tablicy wiszącej na ścianie. Złapała długopis i nie odkładając telefonu, napisała wielkimi literami SEAN NORTH z kilkoma wykrzyknikami. Harriet nie zna się na technologii i nigdy nie opanowała posługiwania się przyciskiem wyciszania rozmowy. Każde z nas



mogłoby nauczyć ją tego w minutę, ale bawiły nas jej wygłupy. Zwykle pracę w sali zabiegowej wykorzystuję jako pretekst do unikania rozmów z kimkolwiek, tego dnia jednak przekonałam się, że sięgam po telefon.

– Czy przeszkodziłem w ratowaniu życia jeżowi – zaświergotał North swoim osobliwym, nie do końca brytyjskim, ale też nie do końca pochodzącym skądkolwiek akcentem.

– Czterotygodniowego zajączka – odparłam zjadliwie. – W czym mogę pomóc? – Kątem oka dostrzegłam, że Harriet zawisła nade mną.

– Pomyślałem, że chętnie usłyszysz aktualne wieści. Rozmawiałem z opiekunami gadów z chyba prawie wszystkich dużych zoo. Napisałem też maile do wszystkich głównych dostawców i prywatnych kolekcjonerów. Nikt się nie przyznaje, żeby jakiś tajpan urwał im się na wagary.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– To racja. Tak czy owak, jeśli to kogoś interesuje, uważam, że policja powinna sprawdzić drogi lądowe i promy dobijające do północno-wschodniego wybrzeża. Może prywatne jachty. Lotniska mają całkiem niezły sprzęt do wykrywania nielegalnego importu, byłbym więc zaskoczony, gdyby przyleciał samolotem. Stawiam na to, że trafił tu lądem, przez Azję i Rosję, a do Wielkiej Brytanii przez Europę Wschodnią. Może nawet Skandynawię.

– Mówiłeś o tym policji?

– W tutejszym dołku raczej mnie nie kochają. Ilekroć gdzieś w zachodnim Dorset grasuje wąż uciekinier, вина spada na mnie. Pomyślałem, że tobie pozwolę im to przekazać.

– Dzięki – burknęłam, zastanawiając się, dlaczego jestem taką zrzędą. North chciał tylko pomóc. Ale czy nie mógł poszukać sobie innej osoby do kontaktów z policją?

– A tak przy okazji, ten tajpan to samica. Marudna jak wszystkie.

Harriet nadal stała blisko.

– Oddam teraz słuchawkę Harriet – oznajmiłam. – Zdaje się, że chciałaby dostać twój autograf. – Przekazałam telefon i wróciłam do pracy.

# 17

Przez resztę poniedziałku padało i wieczorem powietrze było przesycone aromatem ziemi. Jerzyki jak strzały śmigły wokół samochodu, gdy dojeżdżałam do Bourne Lane. Jest tam ostry zakręt i zbliżając się do niego, zawsze zwalniam, co tym razem okazało się szczęśliwym trafem, bo wyglądało na to, że na środku drogi klęczy jakaś kobieta.

Musiła słyszeć, że nadjeżdżam, ale nie spojrzała w górę. Kobieta była starsza i bardzo skupiona na czymś, co leżało przed nią na drodze. Zatrzymałam się i zgasiłam silnik. Kobieta mamrotała do małego psa, który dysząc i wyraźnie cierpiąc, leżał na szosie obok niej. Wyskoczyłam z samochodu. Starsza pani zauważyła, że nadchodzę, i wyciągnęła do mnie rękę.

– Och, niech pani spojrzy na mojego psa – powiedziała napiętym, suchym głosem ludzi bardzo starych. Musiała mieć powyżej osiemdziesiątki. – Niech pani popatrzy na mojego biednego małego Benniego – ciągnęła. – Nie może się podnieść.

Ukucnęłam przy niej. Biedny mały Bennie też był stary, szorstkowłosy border terier. Wyglądał na bardzo schorowanego: oczy miał mętne i rozbiegane, skórę woskową, a oddech o wiele za płytki.

– Coś mu się stało? – spytałam. – Potracił go samochód?

– Nie – zaprzeczyła kobieta. – Po prostu się przewrócił. Zatrzymał się i przewrócił. Nie mam siły go podnieść.

Bordery to nieduże psy, ale ta kobieta wyglądała na bardzo kruchą.

– Zabierzmy go do domu – zaproponowałam, wstając. – Będę go tam mogła porządnie obejrzeć. Da pani radę wstać? – Mówiąc to, pochyliłam się i delikatnie ujęłam kobietę pod ramiona. Chociaż wieczór był ciepły, miała na

sobie gruby płaszcz i kapelusz z czerwonej włóczki. Już ją gdzieś wcześniej widziałam... gdzieś. Pamiętałam czerwony kapelusz, ale nie samą okazję.

Staruszka cicho stęknęła, nie sądziłam jednak, żeby coś jej dolegało. Po prostu była stara, zeszywniała i obolała. Zaprowadziłam ją do samochodu, nie bez problemów, bo naprawdę nie chciała zostawić psa nawet na sekundę. Ostatecznie jednak zapakowałam ją bezpiecznie do auta. Potem wróciłam po psa. Smycz nadal była przyczepiona do obroży. Podniosłam ją i delikatnie owinęłam nią mordkę psiny, tworząc prowizoryczny kaganiec.

– Co pani robi?! Proszę z nim ostrożnie! – zawołała kobieta, wychylając się niebezpiecznie z samochodu.

– Nic złego mu nie zrobię, jestem weterynarzem! – odkrzyknęłam. – Muszę go bezpiecznie podnieść, wtedy będziemy mogły zawieźć go do domu. – Jedną rękę wsunęłam Benniemu pod przednie łapy, drugą pod miednicę. Wiercił się i chciał mnie chapsnąć, ale smycz trzymałam mocno. Ważył tyle co nic. Zaniósłam go do samochodu i położyłam kobiecie na kolanach. Znowu zaczęła do niego mamrotać. Ledwie zdołałam ją zmusić, żeby powiedziała, jak się nazywa – Violet Buckler – i gdzie mieszka. Przejechałam kilkaset metrów do jej domku przy Carters Lane.

Z Benniem na rękach weszłam do niego za Violet i... cofnęłam się w czasie. Stałyśmy w długim, wąskim korytarzu z odłóżającym linoleum na podłodze i wzorzystą tapetą na ścianach poznaczoną plamami wilgoci. Minęłyśmy zamknięte drzwi i potem Violet otworzyła następne na końcu korytarza. Wkroczyłam za nią do staroświeckiego pokoju, który spełniał funkcję jednocześnie kuchni i salonu. Wzdłuż ściany w głębi, po jednej stronie drzwi, znajdował się starodawny kamienny zlew z poplamioną drukowaną w kwiaty zasłonką pod nim. Po drugiej stronie drzwi stała kuchenka elektryczna, która musiała być starsza ode mnie. Jeden z palników był zdjęty, została tylko ziejąca dziura zapchana zbierającym się od lat szerniałym osadem. W laminowanym kredensie widniała kolekcja porcelany, każde naczynie było od innej zastawy, większość wyszczerbiona i porysowana. Poza tym w pomieszczeniu stały jeszcze dwa fotele, na których wołałabym nie musieć siadać, rozkładany stolik przesunięty pod jedną ze ścian i mocno ogryziony

plastikowy kosz dla psa.

Ukucnęłam i postawiłam Benniego na wytartym dywaniku przed elektrycznym kominkiem. Mamrocząc, że pies musi mieć ciepło, włączyłam kominek i potem odwróciłam się do Violet. O ile mogłam to ocenić, nie wydawało się, żeby była w o wiele lepszej formie od swojego psa. Wyraźnie drżała i zastanawiałam się, czy nie jest w szoku. Z psem mogłam sobie poradzić, nieszczęśliwi sędziwi sąsiedzi to dużo poważniejszy problem.

– Pani Buckler, powinna pani usiąść – powiedziałam, podrywając się na nogi. – Zrobię pani herbaty, ale chyba w pierwszej kolejności powinnam obejrzeć Benniego. Zaczeka pani chwilę? – Nie odpowiedziała, zdawała się nie zauważać, że rozpinam jej płaszcz i sadzam w jednym z foteli. Kominek nie miał dużej mocy i w pokoju wciąż było zdecydowanie chłodno. Nie próbowałam ściągnąć z niej płaszcza ani kapelusika. Gdzie ja go już wcześniej widziałam?

– Myśli pani, że powinnam zadzwonić po weterynarza? – spytała, ani na chwilę nie spuszczając oczu z psa. – Jest jeden w Honiton, którego raz widziałam, zaraz po tym, jak zmarł Jim, ale był taki drogi.

– Ja jestem weterynarzem – powtórzyłam, znowu klękając i otwierając swoją torbę. Odwróciłam się do staruszki i zmusiłam do uśmiechu. – Od sąsiadów nie biorę zapłaty.

– Weterynarz, mówi pani – mruknęła Violet. – Trudno jest dostać się do któregoś z tych w mieście. Bo zawiesili miejscowy autobus.

– Zgadza się pani, żebym to ja go obejrzała?

Jej oczy zrobiły się wilgotne.

– Zechciałabyś, kochanie?

Odwróciłam się od niej i skoncentrowałam na pacjencie. Leżał, dysząc, przed kominkiem. Nie podobała mi się mętność w jego oczach ani lepkość skóry. Kilka sekund zajęło mi wycucie pulsu. Był bardzo słaby. Dotknęłam każdej z łap. Wszystkie zimne.

– Ile on ma lat, Violet?

– Och, za dobrze nie pamiętam. Cztery, może pięć.

Ukryłam uśmiech. Bennie miał co najmniej dwanaście. Poglaskałam go po

karku i brzuchu, po nogach. Brzuch miał wzdęty, ale poza tym był chudy.

Bennie znowu zaczął kaszleć.

– Od jak dawna tak kaszle? – spróbowałam ponownie.

Violet wpatrywała się we mnie, jakbym była nauczycielką, która właśnie zadała bardzo trudne i nie do końca zrozumiałe pytanie.

– Kasłał w zeszłym tygodniu – odpowiedziała w końcu. – Ale dałam mu trochę mojego syropu maślanego.

Wyciągnęłam stetoskop i kilka sekund osłuchiwałam serce Benniego. Miał tam bardzo wyraźne szmery.

– Jak z jego apetytem? – spytałam.

– Och, uwielbia swoje jedzonko, ten mój Bennie. Apetyt zawsze mu dopisywał.

Znowu spojrzałam na psa przed sobą. Nie licząc opuchlizny na brzuchu, wyglądał jak sama skóra i kości. Odpowiedzi Violet były tak mało wiarygodne, że równie dobrze mogłam zadawać pytania Benniemu. Poza tym byłam raczej pewna, co mu jest. I że naprawdę powinnam poruszyć temat uśpienia. Tyle że nie sądziłam, że potrafię. To zupełnie nie była moja działka. Wystarczyło mi te dziesięć minut spędzone w towarzystwie Violet, żeby wiedzieć, że pies był dla niej wszystkim.

– I co ja biedna pocznę bez mojego Benniego? – wymamrotała, jakby czytała mi w myślach.

No, faktycznie, co? Niemniej nie mogłam się pozbyć przeczucia, że Violet dość szybko się o tym przekona. Bennie – byłam tego całkowicie pewna – cierpiał na chroniczną niewydolność serca. Gdyby chorobę wykryto w porę, można byłoby ją leczyć. Ale Bennie był zwyczajnie za stary i chorował zbyt długo.

– Violet, Bennie musi teraz odpocząć. Jutro mogę podać mu zastrzyk z furosemidu. To diuretyk. – Violet patrzyła na mnie pustym wzrokiem. – Usunie płyny, jakie zebrały się w jego organizmie i pomoże bić sercu – spróbowałam ponownie. – Istnieje szansa, że mu się polepszy. Jeśli nie...

Nie byłam pewna, ile do niej docierało, i nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że największym zagrożeniem dla Benniego było to, że nazajutrz rano Violet

zapomni o jego ataku i znowu spróbuje wyprowadzić go na spacer.

Podciągnęłam się na nogi. Zerknięcie na zegarek powiedziało mi, że wciąż mam jeszcze czas, żeby pobiegać, nadrabiając trening, który przegapiłam rano.

Tylko jak mogłabym zostawić Violet, rozbitą i drżącą w tym płaszczu i kapelusiku? Zaproponowałam, że zrobię herbatę, a ona tak skwapliwie na to przystała, że wiedziałam, że nigdzie nie pójdę.

W kuchni Violet miała spiżarnię, ale na drewnianych półkach leżał przede wszystkim kurz. Znalazłam paczkę herbaty ekspresowej, małą torebkę cukru i mleko w kartonie, chyba nie najświeższe. Starsza pani zdaje się żywić się głównie jedzeniem z puszek. Zastanawiałam się, kiedy ostatnio, jeśli w ogóle, jadła coś świeżego, i gdzie robiła zakupy. We wsi był tylko jeden sklep, służący też za urząd pocztowy. Sprzedawali w nim pieczywo, mleko, jajka i masło, ale wszystko inne to były produkty suche, paczkowane albo puszkowane. Violet, bez samochodu i przy braku miejscowej komunikacji, nie była w stanie wydostać się ze wsi. Najwyraźniej nie miała rodziny, bo inaczej nie żyłaby w takim zaniedbaniu, polegając jedynie na psie i od czasu do czasu litości obcych.

Kiedy podałam jej kubek, przypomniało mi się, gdzie ją wcześniej widziałam. Trzy dni temu była jednym z uczestników spotkania mieszkańców wsi. Siedziała z czterema innymi osobami, wszystkimi tak samo starymi jak ona. Jedną z nich, o czym teraz wiedziałam, był Ernest Amblin. Staruszkowie nie odzywali się, ale słuchali bardzo uważnie.

– Violet, mogę panią o coś zapytać?

Nachyliła się do przodu, nagle sprawiając wrażenie bardziej przytomnej.

– Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy zmarł Walter Witcher – ciągnęłam.

– Ten Walter, który mieszkał w domu na dole wsi. W tym, co to kiedyś był czterema oddzielnymi domami.

Coś w twarzy Violet się zmieniło. Uciekła ode mnie wzrokiem.

– Cztery domy – syknęła niemal. – Dziwiliśmy się, że chciało im się wyburzać ściany. Ale i tak wszyscy wiedzieliśmy, co się tam dzieje.

– A co?

– Oni byli źli. Zuchwałe, złe chłopaki. Wszyscy poza Walterem. – Znowu

spojrzała na mnie rozwodnionymi niebieskimi oczyma. – Wszystkim nam było żal Waltera – ciągnęła. – Uprawiał dalie, piękne kwiaty, we wszystkich kolorach, jakie można sobie wyobrazić. Raz, gdy pracował w swoim ogrodzie, pochwaliłam je, a potem, następnego dnia rano, na moim progu leżał wielki bukiet. Miły człowiek.

– Tak, był miły. Pamiętasz, kiedy umarł?

– A to Walter umarł? – Jej twarz pod wpływem bólu pokryła się zmarszczkami.

To było beznadziejne. Violet ledwie pamiętała wydarzenia sprzed godziny. Skinęłam głową.

– Kilka miesięcy temu. Nie pamiętam pogrzebu. Zastanawiałam się, czy...

– Harry umarł. Harry upił się którejś nocy. On się zawsze upijał. Wracał do domu wzdłuż torów, niedługo po tym, jak wrócił, i potracił go pociąg.

Kim, na Boga, był Harry? Mężem Violet? Ale czy nie mówiła, że mąż miał na imię Jim?

– Pamiętam pogrzeb Edeline – spróbowałam jeszcze raz. – Odbył się w zeszłym roku, chyba w listopadzie, prawda? – Wspomnienia o śmierci Edeline nadal wywoływały we mnie ukłucie wyrzutów sumienia. Zmarła sama w swoim domu na zawał serca wynikły z zapalenia płuc i nie żyła cztery dni, zanim listonosz zaalarmował pomoc społeczną. A mówi się, że w małych wsiach ludzie troszczą się o siebie. Rozejrzałam się i nie znalazłam oznak tego, by ktoś troszczył się o Violet. Czy ona też podzieli los Edeline?

– Edeline. – Violet kręciła głową, a ja czekałam na ciąg dalszy. Zasznurowane usta jasno dawały do zrozumienia, że staruszka nie myślała o Edeline najlepiej. – Miała tupet, ta dziewczyna, z tymi jej obcisłymi kieckami i cyckami na wierzchu, tak że każdy mógł je widzieć. – Violet nachyliła się do przodu, jakby w pokoju byli inni, którzy mogliby podsłuchać. – W tamtych czasach naczelnikiem poczty był Ronnie Gates. Roznosił listy wcześniej, żeby mieć je szybko z głowy. Mówił, że nigdy nie wiedział, z którego domu Edeline wyjdzie rano. Nawet od Archiego, a on był z kościoła.

Archie? Harry? Violet coś się mieszało. A mówienie o przeszłości ją przygnębiało. Spróbowałam jej przerwać, ale już się rozkręciła.

– Samo stanie i gadanie w kościele nie robi jeszcze z ciebie dobrego człowieka – oświadczyła. – On był... jak to się mówi?... katechetą. Odprawiał msze, kiedy byliśmy bez proboszcza. Do czasu, aż też wyjechał. Mówili, że do Ameryki. To było w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, w roku, w którym pobraliśmy się z Jimem. Musieliśmy iść do sąsiedniej parafii przez to, że u nas był zniszczony kościół i w ogóle.

Nie nadążałam za tym, co mówiła. Ale wzmianka o kościele przykuła moją uwagę.

– W kościele wybuchł duży pożar, prawda? Przynajmniej tak zawsze zakładałam – powiedziałam. Czasami przebiegałam obok niego. Nadal można tam było zobaczyć zwęglone belki. – To było wtedy, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym?

Violet pokręciła głową.

– Nie ma sensu mnie pytać o tamtą noc, kochanie. Tak naprawdę nigdy nie wiedziałam, co się wtedy stało. Ludzie, którzy tam byli, nie mówili o tym. Nawet Ruby, a ona była moją najbliższą przyjaciółką. – Zamilkła i ziewnęła. Podniosłam się.

– Violet, pozwolę teraz pani...

– I mówią, że wszystkie węże zdechły. Nie przetrzymały zimy.

Musiałam źle usłyszeć. Głowę miałam zapakowaną wężami, więc to pewnie dlatego.

– Kiedy usłyszeliśmy o Johnie i dziecku, pomyśleliśmy: o nie, tylko znowu nie to.

Dałam krok przed siebie, zaczęłam, a potem z powrotem usiadłam.

– Violet, co pani powiedziała? – spytałam tak łagodnie, jak tylko potrafiłam. – O tych wężach?

Violet spojrzała na mnie, ale wyglądało, jakby nie była w stanie skupić wzroku na mojej twarzy. Potem przeciągle ziewnęła i jej oczy się zamknęły.

– Violet – powtórzyłam, nachylając się do niej. Dotknęłam lekko jej ręki. Znowu ziewnęła bez otwierania oczu. Widziałam, jak oddycha, cicho i równomiernie, i zrozumiałam, że zasnęła. Podniosłam się i wyszłam po cichu. Gdy otwierałam drzwi prowadzące na korytarz, zaskoczył mnie jej głos.



– Moja droga, co ci się stało w twarz?

Odwróciłam się. Oczy Violet znowu były otwarte, staruszka patrzyła bezpośrednio na mnie.

– To był wypadek – odparłam po chwili. – Dawno temu. Jak byłam dzieckiem.

Violet westchnęła i pokręciła głową.

– Ale i tak jesteś bardzo ładna.

Wybałuszyłam oczy. Dotąd nikt nigdy nie opisał mnie jako ładnej. To żart, prawda? Tylko że Violet się nie śmiała. Ja też nie. Nikt się nie śmiał.

– Liczy się to, co w środku, kochanie – dodała, a jej powieki znowu powoli opadły.

Przeszłam ciemny korytarz i wyszłam na zewnątrz, pozwalając, by drzwi za mną zamknęły się same.

– Właśnie to zawsze sobie powtarzam – szepnęłam, stojąc na progu.

## 18

Zawsze lubiłam cmentarze przykościelne, zwłaszcza te starsze. Podoba mi się chaotyczne rozmieszczenie starych nagrobków rozsianych na trawnikach jak kamyczki. Lubię czytać rzeźbione napisy, myśleć o dobrze przeżytych latach, o ludziach odchodzących w ósmej lub dziewiątej dekadzie swojego życia, pozostawiających za sobą dzieci, wnuki, nawet prawnuki. Ludziach, których będzie brakowało i których się będzie czule wspominało.

Wiem, wiem, na cmentarzu można też znaleźć sporo smutnych historii, zawsze są tam tacy, którzy odeszli przedwcześnie na skutek wypadku czy choroby. Generalnie jednak pokrzepiają mnie oznaki miłości rozrzucone w takich miejscach: wazony z wyschniętymi kwiatowymi łodygami, wypłowiała plastikowa zabawka, bożonarodzeniowe ozdoby pojawiające się w środku zimy. Ze względu na zawód ojca w dzieciństwie odwiedziłam sporo kościołów i zawsze wołałam zostawać na zewnątrz, żeby pogapić się na dziki bez i cisy, nacieszyć oczy polnymi kwiatami rosnącymi z taką obfitością: fiołkami i pierwiosnkami wczesną wiosną, a potem, gdy robi się cieplej, dzwonkami i naparstnicami. I zwłaszcza maleńkimi, nieśmiałyimi niezapominajkami, które tak często i tak stosownie porastają cmentarze, niczym słodkie duszyczki tych, którzy odeszli, ale nadal zachowują miejsce w naszych sercach. Niezapominajka to chyba mój faworyt wśród angielskich kwiatów. Mama i Vanessa, bardziej zainteresowane witrażami i rzeźbieniami wewnątrz kościołów, kręciły głowami i nazywały mnie Przekorną Clarą. Ale choć raz autentycznie nie próbowałam udawać indywidualistki: tak się po prostu składa, że lubię przykościelne cmentarze.

Dlaczego więc nie lubiłam tego?

Obok starego kościoła św. Birinusa w naszej wsi musiałam przebiegać kilka razy w tygodniu, ale nigdy wcześniej nie otworzyłam żelaznej bramy i nie weszłam do wysokiego kamiennego wnętrza. Teraz, stojąc w bramie i rozglądając się, sędzę, że zrozumiałam powód. Nawet z daleka zrujnowany kościół i zaniedbany teren sprawiały odpychające wrażenie, z bliska – w tym miejscu było coś, co powodowało, że czułam się zdecydowanie nieswojo.

Gdy szłam przed siebie, szkieletowe pozostałości po średniowiecznej budowli – kruszące się kamienne łuki i poczerńnięte belki – wznosiły się wysoko nade mną. Pomiędzy starymi krokwiemi coś przemykało. Zorientowałam się, że budynek zamieszkuje kolonia nietoperzy, które już się budziły.

Przy ścieżce z obu stron rosły stare lipy – ciemne i oleiste liście, pnie poskręcane wiekiem i porysowane obscenicznymi napisami wydłubanymi przez pokolenia miejscowej młodzieży. W swoim czasie kościół mógł się poszczycić masywnymi drewnianymi drzwiami. Jednego skrzydła brakowało, drugie ledwie trzymało się futryny. Przy silnym wietrze kołysałoby się pewnie i skrzypiało, dlatego cieszyłam się, że przyszedłam tu w spokojny wieczór.

Teren cmentarza obramowywał wysoki poczerńnięty kamienny mur, obrośnięty bluszczem i porostem, wzdłuż muru rosły bardzo stare cisy. Tuż za nim posadzone były o wiele wyższe drzewa – głównie buki i kilka orzechów, co powodowało, że na cmentarzu było ciemniej niż bez nich, nawet tak późnym wieczorem. Zasłaniały też widok otaczających wzgórz. Człowiek czuł się tam jak w kokonie z drewna i liści, odcięty od zewnętrznego świata.

W większych drzewach miały gniazda gawrony, powinny już układać się do snu, ale moja wizyta je zaniepokoiła. Krążyły nad kościołem, kracząc ochryple, charakterystycznie dla tego gatunku. Przyszło mi na myśl, że może powinnam przyjść tu za dnia, ale wiedząc, że nigdy nie znajdę na to czasu, ruszyłam szukać nowszych nagrobków.

Msza pogrzebowa Edeline Witcher odbyła się w sąsiedniej wsi, zwłoki przywieziono jednak tutaj na pochówek. Nie uczestniczyłam w tej części pogrzebu, byłam potrzebna w pracy, i nie widziałam samego grobu. Dlaczego odczuwałam przymus zobaczenia go tego właśnie wieczoru, nie bardzo

potrafię wyjaśnić. Może sądziłam, że fizyczna bliskość pomoże mi przypomnieć sobie, co Edeline mówiła o śmierci męża. Może miałam nadzieję, że mimo wszystko znajdę na cmentarzu grób Waltera.

Po kilku minutach gawrony uspokoiły się i zaległa cisza, ja zaś szłam przez cmentarz i szukałam członków rodziny Witcherów. Dwukrotnie na nagrobkach z napisami z początków XIX wieku znalazłam wzmianki o osobach, które w moim mniemaniu musiały być przodkami Waltera, ale minęło prawie dwadzieścia minut (już chciałam się poddać, bo zrobiło się zupełnie ciemno), zanim zauważyłam małą drewnianą tabliczkę, na której widniało nazwisko Edeline i data jej urodzenia oraz śmierci. Nic więcej tam nie było – żadnej czulej wiadomości od bliskich, żadnych wyrazów uznania dla jej charakteru. Nie lubiłam Edeline, mimo wszystko jednak wydawało mi się to ogromnie smutne, że jej odejście zostało tak skromnie uczczone.

Grobu Waltera nie znalazłam i już chciałam zawrócić, gdy ponownie spostrzegłam nazwisko Witcher wyrzeźbione na małym kamiennym nagrobku, stojącym jakieś dwa metry od grobu Edeline. „Harry Witcher”, brzmiał napis na nim. „1930–1982”. 1930. Harry był rówieśnikiem Waltera; młodszy brat, a może kuzyn. A Violet wspominała o jakimś Harrym, czyż nie? Harrym, który zginął potrącony przez pociąg. Mówiła też o kimś jeszcze – o Alfredzie? Arthurze?

Znowu ruszyłam przed siebie, ale oddalałam się od bramy, szłam w głąb cmentarza, zerkając po drodze na nagrobki. Kiedy dotarłam do najdalszego rogu, znalazłam ostatnią partię do sprawdzenia: grupę czterech nagrobków, samych w sobie małych i niepokąźnych, ale oddzielonych od reszty cmentarza wianuszkami wybujałych krzaków bzu. Przecisnęłam się przez krzaki i zaczęłam czytać.

Wszystkie cztery kamienne tablice stały na grobach młodych mężczyzn, którzy zmarli w 1958 roku. Dwóch tej samej nocy, piętnastego czerwca; trzeci dwa dni później, siedemnastego czerwca, i ostatni osiemnastego czerwca.

Moje zainteresowanie rosło. Przypomniałam sobie, że Violet mówiła o 1958 roku. Archie. Tak brzmiało to imię. Mówiła coś o jakimś Archie, który odprawiał msze w kościele aż do 1958 roku. Sądziłam, że coś się jej

pomieszało i nie słuchałam zbyt uważnie, póki nie wspomniała o węzach. Co ona takiego powiedziała? Wszystkie zdechły podczas angielskiej zimy?

Przez chwilę zastanawiałam się, czy ktoś w 1958 roku nie sprowadził do Anglii tajpanów. Ale wtedy dopiero co odkryto je w Australii. Nie wydawało się to wykonalne. A nawet jeśli, to było bardzo mało prawdopodobne, żeby jakaś część przetrwała, żeby istniała zaaklimatyzowana kolonia tajpanów, żyjących i rozmnażających się na terenach wiejskich w Dorset.

– Węże tropikalne nie mogą żyć w zimnym klimacie – wymamrotałam do siebie, zastanawiając się, czy naprawdę jestem tego taka pewna.

Pochyliłam się, żeby ponownie popatrzeć na cztery nagrobki. „Wielebny Joel Morgan Fain”, było napisane na pierwszym, „15 czerwca 1958 r., zabrał go pożar. »I zejdzie do nas jako ostatni deszcz nawodnić ziemię«”. Obejrzałam się na spalony kościół, potem odwróciłam do drugiego nagrobka. „Larry Hodges” – brzmiał napis, „17 kwietnia 1919–15 czerwca 1958. »A te znaki będą towarzyszyć tym, którzy uwierzą«”. Czy Larry’ego też zabrał pożar? Trzeci nagrobek zaznaczał miejsce spoczynku Petera Morfeta, zmarłego siedemnastego czerwca w wieku trzydziestu dwóch lat. Czwarty stał na grobie Raymonda Gillarda, który zmarł następnego dnia.

Gawrony znowu zaczęły krakać, sprawiając, że podskoczyłam. Uświadomiło mi to, jaka byłam zdenerwowana od chwili wejścia na cmentarz. Odkładając na bok przygodę z poprzedniej nocy, nigdy nie wierzyłam w duchy ani w żadnego rodzaju nieprzyjazne nadnaturalne istoty, ale nie uwierzę, że ktokolwiek czuje się komfortowo na cmentarzu, gdy zapada zmrok. Poza tym zaczynałam mieć to wrażenie – wiecie, to, przez które człowiek ma się ochotę obejrzyć za siebie. Wiesz, że nic tam nie ma, oczywiście, że nie, ale mimo wszystko... Tylko jedno szybkie zerknięcie.

Odwróciłam się. Niecałe dziesięć metrów ode mnie stała ubrana na czarno postać, która mi się przyglądała.

– Dobry wieczór, Claro – powiedziała, dając krok w moją stronę.

## 19

**W**itam, pastorze Percy – odparłam. – Widzę, że wybrał się pastor na późny spacer.

– Podobnie jak ty, Claro – odrzekł głosem tak starym i słabym, jak on sam. Obszedł lekkim krokiem krzak bzu i dołączył do mnie.

Pastor Percy to nasz miejscowy proboszcz i zważywszy na moją rodzinę, jedna z nielicznych osób w okolicy, z którą nie wypada mi unikać kontaktów. Naprawdę nie da się uciec od Kościoła, kiedy twój ojciec jest archidiakonem.

Oczywiście dzieci duchownych niezmiennie buntują się w jakimś momencie w okresie dorastania. Vanessa, kiedy miała piętnaście lat, przewidywalnie zeszła na boczny tor. Odmawiała chodzenia do kościoła, z wyjątkiem pasterki, na której gromadziła się większość jej znajomych po późnonocnych imprezach. Na studiach jednak zadała się z grupą nazywaną Brygadą Boga. Piętnaście lat później przewodniczy komitetowi parafialnemu, prowadzi szkółkę niedzielną i redaguje gazetkę kościelną. Myślę, że nawet ojciec jest czasem skrępowany jej przesadnym entuzjazmem.

Moja rebelia wyglądała o wiele mniej dramatycznie. Nigdy nie przestałam chodzić do kościoła i nadal chodzę co kilka tygodni. Ale ostatecznie byłam zmuszona zaakceptować fakt, że nigdy nie podzielę niezachwianej wiary mojego ojca. Nie, żebym zupełnie przestała wierzyć. Rytuał mszy nadal napełnia mnie spokojem, po prostu nie mam w sercu tej bezmyślnej niekwestionowanej wiary.

Niemniej stare przyzwyczajenia trudno się zmienia. Dlatego spotkałam się z pastorem Percivalem Stanceyem niedługo po przeprowadzce do wsi. Raz w miesiącu przyjmowałam od niego komunię i opierałam się tak grzecznie, jak

potrafiłam, jego próbom namówienia mnie do wstąpienia do chóru.

– Czy mogę ci w czymś pomóc, kochanie? – zapytał, kiedy wkroczył w mały krąg utworzony przez cztery nagrobki i mur cmentarny.

– Był pastor tutaj w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku? – spytałam.

– O, moja droga, a ile, twoim zdaniem, mam lat? – obruszył się żartobliwie. Cóż, jakieś siedemdziesiąt, brzmiała szczerą odpowiedź, nie taka jednak, którą zamierzałam wyartykułować. Tak czy owak, szanse, że pozostawał w jednej parafii przez pięćdziesiąt lat, były dość nikłe.

Pastor czytał napisy na nagrobkach i wydawał się nimi wielce zainteresowany.

– Zjawiłem się tu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku – powiedział. – I nigdy nie odprawiałem mszy w tym kościele.

– Wie pastor, kiedy wybuchł pożar?

Spojrzał ponad moim ramieniem na kościół, teraz zupełnie ciemny na tle fioletowego nieba.

– Jakiś czas przed moim przyjazdem – odparł. – Mówiło się o jego odbudowie, ale nikt we wsi nie wydawał się zainteresowany. Po jakimś czasie pogoda zebrała swoje żniwo.

Wyciągnął rękę i dotknął mojego ramienia.

– Robi się chłodno, kochanie. Mogę cię odprowadzić do samochodu?

Pomyśl, że potrzebuję eskorty kruchego staruszka, był zabawny, aczkolwiek uroczy. Podziękowałam i zgodziłam się. Ruszyliśmy w stronę bramy. Kiedy szliśmy, wokół nas przelatowały jakieś stworzenia. Zauważyłam, że pastor kilka razy się wzdrygnął.

– Pastorze, myślałam o Walterze Witcherze. Próbowalam sobie przypomnieć, kiedy zmarł. Potrafi pastor pomóc?

Wielebny Percy potknął się, podałam mu więc ramię, żeby mógł się go złapać.

– Hm, niech no pomyślę... Dziękuję, moja droga. – Odzyskał równowagę i znowu ruszyliśmy. – Pogrzebu nie było, prawda? Oczywiście proponowałem, ale Edeline powiedziała, że ma się odbyć bardzo skromna msza w szpitalu i że

odprawi ją tamtejszy kapelan.

– Tak, słyszałam to samo. Ale nie mogę sobie przypomnieć, kiedy to było.

– Niech no się zastanowię. We wrześniu, chyba tak? Tak, zdecydowanie we wrześniu, gdzieś w połowie miesiąca, bo kiedy wróciłem z odwiedzin u Edeline, pani Roberts chciała, żebym obejrzał kościół. Właśnie skończyli go dekorować na dożynki. Więc to byłoby w połowie września.

Tak myślałam. Tylko w takim razie dlaczego śmierć Waltera nie została nigdzie odnotowana?

– Odwiedzał go pastor w szpitalu?

– Nie wiedziałem, że w nim był, kochanie – odpowiedział. – Żadne z Witcherów nie uczęszczało do kościoła przez te wszystkie lata, gdy tu byłem. Musiałem polegać na innych, jeśli chciałem wiedzieć, co się u nich dzieje.

– Oczywiście, rozumiem. – Potem coś sobie przypomniałam. – Znalazłam grób Harry’ego Witchera. Znał go pastor?

– Harry’ego, tak, biedny Harry. Straszna sprawa.

– To jakiś krewny?

– Widzę, że bardzo się interesujesz Witcherami, moja droga. Ach, oto i twój samochód. I mój.

Pożegnałam się z pastorem Percym, obiecując, że wkrótce odwiedzę go w kościele, potem wsiedliśmy do swoich aut i odjechaliśmy. Pastor pierwszy, szosą pod górę, w stronę wyjazdu ze wsi, ja za nim. Potem ja zjechałam w Bourne Lane, a pastor pojechał dalej. Skręcił za róg i zniknął z widoku.

Zaparkowałam na podjeździe i obejrzałam się na dom Sally. Było tam ciemno, samochodu też nigdzie nie dostrzegłam. Po drodze z pracy wstąpiłam do sklepu metalowego i kupiłam cztery mocne zasuwy. Zanim położę się spać tej nocy, zasuwy zostaną zamontowane, u góry i u dołu, na obojgu moich drzwiach. Nawet jeśli ktoś miał klucze, nie wejdzie do środka, gdy będę spała. Oczywiście, kiedy mnie nie będzie, to już zupełnie inna sytuacja. Naprawdę koniecznie muszę zmienić zamki.

Byłam głodna i zmęczona. Nakarmiłam sówki i popatrzyłam chwilę, jak



szykują się do snu. Lodówkę miałam zapakowaną warzywami na sałatkę, ale nie wyobrażałam sobie tego całego mycia i szatkowania. Zalałam mlekiem miskę płatków i usiadłam przy stole, przyglądając się, jak pisklęta popiskują i tulą się do siebie. Zdołałam zjeść połowę płatków i poddałam się.

Pod wpływem nagłego impulsu sięgnęłam po telefon. Numer, o który mi chodziło, znalazłam w spisie. Potem czekałam, aż usłyszę znajomy kobiecy głos.

– Tu Clara Benning, z dołu ulicy. Mam nadzieję, że nie...

– Clara, hej! Jak się pani miewa? Właśnie miałam kłaść Sopię. Chce pani wpaść ją zobaczyć?

– Dziękuję. Mam... Czy mogłabym tylko o coś zapytać? Chodzi o ten poranek, kiedy znalazła pani żmiję?

– Oczywiście. – Głos Lynsey Huston, taki ożywiony i przyjazny sekundę temu, obniżył się, stał się czujniejszy. Ale przypuszczam, że matce jest trudno, kiedy się jej przypomina o tym, jak jej dziecko nieomal nie zginęło.

– Kiedy przyszedłam do pani domu tamtego poranka, wydało mi się, że w korytarzu widziałam mokre ślady stóp.

– Naprawdę? – Znowu ożywienie, ale teraz nerwowe.

– I... nie chcę pani niepokoić, jestem pewna, że to nic ważnego, ale... – Przerwałam, teraz już żałując, że wykonałam ten telefon.

– Ja też je widziałam – oznajmiła Lynsey. – Ale pomyślałam, że to pani je zostawiła. Albo ludzie z pogotowia.

– Proszę posłuchać, to nic takiego. Nie powinnam była o tym wspominać.

– Daniel zszedł na dół tego dnia wcześniej rano. Mówił, że coś go obudziło.

– I widział coś?

– Nie pamiętam, żeby wrócił do łóżka, znowu zasnęłam. Ale jestem pewna, że powiedziałby, gdyby zauważył coś niepokojącego.

– Oczywiście, że by powiedział. Głuptas ze mnie. Przepraszam. Proszę już wracać do Sopi i kłaść ją spać.

– Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby dała się pani kiedyś zaprosić na kolację. Może zaprosilibyśmy jeszcze kilku innych sąsiadów. Co pani na...

– Och, mam drugą rozmowę. To może być ktoś z kliniki. Dziękuję pani.

Dobranoc.

Odłożyłam słuchawkę i znowu zaczęłam krążyć po domu. Włączyłam telewizor i dziesięć minut przeskakiwałam z kanału na kanał. Otworzyłam książkę, ale odłożyłam, kiedy się zorientowałam, że od piętnastu minut nie przeczytałam strony. Przez moment myślałam o tym, żeby się położyć. Zegar pokazywał dziewiątą trzydzieści. Czy zasnę? Z ostatnich trzech nocy dwie były dość burzliwe, ale mimo to nie sądziłam, żebym była w stanie zasnąć. Włożyłam buty do biegania i na sweter wciągnęłam polar.

Na zewnątrz było ciemno. Księżyc wzeszedł, ale widać go było zaledwie w jednej kwadrze, poza tym nieustannie przysłaniały go chmury. Zbiegłam ze wzgórza, przecięłam pastwisko i pobiegłam w dół Bottom Lane.

Nie jestem pewna, jaki właściwie miałam plan. Nie było tak, że powiedziałam sobie: Pobiegnij do domu Witcherów i... Bo nie wiedziałabym, co miałabym dodać w tym punkcie. Wiedziałam tylko tyle, że coś w naturalnym porządku życia angielskiej wsi uległo zachwianiu. Ludzie nie umierają od ukąszenia węży w spokojnych angielskich wsiach. Nie budzą się rano i nie znajdują w swoich domach jadowitych węży tropikalnych. I z pewnością nie powstają z martwych.

Dotarłam do końca Bottom Lane i zatrzymałam się. Ktokolwiek uznał, że dom Anglika jest jego twierdzą, mógł mieć na myśli Waltera. Przebiegałam tędy wiele razy, ale tak naprawdę nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, jak niedostępne było to miejsce. Niski kamienny mur biegł dokoła ogrodu. Na jego szczycie Walter zamontował trejaż i obsadził go zwartym ciernistym żywopłotem. Wybrał rośliny znane z tego, że rosną gęsto i są obsypane kolcami. Żywopłot miał ponad dwa i pół metra wysokości. Gdyby było się uzbrojonym w parę mocnych nożyc do żywopłotów, może dałoby się wyciąć w nim przejście, ale trochę by to potrwało. Jedyna brama była wysoka na półtora metra i na górze miała kolce. Pokonanie jej było możliwe, ale nie dla osiemdziesięciokilkulatka. Jeśli Walter żył i mieszkał w tym domu, nie dostawał się do niego i nie wydostawał, przełaząc przez bramę. Postanowiłam

pójść za żywopłotem wzdłuż granic posiadłości i sprawdzić, czy było tam jakieś tylne wejście.

Nie miałam ze sobą latarki, ale nie uważałam, że będę jej potrzebowała. Całkiem nieźle widzę w ciemności. Ja i moi koledzy jesteśmy regularnie wzywani do nocnych akcji ratunkowych, staliśmy się prawdziwymi ekspertami w przedzieraniu się, szybkim, ale cichym, przez pogrążone w mroku tereny. Mijaliśmy wędkarzy, przechodziliśmy zaledwie kilka kroków od nich, a oni niczego nie zauważali. Ustawieni pod wiatr obserwowaliśmy zabawy borsuków, byliśmy tak blisko, że spokojnie moglibyśmy do nich dołączyć. Widzieliśmy nawet sarny karmiące swoje małe i nie spłoszyliśmy ich.

Sztuka polega na całkowitym skupieniu. Trzeba w pełni być tu i teraz, świadomym i wyczulonym na wszystko dokoła: trzepot skrzydeł nadciągający z tyłu z twojej lewej strony, szybkie umykanie czegoś spod stóp, trop lisa. Spróbujcie tego kiedyś. Oczyśćcie umysł i pozwólcie zmysłom robić swoje. Bycie stworzeniem nocy jest ekscytujące i jednocześnie zaskakująco uspokajające.

Tego wieczoru pokpiłam sprawę, bo mój umysł nie był czysty. Nie koncentrowałam się na tym, co działo się wokół mnie, myślałam o innych rzeczach i szukałam w żywopłocie Witcherów śladów świadczących o możliwości przejścia. W przeciwnym razie jestem pewna, że już wcześniej usłyszałabym cichy odgłos dochodzący z pola po drugiej stronie ścieżki. Wyczułabym niebezpieczeństwo, bezpośrednie zagrożenie, to, że jestem śledzona. W końcu jednak usłyszałam cichy szelest, który powiedział mi, że coś – prawdopodobnie duży ssak – przedziera się przez wysoką trawę za drugim żywopłotem. Zatrzymałam się. Kompletna cisza.

Ruszyłam znowu, świadoma, że oddalam się od wsi, od możliwości uzyskania pomocy, jeśli to, co usłyszałam, to nie była sarna, lis czy borsuk. Przeszłam kolejne dziesięć metrów.

Znowu odgłos. Mały kamyk ocierający się o większy. Zdecydowanie coś tam było. Coś, co razem ze mną schodziło ze wzgórza. Czy zwierzę by tak robiło? Przekładałoby ciekawość ponad strach? Stałam i słuchałam, wiedząc, że zaledwie krok dalej, za wąskim szpalerem leszczyn i krzaków bzu, coś

robiło dokładnie to samo: stało i nasłuchiwało. Nie słyszałam nic, ale każdy najmniejszy włoszek na moim ciele stał na sztorc i nie byłabym zdziwiona, gdybym spojrzawszy w dół, zobaczyła, że klatka piersiowa faluje mi, tak głośno i mocno zdawało się bić moje serce.

Dałam dwa kroki do tyłu, prawie spodziewając się, że coś wyskoczy na mnie z krzaków. Następny krok i potknęłam się. Odwróciłam się i znowu zaczęłam iść, stawiając tak długie kroki, jak tylko mogłam, i oglądając się za siebie co kilka sekund. Wydawało mi się, że nadal coś słyszę, ale teraz byłam zdenerwowana i nie mogłam mieć pewności. Wciąż byłam dość daleko od centrum wsi i zdecydowanie poza zasięgiem słuchu, gdybym potrzebowała pomocy.

Zaczęłam biec. Jakaś ciemna postać wyszła na ścieżkę przede mną. I następna. Zatrzymałam się. Usłyszałam hałas za sobą i odwróciłam się. Ktoś przeciskał się przez żywopłot. Za tym kimś czwarta, potem piąta osoba. Pięcioro przeciwko jednej. Niezbyt wyrównane szanse.

## 20

**N**ie miałam dokąd uciec, szłam więc przed siebie ze świadomością, że idą za mną, że są coraz bliżej, ale wiedziałam też, że mam sekundę czy dwie, zanim się ze mną zrównają.

– Przepraszam! – powiedziałam, z ulgą witając fakt, że mój głos brzmi ostro. Dwie postaci przede mną nie ruszyły się. Tak naprawdę nie oczekiwałam tego, ale bywałam już w takich sytuacjach. Wetknęłam rękę do kieszeni, znalazłam to, o czym wiedziałam, że tam będzie, zacisnęłam na tym palce. Zatrzymałam się dwa metry od nich i lekko odwróciłam, żeby widzieć pozostałą trójkę.

Najgorszą rzeczą, jaką mogłam zrobić, było okazać strach. Gdybym pokazała, że się boję, byłoby po mnie. Byli młodzi – to akurat dobrze – i prawie na pewno miejscowi. W zasięgu marszu nie znajdowała się żadna inna wieś. Że miejscowi, to też dobrze. W razie czego byłiby do odszukania. To musiała być ta banda, o której mówiła Sally, ta, która kręci się przy posiadłości Witcherów. Prawdopodobnie sprawcy tych wszystkie drobnych aktów wandalizmu, jakie ostatnio zdarzały się we wsi.

– Paskudna krowa! – zawołał głos za moimi plecami. Dziewczęcy głos.

Dałam krok, podeszłam prawie tak blisko, że mogłabym ich dotknąć, i wbiłam wzrok w oczy tego, który, jak się domyślałam, był przywódcą. Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt, z jasnymi włosami i cerą z bliznami po trądziku. Nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat, ale był silny. Utrzymywał kontakt wzrokowy, jego spojrzenie nie było jednak do końca pewne siebie i to dało mi nadzieję. Chłopak obok, z kapturem na głowie, patrzył na niego, nie na mnie. Tę zgraję trzymała razem brawura. Wystarczyło

znaleźć słaby punkt i nacisnąć.

– Masz papierową torbę, Nathe?! – krzyknął jeden z chłopaków za mną.

Nathe i jego kolega w kapturze parsknęli śmiechem. Nathe dał krok do przodu. Czułam jego pot, zatechły odór papierosów i coś zwierzęcego. Jego oczy przesunęły się po mojej sylwetce.

– Pokaż cycki – warknął, zagładając mi w oczy. Bardzo chciał ujrzeć w nich strach.

– Pierdol się – wycedziłam, sięgając do zapasu wulgaryzmów, które rezerwowałam sobie na okazje takie jak ta.

Rzucił się na mnie. Odskokczyłam w tył i podniosłam prawą rękę nad głowę. Zatrzymał się i spojrzał w górę, na sekundę tracąc pewność siebie. Zastanawiał się co takiego, u diabła, tam ściskam.

A był to pęk kluczy. Do domu, samochodu, do szpitala: całe mnóstwo. Przełożyłam palce przez brelok i kilka z grubszych kluczy pojawiło się w mojej zaciśniętej pięści, wystając z niej pod odpowiednim kątem. Utworzył się z tego poręczny kastet.

– Nie wiem, co wam chodzi po głowie, kretyni, ale spróbujcie mnie tknąć, a któreś straci oko. – Łypnęłam groźnie na jedną i drugą grupę, czekając, czy ktoś odważy się zbliżyć.

Dziewczyna, podjudzając, szturchnęła chłopaka u swojego boku.

– Mówię zupełnie poważnie – ciągnęłam. – Mam medyczne przeszkolenie. Wiem dokładnie, w które miejsce gałki ocznej się wbić, żeby wyszła cała z oczodołu.

Żadne się nie ruszyło, ale oczy Nathana błyszczały. Nie kupowali tego.

– Może i jest was pięcioro – zaczęłam – i może ostatecznie mnie pokonacie. Ale jedno z was jutro nie zobaczy wschodu słońca. Jedno z piątki. Kto ma ochotę zaryzykować?

– Myślę, że tak naprawdę pani chce zapytać, które ma się za szczęściarza?

Wszyscy równocześnie odwróciliśmy się, żeby spojrzeć na przybysza, stojącego u szczytu ścieżki. Matt Hoare opierał się o bramę Waltera.

– No jak, które jest tym farciarzem? – spytał znowu.

– Cholera – wymamrotał głos za mną. Rozległo się szuranie i dziewczyna

rzuciła się w stronę żywopłotu.

– Stój, Kimberly! – warknął Matt. Dziewczyna zastygła. Matt zszedł do nas ścieżką, dwóch chłopaków rozstąpiło się, żeby go przepuścić. Obserwowali go ponurymi spojrzeniami, ale nie odważyli się ruszyć z miejsca. – Jason Short, Kenny Brown, Nathan Keech, Robbie Keech i Kimberly Aplin. Widzicie, znamy się tu wszyscy jak łyse konie. – Zerknął na mnie, skinął lekko głową i potem odwrócił do zgrai nastolatków. Ci zbili się w kupę i na przód wypchnęli Nathana. – A teraz powiem wam, co zrobimy – kontynuował Matt. – Wy pójdziecie do domu, a ja spiszę notatkę z tej dzisiejszej małej przygody. A pani Benning zdecyduje, czy zechce złożyć na was skargę, czy nie. – Odwrócił się do mnie. – Osobiście uważam, że powinnaś. – A potem z powrotem do dzieciaków: – I gdy pani Benning będzie się zastanawiała, ja zgłoszę zajście w komisariacie. Tak więc, nawet jeśli pani Benning postanowi, że nie warto tracić na was czasu, ktoś może uznać, że temu incydentowi należy się jednak przyjrzeć. W najlepszym razie adnotacja o nim znajdzie się we wszystkich waszych aktach, radzę więc, żebyście jakiś czas zachowywali się nienagannie. A teraz wynoście się stąd, zanim ją na was napuszczę.

Odwrócili się i zaczęli odchodzić ścieżką.

– No, ruszać te leniwe tyłki! – krzyknął Matt, dając za nimi kilka kroków.

Przyspieszyli i biegnąc, skręcili za róg, dziewczyna i jeden z tęższych chłopaków trochę w tyle za resztą. Matt, idąc tyłem, wrócił do miejsca, w którym stałam. Kiedy się odwrócił, ponad jego ramieniem zobaczyłam, albo tylko mi się wydało, że z krzaków wyskoczyła szósta postać i udała się w ślady reszty. Mężczyzna, większy i starszy od pozostałych członków bandy. Allan Keech, pomyślałam natychmiast, ale zniknął zbyt szybko, żebym mogła mieć pewność. Matt, który stał już zwrócony twarzą do mnie, nie widział go. Na księżyc znowu nasunęły się chmury, był więc teraz jedynie sylwetką i oczyma. Nie poruszyłam się. Nie byłam pewna, czy jestem w stanie.

– „Pierdol się”? – rzucił Matt. – To tak mówi córka archidiakona?

Uderzyłam go. Nie mogłam się powstrzymać. Nie ręką z kluczami, na szczęście, ale lewą pięścią – ostry, niezgrabny cios w dolną szczękę. Niewystarczająco silny, żeby stała mu się jakaś krzywda, nie mogło to być

jednak przyjemne. Matt nawet nie drgnął.

– Strasznie przepraszam – sapnęłam i przycisnęłam ręce do twarzy, gdyż byłam pewna, że się rozplączę, a naprawdę, naprawdę nie chciałam płakać przed Mattem Hoare’em.

Dał krok w przód, położył mi ręce na ramionach i przyciągnął mnie do siebie. I prawie mu uległam. Prawie pozwoliłam, żeby mnie objął i... i co? O co właściwie mu chodziło? Nie dowiedziałam się, ponieważ w samą porę oprzytomniałam i się odsunęłam. Puścił mnie.

– Wszystko w porządku? – spytał. Kiwnęłam głową. – Przekłęta banda – dodał. – Nathan Keech prawie całe ostatnie dwa lata spędził w poprawczaku, a jego brat wyraźnie zamierza pójść w jego ślady. Kimberly Aplin wyleciała z dwóch szkół za przemoc i ćpanie. Kenny Brown i Jason Short mają wyroki za okradanie sklepów. Jestem przekonany, że to oni odpowiadają za wszystkie kłopoty, jakie mieliśmy ostatnio, tylko nie potrafię tego udowodnić. Mówiłem im tysiąc razy, żeby trzymali się od tego miejsca z daleka.

– To tylko dzieci polujące na duchy – wymamrotałam pod nosem, nie spodziewając się, że mnie usłyszy. Zastanawiałam się, czy zaproponuje, że odprowadzi mnie do domu. Nie mogłabym go o to poprosić, ale naprawdę bardzo tego chciałam. Kiedy to się zamieniłam w taką żalostną sierotę?

– To właśnie robiłaś? – zapytał.

Spojrzałam na niego.

– Jadłem dzisiaj lunch z Sally – powiedział. – Wspomniała o podobieństwie twojego włamywacza do Waltera. Nie uważasz, że powinnaś nam była powiedzieć o tym wczoraj?

Sally jadła lunch z Mattem. Dlaczego fakt, że o tym wiedziałam, sprawiał, że czułam się tak nieswojo? I co jeszcze Sally mu powiedziała? Co on powiedział jej?

– Nie wierzysz mi – rzuciłam. Chciałam, żeby to było pytanie, ale zabrzmiało jak oskarżenie.

– Nie to, że ci nie wierzę. Tyle że Walter to był bardzo w porządku gość. Po prostu nie wyobrażam sobie, że mógłby upozorować własną śmierć, ukryć się gdzieś i potem włamywać po nocach do ludzi.



– Nie, ja też sobie tego nie wyobrażam – zgodziłam się.

Matt odwrócił się, żeby spojrzeć przez bramę w stronę domu.

– Naprawdę musimy sprawdzić wreszcie, co się dzieje z tym domem – stwierdził. – Rano roześlę maila do wszystkich firm prawniczych w okolicy, niech spróbują dowiedzieć się, kto odpowiada za posiadłość. Ale jeśli Walter i Edeline nie spisali testamentu i jeśli nie ma żadnych bliskich krewnych, to się może ciągnąć latami.

– Powinam wracać. – Ruszyłam przed siebie z nadzieją, że za mną pójdzie, wiedząc jednak, że prawdopodobnie tego nie zrobi. Potem zatrzymałam się i odwróciłam. Matt nie ruszył się z miejsca. Stał i przyglądał mi się.

– Czy Walter miał jakichś braci? – spytałam.

Uśmiechnął się.

– Byłem ciekaw, kiedy o tym pomyślisz. Tak się składa, że rzeczywiście miał. Trzech. Walter był najstarszy.

– Jeden z nich to Harry. Widziałam jego grób na cmentarzu.

Skinął głową.

– I Archie. Wyjechał wiele lat temu. Został pastorem gdzieś w Stanach.

– A trzeci?

– To musi być Saul. Podobno czarna owca rodziny.

– Co się z nim stało? – spytałam, już ani trochę nie zmęczona.

– Też wyjechał. Opowiadają, że go przepędzono. Ale z jakiego powodu, tego nigdy nie udało mi się dowiedzieć.

– Mógł wrócić. Mógł się dowiedzieć o śmierci Waltera i Edeline i wrócić, żeby zamieszkać w ich domu. Nawet miałby do tego prawo. – Teraz już skrajnie podekscytowana, powiedziałam Mattowi o twarzy, którą widziałam w oknie kilka dni temu, o zaskakującym podobieństwie mojego włamywacza z minionej nocy do Waltera. Kiedy skończyłam, Matt przyglądał mi się jeszcze przez kilka sekund, potem odwrócił się w stronę domu.

– Ten budynek stoi na skraju małej kredowej skarpy, wiedziałaś o tym? – rzekł, zaglądając przez metalowe sztachety. – Z tyłu jest stromy spadek, który ma jakieś sześć metrów wysokości.

– Nie wiedziałam. – Nigdy nie widziałam domu Witcherów od tyłu.

Ścieżka, którą biegłam pod górę od rzeki, była porośnięta gęstym lasem po obu stronach. Domu Witcherów nie da się zobaczyć, dopóki się na niego prawie nie wpadnie. – Czyli nie można tam wejść od tyłu?

– Nie, chyba że się jest alpinistą. Ten żywopłot ciągnie się dokoła po obu stronach aż do urwiska. Obszedłem całość kilka razy, gdy wiejscy idioci zaczęli opowiadać swoje historyjki o duchach. Nie ma innej drogi wejścia ani wyjścia poza tą bramą.

– Ale ja naprawdę kogoś widziałam – zapewniłam, najeżona po jego uwadze o idiotach. Zastanawiałam się, czy mnie też do nich zaliczał.

– Masz ochotę to sprawdzić?

– Słucham?

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy Saul Witcher knuje tam jakieś okropnie złe rzeczy.

– Przecież powiedziałaś, że do tego domu nie można się dostać.

Matt wyciągnął z kieszeni kurtki mały pęk kluczy. Przeglądał je, aż znalazł wąski i srebrny, z prostokątną główką. Wsunął go do kłódki, przekręcił i kłódka otworzyła się.

– Teraz już można – powiedział.

## 21

**N**iezbyt przekonana, ale zaintrygowana bardziej, niż chciałabym przyznać, poszłam za nim ścieżką długą na jakieś pięćdziesiąt metrów. Matt zatrzymał się w jej połowie i czekał na mnie.

– Dorastałem w tej wsi – powiedział. – Jako dzieciak często tu przychodziłem i gawędziłem z Walterem. Już zapomniałem, jaki piękny jest ten ogród.

Ja nigdy w nim nie byłam, podziwiałam go tylko z bramy, ale miał rację. To był klasyczny przydomowy ogród angielski, z roślinami wszystkich kolorów i gatunków, nachodzącymi na siebie, walczącymi o miejsce na działce, która wcale nie była mała. Wczesne róże kwitły wszędzie, pięły się po żywopłocie, pokrywały ekrany trejaży, czepiały pni drzew jak pasożyty.

W jednym rogu ktoś zbudował grotę z kamieni. Latarnie i małe posągi stały w kątach, a w samym centrum strumyk wspinał się w górę, po czym spływał w dół po pochyłym zboczu. Wił się między starymi cisami i olbrzymimi jałowcami, dumnie prężącymi się na murawie.

Stare kamienie na ścieżce porośnięte były małymi płożącymi roślinami, które zgniataliśmy po drodze. Wydało mi się, że wyczułam słodką, cytrynową woń tymianku. Matt przykucnął i przeciągnął dłonią po czymś na boku ścieżki, a potem podniósł rękę do nosa i głęboko się zaciągnął. Później jeszcze raz przeciągnął ręką i wystawił ją do mnie.

– Robiłem tak w dzieciństwie – powiedział. – Zawsze, kiedy tu przychodziłem. Najpiękniejszy zapach świata.

Przystawiłam twarz do jego dłoni i powąchałam. Coś słodkiego i lekkiego, czarująco znajomego.

– Rumianek – stwierdziłam. Na dłoni Matta poczułam też woń cytrusów – obierał wcześniej pomarańczę – ale nie wspomniałam o tym.

Blżej domu ujrzeliśmy mały sad. Wiatr strząsnął kwiaty z drzewek i płatki, jak ślubne konfetti, leżały na ziemi.

– To ty założyłeś łańcuch? – spytałam. – To dlatego miałeś klucz?

– Powiedzmy tylko, że znam osobę, która to zrobiła. Walter był ogrodnikiem, wiesz – dodał. – Większość życia przepracował w miejscowym oddziale National Trust<sup>[2]</sup>.

Poszliśmy dalej i dotarliśmy do domu. Wszystkie okna na parterze były zabite deskami. Dwoje z czworga drzwi zamurowano, pozostałe sprawiało wrażenie dość solidnych. Kusiło mnie, żeby powiedzieć „nie ma drogi wejścia i wyjścia”, ale nie wiedziałam, jak Matt może na to zareagować. Przyglądał się domowi, starym kamiennym ścianom z kruszącym się tynkiem, wiekowej wisterii dorastającej do górnych pięter, wymagającemu naprawy, pokrytemu słomą dachowi. Wyglądał jak alpinista, oceniający wysokość góry, na którą zamierza się wspiąć.

– Czytałem niedawno pewną historię – odezwał się – o parze podróżującej przez busz w Tanzanii, która przejechała czarną mambę. Jej partner udał się w pościg, wyprzedził auto i zabił oboje, kierowcę i pasażerkę.

Z długiego doświadczenia wiem, kiedy się mnie wkręca. Ale nauczyłam się radzić sobie z takimi sytuacjami tylko w jeden sposób. Zignorowałam Matta i odwróciłam się. Po lewej stronie domu Walter hodował warzywa. Grządka była zaniedbana, musiał jednak zdążyć coś zasadzić, zanim zabrali go do szpitala, bo widać tam było małe roślinki, rosnące w równych rzędkach.

– No więc jak? To prawda? – dopytywał się Matt. – Czarna mamba może prześcignąć samochód?

– Nie. – Nie spojrzałam na niego.

– Konia? Znalazłem inną historię o mambie goniącej jeźdźca na koniu. Zabiła jego i konia.

– Nie.

– Jesteś pewna, bo jest tyle opowieści o tym, że mamby potrafią poruszać się z niesamowitą szybkością. Nie wspominając ich krwiożerczej mściwości.

Westchnęłam.

– Mamby są szybkie. To prawdopodobnie jedne z najszybszych węży na świecie. Ale żaden wąż, nawet mamba, nie prześcignie zdrowego, dorosłego człowieka, co dopiero konia. – Odwróciłam się. – Co my tutaj robimy?

– Włamujemy się i wchodzimy do środka.

– Dom jest zabity deskami. Nie możemy... Hej!

Matt wyciągnął z kieszeni szwajcarski nóż wojskowy i jednym z narzędzi usunął gwoździe przytrzymujące drewnianą deskę zasłaniającą narożne okno po lewej stronie domu. Za deską była brudna, potłuczona szyba. Matt naciągnął rękaw kurtki na dłoń i zaczął wpychać potłuczone kawałki do środka. Spadały na twardą posadzkę z hukiem brzmiącym głośno na tle nocnej ciszy.

Patrzyłam z niedowierzaniem, jak sięga do kieszeni i wyciąga parę rękawiczek, takich jak te chirurgiczne, których używam, kiedy operuję, tyle że mocniejszych. Włożył je, mnie zaś wydało się, że usłyszałam jakiś ruch wewnątrz domu. Popatrzyłam w górę, na ciemne okna pierwszego piętra, i zaczęłam się zastanawiać, co może być za nimi. Zerknęłam na Matta, ale nie sprawiał wrażenia, jakby cokolwiek usłyszał.

– Posłuchaj, naprawdę nie uważam, żeby to był dobry pomysł. Muszę jutro wcześniej wstać i...

– Nie możesz sobie teraz pójść. – Odwrócił się do mnie, żeby na mnie spojrzeć.

– Dlaczego?

– Bo boję się duchów. – I z tymi słowami chwycił się obiema rękoma parapetu i podciągnął. Przez chwilę kuczał na parapecie, potem zeskoczył do środka. Rozejrzał się po pomieszczeniu, a następnie odwrócił do mnie.

– Wchodzisz czy zostajesz na straży?

Złapałam go za rękę, jakbym sądziła, że w ten sposób powstrzymam go przed zrobieniem czegoś głupiego.

– To naprawdę nie jest dobry pomysł. Nawet tobie nie wolno włamywać się do prywatnych domów bez nakazu czy... czegoś tam.

Westchnął.

– Zasadniczo wolno. Prawo policyjne pozwala funkcjonariuszowi wejść na prywatną posesję bez nakazu, jeśli jego zdaniem zachodzi bezpośrednie zagrożenie życia lub zdrowia – odpowiedział, jakby czytał z podręcznika. – W moim przekonaniu, jeśli Walter czy Saul mieszkają w tym domu, prawdopodobnie z całą zgrają jadowitych węży, to grozi im niebezpieczeństwo – ciągnął. – W tym momencie nasi ludzie są przeciążeni, dlatego przyszedłem tu dzisiaj sam szybko się rozejrzeć, zanim ewentualnie zaangażuję do tej sprawy innych. I po prostu miałem pecha, że wpadłem na ciebie i tych wiejskich głupków, którzy urządzili sobie z tobą wieczorek zapoznawczy.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Potem Matt odezwał się znowu, miałam wrażenie, że kończy mu się cierpliwość.

– Możesz albo wejść ze mną, jeśli obiecasz, że będziesz robiła dokładnie to, co powiem, albo poczekać na zewnątrz, jeśli obiecasz, że będziesz stała dokładnie tu, gdzie stoisz. Czego naprawdę wolałbym nie robić, to odprowadzać cię do twojego domu i potem znowu wracać, bo skoro już narobiliśmy hałasu włamaniem i daliśmy znać o swojej obecności komukolwiek, kto może tu być, chcę mieć to z głowy. Którą opcję wybierasz?

Podjęłam już decyzję. Jeśli w domu Witcherów znajdowały się jadowite węże, Matt Hoare będzie mnie potrzebował. Wypatrzyłam starą donicę, ustawiłam ją pod oknem, chwyciłam się dłoni, którą mi podał, i sekundę później byłam w środku.

Stare domy robotnicze zwykle mają dwa pokoje na parterze i dwa na piętrze. Tutaj cztery domy zostały połączone w jeden, co oznaczało, że do obejrzenia mieliśmy szesnaście pomieszczeń. Mało pociągająca perspektywa, zważywszy na stan pokoju, w którym staliśmy.

Ściany w nim były nagie i wilgotne. Na podłodze leżały wielkie płyty tynku opadłego z sufitu. Na grubym elektrycznym sznurze kołysała się pojedyncza żarówka. Staliśmy w milczeniu, uzmysłowiłam sobie, że nasłuchuję. Czego właściwie? Najmniejszego odgłosu świadczącego, że nie byliśmy sami. Nagle zamigotało jakieś światło, odsłaniając popiół rozsypany po pokoju. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Matta. Trzymał małą kieszonkową latarkę o

zaskakująco dużej mocy.

– Przyniosłem tylko jedną parę rękawiczek – powiedział. – Niczego nie dotykaj. – Po jego nonszalancji sprzed kilku minut nie było już śladu. Towarzyszył mi teraz ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto był zastępcą komendanta policji.

Na podłodze leżało linoleum. Kiedy stanęłam na jedynym w pokoju dywaniku, zachlupotał pod moimi stopami. Pod jedną ze ścian stał drewniany fotel, na jego poduchach kwitła pleśń.

Matt ruszył przez drzwi do kuchni, a ja za nim.

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś tu mieszkał – wymamrotał. Kuchnia miała kamienny zlew i palenisko z maleńką staroświecką kuchenką. Z otwartych drzwiczek pieca wystawały żdźbła słomy, domyśliłam się, że w domu załęgły się gryzonie.

W całym pomieszczeniu straszliwie śmierdziało pleśnią. Podejrzewałam, że była wszędzie: zżerała meble, ledwie się trzymające karniszów podarte zasłony i dywaniki, leżące na podłodze jak plamy kałuż. Wydawało mi się, że czuję też odór rozkładającego się ciała.

Kuchenne okno było bardzo małe. Kiedy wyjrzałam przez brudną szybę, mogłam jedynie zobaczyć miejsce, w którym teren opadał, nie więcej niż trzy metry od ścian domu. Tylne wyjście nie było.

Do drugiego z kolei mieszkania prowadziło zasłonięte kotarą łukowe przejście. Wzdragając się, gdy oślizły materiał otarł mi się o twarz, przeszłam za Mattem do bardzo prostej łazienki z białą stalową wanną, zlewem i ubikacją. Czułam, że od bijącego od niej smrodu zaraz mnie zemdli, dlatego pierwsza przeszłam do czwartego pomieszczenia: warsztatu. Wzdłuż dwóch ścian biegł stary fornirowany blat, pod oknem stała popękana i brudna szklana gablota, z rodzaju tych, w których można trzymać rybki, żółwie, myszy czy myszokoczki. Albo węże. Wąskie zamknięte drzwi prowadziły do czegoś, co, jak się domyślałam, musiało być następną klatką schodową. W warsztacie w różnych miejscach leżało kilka zardzewiałych narzędzi, ale ja patrzyłam na wyschniętą łuskę po maleńkim wężu, skreconą w kącie, w miejscu, gdzie blat stykał się ze ścianą. Matt zobaczył, na co patrzę.

– Czy to coś, co powinno budzić nasz niepokój? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Moim zdaniem to angielski wąż. I od dawna martwy. Co miałeś na myśli, kiedy mówiłeś, że Saul Witcher był czarną owcą rodziny? I że został przepędzony?

Matt znowu się oddalił, przeszedł do trzeciego mieszkania. Poszłam tam za nim, do kolejnego małego pokoju, który wyróżniał się jedynie rozmiarem nędzy i brudu. W miejscu, gdzie kiedyś były drzwi wejściowe, widać było mur. I taki sam mur znajdował się tam, gdzie niegdyś był otwór na drzwi prowadzące do kuchni.

– Dlaczego ktoś zamurował drzwi do kuchni? – spytałam, mówiąc bardziej do siebie niż do Matta, który, stojąc po przeciwległej stronie pokoju, przeciągnął wiązką światła latarki wokół framugi. Cegły wyglądały na stare, miejscami były pokruszone i nieregularne, zaprawa szerniała od starości.

– Może ta część domu jest niebezpieczna – zgadywał. – Zbyt blisko stąd do skarpy, nawet zdaniem rodziny Witcherów.

Nie odpowiedziałam. Wyciągnęłam rękę, przekonana, że poczuję chłód starego muru. Ale nie poczułam. Cegły były ciepłe. Nieznacznie, ale jednak.

– Chociaż osobiście jestem zdania, że cały ten dom należałoby zgłosić do wyburzenia. – I z tymi słowami zniknął w czwartym i ostatnim domu.

Chciałam ściągnąć go z powrotem, żeby się przekonać, czy też uważa, że cegły są cieplejsze, niż powinny być, wcześniej jednak zdążyłam zwrócić uwagę, że w trzecim domu brakowało schodów na górę. Może znajdowały się w zamurowanej kuchni.

Przeszłam do czwartego domku i z pobieżnych oględzin wywnioskowałam, że jest dokładnie taki sam jak pierwszy: mały, nędzny pokój dzienny, równie nędznie wyposażona i umeblowana kuchnia. Nie miałam jednak zbyt wiele czasu na rozglądanie się, bo Matt otworzył drzwi prowadzące na kolejne schody i zaczął się po nich wspinać. Zabrał ze sobą latarkę.

Schody były wąskie i strome. Drzwi, na szczycie zamknięte, nie wpuszczały z zewnątrz żadnego światła. Wspięłam się na dwa nagie drewniane stopnie. Matt był tuż przede mną, oświetlał sobie drogę latarką. Nagle obejrzał się



przez ramię i na jego twarzy ujrzałam przebłysk strachu. Sekundę później zaraz za mną rozległ się głośny huk, po czym oboje utonęliśmy w kompletnych ciemnościach.

## 22

**N**ie krzyknęłam. Nawet w szoku wiedziałam, że muszę nasłuchiwać. Na ułamek sekundy przed zatrzaśnięciem się drzwi usłyszałam jakiś odgłos w pokoju na dole. Coś tam chodziło. Drzwi nie zamknęły się same. I teraz dręczyło mnie tylko jedno pytanie: to, co usłyszałam... po której stronie drzwi się znajdowało?

– Stój spokojnie. – Głos Matta zabrzmiał głośno w zamkniętej przestrzeni i był zbyt spokojny. Chyba nie usłyszał tego co ja. – Nie ruszaj się. Upuściłem tę cholerną latarkę, a nie ufam schodom.

Stałam w kompletnej ciemności, starając się pozbyć przerażającej myśli, że ten, kto zatrzasnął drzwi – ktokolwiek to był – stoi na klatce schodowej razem z nami. Że w każdej sekundzie mogę poczuć, że chwyta mnie czyjaś silna lepka dłoń. I nie mogłam się powstrzymać przed przypomnieniem sobie, jak taka dłoń mnie dotknęła, zaledwie kilka godzin temu. Oczywiście wiedziałam, że to niemożliwe... Matt stał twarzą do drzwi, gdy się zamknęły, widziałby tego kogoś, kto...

Zmusiłam się do zachowania spokoju, a Matt, szukając latarki, macał ziemię. W pewnym momencie dotknął mojej kostki, ale przygryzłam wargę i zaczęłam liczyć w myślach. Przy pięćdziesięciu zacznę krzyczeć. Do tego czasu wytrzymam.

Potem pod naszymi stopami pojawił się słaby snop światła, który zaczął omiatać obszar wokół nas. Pewni, że na naszej bezpośredniej drodze nie ma ziejących dziur i – co ważniejsze – że na schodach jesteśmy tylko my, znowu zaczęliśmy się wspinać.

– Trzymaj się brzegu – poinstruował Matt. – Stopy stawiaj po obu stronach

schodków. I idź kilka kroków za mną. To przeciąg musiał zatrzasnąć drzwi.

Ten wieczór, przypominałam sobie, był wyjątkowo bezwietrzny, ale nie był to chyba dobry moment, żeby o tym wspominać. Kiedy Matt dotarł do drzwi na szczycie i przekręcił gałkę, odetchnęłam z ulgą. Na schodach zrobiło się trochę jaśniej. Dołączyłam do Matta i dopiero wtedy odważyłam się spojrzeć na drzwi, które przed chwilą zatrzasnęły się prawie na moich plecach.

Przeszliśmy szybko dwie sypialnie, skąpo umeblowane i brudne. Matt otworzył szafy i zajrzeliśmy do środka. Wisiały tam sukienki, bawełniane, w kwiaty i bezkształtne. Matt pociągnął do siebie drugą połowę drzwi i ujrzeliśmy trzy męskie garnitury. Na dole, w równym rzędzie, stały buty.

W drugim pokoju nie było żadnych innych mebli poza leżącymi na podłodze dwoma mocno poplamionymi materacami. Podłoga była goła, niepomalowana i miejscami przegniła. Na ścianie, między materacami, wisiało biało-czarne zdjęcie w czarnej plastikowej ramce. Podeszłam do niego, stąpając ostrożnie.

Kiedy byłam blisko, zobaczyłam, że zdjęcie to w rzeczywistości wycinek z gazety. W górnym prawym rogu widniała data siedemnastego czerwca 1956 roku, a zdjęcie przedstawiało grupę mężczyzn, olśniewających w białych strojach do krykieta, którzy stali przed jakimś domem w stylu Tudorów. Na końcu tylnego rzędu, trochę w tyle za mężczyznami, widać było trzy kobiety.

Przyjrzałam się mężczyźnie w środku, temu, który trzymał skromny cynowy puchar. Był młody, z przyjemną, otwartą twarzą. Rysy miał dość toporne: duże oczy, wielki nos, pełne wargi, szerokie usta. Włosy, jasnokasztanowe, sądząc po odcieniu szarości, obcięte były krótko na modłę tamtych czasów.

– To Walter – powiedział Matt, a ja aż podskoczyłam, nie wiedziałam, że stoi tak blisko. – Kiedy byłem dzieckiem, nadal był kapitanem drużyny krykieta.

Pod spodem zdjęcia gazeta zamieściła nazwiska zawodników. Przeciągnęłam palce po liście, dopasowując imiona do twarzy. Wszyscy bracia Witcher grali w krykieta. Archie, który dawno temu wyjechał do Ameryki, był najwyższy i najprzystojniejszy, ciemniejszy od rodzeństwa, z wąskim, lekko haczykowatym nosem i skośnymi oczami. Wyglądał znajomo, ale nie potrafiłam określić, kogo mi przypominał. Może kogoś z telewizji.

Spróbowałam wyobrazić go sobie w liturgicznej todze i nie potrafiłam. Zupełnie nie wyglądał jak jakikolwiek znany mi pastor.

Harry, pijak, który zginął gwałtowną śmiercią, wyglądał trochę jak Walter, ale był niższy, tęższy i miał jasne włosy. Saul, czarna owca rodziny, najbardziej przypominał najstarszego brata: ten sam wzrost, podobne rysy. To było oczywiście możliwe, że mężczyzną w moim domu poprzedniej nocy był Saul. Było też możliwe, że Saul przebywał teraz w domu Witcherów. Nie mogłam się oprzeć i szybko rozejrzałam się po pokoju.

– A to dworek – dodał Matt. – Z tyłu jest pole, które poprzedni właściciel wyrównał i zrobił z niego boisko do krykieta. Clive Ventry wspominał, że chce je odtworzyć. Jeśli kiedyś zostanie w kraju wystarczająco długo.

W ogóle nie interesowało mnie boisko do krykieta.

– Silne rodzinne podobieństwo – stwierdziłam, przesuwając palec od Saula Witchera do Waltera. – Znałeś go? Mam na myśli Saula Witchera.

Matt pokręcił głową.

– Wyjechał, zanim się urodziłem.

– Może jeszcze żyje. Możliwe, że mieszka w tym domu.

– Jak na razie nic na to nie wskazuje.

Właściwie nie mogłam się nie zgodzić. A jednak dom miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że nie wydawał się pusty.

– Dlaczego go przepędzili? – spytałam ponownie.

– Nikt tak naprawdę nie wie – odparł Matt. – Albo, przynajmniej, jeśli wiedzą, nikt nie chce o tym mówić. Zderzyłaś się z miejscową tajemnicą, Claro. Ja też się tym zainteresowałem kilka lat temu i przejrzałem stare akta w komendzie. Cokolwiek się wydarzyło, miało to miejsce w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku, kiedy spłonął kościół. Saul całe dorosłe życie miał jakieś zatargi z prawem, ale wszystko skończyło się latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego. Dla tutejszych policjantów od tego roku przestał być problemem. Harry i Archie też wówczas wyjechali, chociaż Harry wrócił, jakieś dziesięć lat później.

Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty ósmy. A więc jednak kościół spłonął w tym roku. Co takiego mówiła Violet? Że tak naprawdę nigdy się nie

dowiedziała, co się wtedy zdarzyło? Matt opowiadał dalej.

– Z tym pożarem było coś dziwnego – ciągnął. – Wszystko jest udokumentowane, jeśli wie się, gdzie szukać. Straż nie została wezwana aż do wczesnych godzin porannych, a do tego czasu ogień praktycznie sam się wygasił. Policji w ogóle nie wezwano, chociaż, oczywiście, zajęli się sprawą, kiedy już się o niej dowiedzieli. Wtedy naturalnie we wsi były już telefony, ale mimo że ludzie byli uwięzieni i zginęli w pożarze, nikt nie wezwał pomocy.

– W pożarze zginęło dwóch mężczyzn – powiedziałam, przypominając sobie groby, które znalazłam wcześniej. – Co najmniej dwóch. Jeden z nich był księdzem.

Matt kiwał głową. Nie była to dla niego żadna nowina.

– Kapitan poszedł na dno ze swoim statkiem – przytaknął. – I dwie kolejne osoby kilka dni później.

– Czy to Saul wywołał pożar? To dlatego wyrzucili go ze wsi?

– Według raportów nie. Policja przesłuchała wtedy kilku mieszkańców, którzy uczestniczyli we mszy tamtego wieczoru. Podobno nikt nic nie wiedział. Wszyscy założyli, że w kościele pozostała jakaś zapalona świeca, że wielebny i ten drugi koleś, który zginął, zauważyli ogień i próbowali go ugasić, ale zaczęli się dymem.

– Wszyscy tak założyli, ot tak po prostu?

– Zgadza się. Sześć lub siedem identycznych relacji. Nikt nic nie wiedział, ale każdy miał całkiem jasne wyobrażenie, co musiało się wydarzyć.

– I policja to zaakceptowała bez żadnych zastrzeżeń?

Wzruszył ramionami.

– W notatkach nie ma nic, co świadczyłoby inaczej.

– Ale niektóre z tych osób muszą jeszcze żyć. Ktoś musi wiedzieć, co się stało. Rozmawiałam wcześniej z Violet Buckler. Wspominała, że kościół spłonął. Chociaż teraz, kiedy się zastanawiam, to mówiła, że jej samej tam nie było.

– Intryga się zagęszcza. Też powinnaś wstąpić do policji, Claro. Robisz się rozmowna, kiedy prowadzisz śledztwo.

Nie miałam na to bezpośredniej odpowiedzi. Matta przestało chyba interesować zdjęcie. Przeszedł przez pokój, otworzył malowane drewniane drzwi i zniknął. Nie chciałam łązić za nim jak szczeniak, podeszłam więc do tylnego okna. W szybie było małe pęknięcie, przez które dawało się wyczuć zapach nocnego powietrza, aromatycznego i cudownego po smrodliwym wnętrzu domu.

Chmury na niebie musiały się chyba akurat przesunąć, bo nagle widok poniżej zalało światło księżyca. Dzięki temu byłam w stanie zobaczyć wyraźniej wąską połąć skalistej ziemi na tyłach domu, częściowo pokrytą płataniną janowców i krzaków bzu. Dalej było zbocze, które opadało stromo przez jakieś sześć metrów, a potem, przez około czterystu, schodziło w dół już bardziej stopniowo. Zastanawiałam się, jak to jest mieszkać tak blisko skraju urwiska. I to kredowego – to nie najstabilniejsza ze skał.

Potem, skądś z dołu, przypłynął dźwięk, sam w sobie znajomy, zupełnie jednak nie na miejscu w tym kontekście. Rozległ się znowu, dochodził zza żywopłotu otaczającego ogród, prawdopodobnie z dołu urwiska. Skrzek podobny do skrzeku mew, „ga-och, ga-och”. Odgłos łabędzia niemego.

Ludzie często sobie wyobrażają, że łabędzie nieme są... no, właśnie – nieme. Ale nazywają się tak tylko dlatego, że hałasują mniej niż inne odmiany. Łabędzie na intruzów głośno syczą, a między sobą komunikują się chrząknięciami i parsknięciami. Na przestrzeni lat słyszałam je mnóstwo razy i byłam pewna, że gdzieś blisko jest duży dorosły łabędź niemy. A przecież znajdowaliśmy się prawie pół kilometra od rzeki.

Nie potrafiłam wymyślić przyczyny, dla której łabędź odszedł tak daleko od wody w sezonie lęgowym, ale nie wydawało się, żeby coś mu groziło, odsunęłam się więc od okna.

Miałam się już odwrócić, ale wtedy dostrzegłam odciski palców. Ktoś opierał się dłońmi o wąski, prawie przegniły parapet i w kurzu widać było kilka wyraźnych odcisków. I skądś blisko usłyszałam bardzo ciche westchnienie.

Odwróciłam się szybko, z nieodpartym wrażeniem, że jestem obserwowana. Nie słyszałam Matta i nagle naszła mnie przerażająca myśl, że zostałam w

domu sama. Postanowiłam nie ulegać panice, przeszłam przez drzwi i znalazłam się w ciemnym korytarzu.

Tego się nie spodziewałam. Sądziłam, że na piętrze będzie osiem małych sypialni, każda prowadząca do następnej. Przeszłam już dwie i teraz stałam nad trzecim z pierwotnych mieszkań, tym, które na parterze miało zamurowaną kuchnię. Miałam wybór. Skręcić w lewo i przejść na front domu. W tę stronę z korytarza prowadziło dwoje drzwi. Albo iść przed siebie. Deski podłogowe zaczęły skrzypieć, w moją stronę zbliżały się kroki. Niepewna, cofnęłam się, ale na końcu korytarza pojawił się Matt.

– Kolejne cztery sypialnie – poinformował. – Praktycznie puste i żadnych odcisków w kurzu.

Powiedziałam mu o odciskach, które widziałam pod oknem, a on kiwnął głową.

– Tak, też je widziałem. Rano przyślę tu fachowców, żeby je obejrzeni.

– Wyglądają na świeże – ciągnęłam. – Jeśli Saul był czarną owcą, na pewno ma założoną kartotekę. Jego odciski będą w policyjnych aktach, prawda?

Wolno pokiwał głową.

– Nawet jeśli ktoś tu niedawno był, nie znaczy jeszcze, że to Saul – rzekł. – Mogła to być miejscowa dzieciarnia. Albo jakiś włóczęga.

– I w jaki sposób się tu dostali?

– Okna na piętrze nie są zabite. Co tym bardziej wskazuje na dzieciaki, a nie na wiekowego brata z rodziny Witcherów. Mam nadzieję, że niczego nie dotykałaś? – Pokręciłam głową, a on przecisnął się obok mnie. – Już prawie skończyliśmy – rzucił. – Chciałbym tylko jeszcze sprawdzić te dwa ostatnie pokoje. To mieszkanie, trzecie z kolei, tak? – ma jakiś dziwny rozkład.

Dotarł do pierwszych z dwojga otwartych drzwi. Zajrzał do środka i znieruchomiał. Szybko dołączyłam do niego. W małym pokoiku nie było okien. Żeby obejrzeć stojący na jego środku samotny przedmiot, musieliśmy skorzystać ze słabo świecącej latarki Matta. Stara skrzynia, zbita z desek z ciemnego drewna ze skórzanymi sprzączkami. Była duża, długa prawie na półtora metra i głęboka na pół. Wydawała się bardzo solidna i miała zawile

zdobienia. Wieko pokrywały rzeźbione róże i liście bluszczu.

– Tobie to przydzielę – oznajmił Matt.

– Co?

– Jedno z nas musi to otworzyć. Wybrałem ciebie.

– Przecież miałam niczego nie dotykać. Bardzo jasno to zapowiedziałeś.

Uśmiechnął się nieznacznie i podszedł do skrzyni. Ja zaś przyłapałam się na tym, że modłę się w duchu, żeby się okazało, że skrzynia jest zamknięta. Matt przykucnął przy niej. Odpiął pierwszy zamek, potem drugi. Spojrzał na mnie sponad wieka i wygłupiając się, zrobił przerażoną minę. Podniosłam oczy do sufitu, ale w rzeczywistości trochę się denerwowałam. Matt podniósł wieko na centymetr i zajrzał do środka. Jego twarz wykrzywił wyraz skrajnej odrazy, odchylił się, upuścił wieko, podźwignął na nogi i odwrócił, krztusząc się mdłościami.

Skoczyłam ku niemu, zasłaniając usta dłonią, żeby nie wydobył się z nich jęk przerażenia. Odwrócił się, oczy mu błyszczały, ręce miał podniesione w geście poddania. Nic mu nie było. Kompletnie nic.

– Tylko żartowałam – rzucił z miną, która, jak się domyślałam, miała być urocza.

– Czyś ty oszalał?

– Przepraszam. Przykro mi.

– Nie wyglądasz, jakby ci było przykro. – Gotowałam się od upokorzenia. Dlaczego, dlaczego, bez przerwy dawałam się wkręcać temu człowiekowi? – Co tam jest w środku?

– Koce. Stare. Niebosko cuchnące.

Miałam dość. Postanowiłam, że wracam do domu. Nawet jeśli miałabym tę podróż odbyć sama. Posłałam Mattowi wściekłe spojrzenie i odwróciłam się. Złapał mnie, zanim zdążyłam dotrzeć do końca korytarza.

– Naprawdę chciałabym już wyjść – oznajmiłam.

– Wiem, przepraszam. Już prawie kończymy.

A potem trzymał mnie za rękę i prowadził korytarzem do ostatniego pokoju, który musieliśmy obejrzeć. Długi, wąski, z wbudowanymi na jednej ścianie szafkami kuchennymi.



W tym momencie powietrze poruszyło się, poczułam dochodzący skądś nagły przeciąg i nowy zapach. Świeży, ale mimo wszystko trochę mdlący. Była to woń ciepłego jedzenia, czegoś taniego, jak gotowana fasola albo gulasz z puszki. Odczekałam chwilę, wachając powietrze jak pies gończy, ale zapach się rozwiął.

Matt próbował otwierać drzwiczki szafek. Bez sukcesu. Wszystkie były albo zamknięte na klucz, albo drewno wypaczyło się z wiekiem i drzwiczki się zablokowały.

– W porządku, skończyliśmy – rzucił. – Nie sądzę, żeby ktoś tu ostatnio przebywał, ale przyślę tutaj za kilka dni ludzi. Sprawdzą te odciski palców. Może w świetle dziennym wypatrzą coś więcej.

Chyba zaczęłam się w tym momencie szykować do westchnięcia z ulgą, nie zdążyłam jednak otworzyć ust, bo pod stopami usłyszeliśmy głośny huk i zaraz po nim niski pomruk; wydany przez zwierzę czy człowieka, nie potrafiłam ocenić. Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, a potem Matt biegł przez pokój. Przy drzwiach, nie zatrzymując się, obejrzał się za siebie.

– Zaczekaj tu – rozkazał i zniknął. Słyszałam, jak potykając się, biegł korytarzem.

Zaczekaj? Sama w ciemności? W tym domu? Raczej nie. Szybko przemierzyłam pokój i wyszłam na korytarz. Bez latarki Matta było tam czarno jak w piekle. Z wyciągniętymi na boki rękoma, ignorując oślizgłą wilgoć ścian, wracałam tą samą drogą, którą przyszłam, próbując przypomnieć sobie, gdzie są drzwi. Udało mi się dotrzeć do sypialni, słyszałam kroki Matta na głównej klatce schodowej. Kiedy zeskakiwał z ostatnich stopni, byłam tuż za nim. Na dole zdążyłam jeszcze zobaczyć, że znika w drugim mieszkaniu.

Kiedy do niego wbiegłam, stał przy blacie roboczym i wyglądał przez okno. Szklana gablota, którą widzieliśmy wcześniej, leżała rozbita na kawałki na kamiennej podłodze. Drewniany ekran zasłaniający okno zwisał luźno i we framudze brakowało szyby.

– Muszę sprawdzić na zewnątrz – rzucił Matt przez ramię. Złapał się blatu, szykując do wskoczenia na niego. W tej samej chwili tuż za sobą usłyszałam nagły hałas. Odwróciłam się szybko i zobaczyłam lecący na mnie wielki

kształt.

## 23

Leciał prosto na moją twarz, czarne oczy błyszcząły. Zatoczyłam się w tył, poczułam podmuch powietrza i ostre bolesne ukłucie. Potem to coś zniknęło, a ja przywierałam do Matta z twarzą wciśniętą w jego kurtkę. Czułam woń skóry, ciepły, trochę ziołowy zapach jego ciała i bijące od niego gorąco.

– Jezu Chryste – stęknął. – Co to było, do jasnej cholery?

Chciało mi się jednocześnie śmiać i płakać. Bardzo dobrze wiedziałam, co to było, wiedziałam już wtedy, kiedy się zbliżało, ale nadal trzęsłam się pod wpływem szoku.

– To pieprzone gówno było szerokie chyba na metr. Ja pierdołę, kurwa!

Cóż, ktoś musiał przejąć kontrolę nad sytuacją. Wywinęłam się i dałam krok do tyłu. Matt zrozumiał i puścił mnie.

– Ładny język w obecności córki archidiakona – zakpiłam.

Nie odpowiedział. Nie byłam pewna, czy jest w stanie wydusić z siebie coś innego poza przekleństwami.

– To był puszczyk – powiedziałam. – Najpopularniejsza sowa w Anglii. Zwykle wiją gniazda na drzewach, ale...

Nie dokończyłam, to nie było ani odpowiednie miejsce, ani moment na wykład z ornitologii. Zdążyłam się już otrząsnąć z szoku i teraz rozkoszowałam wyrazem zakłopotania na twarzy Matta. Gdzieś blisko znowu zaskrzeczał łabędź.

– Myślę, że mogły być dwa – stwierdził Matt po chwili. – Hałasu, który słyszeliśmy, narobił ten pierwszy. Usłyszał nas na górze, przeraził się i stracił akwarium.

I usunął gwoździe, którymi ekran był przybity do okna, pomyślałam, ale nie

powiedziałam. Matt mógł mieć rację. Był sezon lęgowy i sowy jak najbardziej mogły przebywać na terenie posesji. A drewniany ekran mógł być przegniły przy gwoździach. Całkiem możliwe, że pierwsza sowa go obruszyła.

Prawda wyglądała jednak tak, że miałam już szczerze dosyć tych wszystkich upiornych niewiadomych. Potrzebowałam racjonalnego wyjaśnienia i z radością powitałam teorię o dwóch sowach. Poza tym dopiero co tuliłam się do męskiego ciała. Moje procesy myślowe nie przebiegały najsprawniej.

– Powiedz mi coś – odezwał się Matt, którego głos znów brzmiał trochę bardziej jak jego własny. – To ty wskoczyłaś mi w objęcia czy było odwrotnie?

Był najwyższy czas zbierać się stamtąd. Chciałam to już uczynić, gdy nagle dostrzegłam coś w kominku. Podeszłam tam.

– Chodźmy, Claro, myślę, że już dość zobaczyliśmy. Wynośmy się stąd.

Nachyliłam się. Ignorując polecenie Matta o tym, że mam niczego nie dotykać, wyciągnęłam rękę i podniosłam półprzezroczysty przedmiot, który mogłabym wziąć za bibułę, gdybym się mu lepiej nie przyjrzała. Był suchy, pomarszczony i miękki, delikatny i piękny na swój sposób, pokryty regularnymi znajomymi wzorami. Wyprostowałam się i podniosłam go w górę, próbując ocenić jego długość. Półtora metra, może dwa.

– O cholera – sapnął Matt.

W rękę trzymałam skórę węża. Skóra na węzach nie rośnie wraz ze wzrostem ciała tak jak u człowieka i dlatego co kilka miesięcy węże ją zrzucają. Przestają jeść i stają się nieco ospałe, oczy zaczynają im mętnieć. I potem wywijają się ze skóry, pozostawiając ją za sobą, jak znoszone ubranie rzucone na podłogę sypialni.

– Czy zaskrońce mogą być aż takie duże? – spytał Matt. Nie kłopotalam się z udzieleniem odpowiedzi. Ton głosu Matta jasno dawał do zrozumienia, że ją znał.

– Tego nie było tu wcześniej – oznajmiłam.

– Musiało być, po prostu nie zauważyliśmy.

– Ja bym coś takiego zauważyła.

Nie sprzeczał się więcej.

– To po naszym tajpanie?

– Nie potrafię powiedzieć. Całkiem prawdopodobne, ale nie znam się wystarczająco dobrze na ich wzorach na łusce. Poza tym...

Westchnął ciężko.

– Poza tym co?

– Skóra wygląda na większą.

Wyszliśmy na zewnątrz. Świeże, słodko pachnące powietrze. Jaka ulga. Wykorzystując kamień, Matt przytwierdził obie deski do właściwych okien. Gdy zamknął kłódkę wiszącą na bramie, dom Witcherów znów był zabezpieczony.

Kiedy szliśmy w stronę pastwiska, spojrzałam na zegarek i ze zdumieniem stwierdziłam, że jest już prawie północ. W domu przebywaliśmy dłużej, niż myślałam. Niosłam ze sobą skórę węża. Spytałam, czy mogę ją zatrzymać na dzień lub dwa i dać do obejrzenia ekspertowi, a Matt niechętnie, ale się zgodził, pod warunkiem jednak, że pod żadnym pozorem nie spuszczę jej z oka.

Minęliśmy wąski podjazd prowadzący do jego domu – którego nigdy nie widziałam i nie miałam pojęcia, jak wygląda – i dotarliśmy do końca Bourne Lane. Tam uderzył we mnie zapach starych krzewów różanych i to przywołało wspomnienia dawnych czasów, mamy w jej najlepszym okresie, dni, które nigdy nie wrócą. Nagle chciałam bardzo zostać sama, zatrzymałam się i odwróciłam do Matta.

– Już teraz sobie poradzę, dziękuję. Proszę nie...

– Ty krwawisz. – Wyciągnął dłoń i dotknął mojej prawej skroni. Jestem pewna, że to ból – a tak naprawdę lekkie szczypanie – sprawił, że podskoczyłam, gdy to zrobił. Cofnął rękę i spojrzał na nią. Na jego palcach była jasna plamka, moja krew z miejsca, w które dziobnęła mnie sowa. Kolejna blizna. I to na dobrej stronie mojej twarzy. Jak mówiłam, byłam zmęczona. Normalnie potrzeba byłoby o wiele więcej niż tylko zadrapanie, żeby z moich oczu potoczyły się łzy. Musiały błyszczeć w blasku księżyca, bo

po tym, jak Matt przymrużył oczy, widziałam, że je dostrzegł. – Przykro mi z powodu twojej matki – powiedział ciepło. Wstrzymałam oddech i przygryzłam wewnętrzną stronę wargi. Łzy to jedno, ale szlochanie w obecności osoby, którą ledwie znałam, to już zupełnie inna sytuacja. Musiałam odejść, wrócić do siebie. Zamiast tego po prostu stałam.

– Jak to możliwe, że tyle o mnie wiesz? – spytałam.

– To niewielka wieś, Claro. Wszyscy tu staramy się wiedzieć o sobie jak najwięcej. To dla nas bardzo ważne.

A ja sądziłam, że przeprowadzam się do miejsca, które zapewni mi prywatność.

– Ja się nie staram – burknęłam mało uprzejmie.

– Nie, ty nie. – Położył mi rękę na ramieniu i pchnął lekko w kierunku domu.

Szłam i milczałam. Nie sprzeczałam się już, tylko zastanawiałam, co pomyślą sąsiedzi, jeśli któryś wyjrzy akurat przez okno i zobaczy nas na zewnątrz o tej godzinie, Matt z ręką – prawie – otaczającą moje ramiona.

Dotarliśmy do końca mojego podjazdu. Przebrnęliśmy przez żwir, poszperałam w torbie i znalazłam klucze, cały czas myśląc: Teraz, teraz to już na pewno sobie pójdzie. Wsunęłam klucz do zamka i odwróciłam się do Matta, nie wiedząc, co mam powiedzieć.

– Cóż, dzięki – udało mi się w końcu wydusić i zaraz uświadomiłam sobie, że to nie było zasłużone. Bo za co właściwie mu dziękowałam? Że wystraszył mnie na śmierć? Wpakował w sytuację, w której zostałam zaatakowana przez przerażoną sowę?

– Musimy się przyjrzeć temu rozcięciu – stwierdził, gestem dając mi znać, żebym weszła do domu pierwsza. – Chyba że chcesz, żebym obudził Sally.

– Nie, nie, nie trzeba, nic mi nie będzie. Takie ranki i zadrapania to mój chleb powszedni.

Nie ruszył się, odwróciłam się więc i weszłam do kuchni, wiedząc, że idzie tuż za mną. Przeszłam prosto do zlewu – najlepiej od razu mieć to z głowy – puściłam wodę, żeby się nagrzała, potem odszukałam w szafce płyn dezynfekujący. Odebrał mi go, napełnił miskę wodą i kazał usiąść przy stole. Przyciągnął sobie drugie krzesło i usiadł przede mną.

– Mam przeszkolenie z pierwszej pomocy – oznajmił, składając papierowy ręcznik, mocząc go i skrapiając kilkoma kroplami dettolu. – Byłem na tylu szkoleniach, że aż trudno uwierzyć. Musimy potrafić opatrzeć podejrzanego po tym, jak go pobijemy. Uważaj, to może zapiec.

– Au!

– Teraz już wiesz, jak się czują borsuki. Połatałaś dzisiaj jakieś nowe?

– Nie, dzisiaj uratowałam łabędzia – odpowiedziałam, zastanawiając się, czy wie o mnie wszystko, łącznie z tym, co robię w pracy każdego dnia.

– Nie ruszaj się – mruknął, kładąc mi ciepłą dłoń na karku, żeby mieć pewność, że nie zmienię pozycji. – Łabędź może złamać człowiekowi rękę, wiesz – ciągnął.

– Nie bądź śmieszny, oczywiście, że nie może.

– Wszyscy to wiedzą. Duży łabędź uderzeniem skrzydła może złamać człowiekowi rękę.

Westchnęłam. Gdybym dostawała dziesięć funtów za każdym razem, gdy...

– Jeśli słaba starsza osoba, cierpiąca na osteoporozę, stałaby z jedną ręką wyciągniętą w poziomie, i jeśli duży łabędź zanurkowałby, z bardzo dużej wysokości, i uderzyłby w rękę z dużą prędkością, wtedy możliwe, że by ją złamał. We wszystkich innych przypadkach... cóż, równie dobrze można by twierdzić, że rudzik może skrócić człowiekowi kark, bo, w teorii, mógłby wylecieć nagle z krzaków, wystraszyć cię, tak że spadłbyś tyłem ze schodów i... Jestem przekonana, że wiesz, o co mi chodzi w tym całym wywodzie.

– Absolutnie. – Matt marszczył czoło, ale oczy miał roześmiane. – I dzięki, dobrze to wiedzieć. Następnym razem, gdy natknę się na łabędzie, nie będę się musiał bać. Zimno ci?

– Nie, po plecach leje mi się woda. – Tak było, ale to nie dlatego drżałam. Po prostu nie byłam przyzwyczajona, żeby ktoś dotykał mnie w ten sposób: ktokolwiek, a już zwłaszcza mężczyzna.

Matt wstał, znalazł ściereczkę i zamiast mi ją podać, usiadł i sam owinał mi nią szyję, wtykając głęboko pod sweter. W ten sposób znalazł się boleśnie blisko mnie. Wkroczył w moją osobistą przestrzeń, której zwykle tak zapamiętałam strzegę. Nieświadomy mojego skrzepowania, dalej przecierał ranę,

choć byłam pewna, że na tym etapie była już zupełnie czysta.

– Czy to prawda, że większość treserów węży w Appalachach ginie od ich ukąszenia? – spytał.

– Na litość boską! Coś ty zrobił, kupiłeś jakąś książkę? *101 kompletnie niewiarygodnych opowieści o węzach?*

Przestał przecierać ranę. Starał się zachować powagę, ale nie wychodziło mu to najlepiej.

– Ma tytuł: *Węże: fakty i fikcja* – przyznał się, zerkając na mnie. – Wypożyczyłem z biblioteki.

Kompletnie nie wiedziałam, co mam na to odpowiedzieć. Wypożyczyłem książkę tylko po to, żeby zadręczać mnie głupimi pytaniami?

– Mam też *Jadowite węże świata*, *Pospolite gady brytyjskie* i *Sztuka hodowania węży*. Powoli robi się ze mnie całkiem niezły znawca gadów.

Nagle niezrozumiałe ukłucie zawodu. Wypożyczenie książek nie miało nic wspólnego ze mną, po prostu próbował znaleźć rozwiązanie problemu węży we wsi. Kiedy tam siedziałam, gapiąc się w blat stołu i czując jak idiotka, wstał.

– Powiniennem już iść – stwierdził, ruszając do drzwi. – Z kim będziesz rozmawiała o skórze węża, którą dzisiaj znaleźliśmy?

– Och, z takim jednym. Nazywa się Sean North, mieszka niedaleko i...

– Wiem, kto to jest.

Czekałam. Coś w twarzy Matta mnie zaniepokoiło.

– To on ma tajpana? – spytał.

– Tak – potwierdziłam, czując lekkie zdenerwowanie tego rodzaju, jakie cię nachodzi, gdy w szkole dyrektor wzywa cię do swojego gabinetu. – To jakiś problem?

Wyglądało, że się zastanawia.

– Prawdopodobnie nie – odparł po chwili. – Od dawna go znasz? – zapytał, przyglądając mi się dziwnie intensywnie.

Pokręciłam głową.

– Dopiero od soboty – wyjaśniłam. – Ale naprawdę nie potrafię wyobrazić sobie kogoś z lepszymi kwalifikacjami.



Matt stał w progu z jedną dłonią na klamce otwartych drzwi. To było niedorzeczne, zupełnie do mnie niepodobne, odkryłam jednak, że nie chcę, żeby wychodził.

– Dzięki za towarzystwo w domu strachów – rzucił. – Jak się czegoś dowiesz o tej skórze, dasz mi znać od razu, tak? – I potem zniknął.

## 24

**B**udzik zadzwonił o zwykłej porze, wyrывая mnie z głębokiego snu i wrzucając w opary bezprecedensowego smutku. Leżałam w łóżku, czego nigdy nie robię, gdy się już obudzę, i przy wtórze śpiewu ptaków na zewnątrz pławiłam się w zupełnie niewytłumaczalnym poczuciu straty. Wykraczało ono daleko poza smutek po stracie matki. Leżałam tak piętnaście, może dwadzieścia minut i zastanawiałam się, czy będę w stanie wstać z łóżka tego dnia. Czy kiedykolwiek będę w stanie z niego wstać.

Ostatecznie jednak wstałam – stare nawyki i tak dalej – i zesłam na dół ze świadomością, że jest jakoś inaczej, że coś jest nie tak, nie mogłam tylko określić, co właściwie. Potem sobie uprzytomniłam. W domu było o wiele za cicho.

Klatka dla piskląt stała na kuchennym blacie, jak zwykle. Pokrywka obok, a nie na górze klatki, jak powinna. Ze środka nie dochodziły żadne odgłosy. Przez ostatnie dziesięć dni budziłam się i słyszałam jazgot domagających się śniadania piskląt. Tego poranka były cicho. Obejrzałam się na tylne drzwi. Zasuwy, które zamontowałam poprzedniego wieczoru, były zamknięte. Podeszłam do drzwi frontowych. Zamknięte i zaryglowane. Wróciłam do kuchni i naprawdę nie chcąc widzieć, co jest w klatce, podeszłam do niej jednak i zajrzałam do środka.

Odczułam prawie ulgę, gdy zobaczyłam, że klatka jest pusta. Odsunęłam się od niej i rozejrzałam po kuchni, szukając piskląt, chociaż wiedziałam, że jeszcze nie umiały latać i że same nie mogłyby wydostać się z klatki. Nie było ich nigdzie. Szybko obesłam cały dom. Drzwi i wszystkie okna były zamknięte.

Kto, na Boga, kradnie sowy? I jak mu się to udało? Pisklaki były w klatce, kiedy się kładłam i potem, o trzeciej rano, kiedy wstałam, żeby je nakarmić. Wszystkie drzwi i okna w domu były pozamykane. A jednak ktoś się do niego dostał – znowu. Naprawdę absolutnie nie wierzyłam w duchy. Ale jednak w którymś momencie w nocy moje pisklęta zniknęły.

Oczywiście zgłosiłam ich zaginięcie policji, lecz funkcjonariusz, który odebrał telefon, choć uprzejmy, wyraźnie nie przywiązywał szczególnej wagi do incydentu. Z pewnością policji nie paliło się do zajęcia się drugim włamaniem-którego-nie-było.

Do Matta nie zadzwoniłam. Nie musiałam być specjalistką od ludzkiej psychologii, żeby wiedzieć, że depresja, z jaką się obudziłam, miała jakiś związek z nim. Spędzanie czasu z Mattem Hoare'em po prostu nie było dla mnie dobre.

Z powodu natłoku nowych przyjęć do szpitala byłam zajęta aż do siódmej wieczorem. Gdy już wreszcie mogłam się stamtąd wyrwać, pojechałam prosto do Violet. W drodze do pracy wpadłam do niej na chwilę sprawdzić, jak się czuje ona sama oraz Bennie. Nie pamiętała, że widziałyśmy się poprzedniego wieczoru, ale przyjęła mnie raczej ciepło, zwłaszcza gdy zaczęłam się rozplýwać nad Benniem. Przyniosłam dla niej świeży chleb, mówiąc, że kupiłam za dużo dla siebie, zrobiłam herbatę i grzanekę i zwiększyłam temperaturę w elektrycznym kominku.

Przypomniałam, żeby nie zabierała Benniego na spacer i nie mając pewności, czy zapamięta, przykleiłam notatkę z przypomnieniem na frontowych drzwiach. Obiecałam, że wrócę wieczorem z lekarstwami, po czym zostawiłam ją samą z jej smutnym, zimnym dniem.

A teraz wróciłam. Przyniosłam ze sobą lekarstwo na przewlekłą niewydolność serca dla Benniego. Przyniosłam też niebosko drogą karmę dla starych psów i jakieś suplementy diety. Prawie na pewno były to zmarnowane pieniądze, ale po prostu czułam potrzebę zrobienia czegoś dla tego biednego

małego psiaka i jego właścicielki.

Zapukałam w drzwi i byłam zaskoczona, choć jednocześnie nawet się ucieszyłam, kiedy otworzyła mi Sally, pielęgniarka środowiskowa, moja sąsiadka i producentka najlepszych kanapek z bekonem w całej zachodniej części kraju.

– Hej, wchodź – powiedziała i pierwsza ruszyła długim korytarzem. – Violet mówiła mi o tobie. Jesteś jej ulubienicą miesiąca. Mówiła, że ma ci coś do powiedzenia.

– To ona mnie zapamiętała?

– Violet traci pamięć i odzyskuje. Chociaż trudno przewidzieć, na co akurat człowiek się natknie.

Na mój widok Violet spróbowała się podnieść, ale wysiłek okazał się zbyt duży. Dałam jej gestem znać, żeby nie robiła sobie kłopotu, i nachyliłam się do Benniego, chcąc się mu przyjrzeć. Leżał na dywaniku i ciężko dyszał.

– Jak on się dzisiaj czuje, Violet? – spytałam.

– Lepiej, chyba trochę lepiej.

Diagnoza była bardziej optymistyczna niż precyzyjna. Bennie nadal był bardzo chory. Szybko zrobiłam mu zastrzyk, a potem wzięłam jego miskę, zamierzając zanieść ją do zlewozmywaka i umyć, zanim go nakarmię.

– Nie miałaś racji, moja droga – odezwała się Violet, wyciągając do mnie rękę, kiedy wróciłam. – Walter nie umarł. Przypomniałam sobie dziś rano po twoim wyjściu. Poszedł tylko na krótko do szpitala, mieli mu zrobić kilka badań. Wkrótce ma wrócić. Sam mi to mówił.

Odstawiłam miskę Benniego na podłogę i pozwoliłam Violet złapać się za rękę i nawet pogłaskałam jej rękę. Skórę miała delikatną jak dziecko, tylko że luźną, bez tkanki tłuszczowej między nią a kośćmi.

– Violet, przykro mi, ale... – Przerwałam i spojrzałam na Sally. To z pewnością była bardziej jej działka niż moja. Moja to udręczone zwierzęta.

Sally zerknęła szybko na Violet, ale chyba nie wiedziała, co powinna powiedzieć.

– Cóż, w zasadzie... – zaczęła, potem umilkła. Violet odwróciła się do niej.

– Ty musisz to wiedzieć, kochanie. Na pewno go widziałas w szpitalu.

– Waltera już tam nie ma, Violet – odpowiedziała Sally. Patrzyła na mnie. – I niestety nie bardzo wiemy, gdzie jest.

Wygięłam brwi, potem spojrzałam na Violet, tak jak Sally niepewna, ile powinnyśmy wyjawić.

– Byłam kiedyś mężatką, dziewczęta – warknęła Violet. – Nie zaszokujecie mnie.

Sally uśmiechnęła się lekko i chyba podjęła decyzję.

– Trochę powęszyłam – oznajmiła, patrząc to na mnie, to na Violet. – Walter na pewno został przyjęty dwudziestego ósmego sierpnia zeszłego roku. Mogę wam nawet powiedzieć, na jaki oddział i czym był leczony, chociaż prawdopodobnie nie powinnam. I powoli, ale jednak zdrowiał, aż do szóstego września.

– A potem, co się z nim działo? – spytałam. Siedząca między nami Violet zdawała się równie ciekawa odpowiedzi jak ja. Oczy miała roziskrzone, błękitniejsze niż zapamiętałam.

– Nikt nie potrafi powiedzieć – odparła Sally. – W szpitalu w zeszłym tygodniu była awaria komputerów. System padł na całą godzinę. Stracili cały blok danych, w tym wszystkie kartoteki pacjentów geriatrycznych od początku września aż do końca miesiąca. Da się je oczywiście odzyskać, szpital ma kopie zapasowe, ale są trzymane poza szpitalem, i powiedziano mi, że nie ma pośpiechu z ich uzyskaniem. Mogą minąć tygodnie, zanim się dowiemy.

– Może ktoś go zapamiętał? – dociekałam. – Ktoś z personelu?

– Nikogo takiego nie znalazłam. W ostatnim półroczu w szpitalu pracowało sporo personelu tymczasowego, tak więc pielęgniarki, które się nim zajmowały, przeniosły się już gdzie indziej. Oczywiście nie miałam aż tyle czasu, żeby pytać wszędzie.

– A kartoteki w przychodni? – drążyłam. – Czy lekarz rodzinny nie jest informowany, gdy pacjent umiera w szpitalu?

– Te akurat sprawdziłam. Od lipca do końca roku. Znalazłam wpis o zgonie Edeline, siedemnastego listopada, ale to wszystko. Absolutnie żadnej wzmianki o Walterze. Dopóki nie otrzymamy kopii kartotek szpitala, sądzę, że musimy założyć, że Violet może mieć rację. Możliwe, że Walter nie umarł.

W pokoju unosiło się niezadane pytanie. Jeśli nie umarł, to gdzie on, na Boga, jest?

– Edeline sama mi mówiła, że zmarł – odezwałam się, nadal nie chcąc w to wszystko uwierzyć. – To samo mówiła pastorowi. I kilku innym osobom. Dlaczego miałyby to robić, jeśli to nie była prawda?

– Kłamstwo przychodziło Edeline równie łatwo, jak oddychanie – oświadczyła Violet. Jej głos brzmiał inaczej, młodziej i jeszcze coś: znacznie mniej sympatycznie. Wymieniłyśmy z Sally spojrzenia.

– Walter miał braci – powiedziałam, nadal nie chcąc myśleć, że to Walter włamał się do mojego domu, i to dwukrotnie. Odwróciłam się do Violet. – To o nich opowiadałaś mi wczoraj, prawda? A ja po prostu nie zdawałam sobie sprawy. To byli Harry, Archie i Saul.

– I Ulfred – rzuciła Violet i zdawało się, że jej drobnym ciałem wstrząsnął dreszcz. – Był tym naprawdę dziwnym bratem. Nigdy nie lubiłam przebywać zbyt blisko Ulfreda.

Sally i ja jednocześnie popatrzyłyśmy na siebie, a potem na Violet.

– Kim był Ulfred? – spytałam.

– Najmłodszym bratem – odparła Violet, stukając się w skroń. – Nie miał tu do końca poukładane, no wiecie. Mieszkał z Walterem i Edeline, w ich części domu. Edeline się nim opiekowała, podobno. Ulfred nie mówił. Wydawał tylko te straszne beczące odgłosy. No i węże. Nie pytajcie mnie, jak i dlaczego, ale Ulfred zawsze trzymał w rękach węża.

## 25

Violet znowu zadrżała.

– Nie znoszę ich, moje kochane – powiedziała. – Okropne, oślizgłe paskudztwa.

Ledwie mogłam usiedzieć spokojnie i jedno spojrzenie na Sally powiedziało mi, że z nią było tak samo.

– Pięciu braci Witcher – powiedziałam cicho.

– I wszyscy mieszkali razem w małym zrujnowanym domu – dodała Sally.

– I mówi pani, że Ulfred był... zaburzony? – Patrzyłam na Violet i modliłam się, żeby nie odpłynęła znowu w zapomnienie. Nie uciekła przed moim spojrzeniem i wydało mi się, że dostrzegłam jakiś błysk w tej błękitnej głębi. Coś wiedziała. Zerknęła na Sally, potem znowu na mnie. Cokolwiek to było, nie wiedziała, czy powinna o tym mówić.

– Wczoraj wieczorem widziałam pewne zdjęcie – zaczęłam, próbując znaleźć sposób, który jej nie wystraszy, a zarazem zachęci, żeby powiedziała więcej. – Z gazety. To było zdjęcie drużyny krykieta. Widziałam Waltera, Harry'ego, Saula i Archiego, ale nie pamiętam...

Violet zaczęła się podnosić. Zachwiała się i Sally podskoczyła, żeby jej pomóc. Kiedy już stanęła na nogach, podeszła wolno do kredensu i wysunęła drugą z czterech szuflad. Wyjęła z niej coś, co wyglądało jak stary pamiętnik i zaczęła przerzucać strony. Gdy znalazła to, czego szukała, podtrzymywana przez Sally wróciła na miejsce. Usiadły obie i Violet podała nam otwarty pamiętnik.

– To było to zdjęcie? – spytała.

– Tak – potwierdziłam. Patrzyłam na ten sam wycinek z gazety, który

widziałam w domu Witcherów poprzedniego wieczoru. Jeszcze raz prześledziłam listę nazwisk i spostrzegłam Jima Bucklera, męża Violet, chociaż nie byli jeszcze małżeństwem, kiedy zrobiono zdjęcie. Wysoki, kanciasty chłopak w tylnym rzędzie wyglądał na bardzo młodego. I mógł mieć jasne włosy i piegi, chociaż trudno było o pewność. Tymczasem Sally robiła to co ja minionej nocy, przypisywała imiona braci Witcher do twarzy.

– Ani śladu Ulfreda – mruknęła. – Archie był całkiem przystojny, prawda? Tak w ogóle to kogoś mi przypomina. Tylko nie potrafię dokładnie... Miał jakąś rodzinę?

– Chyba wyemigrował. Kim były te kobiety? – spytałam, spoglądając na Violet.

– Moja przyjaciółka Ruby i ja – odpowiedziała. – I Edeline. Chociaż ona akurat niewiele się udzielała w kawiarence. Przychodziła tylko po to, żeby gadać z mężczyznami.

Patrząc na trzy kobiety, łatwo się było zorientować, która jest którą. Violet w młodości była niska, szczupła i ładna, w delikatny, spokojny sposób. Jej przyjaciółka Ruby była postawniejsza, urodę miała przeciętną, ale Edeline niezaprzeczalnie przyćmiewała obie. Dobre cztery centymetry wyższa od obydwu, ubrana w obcisłe spodnie z krótkimi nogawkami, które nazywano rybaczkami. Miała figurę jak gwiazdy kina z lat pięćdziesiątych XX wieku, ściśle przylegająca do ciała bluzka z nisko wyciętym dekoltem niewiele pozostawiała wyobraźni.

– Czy Ruby to ta przyjaciółka, która była w kościele, gdy spłonął? – spytałam, strzelając w ciemno.

Na twarz Violet znowu powrócił wyraz wzburzenia.

– Nigdy o tym zbyt wiele nie wiedziałam – oznajmiła. – Mój ojciec nie chciał, żebym chodziła do kościoła po przyjeździe nowego pastora. Ale co nieco słyszałam od Ruby. I od Jima. Przez jakiś czas chodził do kościoła. Do...

– Do pożaru? – podpowiedziałam. Violet kiwnęła głową.

– Jakiego znów pożaru? – spytała Sally, ku mojej irytacji.

– Mnie tam nie było – zapewniła Violet.



– Wiem, wiem, mówiłaś. A więc znałaś Ulfreda? Na czym polegało jego szaleństwo?

Violet milczała przez minutę, która przeciągnęła się do dwóch. Miałam się już poddać, gdy rozejrzała się po pokoju, jakby ktoś mógł do niego wejść, niezauważony, nieusłyszany. Zwalczyłam pokusę zrobienia tak samo. Potem...

– Mówili, że jest opętany – szepnęła.

Sally roześmiała się cicho i odchyliła na oparcie. Ja natomiast poczułam na karku coś lodowatego.

– Przez demony? – spytałam. Violet skinęła głową.

– Claro, proszę cię – zaprotestowała Sally. Podniosłam dłoń.

– W Kościele katolickim jest wielu praktykujących egzorcystów – wyjaśniłam pośpiesznie. – Nawet anglikanie mają osoby przeszkolone w tego rodzaju rzeczach. – Spojrzałam na Violet. – Nie wierzę w demony – oznajmiłam szczerze. – I jestem pewna, że ty też nie – dodałam, bo nie podobało mi się, że Violet wygląda na taką wystraszoną. – Ale wiem, że są tacy, którzy wierzą. Pięćdziesiąt lat temu ludzie byli o wiele bardziej przesądni. Mam rację?

Nie zwracając uwagi na Sally, Violet nachyliła się do mnie.

– Mówili, że to przez tego demona był taki, jaki był.

– Że nie mógł mówić, o to ci chodzi?

– Nie tylko to. Zdarzało się, że czasami... czasami zwyczajnie dostawał szału. Słyszeliśmy, jak się darł, krzyczał. Ale nigdy słowami. To były zawsze tylko te straszne dźwięki. I rzucał rzeczami, rozbijał je. Po prostu wpadał w szal.

– A kto się nim zajmował? Kiedy był w takim stanie? – spytała Sally, która nadal sprawiała wrażenie nieprzekonanej.

– Walter, pozostali bracia – odparła Violet. Zerknęła na swoje kolana, potem znowu podniosła wzrok, ale nie do końca chciała spojrzeć mi w oczy. – Chodziliśmy pod ten dom – wyjawiała – kiedy to się działo. Słysząc go było nawet z końca ogrodu. – Oczy jej zabłyśły. – Wiem, że nie powinniśmy – dodała – ale byliśmy młodzi. Mieliśmy pstro w głowach.

– Rozumiem – rzuciłam.

– I potem widzieliśmy Waltera czy któregoś innego, wyglądających jak po bójce. Podbite oko, siniaki. I to nie była tylko agresja. On robił jeszcze inne rzeczy. Paskudne.

Spojrzałam na Sally. Wzruszyła lekko ramionami, prawie niezauważalnie. Violet wyglądała już na straszliwie zakłopotaną. Uznałam, że nie ma sensu naciskać dalej w tej kwestii. Domyślałam się, co mogło się kryć za sformułowaniem „paskudne rzeczy”.

– I co z nim zrobili? Załatwili mu jakąś pomoc? – spytałam, wiedząc, że pomoc dla osób podejrzewanych o opętanie zwykle przybierała tylko jedną formę.

– Tak naprawdę to nie wiedziałam. Słyszałam tylko to i owo.

– Rozumiem. A co takiego słyszałaś?

– Ludzie mówili, że go przywiązywali i głodzili. Przez wiele dni, nawet tygodni.

– Z pewnością nic takiego się nie działo – obruszyła się Sally, która wyglądała tak, jakby usłyszała dość.

Zerknęłam na nią.

– Rozumiem, że go krępowano – zaczęłam – zwłaszcza gdy był agresywny. Ale po co mieliby go głodzić? Co chcieli tym uzyskać?

– To pomagało im się modlić, tak mówili – wyjaśniła Violet. – Szli wszyscy do domu albo czasami zabierali go do kościoła, pastor i kilkoro innych. Oni też nie jedli i modlili się razem z nim, godzinami, próbowali wygnać z niego demony. Ale to najwyraźniej nie działało, bo po kilku dniach, kiedy się spotykało Ulfreda, był taki sam, tylko miał siniaki, krwawił i kuśtykał.

– To niedorzeczność, jakieś skończone brednie. – Cierpliwość Sally się wyczerpała. – Nie był opętany, tylko chory. Powinien trafić do szpitala.

– Wiem, moja droga – zgodziła się Violet. – To nie wydawało się w porządku. Ale pastor i tyle innych osób, o wiele ode mnie starszych... oni zdawali się tacy przekonani. Co ktoś taki jak ja mógł zrobić?

– I Walter się na to godził? – spytała Sally.

– Nie wiem. Mówili, że kłócił się z pastorem. Ale jego bracia i żona byli

po stronie pastora. Tak jak wielu innych ze wsi. Co mógł zrobić?

– Tego pastora powinno się powiesić.

– Zginął w pożarze. Jego grób jest na cmentarzu. Violet, to bardzo ważne. – Nachyliłam się do niej. – Potrafisz sobie przypomnieć, gdzie jest teraz Ulfred?

Violet westchnęła i pokręciła głową.

– On nie żyje, kochanie. Zmarł bardzo dawno temu. Utopił się chyba, tak mówiono. Utonął w rzece. To przykre, ale poczułam ulgę, kiedy się o tym dowiedziałam. Ulżyło mi ze względu na nas wszystkich, ale przede wszystkim ze względu na niego. Biedny człowiek.

Poczułam, że zeszło ze mnie całe napięcie. Główny podejrzany podniósł głowę... i natychmiast został odstrzelony. Przypomniawszy sobie nagle o czasie, zerknęłam na zegarek. Nawet gdybym jechała jak szalona i tak się spóźnię. Wy tłumaczyłam się przed Violet i obiecałam, że zajrzę do niej i Benniego nazajutrz. Sally odprowadziła mnie do drzwi.

– Matt mówił mi o twojej matce, Claro. Przykro mi. Mam nadzieję, że to nie było nic nagłego.

– Dziękuję – wymamrotałam. – Chorowała od dawna.

Super, właśnie gdy zaczynałam czuć się przy Sally swobodnie, ona stwierdziła, że mnie zna. Zacznie do mnie wpadać, pytać, jak się czuję, zapraszać na kolacje, oczekiwać, że będę się z nią dzieliła poufnymi sprawami. Na swojej drodze spotkałam już tyle takich Sally. Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń powiedziała:

– Może wpadniesz do mnie później, zjemy coś smacznego?

– To bardzo miłe z twojej strony – wymamrotałam i otworzyłam drzwi. – Ale wrócę późno. – I wyszłam. Dotarłam do samochodu i wsiadłam, nie oglądając się za siebie. Kiedy odjeżdżałam, poczułam ukłucie żalu, że byłam taka nieuprzejma. Sally naprawdę na to nie zasługiwała. Ale na dłuższą metę tak było prawdopodobnie lepiej.

Poza tym miałam spotkanie z pewną osobą w sprawie węży.

## 26

**S**kręciłam, droga zaczęła prowadzić w dół w kierunku Lyme Regis. Było niewiele przed dziewiątą wieczorem, słońce wisiało nisko. Wjechałam do miasta, prawie nad samo morze, i zatrzymałam się, żeby sprawdzić dalszą trasę. Musiałam zbyt szybko przyhamować, bo mały srebrny hatchback niemal wjechał mi w tył. Odwróciłam się, chcąc pomachać na przeprosiny, ale kierowca dodał gazu, wyminął mnie i popędził w dół wzgórza. Już bardziej uważając na to, co dzieje się na drodze, włączyłam się do ruchu i skręciłam w prawo. Na końcu szosy krajowej musiałam wysiąść, podnieść stary drewniany szlaban i pojechać prywatną drogą, tylko odrobinę lepszą od wiejskiego duktu. Znajdowałam się teraz na terenie parku Lyme Undercliff, państwowego rezerwatu przyrody, domu rzadkich odmian storczyków, owadów niewystępujących nigdzie indziej na Wyspach Brytyjskich oraz cieszącego się międzynarodową sławą herpetologa i gwiazdy telewizyjnej Seana Northa.

Dotarłam do końca przecinki i zaparkowałam obok znajomego, poobijanego i brudnego land rovera. Wsiadłam, wąski lekki pakunek wetknęłam pod pachę i zeszałam do jednopiętrowego obitego drewnem domku, stojącego pośród młodych jesionów. Był pomalowany na niebiesko i wyglądał jak rybacka chata. Widywałam ten dom już wiele razy, nawet się zastanawiałam, kto może mieszkać w takim miejscu, nigdy jednak nie domyślałam się prawdy.

Czując, że ze zdenerwowania coś tupocze mi w brzuchu jak podskakujące koniki polne, podeszłam do drzwi frontowych. Nie musiałam pukać.

„C”, było napisane na liściku przypiętym do drzwi, „spóźniłaś się”. Kilka wykrzykników. „Poszedłem popatrzeć na gniazdo”, brzmiała dalsza część wiadomości. „Jeśli się jednak pojawisz, zaczekaj. Wrócę. S.”

Przez sekundę rozważałam pomysł pozostawienia pakunku na progu i zadzwonienia do Northa nazajutrz rano. Tydzień wcześniej prawdopodobnie tak właśnie bym zrobiła – nawet mimo obietnicy, że nie spuszczę paczki z oka. Ale nie chciało mi się jeszcze wracać do domu, do wsi pełnej węży i tajemnic.

Tak więc cofnęłam się do nadbrzeżnej ścieżki i ruszyłam nią w głąb rezerwatu, czekając na moment, gdy morska bryza potrząśnie szczytami drzew, wiedząc, że kiedy to się stanie, maleńkie krążki światła zatańczą w podszyciu leśnym jak monety rzucone dłonią olbrzyma.

Uformowane z osuwisk, tak powszechnych w tym pasie wybrzeża, sławne Lyme Undercliff ewoluowało przez wieki. I nigdy nie przestanie ewoluować.

Najpoważniejsze osunięcie się terenu w ostatnich latach, w głównej mierze odpowiedzialne za powstanie Undercliffu takiego, jaki widzimy go dzisiaj, nastąpiło w Boże Narodzenie 1893 roku. W ciągu dwóch dni około szesnastu hektarów ziemi, łącznie z polami pszenicy i rzepaku, obejmującymi jakieś osiem milionów ton skał, oderwało się od klifów i osunęło do morza. Powstała z tego przepaść głęboka na czterdzieści metrów i długa na prawie półtora kilometra. Od tamtego czasu strome zbocza erodowały nadal pod wpływem warunków atmosferycznych i kolejnych osunięć oraz pokryły się gęstą roślinnością jak w dżungli.

Na przestrzeni lat Undercliff stał się źródłem fascynacji geologów, botaników i paleontologów, a także mojej. Od zawsze intrygowało mnie, że skutkiem zachodzących przez wieki zniszczeń może być miejsce takie jak to, na wskroś przesycone spokojem. I że jego piękno może skrywać takie zagrożenia. Nigdy nie lekceważcie Undercliffu, mawiał mój ojciec chyba za każdym razem, gdy przyjeżdżaliśmy tu na spacer. Do miasta jest stąd niewiele ponad dwa kilometry, ale wystarczy zboczyć z trasy, mieć jakiś nieszczęśliwy wypadek – pełno tu przecież ukrytych rozpadlin i przepaści – i człowieka nie da się odnaleźć przez wiele dni.

Po dotarciu do drewnianej ławeczki przysiadłam na niej. Słońce właśnie zachodziło, ale nie robiło tego dyskretnie. Olbrzymie snopy światła rozciągały się nad morzem, rozedrganą, tańczącą kipiela zamieniały w migoczącą srebrzystobiałą masę.

Siedziałam zapatrzona w wodę i zastanawiałam się, co zrobię, kiedy już potwierdzę pochodzenie skóry w brązowej kopercie pod moją lewą pachą. Nic, oczywiście, brzmiała jedyna sensowna odpowiedź. Byłam weterynarzem. Naprawiałam zające i jeże. A jednak...

Starszy mężczyzna, którego widziałam dwukrotnie, był bardzo podobny do Waltera Witchera. A Walter miał czterech braci. Byłam przekonana, że cokolwiek działo się w mojej wsi, w jakiś sposób było powiązane z nimi i z ich domem. Czy któregoś dałoby się odnaleźć? Dwóch nie żyło: Harry leżał na cmentarzu, Ulfred utonął dawno temu. Pozostawali Walter, Archie i Saul.

Archie przeprowadził się do Ameryki. Odnalezienie go byłoby prawie niemożliwe, nawet jeśli nadal żył. Ale Saul został wypędzony ze wsi. Musiał zrobić coś naprawdę złego. A złe rzeczy – z reguły – są zapamiętywane.

Mogłabym zajrzeć do starych gazet. Przestępstwa były zwykle nagłaśniane, nawet pięćdziesiąt lat temu. Mogłabym znaleźć jakieś informacje o tym, co zrobił Saul i dokąd się wyniósł. Mogłabym zacząć od roku, w którym spłonął kościół.

A co z Walterem? Zakładając, że nie umarł (i nie ukrywał się w swoim starym domu), musiał gdzieś mieszkać. Czy da się stworzyć listę domów starców w okolicy i sprawdzić, czy Walter przebywa w jednym z nich? Jeśli wyleczono go w szpitalu, lecz mimo to nie mógł wrócić do domu, logicznymi miejscami, do których mógł trafić, były hospicja lub domy opieki. Mogłabym to wszystko załatwić przez telefon.

Przejrzałam gazety, zadzwoniła w kilka miejsc. Mogłabym to zrobić, prawda?

Dzień zbliżał się ku końcowi. Chmury, przez większość popołudnia nieobecne, teraz zbierały się na zachodzie, wchłaniały w siebie resztki światła i tworzyły paletę barw, która mogłaby oszałamiać, gdyby nie była taką codziennością w tej części świata. Ludzie narzekają na ponure brytyjskie niebo, ale bez takich chmur nigdy nie mielibyśmy naszych zachodów słońca. Nie ma nic za darmo.

Za moimi plecami strzeliła gałązka. Przez sekundę nie słyszałam nic oprócz wiatru szumiącego w młodych liściach, potem niewyraźny, ale niezaprzeczalny

szelest w zaroślach.

Słońce zeszło niżej, jeszcze kilka minut i zacznie wstawać na innych wybrzeżach. Jego blask był teraz bardziej nasycony, złota połyskująca ścieżka, jaką pozostawia za sobą, sięgała przez fale ku mnie, jakby zapraszała do przenosin na lepszy ląd. Na razie jednak byłam przykuta do tego.

– Przepraszam za spóźnienie – mruknęłam w stronę punktu na horyzoncie, gdzie złota ścieżka się rozpoczynała – lub kończyła – nigdy nie byłam tego pewna.

Mężczyzna za mną roześmiał się.

– A już myślałem, że uda mi się podkraść do ciebie jak cień o zmierzchu.

– Usłyszałam, że nadchodzisz dwie minuty temu – odpowiedziałam, nie odwracając się. – Tu wszędzie jest pełno suchych gałązek. Powinieneś je omijać, jeśli chciałeś poruszać się bezgłośnie.

Nie odpowiedział. Brawo, Claro, pomyślałam. Ten człowiek słynie z tego, że tropi rzadkie gatunki zwierząt, a ty próbujesz pouczyć go, jak się chodzi cicho po lesie. Zapomniałaś, że przyjechałaś, bo potrzebujesz jego pomocy?

– Mieszkasz w pięknym miejscu – oznajmiłam z nadzieją, że zabrzmiało to pojednawczo.

– Zakochałem się w Undercliffie jeszcze jako dziecko – odparł. – Spędzałem tu prawie cały wolny czas. To tutaj złapałem swojego pierwszego węża.

– Żmiję? – spytałam, myśląc, że przejście do tematu jadowitych węży nie zajęło mu dużo czasu.

– Padalca – powiedział. – Na uświadomienie sobie, że moje nowe zdobyczne zwierzątko domowe wcale nie jest wężem, potrzebowałem całych dwóch tygodni.

Obszedł ławkę, a ja, wciąż nie podnosząc wzroku, przesunęłam się w lewo, tak żeby mógł usiąść po mojej prawej stronie. Mojej dobrej stronie.

– Dziękuję za... – zaczęłam.

– Dobrze się skła... – odezwał się w tym samym momencie.

Popatrzyłam na niego, zobaczyłam błysk orzechowych oczu i znowu spuściłam wzrok.

– Wejdiesz do środka na drinka? – spytał po sekundzie.

Boże, nie! Czułam, że ręce drżą mi już na samą myśl o tym, że mogłabym znaleźć się sam na sam z tym mężczyzną. W jego domu.

– Naprawdę muszę wracać – zdołałam wykrztusić, wiedząc, że zabrzmiało to oziębło, a nawet nieuprzejmie, ale nie potrafiłam inaczej. – Przysłałabym to kurierem, ale obiecałam, że nie spuszczę tego z oka. – Teraz już mówiłam bez ładu i składu. A Sean North nie pomagał w żaden sposób. Kątem oka widziałam tylko jego buty, dzinsy i kawałek koszuli. Ubrania były względnie czyste, ale poza tym bardzo podobne do tych, które miał na sobie w dniu naszego poznania. Wiedziałam, że mi się przygląda, i pomyślałam, że zachowuję się idiotycznie. Zaryzykowałam i spojrzałam na niego.

– Cześć – rzucił.

Poczułam, że się czerwienię, i tylko dzięki wysiłkowi woli nie uciekłam od niego wzrokiem. Zachowywałam się jak nastolatka, której właśnie przedstawiono ulubioną gwiazdę rocka. Wyciągnęłam kopertę spod ramienia i podałam mu ją. Odebrał ją dopiero po chwili. Otworzył i sięgnął do środka.

– Gdzie to znalazłaś? – spytał, kiedy wyciągnął skórę i podniósł, żeby się jej przyjrzeć w coraz słabszym świetle dnia.

– W starym domu w naszej wsi – odpowiedziałam. – Ma sto dwadzieścia pięć centymetrów długości. Dla pewności mierzyłam ją trzy razy. I zastanawiam się, czy...

– Nie, nie jest.

– Nie jest co? To nie skóra z tajpana?

– Nie z naszego. Nasza przyjaciółka, tak à propos, nazywam ją Clara, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza – ma sto siedemnaście centymetrów. Pamiętasz, byłaś przy tym, gdy Roger ją mierzył. Tak więc, jeśli się nie skurczyła, a z czymś takim nigdy wcześniej się nie spotkałem, to nie jest to jedna z jej wylinek.

Słońce zaszło za horyzont, pozostawiając za sobą na powierzchni morza jedynie złote jezioro. Kurczyło się ono na moich oczach wraz ze złudną nadzieją, że nie mieliśmy we wsi kolejnego grasującego po niej śmiertelnego zabójcy. Sean, byłam tego stuprocentowo pewna, nadal mi się przyglądał.



– Naprawdę byłabym wdzięczna, gdybyś mi powiedział, że ta skóra pochodzi od innego gatunku – oznajmiłam w końcu. – Jakiegoś nieszkodliwego. I najlepiej, że ma już kilka lat.

– Ta wylinka wygląda na nową. I jeśli znalazłaś ją w starym domu, to zapewne jest bardzo świeża. Gdyby leżała tam dłużej, prawdopodobnie zostałaby zjedzona.

Miał rację. Czułam się pozbawiona sił, jakby samo to, co mówił, odzierało mnie z energii.

– Nie potrafię tak bez zastanowienia i w tym świetle ocenić, czy to skóra tajpana. Muszę ją porządnie obejrzeć. W tej chwili mogę powiedzieć tylko, że to możliwe. Jeśli nie możesz jej zostawić, może przyjedziesz jeszcze raz, gdy będziesz miała więcej czasu.

– Nie, oczywiście, że mogę zostawić. Naprawdę będę wdzięczna, jeśli zgodzisz się rzucić na nią okiem. – Siedzieliśmy chwilę, milcząc i przyglądając się, jak złote światło na horyzoncie drży i znika. Zachody słońca od zawsze mnie poruszały, ale w tym konkretnym było coś, co wzbudzało we mnie nieokreślony smutek. – Jak długo może przeżyć tajpan w naszym klimacie? Jak długo stanowiłby zagrożenie? – spytałam.

Sean zastanowił się nad moim pytaniem.

– Krótko – odpowiedział w końcu. – Oczekiwałbym, że tropikalny wąż w ciągu doby zasnąłby, a potem po prostu już by się nie obudził. I nawet przed zaśnięciem nie miałby prawdopodobnie energii na polowanie. Byłby zbyt wyziębiony.

– Czyli, jeśli gdzieś we wsi jest jeszcze jeden, nie musimy się tym przejmować?

– Cóż, chciałbym móc tak powiedzieć.

– Ale...

– Ta wiosna była o wiele cieplejsza niż normalnie. W takich warunkach węże mogą zachować przytomność przez kilka dni. I nawet ospały, wyziębiony wąż będzie się bronił. Nadal będzie niebezpieczny.

Przez chwilę milczeliśmy, ja starałam się nie myśleć o małych pulchnych nóżkach biegających w zaroślach, małej stópce następującej na śpiącego –

aczkolwiek bardzo groźnego – węża.

Potem na moim ramieniu spoczęła ciepła dłoń, kostka małego palca musnęła moją szyję, a Sean wskazał cypel leżący jakieś dwa kilometry na wschód od nas.

– Widzisz tamtą skalną formację, tę, która ma jakby kształt grzyba?

Kiwnęłam głową, świadoma tego, że się ku mnie nachyla, jego znajomego zapachu – natury, dzikości.

– To miejsce, gdzie kiedyś był sławny wulkan Lyme.

Odwrociłam głowę, żeby na niego spojrzeć.

Uśmiechnął się.

– No co? Nigdy nie słyszałaś o wulkanie Lyme?

– Słyszałam. Tylko włożyłam go między te same bajki, co kornwalijskie elfy i irlandzkie chochliki.

– Jesteś w błędzie. Wulkan Lyme istniał. Opowiem ci pewną historię.

Oparł się o ławkę, ku mojej ogromnej uldze, dopóki nie zorientowałam się, że jego lewa ręka spoczywała na górnej żerdzi i tylko centymetry dzieliły ją od znalezienia się na moich ramionach.

– Kiedy miałem czternaście lat, kręciłem się po zaroślach, aż w pewnym momencie zobaczyłem coś, co wyglądało jak dym, wydobywający się spod krzaka. Najpierw pomyślałem, że ktoś rzucił niedopałek. Poszedłem sprawdzić, ale przekonałem się, że dym wcale nie wypływał spod krzaka, wypływał ze szczeliny w skale, szerokiej na jakieś piętnaście centymetrów i zbyt głębokiej, żebym mógł zobaczyć dno.

– Dym wydobywający się ze skały? – powtórzyłam, zaciekawiona wbrew sobie. – Jak to możliwe?

– Samozapłon w podziemnym łupku bitumicznym.

– Co takiego?

– Dorset jest bogate w podziemne złoża ropy. Podobnie jak Hampshire. W zasadzie tak jest w sporej części południowej Anglii. Nic porównywalnego z Morzem Północnym, ale mimo wszystko są to ilości znaczące.

– Naprawdę? Myślałam, że dla ropy potrzebne są specjalne warunki geograficzne.

– Niezupełnie. Wystarczą bogate w organiczne związki osady, jak łupek. Jeśli leży odpowiednio głęboko, okoliczne środowisko działa jak szybkar, zamieniając go w ropę. To wszystko zajmuje miliony lat, rozumiesz.

– No tak – przytaknęłam, uświadamiając sobie, że w ogóle nie poruszaliśmy tematu, który przyjechałam omówić. Mimo wszystko jednak z przyjemnością słuchałam tego, co mówił Sean. Uderzyła mnie pewna myśl. Czyżbym prowadziła luźną rozmowę?

– Potem wszystko zależy od składu skał – ciągnął Sean. – Ropa migruje od skały macierzystej, aż napotyka inne, bardziej porowate, jak wapień lub piaskowiec, w które może wsiąknąć. I w ten sposób otrzymujesz podwodny zbiornik z zasobami ropy.

– Skąd tyle o tym wiesz?

– Współpracowałem z kilkoma komisjami zajmującymi się wpływem odwiertów na środowisko. Ludzie zawsze wpadają w panikę, ilekroć słyszą, że ktoś chce prowadzić odwierty w okolicy ich zamieszkania. Zwykle niczym to nie grozi, wpływ na środowisko jest nieznaczny, ale wszyscy oczywiście od razu wyobrażają sobie wielkie pola naftowe, jak w Teksasie. Kilka dobrze rokujących odwiertów w tej okolicy zostało wstrzymanych właśnie z powodu nacisków miejscowych.

– Ale mimo wszystko są pola naftowe? Tutaj, w Dorset?

– Są. Bardzo blisko stąd jest Wytch Farm. To największe pole naftowe na lądzie w Europie Zachodniej. Wydobywania prowadzone są też w West Chaldon.

– No, ale co z tym samozapłonem, o którym wspominałeś?

– Wybacz, geologia to mój konik. Cóż, tutejsze ropy zawierają sporo pirytu. Kiedy skały się przesuwają, a to na tym wybrzeżu dzieje się ciągle, piryt może się zetknąć z powietrzem. Zaczyna oksydować i rozgrzewa się, co powoduje samoistny zapłon. Jeśli obecne jest też paliwo, na przykład łupek palny, może dojść do naprawdę dużej erupcji.

– Białe klify w Dover, płonące klify w Lyme – mruknęłam.

– No więc, tak czy inaczej, gdzieś około początków dwudziestego wieku nastąpiła tu eksplozja, nazwana później wulkanem z Lyme. Ogień płonął przez wiele dni. Żyję w ciągłym strachu, że dojdzie do następnej, tuż pod moim

domem. Płacę za niego niebotycznie wysokie ubezpieczenie. Ale przynajmniej jest to dobry temat do podtrzymania rozmowy.

Zamarłam. Nie mógł sobie zdawać sprawy, co właśnie powiedział.

– I co się stało potem z twoim wulkanem?

– Kiedy wróciłem z ojcem, dwoma braćmi i trzema sąsiadami, nie było po nim śladu. Wszyscy się ze mnie bezlitośnie nabijali. Dlatego następne kilka dni spędziłem w miejscowej bibliotece, aż udowodniłem, że na tych klifach skały naprawdę płoną.

Uzmysłowiłam sobie, że się uśmiecham. To była miła myśl. Płonące klify. Wulkan u wybrzeży Dorset. To, co się wydarzyło potem, doszczętnie starło uśmiech z moich ust.

– Przywiozłaś ze sobą przyjaciela? – spytał Sean, zniżając głos prawie do szeptu.

– Co? – Instynktownie ja też zaczęłam mówić cicho.

– Ktoś nas podsłuchiwał przez ostatnie pięć minut – wyjaśnił Sean, nadal szeptem. – Jest jakieś dwadzieścia metrów od nas. Na godzinie ósmej. Nie odwracaj się.

Udało mi się tego nie zrobić, ale nie mogłam się powstrzymać, by przynajmniej nie zerknąć w tamtą stronę. Na ósmej? Czyli z tyłu, lekko w lewo, tak?

– I to, moja droga, był sławny zachód słońca w Lyme – powiedział Sean normalnym głosem. – Całkiem niezły widok, co?

– Piękny – bąknęłam. Po zająściu słońca mrok zapadał tak szybko, że czułam się straszliwie wprost wystawiona na cokolwiek, co zdaniem Seana znajdowało się za nami. Ja wprawdzie niczego nie słyszałam, ale też nie starałam się nasłuchiwać. Tak daleko od wsi czułam się bezpiecznie. Czyżby ktoś mnie śledził? To przecież nie było niemożliwe, prawda?

Sean zaczął się podnosić.

– No tak, sądzę, że już pora zrobić ci drinka i pokazać moją ulubioną kolekcję – oznajmił przesadnie głośno. W większości przypadków po takim tekście uciekałabym, gdzie pieprz rośnie. Ale Sean nawet na mnie nie patrzył. Wpatrywał się w jesiony rosnące gęsto w miejscu, które określił jako

położone na ósmej. W milczeniu wróciliśmy do ścieżki i kiedy do niej dotarliśmy, dostrzegłam wyraźnie, że coś porusza się w gęstwinie krzaków. Ktoś ciemno ubrany oddalał się.

– Zostań tu – mruknął Sean i ruszył biegiem, ku miejscu, w którym też musiał zauważyć ruch. – Uwaga, kolego! – zawołał, kiedy zbliżył się do zagajnika. – Tam jest niewidoczny spadek. Zostań na miejscu. – Wbiegł pomiędzy drzewa i zniknął z widoku, zostawiając mnie samą na ścieżce. Temperatura opadała gwałtownie i wiatr się wzmaczał. Nie zabrałam ze sobą kurtki. Czekałam na powrót Seana, zastanawiając się, co zrobię, jeśli się nie zjawi. Po kilku minutach wrócił. – Wybacz – mruknął, gdy był już bliżej. – Fałszywy alarm.

– Nikogo nie znalazłeś? – spytałam, zdziwiona.

– Znalazłem, ale to tylko botanik amator – odpowiedział. – Starszawy koleś z Ameryki. Szukał zielonych storczyków. Zdaje się, że go trochę wystraszyłem.

– Mnie też.

– Przepraszam, przepraszam. Rzecz w tym, że kiedy pracuję, co robię praktycznie przez cały czas, muszę w pełni polegać na swoich zmysłach, a one rzadko mnie zawodzą.

Sprawiał wrażenie tak bardzo zakłopotanego, że nie mogłam nic na to poradzić i zrobiło mi się go żal.

– Wygląda na to, że zbyt wiele czasu spędzasz w dżungli – stwierdziłam.

– Możliwe – zgodził się. – No to jak, skusisz się jednak na tego drinka?

Odrzuciłam powtórne zaproszenie, ale chyba już nie tak nieuprzejmie. I kiedy wracałam, przekonałam się, że czuję się mniej roztrzęsiona niż w ostatnich kilku dniach. Undercliff, a może nawet sam Sean podziałali na mnie uspokajająco. Byłam naprawdę bardzo zmęczona i wiedziałam, że tej nocy na pewno zasnę jak kamień. Miałam nadzieję, że nieprzyjemne niespodzianki na razie się skończyły.

Droga była pusta i dotarcie do zjazdu do wsi nie trwało długo. Kiedy zwolniłam i włączyłam kierunkowskaz, w lusterku wstecznym mignął mi jakiś

pojazd. Mały srebrny samochód. Skręciłam i ruszyłam w stronę domu. To drugie auto za mną. Nie widziałam go, mimo że kilka razy nagle zwalniałam, widziałam jednak za sobą reflektory oświetlające drogę. Po skręcie w Bourne Lane zatrzymałam się na poboczu, zgasiłam światła i czekałam. Czekałam pięć, może dziesięć minut, ale auto się nie pojawiło. W pobliżu nie było innych dróg, którymi mogło odjechać, ale koło mnie nie przejechało. W końcu poddałam się i pojechałam do domu. Nie przestawało mnie jednak dręczyć pytanie, czy instynkt Seana nie był lepszy, niż to sobie uzmysławiał.

A kiedy wysiadłam z samochodu, zobaczyłam, że moje drzwi frontowe wyglądały zdecydowanie inaczej. Nad skrzynką na listy wisiało przybite ciało martwej żmii. Ktoś zostawił mi też namalowaną białą farbą wiadomość, z którą na czysto intelektualnym poziomie nie mogłam się do końca nie zgodzić.

„Brzydka pizda”, brzmiał napis.

## 27

**T**ak więc, zamiast wziąć długi gorący prysznic i od razu pójść spać, musiałam odszukać puszkę z terpentyną i wyczyścić drzwi. Ktokolwiek złożył mi wizytę tego wieczoru, był tu niedawno, farba była jeszcze mokra.

Wąż był przytwierdzony do drzwi gwoździem stolarskim. Nie żył i miałam szczerą nadzieję, że było tak też wtedy, gdy wbijało się w niego siedem centymetrów stali. Zarówno on, jak i gwóźdź wylądowali w śmietniku na podwórzu. O tym incydencie nie zamierzałam powiadamiać lokalnej policji. Nawet jeśli nie wciągnęli mnie już do rejestru marnujących ich czas poszukiwaczy uwagi, wcale nie uśmiechało mi się opowiadać jakiemuś młodemu posterunkowemu, co ktoś uznał za stosowne napisać na drzwiach frontowych mojego domu.

Jak wiele kobiet płaczę, kiedy jestem zła. A tej nocy, gdy szorowałam pomalowane na niebiesko dębowe drzwi, byłam po prostu wściekła. Czulałam się tu bezpiecznie. Niezagrożona szpiegowaniem, wścibskim podglądactwem, natrętną uprzejmością i protekcyjnymi propozycjami zawarcia przyjaźni. Ale wydarzenia ostatnich kilku dni uzmysłowiły mi, że wcale tak nie jest, wcale nie byłam bezpieczna. Naprawdę nie miało znaczenia, jak bardzo starałam się nie rzucać w oczy, jak dobrze ukrywałam twarz przed światem, ktoś zawsze uważał, że ma prawo oceniać mnie ze względu na wygląd.

– Ciekawa pora na wiosenne porządki?

Wątpię, że mogłabym wyglądać na bardziej winną, gdyby przyłapano mnie na akcie wandalizmu. Podskoczyłam i szybko się odwróciłam, zanim z powrotem zerknęłam na drzwi. Wciąż były pomazane, ale napis zdążyłam zetrzeć.

– Nie sądziłam, że ktoś na twoim stanowisku pracuje na nocną zmianę. – To było pierwsze, co przyszło mi do głowy, i zabrzmiało o wiele bardziej agresywnie, niż chciałam. Ale Matt wpatrywał się w moje drzwi frontowe, zaraz zapytał, dlaczego zmywam z nich białą farbę o jedenastej wieczorem. Naprawdę nie chciałam, żeby to zrobił.

Nie był sam. U jego stóp siedział młody cocker spaniel o słodkiej mordce i sierści czarnej i lśniącej. Matt wyciągnął palec i dotknął nim białej plamy, której nie udało mi się do końca zmyć. Jeszcze dwie minuty i byłoby po niej.

– Cierpisz na bezsenność? – spróbowałam jeszcze raz. – Widuję cię tylko o późnych godzinach.

– Byłam na drinku z Clive'em Ventrym. Poza tym Molly lubi światło księżyca. Przechodziłam ulicą i zobaczyłam, że z furją coś szorujesz. Co tu się stało?

– Nic. – Stałam ostatnie ślady i podniosłam puszkę z terpentyną. Pozostawiając Matta i Molly na progu, weszłam do domu. Pospieszyłam do kuchni i tam wypłukałam ścierkę i umyłam ręce. Poczułam, że coś delikatnie trąca moją łydkę. Spojrzałam w dół i przekonałam się, że to Molly ociera się nosem o nogę. A to oznaczało, że jej właściciel też wszedł do środka. Odwróciłam się.

– Z ulicy nie widać mojego domu – powiedziałam.

– Czy sowy się znalazły?

– Skąd o tym wiesz?

– Poprosiłem, żeby informowano mnie o wszystkim, co dotyczy wsi. No to jak, pokazały się?

Podeszłam do klatki, która nadal stała na blacie, i udałam, że do niej zaglądam.

– Nie – odpowiedziałam. – Wciąż nieobecne bez usprawiedliwienia.

Odwrócił się i podszedł do tylnych drzwi obejrzeć rygle, które zamontowałam.

– Zamykałaś je zeszłej nocy? – spytał.

– Nie, założyłam je tylko dla dekoracji – warknęłam.

– Na pisklęta też krzyczałaś? To dlatego się wyniosły?



– Nie musisz sprawdzać, co się u mnie dzieje – oznajmiłam. – Wszystko jest w idealnym porządku, poza tym na pewno masz ważniejsze zajęcia.

Matt wolno pokręcił głową.

– Ty naprawdę masz problem z dogadywaniem się z rasą ludzką, co? – mruknął.

Z powrotem spuściłam wzrok na pustą klatkę. Miał całkowitą rację, oczywiście, ale nie potrafię obcować z ludźmi, którym się wydaje, że mnie znają. Jeśli jestem zmuszona, daję sobie jako tako radę z kontaktami w pracy, ale gdy rozmowa staje się osobista, coś zaczyna się we mnie zaciskać.

Już prawie dochodziła północ, lecz Matt nie zdradzał żadnych oznak, że zamierza wyjść. Molly też rozłożyła się wygodnie na dywaniku. Miałam w zanadrzu kilka aluzji, które mogłabym rzucić, nie musiałabym nawet być nieuprzejma, co tak łatwo mi przychodziło. Zamiast tego przekonałam się, że podchodzę do blatu i napełniam czajnik.

Matt usadowił się na jednym z kuchennych krzeseł.

– Czarną z dwiema łyżeczkami cukru, poproszę – powiedział.

– Jak się miewa Clive? – zapytałam, bo musiałam coś powiedzieć. Tak naprawdę Clive Ventry zupełnie mnie nie interesował.

– Spięty.

– Też nabawił się fobii przed węzami, jak my wszyscy?

– Trzeba byłoby dużo więcej niż kilka węży, żeby wystraszyć Clive’a. Wspominał coś o tym, że odwiedziła go rodzina. Odniosłem wrażenie, że nie jest tym faktem zachwycony. Ale przypuszczam, że jak się ma furę pieniędzy, to należy się liczyć z pewną dozą niechcianego zainteresowania ze strony pospólstwa.

Kiedy sięgnęłam po słoik z kawą, przypomniało mi się spotkanie w domu Clive’a Ventry’ego i ten wysoki mężczyzna na galerii, którego zdaje się widzieliśmy tylko Clive i ja.

– To bezkofeinowa? – spytał Matt takim tonem, jakiego ktoś mógłby użyć, gdyby podejrzewał, że dorzuciłeś mu czegoś do napoju.

– Tak. Masz jakąś papierkową robotę, która na ciebie czeka? To dlatego jesteś na nogach tak późno?

– Jezu, nigdy. Pracuję tylko od dziewiątej do siedemnastej i ani minuty dłużej. Wieczorami najczęściej piszę swoją powieść.

Wybałuszyłam na niego oczy.

– Swoją co?

Para szarych oczu zamigotała wesoło. Nie potrafiłam patrzeć w nie dłużej niż sekundę. Odwróciłam się plecami i skupiłam na przełączniku czajnika.

– Historyczny romans – rzucił. – Akcja toczy się na tle wojny burskiej. Dwie młode dziewczyny z Shropshire zgłaszają się na ochotnika do bycia pielęgniarkami.

– Wkręcasz mnie – wymamrotałam przez ramię.

– Chcesz przeczytać?

Woda się zagotowała. Zalałam nią dwa kubki, zaryzykowałam i spojrzałam na Matta.

– Jesteś bardzo dziwną osobą – mruknęłam.

Roześmiał się, patrząc mi prosto w oczy.

– Najlepsi zawsze tacy są. A poza tym kto to mówi.

To było bolesne, nagłe szokujące przebudzenie. Prawie zapomniałam. Prawie pozwoliłam sobie uwierzyć, że nie byłam... Odwróciłam wzrok, zęby miałam zaciśnięte, usta zasznurowane.

– Nie wściekaj się na mnie – rzucił Matt. – Nie mówię o twojej twarzy.

Strasznie chciałam przestać go widzieć, nie tylko zignorować, ale wręcz wymazać z pola widzenia, jak to robiłam wielokrotnie w przeszłości, gdy ludzie nie byli w stanie uszanować granic. Nie potrafiłam. Przekonałam się nawet, że na niego spoglądam.

– To w takim razie o czym?

– Cóż, jeśli chcesz rozmawiać o dziwności, to może to: najdziwniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek poznałem, czerwieniąca się jak piwonia i jeżąca jak przeczulony pies myśliwski, gdy tylko ktoś się do niej odezwie? Osoba, która ma ciało olimpijskiej sportsmenki, ale ubiera się w ciuchy, w jakich moja ciotka Mildred nie pokazałaby się nawet w trumnie? Pijemy tę kawę czy tylko oczyszczamy pory w parze?

Wyciągnęłam do niego kubek. Podszedł i odebrał go, ale nie odsunął się.

Utkwiłam wzrok w trzecim guziku jego koszuli.

– Mieszkasz tu cztery lata i założę się, że nie znasz nazwisk większości swoich sąsiadów. A jeden z nich byłby bardzo szczęśliwy, mogąc zaprzyjaźnić się z tobą, no, ale ciebie bardziej interesują jeże. A jednak dzisiaj wydałaś prawie pięćdziesiąt funtów na lekarstwa i karmę dla psa, który przypuszczalnie nie przeżyje nawet miesiąca.

Oparł się o blat, wciąż stał o wiele za blisko, żebym czuła się z tym dobrze. Skąd wiedział te wszystkie rzeczy o mnie? Znowu Sally?

– Powinnaś dać szansę własnemu gatunkowi, wiesz – dodał.

Nadal gapiłam się na guzik.

– Teraz pewnie cię zirytowałem, co?

– Nie. – Szczerze mówiąc, byłam zaskoczona. To był pierwszy raz, jaki sobie przypomiinałam, gdy ktoś – zwłaszcza mężczyzna – patrzył głębiej, nie tylko na twarz. Szybko zerknęłam na niego.

– I masz oczy koloru listków buczyny w październiku. A mimo to nikomu nie wolno w nie zaglądać.

Znowu wrócił do twarzy. Dlaczego zawsze wszystko skupia się na niej? Ponownie spuściłam wzrok, o wiele bezpieczniej było patrzeć na guzik.

– Już późno – rzucił. Rozejrzał się po kuchni, znalazł długopis i kartkę i coś na niej napisał. – To moje numery – oznajmił. – Domowy, na komórkę i bezpośredni do pracy. Jeśli coś się stanie, cokolwiek, dzwoń. Nie do tutejszego komisariatu, tylko do mnie, dobrze?

Kiwnęłam głową, chociaż wiedziałam, że nigdy nie skorzystam z tej propozycji.

Czasami – w ostatnich latach rzadziej (bo się pilnuję) – siadam przed lustrem. Światła są przygaszone, a ja przekręcam głowę pod takim kątem, że oszpeconej lewej strony prawie nie widać.

I wyobrażam sobie, jak wyglądałoby moje życie, gdyby wydarzenia tamtego dnia, teraz to już prawie trzydzieści lat temu, potoczyły się inaczej. Gdyby mama wypłała trochę mniej, gdyby Vanessa krzyknęła minutę wcześniej, gdyby

tata był w swoim gabinecie, zamiast spacerować po ogrodzie. Mogliby mnie znaleźć – uratować – zanim to się stało.

Patrzę na dobrą stronę swojej twarzy: na gładką oliwkową cerę, brązowe oczy w kształcie migdałów, mały nos i wysoko osadzone kości policzkowe; i myślę o tym, jak mogłoby być.

Widzę przyjaciół, których mogłabym mieć, gdybym nie bała się ludzi i ich nieskończonych zasobów okrucieństwa. Nie kurczyłabym się w sobie, gdy ktoś obcy widzi mnie po raz pierwszy, nie udawałabym, że nie zauważam, jak ludzie ukrywają, z powodzeniem lub nie, odrazę. Mogłabym nie wiedzieć, jak to jest być wytykaną palcami, być kimś, o kim się plotkuje.

Może nawet miałabym chłopaka, spotykałabym się z błyskiem zainteresowania w oczach mężczyzn, czekałabym w mękach na telefon od któregoś z nich, denerwowała się przed pierwszą randką. Nie miałabym prawie trzydziestki i nie byłabym wciąż...

Tak wiele osób próbowało podnosić mnie na duchu nadzieją na normalną przyszłość. „Nie wszyscy mężczyźni skupiają się na wyglądzie, Claro”, mówili. „Poznasz kogoś, kto dostrzeże tę piękną osobę, jaką jesteś w środku”. Jakby bycie oszpeconym automatycznie czyniło cię lepszym człowiekiem. Jakby to, co jest w środku, z założenia musiało nadrabiać to, co się nie udało na zewnątrz.

Ci życzliwi ludzie są w błędzie. Nie jestem piękna od wewnątrz. Jak mogłabym być, skoro ludzie ode mnie stronią, skoro podpici faceci rzucają niewybredne żarty pod moim adresem, nastolatki chodzą za mną po ulicy, gwizdzą i szydzą? Jak mogę być choćby normalna, jeśli boję się kupować ubrania w sklepie, bo nikt nie ma ochoty mnie obsłużyć? Żadna piękna dusza nie przetrwa tego rodzaju traktowania. Tak więc nie jestem piękna ani w środku, ani na zewnątrz. Mam kompleks wielki jak Mont Everest, jak często i zgodnie z prawdą mawia moja siostra. Jestem straszliwie nieśmiała, wiecznie rozdrażniona i mam totalną obsesję na swoim punkcie.

Tej nocy siedziałam przed lustrem bardzo, bardzo długo; Matt na pewno już dawno zasnął kamiennym snem. Siedziałam przed tym lustrem i marzyłam, że moja twarz jest cała i idealna, i że Matt mógłby zobaczyć we mnie – nie

zabawne kuriozum, jakim najwyraźniej byłam dla niego – ale kogoś, kogo mógłby po prostu...

## 28

Środy mam oficjalnie wolne. Ale ponieważ z dnia wolnego skorzystałam po raz pierwszy od czterech lat, musiałam się najpierw uporać z zaskoczonym i zaniepokojonym personelem, zanim mogłam odłożyć telefon i zająć się tym, co zaplanowałam na ten dzień.

Pierwsze na liście było wyśledzenie Waltera. Po porannej przebieżce (dla odmiany niespóźnionej i bez przygód) i odwiedzinach u Violet i Benniego, rozsiadłam się z herbatą, telefonem i kilkoma rodzajami książek telefonicznych z numerami z okolicy. Wyszukałam w nich domy pomocy społecznej, opieki długoterminowej, schroniska, hospicja i szpitale geriatryczne; wkrótce dysponowałam listą prawie dwudziestu możliwości.

W ciągu dwóch godzin udało mi się zostawić wiadomość lub porozmawiać z prawie wszystkimi placówkami, do których mógł trafić Walter, w promieniu stu kilometrów. Podczas rozmowy z prywatnym domem opieki pod Axminster przeżyłam chwilę ekscytacji, gdy pielęgniarka z dyżuru potwierdziła pobyt pacjenta o nazwisku Witcher. Pięć minut później dowiedziałam się, że ten pacjent to kobieta i że właściwie to jej nazwisko brzmi Whittaker.

O jedenastej poczułam, że jeśli posiedzę przy biurku trochę dłużej, oszaleję. Miałam jeszcze trzy miejsca, z którymi nie udało mi się skontaktować, ale w każdym zostawiłam wiadomość i miałam nadzieję, że wkrótce ktoś się do mnie stamtąd odezwie. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do biblioteki.

W bibliotece zaprowadzono mnie do piwnicy, pokazano regał ze starymi wydaniem gazet i pozostawiono samej sobie. Przez niemal godzinę

próbowałam czytać w migoczącym fluorescencyjnym świetle. Relację z pożaru w 1958 u świętego Birinusa znalazłam dość szybko. Notatka mówiła, że straż pożarna została wezwana o trzeciej w nocy, szesnastego czerwca 1958 roku, i że na miejscu strażacy dowiedzieli się, że pożar trwał już od kilku godzin i że mieszkańcy wsi próbowali ugasić go sami, zanim wezwali pomoc. Kiedy w końcu został opanowany, jakiś czas przed świtem, na miejscu pożogi odkryto dwa spalone ciała. Później zidentyfikowano je jako należące do pastora Faina i Larry'ego Hodgesa. Pastor Fain był osobą samotną, Larry Hodges zostawił żonę i dwójkę nastoletnich dzieci.

Na podstawie zeznań kilku mieszkańców wsi uznano, że przyczyną pożaru była paląca się świeca, której nie zgaszono po niesporach.

Artykuł kończył krótki nekrolog wielebnego Faina. Urodzony w 1933 roku w Alabamie Joel Morgan Fain był najmłodszym synem zamożnej farmerskiej rodziny. Jako kilkunastolatek wstąpił do ruchu zielonoświątkowców i po ukończeniu studiów humanistycznych został wyświęcony na pastora. Pomimo młodego wieku – pisano w artykule – stał się główną postacią tworzącego się zaraz po drugiej wojnie światowej ruchu Późnego Deszczu. Fain przybył do Anglii w 1957 roku, żeby głosić Słowo Boże nowego Kościoła i był czynnym pastorem w kościele św. Birinusa przez przeszło osiem miesięcy, kiedy to zginął. Nekrolog napisał inny pastor, kolega Faina, Archibald Witcher. Przerwałam na chwilę, próbując sobie przypomnieć, co wiedziałam o Kościele Zielonoświątkowym, o którym na pewno kiedyś się uczyłam.

Zielone Świątki to ważne chrześcijańskie święto, zesłanie Ducha Świętego na uczniów Jezusa. Kościół Zielonoświątkowy jednak... czy nie powstał on w Stanach na początku XX wieku jako coś w rodzaju odłamu Kościoła protestanckiego? Tak, to było to. Od tamtej pory na przestrzeni lat pojawiły się nowe odgałęzienia, niektóre ortodoksyjne i godne poważania, inne już nie tak bardzo. Różne frakcje miały jednak wspólne to, że kładły nacisk na osobiste doświadczenie Ducha Świętego i bardzo literalną interpretację Biblii.

Jak dotąd moja wyprawa do biblioteki nie pomogła mi dowiedzieć się niczego, czego już bym nie wiedziała.

W wydaniu „West Dorset Chronicle” z kolejnego tygodnia znalazłam cztery

linijki: „Raymond Henry Gillard, lat 30, zmarł w środę, zaledwie w kilka godzin po śmierci najbliższego przyjaciela i sąsiada, Petera Morfeta, lat 32. Obaj mężczyźni zmarli we własnych domach na skutek zawału serca. Nie udało się uzyskać komentarza od żadnego z członków rodzin obu zmarłych”.

Dwóch trzydziestokilkulatków umiera na zawał serca w odstępie kilku godzin?

Sięgnęłam do jeszcze starszych zakurzonych numerów gazet, szukając wzmianek o rodzinie Witcherów, o Saulu i Ulfredzie w szczególności. „Chronicle” było publikacją cotygodniową, tylko osiem stron. Mimo to przejrzenie tych numerów zajęło mi mnóstwo czasu i nie mogłam mieć pewności, że czegoś nie przeoczyłam.

Cofnęłam się do roku 1950 i znalazłam kilka relacji o utonięciach, ale wszystkie wydarzyły się na morzu lub przy ujściu rzeki, i nie było żadnej wzmianki o Ulfredzie. O wpół do drugiej zrobiłam sobie krótką przerwę, wygrzebałam się z powrotem na powierzchnię planety Ziemia, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i coś przegryźć, a potem, dwadzieścia minut później, wróciłam do pracy.

Harry, najmłodszy z braci Witcherów, urodził się w 1930 roku. Zakładając, że Ulfred urodził się w 1931 roku, można było uznać, że nastolatkiem był w 1944 roku. Wybrałam pudło z wydaniem z 1944 roku, zamierzając przejrzeć gazety do przodu, i w drugiej, którą otworzyłam, znalazłam historię, o której nawet nie wiedziałam, że jej szukam.

W czerwcu tamtego roku prosta dziewczyna z Londynu, pracująca i mieszkająca na pobliskiej farmie, została zgwałcona przez bandę pięciu chłopaków z mojej wsi. Czterech z nich osądzono i skazano na dziesięć do piętnastu lat więzienia. Najmłodszy z gangu, Saul Witcher, uniknął kary ze względu na młody wiek, miał zaledwie piętnaście lat, chociaż starsi członkowie gangu przedstawiali go jako prowodyra. Sędziowie postanowili jednak uwierzyć Saulowi, gdy ten zapewniał, że nie brał udziału w gwałcie.

O czwartej bibliotekarka przysłała mnie ostrzec, że wkrótce biblioteka kończy pracę. Musiało być coś w sposobie, w jakim nachylałam się nad biurkiem, przygnębiona z zaczerwienionymi oczami, co rozbudziło w niej



współczucie dla mnie.

– Szuka pani czegoś konkretnego? – spytała, zerkając na zegarek.

Zbierając rzeczy, wyjaśniłam pokrótce, co mnie sprowadziło do biblioteki.

– No cóż, wie pani – powiedziała, popędzając mnie gestem dłoni w stronę schodów. – W dawnych czasach wiele wsi wydawało własne biuletyny. Jak pani mówiła, że gdzie pani mieszka?

Podaliśmy nazwę swojej wsi i zobaczyłam, że bibliotekarka marszczy czoło. Znowu zerknęła na zegarek, potem odwróciła się od schodów.

– Proszę chwilę poczekać – poleciła, przecinając pomieszczenie ku dużemu regałowi z kartotekami. Otworzyła szufladę i pogrzebała w niej. – Ach, tak – powiedziała, prostując się i wpychając okulary na nos. – „St Birinus Gazette”. Wydawana co miesiąc od 1895 do 1972 roku. Niestety nie trzymamy jej tutaj, mamy za mało miejsca, ale pani o nazwisku Ruby Mottram ma każdy kiedykolwiek wydany numer. Przez długi czas była redaktorką biuletynu. Jestem przekonana, że z chęcią pozwoli je pani przejrzeć.

Przeglądanie kolejnych zakurzonych starych gazet było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, ale kobieta wykazała się uprzejmością, wzięłam więc adres, który mi zapisała.

Kiedy znowu znalazłam się w samochodzie, żeby powrócić do domu, zerknęłam przelotnie na mały skrawek papieru, który dostałam od bibliotekarki. Adres należał do domu starców, położonego niecałe pięć kilometrów od miejsca, w którym się znajdowałam. Nawet to jednak by mnie nie skusiło. Tyle że przypomniało mi się coś, co mówiła Violet.

„Ludzie, którzy tam byli, nie mówili o tym. Nawet Ruby, a ona była moją najbliższą przyjaciółką”.

Dziewczyna o imieniu Ruby była w kościele tej nocy, w której spłonął. Ruby z mojej kartki mieszkała w domu starców, mogła być tą przyjaciółką, o której wspominała Violet. Archie, Saul i Harry Witcher wyprowadzili się ze wsi niedługo po pożarze. Tamtej nocy i wkrótce potem zginęło czterech młodych mężczyzn. Postanowiłam złożyć Ruby wizytę.

W domu starców Copper Beech śmierdziało moczem, syntetyczną lawendą i, z jakiegoś niepojętego powodu, trocinami. Dom, stawiany w celach dla niego przeznaczonych, zbudowano w latach siedemdziesiątych XX wieku i w momencie, gdy przekroczyłam jego próg, krótko przed wpół do piątej po południu, obiecałam sobie, że raczej poderżnę sobie gardło, niż dam się na starość umieścić w takim miejscu.

Kiedy zanurzaliśmy się coraz dalej w głąb korytarza, woń lawendy ustąpiła miejsca zapachowi jednego z tych ostrych przemysłowych wybielaczy. Mimo to w miejscach, gdzie płytki podłogowe stykały się z listwą przypodłogową, zalegał kurz, a wokół każdego kontaktu widniała cienka otoczka brudu.

Minęliśmy pokój wypoczynkowy. W różnych miejscach w wyglądających na niezbyt wygodne fotelach siedziało tam kilka kobiet i jeden mężczyzna. Nikt nie rozmawiał, nikt nie czytał, nikt nie oglądał telewizji ani nie słuchał radia. Jedna czy dwie kobiety miały zamknięte oczy, reszta po prostu wpatrywała się w jakiś punkt kilka metrów przed sobą. Byłam ciekawa, co, jeśli w ogóle, tam widziały. Generalne wrażenie było takie, że ci ludzie już nie żyli, że ich ciała się rozkładają, chociaż serca wciąż biły, a płuca nadal pompowały powietrze.

– Za dwadzieścia minut jest podwieczorek – poinformowała mnie kobieta w stroju pielęgniarki, która czekała na mnie w recepcji. – Wolimy, żeby do tego czasu goście już wyszli. Wtedy łatwiej nam jest przygotować rezydentów na wieczorny spoczynek.

Zatrzymała się przed drzwiami pomalowanymi na mdły zielonkawy kolor. U dołu widać było na nich ślady otarć butów, tłuste plamy przy klamce potwierdziły tylko opinię, jaką zdążyłam sobie wyrobić na temat standardów higienicznych panujących w Copper Beech. Pielęgniarka pchnęła drzwi.

– Masz gościa, Ruby! – zawołała, pokazując gestem, żebym weszła do środka. Zrobiło mi się żal Ruby, której nie zawiadomiono o mojej wizycie, choć przecież mogła spać, i której nikt nawet nie zapytał, czy ma ochotę mnie przyjąć.

Gdyby dano jej taki wybór – zrozumiałam to zaraz po wejściu – prawie na pewno odmówiłaby sobie tej przyjemności.

Bo na mój widok oczy Ruby zrobiły się wielkie jak u dzikiego zwierza

przyłapanego na przechodzeniu przez drogę na odludziu nocą. Potem strzeliły w stronę nieposłanego łóżka po lewej, w prawo, ku ścianie zastawionej regałami z książkami, w dół, gdzie leżał brązowy dywan w kwiecisty wzorek i potem w górę, z powrotem ku mojej twarzy. Zadrżała – była taka drobna i krucha, że wyglądało to niemal, jakby dostała konwulsji – i następnie jakby się zapadła w fotelu. Jej krótkie, suche palce zacisnęły się na drewnianych poręczach, kiedy patrzyła na mnie z miną, którą można było określić jedynie jako odraza.

Wszystko to już wcześniej widziałam, Ruby.

Siedziała naprzeciwko okna balkonowego. Widok na mały ogródek raczej nie zachwycał – zachwaszczony trawnik, kilka nędznych krzewów – ale za nim Ruby mogła widzieć morze. Na horyzoncie białe żagle łódek przesuwały się wolno ze wschodu na zachód.

Rozejrzałam się i dostrzegłam mały haftowany podnózek. Przyciągnęłam go do fotela Ruby, ale nie za blisko. Pozwalając, by włosy opadły mi na lewą stronę twarzy i przekręcając się lekko, tak żeby Ruby widziała tylko mój profil, przedstawiłam się, powiedziałam, że mieszkam w jej dawnej wsi, znam jej przyjaciółkę Violet i że interesuje mnie przejrzanie parafialnych biuletynów.

Nie odpowiedziała, wiedziałam jednak, że mnie zrozumiała, bo jej oczy wystrzeliły w stronę półki z książkami za mną. Już wcześniej zdążyłam zauważyć, że na jednej z nich w równym rzędzie stało kilka kartonowych pudełek, każdy z opisem i datą.

– Panno Mottram, próbuję dowiedzieć się czegoś więcej o pewnej rodzinie, która mieszkała we wsi, o Witcherach. Zgodziłaby się pani, żebym zajrzała do starych wydań pani biuletynów?

Wzrok Ruby, odkąd weszłam do pokoju, nie skupił się na jednym obiekcie dłużej niż na sekundę. W tym momencie zerkała na mały stolik kawowy po swojej prawej stronie. Nagle jej dłoń wystrzeliła do niego i chwyciła pilot do telewizora. Nacisnęła jakiś guzik i stojący w rogu pokoju odbiornik obudził się do życia.

– Ruby?

W odpowiedzi przycisnęła kolejny guzik i telewizor zaczął grać głośniej. Staruszka udawała, że mnie tam nie ma.

Starałam się przekonać, że mam tego nie brać do siebie – była stara, prawdopodobnie rzadko widywała ludzi i mogła cierpieć na jedną z wielu degeneracyjnych chorób wieku starczego – podeszłam więc do półek. Gdyby mnie zatrzymała albo kazała wyjść, zrobiłabym to, ale dopóki...

Przejrzałam się półce. Szósty karton w rzędzie zawierał numery od 1950 do 1960 roku. Odwróciłam się do Ruby.

– Ruby, nie będzie ci przeszkadzało, jeśli... – Pokazałam na karton. Zignorowała mnie. Zdjęłam karton i klękawszy na dywanie, zajrzałam do środka. Szybko znalazłam numer z lipca 1958 roku, przewertowałam go. Nie było tam nic o pożarze kościoła, mimo że biuletyn musiał być wydrukowany w tydzień lub niewiele dłużej po tym wydarzeniu.

Ani nie było tam nic o Witcherach. Przejrzałam numer z sierpnia i wrześniowy. W październikowym znalazłam informację o zaślubinach Violet Neasden z Jimem Bucklerem w pobliskim kościele pod wezwaniem św. Mikołaja, kościele, do którego uczęszczałam ja sama, nic jednak o pożarze u św. Birinusa, nic o braciach Witcher.

Do podwieczorku zostało dziesięć minut. Sięgnęłam do kartonu i wyciągnęłam z niego losowo jeden egzemplarz. Przejrzałam go. Nic. Spróbowałam znowu, potem jeszcze raz. Tak naprawdę najlepiej byłoby, żebym zabrała biuletyny ze sobą, przejrzała je spokojnie w domu, ale wątpiłam, że Ruby się na to zgodzi. Ilekroć spoglądałam na nią, wydawała się pochłonięta telewizją, ale byłam prawie pewna, że zerknęła w moim kierunku, kiedy spuszczałam wzrok.

Miałam się już poddać, gdy nagle coś znalazłam. We wrześniu 1957 roku drużyna, której kapitanem był Saul Witcher, wygrała coroczne zawody w przeciąganiu liny przez rzekę Liffin. Trofeum prezentowała jego świeżo poślubiona małżonka, Alice. Saul miał żonę: Alice.

Zostało pięć minut. Schowałam biuletyny i odstawiłam karton. W tym momencie byłam już niezłe zła na Ruby. Stara czy nie, schorowana czy nie, jej zachowanie było naprawdę skandaliczne. Uważacie, że ciężko jest patrzeć na

moją twarz? To spróbujcie oglądać ją w lustrze. Przeszłam przez pokój, przyklękłam przy telewizorze i wyciągnęłam wtyczkę z gniazdka. To zwróciło uwagę Ruby.

– Witam – powiedziałam.

Znów szybko odwróciła wzrok, a ja poczułam krótkie ukłucie wyrzutów sumienia, że być może tyranizuję starą i bezbronną kobietę.

– Ruby, pamięta pani Saula Witchera? – spytałam, usiłując mówić cicho. – Ożenionego z Alice? Pamięta pani, dlaczego wyprowadził się ze wsi? Dokąd się wyprowadził?

Ruby oczy miała wlepione w swój podołek. Nadal ścisnęła pilot, ciągle obracała go w dłoniach.

– A Ulfreda? Brata Saula?

Żadnej odpowiedzi. To było beznadziejne. Wstałam i ruszyłam do drzwi.

– Ulfred utonął – powiedział słaby głos za mną, tak cichy, że ledwie go usłyszałam. – Utopili go.

Odwróciłam się, odczekałam chwilę, żeby mieć pewność, że naprawdę powiedziała to, co powiedziała.

– Co pani powiedziała? Kto go utopił? Ruby?

Przemierzyłam pokój z powrotem i uklękłam przed fotelem. Ruby nie chciała na mnie spojrzeć. Nie wiedziałam, co mam robić, a ona, na moich oczach, zaczęła się nagle kołysać w fotelu w przód i w tył. Obie podskoczyłyśmy, gdy niespodziewanie w budynku zabrzmiał dźwięk dzwonka.

– Dzwonek na podwieczorek – wymamrotała Ruby do siebie i zaczęła się dźwigać z fotela. Chciałam jej pomóc, lecz zignorowała moją wyciągniętą dłoń i wstała sama. Potem odwróciła się do mnie plecami i wolno poszła do drzwi.

– Przekażę Violet, że ją pozdrawiasz – mruknęłam. Potem o czymś pomyślałam.

– Ruby! – zawołałam za staruszką, dość głośno, bo nie wiedziałam, jak dobry ma słuch. Nie dała znać, że usłyszała, ale wydało mi się, że na chwilę przystanęła. – Ruby, wiesz o tym, że węże wróciły?

Brak odpowiedzi. Przez sekundę sądziłam, że po prostu wyjdzie. Potem

usłyszałam jakiś odgłos, jak lejąca się z góry woda, i w pokoju rozszedł się kwaśny, gryzący zapach. Zerknęłam w dół i na dywanie, między stopami Ruby, zobaczyłam ciemną moką plamę.

## 29

**K**ilka godzin później znowu byłam na cmentarzu.

Jeśli Ulfred tu leżał, nie znalazłam go. Zaczęłam od najstarszego rogu i przesuwałam się do grupy za krzakami bzu. Chodziłam prostymi liniami, przecinałam cmentarz w tę i z powrotem, odczytując nazwiska na każdym mijanym nagrobku. Znalazłam parę o nazwisku Witcher – mężczyznę i kobietę – ale zmarli zbyt dawno temu, żeby mogli mieć bezpośredni związek z Walterem i jego braćmi.

Wiatr przybierał na sile przez większość dnia i otaczające cmentarz drzewa gwałtownie się kołysały. Ich ciemne gałęzie, obciążone wiosennymi liśćmi, zasłaniały światło księżyca, po ziemi snuły się dziwne cienie jak maleńkie przemykające między nagrobkami stwory. Musiałam się pilnować, żeby co chwila się nie wzdragać, powtarzałam sobie, że to, co poczułam na kostce, to tylko muśnięcie wysokiej trawy.

Po półgodzinnym poszukiwaniu musiałam włączyć małą latarkę, żeby widzieć nazwiska wyrzeźbione na nagrobkach. Po godzinie byłam już prawie pewna, że Ulfred nie spoczywał na tym konkretnym skrawku poświęconej ziemi.

Nie podobało mi się to, lecz wiedziałam, że muszę zajrzeć do kościoła. Być może była tam jakaś tablica pamiątkowa. Jeśli ciała Ulfreda nigdy nie znaleziono, kamienna tabliczka mogłaby być jedynym dowodem jego istnienia.

Wróciłam z powrotem, omijając groby, i stanęłam przed wejściem do kościoła. Skrzydło drzwi, które zostało, waliło z furją we framugę. Weszłam do środka.

Czy budynek, do którego właśnie weszłam, naprawdę był domem bożym? Stałam na początku nawy, ciemne mury za mną wznosiły się wysoko, chmury przesuwwały się po niebie tam, gdzie część sufitu się zapadła, a ja wątpiłam, by miejsce to kiedykolwiek emanowało spokojem. Teraz, tyle lat od ostatnich odprawianych tu nabożeństw, wydawało się siedliskiem starych złych wspomnień i mrocznych tajemnic.

O wiele większym, niż się spodziewałam, oceniając jego zewnętrzną skorupę. Wysokie kamienne portyki podtrzymywały poczerniałe, przeżarte ogniem belki sufitowe. Przede mną w nawie, niczym niedobitki po dawno zapomnianej armii, stał rząd czarnych jak smoła, pustych i rozpadających się ławek.

Wewnątrz murów kościelnych nie było nic, co chroniłoby mnie przed cuchnącym odorem kolonii nietoperzy; ta kombinacja smrodu rozkładającego się ciała i odchodów wywoływała mdłości. Wiatr wył, nietoperze syczały, suche liście posykiwały i grzechotały.

Nie chciałam rozmyślać o tym, co powiedziała Violet, ale w miejscu, gdzie większość tego wszystkiego się wydarzyła, było to niemożliwe. Kiedy patrzyłam w stronę barierek prezbiterium oddzielających ołtarz od reszty kościoła, miałam wrażenie, że Ulfred wciąż tam jest: skrępowany, osłabiony z głodu, oszołomiony i przerażony. Prawie widziałam, jak wokół niego zbierają się parafianie, modlący się o oczyszczenie jego duszy, pastor mamrocze stare jak świat formułki egzorcyzmów.

Biedny Ulfred.

Tabliczki pamiątkowe zwykle umieszczane są na ścianach. Przeszłam na bok, świecąc uważnie latarką. Niegdyś kościół mógł się poszczycić witrażami. Gorące płomienie pożaru stopiły szkło i strumienie koloru – nadal wyraźne tak wiele lat później – spływały po rzeźbionych parapetach okien i objętych lizajem wilgoci ścianach. W świetle księżyca kolorem, który wyróżniał się najbardziej, była czerwień. Pozostałości po niegdyś ciekłej szkarłatnej strudze widoczne były na kamieniach muru i na kamiennej posadzce, i tamtej nocy kościół wydał mi się zlany krwią.

Opuściłam nawę i weszłam na stopnie prezbiterium. Tutaj było łatwiej się



zorientować, jak budynek wyglądał kiedyś. Po obu stronach ciągnęły się trzy rzędy stali, nienaruszonych pożarem. Niegdyś płynęła z nich muzyka, ale teraz tkwiły tam cicho i bez celu, ich zawile rzeźbienia wyblakły od starości. Pulpit leżał przewrócony przed organami. One same nadal były imponujące, nadal piękne.

Moja matka regularnie grywała na kościelnych organach do momentu, aż nie można było dłużej polegać na jej „zdrowiu”. Szczególnie lubiła grać na ślubach. Pamiętałam, że siedziałam u jej boku, z dala od spojrzeń wiernych, przewracałam dla niej strony nut i rzucałam ukradkowe spojrzenia na wspaniałe stroje (wspaniałe przynajmniej dla moich dziecięcych oczu) weselników.

Ze swojego uprzywilejowanego miejsca pod piszczałkami widziałam to, czego nie mógł widzieć nikt inny w zgromadzeniu: intymne momenty przysięgi małżeńskiej. Ledwie nad sobą panując, czekałam na pierwszy błysk łez w oczach panny młodej, na drżenie w głosie pana młodego, na ich ulgę, gdy obrączki bezpiecznie trafiały na palce i tę trudną część mieli już za sobą. Wkrótce znałam te słowa na pamięć, nawet bezgłośnie je wypowiadałam razem z panną młodą, i sądzę, że gdyby kiedykolwiek zapomniała, co miała powtórzyć, zbór mógłby zostać zaskoczony podpowiadającym je cienkim głosem.

Ale była jedna część zaślubin, której nigdy nie byłam w stanie się przyglądać, jeden moment, w którym niezmiennie odwracałam wzrok, sprawdzałam miejsce w nutach, a nawet, dla pociechy, szukałam uścisku dłoni matki: chwila, gdy pannie młodej podnoszono welon i odsłaniano twarz.

W najmniejszym stopniu nie posiadałam talentu matki, ale potrafiłam zagrać kilka bardzo prostych kawałków na kościelnych organach i stojąc tam owej nocy, zagubiona we wspomnieniach, poczułam nedorzeczny impuls, by podnieść stołek, ustawić go na miejscu, usiąść i dotknąć klawiszy. Jaki dźwięk wydałby instrument? Czy słyhać by go było we wsi, czy ludzie przybiegliby, żeby sprawdzić, kto gra?

Głupi pomysł, ale coś pchało mnie przed siebie, podniosło lewą stopę, żeby nadepnęła na pedał, chwyciło środkowy palec prawej ręki i ułożyło

zdecydowanie na jednym z klawiszy.

Organy zareagowały natychmiast, zawyły jak z bólu. Kiedy chropowaty dźwięk rozszedł się po ruinach, stado nietoperzy wzleciało w powietrze, zagłuszając cichnące grzmienie swoim piskliwym skrzeczeniem. Były bezradne w szybko przepływających prądach powietrza. Rzuciło nimi po całym wnętrzu ruin, były jak śmieci pochwycone przez trąbę powietrzną. Na zewnątrz wrony znowu zaczęły krakać. Przekonałam się, że drzę. To nie był dobry pomysł. Te dni już minęły.

Przeszłam obok frontowych okien kościoła: trzy wielkie łuki, wychodzące na wschodnią stronę, największe wznosiło się nade mną na wysokość jakichś sześciu metrów. Na kaflach posadzki jak nieobrobione diamenty leżały potłuczone kawałeczki kolorowego szkła.

Na ołtarzu stały lichtarze, matowe i ciemne. Na południowej ścianie wisiał duży arras. Przez chwilę próbowałam dojrzeć scenę, którą przedstawiał, ale był zbyt wypłowiały, odbarwiony przez pleśń i wilgoć. Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić wzdłuż południowego muru, wypatrując słów wyrytych w kamieniu, czując, jak przygnębienie wsącza się we mnie, zupełnie jak chłód panujący wewnątrz kościoła.

Bo też co udało mi się osiągnąć po tylu godzinach poszukiwań?

Walter nadal był zaginiony. Wiedziałam nieco więcej o Saulu Witcherze, ale nie poczyniłam żadnych prawdziwych postępów w wyśledzeniu go. Ani nie znalazłam żadnych realnych śladów Ulfreda, miałam jedynie deklaracje jego dwóch rówieśniczek – Violet i Ruby – że utonął. Ruby, oczywiście, posunęła się o krok dalej. „Utopili go”, powiedziała. Jeśli miała rację... cóż, to była prawdziwa puszka Pandory, czekała tylko na otwarcie.

Stałam na progu kościoła, miałam właśnie wyjść do przedsionka, gdy dostrzegłam jakiś ruch. Kątem oka i przez ułamek sekundy widziałam wysoką ciemną postać za ołtarzem. Odwróciłam się, z sercem łomoczącym w piersi, i poczułam, że się pośliznęłam. Kiedy próbowałam odzyskać równowagę, upuściłam latarkę.

Upadła ciężko z łoskotem na kamienną posadzkę i gromada wron, niczym pociski ze strzelby, rozpierzchła się po niebie. Zobaczyłam gruz spadający z

góry, usłyszałam jego grzechotanie na kamieniach i chlupot wody.

Przed frontem kościoła cienie były nieruchome. Podniosłam latarkę i znowu się odwróciłam, żeby odejść. Nerwy miałam kompletnie zszarpane, marzyłam tylko o tym, żeby się stąd wynieść. Przeszłam przez drzwi do przedsionka.

Chlupot wody?

I tak oto odwróciłam się kolejny raz i zmusiłam do powtórnego przejścia nawą, czujnie wpatrzona w mrok. Zbliżałam się do balustrady przy ołtarzu. Zobaczyłam tam coś, co wyglądało jak duże drewniane drzwi piwniczne zamontowane w podłodze, bezpośrednio przed schodkami prezbiterium. Nie zauważyłam ich wcześniej, wspomnienia matki i jej kościelnego muzykowania zbyt mnie zaabsorbowały. Kiedyś drzwi były jednymi z dwojga. Drugich brakowało, a kamienne kafle ustępowały miejsca miękkiej, mieniącej się czerni. Podeszłam bliżej, wkraczając w opary smrodu stojącej wody, które unosiły się wokół niej niczym drobna mgiełka. Obrzeża basenu porastał mech, jakby wykładał się z wody niczym wolno pełzający stwór. Podniosłam jakiś kamień i wrzuciłam go do otworu.

Plum!

Wszystkie stworzenia w kościele wstrzymały oddech. Wyglądało na to, że basen jest głęboki. Był prostokątny, długi na trzy metry i szeroki na prawie dwa. Zmarszczki na wodzie po wrzuconym kamieniu wkrótce zniknęły, ale sama woda nadal się poruszała. To mogła być bryza, muskająca lekko jej lśniąca oleistą powierzchnię, albo maleńkie stworzenia oddychające w jej głębinach. Nie miałam zamiaru tego sprawdzać. Było coś w tym jeziorku, w tym, jak odbijały się w nim kamienne łuki kościoła, co wywoływało hipnotyzujący efekt. Nie mogłam się obronić przed przecuciem, że jeśli postoję tam dłużej, zapatrzona w wodę, w końcu po prostu do niej wpadnę.

Z trudem oderwałam od niej oczy. Gdy je podniosłam, zobaczyłam, że gobelin na południowej ścianie kościoła porusza się, lekko kołysze, jakby pod wpływem delikatnego powiewu wiatru. Czy widziałam kogoś zaledwie sekundy wcześniej? Przez ułamek chwili byłam pewna, że ciemny zarys wysokiego mężczyzny stał przed wielkimi łukowatymi oknami. Ale na froncie kościoła nic się nie działo. A gobelin znieruchomiał. Najwyższy czas się stąd

zabierać.

Obeszłam basen i wspięłam się na trzy schodki prezbiterium. Nic tam nie było do zobaczenia. Nic nie słyszałam, tylko wiatr na zewnątrz i maleńkie stworzonka nadal wykonujące piruety nade mną. Dałam kolejny krok przed siebie, rozglądając się w prawo i lewo, w razie gdyby coś miało wyskoczyć na mnie zza stali chóru. Szybkie spojrzenie za ołtarz – nic – i potem sięgnęłam do gobelinu.

Ukrywał drzwi. Mocne, zbite z desek i żelaza, osadzone głęboko w rzeźbionym kamiennym obrysie, musiały być drzwiami do zakrystii, możliwe, że też do dzwonnicy. Dziwne, nie pomyślałam wcześniej o tym, żeby ich poszukać.

Zakrystia to pomieszczenie w kościele, w którym przechowuje się ornaty, szaty liturgiczne oraz inne akcesoria religijne. Często odbywają się tam zebrania komitetów parafialnych, a wielu pastorów wykorzystuje je jako swoje biura. Sięgnęłam do kolistej żelaznej kłamki, mając świadomość, że za chwilę zrobię coś prawdopodobnie bardzo głupiego. Ścisnęłam gałkę mocno i przekręciłam. Poruszyła się w mojej dłoni.

Czy rzeczywiście widziałam kogoś za ołtarzem? A jeśli tak, to gdzie ten ktoś teraz jest?

Gałka przekręciła się w jednej czwartej w prawo i ani trochę dalej. Jeśli drzwi nie były zamknięte na klucz, wystarczyłoby, żebym je pchnęła i otworzyłyby się na pomieszczenie za nimi.

Czy widziałam swojego starego włamywacza z poprzedniej nocy? Choć ta myśl sprawiła, że serce zabiło mi szybciej, raczej nie sądziłam, że tak było. Postać, którą widziałam przez mgnienie oka, wydała mi się wyższa. Uniosłam głowę i zaciągnęłam się powietrzem. Na tym etapie zaczynałam się już przyzwyczajać do smrodu kolonii nietoperzy. Czy czuć było tam coś jeszcze? Odór włóczęgi, który zakradł się do mojego domu, jak podstępne wody powodzi? Nie. To nie to. Ale coś jednak czułam. Bardzo niewyraźny zapach. Coś jak... dym z fajki?

Pchnęłam drzwi i napotkałam stanowczy opór. Spróbowałam jeszcze raz. To samo. Drzwi były zamknięte. Nie widziałam nigdzie dziurki od klucza, co

oznaczało, że musiały być zaryglowane od wewnątrz. Teraz bardziej już sfrustrowana niż zdenerwowana, przekonałam się, że chcę się dowiedzieć, co się za nimi znajduje. A zakrystie mają często drzwi zewnętrzne, ułatwiają one wejście proboszczowi, oszczędzając mu trudu otwierania wielkich i ciężkich drzwi na froncie kościoła.

Przeszłam szybko główną nawą i opuściłam kościół. Na zewnątrz wyłączyłam latarkę i ruszyłam wzdłuż południowej strony budynku. Trzymałam się blisko muru. Jeśli ktoś tam jest, będzie wiedział o mojej obecności, szłam więc wolno.

Obrys kościelnych murów rzadko przebiega w linii prostej. Co działało na moją korzyść, bo było tam kilka wnęk i zakamarków, w których mogłam przystanąć i posłuchać, zanim się upewniłam, że bezpiecznie jest iść dalej. Prawdopodobnie dotarcie od głównego wejścia do drzwi zakrystii, usytuowanych mniej więcej pośrodku południowej ściany, zajęło mi tylko pięć minut, ale miałam wrażenie, jakby trwało to o wiele dłużej.

Przy drzwiach była zapadka.

Nie miałam zamiaru wchodzić do środka. Chciałam tylko sprawdzić, otworzyć drzwi, jeśliby się dało, a potem stojąc w bezpiecznej odległości – zobaczyć, czy coś wyjdzie ze środka. Chwyciłam kłamekę i nacisnęłam kciukiem na rygiel. Nie poruszył się. Kolejne zamknięte drzwi. Nachyliłam się i poświeciłam latarką w dużą dziurkę od klucza. Nie była zaśmiecona, mimo że można się było tego spodziewać, skoro zamek nie był używany od pięćdziesięciu lat. Odsunęłam się i obejrzałam drzwi, zastanawiając się, czy naprawdę zbiorę się na odwagę i zrobię to, co właśnie przyszło mi do głowy.

W dawnych czasach kościoły w Anglii rzadko były zamykane, obowiązująca zasada azylu była ściśle przestrzegana. Budynki powinny być otwarte o każdej porze dla potrzebujących modlitwy i odosobnienia, jednak na przestrzeni lat wandalizm i kradzieże uniemożliwiły kontynuację tej idei wszędzie poza rejonami wiejskimi. Ale nawet małe kościółki na wsiach miały problemy i czasami uciekano się do dziwnych kompromisów. Kościoły zamykano, klucze jednak zostawiano w miejscach, w których ci, którzy o tym wiedzieli – zwykli parafianie – mogli je znaleźć. Co przed pięćdziesięciu laty parafianie ze św.

Birinusa robili z kluczem do swojego kościoła?

Drzwi zakrystii były zakończone łukiem, a nad nim widniało dekoracyjne kamienne nadproże, jakieś dwa metry ponad ziemią. Na szczycie wygiętego nadproża straszła demoniczna twarz rzeźbionego gargulca, kamienne oczy były wybałuszone. Nadproże znajdowało się zbyt wysoko, żebym mogła do niego dosięgnąć, ale wzdłuż ścian kościoła na wysokości trzydziestu centymetrów ciągnął się wąski występ; bluszcz, nieprzycinany latami, piął się w górę po starych kamieniach. Wspięłam się na występ, jedną ręką, żeby nie spaść, złapałam się bluszczu, drugą obmacałam nadproże. Mnóstwo zeschniętych liści, kilka luźnych kamieni, nic więcej. Pozostał więc jedynie gargulec.

Właściwie wcale nim nie był, jak się zorientowałam, gdy znalazłam się z nim praktycznie twarzą w twarz. Gargulce (choć obrzydliwe) stanowią funkcjonalną część architektury, są w gruncie rzeczy rynnami. Woda deszczowa spada na dach kościoła, zbiera się w biegnących wzdłuż jego obwodu rurach odpływowych i wypływa przez duży otwór w ustach gargulca. Ten, na którego patrzyłam, miał je szeroko otwarte, z wywieszonym językiem, ale nie był połączony z rynną. Precyzyjnie rzecz ujmując, była to chimera, kamienna dekoracja.

Jej usta były zapchane osadem z naturalnych resztek z pięćdziesięciu lat. Wyciągnęłam garść gnijących liści, kilka garści błota, pozostałości po gnieździe jakiegoś ptaka i nadal było tam co wybierać. Po dwóch minutach grzebania moja dłoń zniknęła cała w ustach potwora. Coś prześliznęło mi się po palcach i nie mogłam powstrzymać wzdrygnięcia. Nic tam nie było. Już miałam się poddać, kiedy małym palcem wyczułam zimny metal. Chwyciłam go i wyciągnęłam rękę.

Zeskoczyłam na ziemię, poświeciłam latarką. Duży, mosiężny klucz – zaśnieźdzały od starości, ubłocony, ale, jak się mogłam przekonać, gdy wytarłam go do czysta o dzinsy, bez jednej plamki rdzy. Wiedząc, że będzie pasował, pewna, że otworzy drzwi, wsunęłam go w dziurkę i zatrzymałam się.

Zginął człowiek, małemu dziecku groziła śmierć, ludzie odchodzili od zmysłów ze strachu z powodu węży. Winny temu był jakiś mężczyzna, który

śmierdział najgorzej, jak tylko może śmierdzieć człowiek, i wałęsał się po wsi jak cień. Nie znaleźliśmy żadnych uchwytnych śladów jego obecności w domu Witcherów, ale musiał się gdzieś ukrywać. Czyżbym znalazła to miejsce? I jeśli tak, co powinnam zrobić? Naprawdę spodziewałam się, że policja obejrzy starą kościelną dzwonnice tylko dlatego, że widziałam jakiś cień? Mało prawdopodobne. Czy byłam w stanie zdobyć się na zadzwonienie do Matta? Na to pytanie znałam odpowiedź. Czy jest ktoś inny, komu mogłabym zaufać? Na to pytanie też znałam odpowiedź. Przekręciłam klucz i otworzyłam drzwi prowadzące do starej kościelnej dzwonnicy.

## 30

**W**ewnątrz było ciemno, ale snop światła z latarki wyławiał, jeden po drugim, wszystkie elementy wyposażenia zakrystii: biurko proboszcza, rejestr aktów ślubu, szafki, regały z książkami, szafę na szaty liturgiczne, nawet mały zlewozmywak z zardzewiałym czajnikiem stojącym na suszarce. Nie było tam nic, czego nie spodziewałabym się zobaczyć. Wsunęłam klucz do kieszeni i zamknęłam drzwi za sobą. Po mojej lewej było kolejne łukowe przejście, które prowadziło na spiralne schody. Jeśli ten kościół był normański, tak jak przypuszczałam, to zbudowano go mniej więcej w XI lub XII wieku. Oryginalna dzwonnica na pewno była mniejsza, o jedno piętro wyższa od samego kościoła. Później, w wieku XVI, kiedy używanie dzwonów stało się popularne, wieże podwyższano, żeby umieścić w nich dzwonnice. Nad pokojem, w którym stałam, znajdowały się dwa kolejne pomieszczenia.

Schody były wąskie, miały nie więcej niż pół metra szerokości, i bardzo strome. Miejscami wieki chodzenia po nich wytarły miękki kamień, miałam nadzieję, że nie będę zmuszona zbiegać z nich w pośpiechu. Wspinałam się powoli po pozostałościach gniazd kawek, ocierając się o pajęczyny. Nasłuchiwałam uważnie cały czas, aż dotarłam na pierwsze piętro wieży: do izby z dzwonami.

Pomieszczenie było puste, nie licząc ośmiu lin od dzwonów, zwisających z sufitu i zebranych w środku jak gigantyczna sieć pająka. Ręczne dzwonki stały na półkach, na drewnianych pulpitych leżały wyblakłe nuty. W nieostruganych deskach sufitu zobaczyłam małe otwory, przez które przechodziły liny.

Ruszyłam dalej, na kolejne piętro.

Osiem dużych dzwonów z brązu wisiało nieruchomo w ostatnim i najwyżej



położonym pomieszczeniu dzwonnicy. Każdy był pokryty cienką warstwą kredowego kurzu, rozwiewanego po całej okolicy przez wiatr. Ale ja ledwie na nie spojrzałam. W chwili, gdy pokonałam ostatni zakręt schodów i stanęłam w łukowym przejściu prowadzącym do izby z dzwonami, mój wzrok przykuło coś na niedużym skrawku podłogi, niezajętym przez dzwony.

Nie chcąc podchodzić ani kroku bliżej, przeciągnęłam wiązką światła z latarki po obrysie ciężkiego drewnianego krzesła. Krzesło było wykonane prymitywnie, zbite niedbale grubymi metalowymi gwoźdźmi, ale wyglądało na mocne. Poręcze miało szerokie i grube, nogi solidne. U poręczy i nóg były zamontowane cztery skórzane pasy ze stalowymi sprzączkami.

„Ludzie mówili, że go przywiązywali i głodzili. Przez wiele dni, nawet tygodni”.

Aż do tego momentu odrzucałam jako nedorzeczną myśl, że nieożywione przedmioty mogą mieć w sobie zło, ale gdy patrzyłam na to krzesło, przez głowę przemykały mi straszliwe sceny: skępowany więzień, wykrzykujący swą furię pod niebiosa, młody mężczyzna, zagłodzony i bliski śmierci, prawie wisi na krześle, zrozpaczony, z ran na nadgarstkach i kostkach sączy się krew; i wyschnięty stary szkielet, ciało dawno temu już zgniło, nadal przywiązany do krzesła mocnymi rzemieniami. Myślę, że przez kilka krótkich chwil bałam się jak nigdy dotąd.

„Czasem zabierali go do kościoła i modlili się razem z nim, godzinami próbowali wygnać z niego demony. Po kilku dniach, kiedy się spotykało Ulfreda, był taki sam, tylko miał siniaki, krwawił i kuśtykał”.

– To było dawno temu, Claro – powiedziałam do siebie.

Trudno było patrzeć na to krzesło. Jeszcze trudniej odwrócić się od niego. Zostałam więc tam, gdzie byłam, i wolno powiodłam światłem latarki po pomieszczeniu, nagich deskach pod moimi stopami, po ścianach, w górę, ku oblepionemu pajęczynami sufitowi. Myślę, że w tym momencie musiałam jęknąć i ten cichy dźwięk odbił się echem od starych dzwonów. W każdym rogu izby, w miejscach, gdzie ściany stykały się ze spadzistym dachem, wisały kolejne cztery chimery. Ze ściany naprzeciwko mnie wpatrywał się we mnie obrzydliwy stwór, wysoki na prawie metr, z torsem małpy i pazurami i

ogonem kota. Po lewej był lew z rozpostartymi skrzydłami, gotowy do wzniesienia się w powietrze, po prawej bestia z rogami, siedząca w kucki, z brodą opartą smętnie na nie do końca ludzkiej dłoni. Za mną, zbyt blisko, czaiło się coś innego. Nie mogłam się temu dobrze przyjrzeć, ale, instynktownie, dałam krok do przodu, żeby być od tego dalej. Wszystkie cztery posągi wydawały się przyczajone, wygłodniałe.

Czy naprawdę zostawiano tu Ulfreda? Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest patrzeć, jak zapada mrok, widzieć, jak cienie się wydłużają, i wiedzieć, że te obrzydliwe kamienne figury będą twoim jedynym towarzystwem przez długą noc. I zastanawiałam się, ile czasu minęło, zanim Ulfredowi zaczęło się wydawać, że rzeźby się poruszają, że do niego mówią. Ile czasu, zanim już i tak zaburzony, zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością?

Światło latarki znowu coś wyłowiło, dałam więc kolejny krok przed siebie. Oparty o listwę przypodłogową, prawie w kącie pomieszczenia, leżał prosty drewniany kształt, dwa kawałki drewna zbite pod odpowiednim kątem. Jeden z najprostszych, najbardziej rozpoznawalnych symboli na świecie: krucyfiks.

Krzyż Jezusa, taki, jaki wisiał nad moją kołyską, kiedy byłam dzieckiem. Dla mnie reprezentował wszystko co dobre i bezpieczne w życiu. W tym pomieszczeniu, z tym straszliwym krzesłem... to było odrażające.

Nie mogłam tam zostać. Kiedy wychodziłam, zauważyłam, że na krześle prawie nie ma białego kurzu pokrywającego wszystko inne w pomieszczeniu. Jakby ktoś niezbyt dawno na nim siedział. I gdy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że kurz na podłodze był naruszony nie przeze mnie, ślady należały do kogoś innego.

Wróciłam na schody i zaczęłam schodzić, jednak pod wpływem impulsu odwróciłam się nagle, wspięłam na ostatnie pięć stopni i pchnęłam niezamknięte drzwi, prowadzące na parapet na szczycie wieży. Wiatr z całą mocą uderzył mnie w twarz, nacierał na drzwi, próbując wepchnąć mnie z powrotem do wieży, ale nie poddałam się i raptem znalazłam się osiemnaście metrów nad wsią.

Po niebie toczyły się czarne chmury i nisko pode mną ich cienie ścigały je, chcąc dotrzymać im kroku. Daleko w oddali widać było pomarańczową smugę

ulicznych świateł i reflektory samochodu jadącego krętą drogą między nimi. W samej wsi było ciemno, nie licząc tu czy ówdzie lampy na ganku i miękkiego blasku w zasłoniętych oknach. Wszędzie było cicho, wszędzie nieruchomo – oprócz wąskiej smugi światła przesuwającej się wolno przez pole w pobliżu pastwiska.

Zamknęłam dzwonnice, klucz odłożyłam tam, gdzie go znalazłam. Kiedy opuściłam teren kościoła i wyszłam na ulicę, zatrzymałam się gwałtownie. Trzy postaci – rozpoznałam je od razu, członkowie gangu Keechów – stały na końcu ulicy i blokowały mi drogę do domu. Nie widzieli mnie, ale to była kwestia sekund. Cofnęłam się i pokonawszy cmentarz i otaczający go kamienny mur, uciekłam na pole. Byłam blisko dworku Clive’a Ventry’ego, prawie na pewno na jego ziemi, ale myślałam, że przedrę się tyłami jego ogrodu, przetnę pole i dojdę do pastwiska z drugiej strony. Do tego czasu banda być może gdzieś się przeniesie. Albo uda mi się niepostrzeżenie prześliznąć obok niej.

Zeszłam szybko po zboczach i wkrótce znalazłam się na polu poniżej dworku. Trzymając się blisko żywopłotu, ruszyłam przez pole. Kiedy dotrę na drugą stronę, będę się mogła przecisnąć przez żywopłot na Carters Lane i stamtąd pobiec do domu.

Pokonałam jakieś pięćdziesiąt metrów, kiedy znów usłyszałam głosy. Czyżby mnie wypatrzyli? Przyszli za mną aż tutaj? Zatrzymałam się i przykucnęłam. Żywopłot, który biegł wzdłuż pola pod kątem prostym do tego, za którym się ukrywałam, zaszeleścił i poruszył się. Jakiś ptak, wypłoszony z gniazda, odleciał bez protestu. Przez krzaki ktoś się przedzierał: wysoka postać, a potem następna, niższa i tęższa.

Znajdowali się zbyt daleko, żebym mogła mieć pewność, kim są. Bardzo możliwe, że byli to bracia Keechowie, zwłaszcza że właśnie widziałam trzech innych członków gangu.

Ci dwaj ruszyli polem, trzymali się linii żywopłotu. Zaczekałam, aż odejdą na sporą odległość i dopiero wtedy poszłam za nimi, wiedząc, że szanse, że mnie zobaczą, są niewielkie. Byłam ubrana na czarno, jak zawsze, gdy

wybieram się na wyprawy w teren późną porą, a śledzenie stworzeń w nocnym krajobrazie było czymś, co robiłam wiele razy wcześniej.

Keechowie, jeśli to byli oni, znajdowali się jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną, gdy zobaczyłam, że jeden odwraca się i coś mówi. Nie mogłam usłyszeć słów, ale w ruchu ciał, w gestykulacji rąk wyższego mężczyzny było coś, co kazało mi uznać, że się kłóca. Potem ten wyższy nachylił się i chwycił drugiego za ramię. Wydawało się, jakby ten niższy skurczył się w sobie. Już nie miałam pewności, że to bracia Keechowie. Żaden z nich nie poruszał się jak młody człowiek.

Potem obaj przykucnęli nisko i ja zrobiłam to samo. Patrzyli w górę, w stronę dworku, jakieś czterysta metrów od nas. Wiatr nadal był mocny, wiał niezmiennie w południowo-zachodnim kierunku, dokoła mnie drzewa drżały i szeptały jedno do drugiego. Wysokie trawy na polu przeginały się w moją stronę, szumiąc jak szybko płynąca rzeka. Jak najlepiej opisać to, co wydarzyło się następnie? Było tak, jakbym się znalazła w środku dzikiej rwącej rzeki. Woda pędziła ku mnie, skręcając i kłębiąc się od czasu do czasu, ale przez większą część płynęła nieustępliwie do przodu w tym samym kierunku. Tak to odbierałam tamtej nocy, stojąc na polu targanych wiatrem traw. Potem dostrzegłam prąd na rzece, w dość dużej odległości, ale zbliżający się. Miał nie więcej niż kilka metrów szerokości, mimo to był nadzwyczaj silny, bo woda, którą obejmował swoim zasięgiem, płynęła pod kątem prostym do linii strumienia.

Patrzyłam, jak ten przepływ – wody... trawy... co to było, na Boga? – zbliża się do mnie, i wiedziałam, że pięćdziesiąt metrów dalej ci dwaj mężczyźni też na niego patrzą.

To musiała być woda, strumień, który skądś zboczył. Tylko że to nie była woda, byłam tego pewna. Uświadomiłam sobie, że się trzęsę. Sądziłam, że widziałam już wszystko, co ma do zaoferowania nocny krajobraz, ale to było coś zupełnie nowego. I, jak w przypadku każdego innego stworzenia na tej planecie, nieznanie wzbudziło we mnie strach.

Co to było? Z jednej strony chciałam uciekać, z drugiej – byłam zafascynowana. Zaryzykowałam i przeczołgałam się kilka metrów. Wyglądało

na to, że prąd, jeśli tylko nie zmieni kierunku, ominie mnie, przepłynie obok, ale w tamtych dwóch mężczyzn uderzy bezpośrednio. Obaj wpatrywali się w niego czujnie, przykucnięci, gotowi do jakiejś akcji, nie wydawali się jednak przestraszeni. Prąd był dziesięć metrów ode mnie... osiem... przesuwał się z prędkością, z jaką mógłby poruszać się dorosły człowiek... pięć metrów.

Węże... dziesiątki... może setki. Wiły się w trawie jak wstęgi. Ich mokre, śliskie ciała połyskiwały, błyszcząły w blasku księżyca. Pełzły po ziemi wiedzione wspólnym celem, instynktem, niezrozumiałym dla człowieka.

To był rój zaskrońców. Młode węże, cienkie jak ołówki, przesuwały się po dorosłych osobnikach długich na ponad półtora metra. Widziałam węże ciemne, jasne, mogłam nawet odróżnić wzory na ich plecach. Zmierały ku wodzie, najpewniej rzece. Słyszałam, że takie rzeczy się dzieją, poznałam nawet starca, który twierdził, że widział taki rój, ale nie sądzę, żebym naprawdę w to wierzyła, aż do teraz.

To był piękny widok, wyjątkowy, naprawdę cudowny. Czułam się tak niesamowicie uprzywilejowana, zarazem jednak doświadczyłam uderzenia smutku, które pochwyliło mnie zniemacka. Dlaczego nie było ze mną kogoś, kto też mógłby to oglądać?

Ale przecież był. Dzieliłam wydarzenie z dwoma mężczyznami, którzy mogli być, lub nie, braćmi Keechami. Kimkolwiek byli, jakoś wątpiłam, że znaleźli się tam, żeby podziwiać cuda natury.

Rój przepęłzył obok mnie, patrzyłam, jak podąża dalej w dół zbocza ku ciemnym postaciom, które czekały przyczajone. Kiedy czoło dotarło do nich, wyższy mężczyzna coś krzyknął i obaj wstali. Strumień węży rozdzielił się gwałtownie, jak woda z węża ogrodowego. Węże rozpiezchły się w każdym kierunku, ale dwójka mężczyzn była na to przygotowana. Mieli ze sobą worki. Trzymali je przy ziemi i przeciągali do przodu.

Robili to już wcześniej. Byli szybcy i bardzo sprawni. Poruszali się cicho i zwinnie, zgarniając biedne oszołomione stworzenia, aż worki, które nieśli, napęczniały od wijącego się, kotłującego życia.

Naprawdę chciałam ich zatrzymać, ale nie odważyłam się poruszyć. Byłam zbyt blisko. Zresztą, co mogłabym zrobić? Nie miałam nawet jak stamtąd

uciec, dopóki tam stali. Gdybym się poruszyła, zobaczyliby mnie.

Jeden z węży, który umknął z chaosu, przypętał do mnie. Nie poruszyłam się. Węże nie słyszą. Wyczuwają wibracje, częściowo powietrza, ale głównie podłoża. Widzą, lecz ich wzrok nie jest najlepszy. Za to zmysł węchu mają doskonały – w językach. Kiedy tamten wąż zbliżył się do mnie, zwolnił. Jego język migotał jak maleńkie błyski piorunów, wyczuwając kolejne możliwe zagrożenie.

Wąż zatrzymał się i uniósł przede mną w obronnej pozycji. Miałam ochotę sięgnąć do niego i pogłaskać go po jego miękkiej długości, żeby go uspokoić. To głupie – oswojony gad pozwoliłby się dotknąć, ale pomyślałam, że to dzikie stworzenie mogłoby potrzebować mojego pocieszenia, był... Cóż, może to mnie potrzebne było pocieszenie. Pozostałam w bezruchu i wąż opadł na ziemię, jeszcze raz posmakował powietrze, po czym odpełził, przeciskając się przez żywopłot.

W końcu wszystkie węże albo uciekły, albo zostały schwytane. Dwójka mężczyzn wróciła do żywopłotu. Przepchnęli się przez niego i zniknęli mi z oczu, ale byłam prawie pewna, że poszli w dół wzniesienia – w stronę domu Witcherów.

Musiałam wrócić do swojego domu i zadzwonić na policję. Tych dwóch mężczyzn – teraz wcale nie byłam taka przekonana, że były to chłopaki Keechów – popełniło przestępstwo. Polowanie na dzikie węże brytyjskie jest zabronione, a oni musieli złapać ich mnóstwo. Nie miałam pojęcia, co zamierzali, ale byłam skłonna się założyć, że węzom się to nie spodoba. Ruszyłam z powrotem w górę wzniesienia, czujnie nasłuchując odgłosów po drugiej stronie żywopłotu. Gdzieś w połowie drogi wypłoszyłam kolejnego ptaka i podskoczyłam, kiedy wystrzelił w powietrze przede mną. Dotarłam na szczyt pola i przykucnęłam w krzakach. Potem wystawiłam ostrożnie głowę i popatrzyłam w dół i w górę ulicy.

Była pusta. Moi dwaj znajomi zniknęli ze swoim łupem. Przecisnęłam się przez żywopłot, wyprostowałam i resztę drogi pokonałam szybkim truchtem. Kiedy skręcałam za róg, usłyszałam ciche szuranie, a potem ktoś pociągnął mnie za włosy i czyjeś ramiona oplótły się wokół mnie.

## 31

**A**llan Keech trzymał mnie mocno w pasie i za szyję. Jego brat Nathan też chciał mnie złapać. Nie miałam czasu, żeby pomyśleć. Poderwałam nogę i kopnęłam go w krocze. Potoczył się w tył, poczułam, że uścisk Allana zelżał. Uderzyłam łokciem, poczułam miękkość mięśni brzucha, których nie zdążyłam napiąć, potem kopnęłam go mocno w piszczel. Zakwiczął jak zarzynany świniak i puścił.

Wystrzeliłam przed siebie. Musiałam uciekać. Miałam szczęście, bo nie spodziewali się, że będę walczyła, ale teraz byli wściekli. Nie mogłam dopuścić, żeby mnie dopadli. Pognałam za róg, w Carters Lane i biegłam pod górę. Wkrótce będę przy pastwisku, blisko domów, pomocy.

Słyszałam, że za mną biegną. Nathan był młody, wysoki i sprawny fizycznie. Chłopcy w tym wieku prawie zawsze są sprawni. Allan był cięższy, chyba z piętnaście lat starszy od brata. Był silniejszy, ale zapewne wolniejszy. Doścignąć mógł mnie Nathan, i to przed nim musiałam uciec.

Biegałam tą ulicą codziennie i kiedy dotarłam na jej szczyt, wiedziałam, że zyskałam kilka sekund. Mimo to nie mogłam marnować czasu. Musiałam jeszcze przebiec pastwisko, skręcić w drogę wyjazdową ze wsi, pokonać jakieś pięćset metrów, skręcić w lewo w Bourne Lane i tam już byłam na ostatniej prostej.

Nie było mi jeszcze pisane do niej dotrzeć. Kolejne dwie osoby, chłopak i dziewczyna z gangu Nathana, siedziały na ławce w miejscu, gdzie droga wyjazdowa spotykała się z pastwiskiem. Trzecia postać kręciła się przy ulicy prowadzącej do kościoła i dworku. Allan i Nathan szybko zbliżali się z tyłu.

Nikt nie zdradzał oznak, że mnie zobaczył. Wiatr zagłuszał tupot stóp, a para

była skupiona na sobie. Drugi chłopak próbował zapalić papierosa. Przebiegłam przez pastwisko i dotarłam do mostu. Po trzech stopniach zbiegłam na brzeg rzeki, ukryłam się pod kamiennym łukiem – i zrozumiałam, że popełniłam błąd.

Gdybym to przemyślała, zostałabym na otwartym terenie i darła się na cały głos o pomoc, gdyby którekolwiek z nich podeszło bliżej. Ktoś na pewno by mnie usłyszał, domy nie były zbyt daleko. Poza tym, czy oni naprawdę odważyliby się na cokolwiek w samym środku własnej wsi? Powinnam stawić im czoło, zmusić do ujawnienia zamiarów.

A tak stałam się ich ofiarą. Będą mnie ścigali. I ponieważ każde wyjście z pastwiska było zablokowane, szybko się domyślał, gdzie się ukryłam. Zejdą tu, znajdę się w pułapce pod mostem. Nie mogłam pozwolić, żeby do tego doszło.

W porządku, myśl, myśl. Tak naprawdę miałam tylko jedną opcję: pozostać w kryjówce minutę czy dwie, odzyskać oddech, poczekać na odpowiedni moment do rzucenia się do biegu. Ale kiedy wciskałam się coraz bardziej w cienie pod mostem, odkryłam coś. We wsporniku mostu – na przeciwległym brzegu do tego, na którym stałam – był wąski tunel. Cylindryczny, wyłożony ceglami, o średnicy około metra dwadzieścia, przepływał przez niego jeden z wielu małych strumyczków we wsi. Oczywiście było w nim ciemno, woda płynęła szybko. Ale prowadził do przepustu, którym strumień wypływał na pobocze drogi wyjazdowej. Tunel miał piętnaście, może dwadzieścia metrów długości. Gdybym go pokonała, wyszłabym blisko miejsca, w którym siedzieli Kimberly i jej chłopak. Nie będą się spodziewali, że wyskoczę spod ziemi. Tunel, choć mało zachęcający, mógł mi zapewnić fory. I miałam latarkę.

Często chodzę po strumieniach i rzekach. Jestem przyzwyczajona do zimnej wody i oblepiającego mnie zielska. Ale zwykle jestem odpowiednio ubrana. Już po trzech krokach spodnie miałam przemoczone, nogawki kleiły się do ciała. Przedzierałam się przez rzekę, uważając na luźne kamienie i nagłe spadki na dnie.

Przy wejściu do tunelu poświeciłam do środka latarką, pilnując, żeby światło nie zostało zobaczone na moście. Żeby się przecisnąć tunelem, musiałabym zgiąć się prawie wpół, a gdybym się pośliznęła, mogłoby się to



źle skończyć. Ten pomysł nie był najlepszy.

Kroki nade mną. Ktoś stał na moście.

– Gdzie ona się, kurwa, podziała? A wy co, co żeście, kurwa, robili?

– Dziwka koło nas nie przechodziła, nie ma takiej opcji.

Zły pomysł czy nie, był jedynym, jaki miałam. Ruszyłam przed siebie, nisko przykucnęłam, drżąc, gdy woda podniosła mi się do bioder. Z sufitu zwisało zielsko, ocierało mi się o twarz, gdy przedzierałam się powoli. Wzdłuż ścian tunelu biegła wąska półka, której się trzymałam obydwoma dłońmi, idąc naprzód. Półka była wilgotna, gąbczasta, naprawdę obrzydliwa, ale pomagała mi utrzymać równowagę. Nadepnęłam na coś, rozgniatając to i o mało nie jęknęłam głośno.

Kroki, niosące się echem pod mostem. Wyłączyłam latarkę i przycisnęłam się do mokrych cegieł. Kiedy się obejrzałam, w wejściu do tunelu zobaczyłam poruszający się tam ciemny kształt. Gdy mnie wypatrzą, jedno z nich dotrze do drugiego krańca tunelu w sekundę. Po ziemi będą poruszali się o wiele szybciej niż ja pod ziemią. Gdzie ja miałam rozum?

Po swojej lewej usłyszałam nagle cichy odgłos drapania i szybko się odwróciłam. Maleńkie oczka utkwiły we mnie spojrzenie, zanim miniaturowe stopy uciekły jak strzała. Szczury mnie nie przerażały, dałabym sobie z nimi radę. Nie wiedziałam jednak, czy poradzę sobie z ciemną postacią stojącą w wejściu do tunelu, przykucniętą, zagładającą do środka. Stałam nieruchomo. Myślę, że nawet przestałam oddychać. Głowa tego kogoś poruszała się na boki, gdy przeszukiwał mrok. Nie zobaczył mnie. Zabłysła wiązka światła, które zaświeciło mi prosto w oczy.

Postać za latarką roześmiała się cicho. To był Nathan. Dłużej nie miałam po co tu tkwić.

Rzuciłam się przed siebie, wiedząc, że mam tylko sekundy. Nie, nieprawda. Druga postać blokowała wyjście. Zachwiałam się, potem szybko chwyciłam się obiema rękami ścian tunelu, żeby się nie przewrócić. Moja lewa dłoń dotykała pustki w miejscu, gdzie powinien być mur. Włączyłam latarkę.

Cegły, którymi były wyłożone boki tunelu, odpadły, odsłaniając inny tunel, mniejszy od tego, w którym się znajdowałam, ale również częściowo

wypełniony wodą. Ten nowy nie był wyłożony cegłą rzeczonym akweduktem, tylko o wiele prymitywniejszym przejściem wyciosanym w skale. Światło latarki nie sięgało do jego końca, nie miałam więc pojęcia, jak jest długi.

No dobra, co najgorszego mogliby mi zrobić? Czy naprawdę było możliwe, żeby chcieli mnie zamordować albo poważnie okaleczyć – we wsi, w której mieszkaliśmy wszyscy, niewiele dalej niż kilkaset metrów od domów? Trudno mi było w to uwierzyć. To niedorzeczne, że tak się ukrywałam w ciemności jak szczur w ściekach.

Upokorzenie – na pewno – było najgorszą rzeczą, jakiej mogłam się obawiać, kiedy mnie dorwą. A z tym dam sobie radę. Bóg mi świadkiem, jeśli chodzi o znoszenie upokorzenia, mogłabym napisać książkę. Wkrótce będzie po wszystkim i mnie puszcza. Nie mogli mi zrobić nic, z czym nie poradziłam sobie wiele razy wcześniej.

– Och, Claro! – zawołał głos spod mostu, sztucznym, wysokim tonem, przeciągający ostatnią sylabę, tak że odbijała się echem po całym tunelu. Od drugiego wejścia ktoś wołał to samo.

– Claraaaa! Claraaaa!

Jakiś chłopak zawył jak pies. Potem zaczął dyszeć. Ktoś inny podjął skandowanie mojego imienia, nisko i uporczywie jak bicie w bębny. Patrzyłam, jak jedna z postaci daje krok do tunelu. Przy drugim końcu mojej jedynej drogi ucieczki, jego towarzysz uczynił to samo. Nie zamierzali czekać, aż się poddam; szli po mnie. Żeby zrobić to, co sobie zaplanowali, cokolwiek to było. Nagle zaczęło wyglądać na to, że to jednak nie upokorzenie jest tą najgorszą rzeczą, jakiej powinnam się obawiać. Kierowana instynktem, który mówił mi, że mam pozostać w ukryciu, schyliłam się jeszcze bardziej i weszłam do drugiego tunelu.

Za sobą usłyszałam – odczuwając niejaką satysfakcję – pomruki zaskoczenia. Gang mógł wiedzieć o przepuście, ale nie wiedzieli o istnieniu drugiego tunelu. Ale musiałam wejść głębiej, zniknąć z widoku, zanim dotrą do jego wejścia. Jedną ręką chroniłam głowę przed nierównym sufitem, drugą, z latarką, trzymałam przed sobą. A potem wkroczyłam w ciemność, idąc tak szybko, jak tylko się dało, zważywszy na fakt, że byłam zgięta prawie wpół i

brodziłam w wodzie.

Miałam czas zauważyć, nawet pomimo rosnącej paniki, że tunel, którym uciekałam, nie był naturalną skalną szczeliną. Widziałam ślady po kilofie i zadrapania w miejscach, gdzie skała była ociosywana. Ze sklepienia leciał na mnie drobnoziarnisty pył. Znajdowałam się w jednym ze starych kamieniołomów. Ale dokąd konkretnie ten tunel mógł mnie wyprowadzić, to już była zupełnie inna kwestia. Jak daleko będę musiała biec, zanim gang zrezygnuje z pościgu? Jak długo będę musiała czaić się pod ziemią, zanim zdobędę się na odwagę, by wypełznąć na powierzchnię?

Za sobą słyszałam głosy, nienaturalnie głośne w zamkniętej przestrzeni. Odwróciłam się, bojąc się, że zobaczę snop światła ścigającej mnie latarki, i wpadłam prosto na ścianę kredowej skały. Upuściłam własną latarkę i ta zgasła. Dotarłam do końca ślepej uliczki, straciłam światło i gang za chwilę miał mnie dopaść. Naprawdę moja sytuacja nie mogła wyglądać gorzej. Chociaż... nie więcej niż trzy kroki ode mnie... to było tak wyraźne, że prawie czułam na twarzy ciepłe, miękkie muśnięcia powietrza... ktoś tam oddychał.

## 32

Zdrętwiałam, nasłuchując tak intensywnie, jak nigdy w życiu wcześniej.

Ciężki, zmęczony – szybszy niż normalny, ale zbyt wolny, by był to oddech jakiegoś zwierzęcia – dochodził skądś po mojej prawej stronie. Podobnie jak woń skisłego mleka i zatęchłego potu. Bardzo ludzki zapach. Musiał tam być następny tunel, może tylko mały przepust, który przeoczyłam w panice.

Kogo bałam się bardziej – Nathana i jego koleżków czy istoty ledwo przypominającej człowieka, która wczepiła się w moje ciało, gdy ostatnim razem czułam podobnie niemiłosierny smród? Pytanie nie było specjalnie trudne. Zaczęłam się cofać i odór podążał za mną. Usłyszałam ciche szepty, nawet chichot, i wiedziałam, że Nathan i jego banda są blisko. Potem ktoś krzyknął i okrzyk rozniósł się echem, nienaturalnie głośnym w zamkniętej przestrzeni.

– Wy tam! Przestańcie się zgrywać. On chce nas dorwać. – To był głos Allana.

Ktoś zaczął się sprzeciwiać, ale został uciszony.

– Zostaw ją. Jeśli się tam zgubi, sama będzie musiała sobie radzić.

Pomruki, znowu chichoty i potem odgłos brodzenia w wodzie. I nagle okazało się, że to tylko dzieci. Nadpobudliwe, trochę wredne, ale tylko chciały się zabawić moim kosztem. To, co było tuż za mną, to już jednak zupełnie inna sprawa. Banda opuszczała tunel. A ja szłam zaraz za nimi. Nie przejmowałam się już, że mnie usłyszą. A nawet krzyknęłam za nimi: „Nie zostawiajcie mnie! Tu coś jest”.

Poszłam dalej, zatrzymując się tylko na sekundę, gdy skręciłam za ostatni róg, i zobaczyłam blade światło na końcu wąskiego tunelu. Patrzyłam, jak

ostatni dzieciak wspina się do przepustu i znika z widoku. I potem ja też weszłam do przepustu. Rozejrzałam się szybko, żeby mieć pewność, że naprawdę sobie poszli, chociaż o wiele bardziej martwiłam się tym, co mnie śledziło. I powtarzałam sobie, że jeśli wyjdę cało z tego bałaganu, nie chcę mieć więcej nic wspólnego z dziwnymi rzeczami, jakie działy się w tej wsi. Cokolwiek to było, mogło się dziać bez mojego udziału. Miałam dość.

Cztery metry do wyjścia z przepustu. Szybkie spojrzenie za siebie, żeby sprawdzić, czy coś pojawiło się w tunelu. Dwa metry, jeden. Przecisnęłam się przez gęstwinę łodyg i owłosionych liści wielkiej lilii wodnej i znowu znalazłam się na powierzchni.

Ta ulga, że można się wyprostować. Rozejrzałam się i ujrzałam gwiazdy, jak bawią się ze mną w chowanego, gdy zasłaniały je chmury, pochylone, rozkołysane drzewa, stare domy, trzeszczące pod podmuchami wiatru, ale poza tym solidne i znajome. Byłam sama na pastwisku.

Pięć minut później patrzyłam na dużą donicę na kwiaty, która stała na klapie piwnicznej mojego domu. Donica była przesunięta.

Tylko kilka centymetrów w prawo, ale jednak. Mokra plama w miejscu, w którym zwykle stała, była wyraźnie widoczna, nawet w świetle księżyca. Ktoś przesunął donicę i potem, pewnie uciekając w popłochu, nie przestawił jej na poprzednie miejsce.

Dlaczego to zrobił?

Naprawdę chciałam tylko zamknąć dom na cztery spusty i wziąć długą gorącą kąpiel, ale okazało się, że muszę zabrać się do przepychania ciężkiej drewnianej donicy. Zajęło mi to kilka minut, w końcu jednak udało mi się zepchnąć donicę z klapy. Nadal nie mogłam zrozumieć, dlaczego ktoś ją przesunął. Klapa była zamknięta od środka na kłódkę i zaryglowana. Nie sądząc, że coś się wydarzy, chwyciłam żelazne koło, którym podciągało się klapę w górę, i mocno szarpnęłam.

I o mało nie poleciałam na plecy, razem z klapą, która wyrwała się w całości, odsłaniając wjazd do piwnicy. Obejrzałam ją szybko. Zasuwy i kłódka

trzymały się mocno – ale drewniana framuga, w której osadzone były drzwi, przegniła. Z poziomu piwnicy, gdy donica stała na swoim miejscu, wszystko wyglądało normalnie. Tu jednak, na ulicy, było jasne jak słońce, że wejście do mojej piwniczki – i do domu – jest dziecinnie proste.

– Przynajmniej już wiem – mruknęłam do siebie, zanim uświadomiłam sobie znaczenie przesuniętej donicy. Ktoś był w środku. Osadziłam klapę na miejscu, przesunęłam donicę i weszłam do domu frontowymi drzwiami.

Zaryglowałam drzwi do piwnicy, zastawiłam je stołem kuchennym i zaczęłam rozglądać się za ciężkimi przedmiotami, które mogłabym na nim postawić. Przytaczałam mikrofalówkę i żeliwną brytfannę i poczułam się jak idiotka. Potem, ze strachem, że może ktoś gdzieś się przyczaił, przeszukałam cały dom, co najmniej dwukrotnie sprawdziłam zamki na oknach i drzwiach. Nie odważyłam się wziąć prysznic: nie wyobrażałam sobie, że nie będę mogła usłyszeć, czy ktoś się do mnie zakrada. Wykąpałam się tylko w wannie i kiedy zmyłam z siebie zapach rzeki, zabrałam ze sobą do sypialni komórkę, a także ostry nóż z kuchni. Oba przedmioty znalazły się pod poduszką. Nawet wtedy nie mogłam zasnąć. Znowu obeszałam cały dom.

Kiedy przechodziłam przez ciemne pokoje na parterze, wydało mi się, że usłyszałam jakiś dźwięk na zewnątrz, ktoś przedzierał się przez krzaki, które rosły przy ścianie na tyłach posesji, ale nikt nie zapukał do drzwi ani w okno, nikt nie zawołał mojego imienia.

Wróciłam do sypialni i przysnęłam, ale przebudziłam się gwałtownie, gdy gałąź zadrapała w okno. Leżałam, patrząc, jak liście odbijające światło księżycy tworzą wzory na ścianie, i wiedziałam, że sen prawdopodobnie nie wróci do mnie tej nocy. Bo kiedy wszędzie słońce, stanie się to w dniu, w którym miałam pożegnać matkę.

To matka nauczyła mnie śpiewać. Już kiedy byłam bardzo mała, zorientowała się, że nie zrobi ze mnie muzyka, ale pokładała nadzieje przynajmniej w moim głosie. Śpiewaliśmy całymi godzinami, w naszym pokoju muzycznym byliśmy zawsze tylko my dwie. Tata miał tyle głosu, że

wystarczał do prowadzenia zboru, Vanessa była kompletnie głucha, od szóstego roku życia miała zakaz wchodzenia do pokoju muzycznego, bo to, co wyprawiała z perkusją, było zbyt destrukcyjne. Czasami, kiedy mama i ja śpiewaliśmy razem, czułam się tak, jakbyśmy na świecie były tylko my dwie, i bardzo mi to odpowiadało.

Gdy mój głos przybrał na sile i dźwięczności, wielkim marzeniem mamy stało się, żebym zaczęła śpiewać publicznie. Nie w jakichś poważnych miejscach, chodziło tylko o szkołę i może o kościół. Chciała, żebym stawała przed ludźmi i dawała im powód, żeby patrzyli na mnie w sposób, który przynosiłby jej chwałę, a nie wstyd. Sądzę, że widziałaby w tym dowód mojego zdrowienia, a swojego odkupienia. Nigdy nie spełniłam jej marzenia.

I tej nocy, przyglądając się ceniom tańczącym po pokoju jak duchy przegapionych okazji, zrozumiałam dlaczego. Gdybym podarowała jej to, czego pragnęła najbardziej, straciłabym władzę, jaką nad nią miałam.

O tak, byłam bezlitosna przez lata, wykorzystując swój wpływ na matkę. Instynktownie, już od wczesnego dzieciństwa, wyczuwałam, że zrobiłaby wszystko, żeby tylko uchronić mnie przed kolejnym zranieniem. I z torturowania jej czerpałam perwersyjną radość. To ona była powodem, dla którego zostałam weterynarzem. Zawsze ciągnęło mnie do zwierząt, ale już jako bardzo małe dziecko wyczuwałam strach matki przed nimi. Wojna, jaka się toczyła między nami, zawsze kiedy spotykałyśmy gdzieś psa, wyglądała niemal komicznie: mama próbowała mnie odciągnąć, ja szarpałam się, żeby podejść bliżej. Przestałam, gdy Vanessa, mściwa dziesięciolatka, zazdrosna o uwagę poświęcaną okaleczonemu dziecku, opowiedziała mi ze szczegółami, dlaczego wyglądałam tak, jak wyglądałam.

Do tego czasu moje małostkowe, instynktowne akty zemsty zmieniły się w szczerze zainteresowanie. Nauczyłam się kochać królestwo zwierząt – jego nieskończoną zaskakującą różnorodność – ze względu na nie samo. Któreś lato spędziłam w pobliskiej szkółce jeździeckiej i nauczyłam się nazw każdej kości i każdego mięśnia w końskim ciele. Poznałam miejscowego weterynarza od zwierząt hodowlanych i kiedy już dowiedział się o moich zainteresowaniach, chętnie zabierał mnie ze sobą na objazd gospodarstw. W duchu rzadkiej

między nami koleżeńskości Vanessa i ja w szopie naszego ogrodu założyliśmy szpital dla dzikich zwierząt. Zareklamowałyśmy się w lokalnej gazecie i tamtego lata nieprzerwanemu strumieniowi rannych gryzoni i porzuconych ptasich piskląt pomagałyśmy wracać do zdrowia. Wtedy byłam już zdecydowana studiować weterynarię, miałam taką wiedzę i doświadczenie praktyczne, że otrzymałam ofertę z każdej uczelni, do której się zgłosiłam.

I to wszystko zawdzięczałam matce, która w momencie beztroski zniszczyła mi życie tylko po to, by resztę swojego spędzić na próbach jego odbudowania.

Zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, za oknem było srebrzysto, a drozd śpiewak ogłaszał każdemu, kto chciał słuchać, że mój ogród to jego terytorium i że lepiej niech wszyscy trzymają się z daleka. Była czwarta czterdzieści pięć w czwartek, już prawie świtało.



## 33

**N**agie zwłoki Violet znalazłam na podwójnym łóżku na środku pokoju. U stóp łóżka leżała wypłowiała różowa koszula nocna. Nie przyjrzałam jej się dobrze, ale pomyślałam, że jest chyba podarta. Stałam w drzwiach, nie mogąc oderwać oczu od nieruchomej postaci. Nie miałam pojęcia, że była taka mała. Leżąc tam, wyglądała niemal jak dziecko, dziecko, którego skóra, jak marmur poznaczona sinymi żyłkami, rozciągnięta i obwisła, rozlewała się na kościach jak fałdy całunu.

Nawet nie wchodząc głębiej do pokoju, mogłam się zorientować, że ostatnie chwile staruszki nie były łatwe. Ciało nad lewą piersią napuchło i zaczęło się przebarwiać, mączna skóra nabierała odcienia czerwieni i fioletu. Opuchlizna miała czas się rozprzestrzenić: górna część lewej ręki była większa niż prawej. Cienka stróżka krwi wyznaczała drogę powrotną do rany tuż pod obojczykiem. Obok głowy leżała poduszka, poplamiona krwią i wymiocinami, które nadal jeszcze spływały z boku twarzy. Czy ktoś, obawiając się, że trucizna nie zadziała wystarczająco szybko, przydusił Violet poduszką, żeby przyspieszyć proces?

Jej cienkie siwe włosy od nasiąknięcia potem zrobiły się ciemne, a oczy koloru dzwonków leśnych były otwarte. Nie chciałam myśleć o ostatniej rzeczy, jaką widziały. Ruszyłam do łóżka, czując się, jakbym się przedzierała przez mgłę, tak daleko zdawało się stać. Znałam zasady, oczywiście: niczego nie dotykać, wezwać policję – ale nie zważałam na nie. Zamierzałam zamknąć jej oczy i znaleźć coś, czym ją okryję. Wokół ust miała różową pianę; musiała krztusić się krwią. Wyciągnęłam rękę, pamiętając, jaką miękką miała skórę, i szykując się, że teraz będzie zimna. Przeciągnęłam palcami po jej czole, na

opuszkach poczułam łaskotanie rzęs.

Ciepła!

Mgła zniknęła, a ja zaczęłam się poruszać szybciej niż kiedykolwiek, obejrzałam całe ciało, szukając najmniejszego przebłysku życia. Moja prawa dłoń poszukała szyi, by wyczuć puls, druga odchyliła zuchwę, pochyliłam głowę, żeby nasłuchiwać najsłabszego odgłosu oddechu.

Nic.

Odszukałam komórkę, wybrałam trzycyfrowy numer i odpowiedziałam na pytania. Wiedziałam, że muszą być zadane, ale zdawało się to trwać wiecznie. W końcu, złączywszy dłonie i splótłszy palce, zaczęłam uciskać klatkę piersiową, tuż nad mostkiem... dwanaście, trzynaście, czternaście... Kiedy dotarłam do trzydziestu, zatrzymałam się, odchyliłam jej głowę, otworzyłam usta i sprawdziłam, czy drogi oddechowe są drożne. Dwa oddechy i wróciłam do uciskania piersi. Trzydzieści ucisków, potem oddechy.

Nie poddawaj się, mówiłam do siebie, przechodząc od jednej czynności do drugiej. To często popełniany błąd, ludzie zbyt szybko się poddają. Człowieka można przywrócić do życia po pięciu, dziesięciu minutach śmierci klinicznej, trzeba tylko podtrzymać krążenie, utrzymać ciało przy życiu do chwili przyjazdu pomocy, aż impuls elektryczny wznowi pracę serca, a płucom siłowo przypomni się, co powinny robić. Nie zatrzymujcie się więc. Zmuszcie organy do funkcjonowania, niech, cholera, działają dalej. Na litość boską, Violet, nie poddawaj się.

„Pozwól mi odejść, kochana”.

Nie, Violet, nie możesz umrzeć. Jeśli to zrobisz, to będzie moja wina. Nie umieraj, Violet, błagam.

Nie wiem, jak długo reanimowałam Violet, ale szczerze wierzę, nawet teraz, że nie poddałam się za wcześnie. Kiedy ją znalazłam, nie żyła od niedawna, ale jednak nie żyła. Nawet gdyby ratownicy weszli do pokoju tuż za mną z przygotowanym do akcji defibrylatorem, na nic by się to nie zdało. Nie odratowaliby jej. I w pewnym momencie ja też zrozumiałam, że muszę

odpuścić.

Czując się jak we śnie, podeszłam do szafy w rogu, wyjęłam z niej koc i delikatnie okryłam nim nieruchomą postać. Na dole słychać było poruszenie, ciężkie kroki i ciche okrzyki. Usiadłam obok Violet, mówiąc sobie, że zanim nas znajdą, minie trochę czasu. Tyle, żebyśmy mogły odpowiednio się pożegnać. Zostało nam trochę czasu.

Myliłam się. Dla mnie, tak jak dla Violet, czas się skończył.

## Część 2

### 34

! to wszystko, panno Benning?

– Tak – wykrztusiłam. Gardło miałam tak zaciśnięte, jakby ktoś mnie dusił.

– To wszystko.

Inspektor Robert Tasker przyglądał mi się przez chwilę z wysoko uniesionymi brwiami i zmarszczonym czołem. Potem oparł je na dłoni i palcem wskazującym i kciukiem rozmasował sobie skronie. Spod daszku utworzonego z reszty palców zerknął na mnie brązowymi przekrwionymi oczami. Była to poza, którą w jego wykonaniu widziałam już kilka razy. Czekałam.

– Kiedy policja przyjechała – zaczął – zastała panią siedzącą obok zwłok pani Buckler. Funkcjonariusze nie zauważyli żadnych oznak tego, że próbowała ją pani reanimować.

– Właśnie w tym momencie przestałam – wyjaśniłam.

– Akurat w tym? – Tasker westchnął przesadnie ciężko i spojrział na papiery na stole przed nim. – Otrzymaliśmy telefon od sąsiadki pani Buckler, tuż po piątej rano, z powiadomieniem o zakłóceniach. – Podniósł wzrok. – Mamy świadka, który widział, jak przechodziła pani przez pastwisko, szła pani w

stronę domu pani Buckler, mniej więcej o tej porze. I my przyjeżdżamy, dwadzieścia minut później, a ona nie żyje, co gorsza, dopiero co zmarła, a pani siedzi obok niej, jak jakiś anioł śmierci. Konkretnie, jak długo ją pani reanimowała?

Wysoko na ścianie za Taskerem zegar powiedział mi, że było już prawie południe. Sześć godzin wcześniej, zatrzymaną pod zarzutem popełnienia morderstwa, z domu Violet przewieziono mnie prosto do komisariatu. Poinformowano mnie o moich prawach i zostałam poddana badaniu lekarskiemu. Zaproponowano mi adwokata, ale odmówiłam, potem zamknęli mnie w celi. Tuż przed dziesiątą trzydzieści przyszli po mnie i zaprowadzili do pokoju przesłuchań. Mówiłam bez przerwy przez ponad godzinę i marzyłam tylko o tym, żeby móc się zwinąć w kłębek i zasnąć. W celi przynajmniej byłam sama.

– Na potrzeby nagrania, podejrzana odmawia udzielenia odpowiedzi na postawione jej pytanie – powiedział mężczyzna u boku Taskera, posterunkowy Stephen Knowles. Knowles był starszy, niższy i tęższy od Taskera. Na głowie zostało mu niewiele włosów, ale całą masę miał wszędzie indziej, sądząc po ciemnych kędziorkach wystających spod koszuli pod szyją i spod mankietów.

– Ona nie żyła – udało mi się wydusić po kilku sekundach. – Próbowałam ją ratować, ale nie zdołałam. Nie mam pojęcia, o której zaczęłam i kiedy skończyłam.

Tasker i Knowles wymienili spojrzenia. Wyciągnęłam rękę, chwyciłam dzbanek z wodą i przekonałam się, że ledwie mam siłę go podnieść. Nalałam wody do szklanki i wypięłam jej zawartość jednym haustem. Kiedy przesłuchanie się zaczynało, dzbanek był pełny, ale ja byłam jedyną osobą, która piła, jedyną, której zdawała się przeszkadzać duchota. W pokoju, w którym się znajdowaliśmy, nie było ani klimatyzacji, ani okien i z każdą mijającą godziną robiło się w nim coraz cieplej. Elektryczne oświetlenie było zbyt jaskrawe, meble zbyt plastikowe, poza tym śmierdziało tu potem i zatechłym papierosowym dymem. Tabliczki z zakazem palenia wisiały na każdej ścianie, ale obaj policjanci przynieśli zapach ze sobą, przesiąkał ich ubrania jak nieproszony gość.

– Wydaje się, że zawarła pani przyjaźnie ze sporą liczbą starszych osób we wsi, panno Benning? Chyba można tak powiedzieć, prawda? – spytał Tasker.

– Nie jestem pewna, czy zaprzyjaźniłam się z kimkolwiek we wsi, młodym czy starszym – odpowiedziałam szczerze.

– A pani Buckler?

– Dopiero ją poznałam.

– Tak pani twierdzi. A jednak wykosztowała się pani na jej psa.

Miałam chwilę, żeby się zdziwić, skąd wiedział o Benniem. Czy to Sally mu powiedziała? Albo Matt? Żadna z tych ewentualności nie wydawała się atrakcyjna.

– Była stara i słaba – oznajmiłam. – Nie mogłam dla niej wiele zrobić, ale przynajmniej mogłam pomóc jej psu.

– Stara i bezbronna, powiedziałbym raczej – zauważył Tasker. – Jak pani sądzi, panno Benning, ile wart jest jej dom?

– Przepraszam? – Pytanie kompletnie mnie zaskoczyło.

– Teraz to prawie rudera, ale po odnowieniu można by dostać za niego jakieś dwieście tysięcy funtów. Może więcej. Jak pani myśli?

– Naprawdę nie mam pojęcia.

– O, proszę dać spokój. Słyszałem, że pani i inni mieszkańcy regularnie otrzymujecie listy z agencji nieruchomości z ofertami.

– Nigdy nie ma tam wzmianek o wartości.

– Niemniej dom musi mieć jakąś wartość, zgodzi się pani? Raczej wątpliwe, żeby był obciążony hipoteką, zważywszy na wiek właścicielki.

Na czubku języka miałam pytanie, co to wszystko ma wspólnego ze mną, ale nie mogłam pozbyć się uczucia, że Tasker z wielką radością wyjaśniłby mi to ze szczegółami.

– Pani Buckler nie miała rodziny – powiedział Knowles. – Wiedziała pani o tym?

– Domyślałam się. Prawdopodobnie właśnie z tego powodu pies był dla niej taki ważny.

– Pan i pani Witcher też nie mieli bliskiej rodziny, prawda?

Uświadomiłam sobie, że siedzę nieruchomo, szykowałam się na cios.

– Nie, nie sędzę – przytaknęłam.

– Z nimi też utrzymywała pani zażyłe kontakty, zgadza się?

– Czasami rozmawiałam z Walterem, kiedy biegałam przy jego domu. Edeline prawie nie znałam. Nie byli moimi przyjaciółmi.

– A jednak są osoby, które twierdzą, że widzieli panią rozmawiającą z nimi regularnie. Pani Stringer twierdzi, że prawie codziennie rano widywała panią gawędzącą z Edeline przed jej bramą.

Jakie to niesprawiedliwe. Rozmowy, których nie znosiłam, do których się zmuszałam, powracały, żeby mnie prześladować.

– Po śmierci Waltera Edeline wyczekiwała tam na mnie – odpowiedziałam.  
– Nie miałam wyboru.

– Zawsze jest sporo zamieszania, gdy ludzie umierają, nie pozostawiając testamentu. Najlepiej mieć go sporządzony zawczasu. Czy pani Buckler spisała testament?

– A skąd, na Boga, mogę to wiedzieć? Poznałyśmy się niedawno.

Tasker rozparł się w krzesło.

– Powiem ci, na czym polega mój problem, Claro – zaczął. – W naszej profesji stajemy się cyniczni. Słyszymy, że młodzi ludzie zaprzyjaźniają się z bezbronnymi staruszkami i pytamy dlaczego.

Zamknęłam oczy i pokręciłam głową, zadziwiona tym paradoksem. Ja, ze wszystkich innych, zostałam oskarżona o podejrzone kontakty towarzyskie.

– A co z Johnem Allingtonem? – kontynuował Tasker. – Mężczyznę, który zmarł w zeszły piątek od ukąszenia żmii. Jak dobrze go pani znała?

– Nigdy go nie spotkałam.

– Jest pani pewna.

– Oczywiście, że jestem. Nigdy nie widziałam Johna Allingtona. Przynajmniej do momentu zakwaterowania go w szpitalnej kostnicy. Czy to się liczy jako spotkanie, jeśli jedna ze stron to zwłoki?

– Ach, ale pan Allington miał rodzinę, czyż nie? Nie był zupełnie sam na świecie, jak Witcherowie. Jak pani Buckler.

Uderzyłam dłońmi w blat stołu. Wystarczająco głośno, żeby obaj policjanci zamrugali.

– Do czego, na Boga, zmierzacie? – spytałam ostro, nie mogąc dłużej znieść ich nieporadnych insynuacji. – Walter był słodkim człowiekiem, ale bardzo nieśmiały. Ledwie go znałam. Edeline, nie lubiłam jej i starałam się unikać, gdy tylko mogłam. Violet wydawała się miła, ale poznałam ją dopiero kilka dni temu. O co, na litość boską, chodzi w tym całym przesłuchaniu?

Wyglądało to tak, jakby obu policjantów nagle poraził prąd. Jeden się wyprostował, drugi nachylił, spojrzeli na siebie, oczy im zabłyśły, zrozumieli, że osiągnęli to, na co liczyli: po prawie dwóch godzinach przesłuchania wreszcie mnie wkurzyli, wreszcie do czegoś docierali.

– Porozmawiajmy o minionej nocy, dobrze? – zaproponował Knowles. – Tajemne przejścia i stara kopalnia kredy. Wie pani, że sprawdzimy, czy tam są?

– Znajdziecie je – odparłam, odczuwając chwilową ulgę, że temat rozmowy się zmienił. – Kreda była wydobywana na tych terenach od czasów neolitycznych. Większość wczesnych wyrobisk znajdowała się niemal tuż pod powierzchnią. I bardzo rzadko były rejestrowane. Obecnie nikt nie wie, gdzie znajduje się połowa z nich.

– Myślę, że w tym względzie może mieć pani rację – zgodził się Tasker, wyciągając ramiona nad głowę, jakby nasza trójka siedziała w kawiarni i gawędziła. – Był taki przypadek w latach sześćdziesiątych. Gdzieś w Kent. Któregoś dnia, zupełnie niespodziewanie, na głównej ulicy otworzył się szyb starej sztolni. Jakaś matka z dzieckiem wpadli do niego. Ciało nigdy nie udało się wydostać.

Knowles wysłuchał opowieści z pochmurną miną. Teraz znowu pochylił się do przodu.

– Tak, tak, fascynujące. No więc miała pani całkiem ciekawy wieczór, panno Benning.

Nie odpowiedziałam.

– Na potrzeby nagrania...

Och, na litość boską!

– Jakie konkretnie pytanie zawierała pańska ostatnia wypowiedź, posterunkowy Knowles? Musiałam je przeoczyć.



Knowles znowu się uśmiechał, jakby rozdrażnienie podejrzanego oznaczało, że robili postępy.

– Rzecz w tym, panno Benning – zaczął – że rozmawialiśmy wczoraj z trójką braci Keechów. I z Jasonem Shortem, Kennym Brownem i Kimberly Aplin. Wszyscy chętnie z nami współpracowali. I to, co mówią, każe mi mieć poważne wątpliwości co do pani opowieści.

Nie spodobała mi się ta „pani opowieść”, ale przemilczałam to.

– Niech mi pan tylko nie mówi, że wszyscy o dziewiątej wieczorem grzecznie leżeli w łóżeczkach.

– Och, ależ skąd. Wszyscy otwarcie przyznają, że byli wczoraj poza domem. Wygląda na to, że mają pozwolenie na odstrzał zajęcy na ziemi Clive’a Ventry’ego.

– Oni łapali zaskrońce – upierałam się.

– No, akurat temu stanowczo zaprzeczają.

– Cóż, nic dziwnego, zważywszy, że to nielegalne – warknęłam, zastanawiając się, czy naprawdę jestem tak pewna swego, jak to przedstawiałam. Koniec końców tych dwóch mężczyzn, których widziałam na polu poprzedniej nocy, nie wyglądało na nastolatków.

– Kłopot w tym, że bez dowodów to jest pani słowo przeciwko ich słowu. A ich jest sześcioro.

– Oni na mnie napadli, grozili mi i ścigali mnie. Wiedziałam, że jest ich sześcioro. I dlatego tym bardziej było to przerażające doświadczenie.

– Tak, tak. Ale widzi pani, oni wszyscy mówią co innego.

– Och, koniecznie muszę to usłyszeć.

Knowles znowu czytał ze swoich notatek.

– Wszystkich sześciu świadków zeznało, że gdy wracali do wsi, pani wyszła nagle z krzaków. Wyrazili swoje zaskoczenie, a pani zareagowała agresją. Kopnęła Nathana Keecha w genitalia, sprawiając mu tym duży ból, uderzyła łokciem w brzuch jego starszego brata i potem kopnęła go mocno w piszczel. Potem pani uciekła.

– Łąpali mnie za włosy. I gonili.

– Mówili, że się o panią martwili. Wygląda na to, że ma pani reputację

dziwaczki. Zobaczyli, że znikła pani pod mostem, i zaniepokoiili się. Poszli za panią, ale pani zniknęła. Szukali pani jeszcze jakiś czas, potem poszli do domów.

„On chce nas dopaść”, powiedzieli, kiedy wychodzili z tunelu. Ale kim był ten on? Clive Ventry? Dawno zaginiony brat Waltera, Saul Witcher? Czy może ktoś zupełnie inny?

– To nie był pierwszy raz, gdy groziła pani przemocą tym młodym ludziom, prawda, panno Benning?

– Słucham?

Kolejne zerknięcie do notatek. Knowles przełożył kartkę. I jeszcze jedną.

– „Mam medyczne przeszkolenie” – czytał. – „Wiem dokładnie, w które miejsce gałki ocznej się wbić, żeby wyszła cała z oczodołu”.

Spojrzał na mnie.

– Powiedziała to pani, panno Benning? Dwudziestego piątego maja, w zeszły poniedziałek, wieczorem?

– Oni mi grozili.

– Czym konkretnie?

– Nie chcieli mnie przepuścić. Grozili mi werbalnie.

– I co to były za groźby?

Kurcząc się z zakłopotania, modląc, żeby nie było widać tego na mojej twarzy, powiedziałam im. Tasker odwrócił wzrok, Knowles z powrotem na mnie spojrzał.

– Cóż, o tym nie wspominali. Powiedzieli nam, że zobaczyli, że kręci się pani przy domu Witcherów i się zaciekawili. Mówili, że często to pani robi. Krąży przy domu Witcherów.

Cisza.

– Panno Benning?

– Proszę wybaczyć. Umknęło mi to pytanie.

– Brak współpracy pani nie pomoże, panno Benning.

Tasker nachylił się i położył ręce na stole. Miał to być chyba gest uspokajający, każący Knowlesowi nieco złuzować.

– Porozmawiajmy o psie, dobrze? – powiedział Tasker. – Psie pani

Buckler. Bertie, tak się chyba wabił?

– Bennie – poprawiłam, zamykając oczy, żeby pozbyć się obrazu, jaki nagle stanął mi w pamięci. Bennie, martwy i mokry, wypadający z jutowego worka.

– Dostyc chory postępek, nie sądzi pani? Włożyć psa do worka razem z węzem. Wrzucić obydwójce do rzeki. Kto robi coś takiego?

– Starożytni Rzymianie – zasugerowałam z braku jakiegokolwiek innego pomysłu.

Tasker podniósł głowę, popatrzył na mnie.

– To była forma egzekucji – wyjaśniłam. – Skazanych przestępców pakowano do worka. Skórzanego, tak mi się wydaje. I wkładano do niego zwierzęta. Psa, węża lub coś innego. Możliwe, że małpę. Może też koguta. Myślę, że każde coś symbolizowało, ale nie jestem pewna. – Myślałam z całej siły, lecz lekcje historii Rzymu były tak dawno. – I kilka innych przedmiotów – dodałam, gdy więcej szczegółów powracało do mnie. – Skóry wilka albo niedźwiedzia były przewiązywane na głowie skazańca, do stóp przyczepiano mu drewniane sandały. To wszystko było bardzo symboliczne. – Kiedy mówiłam, przypomniała mi się nagle sypialnia doktora Amblina. Martwa zmija, pluszowa małpka.

– A co takiego nawywijał ten biedny skazaniec? – spytał Knowles. – Musiało to być coś bardzo poważnego.

– Przykro mi, ale naprawdę nie pamiętam.

W tym momencie usłyszeliśmy ostre kliknięcie sprzętu nagrywającego. Dotarliśmy do końca czwartej półgodzinnej taśmy. Tasker przeciągnął się na krześle.

– W porządku, zrobimy przerwę.

Kwadrans później wróciliśmy, obaj policjanci rześcy po przyjęciu świeżej dawki tytoniu i kawy. Knowles włączył sprzęt nagrywający i usiadł naprzeciwko mnie. Tasker stał.

– Ta cała sprawa z węzami – zaczął, opierając się o ścianę. – Naprawdę jakoś nie potrafię tego ogarnąć.

To tak jak i ja, pomyślałam, czekając na ciąg dalszy. Temat podjął Knowles.

– Węże pojawiające się wszędzie w okolicy. W sypialniach, dziecięcych łóżeczkach. Jednego znaleźliśmy nawet w pani piwnicy dziś rano, panno Benning. Wijącego się w jednym z tych pani kontenerów. To zwierzątko domowe?

– W moim domu nie ma żadnych węży, według mojej wiedzy – odparłam.

– W takim razie jak on się tam dostał?

– Ktoś włamuje się do domów we wsi i podrzuca węże – powiedziałam. – Widziałam tego kogoś w swoim domu. Myślę, że to może być człowiek, który się nazywa Saul Witcher. Myślę, że ma jakiś żal do wsi, i myślę, że mieszka w starym rodzinnym...

– Tak, tak – mruknął Tasker – ale skąd one się biorą, te wszystkie węże? Większość z nich to dzikie rodzime gatunki. Nie da się ich, ot tak, zwyczajnie kupić w sklepie.

– Ktoś je wyłapuje – powiedziałam. – Ktoś, kto wie dużo o ich zwyczajach, prawdopodobnie ktoś, kto dobrze zna wieś. Ktoś taki wiedziałby, gdzie i kiedy węże zbierają się w rój, najlepsze miejsce do złapania żmij.

– Znaleźliśmy żmiję w pani śmietniku – oznajmił Knowles. – Martwą. To pani ją tam wrzuciła?

Gwoli sprawiedliwości trzeba im było przyznać, że byli skrupulatni.

– Była przybita do moich drzwi frontowych, kilka dni temu – odpowiedziałam. – Pomyślałam, że to głupi żart. Mieliśmy problemy z drobnymi aktami wandalizmu, z psikusami. Uznałam, że nie warto tego zgłaszać.

Czy miałam wyjawić tym dwóm policjantom prawdziwy powód, dla którego nie zgłosiłam tego zajścia? Nie, nie zamierzałam tego robić.

– To ma coś wspólnego z rodziną Witcherów – spróbowałam jeszcze raz. – Jeden z braci, Ulfred, miał podobno jakiegoś rodzaju dar, jeśli chodzi o obcowanie z węzami. Może Saul też taki miał. Naprawdę powinniście spróbować go odnaleźć...

– A ten inny wąż. Ten tropikalny. Jak on się nazywa?

– To tajpan papuaski.

– Tak, miała pani z nimi styczność wcześniej, według zastępcy komendanta Hoare’a. Prowadziła pani badania nad nimi.

– Kilka lat temu zajmowałam się gatunkami australijskimi, ale z tego, co wiem, papuaskie są dość podobne.

– A więc wie pani, jak się je hoduje?

Pokręciłam głową.

– Ludzie nie hodują tajpanów. Jeśli mają choć trochę rozumu.

Tasker zachowywał się, jakby nie usłyszał mojej odpowiedzi.

– Mój problem polega na tym, panno Benning – powiedział – że jedyną znaną nam osobą, która wiedziałaby, gdzie szukać węży i jak się z nimi bezpiecznie obchodzić, jest pani.

Zapadła cisza. Obaj mężczyźni wpatrywali się we mnie. Utkwiłam wzrok w punkcie na ścianie, bezpośrednio za głową Taskera. Czułam, że za chwilę sytuacja przybierze o wiele gorszy obrót.

– Co się pani stało w twarz, panno Benning? – spytał cicho Tasker.

I proszę bardzo, czekałam na to. Głęboki wdech.

– Wypadek – odparłam. – Dawno temu. – To była moja dobrze przećwiczona tradycyjna odpowiedź. Zwykle wystarczała. Dzisiaj nie miało tak być.

– Co to był za wypadek?

– Nie pamiętam – powiedziałam, nakazując sobie zachowanie spokoju. – Byłam dzieckiem.

Chwila przerwy, podczas której ci dwaj przegrupowywali swoje myśli. Tasker był pierwszy.

– Kiedy pani podrosła – powiedział – i uświadomiła sobie, że wygląda inaczej, musiała pani pytać, co było tego przyczyną. Oparzenie? Wypadek drogowy? Co to było?

– Moi rodzice nigdy o tym nie mówili. A ja nigdy nie pytałam. – Oba stwierdzenia były całkowicie prawdziwe. Nie musiałam pytać. Vanessa mi powiedziała, zanim jeszcze dotarło do mnie, że można za to kogoś winić. Na długo, zanim zrozumiałam, że konkretny układ skóry i tkanek może mieć tak

dewastujący wpływ na czyjeś życie, zanim nawet uświadamiałam sobie, że jestem inna, Vanessa opowiedziała mi o tym.

– Nigdy nie była pani ciekawa? – spytał Tasker, nachylając się do przodu, z oczami wbitymi w lewą stronę mojej twarzy. – Dla takich starych drani jak Knowles i ja... nie liczy się, jak wyglądamy. Ale dla młodej dziewczyny... Kiedy patrzę na zachowanie swojej córki, dochodzę do wniosku, że dla młodych kobiet wygląd to niemal wszystko. Więc jeśli jakaś dziewczyna nie wygląda zwyczajnie, a jest... muszę to określić tak, jak to wygląda... jest poważnie oszpecona, cóż, wyobrażam sobie, że ma to bardzo niszczycielski wpływ na młodą kobietę.

– Może naprawdę pomieszać komuś w głowie – dodał Knowles.

Poczułam, że moja dłoń prześlizguje się na lewą stronę szyi. Gest był nieświadomy, robiłam tak od lat. Brałam włosy po tej stronie i ściągałam je do przodu. Zmusiłam się do opuszczenia ręki. Trzymaj się, to już nie potrwa długo.

– Zastanawiam się, dlaczego nie próbowała pani zrobić sobie operacji plastycznej – rzekł Tasker. – Teraz potrafią robić cuda.

– Na potrzeby nagrania, podejrzana nie odpowiada – powiedział Knowles.

– Miała pani operację plastyczną? – spytał Tasker.

– Miałam kilka – odpowiedziałam, wiedząc, że nie mogę unikać odpowiedzi na bezpośrednie pytanie. – Pierwszą, gdy miałam roczek, ostatnią w wieku szesnastu lat. Lekarze uważali, że kolejne nie byłyby korzystne. – Patrzyłam w dół, na swoje ręce. Wydawało się, że odpłynęła z nich cała krew. Równie dobrze mogłyby być z wosku.

– Czyli... – Głos Taskera dotarł do mnie skądś ponad moją głowę. – Czyli tak jest najlepiej, jak może być?

Moje dłonie skurczyły się, zamieniły w szpony. Musiałam się opanować.

– Jeśli nie nastąpi jakiś znaczący przełom w technologii, lekarze nie uważają, że potencjalne korzyści kolejnych operacji przeważąby nad związanym z nimi ryzykiem – wyrecytowałam niemal słowo w słowo to, co mówili mi lekarze. Przypuszczam, że był to okrężny sposób na powiedzenie, tak, tak jest najlepiej, jak może być.

– Chodziła pani do kogoś? Psychologa? Psychiatry? Kogoś, kto pomógłby pani pogodzić się z sytuacją? – Tasker mówił teraz ciszej, nachylał się do mnie, usiłując przybrać współczującą minę. Ale kiedy zerknęłam na niego, oczy go wydały. Bawił się o wiele za dobrze.

– Kiedy byłam młodsza, matka zaprowadziła mnie do kilku osób. Ale już nie pamiętam szczegółów. – Pamiętałam wszystko aż za dobrze. Dwóch psychiatrów, pięciu psychologów i terapeuta behawioralny. Dopiero wyprowadzka z domu pozwoliła mi uciec od nieustannego bombardowania profesjonalną, powodowaną poczuciem winy pomocą. Czy to pomogło? Naprawdę trudno to stwierdzić. Nie miałam pojęcia, w jakim stanie byłaby moja psychika bez nadmiaru terapii.

– Pamiętam, że czytałem gdzieś, że bardzo brzydki ludzie, proszę mi wybaczyć, panno Benning, nie próbuję być nieuprzejmy, po jakimś czasie zaczynają czuć się niewidzialni – powiedział Tasker. – Kiedy już otoczenie otrząśnie się z pierwszego szoku, później w ogóle nie zwraca uwagi na takie osoby.

Tasker przerwał na chwilę, żeby spojrzeć na Knowlesa. Ten, zrozumiałwszy przesłanie, przejął prowadzenie przesłuchania.

– Ludzie mówią nam, że nie jest pani towarzyska, panno Benning – rzekł. – Że nie ma pani znajomych w swoim wieku, nigdzie pani nie wychodzi, nikt pani nie odwiedza. Nie ma też pani partnera, oczywiście.

I ciągnęli tak dalej. Kiedy jeden przerywał, żeby wziąć oddech, wtrącał się drugi. Z każdą nową obrazą, jaką we mnie ciskali, przepraszali – przykro nam, że musimy być tacy bezceremonialni, panno Benning, ale musi pani zrozumieć, że tylko wykonujemy swoją pracę – i tylko ktoś niedorozwinięty mógłby uwierzyć im, że próbowali mi współczuć, zrozumieć, zamiast przeczłgać mnie tak brutalnie i bezlitośnie, jak to się zdarza złym glinom w stosunku do podejrzanych. Ale lata odpierania podobnych ciosów przyszły mi z pomocą i nie sądzę, żeby cokolwiek było po mnie widać. Jeśliby tak było, myślę, że mogliby zakończyć swój atak wcześniej. Wcześniej dotarliby do punktu, do którego od początku chcieli dotrzeć.

– Czyli, jeśli całe życie byłam tak traktowana, mogłoby mnie kusić, żeby

świat mi za to zapłacił.

– Przynajmniej, żeby choć trochę wyrównać rachunek.

– Dlaczego dla odmiany to pani miałyby nie mieć trochę szczęścia?

– To, że ktoś zapisze nam coś w testamencie, nie jest sprzeczne z prawem. Nie jest też do końca nielegalne zabieganie o to, żeby ktoś zapisał nam pieniądze, dopóki w grę nie wchodzi wymuszenie... rozumie pani, o czym mówię?

Umilkli. Chcieli znowu oddać mi głos. Ale nie byłam pewna, czy ten będzie dla mnie dostępny.

– Ja... ja nigdy o nic Violet nie prosiłam... – zaczęłam. Kim byli pozostali? Zapomniałam. Och, tak. – Ani Waltera czy Edeline – ciągnęłam. – Nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach, nigdy nie przyszło mi do głowy, że jakieś mają. Pieniądze to nie jest coś, co zbyt często zaprzęta moje myśli.

– Czy zmusiła pani panią Buckler do spisania testamentu na pani korzyść?

– Nie.

– Czy sugerowała jej to pani? Być może w zamian za opiekę nad nią, nad jej psem?

– Nie.

– Czy to samo zrobiła pani z Witcherami? Czy gdzieś w ich domu ukryty jest testament? To jego pani szukała za każdym razem, gdy tam pani chodziła?

– Byłam tam tylko raz. Z panem Hoare'em. Szukaliśmy Saula Witchera, a nie kawałka papieru.

– Myślę, że szukała pani testamentu. Testamentu, do którego napisania przekonała pani pana i panią Witcherów. A kiedy go pani nie znalazła, myślę, że postanowiła spróbować jeszcze raz, z panią Buckler. Myślę, że ona zmieniła zdanie, że się pokłóciłyście. Przypuszczam, że zabiła pani jej psa, żeby ją przestraszyć. A potem chciała ją pani zmusić siłą, żeby podpisała testament. A ona się opierała i wtedy pani ją zabiła.

Nie miałam do powiedzenia absolutnie nic. To się nie działo naprawdę. Oni nie mogli naprawdę, szczerze sądzić...

Tasker wolno otworzył folder leżący na biurku przed nim. Ze środka wyciągnął pojedynczą kartkę włożoną w plastikową, przezroczystą koszulkę.



Zerknął na nią, potem obrócił ją do mnie. Papier był charakterystyczny, dobrej jakości, żółtawokremowy, rozpoznałam go od razu. Kupuję go w Somerset, w papierni. O ile wiem, nie jest dostępny nigdzie indziej, i mam w swoim gabinecie dwie ryzy takiego papieru.

Dokument był prosty i krótki, przeczytanie go zajęło mi tylko pięć minut, ostatnia wola i testament napisane quasi- -prawniczym językiem, może stworzony przez kogoś z nikłym pojęciem na temat prawa. Nie był legalny – żeby to zobaczyć, wystarczyło mi już pierwsze pięć sekund. Przede wszystkim nie był podpisany przez świadków, a jedynie drżącym, pajęczynowatym pismem Violet Buckler, która wszystko, co miała, przepisała na mnie.

## 35

**B**ylaam na zewnątrz. Wokół pachniało solą i świeżymi wypiekami z pobliskiej piekarni. Przez kilka minut mogłam tylko stać i wdychać świeże powietrze.

Nie zostałam o nic oskarżona. Kilka minut po przedstawieniu mi fałszywego testamentu przesłuchanie zostało zakończone, a inspektor Tasker, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, oznajmił, że wypuszcza mnie na wolność. Pół godziny później wyszłam głównym wyjściem na parking przed komisariatem.

Nie mając żadnego pomysłu, dokąd mam się teraz udać, ruszyłam w stronę wyjazdu z parkingu. Za sobą usłyszałam chrobot uruchamianego silnika i sekundę później podjechał pode mnie jakiś samochód.

– Wsiadaj – poleciał głos, który znałam.

Ciemnowłosa, szarooki mężczyzna w okularach za kierownicą był ubrany w strój, w jakim go jeszcze nigdy nie widziałam: w ciemne spodnie, krawat i białą koszulę z pagonami na ramionach. Przechylił się i otworzył drzwi pasażera.

– Podwiozę cię do domu – oznajmił.

Pokręciłam głową. Co wtedy czułam? Naprawdę trudno to określić. Wstyd? Gniew? Po trochu jedno i drugie, ale oprócz tego coś jeszcze, coś zupełnie innego. Chyba coś w rodzaju straconej ostatniej nadziei.

Matt westchnął, wyglądał na zmęczonego i starszego, niż mi się wcześniej wydawało.

– Claro – rzucił. – Nie chcę być niedelikatny, ale za niecałe trzy godziny masz pogrzeb matki. Musisz wrócić do domu. Dlatego wsiadaj.

Miał rację. Wspięłam się na siedzenie pasażera i zamknęłam drzwi. Matt wyjechał z parkingu i ruszył w stronę domu.

– Dlaczego mnie wypuścili? – spytałam, gdy staliśmy na światłach przy wyjeździe z miasta. – Dlaczego nie postawili mi żadnych zarzutów?

Znowu ruszyliśmy.

– Tasker nie ma wystarczających dowodów – odparł Matt, nie odrywając wzroku od drogi przed nami. – Rano prowokował los. Chciał się dowiedzieć, co wiesz. To standardowa procedura.

– Powiedzieli, że mam się zgłosić za osiem tygodni – dodałam, zastanawiając się, czy Matt słyszał, jak Tasker i Knowles mnie przesłuchiwali. Czy słyszał wszystko, co do mnie mówili.

– To tylko formalność. Jeśli wypłynie coś nowego, ściągną cię z powrotem w mgnieniu oka.

– Ja nie zabiłam Violet – umilkłam. Mówiłam prawie tak, jakbym błagała. Proszę, Boże, nie pozwól mi upaść tak nisko. Matt nie spuszczał oczu z drogi, mimo że nie jechaliśmy specjalnie szybko. Zawsze przy naszych wcześniejszych spotkaniach to ja miałam problem z patrzeniem mu w oczy. Teraz wydawało się, że to on nie może się zdobyć, żeby na mnie spojrzeć. – Ty też uważasz, że ją zabiłam? – spytałam. – To przez ciebie mnie zatrzymali? – Jeszcze zanim skończyłam, wiedziałam, że nie jestem przygotowana na odpowiedź.

– Nie – odparł po chwili. – Ale nie mogę zignorować toku myślenia Taskera. Masz reputację pustelniczki, ale zadawałaś się ze starszymi ludźmi we wsi. Violet, Edeline, Walterem. Ludźmi, którzy potem umierali.

– Walter być może żyje – zauważyłam, wiedząc, że chwytam się brzytwy.

– Jeśli tak jest, znajdziemy go. Zleciłem to już swoim ludziom.

– Skontaktowałam się z około dwudziestoma domami opieki i starców...

Matt podniósł z kierownicy jeden palec.

– Wiemy, jak się szuka zaginionych osób – rzucił. – Po drugie, dużo wiesz o węzach. Potrafisz je łapać i zajmować się nimi. Większość ludzi nie wiedziałaby, jak się do tego zabrać. Nie pomaga też fakt, że w piwnicy miałaś żywą żmiję, martwą w śmietniku i zastrzyki z antytoksyną w lodówce... Tak, wiem, to standardowa praktyka, że trzyma się je w klinikach dla dzikich zwierząt, sprawdzałem.

– To wszystko to za mało – odpowiedziałam. Miałam świadomość, że mówię coraz głośniej, ale nie mogłam nad tym zapanować. Tak dobrze się trzymałam, kiedy Tasker i Knowles mnie maglowali. Teraz zaczynałam się łamać. – Nawet ja to wiem. Znam się na węzłach i widziano mnie, jak rozmawiałam z dwiema starszymi paniami.

– Tasker ma też ten testament, wygląda, że sporządzony przez Violet, w którym wyznaczyła cię nas swoją beneficjentką.

– Ten dokument to oczywista i żałosna fałszywka. Każdy mógł wykraść papier z mojego domu. Tu chodzi o mój wygląd. Tasker uważa, że jestem psychotyczką, bo mam pokiereszowaną twarz. Uważa, że mam misję, chcę się zemścić na całej rasie ludzkiej.

– Nie przesadzaj.

– Nie. On już się zdecydował. Nie będzie nawet szukał nikogo innego. Dlaczego nie szuka Saula Witchera? Dlaczego nie szuka Ulfreda?

– Saul Witcher nie żyje.

– Co? Skąd to wiesz?

– Sprawdziliśmy. Zleciłem to komuś tamtego poranka, po tym jak przeszukaliśmy dom. Zmarł w 1976 roku, w więzieniu Kingston. Trafił tam siedem lat wcześniej za zamordowanie żony.

– Alice – mruknęłam. Matt uniósł brwi i zerknął na mnie. – Miała na imię Alice – wyjaśniłam, gotowa streścić wszystko, czego się dowiedziałam. Potem przekonałam się, że nie mam do tego serca. Saul nie żył. A taka byłam pewna. – A co z Ulfredem? – spytałam, jednak bez większej nadziei. – On też...

– Nigdy nie istniał.

– Musiał. Violet go pamiętała. Tak samo Ruby Mottram.

– Sprawdziliśmy kartoteki parafii i w Urzędzie Stanu Cywilnego. Nikt nazywający się Ulfred Witcher nie urodził się w parafii ani w jej okolicach w ostatnich siedmiu dekadach. Violet i tej Ruby musiało się coś pomieszać.

– Porozmawiacie z Ruby?

– Pod twoimi stopami leży czerwony folder. Możesz go podnieść?

Schyliłam się i znalazłam folder.

– Otwórz go.

Zrobiłam, jak kazał, i przekonałam się, że patrzę na duże portretowe zdjęcie.

– Rozpoznajesz tego człowieka? – spytał.

Spojrzałam w dół na zdjęcie mężczyzny około siedemdziesięciu lat, może trochę starszego. Miał siwe, gęste włosy, przycięte krótko z tyłu, ale grzywka opadała na czoło. Błękitne oczy były lekko skośne, powieki ciężkie. Usta wydatne. Kiedyś musiał to być bardzo przystojny mężczyzna. Nadal był.

– Czy to on włamał się do ciebie w zeszły poniedziałek rano? – spytał Matt.

Wiedziałam, że nie, ale nie spieszyłam się z odpowiedzią. Jeszcze raz przyjrzałam się twarzy, przeczytałam informacje wydrukowane w rogu. Przybliżony wzrost: metr osiemdziesiąt osiem.

– Nie – odparłam z ociąganiem. Zdjęcie zupełnie nie przypominało mężczyzny, którego widziałam u siebie w domu, ani twarzy w oknie domu Witcherów. – Dlaczego...

– To Archie Witcher – oznajmił Matt. – Znaleźliśmy go. No, prawie. Od trzydziestu lat mieszka w Karolinie Południowej, prowadzi tam kościół. To zdjęcie mamy ze strony internetowej tego kościoła.

– Prawie go znaleźliście?

– Jeszcze go do końca nie wysledziliśmy. Za to znaleźliśmy relację prasową o skandalu w jego kościele. Wygląda, że przedłużone posty to ważna część kultu w tym konkretnym zgromadzeniu. Namawiają ludzi do wielotygodniowych głodówek. Tak czy owak, zmarła młoda dziewczyna i krążyły plotki, że była więziona i krępowana. Jej rodzice są w areszcie, a jeśli chodzi o Archiego, policja wydała nakaz poszukiwania go i zatrzymania. Jego obecne miejsce pobytu jest nieznane. Całkiem możliwe, że wrócił do domu. Masz pewność, że to nie jest ten mężczyzna, którego widziałas?

Spojrzałam na zdjęcie ponownie, ale odpowiedź pozostała taka sama.

– Tak – potwierdziłam. – Ten, którego widziałam, nie był taki wysoki. I wyglądał jak Walter.

– No dobrze, cóż, jesteśmy w kontakcie z tamtejszą policją stanową i z urzędem imigracyjnym. Jeśli Archie Witcher wrócił, znajdziemy go. Ale

naprawdę nie sędzę, żeby trop Witcherów dokądkolwiek nas zaprowadził.

Miał rację.

– Allan Keech i jego gang – przypomniałam. – Wałęsali się wczoraj po wsi. To oni mogli polować wczoraj na te węże. Tylko dlaczego to robią, skoro...

– Dlaczego nie zadzwoniłaś? Mówiłem ci: jeśli coś się będzie działo, dzwoń. Czy bycie ściganym po podziemnych tunelach i kopalniach nie liczy się jako coś, co się dzieje?

– Było późno. – I rozmowa z tobą boli za każdym razem trochę bardziej.

– Już ustaliliśmy, że jestem nocnym markiem. – Matt uśmiechnął się krzywo. Próbowałam zrewanżować się tym samym, ale mi nie wyszło.

W tym momencie wjechaliśmy do wsi i skręciliśmy w Bourne Lane. Aż do samego domu jechaliśmy w milczeniu.

– Dzięki – mruknęłam, gdy Matt się zatrzymał. Sięgnęłam do drzwi, żeby je otworzyć i na ramieniu poczułam dotyk dłoni. Matt nie odzywał się, więc odwróciłam się do niego.

– Dam ci pewną radę – powiedział. – Nieoficjalną.

Czekałam.

– Po pierwsze, powinnaś pojechać do rodziny i zostać z nią kilka dni. Weź sobie w pracy urlop i dopilnuj, żebyśmy wiedzieli, gdzie cię znajdziemy, ale poza tym trzymaj się z dala od wsi. Daj nam czas rozpracować tę sprawę.

– W porządku. – Prośba wydawała się uzasadniona i nawet sensowna.

– Po drugie, i to jest bardzo ważne, trzymaj się z daleka od Seana Northa. – Było to tak niespodziewane, że potrzebowałam chwili, żeby to do mnie dotarło.

– North pół roku był za granicą – przypomniałam. – Wrócił dopiero w sobotę. Nie mógłby...

– Nieprawda.

– Tak, przyjechał prosto z lotniska, żeby się ze mną spotkać i zidentyfikować tajpana.

– North przeszedł przez kontrolę paszportową na Heathrow tydzień temu, w środę. Od tej pory jest w kraju. I nie przyleciał z Indonezji, tylko z Singapuru.

– To dlaczego...

- W Singapurze miał przesiadkę, a całą podróż rozpoczął w Port Moresby.
- Matt spojrzał na mnie, żeby się przekonać, jak zareaguję, ale nazwa nic mi nie mówiła. – To stolica Papui-Nowej Gwinei – wyjaśnił.

## 36

**D**zień robił się coraz cieplejszy. Na zewnątrz niebo było bezchmurne – czysty porcelanowy błękit wczesnego lata. Prognozy pogody podawały, że później mogą być burze, ale na razie nic tego nie zapowiadało. Nawet wiatr ucichł, a słońce stało wyżej, niż powinno o tej porze roku. To była wielka ulga móc wejść do chłodnego wypełnionego wonią kadzideł wnętrza naszego starego kościoła.

– Przyjmujemy ciało naszej siostry Marion – oznajmił Andrew, biskup Winchesteru, witając nas ze stopni prezbiterium – z ufnością w miłość Boga, dawcy życia, który wzbudził Jezusa, Pana naszego, z martwych.

W kościele był tłum – niecodziennie chowamy żony archidiakonów. Głowy odwróciły się, gdy elegancka, przystrojona kwiatami trumna została wolno wwieziona do nawy. Zatrzymała się przy stopniach prezbiterium, a my usiedliśmy. I dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że kiedy szłam za trumną matki, wpatrywało się we mnie niemal dwieście par oczu.

– Teraz Chrystus powstał z martwych – recytował biskup – i stał się pierwszym owocem odkupienia tych, którzy spali. Albowiem, jeśli przez człowieka przyszła śmierć, przez człowieka też przyszło wskrzeszenie.

Nabożeństwo było długie; zapewne piękne i poruszające, ale ja niewiele z niego słyszałam. Wpatrywałam się w płytki posadzki. Stare, kwadratowe, niektóre rdzawe, inne brązowe. Na każdej szóstej czy siódmej widniało charakterystyczne rzeźbienie: koło z wystającymi z niego czterema punktami przypominającymi rękojeści mieczy, rozmieszczone w równej odległości od siebie.

Cztery różne punkty skupione we wspólnym centrum. Cztery osoby, które



zetknęły się z moim światem, straciły ostatnio życie lub były tego bardzo bliskie. John Allington, Violet Buckler, maleńka Sophia Huston i rezydent dorseckiego długiego domu. Dwie z nich były stare, mieszkały we wsi całe życie, ale Sophia to jeszcze dziecko, jej rodzina dopiero się tu sprowadziła. W domu Poulsonów znaleziono tajpana w sypialni dziecięcej. Jeśli w realnym życiu istniał jakiś łącznik, odpowiednik koła w centrum wzoru, ja go nie dostrzegałam. Ofiary, sposób, w jaki zostały zaatakowane, wszystko to wydawało się zupełnie przypadkowe.

I im dłużej o tym myślałam, tym większy widziałam chaos. Śmierć Johna Allingtona była zamierzona i przemyślana. Jeśli domysły Seana były słuszne, Allingtona ktoś pozbawił przytomności uderzeniem w głowę, wstrzyknął mu jad żmii, a potem zostawił, żeby utonął. W przypadku małej Sophii zmiję po prostu podrzucono do jej łóżeczka. Dziewczynka mogła zginąć albo nie. Martwą zmiję znaleziono w domu Poulsonów, stary doktor Amblin doznał urazu głowy. Czy miał zginąć w ten sam sposób, w jaki zginął John Allington? Uderzony w głowę, żeby go unieruchomić, potem dostałby zastrzyk ze śmiertelną dawką jadu żmii? Czy zabójcy coś przeszkodziło, musiał uciekać? Ale w sypialni dziecięcej znaleziono tajpana. To mogło się skończyć tragicznie, choć na szczęście się tak nie skończyło. Przynadkowość. Chaos.

Przy Violet zabójca znów jednak działał w sposób przemyślany. Byłam prawie pewna, że Violet ukąsił wąż, świadczyły o tym rana i opuchlizna na jej ciele. To, co widziałam na zwłokach, bardziej zgadzało się z tym, co wiedziałam o zatruciu jadem żmii, niż z tym, co Sean opisywał jako zatrucie toksyną tajpana. Czy Violet też wstrzyknięto stężony jad? Przypuszczałam, że sekcja zwłok na to odpowie. Z drugiej strony Violet, starsza i drobniejsza od Johna Allingtona, mogła nie potrzebować aż tak dużej dawki. No i te ślady krwi i wymiocin na poduszce obok jej głowy, poduszce, która prawdopodobnie odebrała jej ostatnie resztki życia. Jak dla mnie, w śmierci Violet nie było nic przypadkowego. Jej zabójca dopilnował, żeby akcja zakończyła się sukcesem.

Ale gdy te wszystkie ataki zebrało się do kupy, wyglądało to tak... beładnie, chaotycznie, nie dostrzegałam żadnego schematu. Działanie

pomieszanego zaburzonego umysłu?

Gdybym chciała zabić cztery osoby, Matcie Hoare, byłabym o wiele bardziej zorganizowana, do jasnej cholery!

W kościele zapadła cisza. Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy nie wykrzyczałam swoich myśli na głos. Ale nikt nie zwracał na mnie uwagi i po chwili zagrzmiały organy. Zgromadzeni na mszy parafianie wstali i zaczęli śpiewać. Hymn wybrała Vanessa, był jednym z ulubionych mamy. Nie mogłam się dołączyć. Nie mogłam oderwać oczu od płytek na posadzce.

Cztery rękojeści mieczy. Czterech podejrzanych. Pierwszy: Allan Keech, wspomagany i podjudzany przez gang swojego brata. Skłamali w mojej sprawie, kręcili się przy domu Witcherów. Byli paskudną bandą i raczej na pewno to oni zostawili martwą żmiję na moich drzwiach frontowych. Ale czy naprawdę wierzyłam, że są zdolni do morderstwa?

Drugi: starszy mężczyzna, tyle że wyraźnie widziałam go tylko ja. Włamał się do mojego domu i zostawił węży. Przypuszczenie, że to samo zrobił w innych domach, nie było pozbawione logiki. Założyłam, że jest jednym z braci Witcherów z powodu wieku, fizycznego podobieństwa i dlatego, że widziałam go w domu Witcherów. To nie mógł być Saul ani Harry – obaj nie żyli. Nie był też w ogóle podobny do Archiego. Ulfred nigdy nie istniał. Zostawał tylko Walter.

Trzeci: Sean North – najbardziej podejrzany w oczach Matta. Matt nie chciał, żebym to ja okazała się zabójcą, ku mojej ogromnej uldze. Ale mylił się co do Seana. Czułam to całą sobą. Cokolwiek Sean robił w Papui-Nowej Gwinei, nie mógłby traktować węży tak, jak potraktowano je we wsi. W stosunku do ludzi mógł być w taki czy inny sposób niedbały, ale nigdy nie byłby okrutny dla zwierząt.

I czwarty podejrzany? Cóż, to ja. Zdaniem Taskera i Knowlesa wróg publiczny numer jeden. Miałam psychozę, chciałam się zemścić za krzywdę, jaka spotkała mnie w dzieciństwie. Robiłam to, żeby zwrócić na siebie uwagę, bo mi jej brakowało, byłam pasożytem, żerującym na bezbronnych starcach, pociechę i swoje towarzystwo wymieniałam na ich ziemskie dobra. I istniały dowody przemawiające przeciwko mnie: żmije, żywa i martwa, znalezione w

moim domu, moje DNA wszędzie na zwłokach Violet, nie wspominając o sfałszowanym testamencie.

To wszystko było dziwną kombinacją chaosu i kalkulacji. Umiejętność pobrania jadu żmii i wstrzyknięcia go przy użyciu strzykawki sugerowały pewien stopień wyrobienia, nie mówiąc już o wiedzy o hodowaniu najbardziej jadowitego węża znanego ludzkości. A jednak ataki w domu Hustonów i Poulsonów pozostawiono losowi. Czy szukałam przebiegłego zabójcy? Czy przeciwnie?

I biedny Bennie, który musiał walczyć z jadowitym wężem, gdy obaj tonęli. O co w tym chodziło, na Boga? I dlaczego ktoś zawracał sobie głowę żmijami, jeśli do dyspozycji miał tajpana czy nawet dwa? Czy papuaski wąż miał być zachowany na kogoś innego, kogoś ważniejszego?

W tym momencie byłam już chyba prawie zahipnotyzowana wzorem pod moimi stopami. Cztery rękojeści: czterech podejrzanych, cztery ofiary. Okrąg w środku wzoru mógł reprezentować przemoc, której wszystkie doznały. Ale rękojeści, sięgające do siebie, prawie formowały drugi, zewnętrzny pierścień. Czy istniał jakiś związek między ofiarami, którego nie dostrzegałam? I czy wskazałby on prawdziwego winowajcę?

Znowu wstaliśmy. Mój szwagier i pięciu mężczyzn z parafii podnieśli trumnę z mamą i opartą na ramionach wynieśli nawą przed kościół, a potem w słońcu przenieśli ją kilka metrów dalej na cmentarz. Krótki, wolny spacer. Jej ostatni.

– ...z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, mamy jednak pewną i niezachwianą nadzieję zmartwychwstania do życia wiecznego.

Tata odczytywał modlitwy, a w tym czasie ciało jego żony spuszczone było do ziemi. Vanessa rzuciła na trumnę rozwiniętą białą różę. Jessica i Abigail, na znak matki, uczyniły to samo, tylko że ich róże były jeszcze w pąkach. Dla Vanessy tego rodzaju szczegóły były ważne. Ja nie miałam nic, dlatego tylko przykucnęłam przy grobie i wsunęłam dłonie w miękką gliniastą kupkę przygotowanej ziemi.

– Claro, przyniosłyśmy dla ciebie to.

Vanessa klęczała obok mnie, brudząc sobie swoją nową czarną jedwabną

sukienkę. Coś mi podawała, a ja ledwie mogłam to zobaczyć...

– Dziewczynki zebrały je rano – powiedziała. – To twoje ulubione, prawda? Zawsze...

Zamrugałam i sięgnęłam po maleńki bukiet. Vanessa pomogła mi podźwignąć się i potem zdołałam jakoś wyciągnąć rękę i otworzyć dłoń. Nie widziałam, jak drobne porcelanowobłękite kwiatki spadają w dół.

Ludzie wokół mnie poszli za moim przykładem: brudzili sobie ręce słodko pachnącą ziemią, która miała ocieplić ostatni dom mojej matki. Jeden za drugim, gdy ja szłochałam na ramieniu starszej siostry, podchodzili, nabierali garść ziemi i rzucali na trumnę. Wyglądało to tak, jakby każdy pozostawiał tam małą cząstkę siebie po to, by osłodzić mojej matce jej długi i samotny sen.

A kiedy było już prawie po wszystkim, kiedy niezapominajek nie było już prawie widać, uświadomiłam sobie, że jednak mam coś dla mamy. Mogłam jej przebaczyć.

## 37

**W**szyscy goście wyszli – nawet Vanessa z rodziną wróciła do domu – pozostawiając tatę i mnie z lodówką załadowaną resztkami i domem osnutym smutkiem. Po późnej kolacji, na którą żadne z nas nie miało ochoty, tata zniknął napisać listy z podziękowaniami. Jego gabinet znajdował się na tyłach, okno wychodziło na ogród. Z niego nie mógł widzieć policyjnego wozu, który stał zaparkowany bezpośrednio naprzeciwko domu. Wbrew temu, co mówił Matt, wiedziałam, że nadal jestem głównym podejrzanym Taskera.

Poszłam na górę, do swojego dawnego pokoju. Za poradą Matta wzięłam sobie tydzień urlopu w pracy i już teraz zastanawiałam się, co zrobię z wolnym czasem. Praca, sen, bieganie. Tylko to znałam, tylko to potrafiłam. Otworzyłam laptop, wywołałam wyszukiwarkę i wpisałam do niej „rzymskie egzekucje”. Jak powiedział Matt, trop Witcherów prowadził donikąd. Musiał istnieć jakiś inny ślad, który pchnie nas do przodu.

Pojawiło się wiele wyników, ale żaden nie wyglądał na pomocny. Wróciłam więc do wyszukiwarki i wpisałam „pies, wąż, małpa”. Bez większej nadziei wcisnęłam Enter.

I pokazała mi się łacińska fraza, która od razu mi się przypomniała, choć ostatnio widziałam ją wiele lat temu. *Poena cullei*: kara worka. Tak jak zapamiętałam, powiązane z karą zwierzęta – wąż, pies, małpa i kogut – miały znaczenie symboliczne: wąż, zwykle żmija, był jednym z groźnych zwierząt, których bano się w starożytnym Rzymie najbardziej, wybranym dlatego, że jego narodziny najczęściej oznaczały śmierć jego matki. Pies był w tamtych czasach stworzeniem pogardzanym, mniej niż pies – to jedna z najgorszych obelg, jaką Rzymianin mógł obrzucić innego. Kogut był ponoć pozbawiony

wszelkich synowskich uczuć, mała natomiast symbolizowała istotę ludzką w jej najbardziej zdegradowanej formie. Pogarda? Degradacja? Sprowadzenie śmierci na własną matkę? To wszystko układało się w jakąś ponurą, choć sensowną całość; bo *poena cullei* było karą wymierzaną tym, którzy dopuścili się matkobójstwa lub ojcobójstwa: niewybaczalny grzech morderstwa popełnionego na najbliższym członku rodziny.

Mało pocieszająca lektura w dniu pogrzebu matki.

Ale jakie możliwe znaczenie mogło to mieć w odniesieniu do Violet? Czyżby ktoś uważał, że zabiła bliskiego krewnego? I jak to się miało do wszystkiego innego, co się działo? Johna Allingtona znaleziono w wodzie, zanurzony do połowy, leżał w stawie we własnym ogrodzie. Ukąsił go wąż (albo nie) i potem prawie utonął. Ale...

Siedziałam tam, łamiąc sobie głowę, przez zdawało się wieczność, jednak wszelkie sensowne odpowiedzi mi umykały. Trop z Witcherami może i prowadził donikąd, ale *poena cullei* nie chciała nawet ruszyć z miejsca.

Dwie ofiary i dwie zamierzone ofiary. Małą Sophię musiałam na razie odstawić na boczny tor – nie miałam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób się w to wszystko wpasowywała. Nie mogłam się jednak pozbyć uczucia, pomijając kwestię miejsca znalezienia tajpana, że to Ernest Amblin, najstarszy członek rodziny Poulsonów, był prawdziwym celem zabójcy tamtej nocy.

Przypomniały mi się krzyki przeszywające noc, rodzina wybiegająca z domu, płacz dzieci, ojciec ledwie trzymający się na nogach, dziadek w głębokim szoku. Zaledwie kilka godzin wcześniej Ernest Amblin uczestniczył w zebraniu u Clive'a Ventry'ego. Był jedną z pięciu starszych osób siedzących razem w odległym końcu pokoju, sprawiających wrażenie przyczajonych, nieufnych. Nie – nie nieufnych – przerażonych.

Czy starzy ludzie byli jednak kluczem do tej zagadki? Tasker i Knowles zastanawiali się, czy nie żeruję na starszych osobach, czy nie wkupuję się podstępem w ich łaski. A jeśli mają rację, jeśli rzeczywiście celem są starzy ludzie, myślą się tylko co do motywu?

Były cztery incydenty z węzami – John Allington, Violet i Ernest Amblin wszyscy mieli swoje lata. Przypomniały mi się płytki na posadzce kościoła,

cztery kształty podobne do rękojeści mieczy, połączone kołem. Czy w przeszłości tych ludzi było coś, co ich ze sobą łączyło?

„Nie ma sensu mnie pytać o tamtą noc, kochanie. Tak naprawdę nigdy nie wiedziałam, co się wtedy stało”.

Z tym pożarem było coś dziwnego.

Znowu wracałam do pożaru z 1958 roku, który bezpośrednio lub pośrednio zabił cztery osoby i spowodował, że trzech braci Witcher opuściło wieś. Co takiego działo się tamtej nocy, co po pięćdziesięciu latach wciąż wywoływało reperkusje? Pogrzebałam w torebce i znalazłam notes. Podczas wizyty w bibliotece przepisałam relację gazety o pożarze i śmierci Joela Morgana Faina i Larry’ego Hodgesa. Sprawdziłam, co napisałam, potem zesłam na dół, przemierzyłam dom, w którym było stanowczo zbyt cicho, i zapukałam do drzwi gabinetu ojca, zanim je otworzyłam. Odwrócił się do mnie i spróbował uśmiechnąć. Przed nim leżał papier listowy. Wyglądało na to, że nie napisał ani słowa.

– Hej, tato.

– Cześć, kochanie. Wybacz, nie powinienem zostawiać cię samej, nie dzisiaj.

Widać było, że ojciec cierpi, przytłoczony smutkiem. Myślenie, mówienie, robienie czegokolwiek, co nie miało związku z mamą, wydawało się złe, ale czy miałam wybór? Ja też czułam się przytłoczona, też miałam problem, który mi ciążył.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedziałam, siadając obok niego. – Nie ma to związku z... rodziną, ale może być ważne.

Skinął głową, nawet jakby się ucieszył, że na chwilę oderwie się od własnych myśli. Opowiedziałam mu o pożarze, o mężczyznach, którzy w nim zginęli, a potem zapytałam, co amerykański pastor Kościoła Zielonoświątkowego mógł robić w gminnym Dorset w latach pięćdziesiątych.

– W Stanach na przełomie dwudziestego wieku wiele się działo – odparł ojciec, nie do końca patrząc mi w oczy i lekko marszcząc czoło, jakby odgrzebywał dawno zakopane wspomnienia. – Grupy rozłamowe, odłamowe, odnowy. Powstało wtedy wiele nowych charyzmatycznych kultów, ruch

zielonoświątkowy bezwzględnie datuje się od tamtego okresu.

– Ale to było pięćdziesiąt lat później.

Podniósł jedną rękę, jego stara metoda uciszania mnie.

– Po jakimś czasie wszystko się uspokoiło – kontynuował. – Niektóre grupy zawzięcie zwalczano, ale potem, około tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, znowu zaczęły się odradzać. Bez wątpienia miało to związek z wojną. Te grupy przyjmowały różne formy, wszystkie jednak łączył entuzjazm graniczący z fanatyzmem, dosłowna interpretacja Biblii oraz wiara, że Bóg przekazał niektóre ze swoich nadprzyrodzonych mocy rodzajowi ludzkiemu.

Wiesz, co to są charyzmaty?

– Dary, tak? Ducha Świętego.

Ojciec kiwał głową.

– Te wszystkie sekty wierzyły w dary udzielane przez Boga człowiekowi. Niektóre grupy nazywały je znakami, ale chodziło o to samo.

– I te dary, znaki, co to było konkretnie?

Wzruszył ramionami.

– Uzdrawianie chorych, tego rodzaju rzeczy. Przeważnie zupełnie nieszkodliwe. I mówienie dziwnymi językami, to zawsze cieszyło się popularnością.

– Czyli kiedy ludzie w kościele podczas mszy skaczą i zaczynają wydawać dziwaczne dźwięki, brzmiące jak kompletny bełkot, to jest to jeden z tych charyzmatów, znaków, tak?

Ojciec uśmiechnął się.

– Napisano tomy o mówieniu językami. Z jednej strony ludzie argumentują, że gdy święty Paweł mówił o swoich uczniach, że będą mówić językami, miał na myśli to, że poznają obce języki i dzięki temu łatwiej im będzie głosić Słowo Boże.

– Brzmi sensownie.

Tata kiwnął głową.

– Akurat ta doktryna obstaje za tym, że charyzmaty zostały udzielone ludziom na krótko, na lata zaraz po śmierci Chrystusa; że to nonsens twierdzić, że mają znaczenie dzisiaj. Z drugiej strony niektórzy wierzą, że charyzmaty,



znaki, miały być udzielone na zawsze i że to, co nazywasz bełkotem, jest w rzeczywistości językiem aniołów.

– Wiesz co, to słowo „znaki” z czymś mi się kojarzy. – Sięgnęłam po swój notes. Przewertowałam go i znalazłam treść inskrypcji umieszczonych na grobach czterech zmarłych mężczyzn. – Spójrz, to było na grobie Larry’ego Hodgesa. „A takie znaki będą towarzyszyć tym, którzy uwierzą”.

– To Ewangelia według świętego Marka, jeśli mnie pamięć nie myli. Tak, to zdecydowanie wskazuje na charyzmatyczną sektę działającą w twojej wiosce w tamtych czasach.

– Czy to było coś niezwykłego?

– Niezwykłego, na pewno. Ale nie niespotykanego. A ten na czym był nagrobku?

Nachyliłam się. Ojciec patrzył na napis, który skopiowałam z pomnika na grobie pastora Faina: „I zejdzie do nas jako ostatni deszcz nawodnić Ziemię”.

– Och, teraz pamiętam – rzuciłam. – W gazecie też o tym pisali, coś, że był członkiem Kościoła Późnego Deszczu. Ale dlaczego pytasz, co... – przerwałam. Nie podobał mi się wyraz na twarzy ojca. Patrzyłam na niego, a on ściągnął okulary i oparł się o krzesło.

– Powiedzmy tylko, że to nazwisko uruchamia ostrzegawcze dzwonki – rzekł w końcu. Podniósł okulary ze stołu i sięgnął do kieszeni spodni. Siedziałam i czekałam na dalszy ciąg. – Kościół Późnego Deszczu powstał gdzieś w Kanadzie w latach czterdziestych, więc czas się zgadza – powiedział, wyciągając chusteczkę. – Ten pastor Fain mógł być jednym z jego pierwszych kapłanów.

– Nigdy nie słyszałam o tym Kościele. O co chodzi z jego nazwą?

– „Późny deszcz” to nawiązanie do deszczu pod koniec lata, który pomaga plonom dojrzewać – wyjaśniał ojciec, zarazem polerując najpierw jedną soczewkę, potem drugą. – W tym konkretnym kontekście oznacza ostatnie dni przed końcem świata, sprowadzonym na ziemię przez Boga. Ludzie, którzy założyli ten ruch, wierzyli, że w ostatnich dniach istnienia człowieka dojdzie do zalewu znakami, charyzmatami. I ta wiara nadal stoi u podstaw działalności tego ruchu.

– To on wciąż istnieje?

– Jak najbardziej. Z czasem początkowa doktryna została nieco zmodyfikowana. Wielu z logiczniej myślących członków zdystansowało się od niej, odrzuciło kontrowersyjne tezy i założyło nowe ruchy. Ogólnie uznaje się, że ludzie ci mieli raczej pozytywny wpływ na kościoły charyzmatyczne i zielonoświątkowe. Kościół Późnego Deszczu istnieje i ma się dobrze. Powiedziałbym, że przewodzą mu ludzie godni szacunku, mający dobre intencje, głęboko wierzący i wykonujący dużo dobrej roboty.

– Czyli, jeśli pastor Fain był członkiem Kościoła Późnego Deszczu, niekoniecznie musiał to być jakiś problem?

Tata pokręcił głową.

– To, o czym przed chwilą mówiłem, odnosi się do Kościoła takiego, jaki jest dzisiaj. W przeszłości, w latach czterdziestych, wczesnych pięćdziesiątych, ten ruch dopiero raczkował. Wyglądał zupełnie inaczej.

– Jak? Opowiedz.

– Przyciągał sporo niezrównoważonych osób. Ludzi szczerze wierzących lub udających, że wierzą, że koniec świata jest bliski. Jego przywódcy nazywali siebie Bractwem Eliasza, świętymi, rzekomo wybranymi przez Boga, wysłanymi, by poprowadzić prawych ku chwale na koniec dni. Wierzyli, że zwykłe zasady życia na ziemi już nie obowiązują.

– To był kult końca świata?

Ojciec z powrotem włożył okulary.

– Nie lubię używać słowa „kult” w odniesieniu do żadnego Kościoła, ale w tym przypadku sędzę, że ten twój pastor Fain mógł być niebezpiecznym osobnikiem. Mówiło się, że ten jego ruch oddawał się bardzo podejrzanym, wręcz zbliżonym do okultystycznych praktykom.

Ojciec wstał. Przez chwilę myślałam, że stracił zainteresowanie, uznał, że ma dość rozmów, które nie dotyczą mamy, ale przeszedł przez pokój i otworzył jedną z wbudowanych w ścianę szaf. Półki aż do sufitu zastawione były pudłami z kartotekami. Po kilku minutach wyciągnął jedno z nich, przyniósł do biurka i zdmuchnął kurz z pokrywki.

– Nie zaglądałem do niego od dwudziestu lat – rzekł. – W latach

siedemdziesiątych prowadziłem wykłady o kościołach charyzmatycznych. Zebrałem wtedy sporo dziwnej, lecz ciekawej literatury. Jeden gość wyróżniał się szczególnie. A, jest. Co o tym myślisz?

Podał mi czarno-pomarańczową broszurkę. Na okładce, wielkości książki w twardej oprawie, widniał prosty rysunek przedstawiający płonący ogień, całość liczyła nie więcej niż pięćdziesiąt stron. Broszurę napisał walebnny Franklin Hall. Spojrzałam na tytuł na okładce, potem na ojca.

– Formuła na wskrzeszenie zmarłych? – spytałam.

Tata uśmiechał się półgębkiem.

– Przypuszczalnie to jeden z ekstremalnych przykładów – powiedział – ale wcale nie taki nietypowy wśród tego, co Późny Deszcz wymyślał w początkowym okresie swojej działalności. Mamy też doniesienia o uzdrawianiu głodówkami, fascynacji zodiakiem, lewitacją, nagłymi spontanicznymi wybuchami ognia i dymu. I o wypędzaniu demonów.

Spojrzałam na niego.

– Egzorcyzmy? – upewniłam się, przypominając sobie opowieść Violet o tym, co robiono z Ulfredem. A jednak Ulfred, jeśli wierzyć Mattowi, nigdy nie istniał.

– Tak wynika z opowieści pastora Halla. Twierdził, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku w San Diego odbyła się seria spotkań. Tysiące ludzi przeszło głodówkę, w niektórych przypadkach trwającą nawet sześćdziesiąt dni. Zdaniem Halla jej wynikiem było wypędzenie demonów, chorzy psychicznie zdrowieli, znikwały objawy raka, chromi odzyskiwali władzę w członkach, a martwi powracali do życia.

– Dość odważne twierdzenia.

– O, i nie pierwsze takie. Za założyciela ruchu uważa się człowieka o nazwisku William Branham. W jego biografii znajduje się opis tego, jak w latach czterdziestych wskrzesił jakieś dziecko w Finlandii. Chłopiec zginął w wypadku drogowym. Branham sprowadził go z powrotem.

„Sprowadził z powrotem”. Dlaczego od tych dwóch niewinnych słów robiło mi się zimno? Gdybym posiadała moc wskrzeszania, czybym z niej skorzystała?

Spojrzałam na broszurkę, którą dał mi ojciec, i znów zaczęłam ją przeglądać.

– No więc, jak to się robi? – zapytałam, zastanawiając się, czy naprawdę chcę wiedzieć.

– Na pewno nie za pomocą jakiejś szatańskiej formuły. Każdy, wyobrażający sobie dziwne rytuały w kryptach, byłby zawiedziony. Z tego co pamiętam, podstawowym założeniem jest to, że gdy Chrystus mówił o zmartwychwstaniu, nie miał na myśli zmartwychwstania duchowego, tylko czysto fizyczne.

– „Wierzę w ciała zmartwychwstanie” – wyrecytowałam automatycznie.

– Właśnie – przytaknął ojciec. – Sam to powtarzam w kościele kilka razy w tygodniu. Tak czy inaczej, pastor Hall poszedł krok dalej i twierdził, że przy odpowiednio silnej wierze i po przejściu serii testów możemy wskrzeszać zmarłych już teraz. Nie musimy czekać na ponowne przyjście Chrystusa Pana.

– I mówi, jak to można zrobić?

– Cóż, jeśli chodzi o szczegóły, jest dość mętny, ale pamiętam, że kluczowe są długie modlitwy i post połączony z modlitwą.

– Post połączony z modlitwą?

– Długa głodówka, czasami kilkutygodniowa, bez jedzenia, za to przy modlitwach. Mało zachęcające, nawet dla mnie, muszę przyznać.

Przypomniało mi się, co mówił Matt o Archiem Witcherze, który wiernych ze swojego kościoła w Karolinie Południowej namawiał do długotrwałych głodówek, o młodej dziewczynie, która zmarła. Wyglądało na to, że dawne ekstremalne praktyki Kościoła Późnego Deszczu były stosowane nadal.

– Wyglądasz na zmęczoną, kochanie – zauważył ojciec.

Uśmiechnęłam się. Wątpiłam, żebym wyglądała na bardziej zmęczoną od niego.

– Jeszcze tylko jedno i dam ci spokój – obiecałam, przepychając notes, tak że znalazł się tuż przed jego nosem. – Czy te inne inskrypcje coś znaczą? Czy ta reszta też należała do tego Późnego Deszczu?

Tata chwilę przyglądał się napisom.

– Podaj mi tę czarną księgę – poprosił. Sięgnęłam przez biurko po dużą, oprawioną w skórę Biblię, która, odkąd pamiętałam, zawsze leżała w tym

samym miejscu na biurku ojca. Zaczął ją kartkować. – A tak, tak myślałem. To ze świętego Marka. Te dwa wersety brzmią: „A takie znaki będą towarzyszyć tym, którzy uwierzą: w moim imieniu będą wypędzać demony, będą mówić nowymi językami. Będą brać węże, a choćby wypili coś śmiernego, nie zaszkodzi im, na chorych będą kłaść ręce, a ci odzyskają zdro...” Co? – Ojciec przerwał. Zauważył wyraz mojej twarzy. – Co się stało, Claro? – spytał.

– A co z tym drugim? Tym na nagrobku Petera Morfeta? „Oto dałem wam władzę”. Rozpoznajesz ten cytat?

– Myślę, że to ze świętego Łukasza. – Tata przerzucił kilka stron. – O tutaj, rozdział dziesiąty, wers dziewiętnasty: „Oto dałem wam władzę stąpania po węzach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika, a nic wam nie zaszkodzi”. A teraz powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

– Pastor Fain był poskramiaczem węży.

Ojciec wyraźnie się zmartwił.

– Znowu węże?

– Pewna starsza kobieta, Violet, wspominała o węzach w powiązaniu z tym kościołem. Nie miałam pojęcia, o co jej chodziło, ale teraz to oczywiste. Fain mógł sprowadzić ze Stanów jadowite węże. Wtedy, w latach pięćdziesiątych, kontrola celna na pewno działała mniej sprawnie niż obecnie. Coś poszło nie tak i zginęli ludzie. Podobno dwóch mężczyzn zmarło na skutek zawału serca. Ale mogłabym się założyć, że to nieprawda. Mogłabym się założyć, że zostali pokąsani.

– Nie ma wzmianek o tym, żeby Kościół Późnego Deszczu praktykował poskramianie węży. Ludzie, którzy to robią, należą do zupełnie innego wyznania.

– Ale jedni i drudzy pochodzą z ruchów rozłamowych, odłamów Kościoła Zielonoświątkowego. A to jest jeden ze znaków, czyż nie? Moc poskramiania węży. Jeśli ci ludzie wierzyli w wylewanie darów Ducha Świętego, to dlaczego nie w to?

– Claro, to było pięćdziesiąt lat temu. Jaki związek...

– Niektórzy mają długą pamięć. – Wstałam. – Dzięki, tato, jesteś

nieoceniony. Pójdę poszperać w Internecie, zobaczę, co uda mi się znaleźć.

Ojciec westchnął.

– Oficjalna nazwa sekt praktykujących poskramianie węży to Kościół Boży z Widocznymi Znakami – powiedział. – Claro, jesteś pewna, że właśnie to powinno zaprzętać teraz twoją uwagę? Wszyscy potrzebujemy poświęcić trochę czasu żałobie. – Przerwał na chwilę. – Jest coś, co chciałabyś mi może powiedzieć?

Najbardziej chciałam wyjść, ale ojciec wydawał się tak bardzo przejęty.

– Myślę, że żyję w żałobie po mamie już od dawna – oznajmiłam. – I nie sądzę, żeby to był koniec. W tej chwili jednak muszę się skupić na czymś innym. I nie, nie ma nic, co chciałabym ci powiedzieć.

Ojciec nie wyglądał na najszcześliwszego, ale poza próbami zatrzymania mnie siłą nie mógł nic zrobić. Kiedy wróciłam na górę, moje pierwsze wyszukiwanie w Internecie przywołało setki odniesień do Kościoła Bożego z Widocznymi Znakami. Ruch powstał, niezależnie, w dwóch różnych miejscach Stanów Zjednoczonych. W pierwszej dekadzie XX wieku pastor George Hensley podczas niedzielnej mszy w jakiejś wsi w Tennessee podniósł żywego grzechotnika i praktyka się przyjęła.

W tym samym czasie w Alabamie pewien kaznodzieja o nazwisku James Miller uczynił coś podobnego. Ruch rozprzestrzenił się po południowych stanach Ameryki. George Hensley zmarł w 1955 roku w wyniku zatrucia jadem po ukąszeniu grzechotnika.

Przypomniała mi się uwaga Matta o treserach węży ginących od ukąszeń. I nerwowe pytania doktora Amblina o miejsce pochodzenia tajpana. Czy mógł być z Ameryki Północnej, pytał, zanim nieco się uspokoił, zapewniony przeze mnie i Seana, że nie. Może powinnam wcześniej się domyślić, co działo się w mojej wsi w 1958 roku?

Poskramianie węży, wypędzanie demonów? Potem przypomniało mi się coś jeszcze. Sięgnęłam po notes, przewertowałam go, aż znalazłam stronę z biografią pastora Joela Faina. Studiował klasykę na uniwersytecie. Mógł wiedzieć o *poena cullei*. Fain zginął pięćdziesiąt lat temu, ale jego wpływ najwyraźniej przetrwał.

Była dziewiąta wieczorem. Wiedziałam, że ojciec w ciągu godziny pójdzie się położyć i potem kilka godzin będzie czytał. Podeszłam do okna. Nieoznakowany wóz policyjny stał w tym samym miejscu co przedtem. Zaczęłam krążyć po pokoju. Chciałam wyjść, ale nie mogłam, sięgnęłam więc po komórkę i sprawdziłam wiadomości nagrane na moim telefonie domowym.

Wyjątkowo było ich kilka, wszystkie pozostawione wcześniej rano. Dwie od Vanessy, jedna od taty i jedna z kliniki – moi współpracownicy wyrażali nadzieję, że pogrzeb przebiegł spokojnie, oraz zapewniali, że czekają na mój powrót, ale dopiero gdy będę gotowa. Następną była od Sally.

„Hej, Claro – mówiła. – Wiem, że masz teraz sporo na głowie, ale pomyślałam, że to ważne. Ernest Amblin został dzisiaj wypisany, więc do niego zajrzałam. Zaczęliśmy rozmawiać o Edeline i Ernest powiedział, że pracowała jako sprzątaczką u większości zamożniejszych rodzin we wsi i że zawsze zostawała wiele godzin dłużej, niż jej za to płacono. Chyba łaknęła towarzystwa. Ale zdarzało się też, że nie pokazywała się w pracy całymi tygodniami i nikt jej we wsi nie widywał. Ernest podejrzewał, że była poważnie zaburzona, nigdy jednak nie udało mu się jej namówić, żeby zgłosiła się do poradni, żeby o tym porozmawiać. I oczywiście w tamtych czasach ludzie mieli słabą wiedzę o chorobach umysłowych. Tak czy inaczej, Walter zapewne próbował sam sobie z nią dawać radę. Może nawet przetrzymywał ją pod kluczem. Być może była to strona, od której ludzie go nie znali”.

Głos na nagraniu ucichł, gdy Sally zrobiła pauzę dla nabrania oddechu.

„Tak czy owak – podjęła wypowiedź – mam nadzieję, że dzisiaj wszystko potoczy się bez problemów. Wpadłam na Matta i dowiedziałam się od niego, że wyjechałaś na kilka dni. Daj znać, jeśli mogę w czymś pomóc”.

Sally była już chyba gotowa się rozłączyć, lecz nagle:

„Pamiętasz, że mówiłam, że Edeline sprzątała u ludzi? – powiedziała. – Podobno chwaliła się, że ma klucze do większości domów we wsi. Jeśli więc ludzie nie pozmieniali zamków i jeśli te klucze nadal są u Witcherów, to mogłoby to tłumaczyć, w jaki sposób ktoś dostaje się do domów”.

Sally pożegnała się i rozłączyła. Były jeszcze dwie kolejne wiadomości. Z tąsmi odezwał się znajomy i bardzo charakterystyczny głos.

„Claro, tu Sean North. Jest ósma rano, czwartek...”

O ósmej rano byłem już aresztowany. Zastanawiałam się, kiedy Sean dowiedział się, że on też jest podejrzany.

„Możesz do mnie zadzwonić? Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać. Albo po prostu wpadnij. Będę w domu cały dzień i jutrzejszy też. Do zobaczenia”.

Przycisnęłam guzik, żeby odsłuchać ostatnią wiadomość.

„Panno Benning, tu Denise Thompson, z hospicjum Paddocks. Bardzo mi przykro, że nie mogłam oddzwonić wcześniej, ale mieliśmy tu kilka pilnych sytuacji i obawiam się, że pani wiadomość zapodziała się pod dokumentami. Tak czy inaczej, pytała pani o pacjenta, Waltera Witchera. U nas godziny odwiedzin są od dziesiątej do dwunastej przed południem i potem od drugiej do czwartej. Niestety Walter od jakiegoś czasu nie czuje się najlepiej. Nie chciałabym pani niepokoić, ale jeśli pragnie się pani z nim zobaczyć, radziłabym uczynić to jak najszybciej”.



## 38

Z haczyka w kuchni zabrałam kluczyki do starego auta mamy i do garażu, gdzie to auto stało, pięćset metrów od domu. Parkowanie na ruchliwej ulicy zawsze stanowiło problem, a gdy każde z naszej czwórki miało już własny samochód, stało się po prostu niemożliwe, stąd dodatkowy garaż. Przebiegłam ogród, otworzyłam furtkę i idąc wzdłuż wąskiego brzegu rzeki, dotarłam do następnego ogrodu. Po przecięciu trawnika sąsiadów przez małą furtkę wysliznęłam się na ulicę. W wozie policyjnym nic się nie działo. Pochylona, chyłkiem przemknęłam do garażu.

Godzinę później zaparkowałam auto. Trwał przypływ i słychać było, jak fale rozbijają się o skały pięćdziesiąt metrów pode mną. W małym domku było ciemno, ale wydało mi się, że na tyłach dostrzegłam migotanie światła. Obeszłam dom, żwir na ścieżce głośno chrobetał pod moimi stopami. Z tyłu na trawie stał drewniany stół i dwa krzesła. Na stole płonęła osłonięta świeczka. Ogródek był nieduży, jakieś dwadzieścia metrów trawnika, niski płotek i potem krawędź klifu. Wysoki mężczyzna siedzący przy stole przyglądał mi się, gdy szłam. Kiedy byłam na tyle blisko, że mogłam zobaczyć odbijający się w czerni jego oczu blask księżyca, odezwał się.

– Powiedziano mi, że nie powinienem z tobą rozmawiać. – Podniósł małą butelkę do ust i napił się.

– Mnie powiedzieli to samo – wyznałam.

Podniósł butelkę wyżej.

– Masz ochotę? – spytał.

– W sobotę rano nie przyleciałeś z Indonezji – stwierdziłam. – Przyleciałeś z Papui-Nowej Gwinei. Policja wie, że to stamtąd pochodzi tajpan.

Sean rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Wiedzą to tylko dlatego, że go zidentyfikowałem. Choć nie ma to żadnego związku z tym, skąd przyleciałem. W tych czasach nie da się już przesznułować żywego gada samolotem.

Jeśli Sean był winny, potrafił to niezwykle zręcznie ukrywać.

– To byłeś w Papui-Nowej Gwinei czy nie? – spytałam.

– Tak. Byłem tam dziesięć dni z moim reżyserem, obmyślaliśmy nowy serial. Sześć odcinków, wszystkie kręcone na wyspach.

– W takim razie po co mówiłeś, że byłeś w Indonezji?

Westchnął.

– Jest taki gość w Stanach, też herpetolog, który od lat mnie szpieguje. Ilekroć wywęszy, że mam jakiś nowy pomysł, stara się zrealizować go pierwszy. Oczywiście wszystko robi taniej, żeby zebrać swoje wojska szybciej niż ja swoje. Jego programy są gówniane, ale jak już zrobi jakiś temat, nie ma większego sensu, żebym i ja go robił. Stąd ta sfingowana wyprawa do Indonezji. Chciałem tylko zmylić tropy.

– O.

– Uwierz mi, Claro, gdy ma się mój wygląd, nie przesznułujesz na cle pary cążek do paznokci, co dopiero śmiercionośnego węża. Mężczyzna w znoszonych ciuchach z długimi włosami jest zatrzymywany i przeszukiwany na każdym przejściu. To stały powód żartów mojej ekipy filmowej, przydzielają mi dodatkowy czas na odprawę na lotniskach.

Znowu podniósł butelkę do ust. Nie odrywał ode mnie oczu. Policja będzie w stanie sprawdzić jego zeznania, porozmawia z reżyserem, dowie się, czy herpetolog konkurent istnieje naprawdę. Ja nie musiałam tego robić. Wiedziałam, że Sean mówi prawdę.

– Napijesz się? – ponowił propozycję.

Chwilę się zastanawiałam. Ale tylko chwilę.

– Tak, chętnie.

Wstał, zaprosił gestem, żebym usiadła, i zniknął w domu. Zabłysło światło i

przez do połowy otwarte drzwi mogłam zobaczyć bardzo małą, czystą kuchnię. Odwróciłam głowę i spojrzałam na morze, gdy usłyszałam, że drzwi lodówki otwierają się i zamykają. Mewy leciały na północ, przelatując, rzucały ciemny cień na trawnik.

Powietrze było chłodne po upale dnia i bardzo nieruchome. Usłyszałam, że Sean wrócił i usiadł. Podał mi szklanę i przesunął w moją stronę butelkę z bursztynowym płynem. Odstawiłam szklanę i napiłam się prosto z butelki, tak jak Sean wcześniej. Na ściankach gardła poczułam ostry i cierpki, ale mało treściwy smak. Byłam zaskoczona. Spodziewałam się czegoś bardziej złożonego, czegoś mocniejszego.

– W lodówce mam wino, jeśli wolisz – powiedział.

– Nie, jest dobrze. Smakuje mi – zapewniłam, zresztą zgodnie z prawdą. Po sekundzie dodałam: – Mój pierwszy drink.

– Wieczoru? – Sean przekręcił krzesło, tak żeby mógł siedzieć bezpośrednio naprzeciwko mnie. Dalej wpatrywałam się w mroczne niebo, chociaż mewy już znikły.

– Życia – mruknęłam.

Sean nic nie powiedział, ale kiedy się do niego odwróciłam, przekonałam się, że mi się przygląda.

– Moja matka piła – wyjaśniłam. – Przez lata, zaczęła, zanim się urodziłam. Zrezygnowała z kariery profesjonalnego muzyka, żeby wyjść za wiejskiego klechę dwadzieścia lat od niej starszego. Potem przekonała się, że nie daje sobie rady z takim życiem.

Sean nadal się nie odzywał, ale jego oczy nie opuszczały mojej twarzy. Przestałam się tym przejmować, prawdopodobnie dlatego, że robiło się coraz ciemniej.

– Bardzo się starała – ciągnęłam, chcąc być uczciwa wobec matki. – Leczyła się, kilka razy była na odwyku. Czasami nie piła przez wiele miesięcy, ale wcześniej czy później zawsze nachodziło ją pragnienie, nad którym nie potrafiła zapanować.

Dłoń Seana spoczęła na mojej, drgnęłam, zaskoczona niespodziewanym kontaktem.

– Robi się zimno – powiedział, błędnie interpretując moje drzenie. – Powinniśmy wejść do środka.

– Nie, nie, tu jest dobrze – zapewniłam pospiesznie. – I tak za chwilę muszę się zbierać. Przyjechałam tylko o coś cię zapytać.

Zabrał dłoń, ale zrobił to niechętnie, tak mi się przynajmniej wydawało.

– Pytaj – zachęcił.

Przedstawiłam mu swoją teorię o tym, że amerykański kaznodzieja praktykował poskramianie węży w kościele w mojej wsi w latach pięćdziesiątych i że któreś nocy coś się nie udało i doprowadziło to do zniszczenia kościoła i śmierci czterech mężczyzn.

– To daleko posunięta hipoteza, wiem – powiedziałam – ale myślę, że ostatnie wydarzenia mogą być w jakiś sposób związane z tym, co się wtedy stało. Celem wydają się starsi ludzie, ci, którzy mieszkali tu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku.

– I gdybyś mogła zdobyć więcej informacji, być może udałoby ci się wskazać, kto za to odpowiada?

– Widziałam program, który kiedyś nakręciłeś, o poskramianiu węży – rzekłam. – I zastanawiam się, czy przy okazji nie dowiedziałeś się czegoś ważnego.

– Na przykład czego?

– Cóż, po pierwsze, jak to się robi. Jak ci ludzie mogą brać do rąk grzechotniki, a one ich nie kęsa?

– Kęsają. Zgony są dość częste.

– Tak, ale nie aż tak, jak można by się spodziewać. Niektórzy spekulują, że tym grzechotnikom usuwane są gruczoły jadowe albo że tuż przed mszą doi się je z jadu lub czymś odurza. Brałeś to pod uwagę, kiedy kręciliście film?

– Naturalnie. W jednym z kościołów pozwolili nam przebadać węże przed mszą. Dziesięć dorosłych grzechotników, wszystkie nietknięte, nie widać było żadnej ingerencji. Wszystkie śmiertelnie groźne. Przyglądaliśmy się, jak podnoszą je wysoko, owijają na szyi, przekazują od jednego wiernego do drugiego. Jestem pewien, że niektóre kościoły figują swoje sztuczki, ale nie wszystkie. W tamtym nie udawali.

– Jak oni to robili?

Sean uśmiechnął się.

– Cóż, mam pewną teorię. Chcesz posłuchać?

W odpowiedzi prawie się uśmiechnęłam, w ostatnim momencie zdążyłam się jednak powstrzymać.

– Tak, chętnie.

– Słyszałaś kiedyś o Ofitach?

– O czym?

– Ofici. Znani również jako Serpentynianie. To gnostyczna sekta z Afryki Północnej powstała około dziesiątego wieku.

– Gnostyczna... jak ci wcześnie heretycy, którzy chcieli więcej wiedzy duchowej niż ta dostępna w tradycyjnym Kościele?

– Córka pastora, co? Cóż, takich sekt w tamtych czasach było całe mnóstwo, ale wszystkie łączyło to, że przywiązywały duże znaczenie do węża z opowieści o Adamie i Ewie. Dla nich biblijne drzewo poznania dobra i zła z Edenu symbolizowało bezpośrednio gnozę lub inaczej poznanie. A wąż był strażnikiem owego drzewa, strażnikiem wiedzy, jeśli wolisz. Dla nich wąż symbolizował zrozumienie i oświecenie.

– Rozumiem. To zupełne przeciwieństwo wersji biblijnej, w której wąż reprezentuje szatana.

– Istotnie. Ofici postrzegali węża jako bohatera opowieści, a Boga jako zło, próbujące zabronić Adamowi i Ewie dostępu do wiedzy. – Sean odchylił się wraz z krzesłem do tyłu. – Patrząc od strony metafizycznej – ciągnął – można nawet zrozumieć ich punkt widzenia. Z jednej strony oferowana jest ci wiedza, mądrość. Z drugiej, jesteś trzymany w ignorancji jak dziecko. Co twoim zdaniem można nazwać złem?

– Powinieneś tę rozmowę przeprowadzić z moim ojcem.

– Z wielką ochotą. Tak czy inaczej, sekty te otaczały węże czcią, nawet je wielbiły. Ich zdaniem wąż pozwolił Adamowi i Ewie poznać w Edenie prawdę. I, według licznych zapisków, poskramianie węży odgrywało istotną rolę w rytuałach tych sekt: węże owinięte na hostii, tego typu rzeczy.

Otworzyłam usta, żeby mu przerwać. Jego opowieść była ciekawa, ale nie

widziałam, dokąd zmierza.

– Kolejnym powodem, dla którego Ofici nie byli popularni wśród chrześcijan – podjął opowieść, nie dając mi szansy na odezwanie się – była ich rozwiążłość. Nietrudno dostrzec symboliczne znaczenie węża w tego rodzaju aktywności. Chcesz wejść do środka? Zrobiło się naprawdę chłodno.

Sean po raz wtóry próbował się podnieść, ale podniosłam rękę, żeby go zatrzymać.

– Jakie to ma znaczenie? Współczesne sekty poskramiaczy węży nie oddają im czci. Dla nich to symbol szatana, którego mogą pokonać, jeśli tylko ich wiara będzie dostatecznie silna.

– Tak, i właśnie tutaj popełniają fundamentalny błąd. Ale nawet pomimo opacznej motywacji, gdy praktykują poskramianie węży, podłączają się pod coś pierwotnego.

– Dlaczego?

– Tradycja poskramiania węży w kręgach religijnych sięga tysięcy lat wstecz. Na długo zanim George Hensley podniósł grzechotnika, Indianie Hopi z Ameryki Północnej odprawiali coroczne rytuały poskramiania węży, które miały im zagwarantować dobre zbiory. Istnieje wiele wzmianek mówiących o poskramianiu węży w wielu częściach Afryki i Azji. Podobno matka Aleksandra Macedońskiego, Olimpias, była poskramiaczką węży.

Chwilę myślałam.

– W porządku, wszystko to rozumiem. Ale moje pytanie brzmi: jak? Jak oni to robią, że nie dzieje im się żadna krzywda?

– Wracamy do gnostycyzmu. Współczesne kościoły gnostyczne, duchowi następcy Ofitów, jeśli wolisz niepraktykujące już poskramiania węży, były bliskie zrozumienia, jak to się robi.

– Mów dalej.

– Kościoły gnostyczne podkreślają znaczenie nauki poprzez osobiste doświadczenie. I przywiązują wielką wagę do połączenia się z czymś, co nazywają pleromą.

– Sean, zaczynam się gubić.

W tym momencie prawie już nie widziałam jego twarzy, jednak błysk w

jego oczach powiedział mi, że znowu się uśmiecha.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – poprosił. – Pleroma reprezentuje wszystko, co boskie we wszechświecie, coś jak wewnętrzne jądro w sercu wszystkiego. Jeśli podłączysz się do pleromy, będziesz widziała boskość i doświadczała jej we wszystkim. Moja teoria jest taka, że poskramiacze, ci odnoszący sukcesy, widzą tę boskość w węzach. Tak jak widziały to niezliczone inne kultury na całym świecie. To dlatego nic im się nie dzieje.

– O rany.

– Spokojnie, nie spiesz się – mruknął wesoło.

– Zaczynam żałować, że zapytałam. A więc mówisz, że ci poskramiacze, nie wiedząc o tym, łączą się z jakąś formą kosmicznej boskiej energii, która istnieje w węzach?

– Wiedziałem, że w końcu załapiesz.

– No nie, proszę cię...

– Claro, to tylko zachodnia cywilizacja, zdominowana przez judeochrześcijańskie religie, postrzega węża jako zło. Wymień mi każdą inną kulturę: hinduską, grecką, nordycką, rdzennych Amerykanów, i wąż pojawi się w jej mitologii częściej niż jakiegokolwiek inne zwierzę na planecie i prawie zawsze jako siła pozytywna. Wąż reprezentuje mądrość, nieśmiertelność, życie, płodność, wiedzę.

Mój umysł nie był w stanie przyjąć więcej.

– To tylko węże, Sean. Gady bez nóg.

Pokręcił głową.

– To dlaczego kultury na całym świecie włączają węża do swoich mitów o stworzeniu? Jest mnóstwo bogów przedstawionych w formie węża, Quetzalcoatl w Ameryce Środkowej, Aidophedo w Afryce Zachodniej, w Kambodży widuje się kamienne rzeźby węży strzegące świątyń. No i jest ten grecki mit o Eskulapie, który węzami okładał ciała chorych. Węże je wylizowały i chorzy zdrowieli.

– Obrzydliwe.

– Ten sam mit opowiada o ludziach odzyskujących słuch i wzrok po wylizaniu uszu lub oczu przez węża. Dlaczego twoim zdaniem wąż jest jednym

z symboli współczesnej medycyny?

Westchnęłam.

– Bardzo to wszystko fascynujące, ale nie pomoże mi odkryć, w jaki sposób spłonął nasz kościół.

– Cieszę się, że o tym wspomniałaś. Ponieważ, wbrew temu, co mogłaś czytać w Księdze Rodzaju, wąż jako symbol pozytywny występuje również w wierzeniach chrześcijańskich.

– Gdzie?

– W Ewangelii według świętego Jana. „A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego”.

– Trochę to niejasne.

– Księga Liczb. „Wtedy rzekł Pan do Mojżesza: »Sporządź węża i umieść go na wysokim palu; wtedy każdy ukąszony, jeśli tylko spojrzy na niego, zostanie przy życiu«”.

– Nadal nic mi to...

– Ewangelia według świętego Mateusza. „Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie!” Przy okazji, mówi to sam Jezus Chrystus.

– Dobrze już, dobrze, przekonałeś mnie.

– Słyszałaś o gematrii, praktyce przydzielania liczb literom i określania wartości liczbowej słowa?

– Hm – mruknęłam. Nie słyszałam, ale istniała granica tego, na jak wielką ignorantkę chciałam wyjść.

– Jeśli użyjesz hebrajskiej gematrii, wartość numeryczna słowa „wąż” wynosi 358. Zgadnij, jaką wartość ma słowo „zbawiciel”?

Nie było sensu odwlekać nieuniknionego.

– 358, tak?

– Tak. Byłaś kiedyś w Mediolanie?

– Nie.

Wstał.

– Chodźmy do środka. Muszę ci coś pokazać.

Teraz już kompletnie ogłupiała, zaczekałam, aż zbierze butelki po piwie i poszłam za nim do domu. Przeszliśmy przez kuchnię i skręciliśmy w prawo.



Na końcu korytarza Sean pchnął drzwi i gestem zaprosił mnie do środka. To była jego sypialnia.

Stałam w progu i wpatrywałam się w wielki obraz nad łóżkiem. Podeszłam bliżej. Obraz był reprodukcją przedstawiającą witraż, widok Kalwarii. Prawie cały środek zajmował ogromny krzyż, u jego stóp pochylone postaci, ale sam krzyż był pusty, nie było na nim figury Chrystusa. Zamiast niej na krzyżu wił się ogromny wąż.

– Zdaje się, że oryginał tego witrażu trafił do muzeum, ale wykonano go dla katedry mediolańskiej – oznajmił dumnie Sean, jakby był z siebie niezmiernie zadowolony. – Przedstawiam ci... Ukrzyżowanego Węża.

## 39

**N**ie mogłam oderwać oczu od obrazu nad łóżkiem. Wąż jako symbol Chrystusa? Lepiej niż większość ludzi znam religię chrześcijańską, ale o czymś takim nigdy dotąd nie słyszałam.

– To zdumiewające – powiedziałam.

– Nie pomaga?

– Nie jestem pewna.

Zbliżyłam się do obrazu, czując, że Sean idzie za mną. Nawet bez jego wykładu słyszałam już co nieco o ogromnym wpływie symboliki węża na światowe mitologie, ale nie miałam pojęcia, że sięgała tak głęboko. Wąż oplatał krzyż Chrystusa. To było niemal bluźniercze. A jednak witraż wykonano dla jednego z najsłynniejszych kościołów w Europie.

– W Kaplicy Sykstyńskiej jest fresk przedstawiający węża owiniętego na gałęzi – oznajmił Sean. – Ta sama scena znajduje się na sławnym obrazie Rubensa. Ściśle rzecz ujmując, dzieła te przedstawiają Spiżowego Węża, bożka, którego Mojżesz stworzył na pustyni, wyobrażenia jednak są bardzo podobne. Wąż na palu, wąż na krzyżu. Łatwo dostrzec, jak jedno prowadzi do drugiego.

– I istnieją ludzie, którzy potrafią stać się jednością z wężami? – spytałam.

– Widziałem to wielokrotnie.

Na sekundę oderwałam spojrzenie od obrazu.

– Ty to potrafisz?

– Nie. Wężę pokąsały mnie więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć. Ale widziałem, jak pewien wódz plemienia owija trzy papuaskie wężę smugowe na półnagim ciele młodej dziewczyny w noc przed jej zaślubinami. Była w

jakiegoś rodzaju transie narkotykowym, ale wódz nie. Wężę nie tknęły ani jej, ani jego. Widziałem indiańskie dzieci pomagające uzdrowiaczom, przez wiele godzin nosiły za nimi śmiercionośne kobry. Ci poskramiacze węży, o których mówisz, są prawdopodobnie jednym z najlepszych przykładów. Cały zbór przekazuje sobie węże. Ukąszenia się zdarzają, ale zwykle wtedy, gdy ludzie są zdekoncentrowani lub zdenerwowani, ale nawet wtedy tych ukąszeń jest o wiele mniej, niż powinno być. Wątpię, bym kiedykolwiek potrafił to do końca wyjaśnić, ale w pewnych okolicznościach, zwłaszcza w ekstazie religijnej, między człowiekiem a wężem może dojść do zespolenia.

Patrzenie na podobne rzeczy musiało być mocnym przeżyciem. Jeszcze mocniejszym, gdy się tego doświadczało samemu. Jeśli pastor Joel Fain miał tego rodzaju umiejętności, jakie opisywał Sean, potrafił łączyć się z wężami, jeśli potrafił przekazać to wiernym, mógł zyskać nad nimi kontrolę. A teraz ważne pytanie: co jeszcze kazał im robić, do czego jeszcze ich namówił?

Sean, stojący za mną, poruszył się. Odsunęłam się od obrazu. I dopiero wtedy się rozejrzałam. Pokój, w którym staliśmy, nie był duży. Na podłodze polerowana klepka dębowa, łóżko stanowiło jedyny mebel. Jedna ze ścian była cała ze szkła, za dnia widok przez nią wychodzący na morze musiał być fantastyczny. Warto się dla czegoś takiego budzić.

Odwróciłam się raptownie i niemal wpadłam na Seana, który wciąż wpatrywał się w obraz. On też się odwrócił i wyszedł z sypialni. Poszłam za nim, czując lekkie ukłucie żalu w sercu.

Pokonaliśmy korytarz, minęliśmy kuchnię. Sean otworzył drzwi, odsunął się i wpuścił mnie pierwszą do dużego pokoju. Przystanęłam na progu i odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Starał się nie pękać z dumy, ale niezupełnie mu to wychodziło. Sięgnął do ściany i zapalił światło. Oświetlenie zmieniło się natychmiast z ciepłego białego w ciężkie szkarłatne cienie podczerwieni. Przeszłam na środek pokoju i stałam tam, wchłaniając w siebie widoki.

– O rany – rzuciłam, wolno się obracając. – Fantastyczne.

Pokój był duży, ciągnął się przez całą szerokość domu i zajmował prawie całą jego długość. Zrozumiałam, że pozostałe pomieszczenia – kuchnia,

sypialnia, łazienka – specjalnie były tak małe przy zachowaniu ich funkcjonalnego charakteru. Salon stanowił treść domu.

Tak jak w sypialni, tu też jedna ściana była szklana i wychodziła na morze. Resztę zajmowały sięgające od podłogi do sufitu wielkie wiwaria ze szklanymi frontami. Ich posadzki pokrywał karmazynowy piasek, jaskrawe barwne skałki i spłowiałe kawałki drewna. Misternie rzeźbione paprocie i szerokie aksamitne liście tropikalnych roślin dosięgały każdego punktu. Ukryte oświetlenie nadawało zieleni roślin odcieni szmaragdowych, złotych i żółtych; na tylnych ścianach widniały reprodukcje starożytnych malowideł naskalnych.

Klatki z tropikalną roślinnością, skalnymi formacjami i rzeźbami z drewna fascynowałyby nawet bez podłużnych eleganckich stworzeń, które zwisając z gałęzi lub owijając się wokół skałek, obserwowały nas.

Podeszłam do największej z klatek. Wąż w środku, który musiał mieć co najmniej trzy metry, podniósł się z ziemi, aż jego głowa znalazła się prawie na poziomie mojej. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Łuska węża była złota, nadzwyczajnie duża z tyłu głowy; na plecach biegł biały odwrócony szewronowy wzór. Nie odrywając ode mnie wzroku, wąż przechylił się lekko w prawo, potem w lewo. Musiałam zwalczyć impuls, każący mi zakołysać się wraz z gadem. Uświadomiłam sobie, że szczypią mnie oczy i że nie mrugałam już od kilku sekund.

– To kobra? – spytałam prawie szeptem.

– To jest Taka. Czteroletnia kobra królewska – potwierdził Sean. – Został przejęty na cle. Był wtedy jeszcze mały, ale poważnie okaleczony po podróży i żadne zoo, które mogłoby go przyjąć, nie chciało tego zrobić. Obawiali się, że nie będą potrafili go wyleczyć. Chyba cię polubił.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie rozłożył kaptura.

Ruszyłam dalej, okrążając pokój. Minęłam szczupłego jasnozielonego węża o nazwie trwoźnica pospolita, który, jak mi wyjaśnił Sean, należał do rodziny grzechotnikowatych i występował w lasach tropikalnych i gajach bambusowych Azji. W klatce, w której było dużo wody, zobaczyłam żmiję rogatonosą, długą na półtora metra, jaskrawo ubarwioną z niebieskimi, żółtymi

i szkarłatnymi łuskami i z dwoma wypustkami w kształcie rogów na nosie. W podczerwonym świetle węże były bardziej aktywne niż te, które kiedykolwiek widziałam. Byłam świadoma powolnych płynnych ruchów wszędzie dookoła mnie.

Kiedy już się naoglądałam, napodziwiałam i zostałam przedstawiona wszystkim siedmiu węzom dzielącym z Seanem jego salon, odwróciłam się do niego. Po raz pierwszy, odkąd przyjechałam, nie patrzył na mnie, najwyraźniej równie zauroczony jak ja, chociaż widział te węże codziennie.

– Dlaczego tak bardzo lubisz węże? – spytałam go, a on wtedy znowu odwrócił się do mnie.

– To najpiękniejsze, najbardziej fascynujące stworzenia na całej ziemi – odparł, jakby to było coś oczywistego.

– Tak, są ładne, ale...

– Ładne? – Otoczył ręką moje plecy i delikatnie podprowadził mnie do żmii rogotonosej. – Są jak brylanty – rzekł. – Im bliżej podchodzisz, tym bardziej fascynują. – Staliśmy, patrząc, jak wąż wpełza wolno na kłoc drewna.

– Piękne, ale zimne – zauważyłam i przesunęłam się pod następną klatkę, przy okazji strząsając rękę Seana z pleców. – Nie mają mimiki, są samotnikami, nie nawiązują kontaktu z właścicielem i stresują się, gdy się je bierze na ręce. – Bawiłam się w adwokata diabła; w głębi serca całkowicie się zgadzałam, że węże są wspaniałe, tak jak wspaniałe było słuchać Seana, gdy o nich opowiada. – Mnie jakoś nigdy specjalnie nie powalały – dokończyłam.

– To kwestia płci. Tylko mężczyźni mogą naprawdę docenić węże.

Zerknęłam na niego z ukosa, sądząc, że dostrzegę sprośne spojrzenie albo kpiący uśmiezek. Był całkowicie poważny, wzrok miał utkwiony w małym śmiesznym wężu, który do połowy zakopał się w głębokim piasku.

– Właściciele węży to najczęściej mężczyźni – ciągnął. – Myślę, że fascynuje nas ich moc.

Sean wydawał się zahipnotyzowany. Gdyby nie zaczął znowu mówić, pomyślałabym, że o mnie zapomniał.

– I są niesamowitymi myśliwymi – dodał. – Ta ich szybkość i siła. To coś

graniczącego z cudem. Ofiara po prostu znika, ciało, kości, sierść, wszystko. Są nieomal personifikacją śmierci. I zrzucają własną skórę, i wyłaniają się nowe i lśniące. To jak reinkarnacja. Życie i śmierć. Po prostu fundamentalne. – Odwrócił się do mnie – A ty wolisz jaszczurki. – Dokuczał mi, ale łagodnie, nie wydawało się, żeby naprawdę mu przeszkadzało, że wolę inne, nie aż tak dziwne gady. – W naturze – ciągnął, zerkając na pasiasty czubek ogona wystający z piasku – nawet w miejscach, do których jeżdżę, ogromnie trudno jest zobaczyć węża. Są takie szybkie, takie płochliwe. Tylko w niewoli możemy naprawdę docenić ich piękno. Ale one nigdy nie są nasze.

– Widzę, że pociąga cię tajemniczość – zauważyłam.

Znowu na mnie spojrzał.

– Zawsze – zgodził się.

Poczułam, że twarz robi mi się gorąca.

– Gdzie jest tajpan? – spytałam, rozglądając się wokół, tak jakbym mogła go przeoczyć.

– Sycząca Clara jest w aneksie na tyłach. To zabawne, ale wczoraj w nocy ktoś próbował się tam włamać.

– Co takiego?

– Nie denerwuj się – uspokoił, widząc moją zszokowaną minę. – Mam bardzo dobry system alarmowy. Ktokolwiek to był, dał nogę, zanim zdążyłem wygrzebać się z łóżka.

– Dziękuję ci – powiedziałam. – Że mi pokazałeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Siadaj.

Były tam tylko dwa fotele, na samym środku pokoju, obite skórą, na obrotowych podstawach. Między nimi stał nieduży stolik. Wyobraziłam sobie, jak Sean tam siedzi, kiedy zapada zmierzch, przyglądając się morzu, potem odwraca się, żeby popatrzeć na jeszcze wspanialszy widok wewnątrz pokoju. Przyłapałam się na zastanawianiu, kto zwykle siedzi w drugim fotelu. Opadłam na miękką skórę i odkryłam, że to możliwe być zdenerwowaną w obecności mężczyzny, a jednak nie chcieć wyjść. Potem moją uwagę przykuł jakiś dokument na stoliku. Podniosłam go.

– A to co?

Sean obrócił drugi fotel tak, żeby siedzieć do mnie twarzą.

– Twoje CV – odparł.

– Wiem, co to jest – odwarknęłam, trochę niepotrzebnie. – Ale co ono tutaj robi?

– Roger mi podesłał – wyjaśnił. – Chociaż nie o to do końca ci chodziło, prawda?

Czekałam, wiedząc, że masakruję go wzrokiem i nawet nie próbowałam tego powstrzymać.

– Zanim ściągnęli cię na zeznania do komisariatu, zostawiłem ci wiadomość z prośbą, żebyś się ze mną skontaktowała. Nie wiem, czy...

– Odebrałam ją. Dziś wieczorem. Dlaczego masz moje CV?

– Zawsze sprawdzam wykształcenie ludzi i ich kwalifikacje, zanim zaoferuję im pracę. Zdaje się, że w agencjach rekrutacyjnych to standardowa praktyka.

Musiała minąć chwila, zanim załapałam.

– Jakiego rodzaju pracę? – spytałam, myśląc, że musiałam coś źle zrozumieć. – Potrzebujesz kogoś do prowadzenia badań?

– No cóż, z pewnością to też. Ale tak naprawdę potrzebuję dodatkowego prezentera. Reżyser chce mieć młodą kobietę i wykwalifikowaną weterynarz pasowałaby jak ulał. Tajpany w Papui-Nowej Gwinei atakują bydło, krowy, owce, kozy. Gdyby się je leczyło, zaoszczędziłoby to fortunę miejscowej ludności. Oczywiście musiałybyś zrobić zdjęcia próbne...

Spuściłam oczy na dokument. Już nie słuchałam. W dole żołądka uformowało mi się coś bardzo zimnego.

– Chcesz, żebym występowała w telewizji? – zapytałam, przerywając mu.

– Cóż, powiedzmy to sobie od razu jasno, to ja nadal będę gwiazdą, ale tak, będzie trochę pracy przed kamerą.

– Spadają ci wyniki oglądalności? – wymamrotałam cicho, nie patrząc na niego.

– Przepraszam?

– Jadowite węże przestają już tak bardzo szokować, jak dotąd?

– Claro...

Odwrociłam się, żeby na niego spojrzeć, zobaczyłam, że oczy ma szeroko otwarte ze zdumienia, i ucieszyłam się.

– Mam lepszy pomysł – warknęłam. – Może lepiej zatrudnij kogoś z poparzeniami? Kogoś, kogo porządnie przypiekło. Tacy ludzie będą wyglądali przed kamerą naprawdę obrzydliwie. – Stałam. Nie pamiętałam, kiedy się podniosłam, ale stolik kawowy leżał na boku między nami. Sean też się podniósł i zrobił krok w tył, minę miał taką, jak mają ludzie, którzy nagle stwierdzają, że ich ulubiony pies okazał się niebezpieczny.

– Albo... już wiem... kogoś bez rąk i nóg – ciągnęłam, słysząc, że mówię coraz głośniej. – Będzie mógł pełzać po ziemi... zupełnie jak wąż. Albo, co powiesz... – Wokół mnie węże reagowały poszukiwaniem kryjówki na nagłą, niezwykłą ilość ruchu.

Zanim zdążyłam to zauważyć, Sean pokonał dzielącą nas odległość i chwycił mnie za ramiona.

– Przestań – nakazał spokojnie.

Wyszarpnęłam najpierw jedno ramię, potem drugie.

– Dziękuję za drinka i informacje – rzuciłam. – Więcej nie będę ci zawracała głowy. – Odepchnęłam go i ruszyłam do drzwi. Zdołałam zrobić dwa kroki, zanim znowu mnie chwycił.

– Nie, lepiej więcej nie zawracaj, do jasnej cholery. Ale najpierw uspokój się i wysłuchaj mnie.

– Chcę wyjść.

– A ja mam to głęboko gdzieś. Zachowujesz się idiotycznie i niegrzecznie. I wysłuchasz mnie, nawet jeśli będę cię musiał tu przetrzymać przez całą noc.

Wzięłam głęboki oddech.

– Jak, do diabła, ktoś, kto wygląda jak ja, mógłby pokazywać się w telewizji?! – wrzasnęłam do niego, zupełnie tracąc nad sobą kontrolę. – Całe życie spędziłam na próbach unikania tego, że się na mnie gapią, a ty chcesz mnie wrzucić ludziom na ekrany telewizorów, tak żeby kompletnie nieznanym osobom robiło się niedobrze od samego patrzenia na mnie. Co ty sobie myślałeś, do diabła? Jak możesz...

I to był koniec. Bateria padła. Nie sądzę, żebym wiedziała, co to jest



wyczerpanie, aż do tego momentu.

– Skończyłaś? – spytał Sean.

Nie odpowiedziałam. Nie miałam siły. Byłam wypalona.

– Wyniki oglądalności moich programów są w absolutnym porządku – ciągnął. W trakcie całego mojego wybuchu pozostawał irytująco, upokarzająco spokojny. – Po prostu uważamy, że drugi prezenter uatrakcyjniłby program. Jeśli krępujesz się swojej blizny, bo to jest tylko to, wiesz, blizna, możemy tak cię filmować, że nigdy nie będzie widoczna. Możemy kręcić znad twojego ramienia, z prawej strony, tak że widać będzie tylko twój profil. I przed ostateczną edycją damy ci obejrzyć materiał, żebyś go zatwierdziła.

Już mu się nie wyszarpywałam, ale mimo to nie miał zamiaru ryzykować. Trzymał mnie mocno.

– Myślę, że po jakimś czasie przyzwyczaiłabyś się i mniej stresowała, ale wszystko zależy od ciebie. Proponuję ci tę pracę, bo jesteś dyplomowanym weterynarzem i masz doświadczenie z tropikalnymi gadami. I częściowo również z powodu twojego wyglądu. Nie jestem chyba jedynym facetem na świecie, który uważa, że jesteś śliczna.

Kompletna cisza w pokoju. Nawet węże słuchały.

„...to jest tylko to, wiesz, blizna. Nie jestem chyba jedynym...”

To idiotyczne. Drwił sobie ze mnie z jakichś niewytłumaczalnych okrutnych powodów. Dalsza dyskusja z nim po prostu mijała się z celem. Powinnam się odwrócić i wyjść. Uścisk jego dłoni na moich ramionach zelżał i to był ten właściwy moment na posłanie mu ostatniego wściekłego spojrzenia, na okręcenie się na pięcie, na wyjście z tego domu. Jego dłoń podniosła się w górę i jednym palcem przeciągnął po linii mojego policzka w dół po prawej stronie mojej twarzy.

– Jesteś piękna – powiedział. W tej chwili mówił już szeptem. Potem palec poruszył się znowu, w dół, pod brodę i w górę po pomarszczonej, pofałdowanej skórze lewej strony. – I masz skazę. To sprawia, że jesteś też ogromnie intrygująca.

W pokoju zrobiło się ciemno i jedynym dźwiękiem w moich uszach był ryk morza, pięćdziesiąt metrów pod nami. Dopiero później, kiedy trochę się od

siebie odsunęliśmy, uświadomiłam sobie, że mnie pocałował.

Byłam zaszokowana, drżałam, nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić, co powiedzieć. Nie wiedziałam nawet, co mam myśleć. Jego ramiona otaczały mnie, jego ciało znajdowało się centymetry od mojego, nasze policzki nadal się stykały. Zapomniałam, że pachniał jak tropikalny las o brzasku.

– Zostaniesz? – wyszeptał.

– Dlaczego? – udało mi się wykrztusić przez gardło, które było takie, jakby ktoś je zaszył. A moje głupie pytanie zniszczyło ten moment, jak młot roztrzaskujący kryształ.

Sean roześmiał się i ramiona mu opadły. Kręcąc głową, dał krok w tył.

– Cóż, miałem nadzieję, że będziemy się kochać, ale jeśli masz coś innego na myśli...

Moje dłonie same podleciały mi do twarzy, żeby ją zasłonić. Za jaką idiotkę musiał mnie uważać?

– Może innym razem? – zaproponował.

– Przykro mi. Muszę iść. Nie powinnam... – Odwróciłam się i tym razem nic mnie już nie zatrzymało. Prawie pobiegłam przez pokój do kuchni. Już naciskałam klamkę drzwi na tyłach, kiedy zawołał za mną.

– Zaczekaj! Muszę ci coś dać!

Zatrzymałam się, bałam się na niego spojrzeć, ale usłyszałam, że otwiera drzwi lodówki. Kątem oka zobaczyłam, że coś do mnie wyciąga. Małe pudełeczko z kilkoma małymi fiolkami. Wzięłam je, przeczytałam etykietkę i spojrzałam w górę, szukając potwierdzenia.

– To zatwierdzona antytoksyna na ukąszenie tajpanów – poinformował. – Dostałem ją nieoficjalnie od kolegi z londyńskiego zoo. Jeśli zostaniesz ukąszona, musisz się zgłosić do szpitala. Jeśli nie będziesz mogła... cóż, przypuszczam, że będziesz potrafiła sama ją sobie podać, jeśli będziesz musiała... Masz strzykawki i całą resztę?

Kiwnęłam głową.

– To wszystko, na czym na razie możemy polegać – kontynuował. – Jestem w kontakcie z centrami walki z zatruciami w Londynie i w Liverpoolu, ale oni nie mają tej antytoksyny w swoich zapasach. Zamówili jakąś partię teraz, gdy

już wiedzą, że w kraju znajdują się niezarejestrowane tajpany, lecz miną dni, zanim zamówienie dotrze. Trzymaj to w chłodnym miejscu i blisko siebie. Jeśli zostaniesz pokąsana, masz tylko kilka godzin... wiesz o tym, prawda?

– Sean, to ty potrzebujesz antytoksyny. To ty zajmujesz się tajpanem.

– Sycząca Clara jest całkowicie niegroźna. Potrafię obchodzić się z wężem w klatce. Ale miałem czas obejrzeć skórę, którą mi dałaś. Zdecydowanie to skóra tajpana, ale nie Clary. Jest większa i ma inny wzór łusek. Bardzo możliwe, że gdzieś w twojej wsi kręci się drugi tajpan. Proszę, bądź ostrożna.

Zesłałam wolno do samochodu. Sean szedł ze mną, nie odzywając się, kiedy jednak otworzył mi drzwi i gdy wsiadłam do środka, położył dłoń na mojej ręce, zaciśniętej na kierownicy.

– W Papui-Nowej Gwinei coraz częściej spotyka się tajpany w pobliżu domostw – rzekł. – Chyba zaczęły kojarzyć, że w miejscach, gdzie są ludzie, jest też pożywienie. To jedna z rzeczy, którą będziemy badali, kiedy tam pojedziemy.

– Ale przecież węże unikają kontaktu z człowiekiem.

– Zwykle tak. Ale w pewnych częściach Azji węże często są widywane we wsiach. I teraz w Papui to też staje się sporym problemem.

– Więc, jeśli jest drugi, nie możemy zakładać, że będzie się trzymał bezludzia.

– Nie liczyłbym na to.

Przez chwilę zastanawiałam się nad konsekwencjami tego, że śmiertelnie groźne węże odwiedzają domy.

– Bądź ostrożna – powtórzył Sean.

Kiwnęłam głową, a on odsunął się i zatrzasnął drzwi wozu. Okno było jednak spuszczone, nie było więc możliwości, żebym błędnie usłyszała jego następne słowa.

– Tak przy okazji, propozycja pozostaje ważna.

– Która? – spytałam bez zastanowienia. – O pracy czy...

Sean ściągnął brwi, ale jego usta się uśmiechały.

– Zdaje się, że pani ze mną flirtuje, panno Benning. To doprawdy zdecydowany postęp. – Odwrócił się i odszedł w stronę domu. – Obie! –

krzyknął przez ramię. – Obie oferty są otwarte bezterminowo!

Jechałam prawie godzinę, potem zjechałam w starą wiejską drogę, gdzie wiedziałam, że nikt nie będzie mi przeszkadzał. Przeszłam na tylne siedzenie i okryłam się kurtką. Leżałam tam, słuchając odgłosów nocy i rozmyślając, nie o węzłach i duchach, ale o czymś, co utknęłam na samym dnie pamięci. O czymś, co wydarzyło się prawie siedemnaście lat temu.

Byłam w gimnazjum, wyszłam z kabiny w łazience dla dziewcząt i przekonałam się, że czeka na mnie sześciu starszych chłopaków. Dwóch trzymało szamoczącego się dwunastolatka. Po twarzy lały mu się łzy. Kiedy trzech z tych chłopaków podeszło do mnie, zauważyłam, że dziewczyna z mojej klasy stała przy drzwiach na straży. Inna, którą znałam, wyszła z kabiny, zobaczyła, co się dzieje, spuściła oczy i uciekła. Tamci chłopcy zaciągnęli mnie pod ścianę.

– No dawaj, pocałuj ją, to cię puścimy – ponaglał jeden z nich.

Chłopak był drobny i wąły, a mimo to trzeba było czterech silniejszych chłopaków, żeby udało się go do mnie zaciągnąć. Nawet wtedy jeden z nich musiał trzymać go za głowę i siłą pchać ją w moją stronę, wciskać umazaną łzami i gilmami twarz w moją. Moja głowa też była unieruchomiona, silne ręce mocno trzymały mnie za włosy. Nie próbowałam się uwolnić, nie było sensu. Zamknęłam oczy i udałam się do innego miejsca. Kiedy je ponownie otworzyłam, w łazience było pusto. Umyłam twarz i wróciłam do klasy.

Do końca mojego pobytu w gimnazjum tamten dwunastolatek nigdy więcej nie spojrzał w moją stronę. Ani żadni inni potraktowani w ten sam sposób. Jak na ironię, nie mogłam powiedzieć, że byłam prześladowana w szkole, bo to ja byłam torturą zadawaną innym ofiarom.

Ciągnęło się to przez lata, a ja nigdy nic nikomu nie mówiłam. Ale do dnia dzisiejszego wystarczy mi usłyszeć słowo „pocałunek”, żeby powróciło to ohydne wspomnienie i wszystkie następne. Ani w realnym życiu, ani na ekranie telewizora nie mogę znieść widoku całujących się ludzi. Ledwie potrafię się zmusić do przeczytania tego słowa w książce, bo gdy te

wspomnienia zaczynają się dobijać do drzwi piwnicy, całe moje ciało chce się zwinąć w kulkę ze wstydu.

Przymknęłam powieki, gwiazdy zaczynały zachodzić mgłą. Zapadałam w sen i wspominałam, tylko teraz nie byłam już w łazience dla dziewcząt – byłam z powrotem w tamtym domku na Undercliff. Uszy wypełniał mi odgłos fal rozbijających się o skałki, szorstka skóra na twarzy mężczyzny dotykała mojej i gorzycz siedemnastu lat zacierała się.

Kiedy się obudziłam, słońce stało wysoko na niebie. Czas odwiedzić człowieka, który nie żył, zdaniem wszystkich.

## 40

**P**rzyszukowana, że ujrzę kolejny przygnębiający dom dla starych ludzi, z niespełniającymi norm warunkami higienicznymi i atmosferą wysysającą z człowieka duszę, byłam mile zaskoczona, gdy budynek hospicjum Paddocks pojawił się przede mną. Hospicjum stało na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na dolinę rzeki.

Tuż przed skretem w podjazd minęłam stado koni i kiedy wysiadłam z samochodu, zauważyłam, że teren wokół hospicjum jest ogrodzony i zamieniony na wybiegi. Nieopodal, na polu, pały się cztery konie. Kolejne trzy stały po mojej prawej. Szczupła siwa klacz, której brakowało jedynie rogu, żeby wyglądała jak mityczny jednorożec, ruszyła truchtem w moją stronę. Reszta koni dołączyła do niej i gdy się zbliżały, czułam, jak ziemia drży pod ich ciężarem.

Poszłam do głównego wejścia. Na tarasie siedziała grupa pacjentów, przyglądających się koniom i delektujących rozkwitającym przed nimi porankiem.

Otworzyłam duże podwójne drzwi i weszłam do środka.

„...to jest tylko to, wiesz, blizna”.

Kobieta w recepcji podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

„Nie jestem chyba jedynym facetem na świecie, który uważa, że jesteś śliczna”.

Skup się!

Pięć minut później pielęgniarka prowadziła mnie przez nowoczesny budynek wypełniony naturalnym światłem. Większość okien była otwarta. Wyczuwałam woń świeżo zaparzonej kawy i niedawno koszonej trawy.

– To urocze miejsce – powiedziałam, kiedy skręciliśmy za róg i szliśmy wzdłuż krótszego korytarza.

– Dziękuję – odpowiedziała moja przewodniczka. – Działamy dopiero od pół roku. Walter był jednym z naszych pierwszych gości.

– W swojej wiadomości sugerowała pani, że jest bardzo chory.

Zatrzymała się przed pomalowanymi na biało drzwiami i dotknęła klamki.

– Niestety, tak rzeczywiście jest. Kiedy tu przyjechał, był tuż po ostrym zapaleniu płuc. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się, że wytrwa tak długo. Pani nie jest jego krewną, prawda? Mówił, że nie ma żadnej rodziny.

Pokręciłam głową.

– Tylko znajomą – odparłam. – Z tej samej wioski.

– Cóż, będzie mu miło, że ktoś go w końcu odwiedza. Po pół roku pani jest pierwsza.

W tonie jej głosu słysząc było naganę, ale wszelkie wyjaśnienia, jakie mogłam przedstawić na swoją obronę, zajęłyby zbyt wiele czasu. Chociaż, z drugiej strony, nagle poczułam zdenerwowanie, że mam otworzyć te drzwi i wejść do środka.

– Czy wasi pacjenci opuszczają kiedykolwiek hospicjum? – spytałam, nie bardzo wiedząc, jak mam sformułować pytanie, według mnie najważniejsze. – Na krótkie odwiedziny. Chodzi o to, że ktoś mówił mi, że widział Waltera we wsi.

Pielęgniarka zdecydowanie pokręciła głową.

– To absolutnie niemożliwe, obawiam się. Walter nie chodzi. Nie potrafi nawet wstać bez pomocy. Ale umysłowo jest w pełni sprawny, będziecie sobie mogli pogawędzić. No, dobrze. Dzień dobry, Walterze, jakaś młoda pani do ciebie.

I rzeczywiście to był on. Mój stary znajomy. Mój duch. Mój główny podejrzany w sprawie dotyczącej strasznych zbrodni, które się działy wokół mojego domu. Och, Walterze, powinnam wiedzieć lepiej.

Jego wyblakłe błękitne oczy patrzyły na mnie, gdy podchodziłam do łóżka. Wyglądał tak, jak go zapamiętałam. Prosta, dobrodusznna twarz z dużym nosem i podbródkiem, cienkie pasma siwych włosów wokół głowy i nad uszami. Ten

sam, ale jakiś mniejszy, może odrobinę chudszy i słabszy, jakby uchodziła z niego esencja życia, godzina po godzinie.

– Witam – udało mi się powiedzieć przez zaciśnięte gardło. – Pamiętasz mnie jeszcze?

Usłyszałam skrzypienie zamykanych drzwi i wiedziałam, że Walter i ja zostaliśmy sami. Jego wargi się poruszały. Próbował coś powiedzieć, ale nic nie było słyhać. Domyśliłam się, że struny głosowe wyszły mu z wprawy. Nachyliłam się nad nim.

– Myślę, że ten zajac, którego wyleczyłaś, zdążył już do tej pory pożreć całą moją sałatę – wychrypiał.

Wydarł mi się okrzyk, który był na wpół śmiechem, na wpół płaczem. Usiadłam na krześle obok łóżka i wzięłam go za rękę. Pamiętałam, że była duża – dłoń ogrodnika. I nadal taka pozostała, tylko teraz wydawała się bardzo wiotka.

– Byłam niedawno w twoim ogrodzie – powiedziałam. – Wygląda pięknie. Rozkwitło dużo róż. Kiedy się przechodzi ulicą, czuć ich zapach. Zwłaszcza tych żółtych, co rosną przy bramie.

Ciągnęłam tak jeszcze przez parę chwil, bo przeczuwałam, że informacje o ukochanym ogrodzie będą dla Waltera ważniejsze niż cokolwiek innego. Jego usta ułożyły się do słabego uśmiechu, kilka razy kiwnął głową. Kiedy nie miałam już nic więcej do powiedzenia o ogrodzie, przeprosiłam, że nie odwiedziłam go wcześniej.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś – tłumaczyłam się. Czulałam, że nie mogę mu opowiedzieć, jak jego żona roznosiła przedwcześnie wieści o jego śmierci. – Myślę, że nikt nie wie. A jestem przekonana, że kilka osób chętnie by cię odwiedziło, gdyby wiedziało.

– Edeline umarła, wiesz – rzekł. Zastanawiałam się, czy wiedział, co zrobiła. – W listopadzie.

– Wiem, bardzo mi przykro. – Próbowalam odsunąć na bok swoją wściekłość na Edeline, żeby spokojnie przypomnieć sobie, co takiego mówiła. Czy na pewno użyła słowa „zmarł”? A może nam wszystkim coś się pomieszało? – Kilka dni temu widziałam jej grób na cmentarzu – oznajmiłam



w przypiływie nagłej skruchy za to, że być może błędnie oceniłam tę kobietę. – Chciałbyś, żebym w twoim imieniu zaniósła tam jakieś kwiaty? Pamiętam, że Edeline opowiadała mi kiedyś, że w swoim ślubnym bukiecie miała róże z waszego ogrodu. Byłaby z tego zadowolona, nie sądzisz? Albo mogę zajrzeć do kwiaciarni, co wo...

Walter kiwał głową.

– Czerwone – rzucił. – Te przy drzewkach owocowych. Zawsze lubiła czerwone. Pasowały do jej ciemnych włosów.

Włosy Edeline, którą pamiętałam, były stalowosiwe, ale uśmiechnęłam się i zgodziłam ze zdaniem Waltera.

– Była bardzo ładna, kiedy się pobieraliśmy – powiedział, jakby kolejny raz odgadł moje myśli. – Najładniejsza dziewczyna w okolicy. Bardzo podobna do Archiego. Oboje wysocy, z burzą ciemnych włosów, ciemnobrązowe oczy. Tym dwojgu dostały się rodzinne geny urody.

Ale Edeline i Archie byli tylko spowinowaceni przez małżeństwo. Jak mogli mieć wspólne geny? Walter musiał zauważyć moje zaskoczenie.

– Edeline była naszą kuzynką. Wiedziałaś o tym?

Pokręciłam głową. Nie wiedziałam.

– Tak było, to siostra cioteczna. Jej matka i nasz ojciec byli rodzeństwem. Niektórzy mówili, że z tego powodu nie powinniśmy się pobierać, ale w tamtych czasach to się często zdarzało. Nie byliśmy tacy ruchliwi, jak to jest teraz. Nie mieliśmy okazji poznawać tylu osób.

– Rozumiem – powiedziałam. – Zresztą kuzyni nadal się pobierają.

– Myślałem tylko o tym, jaka jest śliczna. I o tym, jak ją namówić, żeby wyszła za mnie, a nie za Archiego czy któregoś innego, którzy się o nią starali.

Kiedy mówił, coś w jego twarzy pociemniało. Już nie patrzył na mnie, tylko w stronę otwartego okna.

– Ale ludzie chyba mieli rację – podjął opowieść. Wydawał się zagubiony w myślach. Starych myślach, nienależących do przyjemnych. Potem znowu na mnie spojrzał. – Nie mieliśmy dzieci, może więc...

Pozwolił tej myśli zawisnąć w powietrzu. Czekałam, w razie gdyby zechciał mówić dalej, ale wyglądał na zadowolonego, że może trzymać mnie

za rękę i wyglądać przez okno. Po jakiejś chwili uznałam, że mogę już zaryzykować i zadać mu pytanie.

– Walterze, czy któryś z twoich braci miał dzieci? Masz jakieś bratanice czy bratanków? – Nie do końca wiedziałam, do czego zmierzam. Wciąż uważałam, że włamywacz, którego widziałam, był stary, a nie w średnim wieku. Ale co do jego podobieństwa do Waltera nie miałam wątpliwości. Musiałam jakoś dotrzeć do sedna.

– Saul i Alice mieli syna – odpowiedział. – Wyprowadzili się, wiesz, po tym całym... po tym, co się stało.

– A co się stało? – spytałam, ledwie ośmielając się mieć nadzieję, ale Walter pokręcił głową.

– To było dawno temu, moja droga. Harry, Saul i Archie, wszyscy odeszli. To nie był dobry czas. – Popatrzył na mnie i wtedy z absolutną pewnością dotarło do mnie, że miał do powiedzenia coś więcej. I że nigdy mi tego nie powie.

– Co się stało z synem Saula? – spytałam. Według tego, co twierdził Matt, jakieś dziesięć lat po ucieczce ze wsi Saul zamordował Alice i dostał dożywocie. Ich dziecko, jeśli jakieś mieli, zostało samo na świecie.

– Przychodzili do nas ludzie z opieki socjalnej po śmierci jego matki. Chcieli, żebyśmy go wzięli do siebie. Mówili, że jesteśmy jego jedynymi bliskimi.

Słuchałam, nadal trzymając Waltera za dłoń, chciałam, żeby mówił dalej.

– Musiałem odmówić. Edeline wtedy... nie była w formie. Nie moglibyśmy odpowiednio zaopiekować się chłopakiem. Poszedł do sierocińca... nie, do domu dziecka, tak to nazywali, ale przypuszczam, że sprowadzało się to do tego samego. Nie było to właściwe, ale co innego mogłem zrobić?

Walter błagał mnie spojrzeniem o wyrozumiałość, ale ja już dawno przestałam cokolwiek rozumieć. Było wiele rzeczy, o których mi nie mówił. Wyprowadzili się... „po tym, co się stało”. Wiedział coś o 1958 roku. Na temat Edeline też coś ukrywał. Ale był taki słaby. Nie chciałam go denerwować pytaniami.

– I słyszałeś o nim potem? Wiesz, co się z nim działo? – Dziecko urodzone

na początku lat sześćdziesiątych teraz byłoby osobą zbliżającą się do pięćdziesiątki. Nadal zbyt młodą, żeby to był mój włamywacz, ale...

– Kilka lat później odwiedził nas. Miał około siedemnastu lat, właśnie opuścił dom dziecka i chciał jakichś pieniędzy na przeprowadzkę za granicę. Dałem mu, ile mogłem, ale nie było tego wiele. Nie potrafiłem się przekonać do tego chłopaka, za bardzo przypominał Saula, jak na mój gust. Opowiadał, jak go traktowali w sierocińcu. Próbował wzbudzić w nas wyrzuty sumienia.

– A był źle traktowany?

– Tak twierdził, ale w niektóre historie, które opowiadał, nie mogłem uwierzyć. Myślę, że w głowie musiał mu mieszać jego ojciec.

– To on się z nim widywał?

Walter skinął głową.

– Chłopak odwiedzał go w więzieniu. Zachęcali go do tego, personel sierocińca, uważali, że to dla niego dobrze, jeśli będzie miał kontakt z ojcem. Ale Saul opowiadał chłopakowi różne nieprawdziwe rzeczy o tym, jak wieś zwróciła się przeciwko niemu, przegnała jego i matkę chłopaka. Twierdził, że to przez to zmarła. Oczywiście to były brednie. Saul dostał tylko to, na co zasłużył, ale widać było, że chłopak się na to łąpał. Został nauczony nienawidzić nas, nienawidzić wsi za to, co jego zdaniem jej mieszkańcy zrobili jego rodzicom.

– Jak długo u was został?

– Niedługo. Poszedł sobie, kiedy się zorientował, że niczego więcej od nas nie dostanie. Potem już nigdy go nie widzieliśmy.

– Pamiętasz, jak miał na imię?

– Saul. Jak jego ojciec. Tak jak ojciec.

Nie mogłam powstrzymać drżenia. Następny Saul Witcher. Z urazą do wsi.

Blask w oczach Waltera, które wydawały się promienne, gdy przyjechałam, teraz zanikał. Męczyłam go.

– Walterze, ktoś we wsi wspomniał o Ulfredzie. Zastanawiałam się...

Dłoń trzymająca moją zacisnęła się mocniej. Myliłam się, kiedy opisałam ją jako pozbawioną siły. Uścisk był naprawdę bolesny.

– Zrobiliśmy, co mogliśmy, dla Ulfreda. Nikt nie mógł zrobić wię... Z nim

nie było dobrze, wiesz. Urodził się taki. I było tylko coraz gorzej. Nie widział, nie słyszał, nie mówił. Ale był bardzo silny. Nie dawałem sobie z nim rady. I on, i Edeline... Jak mogłem ich powstrzymać? Nie potrafiłem powstrzymać żadnego.

Posunęłam się za daleko. Walter był bardzo zdenerwowany. Musiałam go uspokoić. Objęłam jego dłoń swoimi dłońmi.

– Już dobrze, Walterze, naprawdę. To było dawno temu. – A potem... po tym, co mu zrobili...

W pokoju Waltera nie było monitoringu, ale byłam przekonana, że jego serce przyspieszyło niebezpiecznie, miał trudności z nabraniem oddechu.

– Walterze, jestem pewna, że to wypadek. Proszę...

– Musiałem go odesłać. Doktor Amblin nam pomógł. I wikary. Znalazł dla niego miejsce. Było mu tam dobrze. Mieli tam lekarzy i pielęgniarzy. Mogli się nim zająć.

– Jestem pewna, że było mu dobrze. Postąpiłeś słusznie.

Oddech Waltera uspokajał się. Zaczekałam, dałam mu chwilę, pozwoliłam, żeby naciągnięte mięśnie twarzy rozluźniły się.

– Domyślałam się, że wolno ci było go odwiedzać – powiedziałam, kiedy oceniłam, że to bezpieczne.

Walter wymienił szpital psychiatryczny w mieście, nie ten najbliższy, ale aż w Devon. Powtórzyłam jego nazwę kilka razy, żeby mieć pewność, że jej nie zapomnę.

– Byliśmy u niego raz, może dwa – odparł. – Mogliśmy sprawdzić, jak tam jest. Miał tam wygodnie, miał opiekę. Nawet pozwolili mu trzymać węża. Ale nie sprawiał wrażenia, że ucieszył się z naszych odwiedzin, dlatego później już do niego nie jeździliśmy.

– I on tam nadal jest? Żyje?

– Nigdy nie słyszałem o tym, żeby umarł, moja droga. Przypuszczam więc, że żyje.

# 41

**D**ochodziła jedenasta rano, gdy wjeżdżałam na drogę na tyłach szpitala. Po jakichś pięciuset metrach skręciłam w otwartą bramę i zaparkowałam autem matki przy samym żywopłocie. Wsiadłam, zamknęłam bramę i ruszyłam truchtem przed siebie. Miałam do pokonania kolejne pięćset metrów.

Dokoła mnie było cicho i spokojnie. Ciśnienie spadło, ptaki przestały śpiewać i nawet mewy gdzieś się poukrywały. Daleko na horyzoncie zbierały się ciężkie chmury, natura szykowała się do burzy.

Wspięłam się na płot, zeskoczyłam po drugiej stronie i ruszyłam przez pole, na którym trzymamy nasze powracające do zdrowia jelenie i sarny. Zastanawiałam się, jak mój mały zespół radzi sobie beze mnie. Prawie nigdy nie brałam wolnego. A nawet jeśli, zwykle dzwoniłam co najmniej dwa razy dziennie. Nigdy dotąd nie byłam tak długo bez kontaktu. O tej porze personel będzie zajęty obchodzeniem oddziałów i próbami wyrobienia się z harmonogramem karmienia. Jeśli będę miała szczęście, nikt mnie nie zauważy. Trzymając się blisko żywopłotu, przedzierałam się w stronę zabudowań na tyłach szpitala, gdzie trzymamy dwa land rovery. Zapasowe kluczyki do obu aut i do garażu zawsze miałam przy sobie.

Udało mi się otworzyć garaż bez wszczynania alarmu. Wybrałam tego land rovera, z którym byłam najbardziej zaznajomiona, i uruchomiłam silnik. Wyjechałam na zewnątrz i mimo że to była strata czasu, wyskoczyłam z auta i pobiegłam zamknąć garaż. Jeśli personel nie zostanie wezwany do pomocy – co nie zdarzało się codziennie – nikt nie zauważy braku auta.

Policja już pewnie wiedziała, że mnie nie ma w rodzinnym domu. Jeśli ojciec wykaże się uczynnością – a byłam pewna, że tak będzie – dowiedzą się,

że zabrałam samochód mamy. Zamiana samochodów zmniejszała ryzyko, że zatrzyma mnie jakiś przypadkowy patrol, ale i tak musiałam trzymać się bocznych dróg. To oznaczało, że wszystko, co sobie zaplanowałam, zajmie mi o wiele więcej czasu.

Stary wiktoriański budynek był masywny: czerwona cegła rozciągała się przede mną na długości prawie stu metrów. Stał w niewielkim zagłębieniu, otoczony ze wszystkich stron niskimi wzgórzami i ciemnymi lasami bukowymi. Nawet najbardziej słoneczny dzień nie miał szans rozświetlić tego miejsca.

Gdy jechałam, moja głowa wyglądała jak zawartość suszarki, wirowało w niej tysiące myśli, wszystko, czego się dowiedziałam, usiłowałam poustawić na właściwym miejscu. Walter wiedział coś o tej nocy, gdy spłonął kościół. Sam z siebie prawdopodobnie nigdy by mi tego nie powiedział, a ja nie miałam serca wyciągać z niego szczegółów, ale coś wiedział. To oznaczało, że było jeszcze wiele do odkrycia, musiałam tylko poszukać dobrego źródła informacji.

Z Edeline coś było nie tak. Coś więcej niż tylko rozwiąłość, którą sugerowała Violet. Walter mówił o jakichś relacjach między nią a Archie, ale Violet twierdziła, że Edeline zabawiała się z wszystkimi braćmi Witcher. Co takiego mówiła? Nigdy nie było wiadomo, w którym domu zastanie się ją rano.

Cóż za dziwaczny układ. Czterech braci Witcher: Walter, Archie, Harry i Saul, każdy mieszka w jednym z czterech małych domków, które przed zburzeniem ścian składały się na posesję Witcherów. Edeline była oficjalnie żoną jednego z braci, ale prowadziła domy i zapewniała inne, bardziej intymne usługi pozostałym. Odkładając na bok popęd płciowy, jaka kobieta robi coś takiego? Czy to nie wskazywało raczej na zaburzony umysł? Na kilka zaburzonych umysłów?

Najważniejsze jednak było to, że dowiedziałam się, że Ulfred istniał. Dochodzenie, jakie przeprowadził Matt, okazało się niewystarczająco sumienne. Ulfred prześliznął się przez jego sieć i wciąż gdzieś tam był.

Przypomniał mi się wyraz twarzy Waltera, gdy mówił: „I potem... po tym, co mu zrobili...” i zadrżałam. Cokolwiek jednak zrobiono Ulfredowi, nie zabiło go to. Walter, Ernest Amblin i proboszcz umieścili go w szpitalu, do którego się zbliżałam. Walter go odwiedzał. Nigdy nie otrzymał informacji, że zmarł. Możliwe, że Ulfred wciąż tu był. Albo nie. Mógł wrócić do swojej starej wsi, do swojego starego rodzinnego domu.

Kiedy zaparkowałam, czułam, że jestem coraz bardziej podekscytowana. To była moja odpowiedź, musiała być. Niebezpieczny, zaburzony Ulfred, jeden z braci Waltera, któremu przytrafiło się coś strasznego dawno temu. Podeszłam do głównego wejścia – podwójnych ciężkich dębowych drzwi, nabijanych żelaznymi ćwiekami. Były otwarte na całą szerokość. Sztyld publicznej służby zdrowia powiedział mi, że przyjechałam do Szpitala Psychiatrycznego Dwóch Hrabstw, powstałego w 1857 roku. Przeszłam przez próg, pchnęłam wewnętrzne szklane drzwi i weszłam do środka.

Jakiś mężczyzna w ogrodniczkach mył podłogę mopem na długim kiju, podśpiewując przy tym pod nosem. Kiedy go mijałam w drodze do recepcji, zauważyłam, że jest w kapciach i że w wiadrze nie ma wody.

Recepcja była pusta. Rozejrzałam się, dostrzegłam dzwonek i nacisnęłam na niego. Nic się nie wydarzyło. Przez trzy, może cztery minuty przyglądałam się, jak mężczyzna w kapciach myje podłogę, potem znowu przycisnęłam dzwonek. Drzwi w biurze za ladą otworzyły się i do recepcji weszła czterdziestokilkuletnia kobieta z szokująco czarnymi włosami, niosąca kubek.

– Bardzo przepraszam – powiedziała. – Właśnie robiłam sobie herbatę. Nie znoszę, kiedy za długo się parzy. W czym mogę pomóc?

– Interesuje mnie pewien pacjent – wyjaśniłam.

– Jest pani rodziną? – spytała, odstawiając kubek na blat.

Nie przemyślałam tego starannie.

– Nie, nie jestem – odparłam, improwizując. – Ale właśnie widziałam się ze starszym bratem tego pacjenta. Jest bardzo chory. Byłoby wspaniale, gdybym mogła zamienić słówko z dyrektorem szpitala. Albo może z kimś z administracji.

Para z kubka sprawiała, że okulary kobiety zachodziły mgiełką.

– Cóż, zwykle... – zaczęła.

– Mogę jakoś pomóc? – spytał głos za mną. Odwróciłam się i po drugiej stronie holu ujrzałam następną kobietę, szczupłą i niezwykle wysoką. Pomimo oferty w żadnym wypadku nie wyglądała, jakby chciała służyć pomocą. Podeszła i zawisała nade mną, a ja poczułam się znowu jak dziecko, patrzące w górę na rozgniewanego dorosłego. Oparłam się pokusie cofnięcia.

– Szukam pacjenta – powtórzyłam. – Kogoś, kto przebywał u was wiele lat. Właśnie widziałam się z jego bratem. Nie zależy mi na spotkaniu z tym pacjentem. – Bóg mi świadkiem, że wcale nie miałam ochoty zobaczyć Ulfreda. – Muszę się tylko dowiedzieć, czy żyje.

Kobieta zmarszczyła czoło.

– Gdy pacjent umiera, zawsze informujemy rodzinę.

– Tak sądziłam. Ale od dawna nikt nie miał żadnych wiadomości od tego pacjenta. Jeśli żyje, ma siedemdziesiąt kilka lat. Od pań chciałabym się tylko dowiedzieć, czy nadal tu jest.

– Jak się nazywa?

– Ulfred Witcher.

Brwi kobiety podeszły w górę, potem pokręciła głową.

– Nic mi to nie mówi – odparła.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale kobieta cofnęła się i gestem dłoni pokazała, żebym za nią poszła. Otworzyła drzwi po prawej stronie korytarza i przeszliśmy przez nie. Recepcja, którą właśnie opuściliśmy, miała ściany otynkowane i pomalowane na łagodny żółty kolor, ale w korytarzu były te same czerwone cegły co na zewnątrz. Drzwi były rozmieszczone w równych odstępach, po prawej i po lewej stronie, ale żadne nie były otwarte. Na całej długości sufitu biegły fluorescencyjne lampy. Kilka z nich migotało, kiedy pod nimi przechodziłyśmy. Z oddali dochodził jakiś przerywany dźwięk, jacyś ludzie krzyczeli, trzaskały obijane o siebie ciężkie przedmioty.

Dotarliśmy do końca korytarza i skręciliśmy. Szklana szyba po lewej odsłaniała biuro, które było naszym celem. Wysoka kobieta otworzyła drzwi i weszliśmy do środka. Jakiś mężczyzna w granatowym stroju pielęgniarstwa garbił się nad biurkiem, pijąc kawę i czytając jakiś brukowiec. Spojrzał na



nas, kiedy weszliśmy. Kolejna kobieta, niższa i tętsza od mojej przewodniczki, siedziała przy komputerze. Ona też podniosła na nas wzrok.

– Chciałabym sprawdzić kartotekę pacjenta – oznajmiła wysoka kobieta, nie zwracając się konkretnie do nikogo. – Któraś z was pamięta może... – Przerwała i spojrzała na mnie.

– Ulfreda Witchera – odpowiedziałam.

Przysadzista kobieta zaczęła stukać w klawiaturę.

– Jak to się pisze – spytała po kilku sekundach. Powiedziałam jej i powróciła do pisania. Gdzieś z głębi szpitala przyplłynął czyjś krzyk.

– Nic – rzuciła tęga kobieta po kilku minutach. Ta wysoka patrzyła na mnie chyba z satysfakcją.

– Wiedziałam, że go nie będzie – mruknęła. – Jestem tu od dziesięciu lat i pamiętam prawie wszystkie osoby, które się przewinęły.

– Spróbujmy z inną pisownią – zaproponowała pani Puszysa. – Czasami dane od początku są wprowadzone z błędem, a potem nikomu nie chce się tego poprawiać.

– Dziękuję pani – rzuciłam.

– Niestety nie możemy szukać po imieniu, system na to nie pozwala. A szkoda, nie sądzę, żebyśmy mieli wielu Ulfredów.

– Rzeczywiście imię jest niezwykle – zgodziłam się. – Myślę, że mógł być przyjęty w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, może w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym. Czy to coś pomoże?

– Zaraz zobaczymy. Nie, nic mi się tu nie pokazuje.

– Kilka lat temu mieliśmy Wisharta – wtrącił się sanitariusz. – Wrócił do społeczeństwa. Reg, tak miał na imię. Po pięćdziesiątce.

– Ulfred byłby starszy – szepnęłam. Z każdym uderzeniem w klawisze byłam coraz bardziej zrozpaczona. Nie chciałam wierzyć, że znowu trafiłam w ślepa uliczkę.

– W porządku, mam listę przyjęć z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego – poinformowała maszynistka. Wpatrywała się w wykaz na ekranie. – Szpital był wtedy zapakowany; w tym roku wiele osób przyjęto i wypisano. – Reszta z nas zebrała się dokoła niej. Przesunęła listę do końca, tam gdzie

nazwiska zaczynały się od „W”. Waters, Williams, Wottern. Żadnych Witcherów. Nic, nawet tego, co mogłoby być błędnie wpisane.

– No dobrze, sprawdźmy tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewięć – rzuciła wesoło pani Puszysta. Kilka minut później nie mieliśmy wyboru, musieliśmy się poddać. Szpital nie miał żadnych akt Ulfreda Witchera. Nigdy.

– Przykro mi, że zmarnowałam państwa czas – powiedziałam. Walter mnie okłamał. Jakie inne wytłumaczenie istniało na to?

– Jest pani pewna, że to był ten szpital?

Odwrociłam się i zobaczyłam, że wysoka kobieta mówi do mnie. Udało mi się kiwnąć głową.

– Jestem pewna, że to ten wymienił jego brat. Czy w okolicy są inne, o których pani wie?

Moja chwilowa nadzieja wkrótce została zmiażdżona. Kobieta pokręciła głową.

– Nie w okolicy. I na pewno nie w tamtym czasie. Wiktoriańskie zakłady psychiatryczne były zawsze bardzo duże, miały służyć całemu hrabstwu. Dwóm w naszym przypadku. Jeśli ktoś z Dorset miał trafić do szpitala w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, przywieźliby go tutaj.

– Nie będę już więcej zajmowała państwu czasu. Dziękuję bardzo za sprawdzenie.

Wysoka kobieta, której zachowanie nieco złagodniało, odeskortowała mnie z powrotem korytarzem. Gdzieś w górze słyszałam śmiech, który stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu przeszedł w piskliwy krzyk. Nie mogłam się powstrzymać i zadrżałam.

– To denerwujące, kiedy się nie jest przyzwyczajonym – stwierdziła kobieta obok mnie.

– Ilu pacjentów macie obecnie? – spytałam, gdy dotarliśmy do drzwi.

– Coś koło setki – odpowiedziała, otwierając drzwi i posyłając uśmiech mężczyźnie w kapciach. – Wygląda ślicznie, Ericu, dobra robota.

– Powinniśmy się przenieść do nowocześniejszego budynku – ciągnęła, odwracając się do mnie – ale jakoś nigdy nie ma na to pieniędzy. Przykro mi, że nie mogliśmy bardziej pomóc.

– Doceniam to, że państwo próbowaliście.

– Nazywam się Rose Scott – przedstawiła się, wyciągając wizytówkę. – Proszę zadzwonić, jeśli coś jeszcze przyjdzie pani do głowy.

Kiedy znowu znalazłam się na zewnątrz, ledwie miałam siłę, żeby dojść do samochodu. Dlaczego Walter miałby mnie oszukiwać? Czy miał coś wspólnego ze śmiercią Ulfreda? Walter był dobrym człowiekiem, ale najlepsi z nas popełniają błędy. Może zdarzył się jakiś straszny wypadek i nawet teraz Walter i inni próbowali to ukrywać. Bez większej nadziei wybrałam numer hospicjum Paddocks.

– Przykro mi – oznajmiła dyżurna pielęgniarka. – Zdaje się, że uprzedzałam panią, że Walter jest bardzo osłabiony.

– Czy coś się stało?

– Wciąż jest z nami, ale obawiam się, że zaraz po pani wyjściu zapadł w śpiączkę. Nie spodziewamy się, żeby się z niej wybudził.

Odebrało mi mowę, ale pielęgniarka domyśliła się, że nadal jestem przy telefonie.

– Proszę się o nic nie obwiniać. Spodziewaliśmy się tego już od wielu dni. I cieszy nas, że miał gościa, że na koniec przeżył coś miłego.

Koniec? Czy ja też dotarłam do końca? Było prawie południe, a mnie szybko kończyły się możliwości. Znowu ruszyłam, nie bardzo mając pomysł, dokąd powinnam pojechać, i bardziej z przyzwyczajenia niż z czegoś innego włączyłam radio. Nie usłyszałam muzyki, usłyszałam dudnienie gwoźdźcia wbijanego w moją trumnę.

„I policja podała opis miejscowej kobiety, którą chce przesłuchać w związku ze śmiercią mężczyzny z Dorset, do której doszło dziś z samego rana. Clara Benning ma metr sześćdziesiąt wzrostu, jest drobnej budowy, włosy długie, ciemnokasztanowe, lewa strona twarzy z rozległą blizną. Policja ostrzega, że nie należy się zbliżać do panny Benning, i prosi o natychmiastową informację, jeśli ktoś ją gdzieś zobaczy. Zmarłego, którego nazwisko brzmi Ernest Amblin i który był dobiegającym osiemdziesiątki emerytowanym

lekarzem rodzinnym, znaleziono na polu w pobliżu jego domu wcześniej dziś rano. Uważa się, że doktor Amblin wybrał się na nocny połów ryb i jego zgon wydaje się podejrzany. Policja podała specjalny numer telefonu...”

Jak mi się udało prowadzić dalej, nigdy się nie dowiem. Nie mogłam przestać myśleć o wszystkich osobach, które znałam, które mogły usłyszeć wiadomość i które będą teraz wiedziały, że jestem poszukiwana w związku z czyjąś śmiercią. Mój ojciec, siostra, koledzy w pracy, Sally, Matt... tyle że... tylko Matt mógł autoryzować tę historię, to on zrobił ze mnie poszukiwaną kryminalistkę.

A Ernest Amblin, nerwowy zrzędlawy staruszek, nie żył. Został zabity wcześniej rano, wtedy gdy ja nie posłuchałam wyraźnych poleceń Matta, że mam zostać z rodziną, i spędziłam noc w samochodzie. Bez żadnego alibi.

Co się dzieje, na litość boską? Nie żyje troje starszych ludzi. Ktoś ich usuwał, jednego po drugim. A dowodzący śledztwem detektywi prawdopodobnie nie poszukiwali tego, kto to zrobił. Bo myślą, że zabójcą jestem ja.

Moja następna podróż zajęła mi ponad dwadzieścia minut. Tym razem jednak nie zgłosiłam swojego przybycia przy wejściu. Przeczynałam, że jeśli poproszę o wpuszczenie, spotkam się z odmową. Dlatego zamiast do głównego wejścia, skierowałam się na tyły budynku.

Po spokoju wczesnego ciepłego poranka nie było już śladu. Zastąpił go coraz mocniej wiejący wiatr i chmury burzowe. Wisiały na zachodzie; nisko, ciemne; zmierzały w naszą stronę. Dotarłam do tej części ogrodu, którą zapamiętałam, potem wśliznęłam się do środka przez otwarte okno balkonowe.

– Witaj, Ruby – rzuciłam do zaskoczonej kobiety siedzącej w fotelu obok łóżka.

Na mój widok zaczęła się podnosić. Oczy miała utkwione w dzwonku alarmowym przy łóżku. Podeszłam do niego i przykryłam dłonią.

– Przykro mi – powiedziałam, kiedy z powrotem opadła na fotel. – Jeszcze nie teraz. Mam do ciebie kilka pytań.

Nie odpowiedziała. Podeszłam do niej i stanęłam bezpośrednio przed fotelem.

– Ruby, ludziom grozi niebezpieczeństwo. John Allington, Violet Buckler, Ernest Amblin, wszyscy nie żyją. Nie chcę cię wystraszyć, ale ktoś zabija starsze osoby, które uczestniczyły w mszach u świętego Birinusa. Musisz mi pomóc, również przez wzgląd na siebie.

Tak jak poprzednio, Ruby unikała patrzenia mi w oczy. Trzęsa się, rzucała wystraszone spojrzenia spod tego, co zostało z jej rzęs. Przykucnęłam, tak że znalazłam się bezpośrednio na linii jej wzroku, zmuszając ją, żeby na mnie spojrzała.

– Budzę w tobie odrazę, prawda? Coś ci powiem. Nie obchodzi mnie to. Mamy teraz ważniejsze sprawy do omówienia niż mój wygląd.

Kilka razy zauważyłam, że oczy Ruby strzelają w stronę dzwonka, ale nie poczyniła żadnych prób, by do niego sięgnąć.

– Porozmawiajmy o węzach, dobrze? – powiedziałam. – Wiesz, co się dzieje z ciałem, kiedy wstrzyknie się w nie jad? Wiesz? Bo pozwól mi sobie powiedzieć, Ruby, że ta moja blizna w porównaniu z tym wygląda jak niewielkie zadrapanie.

Ruby wciskała się w oparcie fotela, próbując się ode mnie odsunąć, ale nie miałam czasu, żeby się nad nią litować.

– Pierwsze, co się dzieje, to że ciało zaczyna puchnąć – kontynuowałam. – Widziałś rękę spuchniętą jak balon, tak bardzo, że skóra, nawet tkanki, zaczynają pękać, rozdzierać się? I zmienia się też kolor, ręka robi się czerwona, fioletowa, a na koniec czarna. Dość często, nawet jeśli odtrutka zostanie podana na czas i pacjent przeżyje, tkanki i tak obumierają. Trzeba amputować kończynę. A co twoim zdaniem się dzieje, kiedy ktoś zostanie ukąszony w twarz? Potrafisz sobie wyobrazić, jakie to musi być uczucie, gdy twoja twarz zamienia się w czarny balon? Nie da się amputować twarzy, Ruby, zapewniam cię.

Starłam się mówić cicho. Nie chciałam, żeby usłyszał mnie ktoś z personelu i przybył Ruby na ratunek, dopóki z nią nie skończyłam.

– A teraz tak. Ktoś w naszej wsi trzyma wyjątkowo jadowite węże i

wykorzystuje je do krzywdzenia ludzi. Jad jednego takiego węża wystarcza do zabicia pięćdziesięciu osób. Pięćdziesięciu! Dziecko nie miałoby szans. Opowiedz mi, co się stało w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym. I zapewniam, że nie wyjdę stąd, dopóki tego nie zrobisz.

Znowu spojrzała na przycisk alarmu.

– Proszę, Ruby – dodałam już łagodniej.

Popatrzyła na mnie. Myślę, że to był pierwszy raz, gdy nawiązałyśmy kontakt wzrokowy. Potem nachyliła się. Słyszałam, jak trzaskały jej stawy, gdy to robiła, zobaczyłam różową nagą skórę na jej czaszce, przeświecającą między rzadkimi cienkimi włosami. I patrzyłam, jak podciąga przód koszuli nocnej. Nogi miała chude; papierowa skóra wyglądała, jakby miała zaraz odpaść, popękane naczynka tworzyły pajęczą sieć na łydkach. Kolana były posiniaczone.

Teraz nie jestem pewna, ale myślę, że nawet odrobinę się odsunęłam, lecz koszula kontynuowała swą wolną, nieustępliwą podróż po pomarszczonych wyschniętych kończynach.

Kiedy dotarła do ud, zatrzymała się. Ruby spojrzała na mnie i wydało mi się, że w jej oczach dostrzegłam błysk triumfu. Prawe udo wyglądało normalnie – jak u kobiety w jej wieku. Lewe jednak ledwie przypominało ludzką kończynę.

Pod tym, co zostało ze skóry, widać było zarys kości udowej. Wyglądało to tak, jakby ktoś złapał garść ciała i je wyszarpnął. Pozostała skóra była naciągnięta na ranę i zszyta niezgrabnie, jakby niewprawną ręką dziecka. Rana była stara, ale w niektórych miejscach zaczerwieniona, nawet zasiniała. Wyglądała sto razy gorzej od mojej blizny. Szczęśliwie dla Ruby znajdowała się w miejscu łatwiejszym do ukrycia.

– Jaki wąż to zrobił? – spytałam cicho. Już nie byliśmy wrogami. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek byliśmy, musiałyśmy się tylko zrozumieć.

Pokręciła głową.

– Nie wiem – powiedziała. – Było ich dziesiątki. Głównie brązowych. Niektóre szare. Z wzorkami na górze i wydawały dźwięk ogonami. Coś w rodzaju...

– Grzechotania? – podpowiedziałam, myśląc: oczywiście, co innego mogło to być?

Kiwnęła głową.

– Tak, to było to. Grzechotanie. Wszyscy oczywiście uciekaliśmy, kiedy się wydostały, ale musieliśmy je wystraszyć. Były wszędzie. Ten dopadł mnie przy drzwiach. Nigdy nie sądziłam, że coś może aż tak boleć.

Nachyliłam się bardziej.

– Przykro mi. Naprawdę. Ale to znaczy, że rozumiesz, jakie to ważne. Musisz mi opowiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy.

Wpatrywała się we mnie długo.

– Głodowałam – powiedziała w końcu. – W zasadzie to nawet już nie. Głód już mi przeszedł, ale nie miałam sił. Nie mogłam już nawet normalnie myśleć. Było trochę tak, jakbym zasypiała na stojąco.

Kościół, który głodził swoich wiernych. Pamiętałam, co ojciec opowiedział mi o Kościele Późnego Deszczu, że ich przywódcy namawiali do wielotygodniowych okresów postu i modlitwy. O młodej dziewczynie z Karoliny Południowej, która zmarła, członkini zboru Archiego Witchera.

– Ale miałam takie dobre przecucia co do tamtego wieczoru – mówiła dalej Ruby. – Myślałam, że mnie też to w końcu spotka. Że zacznę mówić językami, że podniosę węża.

Podciągnęła się wyżej w fotelu, zaczęła mówić głośniej.

– „A takie znaki będą towarzyszyć tym, którzy uwierzą – wyrecytowała – w moim imieniu będą wypędzać demony, będą mówić nowymi językami, będą brać węże, a choćby wypili coś śmiernego, nie zaszkodzi im, na chorych będą kłaść ręce...”

– Ruby!

Oprzytomniała, lecz na sekundę wyraz w jej oczach przeraził mnie. Już nie byłam przekonana, że rozmawiam z kimś do końca normalnym. Ale zostałam tam, gdzie byłam, i słuchałam, jak Ruby opowiada o tym, co się wydarzyło tamtej niedzieli, pięćdziesiąt lat temu.

## 42

**Niedziela, 15 czerwca 1958**

*Na drodze jest ciemno, ale nie cicho. Nikt nic nie mówi, lecz powietrze wypełnia niski dźwięk. Ramiona ocierają się o żywopłot, buty chrzęszczą na kamieniach, skrzydła łopoczą w górze. Z drzewa przy stodole pohukuje sowa. Kilka osób niesie latarnie, lecz dają one anemiczne światło. Do tłumu dołączają następni, procesja dalej wolno przesuwa się w stronę kościoła.*

*Mija aleję lip. Najmłodsza z tego grona, dwudziestoletnia Ruby Buckler, bliska zemdenia po pięciu dniach dobrowolnej głodówki, potyka się i niemal upada. Zostaje pochwycona, postawiona na nogi i delikatnie popchnięta przed siebie.*

*Kamienny kościół wydaje się ogromny. Kolory w witrażach są przytłumione jak niewypolerowane klejnoty, za nimi migoczą ledwie widoczne światełka. Ścieżka skręca i to samo robi procesja, składająca się z mieszkańców wsi. Północne drzwi kościoła są już otwarte.*

*Jeden po drugim milczący członkowie zboru przechodzą przez próg. Ławki szybko się zapęłniają. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że w kościele zebrała się cała wieś, ale Ruby wie, że to nieprawda. Niektórzy nie mogli przyjść, jak jej przyjaciółka Violet, która musiała zostać w domu, żeby opiekować się młodszym bratem i siostrą. Inni, o czym Ruby wie, nie przyjdą. Nawet po wszystkim, co widzieli i słyszeli, nie chcą słuchać prawdziwego Słowa Pana. Ani nie chcą mieć nic wspólnego z pastorem Fainem.*

*Ruby mruga, oczy już teraz szczypią ją od dymu. Czuje coś w powietrzu, co nie jest zapachem dymiących świec: coś mocnego, obcego, prawie*



*duszącego swą intensywnością. Przed nimi stoi olbrzymia postać, odziana w czerń. Podniecenie wiruje na dnie pustego żołądka Ruby. To wielebny Joel Morgan Fain.*

– On miał coś takiego w sobie, ten pastor – powiedziała Ruby. – Sprawiał, że czułaś się... nie potrafię tego określić... jakby przechodził cię prąd, jakbyś ledwo mogła wysiedzieć, jakbyś chciała poderwać się i krzyczeć albo rzucić się na ziemię i oddać się Panu.

– Był przystojny? – spytałam.

Ruby chwyciła moją rękę.

– Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam – potwierdziła z roziskrzonymi oczami. – Wysoki jak dąb – ciągnęła, jej kciuk zaczął wykonywać kółka na mojej dłoni. – Gęste ciemne włosy, oczy jak niebo zimą.

Szarpnęłam ręką, udało mi się ją zabrać z jej uścisku. Nawet ja potrafiłam odróżnić religijny ferwor od seksualnego podniecenia. Ruby była w okowach silnego wspomnienia sprzed pięćdziesięciu lat.

– Czekał na nas – powiedziała. – Stał przed ołtarzem. Wyglądał jak duch unoszący się nad nami, w chmurze.

Ruby odpływała. Albo...

– Czy światła w kościele były włączone? – spytałam.

Pokręciła głową.

– Świece – rzuciła, jej oczy błyszczały. – Wszędzie. Aż trudno było oddychać, tyle tam było dymu. I czułam jeszcze coś. Święte kadzidło.

Nigdy nie słyszałam, żeby w kościołach zielonoświątkowych korzystano z kadzideł. Zastanawiałam się, czy tamtej nocy w kościele nie palono jakiegoś halucynogennego środka.

– Ruby, czy Witcherowie byli w kościele?

Jej twarz zmieniła się.

– Edeline tak – warknęła. – Na samym przedzie, rzucała głową, jej włosy były wszędzie. Ale ona udawała, to nie była prawdziwa ekstaza. – Ruby

nachyliła się do mnie, a ja z trudem zwalczyłam chęć odsunięcia się. – Dlaczego Pan miałby sprawiać, że guziki jej bluzki rozpinały się za każdym razem? – spytała z naciskiem. – Zawsze to ona pierwsza upadała, wiesz? Zawsze tuż przy pastorze.

Starsi ze wsi zdawali się być jednomyślni w swoim zdaniu o żonie Waltera. Ale to nie Edeline mnie interesowała.

– A co z innymi? – zapytałam. – Z Walterem?

– Walter nigdy nie przychodził – odpowiedziała z lekkim kiwnięciem głową. – Walter był dobrym człowiekiem.

Patrzyłam na nią, marszcząc czoło.

– A inni? – naciskałam, nie chcąc, żeby zdążyła sobie uświadomić, co właśnie powiedziała. – Saul, Archie, Harry, Ulfred?

Wyraz jej twarzy zmienił się kolejny raz, cofnęła się. I spojrzała na drzwi.

– Niedługo przyniosą herbatę – oznajmiła. – Herbatę i ciastko. Dwa, jeśli byliśmy grzeczni.

– Ruby, proszę, opowiadaj dalej.

*Przez jakiś czas msza toczyła się zwykłym rytmem. Pastor wygłasza kazanie, ludzie się modlą. Od czasu do czasu poszczególni członkowie zboru, natchnieni Duchem Świętym, podrywają się na nogi i krzykiem wychwalają Pana. Teraz Florence Allington wpada w trans. Ruby zastanawia się, kiedy nastąpi moment jej własnego omdlenia. Ryzykuje ukradkowe spojrzenie w dół, by sprawdzić, czy modlitewne maty leżą na zimnych kamieniach posadzki, w miejscu, gdzie upadnie.*

Byłam bliska zapytania, czy Florence Allington była spokrewniona z Johnem, ale zrezygnowałam, wolałam, żeby to Ruby mówiła.

– I ostatecznie zemdląłeś? – spytałam. – To znaczy, wpadłeś w trans?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Nie było to zbyt trudne – stwierdziła. – Zwłaszcza jeśli się nie jadło. Bierzesz kilka głębokich oddechów i potem wstrzymujesz powietrze. Przed

oczami robi ci się ciemno i upadasz.

Usłyszałam jakiś hałas na korytarzu. Dość daleko, czułam jednak, że czas mi się kończy.

– Co z węzami, Ruby? Pokąsały ludzi, tak? Nie tylko ciebie. Tamtej nocy ktoś zginął?

*Grzechotniki są w dużej drewnianej skrzyni, rzeźbionej w róże i liście bluszczu. Ze swojego miejsca na podłodze Ruby widzi, jak Harry Witcher wnosi ją z zakrystii. Ruby podciąga się na kolana, potem siada na swoim miejscu, modląc się, by tym razem – tej nocy – otrzymała dar Ducha Świętego i mogła dotknąć węży.*

*Pastor Fain sięga do skrzyni i wyciąga z niej węza: półtorametrowego, brązowego z czarnym wzorkiem, grubego na samym środku. Trzymając go w rękach, zaczyna podchodzić do zgromadzonych. „Oto dałem wam”, mówi, „władzę stąpania po węzach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika, a nic wam nie zaszkodzi”.*

Głos Ruby podnosi się, jest zbyt głośny. Ktoś usłyszy i położy kres naszym nonsensom za pomocą herbaty i dwóch ciastek.

– Łukasz, rozdział dziesiąty, wiersz dziewiętnasty – oznajmiła dumnie. – Właśnie to recytował, gdy obnosił węza, zapraszając każdego, kogo pobłogosławił Duch, żeby go dotknął.

Spróbowałam wyobrazić sobie zbiorową halucynację, niezbędną do tego, by normalni, racjonalnie myślący ludzie godzili się na roznoszenie wśród nich grzechotników.

– I ludzie to robili? – spytałam.

Ruby kiwnęła głową.

– Tylko ci pobłogosławieni. Ci, którzy nie dostąpili błogosławieństwa, trzymali głowy spuszczone i modlili się.

Nie wątpię, pomyślałam.

– Kto jeszcze dotykał węży?

*W tym czasie pastor Fain był z nimi już od trzech miesięcy i kilku mieszkańców otrzymało dar poskramiania węży. Ruby przygląda się, jak John Dodds podchodzi do skrzyni i sięga do środka. Podnosi węża, mniejszego niż ten, którego trzyma wielebny, bardziej szarego, i wiesza go sobie na ramionach. Stoi tam, pławiąc się w skupionych na nim spojrzeniach reszty wiernych, a wąż tymczasem pełźnie po nim w dół, owija mu się na prawej ręce. Peter Morfet też podchodzi do skrzyni, zaraz za nim Raymond Gillard. Ruby chce patrzeć, ale pastor jest coraz bliżej, teraz albo nigdy.*

*Wstaje, patrzy w te zimne oczy i czuje, że w jej łonie coś wybucha i ten prąd elektryczny obejmuje całe ciało. To jest znak, na który czekała. Wyciąga obie ręce, pastor nachyla się i podaje jej węża. Spodziejając się czegoś mokrego i śliskiego, jest zaskoczona, że ciało węża prześlizgującego się przez jej palce jest ciepłe i umięśnione. Nie myśląc, opuszcza wzrok na krocze pastora i czuje gdzieś w głębi siebie jakieś pobudzenie. Z płonąco szkarłatem twarzą oddaje węża. Pastor uśmiecha się do niej, mamrocze błogosławieństwo i przechodzi dalej. Ruby opada na kolana.*

– Nie sądzę, bym kiedykolwiek była szczęśliwsza – oznajmiła Ruby. – Zstąpił na mnie Duch Święty, pobłogosławił mnie jednym ze swoich darów. Chciałam się tylko modlić i modlić, i...

– Kiedy węże uciekły? Kiedy ludzie zostali pokąsani? Czy msza już się wtedy skończyła?

Popatrzyła na mnie, jakbym była głupia.

– Nie usłyszałaś słowa z tego, co powiedziałam, co? To nie była zwyczajna msza. To był tylko początek. Mieliśmy wskrzesić Ulfreda.

– Wskrzesić? – powtórzyłam z nadzieją, że źle zrozumiałam, obawiając się zarazem, że jednak nie. Pamiętałam wykład, który prowadził ojciec. Pomarańczowo-czarną broszurę autorstwa pastora Franklina Halla. Formuła na...

– Tak, wskrzesić – potwierdziła Ruby. – Podnieść z martwych.

Węże zostały odłożone na miejsce, skrzynia, zapomniana, stoi przy ołtarzu, a Peter Morfet oraz Raymond Gillard otwierają duże drewniane drzwi wjazdu na froncie nawy, tuż przed schodkami prezbiterium. Zbór znowu cichnie: modlitwy, śpiewy ustają. Wszyscy obserwują otwieranie kłódek, odciąganie rygli, podnoszenie klap. Ruby wychyla się ze swojego miejsca, żeby dojrzeć nieruchomą czarną wodę lśniąca w blasku świec.

Jeden z licznych we wsi podziemnych strumieni zasila świeżo wykopany basen chrzcielny. W ostatnich trzech miesiącach Ruby była świadkiem chrztu kilku mieszkańców i sama też teraz oczekiwała na swoją kolejkę. Nie może jednak przestać się zastanawiać – mimo że wie, że to grzeszne – jak zimna będzie woda w basenie i czy jego głębiny coś zamieszkuje.

Drzwi zakrystii otwierają się i do kościoła wkracza dziwna procesja. Archie Witcher, wysoki i przystojny, trochę podobny do pastora Faina, zwłaszcza gdy ma na sobie szaty kapłańskie, idzie pierwszy. Za nim Saul Witcher trzyma dwa drewniane drągi, wetknięte po jednym pod każdą pachę. Saul wchodzi głębiej do prezbiterium i całe zgromadzenie wyciąga głowy, żeby widzieć lepiej. Drewniane krzesło, stare, ale solidnie wykonane, jest przywiązane do drągów. Ruby dostrzega teraz Harry'ego Witchera, jak niesie drugie końce drągów. Między nimi, wysoko, jak starożytny król pojmany w bitwie, siedzi Ulfred. Jest przywiązany do krzesła grubymi sznurami. Sznury krępują nogi w kostkach i wiją się przez całe ciało aż do szyi. Usta ma zatkane niebieską szmatką, oczy, choć otwarte, są mętne i rozbiegane.

Ruby mocno zaciska dłonie i zmusza się do modlitwy. W dole brzucha zaczyna narastać panika.

Saul i Harry, z Archiem na przedzie, przechodzą wolno przez prezbiterium i docierają do schodków. Ulfred zaczyna się szamotać, szarpie za sznury, ale oplatają go tak ściśle, że prawie nie może się poruszyć. Ruby chce uciec, wybiec z kościoła, nie musieć oglądać tego, co się zaraz wydarzy. Próbuje modlić się jeszcze bardziej, ale nie może przypomnieć sobie najprostszej modlitwy.

Wszystko jej wyjaśniono. Ulfred jest opętany. Dlatego nie mówi i prawie

nie widzi, dlatego wydaje te dziwne, przerażające odgłosy. I również dlatego ma tę dziwną władzę nad węzami. To nie moc Pana sprawia, że Ulfred może dotykać węży i nic mu się nie dzieje, wyjaśniał pastor Fain. Moc Ulfreda pochodzi od pierwotnego węża z rajskiego ogrodu. Od samego szatana.

– Ojciec nasz – modli się Ruby. – Ojciec nasz. – Gdyby tylko potrafiła przypomnieć sobie dalsze słowa, może nie bałaby się aż tak bardzo. Nie czułaby tej okropnej chęci zawołania, żeby przestali.

Od swojego przyjazdu do wsi pastor wiele razy próbował egzorcyzmować Ulfreda, ale demon w nim jest zbyt potężny. Istnieje tylko jeden sposób na uwolnienie ich brata Ulfreda, wyjaśniał pastor w ostatnią niedzielę. Sposób ten polega na uwolnieniu jego śmiertelnej powłoki. Bez ziemskiego domu demon ucieknie do piekła. Później, mocą Pana, Ulfred zostanie wskrzeszony, jak Jezus Chrystus, i jego dusza będzie czysta i wolna. Ulfred odzyska wzrok, słuch, mowę. Będzie czuł odrazę do węży, jak wszyscy dobrzy chrześcijanie. Robią to dla Ulfreda. Bo go kochają. Kiedy pastor tłumaczył im to po raz pierwszy, Ruby była przerażona, rozejrzała się po kościele, sądząc, że zaraz usłyszy okrzyki protestów. Ale...

Saul i Harry opuścili krzesło. Demon zamieszkujący w Ulfredzie jest teraz przerażony, patrzy przez zamglone, na wpół ślepe oczy Ulfreda. Pastor, podniesionym głosem, żeby zagłuszyć okropne dźwięki, jakie wydaje Ulfred, prowadzi ich w modlitwie. Ruby próbuje się przyłączyć, ale nie może. Nie jest już w stanie wydobyć z siebie głosu. Rozgląda się i to, co widzi, wywołuje w niej jeszcze większy strach: tak niewielu podziela jej przerażenie. Peter Morfet spuścił głowę w ręce, Florence Allington padła na kolana i wydaje się, że płacze, jej mąż, John, ciągle zerka w stronę drzwi. Proboszcz Stancey podniósł się ze swojego miejsca. Większość pozostałych jednak patrzy zesklonymi oczami, ich usta mamrocą słowa, które jej nie wydają się już słowami modlitwy, a czterej mężczyźni zbierają się wokół więźnia przy basenie chrzcielnym.

Na znak pastora Harry i Saul przykucają. Harry potyka się, prawie upada. Potem znowu chwytają drągi. Ulfred już głośno zawodzi, Ruby chce zasłonić uszy, żeby nie słyszeć tego straszliwego dźwięku. Ale tak naprawdę to nie

Ulfred krzyczy, to musi być demon w nim, który wie, że za chwilę zostanie przepędzony, bo Ulfred, biedny, szalony Ulfred, na pewno nie rozumie, co ma się wydarzyć.

Harry i Saul szarpnięciem podrywają drągi od strony wiernych i Ruby patrzy z przerażeniem, jak prowizoryczna lektyka przechyla się i Ulfred spada pod wodę.

Już nie słyszą jego krzyków, kłęb bąbelków wystrzeliwujących na powierzchnię mówi jednak o tym, że Ulfred krzyczy nadal. Ruby nie może dłużej na to patrzeć. Odrywa dłonie od uszu i zasłania twarz, wreszcie przypominają jej się słowa modlitwy i zaczyna się modlić, modlić o to, żeby to się już skończyło, żeby ktoś to zakończył. Przecież to niemożliwe, żeby naprawdę chcieli to zrobić? Niemożliwe, że naprawdę zamierzają...

Zerka przez palce. Nie może na to patrzeć, nie może też nie patrzeć. Krzesło zaczyna się trząść, drewniane drągi grzechoczą, uderzając w kafle posadzki. Saul i Harry naciskają mocniej, Ruby widzi naprężone żyły na ich przedramionach. Teraz na powierzchnię nie wypływa tak dużo bąbelków. Archie upuszcza swoją Biblię, daje krok przed siebie, zagląda do basenu.

Ruby podrywa się i otwiera usta.

– Przestańcie. Na litość boską, wyciągnijcie go stamtąd!

Ale to nie jest głos Ruby. Nawę w stronę basenu idzie Jim Buckler. Ruby czuje, że zaraz zemdleje. Peter Morfet, szkarłatny na twarzy, też wstaje i dołącza do Jima. Wokół niej ludzie są wzburzeni. Niektórzy są źli, niektórzy zawiedzeni, innym wyraźnie ulżyło.

Ale pastor Fain blokuje nawę i wybawiciele Ulfreda będą musieli go wyminąć. A Saul i Harry to dwóch najsilniejszych mężczyzn we wsi. Krzesło już się nie porusza, w basenie nie widać bąbelków powietrza.

– Na litość boską, niech nam ktoś pomoże! – krzyczy Peter. Ruby wydaje się, że wstają kolejne osoby. Harry puszcza drągi. Saul krzyczy, ale Harry kręci głową i odsuwa się. Edeline zajmuje miejsce Harry'ego i zaczyna wrzeszczeć, gdy Peter Morfet łapie ją i próbuje odciągnąć. Jim Buckler i pastor Fain siłują się, ale pastor jest o wiele większy i Jim nie daje rady. Drzwi do kościoła otwierają się z łoskotem, Ruby odwraca się z nadzieją, że

zobaczy następne osoby, chcące pomóc. Ale ludzie wychodzą, wybiegają w ciemność.

Inni mężczyźni, nawet kobiety przesuwiają się do przodu. Na froncie kościoła wybucha bijatyka. Ruby patrzy, jak pastor bije Jima pięścią w nos. Krew rozpryskuje się na wszystkie strony, potem jej krople, jak maleńkie rubiny, spadają na kamienną posadzkę.

Ludzie krzyczą, płaczą. Niektórzy nawet dalej się modlą. Ruby zerka na drzwi i przechodzi do nawy. Ponad hałas wznosi się wysokie piskliwe wycie, nie może się powstrzymać i ogląda się za siebie. Dwóch mężczyzn trzyma Edeline za włosy i odciąga ją od basenu. Edeline szarpie się, kopie, cały czas wyjąc i wykrzykując tak straszliwe bluźnierstwa, że Ruby jest pewna, że za chwilę trafi ją grom z jasnego nieba, bo nikt nie może wypowiadać takich słów w kościele i przeżyć.

Edeline uwalnia się. Mężczyźni zagradzają jej drogę powrotną do basenu, a ona rozgląda się gorączkowo dokoła. Potem rzuca się przed siebie. Mężczyźni biegną za nią, ale ona zdążyła już dotrzeć do skrzyni z węzami. Kłódka nie była zamknięta. Edeline sięga do niej, choć jest odciągana, skrzynia się przewraca. Węże wylewają się na posadzkę. Przez sekundę zaskoczone, nie poruszają się, potem zaczynają się rozpełzać, szukają miejsca do ukrycia. Wybucha nowa fala dzikiego wrzasku. Ruby kieruje się do wyjścia, ale któraś z uciekających kobiet przewraca ją.

Przez ciało Ruby przetacza się ból. Uderzyła się mocno w plecy, leży na czymś ostrym. I czuje smród spalenizny. Czuje gorąco i uzmysławia sobie, że to jej włosy stanęły w płomieniach. Podrywa się na nogi, wali dłońmi po głowie i krzyczy tak samo głośno jak inni. Widzi, że jeden z podnóżków zajął się ogniem. Na jej oczach płomienie wystrzeliwiają w górę ku drewnianej ławce. Ruby odwraca się i biegnie nawą, strącając przy okazji następną stojącą na jej drodze świecę.

Wąż czeka na nią w przedsionku. Podnosi się w powietrze na pół metra, przybiera idealny kształt litery S. Ruby ma sekundę, żeby pomyśleć, jaki jest piękny, zanim się na nią rzuci.



## 43

**D**ziękuję – rzuciłam. – Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Siedziałam na łóżku Ruby, obok jej fotela. Jej prawa dłoń zaciskała się na poręczy, lewa spoczywała w mojej. Mocno ją ściszałam z nadzieją, że zwykły dotyk drugiej istoty ludzkiej sprawi, że przestanie tak drżeć.

– Myślałam, że spłonę – powiedziała. – Ogień był wszędzie. Wszyscy krzyczeli, uciekali. Nikt się nie zatrzymał, żeby mi pomóc. Umierałam z bólu, ale musiałam sama się stamtąd wyczołgać.

– Musiałaś być przerażona. – Mówiłam automatycznie i gorączkowo myślałam. A więc Ulfred utonął jednak tamtej nocy, został zamordowany przy współludziale połowy wsi. To była końcowa katastrofa tego tragicznego ciągu wydarzeń.

Charyzmatyczny, ale głęboko zaburzony człowiek przybył do wsi i w spokojnym poukładanym życiu angielskiej prowincji wywołał zamęt przerażającym, choć wielce uzależniającym nauczaniem. Członkowie zboru – w większości porządni normalni ludzie – dostrzegli szansę ucieczki od monotonii codzienności i uchwycili się jej. Podążyli za pastorem i jego naukami, które z początku wydawały się niewinne: msze, trochę bardziej pobudzające zmysły niż normalnie, praktyki, być może niekonwencjonalne, z pewnością jednak nieszkodliwe. I stopniowo droga, którą kroczyli, zaczynała pogrążać się w ciemności, brała zakręty, których nikt z nich nie mógł przewidzieć.

Tamtej ostatniej nocy wymuszona głodówka i – jestem pewna, że tak było – jakieś halucynogeny wydobyły z nich najczarniejszy aspekt ludzkiej natury. Ale nawet wtedy człowieczeństwo zwyciężyło u większości. Kilku parafian

próbowało ratować Ulfreda. Inni, tacy jak Ruby, którzy nie mieli odwagi interweniować, byli przerażeni.

Już się nie dziwiłam, dlaczego ci, którzy pamiętali piętnastego czerwca 1958 roku, nie chcieli o nim mówić. Gdybym była w kościele tamtej nocy, też chciałabym wymazać to wspomnienie z pamięci. Zrozumiałam, dlaczego Walter Witcher mnie okłamał. Wiedział, co bracia i żona zrobili z najbardziej bezbronnym członkiem rodziny, i zdecydowanie łatwiej mu było udawać, że został on odesłany do instytucji, w której mógł liczyć na pomoc.

Dłoń Ruby wciąż drżała, a popołudniowe powietrze wpadające przez balkon było coraz chłodniejsze.

– Podać ci sweter? – spytałam. Spojrzała na mnie.

– Co to było? – spytała. – Też... – przerwała. Dopiero po chwili się zorientowałam, o co jej chodzi.

– Nie – zaprzeczyłam. – To nie wąż.

Ruby wyciągnęła rękę i dotknęła lewej strony mojej twarzy. Nie próbowałam jej powstrzymać.

– Nigdy nie wyszłam za mąż – oznajmiła. – We wsi wszyscy wiedzieli o moim okaleczeniu... tam na dole. Nikt nie był zainteresowany. Po wojnie dziewcząt nie brakowało, a mężczyzn tak. To te ładne, jak Violet i Edeline, znajdowały sobie chłopów.

Lewa dłoń Ruby odsunęła się od mojego policzka i opadła w dół, na moją dłoń.

– Moja matka piła – powiedziałam. – Była żoną archidiakona, mimo to, a prawdopodobnie właśnie dlatego, piła. Na trochę przestała, gdy była ze mną w ciąży, ale potem nie dawała sobie rady z tym, że tkwi w domu sama z dwójką dzieci. Któregoś popołudnia ona, moja siostra i ja byłyśmy w salonie. Ja wtedy byłam jeszcze bardzo mała, nie miałam nawet roku. Matka położyła mnie na dywaniku, przed kominkiem. Piła od rana i potem... po prostu zasnęła.

Oczy Ruby były utkwione w moich. Wydawało się, że jest spokojniejsza, ale jej dłonie wciąż drżały.

– Przypuszczam, że Vanessa przez chwilę bawiła się ze mną, ale potem się znudziła. Wyszła do sąsiedniego pokoju.

Na zewnątrz niebo, tak błękitne godzinę wcześniej, przybrało dziwny żółtawy odcień, taki jaki zawsze poprzedza burzę.

– I potem dwa psy mojej matki wybiegły z kuchni; może siostra zostawiła drzwi otwarte, nie wiem. Przez cały dzień nic nie jadły. I nie wychodziły na dwór. Były głodne i zdenerwowane. Przybiegły do salonu, usłyszały, że popiskują na dywaniku. Widzisz, często się bawiły piszczącymi zabawkami, wzięły mnie za zabawkę. Zaczęły mnie ciągać po pokoju... Myślę, że im głośniejsz płakałam, tym bardziej były rozochocone.

– Mogły cię zabić – szepnęła Ruby.

– Moja siostra usłyszała, co się dzieje, i przybiegła. Krzyknęła, oczywiście, i ojciec ją usłyszał. To trwało tylko kilka minut, ale gdy mnie podniósł, psy zdążyły wygryźć...

Przerwałam. Mniej niż dwie minuty, tyle zajęło mi opowiedzenie komuś historii o tym, jak moje życie zostało kompletnie odmienione. Dwadzieścia dziewięć lat: i dwie minuty.

– I co najdziwniejsze, ja to pamiętam. Zdaję sobie sprawę, że musi to być fałszywe wspomnienie, miałam tylko dziewięć miesięcy, nie mogłam tego zapamiętać. Kiedy byłam młodsza, często miałam koszmary, może od tego się zaczęło. Ale wspomnienie jest takie realne. Pamiętam gorący oddech psów na mojej twarzy, czuję ich ślinę, ciekącą mi po brodzie. I dźwięki, jakie wydawały: szczekanie i piski, gdy coraz bardziej się nakreślały. Pamiętam też, że słyszałam matkę. To najgorsze z tego wszystkiego. Pamiętam, jak leży na kanapie, półprzytomna. Rozmawia z psami, myśli, że się czymś bawia, zachęca je. Nie ma pojęcia, że to ja jestem tą zabawką, którą one...

Teraz drżała już moja dłoń, nie Ruby.

– Moja siostra też miała koszmary – dodałam. – Lata po tym wydarzeniu słyszałam, jak krzyczy w nocy. Nawet teraz nie może znieść widoku krwi. Bo tam było tyle krwi, w tym salonie. – Uświadomiłam sobie, że Vanessa i ja, obie nosiliśmy blizny. Ale uwaga rodziny w całości skupiała się na dziecku, które zostało okaleczone zewnątrz. Vanessę w wieku pięciu lat pozostawiono samą, musiała sama sobie radzić z traumą. – I boi się psów – ciągnęłam, wreszcie uzmysławiając sobie znaczenie tego, co zawsze

wydawało się nieracjonalne – histerycznego strachu. – Ja nie. W ogóle mi nie przeszkadzają, ale ona nie może się do nich zbliżyć. Biedna Vanessa.

– Żałowałaś kiedykolwiek, że cię nie zabiły? – spytała Ruby. Znowu spojrzała na moją bliznę. – Kiedy jest się tak okaleczonym i jest się kobietą... to może zniszczyć człowiekowi życie.

Popatrzyłam na Ruby, zadając sobie pytanie, które zadawałam sobie już wiele razy: czy kiedykolwiek chciałam, żeby psy mnie zabiły? I przysięgam, że w tamtej chwili zobaczyłam, jak otwierają się przede mną jakieś drzwi, było tak, jakbym w smutnej kruchej postaci Ruby ujrziała własną przyszłość. Przez minutę, może dłużej, patrzyłam na ducha samej siebie za pięćdziesiąt lat: samotnej, niespełnionej, przeżartej zgorzknieniem. I podjęłam decyzję.

– To tylko blizna – oznajmiłam. – Mojego nie zniszczy.

Na zewnątrz oparłam się o land rovera i zamknęłam oczy. W końcu wyjawiałam komuś prawdę o tym, co mnie spotkało, i wiedziałam, że przyjdzie taki moment, że będę z tego powodu zadowolona. Na razie jednak czułam tylko wyczerpanie, zwłaszcza że im więcej się dowiadywałam, tym mniej rozumiałam. W końcu odkryłam tragiczną historię nocy, gdy spłonął kościół. Ale to było tak dawno. Nawet jeśli ktoś chciał pomścić straszliwe zło wyrządzone Ulfredowi, nawet jeśli istniały jakieś uzasadnione powody, żeby czekać z tym pięćdziesiąt lat, kto pozostał? Szwagierka Ulfreda i dwóch z jego czterech braci nie żyło, o trzecim nikt nie słyszał od lat, a brat, który jeszcze żył, był bliski śmierci.

Nie dało się tego obejść: nie odkryłam ogniwa łączącego przeszłość z teraźniejszością; nadal pozostawałam głównym podejrzanym.

Wsiadłam do samochodu i znowu wyruszyłam w drogę. Nie istniało żadne miejsce, do którego mogłabym się udać, ale musiałam się przemieszczać. Trzymając się podrzędnych dróg, skrótami przez pola, tam, gdzie się tak dało, jechałam niemal godzinę. I próbowałam ustalić, co powinnam teraz zrobić, nie byłam jednak w stanie oderwać myśli od straszliwej historii, którą opowiedziała mi Ruby.

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, czym się kierował pastor Joel Fain, gdy udał się głosić swoją naukę w nowej części świata, ale jego przybycie miało niszczący wpływ na ludzi, którzy przecież przywitani go z otwartymi rękoma. Choć historia liczyła pięćdziesiąt lat, gdy o niej myślałam, budził się we mnie gniew. Poznałam w swoim życiu charyzmatycznych kaznodziejów – mój ojciec taki był; pod wieloma względami sukces pastora w parafii zależy od jego osobowości. Ale nigdy wcześniej nie słyszałam o kapłanie, który wykorzystywałby swój dar w tak niszczycielski i niebezpieczny sposób.

Dzięki dobrej pamięci Ruby, która zapamiętała sporo szczegółów, bardzo wyraźnie potrafiłam wyobrazić sobie Joela Faina: młody, przystojny mężczyzna, wysoki i oszałamiający z zimnymi błękitnymi oczami, w kościelnych szatach, imponująca postać przed ołtarzem, głęboki, melodyjny akcent z Alabamy musiał brzmieć egzotycznie w uszach mieszkańców Dorset pięćdziesiąt lat temu. I jeśli mam być szczerą, to myślę, że mój gniew w dużym stopniu dotyczył właśnie jego fizyczności. Joel Fain nie był wysoki i przystojny na próżno. Jego wygląd rzucał mroczny urok na naiwnych parafian.

Z powodu swojego wyglądu ja stałam się główną podejrzaną w śledztwie. Joel Fain z powodu swojego był wielbiony i szanowany. Nawet Ruby, której życie zostało przez niego tak straszliwie zniszczone, nadal wspominała go z czułością. I Edeline, ciemnowłosa i oszałamiająca, która wykorzystywała urodę do zaspokajania swego wygórowanego apetytu na seks. I Archie, dzielący z Edeline rodzinne geny atrakcyjności. Tak bardzo się starałam, od zawsze, nie zazdrościć ludziom, którym wygląd ułatwiał życie, lecz...

Nagła myśl. Prawie znikąd.

Mojego włamywacza łączyłam z rodziną Witcherów głównie ze względu na to, jak wyglądał: średni wzrost i budowa, grube rysy z obwisłymi policzkami i jasnymi oczami, resztki przeredzonych włosów wokół ciemienia. Walter, Harry i Saul w młodości byli do siebie podobni i można się było spodziewać, że podobnie się zestarzeją. Ale to niejedyny typ fizyczny występujący w tej rodzinie. Archie i Edeline wyglądali zupełnie inaczej: wysocy, atletycznie zbudowani, ciemnooccy i przystojni, nawet mimo lekko haczykowatych nosów.

A ja znałam kogoś, kto tak wyglądał. Mężczyznę w odpowiednim wieku.

Zjechałam na pobocze, zjrzałam do mapy i znowu ruszyłam.

A jeśli młodszy Saul Witcher – ten chłopiec, który został porzucony, kiedy jego matkę zamordowano, a ojca skazano – wrócił? Jeśli przyjechał szukać zemsty na tych we wsi, którzy wypędzili jego rodziców z ich domu, którzy, w każdym razie jego zdaniem, sprawili, że został sierotą i trafił do domu dziecka, gdzie prawdopodobnie doświadczał przemocy i okrucieństwa? Saul Witcher junior mógł być zarówno zaburzony psychicznie, jak niebezpieczny. A ja miałam przeczucie, kto nim jest.

Wjechałam do najbliższego miasteczka i znalazłam bibliotekę publiczną. Kiedy wysiadałam, padało. Bibliotekarka akurat obsługiwała czytelników, gdy przechodziłam obok jej biurka, i chyba mnie nie zauważyła. Odszukałam stanowisko z komputerami, połączyłam się z Internetem i do wyszukiwarki wstukałam nazwisko, o które mi chodziło. Pojawiło się kilka wyników, łącznie z grupą odniesień do przedsiębiorstw wydobywania i poszukiwania ropy naftowej, należących do interesującej mnie osoby. Usytuowana w Afryce Południowej spółka holdingowa nie udzielała informacji, zwłaszcza personalnych, o swoim głównym udziałowcu, ale znalazłam kilka artykułów wspominających niepokojące dane dotyczące wpływów przedsiębiorstwa na środowisko i warunków pracy w licznych filiach spółki.

Nie mogłam znaleźć żadnych śladów jego wcześniejszego życia. Tylko krótka wzmianka o małżeństwie z kobietą z Afryki Południowej i pozytywnie rozpatrzonej prośbie o przyznanie obywatelstwa. Przeczytałam, że miał firmy poszukujące ropy w Angoli, Nigerii, Republice Nigru, Libii i Afryce Południowej. Jego firma specjalizowała się w przejmowaniu danych wypracowanych przez firmy, którym się nie powiodło, i aktualizowaniu ich na podstawie najnowszych technologii. Kiedy obecność ropy się potwierdzała, składał wnioski o pozwolenie na odwierty i albo sam je przeprowadzał, albo odsprzedawał prawa do nich większym firmom naftowym. Poza spółkami wydobywającymi ropę posiadał również kilka kopalni, w Australii, na Tasmanii i w Papui-Nowej Gwinei.

Papua-Nowa Gwinea.

W ostatnich latach, dysponując znacznym majątkiem, rozwinął zainteresowanie żeglarstwem długodystansowym. Odbył kilka samotnych rejsów dookoła świata, stając się swego rodzaju żeglarską znakomitością. Sean był przekonany, że jaj tajpana nie dałoby się przeschmugłować samolotem. „Sprawdźcie drogi lądowe”, radził, „małe komercyjne linie żeglugi morskiej albo prywatne jachty”.

Walter twierdził, że syn Saula i Alice wyemigrował. Jeśli młody Saul Witcher i mężczyzna, którego sprawdzałam, byli jedną i tą samą osobą, to ten człowiek wrócił z wystarczającą kwotą pieniędzy i odpowiednio wysokim statusem, żeby zagwarantować sobie wstęp do społeczności, którą miał powody nienawidzić.

Siedziałam i myślałam. Małżeństwo z tamtejszą kobietą umożliwiło mu wystąpienie o nadanie obywatelstwa w Afryce Południowej. Po czymś takim zmiana nazwiska byłaby dość prosta. Lata później, z nowym nazwiskiem i narodowością, z nowym akcentem, kto połączyłby odnoszącego sukcesy biznesmena z chłopcem, który tak krótko przebywał we wsi?

Przyszedł mi na myśl kolejny pomysł i do wyszukiwarki wpisałam „rejestr ślubów”. Pojawiło się kilka firm, każda oferowała, że przeszuka dla mnie rejestry w zamian za opłatę. Miałam ze sobą kartę kredytową i po krótkiej zwłóce, podczas której sprawdzane były moje dane, wpisałam Witcher, Saul i 1957.

Dziesięć sekund później patrzyłam na listę osób o nazwiskach zaczynających się od „Wit”, które zawarły ślub w 1957 roku. Na pierwszej stronie nie było nic, przeszłam więc do drugiej. Na trzeciej znalazłam. Trzynastego kwietnia 1957 roku Saul Clive Witcher z mojej wioski w Dorset ożenił się z Alice Olive Ventry, córką Grahama Ventry’ego.

Panięskie nazwisko Alice brzmiało Ventry, Saul na drugie imię miał Clive. Clive Ventry, właściciel naszego dworku, milioner i sławny żeglarz, urodził się jako Saul Witcher.

## 44

**S**aul Witcher wrócił do wsi swoich przodków pod przybranym nazwiskiem, nie zdradzając nikomu swojego pochodzenia. Wydrukowałam kilka stron, wyłączyłam komputer i wybiegłam na zewnątrz, w rześistą ulewę. Na ulicy był duży ruch, samochody rozbryzgiwały kałuże, ludzie spieszyli chodnikami pod osłoną parasolek. Potrzebowałam kilku chwil na ochłonięcie, na zebranie myśli. Uciekłam do samochodu i ruszyłam.

Przejechałam jakieś dwa kilometry, do następnego małego miasteczka. Może instynktownie, może z przyzwyczajenia, kierowałam się na iglicę widoczną nad budynkami. Przejechałam miasto w stronę wybrzeża. Zatrzymałam się dopiero na małym parkingu przed kościołem, blisko krawędzi klifu. Parking był pusty, nie licząc niebieskiej fiesty. Radio miałam włączone przez całą drogę, głównie dlatego, że chciałam się dowiedzieć, czy nastąpił jakiś postęp w sprawie Ernesta Amblina. Choć nikt nie musiał mi mówić, że policja nie odnalazła jeszcze swojego głównego podejrzanego.

W wiadomościach nie było o mnie nic. Przekaz skupił się na ostrzeżeniach przed złymi warunkami atmosferycznymi na całym południowym zachodzie kraju. Burze, których spodziewaliśmy się od początku dnia, wreszcie nadeszły i były bardzo gwałtowne. Już teraz w kilku miastach i wsiach odcięto prąd, przewidywano, że kilka rzek może wylać, drogi były zablokowane przez przewrócone drzewa, ludziom doradzano, żeby jeśli to możliwe, nie wychodzili z domów.

Telefon ledwie miał czas zadzwonić, zanim został odebrany.

– Matt Hoare.

– Tu Clara.



Ostry wdech.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie... – Przerwał, słyszałam jego oddech. Czekałam. – Gdzie jesteś? – spytał w końcu.

– Niedaleko. Wysłuchaj mnie tylko, proszę. Daj mi pięć minut.

I Matt, trzeba mu oddać sprawiedliwość, posłuchał mojej prośby. Wysłuchał mnie, nie przerywając, a ja opowiedziałam mu o spotkaniu z Walterem, nieudanej próbie wyśledzenia Ulfreda w szpitalu psychiatrycznym, o relacji Ruby z nocy piętnastego czerwca 1958 roku, nocy zamordowania Ulfreda. Opowiedziałam o wszystkim, czego się dowiedziałam o Clivie Ventrym, vel Saulu Witcherze, i o jego prawdopodobnie złym traktowaniu w domu dziecka.

– Obwinia wieś za wyrzucenie z niej rodziców – oznajmiłam. – W kościele tamtej nocy było wiele osób, ale prawie wszyscy zwrócili się przeciwko trzem braciom Witcher, to oni zdaniem mieszkańców byli winni...

– Claro...

– Clive Ventry prowadzi interesy w Papui-Nowej Gwinei. Ten wąż, którego złapaliśmy, ma około czterech miesięcy. Normalnie tajpanowi wyklucie zajmuje jakieś dwa. Trzymanie jaj w chłodzie może wydłużyć ten okres do około stu dni. Cofnij się siedem miesięcy i założę się, że odkryjesz, że Clive złożył wizytę jednej ze swoich firm w Papui-Nowej Gwinei.

– Claro, zamknij się!

Zamilkłam.

– Chcę wiedzieć, gdzie dokładnie jesteś.

Powiedziałam mu.

– W porządku. Wysłałam tam kogoś po ciebie. Nie waż się stamtąd ruszyć.

– Tylko nie Taskera. On myśli, że zabiłam Violet. Sama wrócę do wsi. I oddam się w twoje ręce.

– Proszę, posłuchaj mnie tylko. Zleciliśmy analizę charakteru pisma na testamencie, znalezionym w domu Violet. To nie jest ani jej pismo, ani twoje. Na papierze są odciski palców Violet, ale nie w miejscach, w których należałoby się ich spodziewać. Wygląda to na dość prymitywną próbę przerzucenia winy na ciebie. Chociaż trudno mi zrozumieć, jak ktoś może

sądzić, że to przejdzie na dłuższą metę.

– A co z moimi odciskami?

– Ani śladu. Ktokolwiek wykradł papier z twojego domu, nie miał szczęścia. Ale na tym testamencie znaleźliśmy jeszcze jeden zestaw odcisków. Ten dokument miał w dłoniach ktoś, kto nie był ani tobą, ani Violet.

Zaczynałam mieć problemy z oddychaniem. Czyżby więc było już po wszystkim?

– Mamy też wyniki sekcji zwłok Violet – ciągnął Matt, łagodniejszym tonem. – We krwi miała silnie skoncentrowaną dawkę jadu żmii, ale zmarła, ponieważ ktoś zakrył jej twarz poduszką i ją udusił.

Cisza. Słyszałam, jak oddycha. I sądzę, że on zapewne to samo mógł powiedzieć o mnie.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak.

– Jest tego więcej. Wygląda na to, że Violet próbowała się bronić. Pod paznokciami prawej dłoni znaleźliśmy ślady naskórka. Będziemy mogli określić z nich DNA, ale ktokolwiek ją zabił, musi mieć widoczne zadrapania.

Tuż po zatrzymaniu zostałam przebadana przez lekarza policyjnego i posterunkową. Miałam mnóstwo zadrapań, zawsze mam, ale żadnego, które mogło być zrobione przez ludzkie paznokcie. Wyniki testów DNA mnie oczyszczą. Matt nadal coś mówił. Zmusiłam się, żeby go słuchać.

– Ernest Amblin został znaleziony wczoraj przez swojego zięcia na brzegu rzeki tuż przed północą. Utonął, ale patolog znalazł siniaki na jego ramionach. Był trzymany pod wodą przez kogoś silnego. – Matt przez chwilę milczał i kiedy się znowu odezwał, jego głos brzmiał surowiej. – Rozumiem, że masz alibi na wczorajszy późny wieczór.

– Tak, byłam z... – przerwałam.

– Seanem Northem. Wiem. Pomaga nam w poszukiwaniach od wczesnego poranka. Czy nie kazałem ci trzymać się od niego z daleka? – Głos Matta podniósł się. Był całkiem bliski tego, żeby zacząć na mnie krzyżeć.

– Czy on jest podejrzany?

Kolejna pauza. I ciężki wdech.

– Niestety nie. Przed twoim przyjazdem prawie godzinę rozmawiał przez telefon ze swoim reżyserem z telewizji. Po twoim wyjeździe zadzwonił do Australii. Rejestry firmy telefonicznej potwierdzają, że oba telefony wykonał z domu. Nie mógł znajdować się w pobliżu Amblina, gdy ten został napadnięty. A teraz posłuchaj mnie, bo nie mam zbyt wiele czasu.

Matt szedł. Słyszałam jego kroki na żwirze i wiatr gwizdzący w wysokich drzewach. Drzwi jakiegoś samochodu zamknęły się z trzaskiem.

– Już od jakiegoś czasu dyskretnie obserwuję Clive’a Ventry’ego – oświadczył. – Jest właścicielem firmy eksploatacyjnej, która przed rokiem złożyła urzędowy wniosek o zgodę na przeprowadzenie próbnych odwiertów w różnych miejscach na terenie wsi. Najwyraźniej jakiś czas temu były tu już prowadzone wstępne prace, które jego firma przeanalizowała. Możliwe, że nawet niemal w tym miejscu, w którym stoję, dałoby się wydobyć nawet sześćset milionów baryłek ropy, co oznacza, że byłoby to największe pole naftowe na lądzie w Europie.

Słyszałam uruchamianie silnika, trzeszczenie opon trących o małe kamienie.

– Jego zgłoszenie odrzucono, dwukrotnie – kontynuował Matt. – Głównie z powodu silnych sprzeciwów miejscowych, ale Clive nie wygląda na kogoś, kto się łatwo poddaje. Wykupuje mnóstwo ziemi. To jego firma stoi za tymi ofertami kupna, które wszyscy dostajemy. Podejrzewamy również, że może prowadzić akcje zastraszające. Te ostatnie zniszczenia we wsi, przecinane kable telefoniczne, tego rodzaju rzeczy. Myślimy, że próbuje uprzykrzyć ludziom życie tak, że zaczną sprzedawać domy i...

– I opozycja stopniowo się wykruszy – dokończyłam za niego. – Allan Keech i jego bracia pracują dla niego, prawda?

– Tak sądzimy. W pewnym garażu odkryliśmy coś w rodzaju meliny. To tam przesiadują. Znaleźliśmy tam farbę bardzo podobną do tej, którą zmywałaś ze swoich frontowych drzwi kilka dni temu. I było tam też kilka zaskrońców w jakimś pudle. Wygląda na to, że to te dzieciaki podrzucały węże do domów.

Te dzieciaki dotykały żmij, nie wspominając tajpana, i nie były kąsane? Zamordowały trójkę staruszków? Choć bardzo mi ulżyło, że nie jestem już podejrzewana, nie wydawało mi się to szczególnie prawdopodobne.

– Nie podejrzewałem, że Ventry’ego łączy coś z rodziną Witcherów, ale jeśli masz rację, to dodaje tylko głębi całej sprawie. Dobra, wejdę teraz na radio. Ktoś po ciebie pojedzie za góra dziesięć minut.

– Proszę, pozwól mi po prostu wrócić do domu. Przyjadę od razu do wsi, obiecuję.

– To niemożliwe. Jakąś godzinę temu na główną drogę spadł cholernie wielki dąb. Dzisiaj już nikt nie wjedzie do wsi ani z niej nie wyjedzie.

– Jesteś tam teraz?

– Jestem. Byłem właśnie, żeby sprawdzić, czy da się usunąć to drzewo. Nie ma szans. Potrzebny będzie ciężki sprzęt. Ventry też tu jest, na szczęście. I ponieważ jego helikopter nie poleci nigdzie w taką wichurę, na jakiś czas jest unieruchomiony. A teraz nie chcę już słyszeć żadnych sprzeciwów. Wydam rozkaz, że nikt nie ma z tobą rozmawiać, dopóki nie dotrę do komisariatu. Być może będziesz musiała spędzić noc w celi i przykro mi z tego powodu, ale sama sobie jesteś winna przez tę cholerną ucieczkę.

– No dobrze – odparłam, uświadamiając sobie, że się uśmiecham. To jedynie ulga, powiedziałam sobie, wynikająca z tego, że nie jestem już podejrzewana. Poza tym byłam tak zmęczona, że przespanie nocy w celi nie wydawało mi się wielkim problemem. Prawdopodobnie zasnę od razu, gdy tylko zamkną się za mną drzwi.

Kolejna pauza, podczas której czułam, że wstrzymuję oddech.

– W takim razie cieszę się, że nic ci nie jest – rzucił Matt. – Do zobaczenia wkrótce.

Telefon kliknął, połączenie zostało przerwane i Matt zniknął.

Siedziałam w samochodzie, nie widząc nic przez szybę zalewaną strugami deszczu. Auto co sekundę było wstrząsane silnymi podmuchami wiatru. Dziesięć minut minęło i żaden wóz patrolowy się nie pojawił. Zaczynały mi się zamykać oczy. I myślałam o tym, że być może to wszystko wreszcie się skończy. Oczywiście zostały jeszcze do wyjaśnienia jakieś poboczne sprawy, ale policja to rozgryzie. To nie było moje zadanie. Mogłam wrócić do życia,

które znałam, do leczenia rannych zwierząt, ukrywania twarzy przed własnym gatunkiem.

„...to jest tylko to, wiesz, blizna”.

„Cieszę się, że nic ci nie jest. Do zobaczenia wkrótce”.

Otworzyłam oczy. Dwadzieścia pięć lat spędziłam na budowaniu muru wokół siebie, który w moim przekonaniu był tak niedostępny jak forteca. Ale wypadki ostatnich kilku dni wysadziły go w powietrze, jak dynamit podłożony pod zamek z piasku. Dwadzieścia pięć lat zabawy w chowanego z życiem i na koniec ono mnie znalazło. Nie, zrobiło więcej niż tylko to. Złapało mnie za kołnierz i wyciągnęło, kopiając i krzyczącą, na słońce. I teraz... czy zamierzałam z powrotem usunąć się w cień?

Od momentu, gdy Matt się rozłączył, minęło dwadzieścia minut, ale wozu patrolowego nadal nie było widać. Domyślałam się, że policja ma pełne ręce roboty w związku z burzą. Pewnie wkrótce się zjawią.

Opuściłam osłonę przeciwsłoneczną nad siedzeniem kierowcy i odsunęłam osłonkę na lusterku, z którego nigdy wcześniej nie korzystałam. I przyjrzałam się długo i porządnie swojej twarzy, co robiłam prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu.

Nie było wcale aż tak źle. Nie byłam śliczna (mimo wszystko dzięki, Sean) ani ładna (choć to miło, że tak powiedziałaś, Violet), ale rzeczywistość nie miała nic wspólnego ze zdeformowanym potworem, jakiego skonstruowałam sobie w głowie. Minęło dziesięć lat od mojej ostatniej rozmowy z chirurgiem plastycznym, ale technologia poszła naprzód. Możliwe, że teraz mogliby zrobić dla mnie więcej. I kupiłabym jakieś porządne ciuchy, takie, których nawet ciotka Matta, Mildred, by się nie powstydziała i może pozwoliłaby złożyć się w nich w trumnie. W tym momencie już zdecydowanie uśmiechałam się do siebie, kolejna rzecz, której nigdy wcześniej nie robiłam. Może mogłabym kupić jakieś kosmetyki do malowania. A niech to, mogłabym nawet zrobić sobie te próbne zdjęcia, o których mówił Sean.

Pukanie w szybę sprawiło, że podskoczyłam. Odwróciłam się, mając nadzieję, że zobaczę umundurowanego funkcjonariusza. Obawiałam się tylko, że to może być Tasker, chociaż z drugiej strony wiedziałam, że dam sobie z

nim radę. Osobą, którą zobaczyłam, okazał się jednak chudy starszy mężczyzna w mokrej niebieskiej wiatrówce, naciągniętej na czarny garnitur, rzadkie kosmyki włosów kleiły mu się do twarzy. Przechyliłam się i otworzyłam drzwi od strony pasażera.

– Claro! – zawołał, zaglądając do środka. – Czy ty sobie zdajesz sprawę, że szuka cię pół hrabstwa?

Odwrociłam się, żeby ponownie spojrzeć na zaparkowaną niedaleko niebieską fiestę. Gdybym się jej lepiej przyjrzała, kiedy przyjechałam, mogłabym ją rozpoznać. W końcu zatrzymałam się przecież na parkingu przed kościołem. Pastor Percival Stancey najprawdopodobniej odwiedzał jednego ze swoich kolegów.

– Dlaczego mnie pastor oszukał? – spytałam, prostując się. Patrzyłam staruszkowi prosto w oczy. O tym drobnym, czarno odzianym mężczyźnie myślałam zawsze, że jest to miły staroświecki, trochę zbyt skupiony na sobie, lecz zasadniczo dobry człowiek. Teraz już tak nie było. – Dlaczego pastor mówił, że nie było go tu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku? Był pastor w kościele w tę noc, gdy spłonął. Ruby mi właśnie powiedziała. Widziała pastora, siedział pastor z tyłu.

Pastor Percival Stancey westchnął.

– Deszcz chyba słabnie – rzekł. – Dasz się namówić na krótki spacer, moja droga?

Wygramoliłam się z samochodu i odszukałam kurtkę. Deszcz wcale nie zelżał, wręcz przeciwnie, ale przekonałam się, że to mi nie przeszkadza. Percy pokazał gestem, żebym poszła przodem po zwirowej ścieżce w stronę szczytu klifu. Myśląc, że może jednak dowiem się czegoś więcej, ruszyłam przed siebie.

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym byłem jeszcze wikarym – zaczął pastor Percy, kiedy dotarliśmy do niskiego murku oddzielającego parking od o wiele mniej równego terenu na klifie. – Zdaje się, że gdzieś tutaj jest furka.

Skręciliśmy i poszliśmy wzdłuż murku.

– I nie mieszkałem we wsi – ciągnął. – Przydzielono mnie do parafii

położonej jakieś dwadzieścia kilometrów dalej. Słyszałem o pastorce Fainie i byłem go ciekaw. Któregoś wieczoru przyjechałem więc rowerem i wziąłem udział w nieszpórach. – Dotarliśmy do furtki. Percy otworzył ją i przepuścił mnie przodem. Na chwilę przystanąłem. Krawędź klifu była bardzo blisko, a teren nierówny. Nie najlepsze miejsce na spacer dla siedemdziesięciolatka. Zwłaszcza w złą pogodę.

– To było piętnastego czerwca? – spytałem.

– Nie, nie, kilka tygodni wcześniej. Za tobą, moja droga.

Przeszłam przez furtkę, zamierzając trzymać się blisko murku. Może i nie byłam już głównym podejrzanym, ale ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam, to tłumaczenie się, jak to się stało, że sędziwy ksiądz w moim towarzystwie runął w przepaść i się zabił.

– Atmosfera tam była bardzo histeryczna – opowiadał Percy. – Ludzie krzyczeli, wymachiwali rękami, bełkotali, coś deklarowali. Kompletny nonsens, w mojej opinii. Zdałem relację swojemu proboszczowi, a on kazał mi nadal przyglądać się sytuacji. Więc jeździłem tam co kilka tygodni, po prostu, żeby wiedzieć, co się dzieje.

– Co pastor myślał o pastorce Fainie?

Percy przeszedł pod murek, ja znalazłam się po zewnętrznej stronie ścieżki, blisko krawędzi klifu. Wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy przed siebie. Deszcz lał mi się po karku, wiatr rozwiewał słowa Percy'ego. On jednak prawie nie zauważał niedogodności pogody.

– Bardzo błyskotliwy człowiek. Miał imponującą osobowość, świetny wygląd. Pomyślałem, że to osoba, która może wywierać ogromny wpływ na ludzi, dobry i zły.

– I którą drogę obrał?

Pastor Percy westchnął.

– Tę złą, oczywiście. Jak zawsze w przypadku ludzi tego rodzaju.

– Ale pociągnął za sobą całą wieś.

Czy tylko mi się wydawało, czy pastor Percy zbaczał w lewo, jakby chciał, żebym znalazła się bliżej krawędzi?

– Nie, nie. Mniej niż połowę, powiedziałbym. I zanim zaczniesz obwiniać

tych ludzi, musisz pamiętać, że niedawno przeżyli długą i straszną wojnę. Dwie, w przypadku niektórych starszych. Ten rodzaj nauki, jaką głosił Fain, o znakach poprzedzających koniec świata, o tym, że zbliża się koniec Królestwa Bożego na ziemi, był bardzo przekonujący w tamtym czasie. Fain twierdził, że jest członkiem Bractwa Eliasza, czegoś w rodzaju grupy świętych zesłanych przez Boga, żeby sprowadzili wszystkie jego prawdziwe dzieci do domu. To był powód, dla którego zjawił się w Anglii, mówił, że jest żyjącym świętym. Muszę przyznać, że na takiego wyglądał.

Zatrzymaliśmy się. Szybkie spojrzenie w lewo powiedziało mi, że stoję nie dalej niż dwa kroki od krawędzi.

– Kiedy się przeżyło rzeź milionów – ciągnął Percy – nie potrzeba wielkiej wiary, żeby dostrzec oznaki zbliżającej się apokalipsy.

– Rozumiem, że czasy były inne. Ale wielodniowe głodówki? Branie do rąk jadowitych węży? Jak Kościół mógł zezwalać na tego rodzaju rzeczy?

– Nie zezwalał, lecz musieliśmy być ostrożni. Fain nie łamał żadnego prawa obowiązującego w Anglii. W parafii nie było wtedy proboszcza, a ludzie ze wsi mieli prawo modlić się w budynku kościoła.

Pastor uśmiechał się, choć smutno, i nie patrzył mi w oczy. Wiatr się nasilał, zaczęłam się czuć niepewnie, stojąc tak blisko dwudziestometrowej przepaści.

– No i co zrobiliście? – spytałam, zastanawiając się, jak mogłabym zmienić miejsce tak, żeby nie wyglądało to głupio. Stancey stał teraz bardzo blisko, nachylał się do mnie.

– Napisaliśmy do ludzi, których znaliśmy w Stanach, próbowaliśmy dowiedzieć się o Fainie tyle, ile tylko mogliśmy. Poskramianie węży było już wtedy zakazane w wielu stanach, myśleliśmy więc, że może Fain złamał prawo i być może jest zbiegiem.

– Napisaliście – powtórzyłam, nie mogąc się powstrzymać przed obejrzeniem się za siebie. Nagły poryw wiatru uderzył mnie mocno w twarz – i zginęło pięć osób.

Stancey chwycił mnie za ramię.

– Nie mieliśmy pojęcia, że rzeczy zajdą aż tak daleko, jak zaszły. Tamtej



nocy to wszystko całkowicie wyrwało się spod kontroli.

– Mało powiedziane – przytaknęłam i dałam krok w bok. – Zdaje sobie pastor sprawę, że wszystkich obecnych w kościele tamtego wieczoru można uznać za współwinnych morderstwa?

Stancey znieruchomiał.

– O czym ty mówisz, moja droga?

– Ulfred został zamordowany – rzuciłam. – Nikt rozsądny i normalny nie mógł wierzyć, że po zabiciu uda się wam go wskrzesić.

– Myślę, że... – Pastor odzyskał władzę w nogach, dał ku mnie krok. Ja też zmieniłam miejsce, przeszłam na bezpieczną stronę przy murku.

– Wiem, że pastor i kilka innych osób próbowaliście to zatrzymać, ale, na litość boską, jak mogliście dopuścić, żeby sytuacja zaszła aż tak daleko?

– Claro...

Cofnęłam się aż pod krzak janowca.

– Pozwoliliście głęboko upośledzonego człowieka związać i utopić.

– Co dokładnie powiedziała ci Ruby...

Stancey podchodził coraz bliżej. Żeby obejść jego i janowiec, musiałam przejść prawie do samej krawędzi klifu.

– Co zrobili z ciałem? – spytałam. – Pochowali je gdzieś na cmentarzu? W nieoznaczonym grobie?

W tym momencie ziemia pod moimi stopami osunęła się. Poczułam w żołądku mdlące szarpnięcie i zaczęłam spadać. Daleko pode mną słyszałam stukot luźnych kamieni. Wyciągnęłam szybko ręce i chwyciłam się Percy'ego. Z zadziwiającą jak na tak wiekową osobę siłą zacisnął dłoń na mojej i zatoczył się w tył. Przez sekundę myślałam, że wszystko stracone, ale potem pod stopami wyczułam coś twardego, od czego mogłam się odepchnąć, i oboje wystrzeliliśmy do przodu.

Upadliśmy na niski kamienny murek. Przez chwilę żadne z nas nie było w stanie się odezwać, próbowaliśmy odzyskać oddech. Nie mnie pierwszej się to udało.

– To chyba nie był dobry pomysł – wydyszał Percy. – Wracajmy do naszych aut.

Wróciliśmy do furtki, mój oddech zwolnił do normalnego.

– Kiedy wybuchł pożar, większość ludzi uciekła – oznajmił Percy, po czym przerwał, bo złapał go atak kaszlu. – Ernest Amblin i ja zdołaliśmy przedrzeć się do tego basenu chrzcielnego. Wyciągnęliśmy Ulfreda i odwiązaliśmy go.

Znowu wzięłam go pod ramię.

– I on...

– Nie oddychał. Ernest nie mógł wyczuć pulsu.

Ja też ledwie oddychałam. Ale nie śmiałam przerywać pastorowi.

– Ernest pokazał mi, jak mam masować serce. A sam zrobił mu sztuczne oddychanie. Teraz zdaje się nazywacie to resuscytacją. I przez ten cały czas pożar szalał wokół nas w kościele.

Spróbowałam to sobie wyobrazić: gorąco, syk ognia, krzyki. Dłoń Percy'ego zacisnęła się na mojej.

– Czasami myślę, moja droga, że jeśli jednak trafię do piekła, nic mnie tam nie zaskoczy – rzekł. – Myślę, że tamtej nocy widziałem to miejsce.

– Uratowaliście go? – spytałam po chwili, kiedy już odzyskałam głos.

– O tak. Zajęło to kilka minut, ale w końcu wziął głęboki wdech i wypluł z siebie wodę. Udało nam się wynieść go na zewnątrz, potem zanieśliśmy go do domu. Więc widzisz, Claro, w pewnym sensie tamtej nocy wskrzesiliśmy jednak człowieka z martwych.

– Co się działo później?

– Ulfredem zajął się Walter, załatwił tak, że dokądś go zabrali, bardzo dyskretnie. Saulowi i Harry'emu spokojnie, niemniej stanowczo zasugerowano, żeby na jakiś czas znaleźli sobie inne miejsce do życia. Archie zdążył już uciec. Nikt go więcej nigdy nie widział, chociaż przysłał pieniądze na postawienie nagrobku dla pastora Faina. Edeline pozwolono zostać ze względu na szacunek dla Waltera. I potem już nikt nigdy nie mówił o tamtej nocy. Myślę, że wiele osób istotnie uznało, że Ulfred naprawdę wtedy zginął.

Dotarliśmy do murku przy parkingu i musiałam puścić ramię Percy'ego.

– Niedługo potem dostaliśmy wiadomość z parafii w Stanach, do której wcześniej pisaliśmy – kontynuował. – Zbyt późno, oczywiście.

– I co w niej było?

– Szokująca historia. Joel Fain stanął przed sądem w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym za zamordowanie własnego ojca. Fain senior przyłapał podobno syna, wtedy już wyświęconego księdza, na cmentarzu. On i inni członkowie kościoła ekshumowali świeże zwłoki. Było jasne, co planowali. A przynajmniej co próbowali zrobić. Ojciec się wściekł, zaatakował syna, zamknął pod kluczem w rodzinnym domu. Potem ojciec zniknął. Znalezione go, po tygodniu, zamkniętego w jakiejś chacie w środku lasu.

– Martwego? – spytałam.

– O tak. Zamknięto go w tej chacie z grzechotnikiem. Umierał przez kilka dni.

– I Fain stanął przed sądem?

– Upierał się, że sam będzie swoim obrońcą. To był bardzo sławny proces w tamtych dniach. Nawiązywał stale do Cyncerona, sławnego rzymskiego prawnika, i do jego pierwszej rozprawy, w której bronił młodego mężczyzny oskarżonego o tę samą zbrodnię.

– O zabicie ojca?

– Właśnie. Fain miał się za wielkiego znawcę klasyki, najwyraźniej. Tak czy inaczej, matka Faina wynajęła własnego prawnika, próbowała przekonać sąd, że jej syn jest obłąkany. Gdyby uznano go za winnego, groziła mu kara śmierci. Być może we wniosku o niepoczytalność widziała jedyny sposób na uratowanie mu życia. Musiało jej się udać, bo został umieszczony w zamkniętym zakładzie i wkrótce uciekł stamtąd. Ludzie uważali, że pomogła mu w tym matka; że gdzieś go ukrywała. Tak nie było, jak dowiedzieliśmy się później, chociaż mogła pomóc mu dostać się do Anglii.

Fain zabił własnego ojca. I taki człowiek zdominował całą parafię.

– Gdybyśmy tylko wiedzieli wcześniej – mówił Percy – może uratowalibyśmy tych trzech mężczyzn, którzy zginęli razem z nim. Chociaż nie mogę oprzeć się myśli, że cała ta sytuacja skończyła się z korzyścią dla Ulfreda. Potrzebował specjalistycznej pomocy.

Kręciłam głową.

– Nie, nie. To wciąż nie ma sensu. – Dotarliśmy na parking. Zatrzymałam

się i odwróciłam do Percy'ego. – Walter żyje – oznajmiłam.

Percy popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Naprawdę – zapewniłam. – Widziałam go dziś rano. Powiedział mi, że Ulfred został odesłany do szpitala psychiatrycznego – co, jak sądzę, pasuje to do tego, co pastor właśnie mówił – ale ja tam byłam i nie mieli żadnych śladów tego, że Ulfred Witcher został kiedykolwiek przyjęty do ich szpitala. Sprawdzili rejestry aż do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego. Byli bardzo skrupulatni i nie znaleźli absolutnie nic o Ulfredzie.

Percy miał irytująco spokojną minę.

– Cóż, nie mogli. Ale on tam był. Sam go odwiedzałem na początku.

– Nie...

– Ulfred miał na nazwisko Dodwell. Nie był bratem Waltera. Był bratem Edeline.

## 45

**D**odwell? Fred Dodwell? To o niego chodzi?

Fred? Ulfred? Tak, to musi być to. Ponieważ za nic nie byłam w stanie skupić się na prowadzeniu, skręciłam z głównej drogi i zatrzymałam się.

– Tak, tak myślę – odpowiedziałam, wyłączając silnik. – Bardzo mi przykro, że zmarnowałam wam czas dziś rano. Wszystko mi się pomieszało z tymi koneksjami rodzinnymi. To jak, kojarzycie Freda Dodwella?

– Naturalnie. Od razu wiedziałabym, o kogo chodzi, gdyby rano podała pani właściwe nazwisko, wszyscy byśmy wiedzieli. Fred przybył tu jeszcze przed nami, w początku lat sześćdziesiątych, myślę, że może nawet...

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym? – spytałam cicho.

– Możliwe – zgodziła się.

– I nadal u was przebywa? Czy on... – Ledwie mogłam zmusić się do wypowiedzenia tego słowa. Przekonałam się, że w duchu modłę się, żeby mi powiedziała, że Ulfred zmarł, w spokoju, kilka lat temu. Ale wiedziałam, że tak nie powie. Na linii zrobiło się cicho. Siedziałam, wsłuchując się w szum wiatru w gałęziach drzew. Wiatr się nasilał.

– Pani Scott? – przynagliłam.

– Rozumie pani, że chodzi o kwestię poufności informacji. Normalnie mogłabym pani powiedzieć jedynie, że pan Dodwell został przyjęty i był naszym pacjentem. Potem musiałyby pani złożyć prośbę o zgodę na odwiedzin.

– Rozumiem. – Czekałam, czując, że kobieta ma mi do powiedzenia coś więcej.

– Może mi pani przybliżyć bardziej powód swojego zainteresowania? –

zapytała w końcu.

Zastanowiłam się sekundę. Czy mam coś do stracenia, jeśli powiem prawdę? Albo przynajmniej jej część?

– W naszej wsi widzimy pewną osobę – zaczęłam w końcu. – We wsi, w której pan Dodwell mieszkał przed przyjęciem do szpitala. Ktoś włamuje się do domów, do mojego domu. Widziałam tę osobę i miałam wrażenie, że ją rozpoznałam.

– Pani zna Freda?

– Nie, nie. Myślałam, że to ktoś inny, mężczyzna o imieniu Walter. Ale Walter i Fred są spokrewnieni. Przypuszczam, że mogą być do siebie podobni.

Rose Scott milczała.

– Ten ktoś mieszka chyba w swoim starym domu rodzinnym – ciągnęłam. – Straszy ludzi, nawet ich krzywdzi. – Na sekundę przerwałam. – Ten Ulfred... to znaczy, Fred... może mieć coś wspólnego z węzami – dokończyłam.

– Och...

Czekałam, wydawało się, że bardzo długo.

– Pani Scott – odezwałam się w końcu – jest tam pani?

– Może pani do nas jeszcze raz podjechać?

Nie było na to czasu. Powrót do szpitala zająłby mi prawie godzinę. Jeśli istniało choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że Ulfred żyje, musiałam powiedzieć o tym Mattowi już teraz.

– Przykro mi. Ale muszę spotkać się z pewną osobą. Czy jest coś, co mogłaby mi pani powiedzieć? Co mogłoby pomóc?

Przez chwilę milczała.

– No dobrze – rzuciła w końcu. – W tych okolicznościach chyba nagnę trochę zasady. Fred został tu przywieziony jako bardzo młody chłopak. Ten szpital to praktycznie jedyny świat, jaki zna. I jak wynika z jego akt, gdy go przywieziono, był w głębokim szoku. Lekarzom nigdy nie udało się tak naprawdę dotrzeć do jądra jego stanu.

– Rozumiem – odpowiedziałam, myśląc, że mnie też to trochę zajęło. – Domyślałam się, że był upośledzony – kontynuowałam, próbując ignorować uczucie przerażenia w brzuchu. – Ludzie mówili mi, że był ślepy, głuchy i nie

mówił. I też, że był... cóż, mówili, że był opóźniony w rozwoju. Nie jestem pewna... – przerwałam. Nie byłam pewna, jak brzmi poprawny termin określający niedorozwój umysłowy.

– Fred nie był niedorozwinięty. Powiedziałabym, że inteligencję miał nieco poniżej przeciętnej. Ale potrafił udawać, zwłaszcza gdy czuł się zagrożony. Nie był też ślepy. Kiedy przyjechał, w obu oczach miał bardzo silną zaćmę. W latach siedemdziesiątych zoperowano mu ją. Jego wzrok nigdy nie był najlepszy, ale widział dostatecznie dobrze. Ale głuchy był, i to się nie zmieniło.

Tamten człowiek w moim domu nie słyszał, że schodzę na dół; nie zareagował, gdy upuściłam szklanę i ta się rozbiła.

– Potrafił czytać z ust – poinformowała Rose Scott. – I nauczyliśmy go trochę mówić, ale kiedy ktoś nigdy nie słyszał dźwięków, jego mowa nigdy nie będzie brzmiała normalnie. Takie osoby nigdy nie będą potrafiły do końca uzyskać właściwego tonu i modulacji.

Pomyślałam o dziwnych gardłowych odgłosach, które dobywały się z mojej piwnicy tamtej nocy i o cichych jękach, które Matt i ja słyszeliśmy w domu Witcherów. Uzmysłowiłam sobie też, że Rose mówi o Ulfredzie w czasie przeszłym.

– Nigdy nie był jednym z naszych łatwych pacjentów – kontynuowała. – Ma pani jakieś pojęcie o medycynie, panno Benning?

– Cóż, tak... jestem weterynarzem.

– No tak. Cóż, Fred był badany wielokrotnie na przestrzeni lat. Teorie się zmieniały i dowiedzieliśmy się więcej o chorobach umysłowych. Ostatnim razem, myślę, że to było w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, zdiagnozowano u niego dwa różne typy zaburzeń kontroli impulsów. Fred miał parafilię. Cierpiał też na zaburzenia eksplozywne przerywane. Nie wiem, czy te oba terminy są pani znane?

Nie byłam przekonana.

– Parafilia to nieodpowiednie zachowania seksualne, tak?

– Mniej więcej. Fred miał symptomy obydwu: ekshibicjonizmu i froteryzmu. Naszym zdaniem był... cóż, jestem pewna, że nie muszę pani zaznajamiać ze

szczegółami. Nas bardziej niepokoiło to drugie zaburzenie, eksplozywne. Miał podawane leki, oczywiście, kombinację antydepresantów i stabilizatorów nastroju. Przez wiele miesięcy był spokojny, wykonywał posłusznie wszystkie polecenia, a potem, bez żadnej konkretnej przyczyny, zwyczajnie wpadał w szal. Kiedy tak się działo, musieliśmy go krępować. Był bardzo silny. I nie wydawał się przejmować tym, ile szkód wyrządził.

Czekałam, wyczuwając, że ma mi do powiedzenia coś jeszcze.

– Staraliśmy się nie zostawiać go samego z pacjentami płci żeńskiej, a nawet członkiniami personelu.

– Czy on nadal u was jest? – spytałam. Zalało mnie wspomnienie tamtej nocy, gdy znalazłam się sama z mężczyzną, który włamał się do mojego domu. Tego, jak na mnie patrzył, jak mnie dotykał...

– Jeśli chodzi o te węże... – Rose Scott jakby nie usłyszała mojego pytania. – To naprawdę było coś bardzo dziwnego. Wydawało się, że on je wyczuwał. Szedł do lasu, do miejsc, w których spodziewał się je znaleźć, kładł się plackiem na ziemi, prawie jakby ich nasłuchiwał. Tylko że...

– Był głuchy – dokończyłam za nią.

– No właśnie. I jak on sobie z nimi radził. Znosił z lasu żmije, wywołując w nas wszystkich paniczny strach, ale one go nigdy nie ukąsiły, nawet raz.

Zastanawiałam się, czy Sean uznałby, że Ulfred potrafił zjednoczyć się z węzami, podłączał się do jakiegoś rodzaju ich boskiej natury. Dla mnie był to nonsens, mimo wszystko jednak nie podobała mi się myśl, że ktoś obcuje z jadowitymi węzami i nie boi się ukąszenia.

– I czy on nadal... – Główne wejście szpitala psychiatrycznego było szeroko otwarte, kiedy tam przyjechałam. Nie zauważyłam też żadnego ogrodzenia dokoła budynku.

– Z jego kartoteki wynika, że nie miał żadnej rodziny. – Tym razem pani Scott musiała mnie usłyszeć. Najwyraźniej zatem unikała odpowiedzi na moje pytanie. – Kiedy pacjenci przebywają u nas przez jakiś czas – kontynuowała – rutynowo utrzymujemy kontakt z bliską rodziną, ale w przypadku Freda nikt się do nas nie odzywał, od wielu lat. Przez cały jego pobyt miał tylko jednego gościa. Całkiem niedawno. Wysokiego, przystojnego mężczyznę.



Clive Ventry był wysoki i przystojny. Nawiązał kontakt z Ulfredem. Ledwie się powstrzymałam przed przerwaniem rozmowy z Rose i zadzwonieniem do Matta. Chciałam ruszyć w drogę, wrócić do wsi. Tam, do diabła, zadzwoniłabym nawet do Taskera, gdybym musiała. Zmusiłam się do zachowania spokoju. Im więcej Rose mi powie, tym lepiej.

– Mówił, że nie jest z Anglii. Miał obcy akcent.

Oczywiście, przez wiele lat mieszkał w Afryce Południowej.

– Dał Ulfredowi jakieś jaja. – Rose nie zdawała się zrażona brakiem reakcji z mojej strony. Musiała wyczuwać, że słucham jej bardzo intensywnie. – Sześć sztuk – ciągnęła. – Mniej więcej wielkości jaj kaczych, ale z takimi skórzastymi skorupkami. Powiedział, że to jaja węży, które kupił podczas swoich podróży. Zarodki były martwe, zaznaczał to bardzo wyraźnie, w przeciwnym razie nie mógłby dać Ulfredowi tych jaj.

Przyłapałam się na tym, że się rozglądam, obserwuję drogę przed sobą i za sobą. Całą noc i większość dnia spędziłam na unikaniu policji, teraz jednak oddałabym wszystko, żeby mnie zatrzymali. Och, Rose, przejdź już wreszcie do sedna.

– Ulfred miał już węża. Zbożowego, śliczne maleństwo, zupełnie nieszkodliwe. Mieliśmy nadzieję, że to go powstrzyma przed łapaniem dzikich węży. Jaja włożył do jego klatki, żeby miały ciepło, mówił. Zachęcaliśmy go do tego, mimo że wiedzieliśmy, że zarodki w jajach są martwe.

– Kiedy to było?

– Nie tak dawno. Jesienią. Próbowaliśmy potem odszukać tego mężczyznę, tak na wszelki wypadek, gdyby coś wiedział. Ale nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi i nawet policja nie mogła go znaleźć.

– Policja?

– Tak, oczywiście. Powiadomiliśmy ją od razu. Fred nie był przestępcą, rozumie pani, ale nigdy nie dostałby zgody na wyjście, nawet gdyby miał rodzinę, która by się nim zajęła.

– To Ulfreda już u was nie ma, tak?

Długa pauza tym razem.

– Nie, obawiam się, że nie ma – odpowiedziała w końcu. – Zaginął w

listopadzie. Widzi pani, większość naszych pacjentów przebywa u nas z własnej woli. Nie możemy ich zatrzymać, jeśli chcą wyjść. I raczej nie mamy problemów z nieoczekiwanymi zniknięciami. Ale któregoś dnia Fred wyszedł i po prostu nie wrócił. Szukaliśmy go wiele godzin, zanim zgłosiliśmy to policji. Musiał dotrzeć do miasta i tam złapać autobus. Bo zwyczajnie zniknął. I to samo stało się z jajami.

## 46

**C**zy policja go szukała? – Znowu jechałam, z telefonem przyciśniętym do ucha lewym ramieniem. Było to bardzo niebezpieczne, zważywszy na pogodę, nie wspominając, że zabronione, ale droga była pusta. Ludzie przed burzą pochowali się po domach.

– Oczywiście, był zakwalifikowany jako pacjent zaburzony i potencjalnie groźny. Policja przeprowadziła dużą akcję poszukiwawczą.

Myślałam szybko. Szpital znajdował się w Devon, poza jurysdykcją Matta. Jego ludzie nie brali udziału w poszukiwaniach. Prawdopodobnie zostali o nich poinformowani, ale nie istniały żadne powody, dla których mieliby połączyć wieloletniego pacjenta szpitala, Freda Dodwella, z rodziną Witcherów.

– Napisaliśmy na jego ostatni znany nam adres, ale list wrócił z dopiskiem „posesja pusta”.

– Jego siostra zmarła – powiedziałam. – Szwagier był w hospicjum.

– To by wszystko wyjaśniało – mruknęła Rose. – Fred nadal widnieje na liście osób zaginionych, ale po kilku miesiącach policja przerwała poszukiwania. Nikt o nim nie słyszał, nikt nie dawał znaku, że gdzieś go widziano. Funkcjonariusze prowadzący akcję uznali, że pewnie nie żyje, że zmarł gdzieś na jakiejś ulicy.

Gdyby tylko.

– On nie zmarł – oznajmiłam. – Mieszka w starym domu rodzinnym. Myślę, że mógł zabić trzy osoby.

– O mój Boże. – Rose zamilkła, prawdopodobnie próbowała przyjąć do siebie to, co właśnie powiedziałam, ale nie miałam czasu pomagać jej wyjść z

oszołomienia.

– Muszę kończyć. Pani Scott, mogłaby pani skontaktować się z tym policjantem, który dowodził poszukiwaniami i przekazać mu, co pani usłyszała ode mnie?

– Oczywiście, ale on z pewnością będzie chciał porozmawiać z panią. Nie może pani do nas wrócić?

– Muszę pojechać do domu. Podam pani adres, pod którym policjanci będą się mogli ze mną skontaktować.

– Ale... mówiła pani, że mieszka w małej wsi. Panno Benning, Fred Dodwell od wielu miesięcy nie brał leków. Może być bardzo niebezpieczny. Proszę powiedzieć, że nie zamierza pani...

Przycisnęłam guzik rozłączający rozmowę. Rose Scott nie musiała mi mówić, że Fred Dodwell jest groźny. Już to wiedziałam, sama się o tym wcześniej przekonałam. Nie miałam też czasu wysłuchiwać, jak próbuje mnie przekonać, że powinnam trzymać się od niego z daleka. Nie miałam najmniejszego zamiaru zbliżyć się do Ulfreda.

Odszukałam wizytówkę, którą dał mi Matt, zerknęłam na numer komórki, i prowadząc jedną ręką, drugą wybrałam numer.

W listopadzie zeszłego roku Ulfred opuścił szpital i udał się do domu. Numer komórkowy, na który dzwoniłam, nie odpowiadał. Wybrałam numer domowy Matta.

To, co Rose Scott powiedziała o stanie Ulfreda, przypomniało mi niejasne słowa Waltera. „Nie dawałem sobie z nim rady. I on, i Edeline... Jak mogłem ich powstrzymać? Nie potrafiłem powstrzymać żadnego”.

Edeline i Ulfred byli rodzeństwem. Swoboda seksualna to jedno, ale wszyscy bracia męża i jej brat też? Nic dziwnego, że Walter nie chciał, żeby opiekowała się dzieckiem brata. Edeline nie należała do kobiet, które chciałyby się widzieć przy dzieciach.

W kilka tygodni po opuszczeniu szpitala przez Ulfreda Edeline zmarła. Czy zabił ją jej brat?

Ciągły sygnał na linii domowej Matta. Znowu spróbowałam połączyć się z jego komórką.

John Allington był w kościele tamtej nocy piętnastego czerwca 1958; Edeline brała udział w topieniu brata. Jeśli Ulfred szukał zemsty za to, co go spotkało, ci dwoje byłiby oczywistym celem. Ale Violet nie było w kościele. Ernest Amblin uratował Ulfredowi życie. Dlaczego miałyby chcieć ich skrzywdzić?

Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym mniej miało to sensu. Ulfred miał spustoszenie pośród swoich rówieśników, ludzi, których kojarzył z tym, co mu się przytrafiło, nie zważając na to, czy rzeczywiście uczestniczyli w wydarzeniach, czy nie. Jego umysł funkcjonował chaotycznie, a tym samym był groźny.

Czy chaotyczny umysł potrafiłby podrobić testament Violet? Wstrzyknąć jad żmii Johnowi Allingtonowi?

Jakiś mężczyzna – byłam pewna, że był to Clive Ventry vel Witcher junior – odwiedził Ulfreda. Czy pomógł mu zbiec krótko potem? Czy Clive rozdrapał stare rany, rozbudził w Ulfredzie niechęć i tak go nakręcił, że jego chęć zemsty zapłonęła równie mocno, jak w nim samym? Czy Clive wykorzystywał Ulfreda do przeprowadzenia własnej zemsty? Czy chodziło jedynie o chciwość? Może Ulfred był tylko częścią prowadzonej przez Clive'a kampanii zastraszania? Nim cała sytuacja wymknęła się spod kontroli?

Czy próbował przerzucić winę na mnie, bo przeczuwał, że razem z Mattem jesteśmy bliscy odnalezienia Ulfreda? Chciał mnie usunąć, żeby zyskać na czasie, do momentu aż otrzyma zgodę na odwiarty?

Matt cały czas nie odbierał komórki. Znów zadzwoniłam na jego telefon domowy. Ten sam ciągły sygnał. Burza musiała uszkodzić linie telefoniczne we wsi. Jeśli to samo działo się w całej okolicy, wszyscy pewnie korzystali z telefonów komórkowych. Nie miałam żadnej pewności, kiedy wreszcie uda mi się dodzwonić.

Według tego, co mówił Matt, na główną drogę dojazdową do wsi i zarazem wyjazdową spadło olbrzymie drzewo. Droga będzie zatarasowana wiele godzin, prawdopodobnie całą noc. Nikt dzisiaj nie wyjedzie ze wsi ani do niej nie wjedzie.

Jeśli Matt uważał, że wieś jest odcięta, zapewne nie będzie próbował

sprowadzić pomocy. Będzie czekał do rana, aż przyjedzie wsparcie, zanim zaaresztuje Clive'a Ventry'ego. Ale Matt nie wiedział o innym, nieskończeniu bardziej niebezpiecznym zagrożeniu we wsi. Nie wiedział o Ulfredzie. Co będzie, jeśli postanowi jeszcze raz rozejrzeć się po domu Witcherów?

No dobra, miałam wybór. Mogłam natychmiast pojechać do najbliższego komisariatu, oddać się w ręce komendanta i spróbować przekonać, że Ulfred stanowi realne zagrożenie i muszą od razu udać się do wsi.

Tylko jeśli mi nie uwierzą? Jeśli nie będzie nikogo, z kim będę mogła porozmawiać? Jeśli zatrzymają mnie w celi na wiele godzin?

Nie ma drogi wjazdu ani wyjazdu, powiedział Matt. Wychował się w tej wsi, bawił się na jej polach jako dziecko. Ale prawdopodobnie nie spędził ostatnich czterech lat na codziennym bieganiu po każdej drodze, szlaku, ścieżce i przecince, jakie tam istniały. Nie poświęcał weekendów na studiowanie map, próbowanie znalezienia tras, na których możliwość spotkania innego człowieka jest minimalna. Ani nie jeździł i nie wędrował godzinami po polach, lasach i dolinach okolicy w poszukiwaniu zranionych zwierząt.

Znałam wszystkie stare farmerskie drogi, z których wiele było już nieużywanych, ścieżki konne, rowerowe i dla pieszych. Wiedziałam, które rzeki są przejezdne, gdzie należało pojechać zwykłym samochodem, a gdzie z napędem na cztery koła, i gdzie żaden pojazd nie wjedzie. Znałam wszystkie najkrótsze trasy dotarcia od miejsca A do B i znałam nawet takie skróty, o których istnieniu nikomu innemu się nie śniło. Wbrew temu, co twierdził Matt, wiedziałam, że nie potrzebuję głównej drogi, żeby wrócić do wsi.

Kiedy do wsi zostały mi już tylko cztery kilometry, skręciłam z szosy i pojechałam starym szlakiem prowadzącym do nieużywanej kopalni kredy. Jechałam na północ drogą, którą dobrze znałam. Przejeżdżałam tędy zaledwie kilka dni temu, wtedy gdy razem z Craigiem i Simonem ratowaliśmy łabędzia.

Oczywiście istnieje ogromna różnica między jazdą przez dzikie ostępy za dnia, w dobrą pogodę, z dwoma mężczyznami do pomocy, a robieniem tego w

środku gwałtownej burzy, gdy z każdą mijającą sekundą robi się coraz ciemniej.

Szlak prowadzący do kopalni ciągnął się przez jakieś pół kilometra, ostatnie dwieście metrów porastały janowce i wrzosi. Na końcu tej trasy znajdował się zespół zrujnowanych budynków, w których niegdyś składowano sprzęt dla pracowników kamieniołomu – i wielka dziura ziejąca w zboczu wzgórza, czyli wszystko, co pozostało po dawnym wyrobisku. Nie chciałam zatrzymywać się tutaj na dłużej. Po lewej znajdowała się zamknięta na kłódkę solidna stalowa brama. Zwykle, gdy tu przyjeżdżaliśmy, mieliśmy do niej klucz, którego tej nocy ze sobą nie miałam, nie zamierzałam jednak pozwolić, by taka drobnostka mnie powstrzymała.

Trzy dni temu zauważyliśmy w płocie rozpadający się, gnijący fragment, zaledwie kilka metrów od bramy. Tarnina po drugiej stronie była rzadka. Ustawiłam się z samochodem bezpośrednio przed zniszczoną częścią płotu i upewniwszy się, że koła dobrze trzymają się podłoża, wrzuciłam pierwszy bieg.

I kiedy tam stałam, zbierając odwagę, przypomniała mi się ta noc, gdy z Mattem staliśmy przed bramą posesji Witcherów. „Nie ma drogi wejścia i wyjścia”, powiedziała wtedy do niego. A on się uśmiechnął i wyciągnął klucz, którym w sekundę otworzył kłódkę. „Teraz już jest”, rzucił z cwany uśmiechem. Mocno wdepnęłam w pedał gazu i land rover wystrzelił przed siebie. Uderzył w płot z przeraźliwym hukiem. Na sekundę drewniane paliki rzuciło na przednią szybę, słyszałam, jak podszytie trze o spód auta, potem paliki spadły, a ja byłam po drugiej stronie. Teraz już jest, powiedziała do siebie, ale nie uśmiechałam się.

Następne dwa kilometry jechałam przez las. To był stary gaj bukowy, niektóre z drzew osiągały prawie dwadzieścia metrów wysokości. Kołysały się tej nocy, jakby coś je opętało, przginały gwałtownie w dół w moją stronę z niesamowitą mocą. Ludzie mawiają, że drzewa szumią, że szepczą. Tej nocy wyły i krzyczały na mnie, a wiatr szarpał ich koronami, zrywał gałęzie, nacierał na pnie, mające za sobą dekady opierania się nawałnicom. Nie postawiłabym jednak pieniędzy na to, że tamtej nocy wytrzymają.

Odlamane gałęzie spadały na land rover, waląc w jego dach, w boki, nawet w przednią szybę, która ledwie uniknęła roztrzaskania. W pewnym momencie musiałam ostro zahamować, żeby nie wjechać w powalone drzewo. Było może trzystuletnie, szerokie w obwodzie, z siecią gałęzi rozchodzących się po ziemniczym pajęczka sieć. Wycofałam auto i znalazłam drogę dookoła pnia.

Pokonałam bukowy gaj, wiedząc, że poważnie uszkodziłam samochód i że będę się musiała gęsto z tego tłumaczyć. Z drugiej strony problemy z funduszem zarządzającym prawdopodobnie miały być najmniejszym z moich zmartwień. Od tego punktu jazda była już łatwiejsza, ale deszcz znowu się wzmógł, jeszcze bardziej pogarszając widoczność i rozmiękczając podłoże. Jeśli teraz się zakopię, będzie po wszystkim.

Ale land rovery przeznaczone są właśnie do jazdy po tego rodzaju terenie i nie zakopałam się. Przejechałam przez następną bramę, tym razem niezamkniętą, i wjechałam na ziemię Clive'a Ventry'ego. W tym miejscu droga się rozwidlała. Gdybym skręciła w lewo, dotarłabym nad rzekę, tak jak kilka dni temu z Simonem i Craigiem. Ta droga oferowała też możliwość dotarcia do wsi, ale naprawdę miałam nadzieję, że nie będę musiała z niej korzystać. Zgasiałam światła samochodu i skręciłam w prawo, kierując się w górę wzgórza. Przejechałam przez jedno czteroakrowe pole, potem przez drugie, większe. Teraz byłam już na tyle blisko, że widziałam dworek. Spowijała go kompletna ciemność. Bez przejeżdżania przez trawnik na jego tyłach nie mogłabym się dostać bliżej do dróg we wsi, zatrzymałam się więc i wysiadłam.

Na ułamek sekundy teren wokół mnie rozświetlił się niemal tak, jakby to był dzień, i poczułam się całkowicie odsłonięta. Potem znowu zrobiło się ciemno i rozległ się huk pioruna. Burza była coraz bliżej.

Pobiegłam na tył furgonetki i podniosłam klapę bagażnika. Nigdy nie wiemy, kiedy możemy zostać wezwani do nagłej akcji ratunkowej i land rovery zawsze są wyposażone w liny, kable, latarki, podstawowe narzędzia i preparaty medyczne. Odszukałam najsilniejszą latarkę, swoją torbę medyczną, parę lornetek, ostry nóż i klucz francuski. Potem ruszyłam pod górę w stronę domu, odczuwając prymitywny impuls, typowy dla wszystkich żyjących



stworzeń, który im każe gdzieś przycupnąć, żeby ukryć się przed burzą. Zmusiłam się jednak do marszu.

W tym momencie opady były niemal tropikalne, z nieba lało się jak z cebra. Przyszło mi na myśl, że tajpan, jeśli jest na wolności, czuje się w tej ulewie jak w domu. Zastanawiałam się, gdzie się teraz znajduje, czy ukrywa się gdzieś w budynku, czy czai w zaroślach, i przez moment żałowałam, że nie mam na sobie porządnych butów, najlepiej sięgających do kolan, tylko zwykłe obuwie do biegania.

W naszej wsi nie ma lamp ulicznych i gdy zapada zmrok, jest ciemno. Widzimy cokolwiek tylko dzięki temu, że niektórzy włączają latarnie na swoich posesjach. Zwykle to wystarcza, ale teraz nie paliła się żadna; awaria prądu w hrabstwie nas też dotknęła. Przekradłam się za dworem i pobiegłam przez ogród w stylu francuskim od przodu domu. Wzdłuż jego krańców ciągnął się gęsty żywopłot z cisów, ale byłam raczej pewna, że jakoś się przez niego przecisnę. Po drugiej stronie znajdowały się przede mną jedynie ciemne zarysy budynków. Znowu zaczęłam biec, czujnie obserwując otoczenie. To była ta jedyna noc, podczas której nie zamierzałam dać się złapać Allanowi Keechowi i jego znajomkom. Ani nikomu innemu zresztą.

Biegłam przez nasze pastwisko i nie mogłam powstrzymać drżenia, gdy zobaczyłam ciemność pod mostem. Zdecydowałam, że żadna siła na ziemi nie zmusi mnie do ponownego wejścia pod ten most. Nigdzie nie było żywej duszy, kiedy wbiegałam na pagórek prowadzący do domu i tuż przed Bourne Lane skręciłam i pobiegłam w dół wąskim porośniętym wawrzynem podjazdem, prowadzącym do domu Matta. Stał przed nim jakiś samochód, zielony hatchback. W oknie najbliższej drzwi frontowych migotała świeczka. Zabębniłam w drzwi i usłyszałam kroki. Rygiel został odciągnięty. Drzwi zaczęły się wolno otwierać.

– Nie mogłam się do ciebie do... – zaczęłam. I przerwałam.

– Dzień dobry – powiedziała kobieta, stojąca na progu domu Matta, niczym piękny stróż miejsca, do którego ja nigdy nie będę miała wstępu. – Szuka pani Matta?

Jakoś udało mi się kiwnąć głową.

– Musiał wyjść – oznajmiła. – Powinien już wrócić. Czekam na niego z kolacją.

Coś się we mnie gwałtownie przebudziło: warcząca, pełzająca rzecz, którą musiałam zdusić i zignorować. Nie mogłam pozwolić temu czemuś wydostać się na wolność i urosnąć, bo mogłoby mnie połknąć w całości.

– Czy mówił, dokąd idzie? – wychrypiałam.

– Proszę na chwilę wejść, strasznie pada.

Cofnęła się do środka i nie miałam wyjścia, musiałam za nią pójść. W kolejnych kilku sekundach miałam okazję zauważyć, że przedpokój Matta był duży, jego ściany wyłożone kamieniem. W kominku płonął ogień, a płytki na podłodze były stare i popękane. Obrazy na ścianach za to szokująco nowoczesne. Przede wszystkim jednak nie mogłam oderwać oczu od kobiety, która pachniała drzewem sandałowym i hinduskimi przyprawami. Musiała mieć blisko metr osiemdziesiąt, była szczupła jak gałązka wierzby, z burzą falujących jaskraworudych włosów.

– Czy to coś pilnego? Mogę jakoś pomóc? – pytała mnie.

– Pani jest z policji? – spytałam, wiedząc, że nie jest.

– Nie. Mam na imię Rachel, jestem przyjaciółką Matta.

No i wyciągnęłam to z niej.

– Czy stało się coś złego?

Czyli to właśnie tak człowiekowi łamie się serce? Chryste, Claro, skup się!

– Nie jestem pewna – zaczęłam. Ile mogłam jej powiedzieć? – Ma tu pani jakiś działający telefon?

– Nie. Linie padły godzinę temu. Zaraz po telefonie do Matta. Nie mogłam się też nigdzie dodzwonić z obu naszych komórek. Matt ma krótkofalówkę, ale oczywiście zabrał ją ze sobą.

– Proszę posłuchać, to naprawdę ważne. Czy wie pani, kto do niego dzwonił i dokąd poszedł?

Teraz już marszczyła czoło, wyczuwała moje zdenerwowanie i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, wpuszczając mnie.

– Tak – odparła wolno. – Ja odebrałam telefon. Zaraz, jak ten pan miał na imię... Chris, Colin...

– Clive? – podpowiedziałam. Nie, proszę, nie...

– Tak, właśnie. Był czymś bardzo zdenerwowany. Chciał się spotkać z Mattem jak najszybciej. Matt rozmawiał z nim kilka minut i potem wyszedł. Zabrał samochód, prawdopodobnie z powodu deszczu. Ze wsi podobno nie da się wyjechać, prawda?

– Nie jest to łatwe – mruknęłam, gorączkowo myśląc. – I to było godzinę temu?

– Mniej więcej. Proszę posłuchać, czy powinnam...

– Proszę próbować połączyć się przez komórkę z kolegami Matta. Proszę pytać o inspektora Taskera. Niech mu pani powie, że Clara Benning wróciła do wsi. To powinno go zmusić do działania. – Rachel wpatrywała się we mnie kilka sekund, potem odwróciła do małego stołu. Leżał na nim długopis i notes. Zaczęła w nim notować. – I proszę mu powiedzieć, żeby się skontaktował z kolegami z policji w Devon w sprawie Ulfreda Dodwella i Okręgowego Szpitala Psychiatrycznego. Zapamięta pani?

– Clara Benning, Ulfred Dodwell, szpital. Mam, zapisałam. – Rachel wyglądała na wystraszoną, pewnie się zastanawiała, co za lunaticzkę zaprosiła do domu.

– Dziękuję. I proszę mu powiedzieć, że jeśli pojedzie do kamieniołomu Rickstone i będzie jechał po moich śladach na północny wschód, przedostanie się do wsi.

– Dobrze. – Rachel odeszła od stolika i ruszyła do drzwi. Chciała się mnie jak najszybciej pozbyć. Ale prawdopodobnie zrobi to, o co ją poprosiłam.

– I jeśli ktoś tu przyjdzie, niech pani nie otwiera, dopóki nie będzie miała pewności, kto to jest.

– Proszę się nie obawiać – odparła, zdecydowanie kręcąc głową. – Nikomu nie otworzę.

Z powrotem w dół, przez pastwisko i przez podjazd Clive'a Ventry'ego biegłam tak, jakby gonił mnie sam diabeł. Matt od godziny przebywał nie wiadomo gdzie. Odebrał telefon od zdenerwowanego Clive'a i wyszedł.

Dotarłam do kamiennego krużganka i wbiegłam na wyłożony kocimi łbami dziedziniec. Potem zmusiłam się do zatrzymania, odzyskałam oddech i rozejrzałam się.

Otoczały mnie zabudowania średniowiecznego dworku. Ze wszystkich stron wpatrywały się we mnie starodawne okna. Za każdym z nich mogły się ukrywać obserwujące mnie oczy. W małym ogrodzie wiekowe cisy były uformowane w wysokie grzybiaste bryły. Całkiem poręczne miejsce dla każdego, kto chciałby się przycziąć. Doliczyłam się czworga masywnych drewnianych drzwi, łącznie z podwójnymi na samym środku. Każde mogły się otworzyć w każdej sekundzie.

Przed drzwiami frontowymi stały trzy samochody. Ciemny jaguar, który chyba widywałam we wsi i który, jak się domyślałam, należał do Clive'a Ventry'ego, i mały srebrny hatchback, zaskakująco podobny do samochodu, który jechał za mną tej nocy, gdy po raz pierwszy odwiedziłam Seana na Undercliffie. Czyżby ktoś z tego domu mnie śledził? Był tam też czarny golf. Auto, którym Matt odwoził mnie do domu poprzedniego dnia, to ciemny volkswagen. Podeszłam do golfa od strony kierowcy i otworzyłam go. W środku znajdowało się radio niewyglądające jak zwykłe radio w cywilnych samochodach, a na podłodze czerwony folder, który pamiętałam. To było auto Matta.

Idąc szybko po kocich łbach, podeszłam do domu. Zajrzałam w jedno okno, potem w następne. W dworku było zupełnie ciemno, nie dostrzegłam nawet światła świec.

Idź na tył, krzyczały do mnie wszystkie zmysły. Nie masz pojęcia, co jest w środku. Jeśli musisz tam wejść, odwlec to, jak długo się da.

Ach, ale ty zawsze to robisz, powiedział inny głos, niezwykle spokojny, łagodny, który chyba rozpoznawałam, lecz w takim napięciu, w jakim teraz byłam, nie mogłam mieć pewności. Jeśli chcesz coś odkładać, to równie dobrze możesz wracać do domu.

Frontowe drzwi były wykonane z solidnego dębu, miały wielką, żelazną klamkę. Przekreśliła się łatwo w mojej dłoni i drzwi się otworzyły. Dałam krok do środka.

## 47

**W** starodawnym holu coś się poruszało, nie jakieś stworzenia, tylko światło migotało w całym pomieszczeniu. Minęło kilka sekund, zanim wyśledziłam jego źródło i potem, przez jedno z okien z wieloma małymi szybkami, zobaczyłam, że na niebie pojawił się księżyc w pełni. I tam, gdzie niebo było czystsze, gdzie nie było burzy, chmury nasuwały się na księżyc i sprawiały, że jego blask się rozpraszał. Wielkie lustro nad pustym kominkiem i dziesiątki zwichrowanych szybek rozbiły księżycowe promienie, a one rozchodziły się na dziesiątki stron.

Stałam tam i zaglądałam w każdy zakamarek wielkiego pomieszczenia, żeby się upewnić, że każde mignięcie to nie coś cielesnego, a tylko światło, że żaden z cieni nie ukrywał niczego przyzajonego. Bezpośrednio przede mną znajdowały się schody, te, na których stałam zaledwie tydzień temu.

Po lewej stał dębowy stół, wokół którego zebrali się wówczas mieszkańcy wsi. Leżały na nim różne cynowe przedmioty, ale nic się między nimi nie wiło. Pochyliłam się, obejrzałam posadzkę, potem nogi krzeseł, wyczulona na każdy kształt. Dopiero wtedy pozwoliłam sobie odsunąć się od drzwi.

Przeszłam na środek holu, tam stanęłam i nasłuchiwałam. Nie usłyszałam nic, oprócz odgłosu deszczu i skrzypienia od czasu do czasu, gdy na stary dwór napierał wiatr. Gdzie powinnam najpierw zajrzeć? Dom był ogromny. Z żadnego innego powodu poza tym, że na coś musiałam się zdecydować, ruszyłam w prawo, ku dębowym rzeźbionym drzwiom u podnóża klatki schodowej.

Ściągnąwszy rękaw, żeby zakryć dłoń, pociągnęłam lekko za klamkę. Drzwi się otworzyły i weszłam do środka. Znalazłam się w salonie zastawionym

misternie rzeźbionymi meblami z ciemnego drewna. Po drugiej stronie pokoju był stary kamienny kominek. Przeciąg spowodowany otwarciem drzwi poderwał z niego niewielką chmurkę popiołu, który następnie opadł z powrotem na dół. Obeszłam pokój, nie obawiając się tego, co może się do mnie podkraść, jeśli będę odwrócona plecami dłużej niż sekundę czy dwie. Otwarte drzwi w głębi salonu prowadziły w kompletną ciemność. Włączyłam latarkę i ujrzałam następny wyłożony dębem pokój, tym razem umeblowany jak gabinet. Ściany zajmowały regały na książki. Zasłony na trzech oknach były zasunięte. Świecąc latarką wszędzie i zaglądając w każdy kąt, przemierzyłam pokój, aż dotarłam do biurka Clive'a Ventry'ego.

Stało na nim kilka aparatów telefonicznych, komputer, będący dziełem sztuki, i drukarka. Leżały też jakieś rozrzucone papiery. Poświeciłam na nie latarką – faktury, zestawienia zysków i strat, raporty geologiczne, zbyt techniczne, bym je rozumiała. Te dokumenty nic mi nie mówiły i zaczynałam czuć się nieswojo, że tak długo pozostaję w jednym miejscu. Właśnie miałam się odwrócić, kiedy światło latarki padło na arkusz papieru firmowego, który z czymś mi się skojarzył. Był to oficjalny list z Departamentu do spraw Biznesu, Przedsiębiorstw i Reformy Regulacyjnej, dawniejszego Ministerstwa Handlu i Przemysłu.

Brzegiem latarki przyciągnęłam list tak, że mogłam go widzieć w całości. Był krótki, tylko trzy akapity, od szefa działu poszukiwań energii.

„Drogi Clivie”, zaczynał się, po czym przekazywał Clive'owi „bardzo pomyślne wieści” o tym, że minister w końcu zatwierdził pozytywnie jego prośbę na odwiert.

Pomimo sprzeciwu miejscowej ludności Clive Ventry otrzymał pozwolenie na przebadanie terenu wokół wsi w celu sprawdzenia, czy kryją się tu jakieś zasoby ropy naftowej. Jeśli wielkie lądowe złoża, tak jak spekulował Matt, znajdują się pod wsią, Clive prawdopodobnie zarobi na tym miliony. Jako dodatek do tych, które już ma.

I potem, prawie jakby podążało za tokiem moich myśli, światło latarki wyłowilo kolejny list, tym razem od miejscowego prawnika. List potwierdzał przyszłotygodniowe spotkanie z Ventrym, na którym miała być omówiona

rewizja jego testamentu. Drugi akapit wyjaśniał, że zgodnie z obecnym stanem rzeczy posiadłość Ventry'ego, w razie jego śmierci, przejdzie na każdego żyjącego członka rodziny, a dokładny podział zostanie ustalony podczas procesu spadkowego. Jego byłej żonie, wyjaśniał list, po ugodzie rozwodowej dla niej bardzo korzystnej, prawdopodobnie nie uda się wystąpić z kolejnymi roszczeniami.

Przeszłam całą długość domu i musiałam wracać. Wyłączyłam latarkę i gdy pokonywałam ciemne pokoje, zastanawiałam się, komu Clive zamierzał zostawić swoje miliony i czy jego wuj, Ulfred, też zaliczał się do grona przyszłych spadkobierców. A potem przypominałam sobie o innym wuju. Ciekawe, czy perspektywa otrzymania spuścizny mogła być wystarczającą zachętą, żeby wielebny Archie ściągnął do domu.

Kiedy wróciłam do holu, wyjrzałam przez okno. Samochód Matta nadal stał na zewnątrz.

Minęłam wielki dębowy stół, kredensy zastawione naczyniami z cyny i starą porcelaną, minęłam róg, w którym piątka starców tłoczyła się nerwowo. Dwoje z tej piątki, Violet i Ernest, już nie żyło. Ile ich jeszcze musi zginąć, zanim Ulfred będzie usatysfakcjonowany?

W odległym lewym rogu pokoju trzy małe stopnie prowadziły do łukowatego przejścia. Tylko ciemność i przerywane cienie leżały za nim. Myślałam o włączeniu latarki, wiedziałam jednak, że będę wtedy widoczna jak na dłoni dla każdego, kto mógł mnie obserwować. Środkowy schodek zaskrzypiał, ale nie sądziłam, by ktokolwiek poza mną mógł to usłyszeć.

Byłam w tylnym korytarzu domu, w miejscu, przez które w dawnych czasach mogła przebiegać służba. Drewniane kręcone schody wiły się w górę. Nie byłam w stanie dojrzeć końca korytarza, ale na ścianach wisiały kurtki i kapelusze, pod nimi stały kalosze. Odczekałam kilka sekund, jedynie po to, żeby się upewnić, że nic się nie czai w masie płaszczy, czapek i obuwia. Potem poszłam dalej.

Pokój przede mną to była jadalnia. Znowu ciężkie meble z ciemnego dębu; znowu porcelana, szkło i srebra. Czy naprawdę mieszkała tu tylko jedna osoba? Jakie urojenia wielkości mogły nakłonić kogoś o skromnych

korzeniach do zakupu i utrzymywania takiej posiadłości do swojego wyłącznego użytku?

W jadalni nie zauważyłam niczego, co by się rzucało w oczy. Cofnęłam się i teraz bardzo czujna – naprawdę nie podobały mi się te szeregi płaszczy – przeszłam korytarzem kilka kroków dalej. Drzwi z prawej prowadziły do małej kuchni. Pod jedną ścianą stała olbrzymia kuchenka, zlewozmywak znajdował się naprzeciwko. Były tam duże szafki i wiedziałam, że powinnam je sprawdzić, ale bicie mojego serca, już i tak pracującego na nadgodziny, przyspieszyło. W kuchni unosił się jakiś zapach, ten, który znałam aż nadto dobrze.

Teraz uważaj, Claro, jesteś bardzo blisko, ostrzegł spokojny znajomy głos w mojej głowie.

Przejsie po lewej stronie prowadziło do następnej kuchni. Ktoś znający się na rozkładzie pomieszczeń w dworach szlacheckich mógłby uznać, że to spiżarnia, zmywalnia, cokolwiek, dla mnie pomieszczenie wyglądało po prostu na kolejną kuchnię. Była wyposażona w zlewozmywak, w coś, co wydawało się olbrzymią zmywarką, i półki zastawione szkłem i naczyniami. Zapach był mocniejszy. Kolejne drzwi, kolejne pomieszczenie za nimi.

Śliską ciemną kałużę na podłodze dostrzegłam, zanim jeszcze postawiłam dwa kroki od drzwi. Zrozumiałam, że zmysły mnie nie zawiodły. Zresztą naprawdę trudno jest pomylić z czymś innym zapach świeżej krwi.

Spokojnie, Claro, zachowaj spokój, powiedział głos, jeszcze tylko kilka kroków.

Nie pamiętam, że je zrobiłam. Nie umiem określić, ile czasu minęło od chwili, gdy uzmysłowiłam sobie, co znajdę, do momentu, gdy stałam w trzeciej kuchni dworku i świeciłam latarką w dół na coś, co kiedyś było człowiekiem.



## 48

Znowu byłam na zewnątrz. Jak się tam znalazłam, nigdy się nie dowiem. Opierałam się o samochód Matta, lodowaty deszcz lał mi się na głowę, ale byłam z tego zadowolona. Spojrzałam w górę i zobaczyłam krople lecące na mnie z bezkresu nieba. Pozwoliłam im spływać po twarzy, żałując, że nie mogą oczyścić również mojego wnętrza, wymyć wspomnień z głowy, zapachu z nozdrzy. Ale myślę, że wiedziałam, nawet już wtedy, że nic nigdy nie będzie w stanie tego zrobić.

Na nogach, które wydawały się słabsze niż u małego dziecka, przeszłam chwiejnie przez ogród i obeszałam dom. Myślałam, że widziałam już wszystkie rodzaje okrucieństwa, jakie ludzkie zwierzę jest zdolne wyrządzić innym. Ogromnie się myliłam.

Człowiek leżący na podłodze w kuchni nie miał głowy, była tylko masa porąbanych połyskujących kości i tkanek. Części – mózgu, twarzy, włosów – leżały rozbryzgane dokoła. Zupełnie, jakby głowa tego człowieka eksplodowała.

Nagły gorzki smak i kurczenie się mięśni ostrzegło mnie, że jestem bliska wymiotowania. Zatrzymałam się, pochyliłam i zaczęłam się krztusić, ale nie jadłam cały dzień i nic nie wychodziło, jedynie sama żółć. Kiedy znowu mogłam się wyprostować, jeszcze raz podniosłam twarz do nieba z pragnieniem, żebym choć raz w moim dorosłym życiu potrafiła znaleźć słowa modlitwy i wiarę w nie. Bo jeśli kiedykolwiek potrzebowałam wiary, to było to właśnie teraz.

Spokojnie, Claro. Znowu ten głos. Tak dręcząco znajomy, że pragnęłam zwinąć się w kulkę, przytulić do ciepła i bezpieczeństwa, które reprezentował.

Nie bój się, ciągnął, wiesz, co musisz teraz zrobić.

Przecinałam trawnik z tyłu domu.

Zobaczą cię, Claro, idź bliżej żywopłotu.

Odwróciłam się w stronę, gdzie żywopłot opasywał trawnik. Dzieliło mnie od niego tysiące mil. Nagłe wspomnienie: ludzkie oko, wybite z oczodołu, które potoczyło się trzy kroki od ciała i zatrzymało w kurzu pod stołem. Upadłam. Klęczałam na mokrej trawie, tonąc w błocie.

Claro, ruszaj się.

Nie mogę.

Możesz. Ten biedny człowiek, którego tam widziałas, to nie był Matt.

Odepchnęłam się od ziemi i wstałam. W tej rzezi na kuchennej posadzce nie było nigdzie podłużnych okularów w ciemnej oprawce. W świetle latarki błysnął mały złoty łańcuszek na szyi ofiary, sygnet na małym palcu lewej dłoni. Matt nie nosił biżuterii. Poza tym ubranie było inne, a ciało wyższe i postawniejsze niż Matta. Od razu wiedziałam, że patrzę na szczątki Clive'a Ventry'ego. Gdyby to był Matt, sądzę, że nadal bym tam stała.

– To nie był Matt, to nie był Matt. – Mamrocząc to do siebie jak mantrę, dotarłam do końca trawnika i wdrapałam się na kamienny murek oddzielający ogrody Clive'a od reszty jego ziemi. Tylko że to nie były już ogrody Clive'a. Należały do jego dwóch wujów: niebezpiecznego, dawno temu uwięzionego Ulfreda i Archiego, który kiedyś próbował zabić własnego krewniaka.

Zabić bliskiego krewnego. Archie, Saul senior, Harry i Edeline, wszyscy brali udział w próbie zamordowania Ulfreda. Był kuzynem trzech z nich, bratem czwartej. Czy to wystarczająco bliska relacja? Jeśli Ulfred postanowił się w końcu zemścić, czy wyjaśniało to tę rzymską symbolikę, którą ciągle dostrzegałam w atakach? Ale czy ktoś o inteligencji poniżej średniej, z niewielkim formalnym wykształceniem, mógł w ogóle słyszeć o *poena cullei*? Nie wydawało się to prawdopodobne. Oczywiście Saul junior to zupełnie inna historia. Jeśli winił wieś za śmierć rodziców, mógł widzieć jakąś brutalną sprawiedliwość w echach starożytnej egzekucji. Ale czy to on, czy nie on był organizatorem ostatnich ataków, nie musiałam się go już więcej obawiać.

Land rover stał tam, gdzie go zostawiłam. Komórka była głucha.

Pozostawało mi mieć nadzieję, że Rachel poszczyściło się bardziej ode mnie. Ściągnęłam przemokniętą kurtkę i usiadłam za kierownicą.

Dokąd mam jechać?

Do domu z węzami, oczywiście.

Pochyliłam się gwałtownie, mocno uderzając się głową w kierownicę. Dlaczego? Dlaczego, na miłość boską, muszę tam iść?

Bo właśnie tam poszedł Matt. Znalazł ciało Clive'a i poszedł szukać Ulfreda. To dlatego nie ma od niego żadnej wiadomości od ponad godziny.

Podniosłam głowę. Ulfred będzie obserwował. Będzie widział, jak nadchodzę.

Ale przecież jest inna droga wejścia. Wiesz, że jest. Wiesz o tym już od jakiegoś czasu.

Nie mogę.

Cisza. Ale rozpoznałam ten głos, bardzo dobrze wiedziałam, do kogo należał, i z wieloletniego doświadczenia wiedziałam również, że jeśli wdam się z nim w sprzeczkę, przegram.

Po co więc marnowałam czas?

Dotarcie do rzeki zajęło mi kolejny kwadrans. Topiąc się w błocie, podjechałam prawie tyłem do samego brzegu, potem zgasiłam silnik. Znalazłam i naciągnęłam wodery, wodoszczelne spodnie i kamizelkę ratunkową. Nawet bez burzy rzeka od miesiący płynęła bardzo wartko. Poza tym od tak dawna wbijali nam to do głowy ludzie z BHP, że było to automatyczne. Pracując blisko wody, ubierz się właściwie.

Narzuciłam na ramiona lekką kurtkę przeciwdeszczową i wysiadłam z auta. Wyciągnięcie łódki i zwodowanie jej w pojedynkę nie było łatwe, ale poradziłam sobie. Na dno wrzuciłam torbę z narzędziami, wsiadłam i odbiłam od brzegu.

W którymś momencie w ostatnich dwudziestu czterech godzinach rozwikłałam zagadkę, nękającą mnie od wielu dni. Jeśli ktoś mieszkał w starym domu Witcherów, jak się do niego dostawał i jak się z niego

wydostawał, jak poruszał się po wsi, nie będąc widzianym? Teraz już wiedziałam. Przemieszczał się ciekami wodnymi i kanałami starej kopalni kredy. Dziś ja też tak zrobię.

W naszej wsi jest prawdopodobnie więcej strumieni niż dróg. Nie mam pojęcia, ile odnóg rzeki Liffin może tu być, ale niemal każda ulica ma biegnący wzdłuż niej mały wyłożony cegłą akwedukt. Wszystkie są poprzecinane licznymi małymi mostkami; strumyki często przepływają tunelami pod ulicami. Ktoś mógł przeczołgiwać się tymi parowami przy małym ryzyku, że zostanie zauważony, zwłaszcza nocą. A tam, gdzie nie docierały ciek, docierały wyrobiska kredowe.

Na początku płynęłam w tym samym kierunku, co rzeka, niósł mnie prąd i wiosła potrzebowałam jedynie do sterowania. Wkrótce jednak musiałam skrócić i wiosłować pod prąd w górę zarośniętego spiętrzenia.

Tamtej nocy, gdy z Mattem odwiedziliśmy dom Witcherów, byłam pewna, że ktoś w nim wciąż mieszka. Matt wyśmiał te moje przeczucia, kładąc je na karb dziewczynskiego przewrażliwienia, ale smród w toalecie, ciepło ściany na dole, odgłosy, jakby ktoś chodził, które słyszałam: to wszystko umocniło mnie w przekonaniu, że posesja nie jest opuszczona, tak jak sądziliśmy.

Przeszukaliśmy ją gruntownie, przypomniał mi Matt. Ani śladu świadczącego, że ktoś tam mieszka.

Tyle że wcale nie przeszukaliśmy domu gruntownie. Był tam pokój na parterze w trzecim czworaku, do którego nie mogliśmy się dostać. Jedyne drzwi były zamurowane, ale za cegłami czułam ciepło. Musiało istnieć jakieś wejście.

Dotarłam do dolnego wierzchołka wyspy, do miejsca, w którym uratowaliśmy łabędzia. Nadeszła pora sprawdzić, jak silne są moje ramiona. Ostro wykręciłam łódką i zaczęłam wiosłować w górę strumienia, tym razem płynąc za wyspę.

Prąd był silny, ale spiętrzenie obrastały drzewa i ich korony zatrzymywały część deszczu. Spuściłam głowę i skupiłam się na utrzymaniu rytmu poruszania wiosłami.

W wąskim strumieniu pełno było śmieci. Przepływały nim przy mnie

gałęzie, odpadki, widziałam nawet dwa truchła jakichś utopionych zwierząt. Kilka razy te odpady zderżyły się ze mną, większe obracały łódkę, co groziło, że znieś mnie z powrotem w dół strumienia, zanim zdołam odzyskać kontrolę. Ręce rozboleły mnie na długo przed dotarciem do punktu, do którego zmierzałam, ale się nie poddawałam.

Nocą trudniej było dojrzeć zmianę kierunku prądu, ale pamiętałam pień drzewa zwalony do wody. Zaczekałam, aż go wyminę, potem wciągnęłam wiosła do łodzi i chwyciłam się gałęzi wierzby przede mną.

Rzeka zaczęła mnie ściągać z powrotem, jakby nie podobał jej się nowy kierunek, jaki obierałam. Trzymałam kurczowo gałąź i zaryzykowałam pochwylenie następnej, wiszącej trochę dalej. Łapiąc jedną gałąź po drugiej, przeciągałam siebie, łódkę i wszystko pod jej zadaszeniem pod koroną wierzby, aż znalazłam się za nią, w ciemności po drugiej stronie. Znalazłam linę do cumowania, owinęłam ją dokoła pnia i przewiązałam.

Dyszając ciężko, spróbowałam rozeznaczyć się w otoczeniu, ale to było niemożliwe. Brzegi były strome, blada poświata kredy przysłonięta roślinnością. Gęste, rosochate wierzby i rzadkie czarne topole rosły tak blisko wody, że wyglądały, jakby zaraz miały do niej runąć. Musiałam się zorientować, gdzie jestem. Odszukałam latarkę i poświeciłam nią dokoła.

Byłam w szybko płynącej, wąskiej rzece, mniej więcej sto metrów od kredowej skarpy, na której stał dom Witcherów. Teren po obu stronach, co mogłam zobaczyć ponad krawędzią brzegów, gęsto porastały janowce, leszczyny i krzaki jeżyn. Przedarcie się przez te knieje wydawało się prawie niemożliwe. Jedynym wyjściem było trzymanie się rzeki.

A to nie było proste. Teren wznosił się teraz w górę, a woda płynęła szybko. Kiedy poświeciłam latarką na brzeg, zobaczyłam zadrapania na kamieniach, które wyglądały, jak wykonane prymitywnymi narzędziami. Pomyślałam, że być może znalazłam się raczej w jednym ze starych wyrobisk kredy niż w naturalnym cieku wodnym.

Od tego miejsca poruszanie się łódką w górę strumienia nie było już możliwe. Musiałam wejść do wody i brodzić. Żeby się nie przewrócić, złapałam się wystającego korzenia drzewa i zeskoczyłam do wody, która

sięgnęła mi do pasa. Wyciągnęłam cumę ze skrzyni, przełożyłam ją sobie przez głowę i ramię. Jeśli będę zmuszona szybko uciekać, to z pewnością pomoże. Wyłączenie latarki stanowiło najtrudniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek uczyniłam, ale musiałam być niewidoczna; i chciałam móc coś widzieć w ciemności.

Ruszyłam przed siebie, trzymając się środka strumienia, żeby zmniejszyć ryzyko zahaczenia łódką o brzeg. Staralam się nie zauważać tego, że woda jest straszliwie zimna i rwąca. Utrudniony czy nie, był to jedyny sposób dotarcia do miejsca, do którego chciałam się dostać.

Od tamtej nocy, kiedy usłyszałam skrzek niemego łabędzia, tak blisko posesji Witcherów, wiedziałam, że gdzieś tam musi być woda, o której istnieniu, jak się zdawało, nikt nie miał pojęcia. Było jedynie kwestią czasu połączenie jej z wodą płynącą w niezwykłym kierunku, wpływającą do spiętrzenia na rzece. Zrozumiałam, że w tamtym punkcie wpadał do niej kolejny strumień, ten, który biegł przez wieś, potem płynął pod ziemią, jak wiele z nich, i następnie pojawiał się znowu, wypływając z kredowej skarpy pod domem Witcherów.

Kiedy się wspinałam na zbocze, zwróciłam uwagę na drzewa rosnące na prawie pionowych brzegach; z braku dostatecznej ilości światła gałęzie miały cienkie, prawie zupełnie pozbawione liści. Jedna z nich opadła, tworząc nad strumieniem żywy baldachim.

Tuż za powalonym drzewem koryto strumienia obniżało się jeszcze bardziej. Wraz z nim obniżały się też brzegi, dzięki czemu było jaśniej. Nie dalej niż dwadzieścia metrów przed sobą ujrzałam dom Witcherów stojący niebezpiecznie blisko krawędzi. I gdy patrzyłam na niego pod tym kątem, zobaczyłam coś, o czego istnieniu nikt inny we wsi nie wiedział: wielki, ziejący otwór w skarpie, jakieś cztery i pół metra poniżej fundamentów domu, otwór, z którego wylewała się rzeka, czarna i spieniona.

To miejsce powinno zostać zamknięte już dawno temu, pomyślałam, podchodząc bliżej. Dom nie tylko stał niebezpiecznie blisko krawędzi kredowej skarpy, ale też znajdował się bezpośrednio nad starym wyrobiskiem.

Dzięki temu, że było tu więcej światła, byłam w stanie odróżnić paprocie

porastające brzeg, unikać gałęzi, które na mnie spadały, dostrzec maleńkie oczy, zerkające z przestraczem na obcego intruza na ich terytorium. Po prawej do rzeki stoczyły się jakieś kamienie i ujrzałam coś, co wydawało się wąską ścieżką prowadzącą od brzegu w zarośla. Przystanęłam na sekundę i przyjrzałam się błotnistym śladom. Czy to odciski butów, rozmyte przez deszcz? Trudno było o pewność i nie miałam czasu się zastanawiać, czy jest to może jeszcze jedna droga prowadząca do posiadłości. Znowu ruszyłam i z każdym moim krokiem olbrzymi otwór wżerający się w trzewia domu przede mną powiększał się.

Woda zrobiła się płytsza, a napięcie mięśni ud powiedziało mi, że wspinałam się po dość stromo wznoszącym się podłożu. Ciemność przede mną zdawała się falować w oczekiwaniu, miałam wrażenie, że coś, czające się zaraz za tym mrokiem, jest głodne. I że wiedziało, że się zbliżam.

Po raz pierwszy, odkąd opuściłam dworek, prowadzona głosem w mojej głowie, pozwoliłam sobie zastanowić się, co jest przede mną. Co może na mnie czekać w starej posesji Witcherów – domu węży, jak zaczęłam ją nazywać.

Ulfred Dodwell od najwcześniejszych lat swojego życia był odrzucany przez ludzi, którzy się go bali. Wyśmiewano się z niego, dokuczano mu, w końcu straszliwie skrzywdzono. Do szpitala psychiatrycznego trafił jako młody chłopak i przebywał w nim przez pięćdziesiąt lat. Nawet kiedy dzięki stałej opiece odzyskał wzrok i nauczył się komunikować z otoczeniem, nadal unikał ludzi, pociechy szukając wśród dzikich zwierząt. Celowo poszukiwał stworzeń tak jak on tajemniczych, nierozumianych i budzących strach.

Musiałam uwierzyć, że człowiek, z którym za chwilę się spotkam, nie wie, co to moralność. Że nauczył się, że wszyscy we wsi, łącznie ze mną, to jego wrogowie. Nie wolno mi było również myśleć o nim jak o starcu. Ludzie nie tracą całej siły, kiedy dobijają siedemdziesiątki. Ulfred mógł być zarówno silny, jak i przebiegły. Krążył po starych wyrobiskach kredowych i akweduktach. Potrafił poruszać się cicho, zapewne dobrze widział w ciemności. Miał dziwną, niewytłumaczalną władzę nad węzami. Był stworzeniem nocy.

Dotarłam do cienia rzucanego przez skarpę. Jeszcze kilka kroków i znajdę się w wykonanej przez człowieka jaskini pod domem. Będę osłonięta przed deszczem. Mogłabym wyjść z rzeki, może zrobiłoby mi się trochę cieplej. Ale z bliska mrok pod skałami był nieprzenikniony. Czy zdobędę się na odwagę?

Ściągnęłam cumę z ramienia. Gdybym wskoczyła do pontonu, prąd zmyłby mnie z powrotem. Ale wiedziałam, że głos w mojej głowie, tak długo już milczący, czekał tylko, żeby ożyć, w chwili gdy zacznę się wahać. Powiedziałby mi, że dam sobie radę z Ulfredem. Że jestem młoda i silna, mam dobry wzrok, węch, słuch. Więcej niż tylko to – byłam przyzwyczajona do ciemności, wiedziałam, co mam robić, żeby pozostać niewidoczną, jak śledzić wystraszone, wrogo nastawione stworzenia. W końcu ja też byłam stworzeniem nocy. Wkroczyłam w mrok jaskini i ciemność pochłonęła mnie całą.



## 49

Przez sekundy, które wydawały się dniami, otaczała mnie ciemność, jednolita jak skała. Prawie ją czułam, sięgała do mnie, muskała mi twarz. Potem, o wiele za wolno, zaczęła tracić na intensywności i rozplýwać się w kształty. Jaskinia – teraz, gdy byłam w środku, okazało się, że to właściwie tylko szczelina w skale – rozpościerała się przede mną, sięgając daleko w głąb skarpy. Podniosłam głowę, powała jaskini wisiała jakiś metr nad nią – cienka czasza kredy podtrzymująca dom. Po prawej płaska skała tworzyła naturalną przystań, dalej dostrzegłam drabinę. Wygrzebałam się z wody, nie puszczając cumy, i zauważyłam mały żelazny pierścień przytwierdzony do skały. Ktoś trzymał tu łódkę.

Wróciłam z powrotem po skalnej półce. Deszcz, wciąż bardzo mocny, zalewał wejście do jaskini niczym wodospad. Ale z boku rosły gęste krzaki bzu i jeżyn. Przykucnęłam i znalazłam gałąź wystarczająco mocną, by dało się przywiązać do niej ponton. Potem naciągnęłam na niego gałęzie krzaków jeżyn tak, że był prawie zakryty. Ktoś, kto przyplynie w ciemności, w ulewny deszcz, mógł go nie zauważyć.

Drabina, żelazna, oparta o bok skalnej szczeliny, była zardzewiała i bardzo stara. Wyglądała, jakby kiedyś była używana w kopalni. Wcześniej pewnie miała stopnie na szczeblach, teraz były zerwane, ale same szczeble zostały. Sześćdziesiąt centymetrów nade mną w powale szczeliny wbudowane zostały drewniane drzwiczki zapadni. Uważając, żeby nie narobić hałasu, podniosłam drabinę, żeby sprawdzić, czy uda mi się ją oprzeć o klapę. Szczęśliwie, a może ktoś to tak wymyślił, otwór był większy niż drzwiczki zapadni i końcówka drabiny łatwo wśliznęła się między skałę a drewno. Sprawdziłam

wytrzymałość drabiny i zaczęłam się wspinać.

Na szczycie przycisnęłam twarz do drzwiczek, przekonując się, że są suche i o wiele cieplejsze, niż mogłabym się spodziewać. Nic nie słyszałam. Przeciągnęłam dłonią, aż znalazłam małą żelazną gałkę. Przekręciłam ją i drzwi opadły w moją stronę. Pozwoliłam im zwisać. Potem wspięłam się wyżej.

Nie zwracając uwagi na smród, wyciągnęłam latarkę i włączyłam ją. Poświeciłam nią dokoła, sprawdzając każdy róg, każdy cień, czujna na nagły ruch. W pomieszczeniu tętniło życie, ale nie ludzkie. Wspięłam się do samego końca i odsunęłam od zapadni.

Pokój był mały, tak jak się domyślałam, i kiedyś stanowił część domu. Na ścianach zostało jeszcze trochę kruszącego się tynku, kable elektryczne sterczały z miejsc, gdzie kiedyś mogły być zamontowane lampy. Na jednej ze ścian pozbawione poręczy schody prowadziły na górę. Naprzeciwko leżał materac i sterta brudnych koców. To one po części wydzielały ten straszliwy smród.

Ruszyłam przed siebie, obok gnijących resztek w puszkach i skisłego mleka w butelkach, które, jak się domyślałam, zostały ukradzione spod drzwi domów. Ciepło w pokoju promieniowało z czterech piecyków gazowych, ustawionych w rogach, każdy rozkręcony na pełną moc. Wzdłuż jednej ściany stały zapasowe butle z gazem. Wątpiłam, żeby Ulfred przyniósł je tu bez czyjejś pomocy. Mogły tu być wprowadzone wcześniej, zanim wrócił, zebrane przez Witcherów, Bóg wie w jakim celu. Nagłe długotrwałe przerwy w dostawie prądu? Koniec świata? Albo stanowiły kolejny dowód, że Ulfredowi ktoś pomagał.

Ulfred, oczywiście, używał piecyków do utrzymania swojej menażerii przy życiu. Było tak, jakbym znowu znalazła się w domu Seana, tyle że w koszmarnym świecie równoległym. Prymitywnie wykonane prowizoryczne wiwaria stały wszędzie: duże akwarium z pokrywą ze sklejki, plastikowe kontenery, metalowe kubły, nawet pudełka na buty. Bardzo ostrożnie uniosłam wieko jednego i w środku zobaczyłam pół tuzina młodych wijących się zaskrońców.

Obeszłam pokój, zaglądając do kontenerów, które były przezroczyste, ostrożnie podnosząc pokrywy tych, które nie były. W jednym z kubłów znalazłam martwą żmiję i następną, która prawdopodobnie nie miała szans na przeżycie. W pojemniku do żywności znalazłam osiem jaj zaskrońców. Było o wiele za wcześnie na to, żeby zaskrońce składały już jaja, ale możliwe, że ciepło w pokoju zakłóciło ich cykl rozrodczy.

Żadne z tych stworzeń nie wyglądało zdrowo. Żyły w ścisku i brudzie. Warunki miały nieodpowiednie. W pokoju było o wiele za ciepło dla dzikich węży brytyjskich. Zastanawiałam się, kiedy ostatnio były karmione. Przypomniałam sobie swoje sowie pisklęta i zrozumiałam, w końcu, co się z nimi stało. Dalej sprawdzałam pokój, aż miałam pewność, że zajrzałam do każdego pudła, każdego pojemnika. Znalazłam tylko węże brytyjskie, połowa z nich była martwa albo zdychała.

Żadnego śladu tajpana. Ani Matta. Nie pozostawało mi nic innego, musiałam obejrzeć resztę domu.

Wyłączyłam latarkę i podeszłam do schodów. Na ich szczycie panowała ciemność. W połowie pomyślałam, że usłyszałam coś, co nie było odgłosami deszczu na zewnątrz. Zatrzymałam się, ale dźwięk się nie powtórzył, wznowiłam więc wspinaczkę. Nie widziałam już stopni pod sobą ani niczego nad sobą. Ostrożnie wyczuwając stopnie stopami, z jedną ręką wyciągniętą w przód, drugą przyciskając do ściany, wolno posuwałam się w górę.

Na szczycie, bojąc się włączyć latarkę, obmacałam wszystko wokół. Ceglane ściany po dwu stronach. Dałam krok do przodu, obie ręce wyciągnięte. Drzwi. Palce wyczuły ich chropowatą fakturę na sekundę, zanim się poruszyły. Pchnęłam je. Zaglądając do środka, zobaczyłam znajomy pokój. Ten sam, w którym stałam z Mattem, zaledwie na chwilę przed tym, jak szklane akwarium na dole zleciało z łoskotem na podłogę. Jedna strona pokoju była zajęta szafami sięgającymi od podłogi do sufitu. Matt nie był w stanie otworzyć żadnej z nich, założył, że wypaczyły się przez lata. Nie wypaczyły się. Były zamknięte od wewnątrz, a ja właśnie miałam z nich wyjść.

Znowu hałas, głośniejszy tym razem, wyraźniejszy. Coś ciężkiego ślizgało się po drewnianej podłodze. Niski gardłowy pomruk i potem – o Boże – cichy

jęk, który na pewno rozpoznawałam. Coś szło w moją stronę, znajdowało się w sąsiednim pokoju. Słyszałam wolne ciężkie kroki i odgłos ciągnięcia czegoś ciężkiego, zahaczającego o rogi, holowanego.

W śmierdzącej zjełczałym tłuszczem, wypełnionej węzami kryjówce Ulfreda na dole nie było gdzie się ukryć. Nawet gdybym zdążyła tam wrócić, nie wiedziałabym, co się dzieje nade mną. Musiałam zobaczyć, co – lub kogo – ciągnie Ulfred. Weszłam z powrotem do kredensu, zamykając za sobą drzwi prawie do końca, potem przesunęłam się w bok. Jeśli los mi sprzyjał, to szafki wypełniające ścianę łączyły się ze sobą i mogłabym ukryć się w głębokim mroku, z dala od drzwi i schodów.

Nie miałam tyle szczęścia. Przeszłam jakiś metr czy dwa i natrafiłam na zwartą drewnianą przeszkodę. Pogrzebałam w kieszeni, wiedząc, że mam tam gdzieś nóż. Nigdy mi się nie śniło, że kiedykolwiek użyję noża przeciwko innej żywej istocie, ale nie zamierzałam dać się złapać jak królik, bezradny w pułapce. Moja dłoń zamarła, zanim zdążyła znaleźć to, czego szukała. Drzwiczki do mojej szafy otwierały się.

Wstrzymałam oddech, przycisnęłam się do ściany szafy i patrzyłam, jak bezkształtny cień pojawia się na widoku. Wiedziałam, że to człowiek jedynie z powodu niskich pomruków wydobywających się z jego ust. Powtarzał coś, co brzmiało jak: „Chazza ton man”. Cokolwiek to znaczyło dla Ulfreda, ja nie potrafiłam nic zrozumieć. Potem Ulfred pochylił się, usłyszałam stękanie, gdy chwycił coś i przeciągnął przez szafę na schody.

Cokolwiek taszczył, było ciężkie, jego oddech stawał się coraz szybszy, coraz bardziej zdyszany. Ilekroć brał wddech, słyszałam ciche świszczanie w płucach. Siedem miesięcy samotnego mieszkania w domu Witcherów nie pomogło jego zdrowiu. Zamknął drzwi i ciemność znowu była nieprzenikniona. Stał nieruchomo i oddychał głęboko przez nos. Potem cisza. Ulfred wstrzymywał oddech.

Staliśmy tak we dwoje, w świetle tak czarnym, że mogła to być pustka, a ja wiedziałam, że Ulfred wyczuł obecność innej osoby. Sekundy mijały, a on dalej się nie ruszał. Co robił? Nie nasłuchiwał. Ulfred nie słyszał. Liczył, że coś zobaczy? Wiedząc, że błysk oczu najszybciej może mnie zdradzić,

zmusiłam się, żeby je zamknąć. Czy mógł mnie wyczuć węchem? Ja z pewnością czułam jego. Czy dotykał ścian, czekając, że wydam swoją obecność wibracją wywołaną ruchem? Nie miałabym teraz czasu na znalezienie noża, ale z całych sił ścisnęłam latarkę. Jeśli ruszy w moją stronę, walnę go nią w głowę. Już dłużej nie mogłam znieść tego, że mam zamknięte oczy, więc je leciutko otworzyłam. Kontur najniebezpieczniejszej osoby, jaką kiedykolwiek spotkałam, stał nadal w bezruchu, nie więcej niż trzy metry ode mnie.

Kiedy wiedziałam, że wkrótce będę musiała krzyknąć i praktycznie odliczałam w myślach sekundy do tego momentu, Ulfred znowu się poruszył i napięcie prysło.

Słyszałam, jak schodzi ciężko ze schodów, ciągnąc za sobą swój drogocenny łup. Coś twardego i ciężkiego jak kości waliło w każdy stopień, a ja uświadomiłam sobie, że nie byłam aż tak przerażona, żeby nie móc poczuć furii. Czy to czaszka Matta bębniła tak raz za razem o twarde drewniane stopnie? Ile uderzeń trzeba, żeby skończyło się poważnymi obrażeniami mózgu? Żeby go to zabiło?

Dałam krok przed siebie, myśląc tylko o tym, że mogłabym rzucić się ze szczytu schodów, wylądować na Ulfredzie, wydrapać mu oczy...

Nie waż się tego robić!

Coś muszę zrobić. Nie mogę tu stać, kiedy...

Na litość boską, Claro. On jest dla ciebie o wiele za silny. Czekaj i myśl.

Drżąc, zmusiłam się do pozostania na miejscu, tuż przy schodach, ale tak, że nie było mnie widać. Odgłosy na dole powiedziały mi, że Ulfred porusza się swobodniej. Już nie ciągnął tego czegoś – kogoś – co holował po schodach. Potem skrzypienie posadzki i drżenie ściany, o którą się opierałam, powiedziały mi, że Ulfred z powrotem wchodzi na schody. Odsunęłam się. Czy wracał po mnie?

Zamknęłam oczy, spuściłam głowę i wstrzymałam oddech. Będę walczyła jak szalona, jeśli mnie dorwie. Wciąż byłam uzbrojona w latarkę. W kieszenie nóż – dlaczego go nie wyciągnęłam, kiedy miałam szansę?

Ulfred dotarł na szczyt schodów. Na chwilę się zatrzymał, żeby odzyskać

oddech, a ja wiedziałam, że jest już po wszystkim. Czułam, że patrzy prosto na mnie. Przyszykowałam się do skoku. Potem usłyszałam odgłos przesuwanego drewnianego zamka i drzwi szafy znowu się otworzyły. W przyćmionym świetle z pokoju za szafą zobaczyłam, że Ulfred wychodzi z niej i zamyka drzwi za sobą.

Słuchałam, jak jego kroki, oddalając się, cichły.

Cóż, teraz jest dobry moment, żeby coś zrobić!

Dałam krok do przodu i włączyłam latarkę. W sekundę odnalazłam drewniane prowadnice, które, gdy się je przeciągnęło, zamykały szafy od wewnątrz. Zaciągnęłam je.

Pamiętając, że zamknięte drzwi nie zawsze stanowią dla Ulfreda przeszkodę, odwróciłam się i zbiegłam po schodach. O wiele łatwiej teraz, gdy odważyłam się włączyć światło. Na dole pobiegłam prosto do leżącej pod przeciwległą ścianą postaci. Nie musiałam zobaczyć twarzy, żeby mi powiedziała, kto to jest. Tę kurtkę miałam kiedyś na sobie.

Chwyciłam Matta za rękę. Kiedy go przekręcałam do siebie, cicho jęknął. Przemóżna ulga trwała ułamek sekundy. Dokładnie do chwili, gdy zobaczyłam jego szare oczy, które pływały we krwi. I ta sama substancja sączyła się z jego ust. Spomiędzy warg wydobywał mu się słaby chrypiący dźwięk, zrozumiałam, że walczy o oddech.

– Matt!

Mówienie, robienie jakiegokolwiek hałasu było głupotą, wiedziałam to, ale nie mogłam się powstrzymać. Przekrwione oczy Matta skupiły się na mnie. Jego wargi znowu się poruszyły.

– Ręka – sapnął. I spróbował wykręcić głowę, żeby spojrzeć na swoje prawe ramię.

Pociągnęłam rękaw i udało mi się go ściągnąć. Koszula była czerwona od krwi. Odszukawszy wreszcie nóż, wsunęłam go pod kołnierz i pociągnęłam w dół, rozcinając na pół mokry materiał i odsłaniając ciało.

To nie było ukąszenie zmii. Wiedziałabym to nawet bez obfitego krwawienia. Tajpan ukąsił go w górną część ramienia i skóra wokół rany już zaczęła puchnąć i sinieć. Jego tkanki umierały, na moich oczach. Gorzej,

trucizna dostała się do krwiobiegu, wyżerała mu narządy, paraliżowała te funkcje, których potrzebował, żeby utrzymać się przy życiu. Już wkrótce nie będzie mógł oddychać. Do rana jego wewnętrzne organy się rozłożą. Ciało Matta zamieni się w gnijącą skorupę.

„Jeśli zostaniesz ukąszona, masz tylko kilka godzin, wiesz o tym?”

Matt wyszedł z domu ponad godzinę temu. Wciąż był jeszcze czas. W jednej z licznych kieszeni mojej kurtki znalazłam fiolki, które dał mi Sean, i strzykawkę, którą zabrałam z torby z wyposażeniem z land rovera. Zwykle noszę ją ze sobą, kiedy muszę zrobić zastrzyk uspokajający dużemu ssakowi. Przypuszczałam, że Matta można było zaliczyć do dużych ssaków. Zerknęłam na napis na pudełku. Antytoksynę należy podawać powoli, najlepiej rozcieńczoną, przez kroplówkę. Nie było czasu na tego rodzaju uprzejmości, ale mimo wszystko musiałam zachować ostrożność. Napełniłam strzykawkę, znalazłam żyłę i potem, dobijająco powoli, cały czas obserwując wskazówkę sekundową na swoim zegarku, zrobiłam Mattowi zastrzyk z jedynej substancji na świecie, która mogła go uratować. Wzięłam drugą fiolkę i powtórzyłam cały proces. A potem musiałam przestać.

Nie mogłam podać Mattowi pełnej dawki antytoksyny za jednym razem – to mogłoby go zabić tak jak ukąszenie. Dałam mu szansę na przeżycie, ale powinien znaleźć się w szpitalu. W jego kurtce znalazłam wewnętrzną kieszonkę, do której chciałam schować resztę fiolek, ale żeby je tam włożyć, najpierw musiałam wyciągnąć jakiś złożony dokument. Prawie na pewno nie spojrziałabym na niego, lecz w oczy rzuciło mi się widniejące w lewym rogu nazwisko Clive’a Ventry’ego i jego adres.

Mimo świadomości, że być może marnuję cenny czas, rozłożyłam kartkę i poświeciłam na nią latarką. Był to raport z laboratorium genetyki, zaadresowany do Clive’a. Dziękowano mu w nim za ostatnie próbki i informowano, że metoda użyta do ich przebadania to krótkie powtórzenia tandemowe, multiplex PCR i że są to obecnie najnowocześniejsze i najwiarygodniejsze metody. Dalej raport stwierdzał, że prawie ze stuprocentową pewnością nie znaleziono żadnych relacji biologicznych między podmiotem A i podmiotem B.

Czy to o tym Clive chciał rozmawiać z Mattem? Całkiem prawdopodobne, ale nie miałam pojęcia, o co w tym chodziło. Wiedząc, że mam mało czasu, schowałam dokument do swojej kieszeni, fiolki z antytoksyną wsunęłam do kurtki Matta i potem małym długopisem napisałam mu na czole „kieszeń”. Bez większych nadziei sprawdziłam, czy mam już sygnał w komórce. Nie miałam.

Matt oddychał płytko i z trudem; o wiele za szybko. Bardzo cierpiał z bólu. A miało być tylko gorzej. Bo musiał się poruszyć.

Schowałam nóż z powrotem do kieszeni spodni, ujęłam go pod pachy i przyciągnęłam do siebie. Był przytomny, ale ledwie.

– No już – powiedziałam, cicho, bo głośniejsze się bałam. – Musimy się stąd wydostać. Musimy dostarczyć cię do szpitala. – Ciągnęłam go, próbując podnieść, ale był straszliwie ciężki. Kiedy udało mi się go posadzić, byłam bliska rozplakania się z beznadziejności tego wszystkiego. Nigdy nie zdołam sama sprowadzić go po drabinie i wytaszczyć z jaskini. Chwyciłam go za głowę, zmuszając, żeby na mnie spojrzał. – Matt, Sean dał mi odtrutkę. – Jego twarz była centymetry od mojej. Wydało mi się, że dostrzegłam błysk zrozumienia w jego oczach. – Jeśli dostarczymy cię do lekarza, wyjdiesz z tego. Ale jeśli tu zostaniesz, umrzesz. Musisz się podnieść.

I, Bogu dzięki, zrobił to. Podjął ogromny wysiłek – to biedne serce, osłabione już toksycznym koktajlem, które było zmuszone rozprowadzać krew po krwiobiegu – i opierając się na mnie całym ciężarem, prawie udało mu się wstać. W ostatniej chwili upadł w przód, na ręce i kolana, ale to nic. Mógł iść na czworakach. Popychałam go, ponaglając przez cały czas, aż dotarliśmy do zapadni.

Tylko, na litość boską, jak miałam sprowadzić go na dół?

Jezus Maria, Claro, zacznij myśleć. A jak wciągasz sarny?

Lina! Widziałam linę, byłam tego pewna. Odwróciłam się szybko i zobaczyłam ją. Cienka, nylonowa, prawdopodobnie do rozwieszania prania, ale nadawała się. Zabrałam ją i przewiązałam na piersi Matta, pod pachami, i zrobiłam węzeł ratowniczy. Potem rozejrzałam się za czymś solidnym, co udźwignęłoby ciężar. Niczego oczywistego nie dostrzegłam, ale sama drabina mogła wystarczyć. Przeciągnęłam sznur przez górny szczebel i koniec



przewiązałam sobie w pasie. Potem zepchnęłam nogi Matta w otwór, tak że zwisały z niego swobodnie. Jego oczy napotkały spojrzenie moich.

– Trochę pomocy by mi nie zaszkodziło – mruknęłam.

Usta mu drgnęły, wyciągnął rękę i chwycił się górnego szczebla. Potem zsunął się w dół, w otwór, i nylonowy sznur wbił się głęboko w moje ręce i talię.

Nie byłam na to do końca przyszykowana i poczułam, że ciężar Matta ciągnie mnie do przodu, zaparłam się więc obiema stopami o górne szczeble drabiny. Matt dyndał teraz w powietrzu, a mnie sznur przecinał na pół. Zaczęłam go popuszczać. Centymetr po centymetrze Matt osuwał się niżej, coraz bliżej i bliżej skały pod nami. Ale gdzieś w domu znowu zaczęło się coś dziać. Coś się poruszało. Wracał Ulfred.

Zaryzykowałam i szybciej popuściłam sznur. Drabina zakołysała się na boki i Matt spadł na skałkę, lądując na niej ciężko. O mało mnie za sobą nie pociągnął, ale w ostatnim momencie puściłam linę.

Wiedząc, że najgorszą część mamy za sobą, ustawiłam drabinę prosto i w sekundę ześliznęłam się na dół. Odcięłam od Matta sznur, potem, zostawiając go tam, gdzie wylądował, pobiegłam po ponton i wyprowadziłam go z kryjówki w krzakach jeżyn. Po wciągnięciu w głąb jaskini, przywiązałam go do żelaznego pierścienia cumowniczego i przez sekundę zastanawiałam się, jak wtaszczyć do niego Matta.

– Wybacz mi, Matt – wymamrotałam, wiedząc, że istnieje tylko jeden sposób. Ciągnąc z całych sił za ręce, potem za plecy i znowu za ręce, przeturlałam go po kamiennej platformie, aż mogłam, ochraniając mu głowę, przekręcić go do łodzi. Upewniłam się, że nogi i ręce ma w środku i że głowa jest osłonięta.

Było dobrze. Teraz musiałam tylko odwiązać łódkę, wsiąść do niej i prąd zaniósłby nas do miejsca, gdzie zostawiłam land rovera. Potem pojechalibyśmy do najbliższego szpitala i lekarze mogliby podać Mattowi resztę antytoksyny. Ludzie przeżywali ukąszenia tajpanów, jeśli tylko otrzymywali odtrutkę i mieli opiekę lekarską. Matt z tego wyjdzie, przeżyje.

Miałam tylko ułamek sekundy, żeby zarejestrować nowy zapach – dym z

fajki.

Claro, uważaj! – krzyknął głos matki w mojej głowie. Odwiązałam cumę i mocno pchnęłam ponton. Rzeka go pochwyciła i ponton wypłynął z jaskini. Odwróciłam się, akurat gdy przysadzista znajoma postać dotarła na dół drabiny. Zrozumiałam, że na polu Ventry'ego kilka nocy wcześniej widziałam Ulfreda, a nie braci Keech. To on łapał węże. Teraz włączył latarkę i jej światło skierował bezpośrednio na mnie. Miałam chwilę na zastanowienie się, czy uda mi się wskoczyć do rzeki i dobiec w bród do pontonu z Mattem, czy istniała najmniejsza szansa, że nie zostanę dogoniona. Cofnęłam się.

Jeśli to Ulfred był na polu tamtej nocy, to kto mu towarzyszył? Clive Ventry? Czy...

To, co usłyszałam następnie, mogło być odgłosem grzmotu. W rzeczywistości jednak był to odgłos kamienia uderzającego w moją czaszkę. Świat zamigotał, jak w starych filmach wyświetlanych na zużytych ekranach. A potem zwyczajnie zniknął.

## 50

**N**ie chciałam się budzić. Jak to możliwe, że tak bolało, a ja żyłam? Musiałam mieć zmiądzoną czaszkę, nic innego nie tłumaczyło morderczego bólu w głowie. Mdliło mnie, wiedziałam, że zaraz zwymiotuję, ale nie mogłam poruszyć żadnym mięśniem. Umrę tu, na mokrej kamiennej posadzce, uduszona zawartością własnego żołądka, i to będzie błogosławiona ulga.

Nie zwymiotowałam. W moim żołądku nic już nie zostało, ale nagły atak kaszlu zmusił mnie do otwarcia oczu. Chropowata kredowa posadzka jaskini zmieniła się. Kamień był gładki, przycięty w regularne kształty, a straszliwy skrzekliwy dźwięk nie dudnił jednak w mojej głowie. Dochodził od dziesiątek małych stworzeń wirujących wysoko nade mną. Byłam w starym kościele.

Sprzączka od kamizelki ratunkowej wpijała mi się w pierś. Chciałam wyciągnąć rękę, żeby się trochę unieść, pomacać głowę, ocenić, jak bardzo byłam ranna, ale przekonałam się, że nie mogę. Ręce miałam przywiązane do boków tym samym sznurem do bielizny, którego użyłam do spuszczenia Matta do jaskini pod domem.

Leżąc na tej posadzce, widziałam niewiele. Nawet poruszanie oczami bolało. Ale potrafiłam ocenić, że jestem gdzieś z przodu nawy. Po pierwsze czułam zapach stojącej wody w basenie chrzcielnym, w tym, w którym o mało nie utonął Ulfred. I byłam w stanie wypatrzyć w mroku kilka rzędów ławek, niektóre przewrócone, inne wciąż stały na swoim miejscu. No i widziałam samego Ulfreda, nie dalej niż trzy metry ode mnie, siedzącego spokojnie w pierwszym rzędzie.

Zamrugałam i jego postać wyostrzyła się. Był bardzo podobny do Waltera. Może oczy miał trochę mniejsze, podbródek wyraźniejszy. Miał też więcej

włosów niż Walter i był nieco mocniej zbudowany. Poza tym mogli uchodzić za braci, nie kuzynów. W słabym oświetleniu i z pewnej odległości łatwo ich można było pomylić. Ale nie potrafiłam wyobrazić sobie Waltera, kiedy patrzyłam teraz na Ulfreda, skupionego wyłącznie na papuaskim tajpanie na jego kolanach. Widziałam, jak pokrzywione palce głaszczą węża, przesuwają się po całej jego długości. I patrzyłam, jak wąż pozwalał się głaskać, nie zdradzając żadnych oznak, że chciałby uciec lub zacząć się bronić.

Leż i nie ruszaj się, powiedziałam do siebie i znowu zamknęłam oczy. Jak długo Ulfred będzie uważał, że jestem nieprzytomna, tak długo da mi spokój. Jeśli Rachel udało się skontaktować z policją i przekazać dokładnie moją wiadomość, z pewnością są już w drodze. Możliwe, że nawet są już we wsi, robią to, co ja: poszli śladem Matta do domu Clive'a Ventry'ego. Tam znajdą ciało Clive'a. Będą szukali Matta. I mnie.

Tylko kiedy ostatnio próbowałam, w komórce nie było sygnału. I Rachel mogła zapomnieć powiedzieć o trasie dojazdu.

Oddychaj równo, nie pozwól, żeby zdradziły cię mrugające powieki. Wszystko będzie dobrze. Po znalezieniu ciała Clive'a Matt na pewno wezwał pomoc przez radiostację. W obliczu kolejnego zabójstwa, gdyby trzeba było, policja przybyłaby do wsi nawet pieszo. Ale tak by było przy założeniu, że Matt widział zwłoki. Jeśli widział tylko Ulfreda i postanowił za nim pójść, mógł nie mieć okazji wezwać pomocy. O Boże...

Rose Scott, administratorka ze szpitala psychiatrycznego. Ona wszczęła alarm, zawiadomiła władze, że Ulfred pojawił się w swoim domu we wsi. Tak czy inaczej, pomoc była w drodze, musiała być. Pozostawało tylko pytanie, czy zdąży w porę dotrzeć do mnie.

Jakieś poruszenie w kościele. Kroki. Ulfred nadal siedział w pierwszej ławce. Zanim zdążyłam sobie przypomnieć, że mam leżeć nieruchomo, zeszywniałam.

– Tak myślałem, że się ocknęłaś, moja droga.

Wargi Ulfreda nie poruszały się, ale i tak tego głosu nie wzięłabym za jego głos. Bo w tym zwracającym się do mnie teraz głębokim wykształconym głosie nie pozostał nawet cień wiejskiego akcentu z Dorset. Archie Witcher,

mówiący z wszystkimi niuansami i kadencjami adaptowanego akcentu z południowych stanów Ameryki, wrócił jednak do domu.

Podciągnęłam pod siebie nogi, odepchnęłam się mocno i uklękłam. Kiedy krew odpłynęła z głowy, zmniejszył się też nieco ból. Mogłam skupić wzrok na stojącym przede mną mężczyźnie, nadal wysokim, mającym przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu.

Archie był tak przystojny, jak go wszyscy opisywali: o wiele przystojniejszy, niż mogłam wywnioskować ze zdjęcia, na którym go widziałam. Jego twarz musiała być kiedyś niemal piękna, tak idealne były jej rysy i proporcje. Jasną cerę znaczyły zmarszczki, spodziewane u osoby ponadsiedemdziesięcioletniej, ale twarz pozostała frapująca i atrakcyjna, zwłaszcza oczy – miękki jasny turkus obramowany czarnymi rzęsami. To był idealnie wyglądający mężczyzna w jesieni życia. I zapowiadało się, że po odziedziczeniu fortuny bratanka swoje ostatnie lata spędzi naprawdę przyjemnie.

Odczułam lekki zawód, nie mogłam temu zaradzić. Czyżby w tym wszystkim chodziło jednak tylko o pieniądze? Czy Archie, uciekając przed skandalem i możliwym skazaniem w Stanach, wrócił do domu dla ogromnego majątku, który mógł odziedziczyć, jeśli jego bratanek zmarłby przed nim?

– Tak mi przykro, że musiała pani znosić niewygodę przenosin, panno Claro – oznajmił, mówiąc do mnie z góry, zdawałoby się, że z bardzo daleka. – Mam wodę, jeśli potrzebuje się pani napić.

Kiwnęłam głową i udało mi się wychrypieć: „Tak, proszę”. Teraz potrzebowałam czasu. Uciec nie mogłam, ale pomoc już nadciągała. Muszę tylko dać jej czas.

Archie odwrócił się i odszedł, a mnie przypomniało się zebranie w domu Clive’a Ventry’ego, dokładnie sprzed tygodnia, gdy widziałam wysoką, ubraną na ciemno postać przechodzącą przez galerię. Rose Scott mówiła, że Ulfreda odwiedzał jakiś elegancki mężczyzna, mówiący z obcym akcentem. Sądziłam, że chodziło o Clive’a, ale równie dobrze mógł to być Archie.

Kiedy zniknął z widoku, zaczęłam się zastanawiać, czyja ręka, czyj cios zakończył życie Clive’a. Ulfred, który wciąż głaskał węża, sprawiał wrażenie

smutnego, trochę zagubionego staruszka. To na pewno on włamał się do mojego domu i przeraził mnie na śmierć, ale...

Powracające kroki.

Ulfred nie wyrządził mi krzywdy. Kilka dni później miał ku temu następną okazję w kopalni kredy. Stałam kilka kroków od niego, słyszałam jego oddech, a jednak pozwolił mi odejść. Czy to naprawdę on zabił cztery osoby? Czy może raczej jego kuzyn go wykorzystał, pomógł mu uciec ze szpitala, ukrył w starym rodzinnym domu, karmił go i dostarczał gaz? Czy obecność Ulfreda we wsi była jedynie zasłoną dymną? Czy Archie wyreżyserował nawet wypadki z węzami, bo one, bardziej niż cokolwiek innego, wskazywałyby na winę Ulfreda?

Archie podszedł do mnie i przykucnął, jego twarz znalazła się prawie na poziomie mojej. Był ubrany w czarną koszulę i czarne spodnie, ale widziałam na nich tysiące lśniących ciemnych plamek. Dłoń trzymająca szklanekę z wodą miała czerwonawy odcień jak dłoń rzeźnika. Zerknęłam w stronę Ulfreda. Jego ubranie było brudne, lecz nie widziałam na nim śladów krwi. Zaczynałam sądzić, że już wiem, który z nich zamienił czaszkę Clive'a Ventry'ego w krwawą miazgę.

Cała wina spadnie jednak na Ulfreda. Widziałam nawet, że to się układa w pokręconą, ale logiczną całość. Ulfred, jeśli uznano by go za winnego, wróciłby po prostu tam, gdzie przebywał przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Tylko po co, na Boga, Archie zabił jeszcze trzy inne osoby poza swoim bogatym wujem? Co mógł zyskać na śmierci Johna Allingtona, Violet Buckler i Ernesta Amblina?

Archie przystawił mi szklanekę do ust, a ja się napiłam. Zimna woda trochę pomogła.

– Dziękuję – powiedziałam do kamiennej posadzki, kiedy odsunął szklanekę.  
– Czy... czy mogę o coś zapytać, pastora Witcher? Proszę. – Oczywiście miałam cały czas spuszczone i mówiłam cicho. Nie chciałam, żeby uznał, że czymś mu zagrażam.

– Oczywiście, moja droga. – Oddech Archiego był ostry, kwaskowaty, jak u kogoś, kto od jakiegoś czasu nic nie jadł. Mówił tak samo cicho jak ja.

Szeptaliśmy do siebie w tym dawno zapomnianym kościele, podczas gdy wokół nas szalała burza. O co mogłabym zapytać, czego nie uznałby za zagrażające? Potem wymyśliłam.

– Dlaczego Ulfred podrzucił węża do dziecięcego łóżeczka? – spytałam, ryzykując szybkie spojrzenie w górę.

Archie pokręcił głową, ucieleśnienie bóleści i przejęcia.

– Dziękowałam Panu, że w porę się tam pani znalazła, panno Claro – rzekł.  
– Inaczej, co to byłby za straszliwy wypadek. Kochane, niewinne dziecko.

– No, ale jak to... wypadek... to on nie chciał jej skrzywdzić?

– Naturalnie, że nie. Tylko że rodzice tego drogiego maleństwa hodowali drób. Mieli nowo wyklute kurczęta. Ulfred potrzebował ich, żeby... – Przybrał zakłopotaną minę, jakby delikatność nie pozwalała mu mówić jaśniej.

– Nakarmić węże – pomogłam, znowu spuszczać wzrok.

– Tak, w istocie. Myślę, że rodzice dziecka mogliby się zdenerwować, kiedy Ulfred wszedł na ich posesję. Tak się spieszył z wyjściem, że zostawił tam węża, swojego ulubionego. Podobnie zresztą sprawa miała się z tajpanem w domu doktora Amblina. Drogi Ulfred ma wiele talentów, ale nie zawsze jest... jak by to powiedzieć?... godzien zaufania.

A więc mała Sophia i dzieci Poulsonów nie były na liście osób do zabicia, to tylko pomyłka.

– Jak Ulfred wchodził do tych domów? – spytałam, znowu zadając pierwsze pytanie, jakie przyszło mi do głowy. Wiedziałam, jak się dostawał do mojego, ale nie do innych. – Korzystał z kluczy, które kiedyś miała Edeline?

Kiedy zerknęłam w górę, zobaczyłam, że Archie uśmiecha się i lekko kręci głową.

– Drogi Ulfred jest taki zaradny – rzekł. – Nie mam pojęcia, jak on robi połowę z tych rzeczy, które robi, panno Claro. Stare klucze Edeline na pewno pomogły, ale Ulfred ma prawdziwy dar dostawania się w różne miejsca. W okolicy nie ma chyba ani jednego domu, którego by nie znał. On się w tej wsi wychował, rozumie pani.

Archie też się tu wychowywał. I coś w jego akcencie mnie zastanawiało. Istotnie minęło pięćdziesiąt lat, ale czy jego akcent mógł się aż tak bardzo

zamerykanizować? Nie chodziło tylko o wymowę, całkowicie przejął sposób mówienia i frazeologię innego narodu.

Nachylił się do mnie.

– Tak przy okazji, panno Claro, co pani zrobiła z drugim tajpanem? Ulfred jest bardzo przywiązany do swoich węży, rozumie pani. Jest w tym domu w Lyme na Undercliffie?

Kilka dni temu na Undercliffie Sean zaskoczył starego amerykańskiego turystę, twierdzącego, że szuka orchidei. Kilka dni później ktoś próbował włamać się do jego domu. To wszystko układało się w logiczną całość. Archie mnie śledził, szukał tajpana. Chciał odzyskać swoją najgroźniejszą broń.

Odwróciłam lekko głowę, żeby spojrzeć na Ulfreda. Przyglądał nam się czujnie, zauważyłam, że jego oczy są wbite w moje wargi.

– On jest bezpieczny, ten twój piękny wąż – powiedziałam, mówiąc wolno, cały czas zwrócona twarzą do Ulfreda. – Jest pod bardzo dobrą opieką. – Małe oczy Ulfreda zwężyły się, a palce, przesuwające się po wężu na jego kolanach, zdawały się drżeć. – To dlatego przyszedłeś do mojego domu, prawda? Szukałeś go? Mogę ci go zwrócić.

Archie zakółsał się na piętach, szykując się do wstania. Zapytaj go o coś jeszcze. Zmuś go, żeby mówił jak najdłużej.

– Dlaczego jesteśmy w kościele? – spytałam, kiedy się wyprostował. – Teraz, gdy wróciłeś, zamierzasz znowu odprawiać tu msze?

Nie odpowiedział, tylko przeszedł do prezbiterium i ukląkł za stallami.

Zmuś go, żeby mówił!

– Mój ojciec jest archidiakonem! – zawołałam w desperacji, wiedząc, że wkrótce i tak się dowiem, dlaczego jesteśmy w tym kościele. I że to mi się nie spodoba. – Interesował się pastora Kościołem. Działalnością, jaką prowadził pastor w Ameryce.

Nie widziałam, co robi Archie, ale usłyszałam zgrzyt suwaka i jak coś zaszeleściło.

– „A takie znaki będą towarzyszyć tym, którzy uwierzą”! – zawołałam. Co było następne? Co, do diabła, było potem? – „W moim imieniu będą wypędzać demony, będą mówić nowymi językami. Będą brać węże, a choćby... a



choćby...” – To było beznadziejne, całkowicie beznadziejne, on wróci, coś ciężkiego spadnie na moją czaszkę i rozbryzga mi mózg w powietrzu. Czy wykorzysta wodę z basenu do oczyszczenia posadzki? Otworzyłam usta, żeby zacząć krzyczeć.

Jakieś ręce chwyciły mnie od tyłu za ramiona.

– Czy przyjąłś Pana i Zbawcę Jezusa Chrystusa do swojego serca, panno Claro?

Szybko i gwałtownie pokiwałam głową.

– To się ogromnie cieszę. – Był teraz bliżej. Czułam zapach dymu z fajki, którym przesiąkły jego ubrania, aceton w oddechu i odór krwi, czający się pod spodem. Jego dłonie zaczęły ugniatać moje ramiona. – W tych ostatnich dniach Bożej ziemi, gdy wszyscy prawdziwie uczciwi będą zbawieni i grzesznicy wrzuceni w otchłań wiecznego ognia, tak się cieszę, że odnalazłś Pana, panno Claro.

Poczułam, że spod skręcającego wnętrzości przerażenia podnosi się furia, żeby zająć miejsce strachu. Znałam prawdziwego kapłana. Kapłana, który miał Chrystusa w sercu, i to nie był ten miętoszący mnie teraz diabeł.

– Niech będzie błogosławione Bractwo Eliasza, niech będzie błogosławione bractwo świętych, którzy walczą niestrudzenie z grzechem i zepsuciem w tych ostatnich dniach. – Nachylił się jeszcze bliżej, papierowy naskórek jego policzka zetknął się z moim, ciężar ciała napierał na mnie. Dłonie puściły moje ramiona i ześliznęły się w dół. A ja z każdą sekundą byłam coraz bardziej wściekła. Nie zamierzałam dać się w ten sposób dotykać, nie jemu.

– A powód, dla którego jesteśmy w tym kościele, moja droga – ciągnął, znowu zniżając głos do szeptu – jest taki, że nasz przyjaciel Ulfred potrzebuje schronienia w swoim dawnym domu jeszcze przez jakiś czas. Gdyby cię tam znalezione, panno Claro, dom zostałby gruntownie przeszukany. Znaleźliby miejsce odpoczynku Ulfreda, jego małą kolekcję. A na to jeszcze nie czas.

Archie kupował czas. Tak samo, jak wtedy, gdy próbował zrzucić winę na mnie. Kiedy podrzucił żmiję do mojej piwnicy, stworzył fałszywy testament na moim papierze listowym i zostawił go w domu Violet. Kupował czas, żeby

móc – co takiego, właściwie, ten potwór musiał jeszcze zrobić?

W moim sercu o przewagę rywalizowały gniew i przerażenie, wiedziałam jednak, że lepiej przysłuży mi się przerażenie. Zmusi mnie do uległości i to może pozwoli mi zachować życie. W przedniej ławce, nadal głaszcząc tajpana, Ulfred siedział i obserwował nas.

– Rozumiem, że rozmawiałaś z Ruby Mottram – rzekł Archie. – Gdzie ona jest, panno Claro?

I furia zwyciężyła. Czy ta krucha stara kobieta miała być jego kolejną ofiarą? Gwałtownie podniosłam głowę.

– Trzymaj się pan z daleka od... – zaczęłam. I przerwałam. Spojrzałam w te zimne niebieskie oczy i wszystko stało się jasne. Oczy jak niebo zimą. O dobry Boże! Moje oczy musiały się rozszerzyć od szoku, może się lekko cofnęłam. Cokolwiek to było, Archie spostrzegł i zarejestrował tę zmianę we mnie.

Claro, nie. Nic nie mów. Nie pogarszaj swojego położenia.

Jego oczy wbiły się w moje. Nie zamierzałam znowu uciekać od ich spojrzenia. Otworzył usta, żeby się odezwać, lecz teraz była moja kolej.

– Nie jesteś Archiem Witcherem – powiedziałam.

Niebieskie oczy zwęziły się.

– Ależ naturalnie, że jestem, panno Claro.

Claro, on jest obłąkany. Nie drażnij go.

Zmusiłam się do mówienia powoli, spokojnie, a nie krzyku.

– Archie Witcher leży na tutejszym cmentarzu. Od pięćdziesięciu lat. W grobie, na którym widnieje twoje nazwisko. Nawet zapłaciłeś za postawienie pomnika.

– Moja droga...

– Nie jesteś z Dorset. – Próbowałam się podnieść, a on mi na to pozwalał. – Ktoś pochodzący z zachodu kraju nigdy nie mówiłby w ten sposób, nawet gdyby mieszkał w Stanach sto lat, a nie pięćdziesiąt. – Już prawie się podniosłam, prawie stałam, a on nadal nie próbował mnie powstrzymać, podnosił się razem ze mną. – I wiesz co? – ciągnęłam. – Archie Witcher miał brązowe oczy. Ciemnobrązowe. Kilka osób o nich wspominało. Wczoraj widziałam twoje zdjęcie, policyjne, kolorowe. Powinnam się była wtedy

zorientować. Brązowe oczy nie zmieniają się w niebieskie, nawet po pięćdziesięciu latach.

W tym momencie dał w końcu krok do przodu, taki wysoki, ogromny. Chwytał mnie za ramiona i przyciągnął do siebie.

– Archie Witcher zginął w pożarze tamtej nocy – wyszczałam mu w twarz. – W noc, gdy prawie utopiłeś Ulfreda. Trzy osoby zostały pokąsane przez twoje węże. Dwie z nich zmarły. Wiedziałeś, że będzie dochodzenie, że cię oskarżą, uciekłeś więc z powrotem do siebie. Ale nie mogłeś wrócić pod własnym nazwiskiem, byłeś tam poszukiwanym zbiegiem, za zamordowanie własnego ojca. Ukradłeś Archiemu życie. Przez pięćdziesiąt lat udawałeś kogoś innego i teraz wróciłeś, żeby ukraść pieniądze jego bratankowi.

Zaczął iść, ciągnąc mnie ze sobą. Musiałam się szarpać, by móc pozostać na stojąco. Siłowaliśmy się w pobliżu basenu chrzcielnego, znajdowaliśmy się niebezpiecznie coraz bliżej niego. Wciąż trzymając tajpana, Ulfred wstał.

– To dlatego musieli zginąć! – krzyknęłam. – John Allington, Violet, doktor Amblin. Oni wszyscy wiedzieli. Mogli cię rozpoznać. Zabijałeś ludzi, którzy wiedzieli, że nie jesteś Archiem.

A teraz ty jesteś jedną z nich. Claro, czy ty się nigdy nie nauczysz?

Zatrzymaliśmy się. Nadal wczepiony mocno w moje ramię mój prześladowca nachylił się, jego twarz znalazła się zaledwie centymetry ode mnie. Kątem oka zauważyłam, że Ulfred zrobił krok przed siebie.

– I kim ja niby jestem, Claro? – wyszeptał Archie. – Jeśli nie Archiem, to kim?

– Joelem Fainem. Jesteś pastorem Joelem Morganem Fainem. Byłeś kapłanem w tym kościele pięćdziesiąt lat temu. Ludzie ci ufali, wierzyli w ciebie, a ty...

Nie mogłam mówić dalej. Fain puścił mnie, wyprostował się i wziął głęboki oddech. Zamknął oczy i stał się inny, przysięgam, jakbym patrzyła na fotografię, która się nagle wyostrzyła. Jego oczy nabrały blasku, wydał się nawet jeszcze wyższy. Otworzył usta i głos, który się z nich wydobył, był młody i silny.

– Dziękuję ci, Claro – powiedział. – Dobrze jest usłyszeć brzmienie

własnego nazwiska.

Cofnęłam się o krok, ale straciłam orientację i wpadłam na barierkę przed prezbiterium. Joel Fain ruszył ku mnie. Ulfred też się poruszył, zbliżał się.

– Słyszałem o tobie, Claro – rzucił śpiewnie Fain. – Nawet zamknięty w domu Ventry’ego przez te ostatnie miesiące. Służba i mieszkańcy mówili o piękności z blizną, która ukrywa się przed światem. Mówili o twojej matce i o tym, co jej zrobiłaś. Zabiłaś swoją matkę, Claro. Zapiła się na śmierć, bo nie mogła znieść twojego widoku. Czy nie tak?

Głos mamy w mojej głowie ucichł. Spokojne, mądre rady, które mnie prowadziły, zostały przekrecone, docierały teraz z ust Joela Faina. I brzmiały tak prawdziwie. Śmierć mamy to moja wina. Musiała się napić, ilekroć na mnie spojrzała. Fain wyciągnął do mnie dłoń i musnął mnie nią po policzku z blizną.

– Naznaczona grzesznica – wyszeptał – nosi piętno kainowe.

Coś w tyle mojej głowy próbowało wydostać się na wolność.

– Czy wiesz, co dzieje się z tymi, którzy zabijają rodziców, Claro? – Wciąż mnie dotykał.

– Spotyka ich kara – zakwiliłam, czując, że moja twarz robi się mokra. Fain podniósł rękę i oboje popatrzyliśmy na migotanie łez na jego poplamionych krwią palcach. Potem nachylił się i czubek jego języka prześliznął się po moim policzku do kącika oka, wzdłuż linii włosów. Zlizywał łzy, jakby się rozkoszował smakiem bólu. Czułam, że zaraz odrzucę głowę w tył i zawyję. Potem odsunął się. Jego oczy nadal wpatrywały się w moje, lecz nie sędzę, żeby mnie jeszcze widział.

– Kara, kara – powtórzył – tak jak i mnie ukarano. – I potem, szybko jak błyskawica, rozpiął przód koszuli i zdarł ją z siebie. Skóra na jego zapewne atletycznym niegdyś torsie miejscami była obwisła; w innych miejscach widniały na niej sine, powykręcane szramy po siedmiu oparzeniach. Rozpostarł ramiona, żebym mogła zobaczyć wszystko. Jeszcze więcej blizn, ale nie po oparzeniach.

– Mój ojciec trzymał mi głowę pod wodą w rzece, wiedziałaś o tym, Claro? Trzymał mnie do tego momentu, aż myślałem, że eksploduję z bólu, ale nie

umarłem. Moje ciało płonęło w tym kościele, ale nie umarłem. – Wyrzucił obie ręce w moją stronę. – Węże i inne pełzające rzeczy wiele razy wgryzały się w moją skórę i ją zatrwały, ale nie umarłem. Posłańcy śmierci nie mogą mnie skrzywdzić, Claro. Błogosławiony Pan obdarował mnie władzą nad śmiercią. Jestem prawdziwym członkiem Bractwa Eliasza i głoszę ostatnie dni bożej ziemi.

Nagły hałas zaskoczył nas oboje. Jeden z nietoperzy utknął między piszczałkami organów; trzepotał się tam, wywołując dźwięk przypominający odgłos starych dzwonów poruszanych silnym wiatrem. Czy był wystarczająco głośny, by go usłyszano we wsi? Prawdopodobnie nie, mimo to...

Odwróciłam się i biegiem rzuciłam przez prezbiterium. Przewróciłam się na pulpit, ale jakoś udało mi się utrzymać na nogach i pognałam za stalle. Obiegłam je, skoczyłam i z twarzą skierowaną w dół wylądowałam na klawiszach organów. Dawno nieużywane piszczałki ożyły, ich dźwięk rozniósł się po całym kościele. Nietoperze zaczęły piszczeć, nawą przeleciała gromada gawronów. Potem moje włosy zostały pochwycone z tyłu i wolna ręka Faina owinęła mi się wokół szyi. Szarpnął mnie w tył i po posadzce, po schodkach prezbiterium przeciągnął do basenu chrzcielnego. Tam się zatrzymaliśmy i znowu zostałam podciągnięta na nogi.

– Widziałem, jak zmarli powstawali, Claro – oznajmił, ale jego oczy nie mogły już napotkać spojrzenia moich. – Mogę cię sprowadzić z powrotem, jeśli tylko twoja wiara jest wystarczająco silna. Mam to uczynić? Czy my dwoje mamy wskrzesić twoją matkę?

– Przestań.

W kącikach ust zebrały mu się bąbelki śliny.

– Czy wskrzesimy twojego przystojnego policjanta?

– On nie umarł! – Jeszcze w trakcie wypowiedzenia tych słów dotarło do mnie, jak bardzo są głupie. Fain i Ulfred odszukają Matta, jak tylko skończą ze mną; znajdą go i zabiją.

– Ale umrze. Tajpan to najgroźniejsze stworzenie na tym bożym świecie. Ten idiota, Ventry, nie miał pojęcia, co przywiózł ze sobą ze swojej podróży. Myślał, że zarodki w jajach są martwe. Zaniósłem je Ulfredowi. Wiedziałem,

że jeśli istnieje ktoś, kto potrafi się nimi zaopiekować, tak żeby węże się wykluły, to tym kimś jest właśnie on.

Staliśmy z boku basenu, tuż poniżej schodków prezbiterium. Ulfred nie odrywał od nas wzroku nawet na chwilę. Przekręciłam głowę, żeby mieć pewność, że będzie widział moje usta.

– Wina za wszystko, co zrobiłeś, spadnie na Ulfreda – powiedziałam. – Taki był twój plan od samego początku, co? Pomogłeś mu uciec, bo wiedziałeś, że wcześniej czy później ludzie zaczną się dziwić, że ginie tyle starszych osób. Wiedziałeś, że znajdą moje ciało, ciało Matta i Clive’a Ventry’ego. Wszyscy założą, że to dzieło Ulfreda. On wróci do szpitala, a ty zgarniesz kasę Clive’a.

Fain napierał na mnie, próbował mnie zmusić, żebym się położyła. Odpychałam go, ale wiedziałam, że nie dam rady długo mu się opierać. Był zbyt silny.

– A jego węże zginą, wszystkie! – krzyknęłam do Ulfreda. – One już giną. A ty się nimi nie zajmiesz, prawda?

– Co, do cho... – Fain stracił cierpliwość. Uderzył mnie w twarz. Potem podciął mi nogi i upadłam. Ból w plecach, gdy wylądowałam na kamiennej posadzce, o mało znów nie pozbawił mnie przytomności. Ale wytrzymałam na tyle długo, żeby się zorientować, że leżę na plastiku. Dużej torbie z grubego czarnego plastiku z suwakiem pośrodku. To był worek na zwłoki, prawie identyczny jak te, w których trzyma się ciała w szpitalnych kostnicach. Tyle że ten nie był przeznaczony dla ludzkich zwłok. W zoo mają takie worki. My w naszym szpitalu też je trzymamy na wypadek, gdy pada duża sarna. I kilka takich mam w swojej piwnicy. Wyglądało na to, że umrę we własnym worku.

Zaczęłam się szamotać, próbując odsunąć się od basenu. Fain kopnął mnie mocno w brzuch i przestałam się wyrywać.

Leżąc nieruchomo, patrzyłam, jak Fain, którego oczy robiły się coraz ciemniejsze, podnosi duży kamień, odpadły od muru. Położył go przy moich stopach, a potem odszedł przez prezbiterium. Ulfred przybliżył się i zaczął wpatrywać w basen jakby z przerażeniem na twarzy. Fain podszedł do niego i wyciągnął ręce po węża. Ulfred cofnął się, wyglądało, że mocniej ścisnął

tajpana.

Zobaczyłam, że głowa Faina się porusza, i wiedziałam, że powiedział coś do Ulfreda, mimo to mroczna cisza zdawała się narastać wokół mnie. Odniosłam wrażenie, że Ulfred dmuchnął lekko na głowę węża, ale nie mogłam być pewna. Potem oddał tajpana i Fain skierował się w moją stronę.

Od miejsca, w którym przekazali sobie węża, do tego, w którym leżałam, było tylko kilka metrów, lecz wydawało się, że dotarcie do mnie zajęło Fainowi całą wieczność. Bo miałam mnóstwo czasu na myślenie o najdziwniejszych rzeczach: że wąż, który ukąsił Matta, zaraz ukąsi i mnie, co było w pewnym sensie dość intymne, i że jeśli Matt nie utonął w rzece ani nie umarł z wyziębienia podczas burzy, jeśli w porę dotarł do szpitala, zapamięta mnie na zawsze, ponieważ nie zapomina się łatwo kogoś, kto zmarł śmiercią, która miała być taka jak twoja.

I potem pomyślałam, że od zawsze sądzone mi było zginąć w ten sposób. Całkiem stosowne było, że spotka mnie *poena cullei*, ponieważ Fain miał rację. Spowodowałam śmierć rodzica. Przeze mnie moja matka zapłała się na śmierć.

I ostatnia myśl, jaka do mnie przyszła, gdy Fain uklęknął i położył szczupłą, prawie nic nieważące ciało węża na moim, to, że Sean będzie na mnie naprawdę, naprawdę zły.

Ciężki kamień został włożony do worka, suwak zaciągnięty. Nie poruszałam się. Tajpan też nie. Ledwie go na sobie czułam, taki był lekki, wiedziałam jednak, że jego głowa znajduje się o centymetry od mojej. Potem spoczęły na mnie dwie silne dłonie. Pchnęły mnie mocno i poczułam, że po kamiennej posadzce ześlizguję się do wody.

## 51

Opadaliśmy w dół, dwie istoty, którym przeznaczone było zginąć razem, głębiej i głębiej, tam gdzie panowała ciemność i cisza. Schodziliśmy coraz niżej, w uszach rosło mi ciśnienie, poczułam, że wirując, świat ucieka ode mnie, zobaczyłam, jak wszystko, co kochałam, ulatuje w górę, jakby samo życie odpływało. I chciałam po nie sięgnąć, pociągnąć je ze sobą w dół, bo samotność, jaką czułam, była silniejsza od wszystkiego, czego dotąd doświadczyłam.

I kiedy tam leżałam, w tym worku, w piekle – lodowatym, pochłaniającym wszystko – nagle uzmysłowiłam sobie, że już nie opadam. Naga skała pod mną była twarda. A moje piekło śmierdziało przemysłowym plastikiem.

Nadal oddychałam.

Gruby poliuretanowy worek, w którym Fain mnie zamknął, nie był wodoszczelny – świadczyły o tym lodowate krople kapiące zewsząd – ale na razie wytrzymawał napór wody. Był małym bąblem powietrza i mnie, i mojego przyjaciela utrzymywał na razie przy życiu.

Uzbrojona w isierkę nadziei, nie ważyłam się poruszyć. Jeśli wąż by mnie ukąsił, byłoby po wszystkim. Antytoksyna odpłynęła z Mattem i starczało jej na uleczenie tylko jednego ukąszenia. Co zadziwiające, wąż się nie poruszał. Ale gdybym ja to uczyniła, wpadłby w panikę i zacząłby się bronić.

Ciężar wody wciskał się w worek, nie miałam wyboru, żeby móc oddychać, musiałam powoli przekręcić głowę na bok. Wąż nadal się nie poruszał. Zaczęłam wyciągać prawą rękę spod siebie, chciałam nią sięgnąć do kieszeni, w której miałam nóż.

Moje ramię znajdowało się przy boku, dłoń bezpośrednio nad kieszenią.



Ale sznur opasywał mnie ściśle i każdy ruch wysysał ze mnie energię.

Potem wąż zaczął się poruszać.

Czułam, że prześlizgiwał się w górę. Nie odpowiadała mu moja mokra i zimna kurtka. Kierował się w stronę ciepła. Poczułam, że przesuwa się, lekko, śmiertelnie groźnie, na pierś i na bark.

„Oto dałem wam władzę stąpania po węzłach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika, a nic wam nie zaszkodzi”.

To mój głos? Czy mojej matki? Nie miałam pojęcia. Ale rozbrzmiewał głośno w uszach, kiedy wsuwałam palce do ciasnej kieszeni.

Jedwabista skóra tajpana otarła mi się o policzek i poczułam, że wąż się zatrzymał. Przygotowałam się na szok bólu, na kły, zatapiające się we mnie, na świadomość, że przegrałam. Niemal słyszałam jego oddech. Potem coś smagnęło mnie lekko po twarzy i wąż wznowił wędrówkę.

Palce dotknęły zimnego metalu rękojeści noża. Jeszcze tylko kilka sekund i uda mi się ją objąć. Ale worek szybko się zapełniał. A najgroźniejszy wąż świata owinął ogon na mojej szyi, podczas gdy jego głowa leżała przy mojej.

„A nic wam nie zaszkodzi”.

Objęłam nóż, ostrożnie wyciągnęłam dłoń i przecięłam najbliższy zwój liny. Przecięcie sznura do bielizny nie trwa długo. Rozciąłam następny zwój i następny, aż mogłam zgiąć rękę w łokciu i wycelować nóż w plastik bezpośrednio nad twarzą. Nabrałam najgłębszy oddech, jaki mogłam – wiedząc, że to może być mój ostatni – i przeciągnęłam nóż w dół tak daleko, jak udało mi się dosięgnąć. Zalała mnie woda. Wciąż byłam skrupowana, nie mogłam pływać, ale znalazłam uchwyt kamizelki ratunkowej, o której Fain nie wiedział, że mam ją na sobie, i mocno pociągnęłam.

Kiedy kamizelka wypełniła się powietrzem, wystrzeliłam na powierzchnię jak korek z butelki. I pomyślałam, że głowa eksploduje mi od łoskotu rozchodzącego się po całym kościele. Co, u diabła, było przyczyną tego nieboskiego łomotu? Czyżby kościół się walił? Oplatające mnie sznury poluzowały się. Otrząsnęłam się z nich, chwyciłam kafli otaczających basen, mocno kopnęłam w wodę i poleciałam, kolejny raz, na zimną posadzkę kościoła. Podźwignęłam się na nogi, ignorując ból w głowie i kakofoniczny

zgiełk odbijający się od ruin, pragnąc jedynie dotrzeć do wyjścia. Najgroźniejszy wąż świata, który przez kilka minut dzielił mój grób, wychynął na powierzchnię i podpłynął do mnie leniwie. „A nic wam nie zaszkodzi”.

Zatoczyłam się w tył. I zobaczyłam Ulfreda, kurczowo trzymającego się jedną ręką piszczałek organów, drugą walącego z całych sił w klawisze, podczas gdy mocarne palce Faina zaciskały się na jego gardle.

Nie potrzebowałam krzyczeć o pomoc. Głośne, dysharmoniczne dźwięki kościelnego instrumentu robiły to za mnie. I wiecie co? Myślę, że moja matka też przyłożyła ręki do tego rwetusu. Tajpan wpełzał z basenu, jego rozwodnione, bursztynowe oczy zdawały się patrzeć tylko na mnie. Ale żaden wąż nie prześcignie człowieka.

Odwróciłam się i uciekłam – obok czarnej wody, w której oboje, Ulfred i ja, omal nie straciliśmy życia, długą nawą, gdzie pożar zabił Larry’ego Hodgesa i prawdziwego Archiego, do przedsionka, w którym Ruby pokąsał wąż. I dalej, w noc, aleją starych lip i przez bramę na zewnątrz.

Prosto w ramiona inspektora Roberta Taskera.

## 52

**S**tare drewno rozprysło się jak kruche szkło. Trzy uderzenia siekierą i było po zamku; drzwi zawisły luźno na zawiasach. Umundurowany posterunkowy otworzył je szeroko i wszedł do środka.

Za nim, jeden po drugim, ruszyli funkcjonariusze z wydziału kryminalistyki. Rozeszli się po starym domu, mierząc, filmując, robiąc zdjęcia. My byliśmy ostatni w kolejce, najmniej ważni, znaleźliśmy się tam tylko po to, żeby zająć się żywymi.

Przekroczenie progu było łatwe. Ale pozostanie tam, oddychanie zatęchłym powietrzem, było chyba najtrudniejszą rzeczą w moim życiu.

– Pierwszy raz drzwiami frontowymi – wydusiłam głosem, który w ogóle nie przypominał mojego.

– Zaczekaj w samochodzie – powiedział Sean. – Craig i ja damy sobie radę.

– Twój samochód to zagrożenie dla zdrowia – burknęłam. Dałam krok i zapach wokół mnie jakby stęzał.

– A to miejsce ma szansę zostać sanatorium – mruknął Craig, idący na końcu.

– Którędy, proszę pani? – spytał posterunkowy.

Unikając ekip policyjnych, ruszyłam pokojami na parterze, potem schodami i korytarzami, które nie były już ciemne – reflektory stały wszędzie – i w dół po schodach do kryjówki Ulfreda. Zewsząd otaczał nas hałas i sztuczne światło, tnące powietrze jak noże. Oczywiście ekipy policyjne nie mogły nic zrobić ze smrodem.

– O kurwa – przypląnął zza mnie głos Seana, kiedy stawialiśmy pierwsze kroki w ukrytym pokoju. – Wybacz, Claro.

– Chryste! – wymamrotał Craig, rozglądając się. – Sorry, szefowo.

Otworzyłam usta, żeby się przyznać, że sama wykrzyknęłam mniej więcej to samo poprzedniej nocy, ale przekonałam się, że nie mogę mówić. Młoda kobieta w ochronnym kombinezonie pobierała próbki z plamy na podłodze. Krew Matta.

Odwróciłam się i zaczęłam się przyglądać, jak Sean powoli obchodzi pokój, zaglądając do kontenerów i pudeł, tak jak robiłam to ja, godziny temu. Dostrzegłam szok i współczucie na jego twarzy. Widziałam, że powstrzymuje ziewnięcie i, sekundy później, ja uczyniłam to samo. Był na nogach przez większą część nocy. Ja nie spałam w ogóle.

Kiedy uciekłam z kościoła i gdy tylko byłam w stanie się odezwać, opowiedziałam inspektorowi Taskerowi, gdzie może się znajdować jego szef. Wysłano po niego grupę posterunkowych i w ciągu godziny Matt został dowieziony do szpitala Dorset. W samą porę. Dziesięć minut po jego przybyciu jego układ oddechowy się wyłączył i Matt przestał oddychać. Będzie podłączony do respiratora, aż minie paraliż – jeśli minie. Pod wpływem moich nalegań Sean został ściągnięty z łóżka o drugiej w nocy do nadzoru i miejscowi lekarze podali pacjentowi resztę odtrutki na jad tajpana.

Sean skontaktował się telefonicznie ze specjalistami z placówki badawczej zajmującej się zatruciami w Sydney. Australijscy lekarze, eksperci w swojej dziedzinie, nadal pomagali zespołowi z Dorset leczyć Matta. Podjęto wszelkie możliwe działania, ale minie co najmniej doba, zanim będziemy wiedzieli, czy przeżyje.

Jak ja przetrwam do tego czasu, nie miałam pojęcia. Ale teraz przez następną godzinę lub dłużej mogłam wykonywać swoją pracę. Mogłam zająć się węzami.

Sean i Craig zdążyli już przetransportować kilka zaskrońców do wentylowanego kontenera, którego używamy do przewożenia małych zwierząt. Craig wziął na ręce trzy sztuki, asystujący nam posterunkowy uczynił to samo i obaj wspięli się z powrotem na schody, żeby załadować węże do oczekującego land rovera. Pochyliłam się, znalazłam kolejny pojemnik i podsunęłam go Seanowi. Używając haka, wybrał wyglądającą na chorą żmiję

ze starego kartonowego pudła i wrzucił ją do kontenera. Spojrzał na mnie, potem znowu na węża.

– Nie uratujemy połowy z nich – wymamrotał, pochylając się, żeby zajrzeć do następnego pudła. Potem znowu się wyprostował. – Jak on to zrobił? – spytał. – Ten cały Fain. Jak udało mu się przejąć kontrolę nad człowiekiem, którego wcześniej torturował i próbował zabić?

– Nie jestem pewna, czy mu się to ostatecznie udało – odparłam. Przez ostatnie godziny rozmyślałam praktycznie tylko o zadziwiającym wpływie, jaki Fainowi udawało się wywierać na wszystkich w jego otoczeniu. – Na początku – ciągnęłam – była to prawdopodobnie kombinacja strachu i zależności. Myślę, że Ulfred bał się Joela Faina. Pamiętał, jaką miał władzę nad wszystkimi wokół niego, kiedy obaj byli młodszy. Te wszystkie straszne rzeczy, które inni robili Ulfredowi pod jego namową. Poza tym Fain mógł go czymś straszyc.

– I Ulfred na pewno był zależny od niego w kwestii jedzenia – mruknął Sean, patrząc na resztki puszek, na skisłe mleko, klejące się do poszczerbionych butelek.

– I w kwestii opału też – zgodziłam się, kiwając głową w stronę butli z gazem. – Ogniska nie dałoby się tu rozpalić, to zbyt niebezpieczne. I oczywiście obaj dzielili obsesję na punkcie węży.

Kroki powiedziały nam, że wracali Craig i posterunkowy. W ciszy kontynuowaliśmy przenoszenie węży, aż wszystkie żywe okazy zostały umieszczone w kontenerach transportowych. Potem Craig i policjant znowu zniknęli. Sean spojrzał na mnie.

– Skończyliśmy tu – orzekł. – Ale muszę się jeszcze rozejrzeć koło kościoła, zobaczę, czy uda mi się znaleźć starszego brata Syczącej Clary. Wątpię, żeby w tę nocną ulewę odpełził zbyt daleko. A ty powinnaś się trochę zdrzemnąć.

– Marzenie ściętej głowy. Znowu chce ze mną porozmawiać inspektor Tasker, a ojciec i siostra zostawiają wiadomości co pół godziny od samego rana.

– Cóż, mogą poczekać. Odwiozę cię do domu.

Pokręciłam głową.

– Wracam do szpitala – oznajmiłam. – Chcę sprawdzić, jak on się czuje.  
Usta Seana zacisnęły się.

– Nie będą nic wiedzieli najwcześniej do wieczora – rzekł. – Będziesz musiała długo czekać.

– Miałam na myśli Ulfreda.

Poprzedniej nocy Fain udusiłby Ulfreda, na szczęście ludzie Taskera w porę do nich dotarli. Ulfred został natychmiast odwieziony do szpitala i teraz przebywał w sali niedaleko oddziału intensywnej opieki, w którym leczono Matta. Fain był w policyjnym areszcie.

– Ulfred ma tę moc, o której mi opowiadałeś – powiedziałam, kiedy ciepłe dłonie dotknęły moich ramion. – Tę władzę nad węzami. Zrobił coś wczoraj temu tajpanowi, jestem tego pewna. Brzmi to niedorzecznie, wiem, ale to dzięki niemu mnie nie ukąsił.

– Widywałem dziwniejsze rzeczy. Chodź, myślę, że widzieliśmy już wystarczająco dużo.

Zaczęłam się wspinać na schody. Na ich szczycie pozwoliłam Seanowi poprowadzić się z powrotem korytarzem i w dół schodami. Potem opuściliśmy dom węży.

# A potem...

## Trzy tygodnie później

**D**zięki słonecznej pogodzie ostatnich trzech dni rozkwitły dalie. Zebrałam siedem i dołożyłam do czerwonych róż, które dawno temu kruczowłosa dziewczyna niosła w swoim bukietu ślubnym. I próbowałam myśleć o niej życzliwie, o tej pięknej, nienormalnej kobiecie, cieszyć się, że doświadczyła miłości dobrego człowieka.

Niestety po moich odwiedzinach Walter nie odzyskał już przytomności. Msza pogrzebowa w pobliskim kościele Świętego Mikołaja właśnie się skończyła, a ja pojechałam przodem, przed kondukt, jeszcze raz, ostatni, odwiedzić jego ogród. Za kilka minut Walter zostanie złożony na wieczny odpoczynek obok Edeline.

Wydawało się, że od ostatniego razu, gdy byłam w pobliżu, z domu Witcherów odpadło coś ciężkiego. Wisteria marniała, ale ciemnoróżowa pnąca róża na frontowej elewacji wyglądała przepięknie. Przez te kwiaty, przez słońce dom jakoś złagodniał. Widziałam teraz, jaki kiedyś mógł być uroczy. I że już nigdy nie będzie.

Ponieważ w ostatnich kilku dniach dom Witcherów został oficjalnie uznany za niebezpieczny, miał być wkrótce zburzony, a działka wystawiona na sprzedaż. Na jego miejscu powstanie nowy dom, usytuowany dalej od krawędzi urwiska. Dzieci będą mogły bawić się w ogrodzie. I może straszliwa historia rodziny Witcherów pójdzie bezpiecznie w zapomnienie.

– Tak myślałam, że cię tu znajdę.

Odwróciłam się. Zastępca komendanta policji w Dorset opierał się o

bramę. Mundur wisiał na nim, a w jego postawie wyczuwało się jakąś sztywność. Ruszył ku mnie, stawiając ostrożne kroki na nierównym chodniku, a mnie znowu opanowała dawna nieśmiałość. Gdy widziałam go ostatnio, odpływał w dół rwącą rzeką. Wcześniej, w kościele, większą część godziny spędziłam na gapieniu się na tył jego głowy. Spotkanie twarzą w twarz to była zupełnie inna historia.

– Ładny mundur – zdołałam wykrztusić, chociaż patrzyłam na jego buty.

– Podobasz mi się w zieleni – odpowiedział.

W rabatce pod moimi stopami maki zaczynały się otwierać, ale wiedziałam, że jeśli się je zerwie, ich płatki natychmiast opadną. Niektórych kwiatów po prostu nie da się udomowić.

– Sally zabrała mnie na zakupy – przyznałam.

Czarne buty zatrzymały się trzy kroki ode mnie. Zmusiłam się i podniosłam oczy. Nad białą koszulą twarz Matta wydawała się nienaturalnie szara.

– Wróciłeś do pracy? – spytałam, chociaż wiedziałam, że tak nie było. Sally codziennie mnie informowała o jego postępach. Miną tygodnie, może dłużej, zanim Matt będzie w takiej formie, by wrócić do aktywnej służby.

– Jezus, skąd. Sił na utrzymanie się na nogach starcza mi najwyżej na godzinę. Przypuszczalnie nie powinienem przychodzić aż tak daleko.

– To na chwilę przysiadź – stwierdziłam, nie spodziewając się tak naprawdę, że się zgodzi, ale kiwnął głową i ruszyliśmy w stronę drewnianej ławki ukrytej w różanej altanie. Kiedy usiedliśmy, obsypał nas deszcz brzoskwiniowych płatków. Przez minutę, może dwie żadne z nas się nie odzywało.

– Ulfred został wypisany ze szpitala – oznajmił w końcu Matt. – Słyszałaś o tym? Wrócił z powrotem do Dwóch Hrabstw.

– Nikt mi nic nie mówi – odparłam, strząsając płatki ze stopy. – Nadal codziennie odwiedzam komisariat w Lyme Regis, ale przepływ informacji nie jest dwustronny.

– To pytaj – zachęcił. – Jestem w nastroju na pogaduszki. – I nagle dotarło do mnie, że jeśli spojrzalabym mu prosto w twarz, nie widziałby tak dużo z mojej blizny. Zaskoczona, że nie pomyślałam o tym wcześniej, odwróciłam się



do niego. Oczy miał poznaczone czerwonymi żyłkami, a białka, normalnie błyszczące, były żółte i owrzodzone.

– Co się z tobą działo tamtej nocy? – spytałam.

Małeńka iskierka zatańczyła w granitowoszarych oczach.

– Zanim przewiązałaś mnie jak kurczaka i zepchnęłaś z zapadni, łamiąc mi przy okazji dwa zębra, o to pytasz?

– Nie połamały się, tylko pękły. To różnica. – Wciąż na niego patrzyłam i przekonałam się, że to wcale nie takie trudne.

– Żadna, jeśli chodzi o ból. Ale skoro już pytasz, Clive zadzwonił niedługo po mojej rozmowie z tobą i pojechałem do niego. Chciał pogadać o gościu, który go odwiedził.

– Fain?

– Fain – przytaknął Matt. – Udający Archiego Witchera, dawno zaginionego wuja. Najwyraźniej odnalazł się w październiku, musiał przybyć okrężną drogą lądową, bo nie ma żadnego śladu tego, żeby przeszedł odprawę na lotnisku. Gospodyni Clive’a powiedziano tylko, że to daleki krewny ze Stanów, kaznodzieja, który przyjechał na jakieś rekolekcje. Kobieta twierdzi, że prawie przez cały czas siedział w swoim pokoju. Na spacerzy wychodził po zmroku, lubił odwiedzać stary kościół.

– Poszukiwana osoba żyła między nami przez miesiące i nikt nie wiedział, że tu jest – mruknęłam. – I ty nazywasz siebie policjantem.

– Byłem zbyt zajęty poznawaniem lepiej ciebie.

Kontakt wzrokowy się urwał. Spojrzałam w dół na zegarek, żeby sprawdzić godzinę. Mój lewy nadgarstek był pusty.

– Ale Clive miał wątpliwości? – spytałam, oglądając z uwagą małe zadrapanie na dłoni.

– I to duże. Chociaż na początku ucieszył się z odwiedzin. Widocznie, kiedy się wychowasz w domu dziecka, brakuje ci rodziny. Potem zaczął coś podejrzewać. Wykradł więc jego szczoteczkę do zębów i oddał do zbadania DNA.

– Widziałam raport – oznajmiłam, zerkając w górę. – Był w twojej kieszeni. A zatem podmiot A i podmiot B to byli Clive i Fain?

– Zgadza się. I test potwierdził, że nie jest możliwe żadne biologiczne pokrewieństwo. Clive wiedział, że jest oszukiwany, nie był tylko pewien, co powinien z tym zrobić. Przyznał się też tamtego wieczoru, że urodził się jako Witcher, dokładnie tak jak zgadłaś. Wolał tego nie rozpowszechniać, bo wiedział, że niektórzy członkowie jego rodziny, zwłaszcza ojciec, przypuszczalnie nie zostali dobrze zapamiętani. Nie udało mi się z niego wyciągnąć nic o aktach wandalizmu, ale nadal przesłuchujemy gang Keechów.

– Ale dlaczego nie pogadał po prostu z Fainem? – zdziwiłam się. – Clive Ventry nie sprawiał wrażenia tchórzliwego.

– Nie. Ale zginęły jaja tajpana.

– A więc to Clive je...

– Tak. Znalazł je gdzieś na terenie swojej posiadłości w Nowej Gwinei. Oczywiście, kiedy czarterujesz własne samoloty, nielegalny przewóz staje się o wiele prostszą sprawą. Podobno naprawdę szczerze wierzył, że zarodki w jajach są martwe, ale kiedy usłyszał, że w okolicy widziano młode tropikalne węże i odkrył, że jaja zniknęły, dodał dwa do dwóch. Chyba powinniśmy już iść, oni wkrótce tu będą.

Oboje zostaliśmy na ławce. Ale Matt pochylił się, odsuwając się ode mnie.

– Powiedziałem Clive’owi, że tak czy inaczej wyślę do wsi ludzi i że powinien zostać tam, gdzie jest i pozamykać drzwi – oznajmił, zwracając się do płatków róż u swoich stóp. – Jak się okazało, był to prawdopodobnie największy błąd w mojej karierze.

Spojrzałam na dłoń na ławce obok mnie, poczułam, że moja ręka zaczyna się do niej przysuwać.

– Fain był wtedy jeszcze w domu? – spytałam cicho.

Matt odsunął rękę, zanim zdążyłam jej dotknąć. Zebrał garść płatków i zaczął je ugniatać między palcami.

– Prawie na pewno – odparł. – Clive żył, gdy wychodziłem, nie żył, gdy się zjawiałaś w niecałą godzinę później. Myślę, że Fain podsłuchiwał naszą rozmowę i zrozumiał, że gra się skończyła. Wpadł w panikę.

– Ale on i tak by go zabił, prawda? Z powodu pieniędzy? Czy nie o nie w tym wszystkim chodziło?

Matt pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, o co mu naprawdę chodziło, Claro. Może chciał żyć do końca swoich dni spokojnie i wygodnie jako Archie Witcher. Clive prawdopodobnie znalazłby mu jakieś miłe miejsce do zamieszkania, wydzielił jakąś rentę. Albo mógł planować nieszczęśliwy wypadek, kiedy już świat uznałby go za najbliższego krewnego Clive’a. Oczywiście, jeśli miał cokolwiek odziedziczyć, najpierw musiały zniknąć osoby, które znały go przed pięćdziesięciu laty.

John, Violet, Ernest. Usuwał ich, jedno po drugim. Kto miał być następny? Ruby? Pastor Percy?

– To jak to się stało, że znalazłeś się tutaj? – spytałam.

– Zobaczyłem Waltera.

Nawet ja musiałam sekundę się nad tym zastanowić.

– Mówisz o Ulfredzie?

– Widziałem go tylko przelotnie. Było ciemno i lało, ale mógłbym przysiąc, że to Walter stał przy żywopłocie na szczycie Bottom Lane. Potem zniknął.

– Był w tym dobry.

– Pobiegłem ulicą, ale nie było już po nim śladu. Domyśliłem się, że w jakiś sposób przedostał się do domu. Przez radiostację powiadomiłem dyspozytornię, dokąd idę, i poszedłem za nim. – Matt oparł się o ławkę, a ja poczułam na ręce dotyk materiału jego marynarki. – To miejsce jest o wiele bardziej upiorne, kiedy chodzi się po nim samemu – dodał, spoglądając na dom Witcherów.

– Nie musisz mi tego mówić – zgodziłam się. Słuchanie relacji Matta przenosiło mnie, aż nazbyt wyraźnie, z powrotem do nocy, gdy oboje prawie zginęliśmy.

– Bawiliśmy się wtedy w dziwną odmianę ciuciubabki – stwierdził i znowu wyglądał, jakby był bliski uśmiechu. – Ale dom wydawał się pusty – ciągnął. – Przeszedłem się po nim. I już miałem się poddać, wracałem do drzwi...

Nie byłam pewna, czy chciałam usłyszeć więcej. Gdyby uznał, że powiedział wystarczająco wiele, nie upierałabym się.

– Powinniśmy iść – rzuciłam.

– Dopadli mnie na schodach – rzekł. – Otworzyłem drzwi i na dole zobaczyłem Faina, z tym pieprzonym węzłem wiszącym mu na szyi jak jakieś zwierzątko domowe. Musiał zabić Clive’a, a potem pójść za mną.

– Już dobrze. Nie mu...

– Miałem do niego krzyknąć, żeby odłożył... Chryste, kiedyś będę się z tego śmiał. Nie dane mi było skończyć. Za mną rozległ się jakiś hałas. Ulfred musiał wybrać okreśną drogę, tę samą, którą ty się tam dostałaś. Rzucił czymś we mnie i przewróciłem się. Na minutę czy dwie mnie zamroczyło. I tylko tyle potrzebował nasz przyjaciel kaznodzieja. Domyślam się, że o reszcie wiesz. I masz rację. Musimy iść. Pomóż starcowi się podnieść.

Matt wyciągnął rękę, ja ją złapałam i delikatnie pociągnęłam. Poszło to o wiele za łatwo, był naprawdę bardzo wychudzony.

– Gdzie jest teraz Fain? – spytałam, kiedy ruszyliśmy do ścieżki.

– W areszcie. Dalej twierdzi, że jest Archiem Witcherem i że to Ulfred popełnił te wszystkie morderstwa. Traci czas. Nawet bez dowodów z próbek DNA mamy trzy osoby, które go wskazały podczas konfrontacji.

– Po takim czasie?

– Tak. Pastor Stancey, Janet Dodds i Margaret Rosing. Paradoksalnie to oni mieli być jego następnymi ofiarami. Nawet po pięćdziesięciu latach żadne z nich nie miało wątpliwości.

– Takiej postaci nie zapomina się szybko – rzekłam. – A co z Ruby? – spytałam. – Też brała udział w identyfikacji?

– Nie mogła, za bardzo się denerwowała.

– Jest bardzo słaba – mruknęłam, chcąc być sprawiedliwa wobec Ruby.

– Pisała do niego trzy razy. I wystąpiła o zgodę na widzenie.

– Żartujesz?

– Ciągle coś takiego widujemy. – Matt zatrzymał się, ściągnął okulary i przetarł oczy. – Pozbawiony skrupułów, charyzmatyczny mężczyzna w więzieniu nieuchronnie przyciąga zainteresowanie pań. Tylko tacy mili faceci jak ja nie mogą nikogo sobą zainteresować.

Kolejne zerknięcie na pusty nadgarstek. Nadal nie miałam tam zegarka. Czy Matt flirtował? Potem przypomniałam sobie rudą Amazonkę w jego domu

tamtej nocy. „Mam na imię Rachel, jestem...”

Wydało mi się, że w oddali słyszę odgłos silników kilku samochodów. Znowu ruszyliśmy.

– Czy to Fain był tym gościem, który odwiedził Ulfreda? – zapytałam.

– Tak. Rose Scott też go rozpoznała. I to jego odciski znajdowały się na rzekomym testamencie Violet. Dowody, jakie przeciwko niemu mamy, są dość mocne.

– Stanie przed sądem?

Matt wziął głęboki oddech.

– Osobiście wątpię – rzekł.

– Dlaczego?

Prawie docieraliśmy do bramy. Zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na siebie z dwóch przeciwnych stron słodko pachnącej ścieżki w ogrodzie Waltera.

– Myślę, że uznają go za niezdolnego do obrony – odparł. – Sąd zleci ocenę psychiatryczną, nawet wbrew jego woli. Ten człowiek jest kompletnie obłąkany.

– Mówisz, jakbyś miał co do tego pewność.

– Widziałem jego wzrok, kiedy kładł na mnie węża.

Przez ułamek sekundy oczy, które na mnie patrzyły, nie były już szare. Przybrały barwę mocno zmrożonego lodu.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi samochodów. Walter dotarł do świętego Birinusa.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytał Matt, który też musiał to usłyszeć.

– W przyszłym miesiącu. – Musieliśmy iść. Walter zaraz zostanie wyciągnięty z karawanu, będą go nieśli kościelną alejką.

– Akurat, gdy zaczęliśmy się do siebie zbliżać – mruknął Matt.

– Wrócę na Boże Narodzenie – wymamrotałam. Na maleńkich pączkach róż przy bramie pokazały się mszyce, Walter wiedziałby, jak sobie z nimi poradzić. – Na moje miejsce przyjdzie zastępca. Nie zwolniłam się z pracy.

– Hm – mruknął.

– No co?

– Rozumiem, że weterynarz od dzikich zwierząt z prowincjonalnego Dorset

zostaje gwiazdą telewizyjną. Nie wyobrażam sobie tylko drogi powrotnej.

Spojrzelismy na siebie, potem znowu podniosłam lewą rękę i spojrzałam w dół.

– Na tym nadgarstku nie ma zegarka – zauważył Matt. – Jest dziesięć po i już na pewno mamy przechłapanie u pastora Percy’ego.

– Przyzwyczyłam się. – Dalej oglądałam nadgarstek, jakby zegarek mógł się na nim cudownie zmaterializować, jeśli tylko dostatecznie długo będę się wpatrywała w rękę. – Postanowił, że wciągnie mnie do chóru.

– Podobno ostatnio często cię widuje.

Jakoś tak się stało, że przysunęliśmy się do siebie. Czułam zapach marynarki Matta, nagrzonej słońcem, jego skóry, włosów.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Tak naprawdę nie potrafiłam na to odpowiedzieć. W ostatnich trzech tygodniach dość często odwiedzałam świętego Mikołaja. W murach tego starego kościoła jakoś rozjaśniało mi się w głowie. Przerazająca klaustrofobiczna płatanina z Fainem, Ulfredem, mroczną wodą i zatrutym jadem ciałem znikła i pojawiała się przestrzeń na żalobę po mamie, na myślenie o przyszłości. A kiedy się czegoś przestraszyłam, kiedy podskakiwałam na widok jakiegoś cienia i byłam bliska paniki, siedzenie przy organach zawsze pomagało mi odzyskać spokój.

Poczułam unoszący się z ziemi znajomy zapach. Pochyliłam się i przeciągnęłam dłonią po rumianku porastającym ścieżkę Waltera, potem wyprostowałam się i jeden kwiatek podałam Mattowi. Ujął moją dłoń i przyciągnął ją do swojej twarzy. Czułam na palcach jego oddech, jego wargi na skórze. I w tym momencie zaczęły bić dzwony wzywające nas na początek ceremonii pogrzebowej.

Czy odnalazłam wiarę, której szukałam całe życie? Szczerze mówiąc, nie wiem. Czy to matkę słyszałam tamtej nocy, jak mnie prowadzi i uspokaja, gdy patrzyłam śmierci w oczy, czy raczej lepszą, silniejszą część siebie? Nadal się nad tym zastanawiam. A na razie wszystko, czego mogę być pewna, to to, że w moim życiu zdarzyła się taka noc, gdy chodziłam pośród węży. I one mnie nie skrzywdziły.

# Epilog

**S**ycząca Clara, mniejszy z dwóch tajpanów papuaskich, została wypuszczona na trawiastym stoku jej rodzinnej wyspy kilka miesięcy później. Ostatecznie przeszło sześć milionów ludzi z całego świata obejrzało materiał filmowy, pokazujący, jak Sean North otwiera zamek w jej klatce i łagodnie wypycha ją na zewnątrz. Ja też jestem na tym nagraniu, uśmiecham się, kiedy spizowobursztynowy wąż, który urósł do prawie trzech metrów, połyskując w słońcu, odpełza szybko ku wolności.

Jego większego brata nigdy więcej nie widziano.

# Od Autorki

Wężę opisane w *Bliźnie*, ich zwyczaje i efekty działania ich jadu, starałam się przedstawić najprecyzyjniej, jak mogłam, i muszę podziękować Richardowi Gibsonowi, opiekunowi niższych kręgowców i bezkręgowców z zoo Chester, za korektę najgłębszych moich błędów. Te, które zostały, obciążają mnie, nie jego. Pogodzenie nalegań Richarda, byśmy dbali o rzetelność i precyzję, z moją potrzebą napisana powieści budzącej strach nie zawsze było łatwe, mam jednak nadzieję, że Richard ostatecznie uznał, że oddałam sprawiedliwość tym fascynującym i pięknym zwierzętom. Powinnam również zaznaczyć, że nie znalazłam dowodów na to, że zaskrońce zbierają się w roje, jak to jest opisane w *Bliźnie*, ale znam osoby, które przysięgają, że coś takiego widziały. Richard jest zdania, że musiała to być jakaś pomyłka; ja wolę wierzyć, że nawet na tej naszej małej wyspie nadal mamy jeszcze kilka rzeczy do nauczenia się o otaczającym nas świecie.

Kościół Boży z Widocznymi Znakami oraz Kościół Późnego Deszczu to realnie istniejące organizacje; przedstawiony w powieści opis ich powstania oraz wczesnej działalności opiera się na udokumentowanych dowodach. Joel Morgan Fain to postać fikcyjna, lecz George Hensley, William Branham i Franklin Hall byli realnymi osobami. Publikacja *Formuła na wskrzeszenie zmarłych* również istnieje – sama mam jej kopię.



# Podziękowania

Następujące podręczniki i poradniki okazały się ogromnie przydatne: *Venomous Snakes of the World* Marka O'Shea, *The Serpent's Tale: Snake in Folklore and Literature* Gregory'ego McNamee, *Keeping and Breeding Snakes* Chrisa Mattisona i *The Art of Keeping Snakes* Phillippe'a de Vosjoli. Dzięki, jeszcze raz, paniom z biblioteki.

Oprócz tego pewna liczba osób wielkodusznie poświęciła swój czas i podzieliła się swoją wiedzą, bym mogła napisać tę książkę – chciałabym im podziękować. Za szczegóły eklezjastyczne zobowiązana jestem Avril Neal i Andrew Haseldine'owi; moimi medycznymi i psychiatrycznymi przyjaciółmi są Bridget Davis, Denise Scott i Mary Weisterss; Adrian Summons był nieoceniony, jeśli chodzi o procedury policyjne; a za wszystkie kwestie weterynaryjne i zoologiczne szczerze podziękowania dla Fiony Smith, Richarda Gibsona, Kevina Eatwella i Yorkshire Swan Rescue Hospital.

Chciałabym podziękować zespołowi wydawnictwa Transworld za zachętę, entuzjazm i niezawodną ciężką pracę; zwłaszcza Sarah Turner, Patsy Irwin, Nickowi Robinsonowi i Kate Samano. W Stanach moje podziękowania należą się Kelley Ragland i Matthew Martzowi z Minotaur Books.

Zespół agencji Buckman nie przestaje dokonywać cudów, a Anne Marie Doulton powoli staje się niezastąpiona. Moje podziękowania i wyrazy miłości dla nich.

# Przypisy

<sup>[1]</sup> Położowate (*Colubridae*) – rodzina węży z grupy *Alethinophidia*. Inne nazwy używane dla tej rodziny to wężowate lub węże właściwe. *Hydrophiidae* – węże morskie (przyp. tłum.).

<sup>[2]</sup> National Trust for Places of Historic Interest or Natural Beauty – brytyjska organizacja zajmująca się ochroną zabytków i przyrody w Anglii, Walii i Irlandii Północnej. Organizacja użyteczności publicznej opiera się w dużej mierze na pracy wolontariuszy (przyp. tłum.).